

Artur

# BANIEWICZ

GDZIE  
KSIĘŻNICZEK BRAK  
CNOŃLIWYCH



Próbki

supernowa

1200001

Artur  
**BANIEWICZ**

GDZIE  
KSIĘŻNICZEK BRAK  
CNOTLIWYCH

czyli sagi o czarokrańcy księga siódma,  
o strasznych i komicznych przygodach  
Debrena i wojowniczkki Lendy  
w magiczny pas cnoty zakutej traktująca

super**NOWA**  
WARSZAWA 2016

Opracowanie graficzne:  
Tomasz Piorunowski

Niezależna Oficyna Wydawnicza NOWA Sp. z o.o.  
Biuro Handlowe  
ul. Nowowiejska 10/12  
00-653 Warszawa  
e-mail: redakcja@supernowa.pl

Redaktor naczelny:  
Mirosław Kowalski

ISBN 978-83-7578-137-3

# Spis treści

[Strona tytułowa](#)

[Strona Redakcyjna](#)

[Księga siódma](#)

## Księga siódma

Most nie spodobał się Debrenowi. Wyłonił się z mroku zbyt nagle, był za duży i za czarny. Kamienny, jedynie opierzony drewnem, wisiał nad czymś, co mogło być sporym żlebem albo doliną małego potoku. Czymkolwiek było, wgryzło się między porośnięte lasem stoki dostatecznie głęboko, by wzrok skapitulował przed ciemnością. Debren nie próbował niczego robić z oczami. Z nieba spływały na pogrążone w ciszy góry płatki śniegu wielkości brzoźowych liści - w takich warunkach nawet wyspecjalizowany w optyce czarodziej niewiele zwojuje. Choć teraz akurat przestało padać. Dość nagle.

- Ależ cudny! - rozczulił się Zbrhl. Podobnie jak Debren, ściągnął cugle człapiącego ospale wierzchowca. - Ha, od razu widać, żeśmy są w Morvacu!

- Pogratulować refleksu, panie rotmistrz - dobiegł z tyłu słaby, mniej niż zwykle zjadliwy głos Lendy. - Po trzech ledwie dobach błędzenia tak precyzyjnie ustalić przynależność państwową tych zasranych gór to zaiste...

- Lenda... - rzucił Debren na poły gniewnie, na poły błagalnie. - Zamknij dziób.

Tak naprawdę wcale nie chciał, by umilkła. Dał sobie spokój z oczami, ale od jakiegoś czasu podostrzał inne zmysły i chcąc nie chcąc wyławiał niepokojące sygnały zza pleców. Posykiwania, gdy gniadosz dziewczyny zmieniał nagle rytm, omijając widoczne przeszkody. Jęki, gdy napotykał na przeszkody, które skryły się pod śniegiem i które wypatrzył za późno, co zmuszało go do ratowania się skokiem. Zapach świeżej krwi i świeżego potu. W porównaniu z bukietem

smrodu, pozostawionym w portkach czy onucach przez poprzednich właścicieli, dziewczyna nawet po trzech dniach w siodle pachniała przyjemnie. Ale im mocniej czuć ją było jej własnym potem, tym bardziej Debren tęsknił do pierwotnej, żołniersko-oborowej woni łachmanów. Było za zimno, by się pocić. Mróz powinien uporać się także z zapachem krwi: spodnie Lendy nie należały do grubych i fachowo łatanych i każda kropelka przesączająca się przez szarpie musiała błyskawicznie zamarznąć.

Chyba że była sporą kroplą, nie kropelką.

Pociła się, gorączkowała, a teraz w dodatku krwawiła. Miał prawo się martwić. Więc niech mówi, niech plecie, co ślina na język przyniesie. Nawet gdyby to był jad w czystej postaci. W tej chwili wołałby jednak ciszę.

- Duma narodowa w człeku rośnie, gdy widzi takie чудо. - Szczerze wzruszony Zbrhl obrócił się w siodle, sięgnął po bukłak. - Godzi się uczcić inżynierów toastem.

- Świeć im Panie - wychrypiała dziewczyna.

- Hę? Że jak?

- Lenda - mruknął rozglądający się dookoła Debren - chciała rzec, że most jest stary.

- Aha. - Zbrhl, uśmiechnięty szeroko, podrzucił w dłoni naczynie z grawerowanej cyny. - Dzięki, kozo. Nie, żebym się gniewał, ale miło w końcu dobre słowo o czymś morvackim z twych ust usłyszeć.

- Z moich? - Lenda posłała mu zdziwione spojrzenie.

- Wiem: trudno ci przyszło. - Skrzywił się, zaskoczony oporem nakrętki. - Ciężko przyznać, że w Lonsku krzemiennymi toporkami pierwsze drzewa na kładki cięto, gdyśmy tu już kamienne mosty mieli. Łajno i kał - zaklął, bezskutecznie siłując się z bukłakiem. - Przymarzała czy jak? Toć piwo w środku, nie woda.

- W baryłce też. - Henza zatrzymał konia przy uwiązanim do siodła Lendy luzaku, stuknął w dębową beczułkę kolbą

kuszy. - I też nie chlupie. Właśnie żem miał uwagę zwrócić, że je chyba zamróz dopadł.

- Prędzej rotmistrz jeden - mruknęła Lenda. - Puste beczki to do siebie mają, że słabo w nich chlupie.

- Zamarzło? - Zbrhl zapomniał na chwilę o opornym bukłaku. - Chcesz powiedzieć, żeś nie upilnował, nicponiu?! Toż jak pacholeciu tłumaczyłem: baczenie dawać! Ariergarda miałeś być, a nie chwost bezużyteczny!

- Cmoknij mnie w zadek - rzucił urażony Henza. - I do siebie miej żal. Prosty knecht jestem, nie komendant jakiś. Co kazań, to robię, a jak kazań zapominają, to z inicjatywą się nie rwę. Sam zawsze przed szeregiem porykujesz, że tym wyrywным to nogi z rzyci...

- Słyszeliście? - Debren drgnął, zadarł głowę.

- Chlupie? - zapytał z nadzieją Zbrhl.

- Na pościg miałem uważać - ciągnął rozgoryczony Henza. - Tudzież na dźwięki dziwne i błyskanie ślepi. Na wilkołaki, krótko mówiąc, i insze biesy. Piwa w rozkazie nie było, tom nie uważał, by czujności nie rozpraszać. Jak cię znam, czepiałbyś się, że na służbie o chlaniu jeno...

- Nnnie... - Magun spoglądał w niebo, obracając się w kulbace i zdmuchując płaty śniegu z rżęs. - To taki... dziwny dźwięk. Wysoki. Może nawet... hmm... ultra?

- Wysoki? - Zbrhl zadarł głowę, nie zapominając jednak o bukłaku. Trzasnął szyjką o siodło, wywołując nerwowy płas konia, po czym zaczął mocować się z nakrętką. - Coś na jodłę wlażło?

- Ryś? - rzuciła bez przekonania Lenda. I sama sobie odpowiedziała: - Eee, chyba nie. Mądry ryś nie lażłby na takie drzewo, w taką noc i na takim mrozie. - Przetarła rękawem cieknący nos i pod wpływem zatroskanego spojrzenia Debrena dorzuciła: - No, ale to rozumnych rysiów się tyczy, a tu morvackiego mamy.

- A jak to... - Henza przełknął ślinę - jak wilkołak?

- Nadrzewny? - poszła za ciosem. - Może. Nasze wilkołaki honorowe są, prędzej taki na rycerza w zbroi skoczy, na śmierć pewną, niż na drzewo się tchórzliwie skryje, ale morvackie...

- To nie wilkołak - powiedział cicho Debren. - Za często transformują; mało co tak łatwo zeskanować. Zresztą to... no, jakby... przemieszczało się.

- Złazi? - Henza splunął, ujął kuszę oburącz. - Prosty knecht jestem, tom dotąd nie pytał, ale... Po co właściwie tu sterczymy? Mostowstręt ci się znów odezwał, Zbrhl?

- Macie mostowstręt, panie rotmistrzu? - zainteresowała się Lenda.

- A ma, ma, nawet pergaminem z pieczęcią potwierdzony - wyręczył rotmistrza Henza. - Wstrząsu bezpałowego był doznał na tym tle, jakeśmy się do zakonnych najęli i Lelonie najechali. Wielki mistrz duże zaciągi...

- Zawrzyj pysk - rzucił rozniewany, choć raczej na bukłak, Zbrhl. - Debren z Lelonii się wywodzi, to mu pewnikiem przykro słuchać. Psia jucha... Na mur przymarzł, a chwycić nie ma jak. Miast kłapać gębą, łba byś lepiej nadstawił. Chyba nie da się tego ruszyć, jak w coś twardego nie przypieprzę. A koń się płoszy.

- Długo chcecie tak stać? - westchnęła Lenda.

- A właśnie - przypomniał sobie Zbrhl. - Po cośmy się tu właściwie zatrzymali?

- Most - mruknął Debren. - Nie umiem tego nazwać, ale coś mi się w nim nie podoba.

- Eee - rotmistrz posłał mu zdziwione spojrzenie. - Ty co, obraziłeś się? O te krzemienne toporki i kładki? Lonsko już dawno do Lelonii nie należy, nie ma powodów, by się...

- Ale wstrząsu bezpałowego toś się właśnie przez lełoński most nabawił - przypomniał Henza. - Bo choć kompozytowy, znaczy kamienno-drewniany, wziął się i zawalił pod marną połową roty. I to pieszej. Stało się to, gdy komtur kazał nam



machiny na drugim brzegu Wiórnej nagłym atakiem zaskoczyć. No to my podwiki na misiury, spódnice na portki i hajda na most, że niby gromada bab w panice od zakonnych pierzcha, cnotę ratując. Zamysł był taki, że nim się Lelończyki połapią, to my ich już cepami... a, bom rzec zapomniał, że z cepamiśmy poszli i co drobniejszą bronią jeno, żeby na włościaństwo wyglądać. No i, wystawcie sobie, mistrzu Debren: ten psi syn wziął i pękł!

Coś trzasnęło. Głośno, choć nie aż tak, by zamarzyć o konkurowaniu z wściekłym rykiem Zbrhla.

- A skurwiel!!! Tak pęknąć!!!

- Toć mówię - wzruszył ramionami Henza. - Kompozytowy, nowiutki, jeszcze lasem belki czuć, tablica w trzech językach dumnie głosi, że konstrukcja klasy międzynarodowej jest, na tuzin kupieckich wozów liczona, i to tych w woły zaprzężonych, a tu jak nie dupnie...

- Bukłak!!! - Wściekły nie na żarty rotmistrz cisnął w niego tym, co zostało mu w prawej dłoni, czyli zakrętką, szyjką i kawałkiem grawerowanej cyny. - Oszuści! Złodzieje! W rękach, łajno i kał! Miotły im strugać! Zawracaj konia, Henza! Mord parę muszę pilnie obić w Breclawiu! Siedem i pół grosza wzięli, łotry! Anvaski, powiadają! Z importu! Morzem wieziony! Sto lat przetrwa!

- To był bukłak z Anvashu? - Debren podrapał się po głowie.

- Hmm... Nie chcę się wtrącać w twoje z breclawskimi kupcami porachunki, ale nim się wyglupisz, sprawdź, czy gwint nie był aby odmiennie skrętny. Bo Anvashe, jak wiadomo, wszystko po swojemu robią, odwrotnie niż reszta Viplanu. Fury, przykładowo, lewą stroną u nich jeżdżą.

- Tak? - zdziwił się Henza. - A ja żem myślał, że to w Sovro. U nich, dzikusów, wszystko na opak czynione.

- W Sovro fury jeżdżą jak Bóg przykazał - wychrypiała Lenda. - Tyle że szerszy rozstaw kół mają. Jest taka krotchwila z owym udziwnieniem związana. Przychodzi oto

do wielkiego księcia minister transportu i pyta: Wasza wysokość, a o ile nam trza szerzej niżli na Wschodzie koleiny czynić? A ksiązę na to: A na...

- Znam! - przerwali jej zgodnym chórem obaj najemnicy. Po czym Zbrhl, dziwnie spokojniejszy, odrzucił w zarośla to, co zostało z bukłaka. Chrząszcząc pancierzem, odwrócił się, przyjrzał dziewczynie.

- My tu gadu-gadu - mruknął, przenosząc spojrzenie na maguna - a naszą kozą telepać zaczyna.

- Nic mną... szlak wyboisty. - Próbowwała wzruszyć ramionami, ale akurat dopadł ich podmuch znad źlebu, względnie doliny. - S...sami aż po...odzwaniacie.

- Zbroją - powiedział cicho Debren - nie zębami. - Zsiadł z konia, rzucił wodze zdziwionemu rotmistrzowi. - Nie podoba mi się ten most, ale chyba musimy z niego skorzystać. Poczekajcie tu. Rzucę okiem, poskanuję.

- Czemu mmm...usimy? - Im bardziej się starała nie drzeć, tym bardziej jej to nie wychodziło. - Trzy dni po be...ezdrożach, to i...

- Po pierwsze, kozo, trzy dni temu silna byłaś, a teraz zdechlak z ciebie, co nie ma sił, by smarki z nosa dobrze zetrzeć. - Debrenowi przemknęło przez myśl, że jest słabsza, niż sądził: nie rzuciła w Zbrhla ani nożem, ani klątwą, ani nawet złym spojrzeniem. I nie próbowała sięgać do nosa. Oblepiona śniegiem od czubka kaptura po łapcie, w niezrozumiały sposób wydawała się drobna, krucha jak mała dziewczynka. - Po drugie zaś, ważniejsze, to jest porządny, morvacki most i jeno przez grzeczność poczekam, aż Debren go różdżką opuka. I bez pukania wiem, że pięćset lat tu jeszcze postoji, choćby po nim smoki chadzały. U nas, w przeciwieństwie do Lelonii, mosty są tak stawiane, by się na nich człowiek bezpiecznie i komfortowo czuł. Jako ja zaraz będę.

- Znaczy: nie boisz się? A wstrząs bezpałowy? -

zainteresował się Henza.

- Ile razy mam powtarzać, cepie durny, że w papierach stoi jak byk: pourazowy? Dopisek o bezpałowości medyk tylko dlatego w dole dodał, bo się płatnik zakonny, jełop jako i ty, nie znał na medycynie i nie mógł pojąć, jak można wstrząsu doznać, po łbie nie biorąc.

- I dodatku za rany odmawiał? - domyślił się Debren.

- To też. - Zbrhl splunął w zaspę. - Choć, po prawdzie, szło mi o to, by drugiej połowy roty w tak durny sposób nie wytracić. Bo widzisz, komtur, suczy pomiot, wziął się, by po sąsiednim moście na drugi brzeg leżć. A kogo przodem chciał słać? Nas! Bo, powiada, wy, panie Zbrhl, już doświadczenie macie w operacjach desantowych. I kontrakt pod nos pcha, arbitrazem straszy. Tom się wkurzył i do medyka poszedł. Nie powiem, nie z pustymi rękoma. Chwalić Boga łapiduch miejscowy był, Lelończyk, więc w mig ładną jednostkę chorobową w księgach wynalazł. Skończyło się na tym, że mostu nie szturmowałem, bo mostowstręt mnie udokumentowany od tego zwalniał, a rotę zakonni posłać nie mogli, bo w kontrakcie stało, iż pod moją jeno komendą ma chadzać, póki broń mogę dźwignąć. A tę, choć wstrząśnięty, dźwigałem.

Debren zsiadł z konia i ruszył w stronę mostu. Po paru krokach zapadł się po uda w śnieg. Leżało go tu zaskakująco wiele, nawet jeśli wziąć poprawkę na zagajnik porastający zbocze. Lasek łapał nawiewany z góry śnieg, zatrzymywał, nie pozwalał białym kopcom wędrować niżej. Debrenowi nie przeszkadzało to zanadto. Dopóki nie zbliżył się na piętnaście sążni do północnego przyczółka mostu i nie stwierdził, że patrzy na niego z wysokości sążni dwudziestu, zaś widoku nie przesłania mu żadne drzewo czy skalny wypust. Stok był tu stromy, pozbawiony punktów oparcia dla kopyt, stóp czy choćby dłoni. A także zaśnieżony. Może nawet mocniej niż zagajnik.

Stracił kilka pacierzy, macając piętami tu i tam, sondując różdżką i szukając zejścia. Gdyby nie znalazł, mógłby z czystym sumieniem zawrócić. Znalazł jednak.

Z bliska most wyglądał gorzej: z cienia wychyłyły szczyby po wykruszonych kamieniach, tu i tam zaskrzypiała poluzowana poręcz. Po drugiej stronie, przy południowym brzegu, kawałka balustrady w ogóle nie było. Debren, ostrożnie stawiając kroki, przeszedł po prześle i ukucnął przy kikutach belek. Nie były porąbane - ktoś lub coś je wyłamało. Raczej coś, sądząc po rozmiarach zniszczenia. Brakowało z grubsza dziesięciu stóp barierki.

No i domku mytnika. Powinien tu być. Konstrukcję wzniesiono w czasach, gdy systemy podatkowe jeszcze raczkowały na prowincji i opłaty mostowe uchodziły za jedno z niewielu pewnych źródeł dochodu.

Nadal nie padało, więc mógł podnieść się na duchu, wyławiając spojrzeniem jakieś rumowisko na granicy lasu. Uznał, że to resztki prowizorycznej rogatki, poskanował jeszcze chwilę i wrócił po własnych śladach.

- Daruj, ale to szukanie dziury w całym. W moście, konkretnie. Co z tego, że czarny, śnieg się go nie czepia i że magią trąci? Może ci się to w lelońskim rozumie nie mieści, do bylejakości nawykłym, ale tak właśnie porządne mosty wyglądają. Magia sprawia, że się podróżny bezpiecznie i komfortowo czuje. Czego o waszych mostach, wybacz, powiedzieć nie sposób. O Belnicy - Zbrhl zerknął na dziewczynę - już nie wspomnę. Mostu tam, póki co, nie wynaleziono. Prawda to, kozo, że Belniczanin, w obcych krajach będąc i na most wchodząc, nogawki podwija? Bo mu się przeprawa nieuchronnie z brodem kojarzy? Debren westchnął w duchu. Korzystając z jego nieobecności, Lenda dorwała się do gorzałki, którą przyprawiała jakimiś zmrożonymi grzybami i popijała w charakterze lekarstwa. Efekt był taki jak zwykle: poczuła się lepiej, rzadziej stękała i

częściej dogryzała Zbrhlowi. Nim sprowadził kolumnę na północne przedmoście, zdążyli wbić sobie nawzajem po parę szpil.

- Dość gadania - uprzedził dziewczynę. - Na koń. Most był szeroki, trzy wozy mogły się na nim mijać, o ile woźnice za dużo nie wypili. Ruszyli jedno za drugim tylko dlatego, że Debren się tego domagał.

- I co? - W połowie przesła Zbrhl nie wytrzymał, zatoczył koniem, ustawił się strzemię w strzemię z dziewczyną. - Słyszysz, jak zdrowo kopyta dudnią? Zaprawa jak złoto.

Debren szarpnął wodze. Coś przeszło mu mózg, zarezonowało boleśnie w pobudzonych magią uszach. Martwił się, szykował na paskudne niespodzianki - a i tak dał się zaskoczyć. Zrozumienie przyszło za późno, gdy z ultradźwiękami zlał się gwizd ciętego skrzydłami powietrza.

- Głowy w dół!!! - wrzasnął, podrywając różdżkę i celując w coś czarnego, przemykającego nad balustradą. Zdążył i pewnie by trafił. Gdyby nie koń. Koń, spłoszony czy to okrzykiem, czy łopotem błoniastych skrzydeł, zarzucił zadem, skutkiem czego czar poszedł w niebo. - Nietoperz!!!

- Zdumiałeś, Debren? - Zbrhl oderwał spojrzenie od Lendy w najmniej stosownej chwili, bo właśnie stamtąd nadlatywał napastnik. - Akurat ty się o włosy...?

Lenda, wciąż nadąsana, starała się nie dostrzegać rotmistrza. To ją uratowało. Wychwyciła ruch, zanurkowała ku rękojeści zawieszzonego przy siodle miecza. Nie zdążyła wyrwać ostrza z pochwy, ale przynajmniej pogłębiła skłon, klejąc się do grzywy. Napastnik, równie szybki, skreślił w ostatnim momencie, wyrzucił skrzydła w przód, celując szponami w oczy Zbrhla.

Drugiego, mniejszego, Debren trafił błyskawicą. Niegroźnie - ogień błysnął i zgasł, zdarty z futra pędem powietrza. Pożytek z trafienia był tym bardziej wątpliwy, że spłoszony nietoperz skreślił nagle, a spłoszony Henza, na którego rzuciło

się coś czarnego i wielkiego, poderwał kuszę i wpakował bełt w sam środek maskary.

Debren zaklął, chwycił różdżkę w lewą dłoń, prawą zdzielił konia w ucho. Nie było to zbyt mądre, ale na krótką metę zamierzony efekt został osiągnięty. Wierzchowiec, z którym od samego początku nie bardzo się lubili, zapomniał o pomyśle czmychnięcia z mostu i szarpnął do tyłu łbem, próbując ugryźć jeźdźca.

Przez chwilę stali bokiem do osi mostu. Debren, nie nadwerężając kręgosłupa, mógł przymierzyć się porządnie, a przy okazji ocenić sytuację.

Niedobrze. Zbrhl, schylając odruchowo głowę, zamiast po oczach dostał pazurami po hełmie. Zachwiał się w siodle i popełnił poważny błąd, próbując równocześnie łapać zdarty z głowy kapalin i wiszący za kulbaką berdysz. O dziwo, udało mu się - ale kosztem uzdy, dla której zabrakło rąk. Jego koń był drugim, który w krytycznym momencie pozostał zdany na siebie.

Pierwszym był luzak dźwigający baryłkę i resztę dobytku. Zwierzę, podobnie jak Henza, fatalnie zareagowało na widok nietoperza. Najpierw skoczyło w bok, waląc piersią w balustradę, potem dostało po zadzie trupem błono-skrzydłego, którego bełt przyszpilił do baryłki, a na koniec, spanikowane do reszty, wpadło na gniadosza Lendy.

- Łajno i kał!!! - zaryczał rotmistrz, sięgając po uzdę i kreśląc szeroki łuk potężnym toporem. Trzeci nietoperz wywinął się sprytnie, przeciągnął pazurzastą nogą po końskim pysku i znikł w mroku. Berdysz, chybiwszy o włos, trzasnął w baryłkę, zgruchotał połowę klepek, ugrzązł.

- Lotnik, kryj się!!! - wydarł się ponieważ Henza. Mróz musiał być słabszy, niż Debren sądził. Względnie piwo warzyli w Lonsku lepsze, niż twierdził Zbrhl. Rozrąbana beczka zemściła się na rotmistrzu, eksplodując mu w twarz kulą piany - W bardzo niedobrym momencie.

Prawdziwe uderzenie spadło na nich dopiero teraz. Kiedy koń rotmistrza hamował zadem na balustradzie, łamiąc belkę, luzak szarpał się, uniemożliwiając Zbrhlowi oswobodzenie żeleźca, a gniadosz Lendy stawał dęba.

Coś, co nadleciało wzdłuż drogi, zza pleców Henzy, było dużo większe od nietoperzy. Jeśli pominąć skrzydła, miało gabaryty młodego byczka - tyle że nie bardzo się dało owe skrzydła pomijać: rozpościerały się szerzej niż most, na dwa sążnie w każdą stronę.

- Legnij!!! - wrzasnęła Lenda. - Z konia, Henza!!! Henza legł. Po tym, jak lewa łapa stwora grzmotnęła go w przewieszoną przez plecy tarczę. Potwór zdawał się celować w kawałek odsłoniętego ramienia, ale w ostatnim momencie jakby zmienił zamiar. Nie potrafił latać po ciemku z nieomylną precyzją nietoperzy, ale jego oczy były oczami orła. Wypatrzyły czarodzieja dostatecznie wcześniej, by stwór skorygował plany.

Debren zdążył oswoić się z odziedziczoną po mistrzu Hanusie różdżką i poćwiczyć po drodze. Gdyby potwór nadleciał ze wschodu, zachodu lub południa, walka skończyłaby się równie szybko, co spektakularnie: wybuchem, kulą ognia, deszczem palonego pierza. Może też martwym magunem: od początku było jasne, że bestia do delikatnych nie należy i Debren natychmiast zdecydował się na użycie całej dostęp<sup>ne</sup>J mocy.

Ale cholernik mknął tuż nad głowami ludzi i najdrobniejszy błąd...

- Zbrhl! - Słyszał krzyk Lendy jak przez zatyczM z woskowych kulek. - Z lewej! Tnij!

Jeszcze tylko chwila. Zrób coś, dzuma i syfilis, zrób coś, jesteś czarodziejem, potrafisz, to marne dziesięć sążni, a różdżka niesie jak kusza z Genzy...

Trzymał ją idealnie na celu, bo koń jakimś cudem zastygł, przestał polować na jego łydkę. Wystarczyło jedno zaklęcie.

Nie potrafił.

Zbrhl, który też nie potrafił, puścił drzewce berdysza, przeciągnął przedramieniem po zalanych piwną pianą oczach, zamachnął się, cisnął kapalinem jak starożytny Illeńczyk dyskiem. Hełm, gubiąc warstewkę śniegu, pomknął ku wielkim, okrągłym ślepiom...

...i znikł. Dzięki czemu Debren miał okazję przekonać się, że głowę, choć ptasią, potwór ma dostatecznie dużą, by pomieścić dziób, który z kolei pomieścił solidny, obłężniczy hełm z niemałym rondem.

Na szczęście gardło musiało być węższe. Napastnik przełknął odruchowo, ale wyraźnie go to zdekoncentrowało. Względnie rozochociło: Debren nie wiedział, czy haczykowany dziób trafił luzaka, nie zaś któregoś z ludzi dlatego, że bestia spudłowała, czy też był to świadomy wybór. Na korzyść straszdyła jako rozważnego wojownika przemawiał fakt, iż zgarnęło akurat to, co warto było zgarnąć. No i rozbiło całe centrum ludzkiego ugrupowania.

Gdy stwór wyrównał, przechodząc do lotu poziomego i mknąc wprost na maguna, w jego dziobie połyskiwała kasetka, w której rotmistrz przechowywał gotówkę, Lenda wraz z gniadoszem waliła się na brukowaną jezdnię, a koń Zbrhla, rżąc rozpaczliwie, wyłamywał zadem balustradę i zaczynał znikać w przepaści.

Dopiero wtedy Debren posłał czar. Błyskawicę. Nie odważył się użyć czegoś mocniejszego.

Oczywiście trafił. Wielki cel, blisko. Poza tym wylądowanie, przedłużone w czasie, dało sobą łatwo kierować. Nic dziwnego, że ugodziło potwora w łeb. Debrena nie zdziwił także umiarkowany efekt. Błyskawica to tylko błyskawica, daleko jej do pioruna kulistego.

Orłogłowy, mieląc chaotycznie czwórka masywnych, bardzo kocich i bardzo pazurzastych łap, zakolebał się, zaskrzeczał, odbił nieco w bok. Rozbłysk, a może także wyszarpięte z



głowy pierze musiały go oślepić, bo spudłował, mijając się z przeciwnikiem o parę stóp. Debren, chłaśnięty przez twarz jedynie pędzlopodobnym końcem ogona, oślepił chwilowo na prawe oko, lecz utrzymał się w siodle. Zdołał nawet wysłać mały piorun, ale już przez ramię, trochę na ślepo, zaś odrobinę wcześniej pasiaste cielsko zderzyło się z balustradą i zapikowało pod most wraz z wyłamaną belką. Kula skondensowanej energii trafiła właśnie w nią i choć belka eksplodowała w pięknym rozbłysku, skrzydlaty ocalał.

Lekko pokłuty odłamkami, z sierścią tłącą się tu i tam, pomknął wzdłuż koryta żlebu. Jeszcze przez chwilę było go widać, ale Debren nie miał czasu posyłać za nim kolejnego pioruna.

Koń rotmistrza wciąż żył i kwiczał, ale robił to w coraz szybszym locie - pod mostem musiało być mnóstwo wolnego miejsca. Dla wszystkich stało się jasne, iż uczepony końca berdysza Zbrhl nie drzewca tak naprawdę się trzyma, a swej ostatniej szansy.

- Przez łeb go, Lenda! - Jedno sprawne oko wystarczyło Debrenowi do oceny sytuacji. Nie była skomplikowana: berdysz tkwił w baryłce, ta trzymała się grzbietu luzaka, a luzak, przyciśnięty zadem i szyją do kikutów dwóch słupków, leżał na brzuchu zastępując sobą brakujący fragment barierki. Póki leżał, wszystko było dobrze: jedyna zwisająca z mostu noga nie mogła pociągnąć go ku zgubie. Zbrhl, choć w zbroi i na długim ramieniu berdysza, też nie mógł. Ale sam koń już mógł. I właśnie to robił.

Wstając.

Debren nie był pewien, co go wypchnie za krawędź mostu: jego własna panika, panika gniadosza Lendy, który też leżał, tyle że na boku, i wierzgał bez sensu - czy po prostu prawa natury, mówiące, że przy takim rozłożeniu ciężarów i takiej, a nie innej przyczepności trzech podków do bruku cały układ musi runąć w przepaść. Może nie od razu, ale właśnie to

przerażało najbardziej.

Bo do układu należało doliczyć i gniadosza Lendy, powiązanego z luzakiem liną, i samą Lendę.

Dziewczyna upadła nieźle jak na kogoś, kto miał pękniętą rzepkę lewego kolana i dziurę po strzale nad kolanem prawym. Udało jej się uniknąć przygniecenia, no i zwała się od strony grzbietu, gdzie nie groziło jej kopnięcie. Ale nogi zostały w strzemionach, i to wplątane tak paskudnie, że bez noża nic się nie dało zrobić.

Noża oczywiście nie było. I czasu też.

- Pchnij! - Debren zeskoczył z siodła i ruszył biegiem. - Bo wszyscy zginiecie!

- Nie! - W jej głosie było tyle protestu, że przez chwilę widział oczyma wyobraźni odrzucany miecz. Padając, nie zapomniała o nim: nadal tkwił w dłoni. Jak przyklejony.

On też czuł się jak przyklejony. Do mostu. Do miejsca, z którego przyszło mu biernie obserwować to, co się rozgrywało ledwie kilkanaście kroków dalej.

Za daleko. Zanim zrobił trzy kroki, dopadł go nietoperz.

Jak na nietoperza - choć mutanta - przystało, bestia celowała we włosy. Debren nigdy nie wierzył, by nietoperze były aż tak głupie, ale chyba coś z prawdy musiało tkwić w ludowych bajaniach, bo choć czapka zawieruszyła się już wcześniej, a opalona w trakcie transferu głowa świeciła zniechęcająco, zwierzę spróbowało szczęścia. Zyskało trochę krwi na pazurach. Debren zdążył przykucnąć, ochronić oczy, machnąć na oślep różdżką. Trafił, ale bez wielkiego pożytku, bo różdżka, kiedy nie puszczało się przez nią mocy, była mniej zabójcza od szkolnej dyscyplinki. Nietoperz wydał szyderczy pisk i zanurkował, wczepiając się czworgiem kończyn w plecy maguna.

- Lenda!!! Przez łeb!!!

- Nie!!!

Zęby, ostre jak igły, wbiły się w pośladek Debrena. Zabolalo,

lecz nie dlatego podjął desperacką decyzję i runął plecami na bruk. Ból mógł znieść, ale nie był w stanie powstrzymać dobrze zakotwiczonego potworka od sięgania tylnymi kończynami ku oczom. To znaczy owszem, mógł, tyle że używając obu rąk. Ale te były mu potrzebne.

Drugi nietoperz mignął nad splątaną kupą ludzi i koni, zanurkował za barki rotmistrza. Zbrhl ryknął, osunął się na sam koniec drzewca. Lenda, nie wypuszczając miecza i omal nie obcinając nim sobie ucha, szarpała się z łbem luzaka. Koń, spieniony i obłąkany ze strachu, robił, co mógł, by odgryźć jej drugie ucho. No i, nade wszystko, wstać. W obu przypadkach niewiele mu już brakowało.

- Zabij go!!! - wrzasnął Debren, przetaczając się z jednej łopatkii na drugą i próbując szybko pogruchotać nietoperzowi możliwie wiele kości. Coś faktycznie strzeliło raz i drugi, ale mutant był wielki jak indor i robił swoje, ignorując wysiłki człowieka.

- Nie!!! Życie mi ocalił!!! - Lenda, może nie mogąc użyć rąk, może z zemsty, sama złapała w zęby końskie ucho.

- Poniechaj! - zadudnił dziwnie stłumiony głos rotmistrza. - Debren praw! Siebie ratuj!

- Koń?!! - wrzasnął Debren, omal nie wydłubując sobie lewego oka końcem różdżki.

- Zbrhl! - odwrzasnęła Lenda. Koń, ucieszony z uwolnienia ucha, zdołał wreszcie poderwać zad. Opleciona wokół jego szyi dziewczyna trzymała go jeszcze nisko tylko dzięki zakotwiczonej w strzemieniu nodze. Ale to już niewiele zmieniało. Styk ciała i bruku zmalął, zwierzę zaczęło się zsuwać ku krawędzi przęsła.

- Słucham! - zahuczał rotmistrz.

- Kretynka!!! - Debren, któremu czar chyba wyszedł, na chwilę oślepl, więc ryknął sobie zdrowo, wypychając z płuc jeden ból i dwa różne strachy. Ten o Lendę i ten o oczy. - Konia w łeb!!! Nie Zbrhla!!!

Nietoperz darł mu boki pazurami, próbował przepchnąć nogę pod ramieniem, sięgnąć prawego oka. Lewe oko eksplodowało purpurą, zadygotało w oczodole.

- Dzięki, Debren! - dobiegł z oddali okrzyk Zbrhla. Potem zakwiczał koń. Krótko, ale tak, że słyhać go było pewnie na belnickiej granicy.

Debren zaczynał widzieć. Świat wyglądał dziwnie. Niebo posiniało. Gniadosz Lendy zrobił się żółty, z plackami pomarańcza w środku, a Lenda pomarańczowa, czerwona, a miejscami aż wiśniowa od buchającego z niej ciepła. Ciepłejsze od jej odkrytej głowy było tylko to, co tryskało z szyi wierzgającego w agonii luzaka, ale widzenie w termowizji miało tę zaletę, że krew nie szokowała przez kontrast z innymi barwami i Debren nie stracił paru momentów na odsuwanie od siebie myśli, że to dziewczynie się tak paskudnie dostało. Mógł przeczesać okolicę wzrokiem i skupić się na tym, co najistotniejsze. Na potworze.

Znalazł go szybko. Skrzydlatemu wyraźnie zależało na czasie, bo nie bawiąc się w zaskakujące manewry, nadleciał z tej samej strony, gdzie przedtem znikł. Mknął nisko z zamiarem skopiowania pierwszego ataku. Błąd.

Debren, podrzucając biodrami i waląc się na wczepionego w plecy nietoperza, zyskał chwilę spokoju. I wykorzystał ją, posyłając piorun kulisty na spotkanie orłokota.

Trafił nieźle. Ognista kula rozbłysła poniżej piersi, więc choć w przypadku kuszy byłby to ostatni strzał w karierze kusznika, niefortunny myśliwy umierałby z podnoszącą na duchu świadomością, iż bełt wykastrował jego zabójcę. Piorun, jako nieporównanie skuteczniejszy, powinien załatwić napastnika równie gładko jak przy trafieniu w pierś. Albo i lepiej - wiele podręczników, traktujących o zwalczaniu potworów, zalecało wręcz, by dać sobie spokój z rycerskimi odruchami i walić po przyrodzeniu.

Orłokocur przetrwał, bo był sprytniejszy, niż się magunowi

wydawało. Zarzuciło nim na las, nałamał z tuzin ośnieżonych czubów jodłowych, zgubił piór na dobrą pierzynę i, gardłując trwożliwie, odleciał w siną od termowidzenia dal - ale przeżył. To, w co trafił piorun i co spadało teraz na most, musiało być dużym głazem, gdyż odłamki bębniły o przeszło na całej jego długości. Właśnie rozgrzany do czerwoności - fakt, że w termowizji - okrucuch zdzielił konia Debrena w zad i sprawił, że wystraszone zwierzę pocwałowało w głąb puszczy. Inny kamień ugodził wczepionego w Zbrhla nietoperza. Debren usłyszał bolesny pisk i coś pokraccznego, ciężko pracując skrzydłami, odleciało śladem orłokota. Choć jakby nie całe.

- Łajno i kał!!! - ryknął gniewnie, ale też jakoś bardziej dziarsko rotmistrz. Był już o stopę wyżej, a kiedy Debren sięgał różdżką za plecy, wielkie łapsko zaciskało się już całkiem wysoko, na upręży konającego konia.

Widać było, że się wygramoli, że przeżyje. Pewnie dlatego w głosie Lendy pojawiły się znajome, nasączone kpina i jadem nutki.

- Nie przesadzaj, Zbrhl. Jaki kał? Oszczął cię jeno na pożegnanie. A tak w ogóle to nie wiem, o co się piekiesz. Toć na morvackim moście jesteście. Komfortowym i bezpiecznym jak ciężka cholera.

- Coś o drodze - powiedział niepewnie Zbrhl. - Jakby: Droga, z której się nie wraca? Za krótko świeciłeś.

- Chyba cię te nietoperzowe szczyiny szczypią w oczy - rzuciła z kulbaki zakatarzona i bulgocąca przez nos, ale nadal napompowana adrenaliną Lenda. - To w bajce było, przez mistrza Dyszana z grodu Barka spisanej. W Siedmioksięgu o wiedźminie Geralcie. A tu mamy realny drogowskaz, na którym stoi jak wół, że cię obrzygać mogą. - Uniosła głowę, zerknęła w niebo. - Ha, pięknie! Droga, na którą się zwraca. Ktoś się, widzę, tak jak my na owe latające paskudy naciął. Zaraza, że też takie plugastwo bezkarnie nad gościńcem hasa... Rozumiem: zbóje. Rozumiem: wysys leśny. Ale żeby z

lotu, bronią biologiczną, co to jej nawet wojsku stosować nie wolno...

- Bronią? - zaniepokoił się Zbrhl. - Biologiczną?

- A myślisz, że po co ktoś tabliczkę wieszał? Przecie nie dlatego, że jakimś pijanemu woźnicy żołądek puścił. Ani chybi, przed owymi paskudnikami ostrzegają.

- A po mojemu - wystękał przypięty do pawęży i zawieszony między parą koni Henza - o to idzie, że się tu wykopyrtnąć łatwo. Znaczy się: wywrócić.

Lenda westchnęła, zmarszczyła łuki brwiowe, z których kielkowały odrastające włoski. Próbowwała przebić wzrokiem mrok, odczytać koślawy napis.

- Debren? - zerknęła niepewnie. - Dalej masz te widzenia? No, te pogańskie, z Wezyratu?

- Termo - poprawił ją Zbrhl. - Nie temmowizje, jeno termowizje. Z ową antyfeminiczną wiarą nic to wspólnego nie ma. Nawet na odwrót - wyszczerzył zęby. - Co, Debren? He, he...

- Debren? - Wyczuła, że coś jest nie tak. - Czego on tak rechoce?

- Bo mi się - wyręczył maguna rotmistrz - przypomniało właśnie, do czego jeden czarodziej znajomy tego ciepłego widzenia używał. Ech - westchnął - miał chłop używanie, oj miał...

- Dość - mruknął Debren. - Za długo potrwa, nim oczy do porządku doprowadzę. Co by na desce nie było, musimy iść tą drogą. Koń - trącił stopą odcisk kopyta - daleko nie ucieknie, Henzy nie wolno trząść, a was trzeba w ciepłe umieścić, bo mi tu zapaleniem płuc zajężdza.

- Szczyny nietoperzowe płuca palą? - wymruczała niby to do siebie Lenda. Zbrhl zasapał, z braku lepszego konceptu raz jeszcze huknął obuchem berdysza w słup drogowskazu. Po pierwszym stuknięciu śnieg opadł, odsłaniając wszystkie trzy tabliczki. Te porządne, wskazujące szlaki do Rumperki i Złotej

Skarpy, oraz trzecią, nad którą dyskutowano i która wycelowana była ku belnickiej granicy. Teraz, pod wpływem wstrząsu, przestała celować i opadła wyostrzonym nosem ku ziemi.

- A ty lepiej milcz. - Debren posłał dziewczynie pochmurne, lecz dziwnie krótkie spojrzenie. - Nie Zbrhl, ale ty już dawno pod pierzyną powinnaś... Cała aż płoniesz.

- Pierzyna. - Na twarz rotmistrza powrócił przewrotny uśmiech. - Płoniecie. No, no, mistrzu...

- Debren? O czym on...?

- O niczym - uciął. - Wstrząs bezpałowy. Przestań gadać, Zbrhl, a zacznij się rozglądać. Krwią na milę śmierdzimy, czort wie, kogo jeszcze ów zapach gotów zwabić.

- Czujesz, jak krew...? - Lenda poruszyła się niespokojnie w siodle, pokraśniała. Tak naprawdę była zbyt zziębnięta, by nawet przy świetle dziennym dało się dostrzec coś więcej niż błydy rumieniec, ale przywracanie oczom stanu normalności trwało znacznie dłużej niż zakładanie zakłęcia i Debren nadal widział nie to, co powinien. W dodatku niewyraźnie: rozdzielczość spadła o rząd wielkości i świat, choć przyjemnie kolorowy, wyglądał jak oglądany zza okiennej błony.

- Eee... użyłem przenośni. - Czuł, że nie uwierzyła. - I wiedzy książkowej. Gdzieś czytałem, że drobną ranę taki na przykład wysys z odległości...

- Mistrzu - przerwała mu oficjalnym tonem - moglibyśmy dwa słowa na osobności?

- Nie. - Kłopoty ze wzrokiem miały tę dobrą stronę, że nie widział jej twarzy. Stać go było na lekką opryskliwość.

- Ale ja usilnie nalegam - powiedziała z naciskiem.

- Pogadamy, jak znajdziemy kawałek dachu nad głowy.

- A jak nie znajdziemy? Do usranej śmierci możemy szukać!

- To może przynajmniej konia złapiemy. Przesadzi się ciebie, oddalimy się samotrzeć, ja, ty oraz koń, i pogadamy na

osobności. Jak długo zechcesz. Chyba że i obecność konia ci przeszkadza. Wówczas rozmowa musi być krótka, bo nie sędzę, byś długo potrafiła na gałęzi wisieć.

- Na gałęzi? - zainteresował się, chyba w imieniu wszystkich, Zbrhl. Ale tylko on wyszczerzył zęby. - He, he... Coś mi się widzi, że faktycznie na popas migiem musim stanąć. Bo was srodze potrzeba dusi. Oboje. - Oboje otwierali usta w zgodnym proteście, nie dopuścił ich jednak do słowa. - Bez konfuzji, gołąbeczki, żaden to srom. Żołdak jestem, a żołdak pod pewnymi względami subtelniejszy od zwykłego zjadacza kaszy bywa i wie, jak mocno się w człeku natura odzywa po rąbaninie srogiej. Normalne to, że się w człeku potrzeba prokreowania budzi, gdy mu kostucha ostrzem koło łba powywija. Zresztą nie ludzi jeno to dotyczy. Pomnę, jak raz bez łupów po bitwie zostałem, bo mi się ogier, mać jego chędożona, tak juchy nawąchał i strachu, że za pierwszą kobyłą skoczył i dwie mile gnał, nie zważając na ostrogi i w łeb walenie. Dobrze choć, że kobyła była drakleńska, znaczy strony przeciwnej, bo by mnie jeszcze pod sąd dali, że niby z placu umykam. A tak to jeno się insze kondotierstwo śmiało, że durny Zbrhl za marną szkapą pogonił, bez jeźdźca nawet i z czaprakiem lichutkim, podczas gdy rozsądni ludzie trupy jako się godzi obdzierali.

- Order żeś dostał - wystękał z za dziewczęcej nogi Henza. - Za zajadłość w ściganiu wroga. Ale fakt - przyznał. - Miedziany. Goły honor, bez zysku.

- Ta dyskusja - rzucił sucho Debren - na manowce zbacza. Nie o sromie Lendy... znaczy... Tfu, dzuma... Zamieszaliście mi we łbie tymi banialukami. A po prostu Lenda nie powinna chodzić w najbliższym czasie. Henza nie powinien być to troczony, to odtraczany spomiędzy koni, bo z kręgosłupem nie ma żartów. Ja nie powinienem dźwigać Lendy, bo mi się rany... no, w plecach pootwierają. Stąd się temat gałęzi wziął, Zbrhl, a nie z jakichś tam... Proponuję więc kwestię zamknąć.



Bo się jeszcze zdarzy, że w zapale dyskusji ktoś tu zostanie zapytany, czemuż to, do cholery, miłowanie mu się z wieszaniem kojarzy.

Miał nadzieję, że uciszy Zbrhla. Rotmistrz jednak, choć żołdak z krwi i kości, okazał się nie dość subtelny.

- A bom wspomniał, jakieś tę młódkę, baronównę Ronsoise, w kwestii miłowania antypodowego uświadamiał.

Debren zaklął w duchu i obiecując sobie, że nie otworzy ust przed świtem, ruszył drogą, z której się nie wracało. Albo na której się zwracało. Względnie wywracało. Nie zamierzał sprawdzać, która wersja jest prawdziwa. Mógł spróbować jeszcze raz z kulką magicznego światła, ale wolał nie ryzykować. Lenda, zamiast biedzić się nad runami, mogła wykorzystać blask i zajrzeć mu w twarz. Już teraz wlepiła wzrok w jego plecy. Czuł go równie wyraźnie, jak pamiątki po pazurach nietoperza.

Na szczęście wzięła przykład z czarodzieja i zasznurowała usta. W głuchej ciszy, zakłócanej jedynie skrzypieniem śniegu i poszczekiwaniami broni, krótka kolumna dwóch pieszych i dwojga pokieroszowanych na związanych w parę koniach zanurzyła się w puszczy.

Obejście nie wyglądało na sadybę kmiecia odludka, leśniczówkę czy domek myśliwski wielmoży. Belka konowiazu, choć złamana, była na to za długa, koryta, mimo iż większe zarosło, stały przed gankiem aż dwa, a studnia miała nie tylko zadaszanie, lecz i wygląd małego domku. Mimo mroku, spowijającego otoczone lasem budynki, widać było, z myślą o czym je wzniesiono.

- No, chwała Machrusowi. - Zbrhl bez wahania porzucił trakt. - Bo już mi w żywocie na wiór zaschło. Hej, panie oberzysta! Sam tu! Goście walą!

Póki co, odpowiedź ograniczyła się do szelestu. Ogromny płat śniegu oderwał się od stromizny dachu i osunął na bardziej poziomy daszek ganku. Debren chciał coś powiedzieć

- ale nie zdążył. Rozległ się przeciągły, wilgotny trzask i spora część gankowego zadaszania wraz ze śniegiem wyładowała dwa sążnie niżej, na podeście.

- Pięknie - wychrypiała skulona w siodle Lenda. - Jedyne dach w okolicy, to go wziął i rozwalil, buhaj morvacki. Dobrze choć, że nikt tu nie mieszka, bo...

- A pójdziesz won, potworo! - dobiegł z wnętrza budynku stłumiony niewieści okrzyk. Tłumiły go raczej okute okiennice niż nieśmiałość i łagodność. - A żeby ci jajca zgniły! Ty kurzysynu, na grzędzie robiony! Jak wyjdę, wyrznię w tę mordę dziobata...!

Zbrhl zatrzymał się, odruchowo ściągnął berdysz z ramienia. Debren, nadal zmagający się z termowidzeniem, zauważył, że seria obelg bynajmniej nie spłynęła po nim jak śnieg po dachu.

- Coś powiedziała, babo?! - huknął, czerwony z gniewu. - Matkę mi obrażasz? Łajno i kał, odszczekaj to zaraz, bom nowoczesny i postępowy! Babie równie łatwo mogą przylać jak chłopu!

W domu zrobiło się cicho.

- Uważajcie! - rzucił szeptem unoszący się niezdarnie Henza. - Niech mnie bełty biją, jak to nie wiedźma borna! Zwykła baba takich ślepi mieć nie może!

Lenda, niepewna skuteczności pasów, przydeptała mu stopą pierś, przytrzymała na pawęży-kołysce. Nie miała daleko: tarczę zamocowano między gniadoszem, którego dosiadała, a utykającym koniem Henzy.

- Leż - warknęła. - Gorzej z tobą, niżem myślała. Gdzie tu wiedźmę widzisz? Że o oczach nie wspomnę...

- Zbrhlowi dużo dziobów po ospie nie zostało, a wszystkie pod brodą! - rzucił w podnieceniu, znów próbując usiąść. - I w dzień nie ujrysz, a cóż dopiero... Czary to! Podaj mi kuszę!

- Wiedźma nie wiedźma! - machnął berdyszem Zbrhl. - Ja się tam baby nie ulękne! Słyszysz, starucho?! Dalej, wyłaż! Z

miotłą, na miotle... jak ci tam wola! Juzem się z lataczami-paskudami oswoił, niestraszne mi! Stawaj!

- Zbrhl...

Zgrzyt rygła przerwał Debrenowi. Na ganek wyszedł nieduży mężczyzna w kozuchu narzuconym na nocną koszulę. Wyglądał osobliwie w rycerskiej łebce z nosalem nałożonej na szlafmycę, boso i z halabardą. Z tyłu świecił kaganek i nawet osłabione oko odczytywało wyraz twarzy gospodarza. Bał się.

- Poniechajcie nas, dobrzy ludzie - rzucił stłumionym głosem. - Dobrze radzę. Bo nic nie zyskacie, a stracić możecie. Mój młodszy w ołomuckich łucznicach konnych służy, zaś pierworodny na potwory chadzał. To się i na sztuce wojennej wyznaję. Nie mówię, że wszystkich rozłożę, ale połowa waszych legnie, jakem Vysedel. Więc porachujcie sobie, czy wam się zwada kalkuluje.

Zbrhl odczekał uprzejmie i dopiero gdy stało się jasne, że halabardnik skończył, od niechcienia, jedną ręką, machnął na krzyż swym dwuręcznym berdyszem. Debren wyłowił dźwięk z trudem przełykanej śliny. I kobiece westchnienie, ciut dalej. Najlepiej, rzecz jasna, słyszać było świst rozcinanego powietrza.

- Ołomucka konna - oznajmił Zbrhl. - Gówniana jest, to po pierwsze. Jakeście syna pod taki marny znak dali, znaczy, że taki z was wojennik, jak ze mnie harfistka. To po wtóre wam rzeknę. Zaś po trzecie...

- ...to połowa naszych już legła - wszedł mu w słowo Debren, puszcżając uzdę gniadosza i ruszając ku oberży. Kobieta, wyglądająca zza ramienia Vysedela, uniosła kaganek. - Tedy wybacżcie, że wam spoczynek zakłócamy, ale bieda nas przydusiła. Tych oto dwoje naszych towarzyszy rany odniosło. Pan rotmistrz wrzasnął ciut za głośno, bo przemoczony, a mróz okrutny. Tedy się imć Zbrhl pokrzykiwaniem rozgrzewa. Nie było jego zamiarem rujnowanie daszka. Wobec czego proponuję tu obecnym, by broń odłożyli i porozmawiali

spokojnie, jak na cywilizowanych ludzi przystało. Średniowiecze wszak mamy, epokę nowoczesności, tolerancji i szacunku okazywanego bliźnim. - Minał rotmistrza i trochę się rozczarował, widząc unoszoną ostrzegawczo halabardę. - No i rozsądku ekonomicznego. Widać, że z was człek światły, panie oberżysto. O rachowanie apelujecie, to i sami porachujcie, czy warto gości żelazem witać.

- I od kurew rodzicielki wyzywać - dorzucił Zbrhl.

Debren zatrzymał się przed schodkami na ganek. Blisko halabardy. Pierwszą nagrodą za podjęte ryzyko stał się podmuch ciepła na sztywnej od mrozu twarzy.

Kobieta wyszła zza pleców męża. To jedno Debren zrozumiał natychmiast: że są małżeństwem. Miała w twarzy dokładnie taki sam jak on rodzaj strachu - o kogoś bliskiego. No i dotykała go cały czas, nawet kiedy wysunęła się do przodu, unosząc kaganek.

- To dziewczyna? W portkach?

- A co? - doleciało z mroku zaczepne, choć łamane katarem i chrypą pytanie. - Nie widzi się wam nowoczesna moda? Tu, na prowincji zapyziałej, wczesnowiecze jeszcze kwitnie, co? - Słysząc było, że Lenda zamierza pociągnąć wywód, ale na szczęście gardło zawiodło, zaczęła kaszleć i ograniczyła się do splunięcia. Debren dopatrzył się w oczach gospodyni czegoś zbliżonego do rozbawienia.

- Do nieporozumienia doszło - powiedziała głośno i odrobinę wyzywająco. - Wzięłam was za kogoś innego, panie... po tym narzędziu sądząc: drwału. Wybaczcie. Nic do waszej matki nie mam. No, może poza tym, że mogłaby dzieci lepiej wychowywać. Choć do lasu chowała.

- Petunko... - jęknął oberżysta.

- Co: Petunko? - Już całkiem pewna swego, ujęła się pod boki. Debren stwierdził mimochodem, że jak na niewiastę w sile wieku ma zaskakująco zgrabną figurę pod nocną koszulą. Sama koszula, nie zakrywająca nawet kolan, utkana z czegoś

cienkiego i delikatnego, też zaskakiwała na leśnej babie. - W gościnę się proszą, to ich jak gości traktuję! I prawdę w oczy mówię, jak to mam w zwyczaju! Nie ucz mnie prowadzenia oberży, bom to ja, nie ty, z mlekiem matki ów fach wyssała!

- Szkoda - rzucił Zbrhl - że dziecię przy cycku mając, matula tyle ogórków, kapusty i inszej kiszzeniny żarła.

Przez chwilę wszyscy gapili się na niego zdeorientowani. W końcu ciszę przerwał zdziwiony głos Henzy:

- Toć baby nic innego jeść nie chcą, gdy im żywot za sprawą dzieciątka rośnie. Zapomniałeś, jak cię Zdrenka po małosolne ganiała, przy nadziei będąc?

Rotmistrz pociemniał. A może pobladł - Debren, nadal nękany termowidzeniem, nie miał pewności.

- Nie porównuj Zdrenki z tą... - Zaskoczył maguna, gryząc w porę język. - Mojej Zdrence miód z serca i ust płynął, a nie kwasy i jady, jako co niektórym! Co za okolica parszywa, łajno i kał! Gdybym nie wiedział, żeśmy już w morvackim królestwie, przysięgłbym, że mi się następna pyskata Belniczanka trafiła! Nietoperze, potem jakiś dziobaty latawiec, teraz ta kłatwy na przyrodzenie rzuca! Co się z tym krajem porobiło, na miłość machrusową?!

- Nietoperze? - Oberżysta znów przełknął ślinę.

- Latawiec? - Gospodyni, jak na swój ubiór i grudniowy mróz przystało, owinęła się nagle ramionami.

- Gryf - mruknął Debren, śląc krótkie spojrzenie w dół, gdzie tonęły w śniegu bose stopy kobiety i gdzie połyskiwały na kostkach przyjemnie krągłych nóg bliźniacze złote łańcuszki. - Pręgowany, z łbem orła. Wydaje mi się - dokończył wolniej, zaglądając gospodyni w oczy - czy coś wam to mówi?

Nie od razu odpowiedziała.

- Jak już was przygnało, to włączcie do środka. Było nie było, to nadal oberża.

Vysedel, oddychając z nieskrywaną ulgą, oparł halabardę o

ścianę, otworzył szerzej drzwi. Może wypuścił więcej światła, a może po prostu z oczami Debrena było lepiej. Tak czy inaczej, dopiero teraz magunowi udało się odczytać zawieszony nad wejściem szyld. Dziwny.

Oberża nazywała się: „Gdzie księżniczek brak cnotliwych”.

Z ganku wchodziło się do zastawionej stołami izby. W porównaniu z mrozem na dworze było tu dość ciepło, a bielony piec po lewej i kominek po prawej stwarzały szansę na ciepło bez porównań, ale Debren skierował się na piętro. Oblężniczą pawęż z leżącym na niej Henzą dźwigali we trzech, więc nie przewidywał kłopotów. Oberża, choć stara, zbudowana została z rozmachem i stopnie były szerokie, pomyślane na duży ruch.

- Pustawo - zauważył na zakręcie schodów.

- Kiedyś kwitł tu interes - westchnął Vysedel. - Ale od jakiegoś czasu mamy... jak jej tam, suce...? A, recesję.

- No, to wiele wyjaśnia - zahuczał idący z tyłu, więc ukryty pod tarczą Zbrhl. - Nic tak interesu nie psuje jak religia w nadmiarze. W moim fachu też z tym problemy mamy. Wam dewoci gości płoszą, a od nas chcą...

- Mistrz Vysedel o recesji, nie procesji mówi - przerwał mu Debren. - Zdjąłbyś ten kolczy kaptur.

- Eee, jaki tam mistrz... - Vysedel posmutniał jeszcze bardziej. - Dyplomu partacza ledwie się dorobił, a i to korespondencyjnie. - Westchnął. - Srodze nas owa recesja przydusiła. Na nic grosza nie ma. No i wyjechać nijak.

- Tako bywa wśród przedsiębiorców - mruknął niewesoło rotmistrz. - Pomnę, jak raz trzy lata z rzędu mór jakiś umysłowy na władców był padł i nikt z nikim nie wojował. Od barona wzwyż same, łajno i kał, pacyfisty. Tom mało z głodu nie zdechł. A nasz jedyny...

Nie dokończył. Weszli na poddasze, w głęboką czerń. Debren szedł po omacku, mając przed oczami białą od śniegu i bladą z urazy Lendę. Na jego stanowcze żądanie została

przed gankiem, w siodle. Gdy odwiązywali pawęż, przyjął, że gospodyni dotrzyma jej towarzystwa. Zawiódł się: Petunka Vysedelowa, może zziębnięta, a może skrępowana połowiczną nagością, znikła za kuchennymi drzwiami, nim zdążył zaprotestować.

Dżuma i syfilis. Wypatrywał pierwszej ludzkiej siedziby niczym rozbitek wyspy; wydawało mu się, że chwyci Boga za nogi... Marzenie się ziściło, a on, zamiast miękkiego blasku, znajdzie w oczach Lendy twardość i chłód.

- Coś rzec miałem... - Było za ciemno, by stwierdzić, czy oberżysta marszczy z wysiłkiem czoło, ale odgłos wspomagania pamięci drapaniem się po kudłatej głowie nie budził wątpliwości. - Psia jucha, na końcu języka to mam... Dopiero co mi Petunka... - Przestał się czochrać, wymacał skobel. - Tędy, wielmożny panie. Widzi mi się, że ten alkierzyk najlepszy będzie. Mały jest, ciasny...

Debren, któremu w połowie schodów wrócił normalny wzrok, ruszył przed siebie - i grzmotnął czołem w belkę. Porządnie, aż mu się gwiazdy pokazały. Nie upuścił swego rogu tarczy tylko dlatego, że zaklinowali się przy skręcaniu w wąskie drzwi.

- O, już wiem! - ucieszył się Vysedel. - Miałem rzec, by na głowy uważać. Nasza oberża zabytkowa jest, ze wczesnowieczna jeszcze, a wiadomo, że wtenczas ekonomia marnie przędła i z ludzi kurduple byli. To i ciut tu przynisko dla współczesnego człeka, co nieraz i sążeń z górą mierzy. Wy, przykładowo, panie... no, panie cywil, musicie uważać.

- Panie magun - dokonał prezentacji Zbrhl. - Co to było? Huknęło jak taranem o bramę... Henza? To nie tarczą aby? Całyś?

- Aha - potwierdził udręczonym głosem tarczownik. - Ale ponawiam prośbę, byśta mi samemu łązić zezwolili.

- A, skoro czarodziej, to uważać nie musicie - ucieszył się jeszcze bardziej Vysedel. - Słyszałem, że z czarodziejów to i

najgłupszy po ćmie jako puchacz widzi.

- Zawrzyj gębę, Henza. No to co tak huknęło? Hej, panie oberzysta, czy to aby nie następny kawał oberży wam się wali? O zabytkach nam nie prawcie, jeno prawdę o stanie technicznym tej budy. Bo jak ma nam na łby runąć, to szczam na jej zabytkowość i idę spać do gumna.

- Eee... no co też wy, panie wojskowy? To taki solidny budynek, że strach gadać. Myszy pewnie... A co się szczania tyczy, właśnie sobie przypomniał, to Petunka prosi, by na podwórze chodzić. Wygódkę mamy, wygodną że aż strach. I nie strach do niej chadzać, bo podwórze palisadą grodzone, nijaki zwierz ni stwór się nie przyczai, by potrzebanta capnąć.

Debren, klnąc w duchu, lecz milcząc, krok po kroku wciągnął całe towarzystwo do izby. Na szczęście było tu okienko i słaba poświata odbita od ośnieżonych drzew rozjaśniała jako tako pomieszczenie. Udało mu się ulokować pawęż na łóżku, nie degradując się w oczach gospodarza do poziomu głupszego od najgłupszych czarodziejów.

- Co wy mi tu o potrzebantach i szczaniu? - skrzywił się Zbrhl. - Z odwodnienia padam, a ten wygódki reklamuje... Za co wam ten patent partacza dali? Miast o piwie, o moczu gościom...? Tego was uczą? A możeś ty, Vysedel, z adresami pokręcił i nie ten cech cię szkolił?

- No co też wy, panie? Pergamin mam, z pieczęcią, na niej się kufel z różnem krzyżuje i wiechciem słomy, bo i do usług noclegowych nabyłem uprawnień... Ale prawiście - westchnął.

- Sam nie wiem, co mnie naszło. To chyba od tej woni. Moczem tu jedzie, czy mi się zdaje? - Zbrhl odchrząknął, szybko wycofał się aż na korytarz, niby to robiąc Debrenowi miejsce przy łożu. - Z mojej Petunki straszna czyścioszka, to pewnie stąd. Od mydła węch się wyostrza, a ona do łaźni goni i dwa razy w niedzielę, a jak ją ochota najdzie na... - Nie dokończył, jeśli nie liczyć chrząknięcia, dziwnie przypominającego to w wydaniu rotmistrza. - Eee... to ja już...



- Chcę was prosić - przerwał mu łagodnie, ale i stanowczo Debren - byście ogrzali tę izbę. I jeszcze przynajmniej jedną. Ale tamtą naprawdę dobrze. Panna Branggo przeiębiła się i potrzebuje przyzwoitej stancji.

- Panna? - Vysedel jakby się zdziwił.

- Henzę trzeba czymś okryć. Zjedlibyśmy coś.

- I wypili - dorzucił pospiesznie Zbrhl. Vysedel chciał coś powiedzieć, ale wyraźnie nie umiał zacząć.

- Aha, wspomnieliście o łaźni. Własną macie?

- He? A... juźci. Toć mówiłem: drzewiej oberża była okrutnie porządna. Pewnie, że mamy. Jeno...

- Może później. Moja... uczennica - Debren zdecydował się w końcu, wybierając spośród kilku możliwości - w siodle czeka. Wybaczcie.

Gospodarzowi jakby ulżyło. Debren domyślał się powodu. I nie liczył na to, że pytanie o ciężarze może nie ołowiu, ale jednak metalu, pozostanie długo w zawieszeniu. Zyskał tylko odroczenie. O ile pani Petunka nie zdążyła uzupełnić garderoby i wrócić do stołowej.

Zbiegł na dół i odetchnął. W bijącym od kominka blasku nie lśniły złotem ani starannie wyszczotkowane, a potem mocno potargane i lekko przepecone włosy gospodyni, ani łańcuszki na jej smukłych kostkach. Mógł wypaść na ganek i zatrzasnąć za sobą drzwi. Petunka pozostawiła kaganek na podokiennej ławeczce, dzięki czemu od razu nadział się na spojrzenie Lendy.

- Wybacz, księżniczko - posłał jej błady uśmiech. - Ale to kręgosłup. Nie mogłem...

- Prosiłam cię o coś - powiedziała cicho.

- Pro...? A, tak. Mam cię tak nie nazywać. Wybacz.

- O chwilę rozmowy na osobności. Zszedł z ganku, ujął uzdę gniadosza.

- Wiesz, o czym chciałam mówić? - bardziej stwierdziła niż zapytała. Ale pewności nie miała. Gdyby uniósł brwi,

uwierzyłaby mu. I poczuła ulgę.

Więc zrób to. To nic nie kosztuje. Guz, który właśnie zaczynał mu rosnąć z winy niedostatków wczesnowiecznej ekonomii, był wyżej. Nie zaboli. To takie proste. Zrób to.

- Wiem. - Utrzymał spojrzenie na jej twarzy. Zaskoczyła go: nie drgnął jej ani jeden mięsień. Nie zaczęła nagle oglądać łapci, ściany albo nieba.

Zabolało.

- Czytałeś myśli, czy po prostu...? - Jej głos dorównał beznamiętnością wyrazowi twarzy, ale na dokończenie brakło opanowania. Może dlatego, że była chora, słaba i bezradna wobec dreszczy.

- Mówiłem ci kiedyś: czytanie w myślach jest i trudne, i niegrzeczne. - Pomyślał i dodał: - A ja nie chcę być wobec ciebie niegrzeczny.

- Ciekawie grzeczność w okolicach Dumayki pojmują. - Atak dreszczy minął, ale nie uszedł uwadze Debrena. Pewnie dlatego skryła się za tarczą kpiny. - Wieszanie dam na drzewach za szczyt kurtuazji tam uchodzi, jak widzę. I to w lasach zasobnych w latające, a więc pewnie nadrzewne potwory.

Nie zdołał zapanować nad uśmiechem.

- Czego się szczerzysz? - warknęła. Próbowwała się odsunąć dalej od stojącego przy strzemieniu Debrena, ale jej gniadosz był zmęczony i nie zamierzał się ruszać.

- Cieszę się. - Sapnęła, co lepiej od słów oddawało jej opinię o idiotach, znajdujących powody do radości w takich okolicznościach. Debren owinał wodze wokół konowiązu, wrócił pod lewe strzemie i wyjaśnił: - Oczy ci kocięją.

- Słucham?! - Była tak zaskoczona, że nie próbowała żadnych uników, choć podniósł obie dłonie.

- Pozłóż się przed zwierciadłem, to zrozumiesz. A teraz chodź. Póki sami jesteśmy.

- Chcesz mnie w komórce ukryć, by gospodarzy nie

straszyć? Wielce rozumnie. Ale jakeś taki rozsądny, trzeba było Zbrhla przysłać. Tobie się przecież rany w karku otwierają, gdy dziewczki za grube nosisz.

- W karku? - Przez moment oboje byli zdziwieni, po czym Debren szybko zmienił temat. - A skoro o Vysedelach mowa... Powiedziałem, że jesteś moją uczennicą.

- Znaczą... wiedźmą? Cóż, wielkie dzięki. Choć nie wiem, czy uwierzą. Jeden mi znajomy czarokrążca, nie pomnę który, powiedział, że za stara na wiedźmę.

- Lenda - posłał jej błagalne spojrzenie. Za późno. Wskoczyła już na ulubionego od paru dni konika, dała się ponieść, czerpiąc gorzką satysfakcję z własnych słów.

- Oczywiście nie ma takiej reguły, której by się obejść nie dało. Cóż z tego, że baba za stara, że się do terminu nie nadaje? Skoro ma insze atuty, to niech jej tam, baby strata, nie mistrza. Cóż szkodzi durną pouczyć, kiedy srebrem płaci? Och, wybacz. U takiego jak ty, akademicko kształconego, to pewnie jeno złotem. Znane są takowe przypadki, choć przyznaję, częściej podstarzałych młodzieńców dotyczą, którym trzydziestka stuknęła, a ani zbroja nie leżała, ani habit, a głowę do kupczenia za słabą mieli. No to ich bogaci tatusiowie w termin czarodziejski ślą, żeby sami na zupełnych głupków nie wyszli, a ojcu się pozwolili w karczmie latoroślą pochwalić.

- Lenda, może byśmy...

- Z dziewczką problem o tyle większy, że się od wiedźmy dwa razy tyle co od chłopca czarodzieja wymaga. I nawet takie kmiotki - wskazała dom - wiedzą, że jak dziewczuszki na naukę nie dać, gdy mleczaki zaczną tracić, to do niczego w zawodzie nie dojdzie. Tedy widząc podstarzałą czeladniczkę, co to za mistrzem księgi i kota nosi, ludzie zęby szczerzą. I słusznie, bo albo głupia, albo chorobliwie ambitna, albo fantastka, albo feministka. Długo by wyliczać, a im dalej, tym dla dziewczki gorzej. A już najgorzej dla takiej, co kota i księgi do

ubożuchnej sukieneczki tuli. Bo, zapytają ludzie bywali, czymże się ta hołyszka nauczycielowi odplaca? Onuc cerowaniem?

- Sama widzisz - skorzystał z faktu, że musiała zaczerpnąć powietrza. - Nie da się z tobą skoczyć w las na dwa słowa.

- Dudkaj się!

- Nie, żebym naszych pogawędek nie lubił, ale po tym na moście zdechłak jestem. Żadnemu czarodziejowi onuc nie cerowałaś, to ci się pewnie wydaje, że dla magika wziąć na rękę taką... - zawahał się - zdrową dziewczuchę, spacerować z nią po zaśnieżonym borze i zabawiać wywodami w temacie równouprawnienia to tyle, co splunąć. Rozczaruję cię. Łatwiej nam spluwanie przychodzi.

- Grubą, rzec chciałeś.

- Chciałem rzec: dużą - przyznał. - Wybacz, faktycznie marnie dobrałem słowo. To jak: pozwolisz się zanieść?

- Sama dojdę. - Krzywiąc się, przełożyła nogę nad grzywą. - Nie mam sumienia zdechactwa ci pogłębiać.

Zrobił krok do przodu, zacisnął dłonie na jej biodrach.

- Zanim kopniesz - wymruczał, nie patrząc w górę. - Już raz ci mieli obrzynać nogę, nie z medycznej fantazji raczej. Więc nie bądź głupią kozą, nie brykaj, tylko pozwól sobie pomóc. - Odetchnęła głośno, ale nie odważył się sprawdzić, z jaką miną. - Będę badał Henzę, kręgi sondował. Przy okazji obejrzę twoje nogi. Obiecuję, że jak nie znajdę nic złego, więcej noszenia nie proponuję.

Czekał. Nie cofnął dłoni, ale ponieważ oprócz suto łątanych portek dzieliła ich blacha, Lenda nie zrobiła nic, by ten stan zmienić.

- Wybacz. - Ton nie był pokorny, po prostu mówiła cicho, ale i tak głowa podskoczyła mu do góry. Lenda Branggo prosząca o wybaczenie? Oczywiście udała, że nie zauważa jego zaskoczenia. Łatwo przyszło: patrzyła gdzieś w górę i w bok. Na pewno nie z myślą, by jej profil kojarzył się z tymi z

monet, dumnymi, władczyimi i chmurnymi. Ale takim go właśnie widział. - Chyba i mnie się lekki wstrząs bezpałowy przytrafił. Głowę ci zawracam, gdy gra o życie idzie. - Uśmiechnęła się blado. - Jak cię znam, siłą oberży pod okupację nie weźmiesz? - Debren nie odpowiedział, zaskoczony faktem, że tak wstrzelila się w jego myśli. - Czyli albo przekonamy gospodarzy, by ugościli gromadę gołodupców, albo przyjdzie nam spać na mrozie?

- Nie jesteśmy...

- Koń Henzy okulał, a mój książęcy znak nosi. Nikt go tu nie kupi. To co nam z zamienników gotówki pozostaje? Kusza Henzy? Zbroja rotmistrza?

- Sama widzisz. W najgorszym razie...

- Nie, Debren. W najgorszym to mi się pogorszy i zemrę przy ognisku, z czego nikt wielkiej szkody mieć nie będzie. Ale nie pozwolę, by z mego powodu ktoś się ostatków nadziei wyzbywał. Może nie wiesz, ale Zbrhlowi najchudszy sezon od wielu lat się przytrafił. To, co wiozł w szkatułce, prawie całe na spłatę długów miało iść. I żeby dzieciakom głód w oczy nie zaświecił, jak ojca na następną wyprawę z chałupy wywiej e. Już teraz z mego powodu popadł w biedę, a ty jeszcze chcesz, by się broni wyzbywał?! To cię jeno tłumaczy, żeś w wojsku nie służywał. Ja tak, i wiem, jakie gówniane stawki biorą ci spod lekkich znaków, co się w samych łapciach zaciągają.

Uśmiechnął się. Wodziła wzrokiem w okolicach szyldu, ale jakoś wyczuła. Bo zrobiła się zła, nim przemówił.

- Wiedziałem - pochwalił się. - Żresz się z nim jak kocur z sobaką, ale tak naprawdę...

- Łajno wiesz - mruknęła.

- Tam, na moście...

- Łajno - powtórzyła. - Nie uwierzysz, ale na tym drugim moście przez Wiórną, tym, co się z jego szturmowania Zbrhl medycznymi kruczkami wykręcił, tom na własnym karku jednego Kummona taszczyła, bo tak się złożyło, że z

pogaństwem przyszło w jednym szeregu przeciw zakonnym stawać. Jak zarazy tych żółtych kundli nienawidzę. Napatrzyłam się na Pokresiu ich roboty, nasłuchiłam płaczu. Ale nad Wiórną jako sojusznicy śmierci w oczy zaglądaliśmy, więc jak sojuszniczka się zachowałam.

- Nie przyrównuj Zbrhla... Piwo żłopie, nie kumys.

- I jasyru nie bierze? Prawda. Co cywilizacja, to cywilizacja. Przyjemniej, gdy gwałconej ośmiolatce cały tuzin gwałcących swojsko, morvackim piwem dyszy, a nie mlekiem kobyły. A jak na koniec kozikiem litościwie po gardle przejadą, to też lepiej, niżby mieli sznur na szyję zarzucić i w pogańskie kraje pognać.

Odczekał chwilę. Póki nie spojrziała w dół.

- To druga sprawa, którą chciałem poruszyć. Co sobie gospodarze o przerośniętej uczennicy pomyślą, to pomyślą, przeżyjesz. Ale jak im zaczniesz jadem w oczy strzykać, w zaspach wylądujemy. Więc chcę pokornie prosić, byś trzymała język na wodzy. - Zaskoczyła go i brakiem ciętego komentarza, i wierceniem się w siodle. Przypominało kiwanie głową. Zdumiony, poszedł za ciosem. - A... Zbrhlowi też trochę odpuszczisz?

- Debren, tyłeś się chyba domyślił, że z Belnicy jestem. A jak nie ty sam, to ci ten morvacki buhaj podpowiedział, bo my tu się na milę wyczuwamy, jak wilk z owcą. Więc ci mogę oficjalnie rzec, że moja definicja dobrego Morvaca jest bliska tej starobelnickiej, od czasów pogańskich używanej. Że to taki, co korzenie od dołu gryzie. Ale masz rację: za dużo gębą kłapię. No to... nastaw się.

Dopiero kiedy miał ją na rękach, kiedy poczuł mocny, ale i ostrożny opłot dziewczęcych ramion na pokaleczonym karku, uświadomił sobie, że to pierwszy raz. Omal nie padł z wyczerpania, dźwigając ją do granicznych kopców, ale nie niósł jej jeszcze tak, jak mężczyzna nosi kobietę.

Nagle zakręciło mu się w głowie. Przyjemnie, jak po winie.

Ale akurat na końcu schodków, w miejscu, gdzie utrata równowagi mogła słono kosztować.

Zatoczył się. Zareagowała jak na wojaka przystało: wyrzucając w górę ramię i łapiąc się pierwszej rzeczy, mogącej dać im oparcie. Los chciał, że nad stykiem schodów i ganku wisiało akurat to, co szynkarze często wieszają w tak eksponowanym miejscu - szyld.

Zaskrzypiał łańcuch; Lenda, wciąż używając tylko lewej ręki, podciągnęła się wyżej, znieruchomiała. Debren, z twarzą wbitą w jej pierś, znieruchomiał jeszcze bardziej.

- No i wiszę - zachichotała nieoczekiwanie. - Wielce ze mnie udana ilustracja do szyldu, co, Debren?

Śmiała się. Szczerze.

- Księżniczko - wymamrotał w źle otrzepany ze śniegu kaftan - tyś pijana!

- To co? Tu wolno. - Uniosła się, pierś umknęła gdzieś w okolice guza, coś łupnęło. Pięść o deski szyldu, sądząc po odgłosie. - Czytać nie umiesz? Nawykli do...

Próbował zmienić chwyt, ale nie zdążył. Coś trzasnęło, Lenda runęła mu na zbyt wysoko uniesione ręce, lewa połowa szyldu z połową lewego łańcucha zdzieliła go w ramię i nim zrozumiał, co się dzieje, oboje leżeli w stercie desek i śniegu.

Przez chwilę był wstrząśnięty. Potem - krócej, za to mocno - przerażony. Bo upadł na Lendę. Ranną, chorą, zbyt poobijaną i słabą, by dobrze zamortyzować upadek, uchronić kręgosłup, pokaleczone nogi...

Rozchichotaną?

- Łajno i kał, znowu coś się wa... - Zbrhl zająknął się, znieruchomiał z ręką na kłamce.

- Co się tu wyrabia? - zapytała surowo Petunka Vysedelowa. Zręcznie precyzyjnie się obok rotmistrza, złapała rozkołysane wahadło wiszącego na jednym łańcuchu szyldu, zastopowała.

- Panie czarodzieju, czy kim tam naprawdę jesteście? Moglibyście wytłumaczyć?

Debren, którego ręce uwięzły po łokcie między deskami z jednej, a pośladkami Lendy z drugiej strony, teoretycznie mógł - ale nie potrafił. Musiałby mówić do...

Nie. Nie potrafił.

- A co tu tłumaczyć? - Na szczęście był jeszcze Zbrhl. - Toć widać. Szydł się urwał. Łańcucha nie konserwujecie, więc nie dziwota. - Zarechotał. - Natura przemówiła, he, he. Na tę mocnych nie ma. I czarodziej się nie oprze, a cóż dopiero durny łańcuch?

Debrenowi udało się wyciągnąć rękę spod chichoczącej Lendy. Mógł się obejrzeć, ocenić rozmiar szkód. Wydostać się spomiędzy szeroko rozrzuconych ud dziewczyny, póki co, nie mógł. Cholera. Niech ją krew zaleje, smarkulę bezmyślną. Dobrze chociaż, że to nie spódnica, tylko obszerne, włościańskie...

I wtedy to zauważył.

Dżuma i syfilis... W złą godzinę o tym pomyślał. Rzeczywiście ją krew zalała. Jak co miesiąc.

- Moglibyśmy was zaskarżyć - szarpnął arogancko głową, co rzadko przysparza sympatii, za to skutecznie przyciąga uwagę. - Ta buda to istny zabójca! Parę pacierzy tu jesteście, a już trzy nieszczęśliwe wypadki!

- To może za długo jesteście - burknęła gospodyni. Była w niebieskiej, dziwnie gustownej sukni oraz rzadko spotykanych poza dworami i ratuszami pantoflach na podwyższonych obcasikach. Z włosami nie zdążyła nic zrobić, ale może właśnie dlatego wyglądała zarazem dostojnie, elegancko i - rzecz niebywała u podstarzałych żon oberżystów - ponętnie.

Nic dziwnego, że Zbrhl najpierw otwierał jej drzwi, a teraz, bezwstydnie wykorzystując okazję, gapił się z tyłu, wodząc oczami po kształtnej sylwetce.

- Wyrzucasz nas, siostrze? - Lenda trochę spoważniała, ale zębami połyskiwała nadal.



- Siostro? - Jasnowłosa szyderczo uniosła brew. - Wydaje się panience, że do klasztornej filii trafiła? Gdzie za gościnę modlitwą się płaci? Cóż, przykro mi, ale nasza „Cnotka” to jeno prosta, świecka oberża. Dobre słowo nie jest tu na jadło i napitek wymieniane.

- A na dach nad głową? - Debren uwolnił drugą rękę, lecz nie wstał. Miło było czuć uda Lendy, ale nie to nim kierowało. - Izby stoją puste. Nic was nie będzie kosztować, jeśli ofiary napadu przenocujecie.

- Yeżyn wypaplał? - westchnęła. - Głowę do interesów to ma, jak, nie przymierzając, nasz kogut Szalamajka. Żeby choć równie twardy był...

Zbrhl wyszczerzył zęby w mało subtelnym uśmiechu.

- Kogut? Macie na myśli twardość...?

Celowo zawiesił głos. Nie posłała mu ani tępego, ani zmieszanego spojrzenia. Posłała uśmiech. Kpiący.

- Nie tę - rzuciła swobodnie. - Na tej akurat Yeżynowi nie zbywa. - Zbrhl, uśmiechnięty równie głupio, co fałszywie, zainteresował się nagle zwisającym prawie do podłogi szyldem. - Oberżystka jestem z babki prababki i taką mam zasadę, że darmo nikogo pod dach nie wpuszczam.

- Nawet zimą? - Lenda, nadal uśmiechnięta, tyle że teraz jakoś nieładnie, zaczęła wstawać. - Nawet przez potwory ograbionych? Oj, siostro... Nieładnie.

Debren poderwał się pierwszy, trochę by pomóc, bardziej by zasłonić. Kiedy siedziała w siodle, plama po wewnętrznej stronie nogawki była niewidoczna. Teraz tak.

- Pewnie, że nieładnie. - Oberżystka zmrużyła oczy, odwzajemniła mało serdeczne spojrzenie. - Ale tacy już jesteśmy, prości śmiertelnicy.

- W odróżnieniu...? - Lenda świadomie nie dokończyła.

- Od was, magików - wzruszyła ramionami Petunka. - Którym wyczarowanie srebra tak łatwo przychodzi, że go na płacenie akurat nigdy przy sobie nie macie. Znam to. Co rusz

zatrzymuje się tu różdżkarz czy inszy czarokrażca, do Złotej Skarpy podróżujący. I każdy, gdy o rachunku mowa, zaczyna kręcić, że srebra z chałupy nie wziął, bo po cóż kręgosłup nadweręzać, skoro się jedzie do sławnych kopalń złota.

- My nie jedziemy - zapewnił Zbrhl.

- Nie moja sprawa, dokąd jedziecie. Ale że co niektórzy z was idą, uzasadniona wątpliwość mnie naszła, czy aby wypłacalni jesteście. A dokładniej: do płacenia skorzy. Bo maga całkiem niewypłacalnego, choćby się na wszystkie świętości zaklinał, tom jeszcze nie widziała. Jak dobrze potrząsnąć, u każdego grosz się znajdzie.

- Odważna jesteś - zauważyła Lenda. - Potrząsanie czarodziejami, no, no... A może ty sama, siostrze, czarami dorabiasz?

- A może i dorabiam. Moja sprawa, nie wasza. Chyba żeście są z Inkwizycji. Co by mi nawet pasowało.

- Wolno spytać, dlaczego? - Debren, uważając, by cały czas osłaniać sobą Lendę, ruszył w stronę drzwi.

- A choćby dlatego, że to u nich moda wielka na łby wygolone. I że to oni jeszcze bardziej ochoczo niewiasty brzytwą traktują. Oficjalnie dlatego, że się diabeł lubi w kudłach wszelakich kryć. Nieoficjalna wersja dwojaka jest: że im obrabianie co młodszych dziewczek uciechy dostarcza, i że to czynią, bo prawdziwe wiedźmy mocno się wycwanily, często z lochu uciekają i póki z gołą czaszką chodzą, łatwiej je wyłapywać.

Debren pomyślał, że od nadmiaru gorzałki Lenda przestała uważać na kaptur. Albo po prostu gospodyni dopowiedziała sobie resztę, widząc brak brwi i rzęs.

- Toś mnie, siostrze, za zbiegłą czarownicę wzięła? - Lendę, o dziwo, rozbawiło podejrzenie. - I co bym miała tu robić w towarzystwie śledczego Debrena?

Petunka weszła do izby. Drzwi zostawiła otwarte, więc wsunęła się za nią.

- Prowokować. Albo... za przynętę służyć.

Miała coś dziwnego w spojrzeniu. Lenda zatrzymała się, próbowała wyczytać z oczu, co chodzi po okrytej puszystym złotem głowie. Debren wziął ją pod łokieć, posadził przy stole. Blisko kominka, gdzie było najcieplej, a światło dochodziło z tyłu. Uwinął się raz-dwa i miał nadzieję, że nikt niczego nie zauważył.

- Znaczy się... na inne wiedźmy? - zaciekawiał się rotmistrz. Kolczy kaptur zdjął już wcześniej, teraz pozbył się brygantyny, rzucając pancerz na stół. Błogo uśmiechnięty, przylgnął plecami do pieca. - Nie wiedziałem, że z wiedźm babofilki są. Bo chyba nie cechowa solidarność je do kamratek ciągnie, gdy się wokół inkwizytory kręcą, he?

- Niewiasty wolne - powiedziała nie za szybko i nie za głośno Lenda - bywają solidarne. Pewnie dlatego, że tak o nie trudno. A z babofilą nic to wspólnego nie ma.

Debren grzał dłonie przy kominku i zastanawiał się, po co płonie tu ogień. W oberży nie było gości, a był piec.

- Prawda. - Petunka, tak jak Lenda, zdawała się mówić do wszystkich, ale, też jak Lenda, wpatrywała się wyłącznie w jedną osobę. Debren, nieco rozbawiony, pomyślał, że we wzmiance rotmistrza na temat miłości niewieścio-niewieściej było coś na rzeczy. Oglądając z boku te dwie, można by sądzić...

- Yeżynek! - zawołała niezbyt głośno i jakby smętnie gospodyni, odwracając się i idąc w stronę zakurzonego szynkwasu. - Pisklaka czas nakarmić! Wiesz czym!

Było cicho. Debren sycił się ciepłem, słuchał pukania kropel o drewnianą podłogę. Woda pochodziła ze śniegu, który topił się na półkożuszku Lendy. Półkożuszek był bez rękawów i miał dziurę w okolicach lewej łopatki. Zbrhl, jeśli wierzyć przechwałkom, upolował go z odległości ćwierć mili, trafiając Dreklena zwiadowcę w pełnym cwale i prościutko w serce. W pełen cwał Debren powątpiewał, ale w serce już nie: na skórze

pozostały brązowe zacieki.

Pomyślał, że dobrze byłoby zdjąć to paskudztwo z Lendy. A potem, idąc za ciosem, zdjąć śmierdzące łachmany, wziąć któreś z leżących przed kominkiem futer, otulić drżącą nagość miękkim, czystym włosiem, ogrzewać ciepłem z paleniska, i tym drugim, bijącym z własnego...

- Dobrze, Petunko. Dobrze. Już idę... miła.

Nagle zrozumiał, co robią te futra przed kominkiem. W głosie oberżysty było coś dziwnego.

Powinien zareagować. Wyczuł, że dzieje się coś niezwykłego. A niezwykłość wymaga co najmniej uwagi. Nawet taka. Dobra. Chwytająca bolesnym, lecz i słodkim skurczem za gardło.

Nie zrobił nic. Patrzył na Lendę, siedzącą niedbale, z łokciami szeroko wspartymi o stół, zbyt znużoną na cokolwiek poza samym siedzeniem. I na gospodynię, stojącą za szynkwasem, na tle pustych, osnutych pajęczynami półek. Petunka, po chwili bezradnego rozglądania się, wyłowiła zza kufla kawałek brudnej szmaty. Kiedy przejechała nią po szynkwasie, w powietrzu aż zawirowało kurzem.

Debren zauważył, że ścierkę trzyma w lewej ręce.

- Koguta macie, pisklaki także - zatarł dłonie Zbrhl - to pewnie i jajko jedno z drugim się znajdzie? Jak już chłopca do kurnika ślecie, nadobna... znaczy: pani Petunko, to może by parę przyniósł? Z tuzin, powiedzmy? Lenda chora, to i nie je, a Debren pewnie brzuch czarami syci, ale mnie już kiszki... - urwał na widok wchodzącego oberżysty. Kiedy się odezwał, jego głos brzmiał nieco inaczej. - Cóż to, panie Vysedel? Uszu żeście w łaźni nie domyli? Żona piskłeta kazała karmić, nie ubijać. A nawet jakby, to przecie nie z takiej wielgachnej kuszy. Prawie jak moja będzie, a z mojej to bym i tego chędożonego gryfa położył, gdyby nas nie zaskoczył. Z kurczaka mało co wam zostanie. Trochę łajna i pierza na bełcie.

Debren zauważył, że Zbhrł raz i drugi zezuje w stronę stołu, na berdysz i pas z tasakiem. Na szczęście miał daleko i nie zrobił nic głupiego. Lenda też nie zrobiła. Ani Debren. Może dlatego, że oboje mieli lepszy widok na szynkwas.

- Nie rób niczego głupiego, miśku - powiedziała cicho Petunka. - Bo dobrze ci z oczu patrzy i wolałabym cię nie krzywdzić. Nawet jak się do łotra nająłeś.

- Nie najął się - powiedział Debren. Stał, uśmiechał się ze skrzyżowanymi na piersi rękoma i patrzył kobiecie w oczy. - To hulajkule? Dobrze widzę?

- Dobrze. - Po czole płynął jej pot, ale całkiem pewnie trzymała po jednej sztuce oręza w każdej dłoni. - I na widzeniu poprzestań, babopalcu. Bo to autentyczny muzer. Co znaczy, że choć mały, moc rażenia ma jak cholera.

Vysedel, ściskając pod pachą kolbę załadowanej solidnym bełtem kuszy, czym prędzej podszedł do żony. W odróżnieniu od niej wyglądał jak typowy wojak z poboru, marzący tylko o jednym: by cisnąć broń w krzaki i wynieść się jak najdalej od cudzej wojny.

- Nie wiem - powiedział Zbhrł - co ci się w palcach Debrena nie podoba, nadobna Petunko. Może i ciut za szczupłe, ale w czarodziejskim rzemiośle zwinna dłoń...

- Jej chodzi o palenie - uświadomił go Debren. - Bab konkretnie. Że niby z Inkwizycji jestem.

Zbhrł pomyślał chwilę. Po czym zarechotał.

- On mnichem? Gdyby nie fakt, że od takowego twierdzenia język by mi kołkiem stanął, jako każdemu normalnemu chłopu staje na twój wi... znaczy... o języku cały czas mowa - podkreślił szybko. - No więc gdyby nie powyższa okoliczność, powiedziałbym, że ci zupełnie kobiecości brakuje. Tej... hmm... spostrzegawczością się przejawiającej. Tak rezolutna niewiasta powinna zauważyć, co mistrz Debren panience Lendzie na ganku czynił. I... eee... w jakich, że tak rzeknę, okolicach.

Debren poczuł, że się czerwieni.

- Przez szyld - wskazała drzwi gospodyni - trafiają tu co rusz tacy jak ty, łysolu. Błędne wnioski wyciągający z dwuznaczności nazwy. Tom się naoglądała różności. Zwłaszcza, że z czasów gorączki złota mały się klasztor pod Złotą Skarpą ostał, który osoby duchowne często wizytują. Nader często, jak na tak skromną placówkę. A co się inspektor pojawi, to dziwnym trafem z młodą mniszką asystentką albo pątniczką, albo nawróconą ladacznicą... Nie mówię, że duchowieństwo większość stanowi spośród tych, co alkierzy dwuosobowych żądają, ale że „Cnotka” na uboczu teraz leży i dyskrecję chcąc nie chcąc zapewnia, to znacznie częściej śluby się tu łamie niż w ludnych okolicach. A nawet jak nie, to się mocno o możliwość łamania wypytuje. Jako rzekłam, nazwa niejednego w błąd wprowadziła. Przyjeżdża taki i już od progu woła: „Dawać mi tu jaką księżniczkę, byle nie za mocno cnotliwą, bo gotówki dużo nie mam!”

- Krępujące - stwierdził Debren, który o skrępowaniu akurat w tej chwili mógł mówić dużo i barwnie. - Nie prościej nazwę zmienić? No, chyba że wam po cichu takowa sytuacja odpowiada. Gość, jak już zajedzie w głuszę, jeść i nocować musi, choć dziewczek pracujących ni widu, ni słyhu. Co - zerknął na odstawioną w kącie halabardę - tłumaczyłoby bogactwo oręza, do typowej oberży nie przystające. Rozczarowanego gościa trzeba jakoś...

- Panie Debren! - uniósł się honorem Vysedel. - Ja dyplomowany partacz jestem, a nie jakiś dajkowoda!

- Dajkowoda? - Lenda odezwała się po raz pierwszy, co samo w sobie było dziwne. - Znaczy... że niby wody do piwa nie dodajecie? Miłe dziwactwo, jak na szynkarza, tylko co to ma wspólnego...?

- Po morvacku - oświecił ją Zbrhl - to taki, co dajkom przewodzi. Jak wojewoda wojom, dajmy na to. Jak to ta twoja dziewczica baronówna mówiła? - Zmarszczył czoło, patrząc na

Debrena. - Belfons? Nie czekaj... adolf?

Lenda poruszyła się, też po raz pierwszy, odkąd hulaj-kule wyskoczyły ze skrytki pod szynkwasem. Zaryzykowała, by zerknąć za siebie, Debrenowi w twarz.

- Odłóżcie hulajkule, nadobna pani - magun posłał Petunce możliwie przyjazny uśmiech. - To podróbki. Firma Muzer zbyt się szanuje, by hulajkule produkować. To broń najbardziej nietraktatowa ze wszystkich, za samo posiadanie wieszają gorzej urodzonych. Ojciec Ojców ją wyklął. A podróbki to do siebie mają, że same lubią strzelać. Znałem jednego UOT-ra, któremu wetknięta za pasek hulajkula odstrzeliła...

- To, co ja tobie zaraz odstrzelę - powiedziała spokojnie. - Jak się okaże, że cię nasz gryf nie przypadkiem zaatakował. A nie widzi mi się, by przypadek wchodził w rachubę. Mądry to on nie jest, ale misjonarz jak się patrzy.

- Misjonarz? - zdziwił się Zbrhl. - Chcecie powiedzieć, że nawraca? Po mojemu to paskudnik w przewracaniu znacznie lepszy. Aha - przypomniał sobie - i w zwracaniu, znaczy się pawie puszczeniu, jeśli drogowskazom wierzyć.

- Pawie są przez gryfy chędożone - poprawił go Vysedel. - Zaś puszczone nietoperze. Coś wam się pomyliło...

- Yeżyn! Nie wyrażaj się! Nie chcę tego słowa pod moim dachem słyszeć!

- Nie? - zaskoczony oberżysta spojrział w stronę rozłożonych przed kominkiem futer. Petunka pokraśniała.

- Miałam na myśli - powiedziała - że go genetycznie obciążono. Ojciec konkretnie, Domorzec ze Starogrodu. Który faktycznie z pawicą Pisklaka splodził. Pawie z mądrości nie słyną, więc synalek udał się średnio, ale nie sposób odmówić mu wyczucia misji. Nie zdarzyło się, by na królewskim trakcie postronne osoby atakował.

- Nas napadł - nachmurzył się Zbrhl. - I z torbami puścił, złodziej dziobaty. Kufer monet, hełm, koń... Jak to wasz znajomek, pani Petunko, to się na koniec znajomości

nastawcie. Bo klnę się, że noga moja się stąd nie ruszy, póki poczwały nie utłukę i własności nie odzyskam.

- Z okna będziesz strzelał? - zakpiła Lenda.

- O okolicy myślałem - sapnął. - Ale że to odludzie, bazą wypadową chyba tę zasną karczmę uczynię. Nie bójcie się - dmuchnął dumnie w wąsiska. - Nie z takimi się mierzyłem. Nie chwając się, z tym oto Debrenem na smoka Ziejacza chadzaliśmy, najślawniejszego ze współczesnych. Wdawać się w szczegóły nie mogę, alem żyw wrócił, co samo za się mówi.

- Przyjechaliście tu - powiedziała wolno Petunka - by polować na gryfa?

- Nie - wyręczył rotmistrza Debren. - Księżniczek, cnotliwych czy nie, także nie szukamy. Ani czarownic.

- A ona? - gospodyni wskazała Lendę. - Chcesz mi wmówić, że normalne związki was łączą? Jakoś mi jej twarz do normalnych nie pasuje. Ani plecy, do krwi smagane. A tak, zauważyłam. W moim fachu wszystko trzeba w mig zauważać, bo różni tu zjeżdżają. Nieraz chwilę się ma na podjęcie decyzji, czy chlebem klienta witać, czy kuszą. A że się i miłowania dziwnaczego naoglądałam, to i nie dam się zwieść tym, że ją całujesz w takie miejsca. Nic z tego nie wynika. Bo jakbyś kochał, to najpierw krwią byś się zajął, a potem ewentualnie całowaniem. Dziewka ubrania czystego potrzebuje, balii z gorącą wodą, a nie, by jej kto portki, i bez tego mokre, jeszcze ślinił.

- Pewnie nie uwierzycie - uśmiechnął się krzywo - ale w pierwszym rzędzie chciałem was o łaźnię prosić.

- Akurat.

- Ale Petunko... - wtrącił się Vysedel. - Kiedy on naprawdę łaźni się domagał. I żeby pannie Branggo izbę dobrze nagrzać, bo słabuje. Ja tam mu wierzę.

- Ty wszystkim wierzysz. - Miętko to zabrzmiało, choć w głosie miała sporo goryczy. - Tamtym też nieba gotów byłeś przychylić. I co? Dziewuszkę pachnidłami skropili, sznurek do



nogi, drugi koniec do kołka, a sami w krzaki, czatować z kuszami i wodą święconą, aż Pisklak przyleci.

- Ktoś tu z przynętą polował? - zapytał cicho Zbrhl.

- A bo to ci dziwota? - rzuciła opryskliwie. - Toć na smoki chadzałeś! Wiesz, jak się to robi! - Uciekł ze spojrzeniem. - Ha, widzę, że wiesz! No, pięknie.

Stała przez chwilę, uspokajała oddech. Miała czym oddychać, więc Zbrhl nie wytrzymał długo i znów przykleił do niej wzrok.

- Nie jestem przynętą, siostró - Lenda w końcu zlitowała się nad towarzyszami.

- Tamta też do końca nie wiedziała, jaki los jej szykują.

- Pisklak się połakomił? - zmarszczył brwi Debren. - Nie słyszałem, by gryfy...

- I dobrze, żeś nie słyszał - warknęła Petunka. - Jemu do niewieściej cnoty akurat tak pilno, jak mnie. Zresztą to nie smok, łuską opancerzony, a zwykły kocur. Fakt: duży, skrzydlaty, ale kocur. Za łatwo go zabić, by się w biały dzień na zbrojnych rzucał. Tyle że wasi kamraci o tym nie wiedzieli. Partacze zasrani. Jak to się chwalili, jak pysznili... Piwa daj przedniego, gosposiu, i mięsiwa, a dużo aby! Bośmy was z wiekowej niewoli wyzwolić przybyli! Amatorzy cholerni... Wiesz, co zrobili? - posłała Lendzie gniewne spojrzenie. - Napoili dziewicę jakimś paskudztwem. Niby że lepiej wabić będzie. Szepnęłam jej, by ukradkiem wylała, ale gdzie tam... Młode to było, naiwne... Na ochotnika poszła. A te sukinsyny, i owszem, feromonów do miodu smarkuli dolali, ale że do bitki za bardzo ochoty nie mieli, to dorzucili trutki. Takiej o opóźnionym działaniu. - Zerknęła na kamienną twarz maguna, wróciła spojrzeniem ku Lendzie. - Pisklak się oczywiście nie pokazał. Za dnia wyszli, w dzień wrócili, a on w dzień jeno w ostateczności atakuje. Dziewczyna... Próbowałam ratować. Ziola na przeczyszczenie, balsamy, co po kuracji Vaclana zostały... Tylem zyskała, że się biduła do

pierwszych kurów męczyła. A najgłupsze, że jej do końca wmawiali, iż to od tych borówek, co je w zasadzce jadła. Bali się, bydlaki, klątwy umierającej, więc cały czas któryś obok niej siedział i na okrągło o owych borówkach opowiadał.

Zbrhl przeżegnał się, kreśląc dyskretnie znak koła.

- Wspomnieliście o wiekowej niewoli. - Debren, nie kryjąc się, wyjął różdżkę z pochewki przy pasie, razem z ręką cofnął za plecy. - I o ojcu Pisklaka. Czy to znaczy, że gryfy się od dłuższego czasu tak... zabawiają?

Petunka nie strzeliła. Hulajkule były sławne - względnie niesławne - z potężnego rozrzutu, co poniekąd tłumaczyło tę niefrasobliwość. Rura, zastępująca korytko stosowane w kuszach, miała duży kaliber, czyli mieściła spory ładunek siekańców. Może stąd wzięła się bierność kobiety. A może po prostu za długo patrzyła mu w oczy.

- Naprawdę nie wiesz? - Pokręcił głową. - Przysięgniesz na święty znak? - Przytaknął. - Cóż, jeśli faktycznie inkwizytor jesteś, to pewnie nie dasz rady. - Westchnęła. - A co tam, niech będzie. Nie wyglądasz na głupiego. A mądry zauważy, jaka to ze mnie czarownica. Yeżyn, przynieś największy kołofiks, jaki w domu mamy.

Ysedel odłożył kuszę, zrobił dwa kroki, zatrzymał się.

- Zaraz, Petunko... Mam cię samą zostawić?

- Yeżynku, kochany - rzuciła ze zniecierpliwieniem, pod którym czuło się niezgłębione pokłady cierpliwości - rób, co mówię. Widzisz? - uniosła hulajkule. - Dwie. Na każdego po jednej. Starczy. Oni to wiedzą i...

- Chyba że mnie dorachować - dobiegł z góry niefrasobliwy głos.

Wszyscy zgodnie poderwali głowy i przez chwilę wpatrywali się zaskoczeni w spoglądającego ze schodów Henzę. Wyglądał dziwnie, stojąc z łokciami wspartymi o poręcz, wyraźnie zasłuchany od dłuższej chwili, z pawężą przewieszoną przez plecy i gołymi kolanami, wystającymi z nowomodnych kusych

kalesonów. Broni nie miał. Może dlatego Petunka nie zaczęła od wygarnięcia siekańcami w jego stronę. Debren, który zaczął wyciągać różdżkę zza pleców, zastygł w bezruchu.

Nie zawiódł się na gospodyni.

- Na ciebie mam kuszę - stuknęła końcem rury w broń męża. - Jest mocna, nic ci tarcza nie pomoże.

- Brygantyny nie zdjąłem - poklepał się po opancerzonej piersi Henza.

- To kusza na gryfy - nie dawała za wygraną. - Przebije i tarczę, i zbroję. Nie nastraszysz mnie. Ni opancerzeniem, ni tym bardziej golizną. Rozumiem aluzję, ale plwam na to. Żywej mnie nie weźmiesz, a co z trupem zrobisz, to już mało mnie...

Zbrhl, który spod pieca nie miał dobrego widoku, skoczył nagle na środek izby. Petunka drgnęła, lecz i tym razem nie próbowała strzelać. Pewnie dlatego, że gniew rotmistrza ewidentnie skierowany był ku górze.

- Henza, ty psi chwoście! Bez portek?! Aluzjami w panią Petunkę?! Łajno i kał, jakim prawem w ogóle z łoża wylazłeś?!

- Prawem natury - wyjaśnił spokojnie knecht. - Oraz wyraźnym przykazaniem pani oberżystki. Potrzeba mnie przycisnęła, a że tu jeno w wygodce wolno...

- Bez portek po oberży biegasz?! A w brygantynie i z pawężą?! Chłopie, ciebie chyba w łeb kontuzjowało, i to mocno, a nie w kręgosłup!

- Toć żem od początku mówił, żem cały - wzruszył ramionami Henza. - Ale jak się uparliście... Rozkaz to rozkaz, nie mnie sensowność rozkazów podważać. Tom leżał, jak ten kretyn, bez portek, bo w łożu, a z pawężą, bo mi ją mistrz Debren zabronił od pleców odejmować.

- A zbroja?! - Zbrhl był zbyt rozgniewany, by zaprzętać sobie głowę logiką.

- Cisza! - Petunka w końcu straciła cierpliwość. - Nie o tym

mowa. Mowa o tym, że nad trzema tak samo panuję, jak nad dwoma. Z czego jasno wynika - zwróciła się do zdezorientowanego męża - że możesz iść po kołofiks. Wiesz, ten, co to go nam kupcy z Genzy w dowód wdzięczności... - Przeniosła spojrzenie, trochę nieładne, na Debrena. - Ostrzegam: to nie byle jaka świętość. Owo koło, mianowicie, z wozu pochodzi, który jako jeden z siedmiu dotarł z pierwszą kołomyją nad rzekę Jond. Co więcej, nie tylko w bród ją przebył, w ramach zdobywania przyczółka, ale i przy obronie tegoż pociskami został z machin na kawałki roztrzaskany, czyli, mówiąc inaczej, najchwalebniejszą z możliwych śmierć poniósł. Drzazgi cennymi relikwiami się stały, a nasze koło najcenniejszą, bo nie dość, że w świętym nurcie obmyte, to od ostrzału dokładnie jedną szprychę z sześciu straciło. Trudno chyba o świętszą świętość.

- Trudno - przyznał Debren. - Aż dziw, że wam Genzeńczycy taką relikwię oddali.

- A bo Petunka Pisklaka od nich odegnała - pochwalił się Vysedel. - Już z kupcami krucho było. Gryf koniowi jednemu łeb urwał, drugiemu nogę, ludzie się spod wozów słabo i bez wiary pałaszami opędzali... Marnie by skończyli, gdyby nie moja ślubna. Złapała miotłę, skoczyła...

- Więc jednak - mruknęła Lenda. - I po cóż się było krygować, siostrze? Debren też czarodziej, ja postępową jestem, a Zbrhl apolityczny, jak to wojskowy. Nikt z nas nic do więdźm nie ma.

- Nie na miotle - wyprowadziła ją z błędu Petunka - jeno z miotłą. Może to i subtelna różnica, ale mnie już dwakroć palić chcieli, więc wdzięczna bym była, gdybyście faktów nie przekręcali.

- Trochę nierozsądne - zauważył Debren. - Z miotłą na gryfa? Lata się czy grzmoci, tak czy tak to nierozsądne.

- Machrusie... - Zbrhl wpatrywał się w złotowłosą z miną ubogiego dewota, znienacka obdarzonego pięcioszprychowym

kołem z pobjowiska nad Jondem. - Na takową bestię... ze szcztką w tych delikatnych rączkach...

- Psiakrew - zdenerwował się obiekt jego zachwyków. - Pójdiesz wreszcie, Yeżyn?! A wy mnie tu nie zagadujcie! Mam podzielną uwagę, panie Debren - posłała mu nieprzyjemny uśmiech. - Nie myślcie, że nie widzę, jak ręką koło rzyci manewrujecie. I nie mówcie, że to owsiki dokuczają. A ty, Lenda, przesuń się. Bo jak łajdak nóż wyciągnie, mogę cię siekańcami zahaczyć. Mam odtrutkę, ale marnie mi wyglądasz i mogłyby się wdać komplikacje.

- Idźcie - zwrócił się do oberżysty Debren. Wyjął dłoń zza pośladków, pokazał różdżkę. - To nie nóż.

- Nie jestem kretynka, Debren. Wiem przecież, że różdżka. A dokładniej: marna imitacja. Gdyby prawdziwa była, a ty prawdziwy czarodziej, całkiem inaczej byśmy...

- Stereotypy, siostró - westchnęła Lenda. - Też inaczej sobie magików wyobrażałam. A przy okazji, Debren: po co się w zadek drapiesz? W obecności dam nie wypada, nawet kijaszkiem. Wstydz się!

- Dudkaj się - mruknął. - Czaruję, cholera. Ostrzegałem, że jak cię zaczną nosić, rany mi się otworzą.

- Tam? - Podniosła się nieoczekiwanie, złapała go za łokieć, odwróciła. - Psiakrew, całe portki masz... To ten nietoperz? - zgadła. - Czemu nie gadasz, durniu?! Jad mógł mieć na zębach! Albo insze świństwo!

- Jad? - zaniepokoił się Zbrhl. Ruch jego dłoni, które spotkały się poniżej pleców, był aż nadto wymowny.

- I ty, miśku? - Petunka nie potrafiła wybrać między nieufnością a rozbawieniem. - Ciebie też nietoperz w zadek chapnął? Dziwna ta walka musiała być.

- Ściągaj portki - zażądała Lenda, popychając maguna w stronę stołu. - Jak się tego zaraz nie oczyści...

- Tak, tak - podchwycił Zbrhl, sunąc nie za szybko, ale wyraźnie w stronę szynkwasu. - Każda chwila droga.

Zajmij się lubym, a ja... Pani Petunko? Mogę na waszą pomoc liczyć? Dwie tu tylko jesteście, więc...

- Chyba że mnie dorachować - przypomniał Henza.

- Nie był jadowity. - Debren, trochę wystraszony, wyrwał się dziewczynie. - Sprawdziłem.

- Ale krew z ciebie cieknie - upierała się Lenda.

- Z ciebie też. - Petunka pogroziła rotmistrzowi hulaj-kulą, pokazała, by wracał. - Podejź no tu, gołąbeczko. Niech ci się przyjrzę. Jakoś nie mam pewności, czy cię czymś nie otumanili. Dziwnie się zachowujesz.

- Ranna jesteś?! - Zbrhl w końcu dopatrył się tego, co Debren próbował ukryć. - Łajno i kał, smarkulo przemądrzała! I nic nie mówisz?! Zahaczył cię, ścierwo? Debren, nie stój jak kolek! Z ranami żywota nie ma żartów!

Lenda zaklęła bezgłośnie, z rezygnacją. Po czym opadła na ławę, wsparła czoło o dłonie. Nie próbowała kryć twarzy, raczej unikała spojrzeń.

- Gospodarzu - Debren przywołał oberżystę, wtaczającego ogromne koło od wozu taborowego. - Dajcie to tutaj. - Nim Petunka zdążyła zareagować, położył dłoń na rdzawej obręczy. - Przysięgam na Boga i wszystko, co mi święte, zem pani Petunce fałszywego słowa nie rzekł i nigdy nie rzeknę, pod karą wiekuistego potępienia, amen. - Odsunął koło wraz z Vysedelem i podszedł do szynkwasu. - A teraz, miła pani, zajmij się Lendą. Mamy konia i srebrną kulkę, więc o zapłatę się nie obawiaj. Na łaźnię, trochę szarpi i trochę serca powinno wystarczyć.

Klepsydra wskazywała dziewiątą, kiedy Debren zszedł do stołowej i z westchnieniem opadł na ławę. Rotmistrz, nie pytając, podsunął kufel. Oprócz kufli na stole stała nieduża baryłka i duża miska z kaszą, skwarkami i paroma łyżkami. Kasza wystygła. Najwyraźniej z łaźnią było nie mniej zachodu niż z kręgosłupem Henzy.

- Pobledliście - zauważył Yeżyn. - Aż tak z nim źle? Debren

osuszył kufel, mimochodem odnotowując, że piwo jest przednie, wehrleńskie.

- Dwa żebra pęknięte i siniec jak ta misa. No i musiałem go uśpić. Nie nadaje się na pacjenta. Sondowanie na luźnych mięśniach przeprowadzać trzeba, a ten, jak się spał, mało łoża nie rozwalił. - Zerknął na oberżystę. - Też archaiczne je macie, kuse jak na dzisiejszą populację.

- Chędożyć łoże - burknął Zbrhl. - O Henzie gadaj. Z dołu było słyhać, jaki zabieg ciężki. Nie kręć, jeno brutalną prawdę wal prosto w oczy.

- Było słyhać? - westchnął czarodziej. - Myślałem...

- Łupnęło, aż podskoczyli - potwierdził Vysedel. - To prostowany grzbiet taki huk czyni, czy może usypianie?

- Głupiś, Yeżyn - uprzedził Debrena Zbrhl. - Narkozę młotem się robi owiniętym w skóry, dźwięk jest całkiem inny. A znowuż jakby Debr en zwykłego kołka użył, to wsadziłby najpierw kapalin na łeb pacjenta i usłyszałbyś jakby gong. Henza łeb ma mocno zakuty sam w sobie, ale jak hełm pod ręką, po cóż ryzykować.

- Młotem w głowę? - skrzywił się Debren. - Czarem go uśpiłem. A ów dźwięk... Przykro mi, panie Vysedel, ale źle moc skalkulowałem. Drewno mokre. Musiałem szybko czegoś do paleniska dorzucić, no i... no, zydel poszedł.

- Oj - zmartwił się oberżysta. - Zabytkowy.

- Odpracuję - obiecał Debren. - Henza jakąś niedzielę poleży. Lendy też nie chciałbym z łoża wypuszczać wcześniej niż... nie śmiej się głupawo, Zbrhl, tylko poczekaj, aż skończę. Z tego wynika, że trochę tu...

- A kto by chciał? - zignorował apel rotmistrz, nalewając sobie kolejną porcję. - Dziewka jak ta rzepa, jeno zęby wgrzyzać i soki lizać. A jak jej włosy odrosną, to może i urodziwa się zrobi. Więc się nie tłumacz. Bo i atmosfera w tej oberży jakaś taka osobliwa. To pewnie za sprawą twej małżonki, Yeżyn. Jej ciepło i urok, jej dowcip i... - Wprawdzie

to Debren, a nie zajęty kaszą gospodarz, posłał mu zdziwione spojrzenie, ale zmiłygował się. - Znaczy, chciałem rzec, że nazwę tak dowcipną pani Petunka obmyśliła, że i bez własnej woli człek w romantyczność popada.

- He?

- No, te cnotliwe księżniczki... Przyznasz, że brzmi pikantnie.

- Pi... że jak?

- Pieprznie - odpowiedział Debren, nabierając kaszy z mało ruszanego miejsca.

- Aha - zrozumiał Yeżyn. - Co prawda, to prawda. Popieprzyło nam to życie, a i niejednemu tak przypieprzyło, że się nogami i dekle od trumny nakrył. Drogą cenę przyszło płacić za ten pukiel czarnych włosów, wybranemu posłany w... Co wam, panie magun?

Zbrhl, nie zadając głupich pytań, grzotnął Debrena między łopatki. Dopiero potem wyjaśnił:

- Kasza za słabo kraszona. Jak tłuszcz ziaren nie skleja, to tak się to może skończyć. Zakrztuszenie, a nawet zgon. Zetknąłem się z teorią, że to dlatego śmiertelność pośród plebsu wyższa jest niżli wśród zamożnych.

- Ano tak - westchnął oberżysta. - Sucha ta kasza, ubożuchna. Chudzina był z Szalamajki.

- To Szalamajka? - Zbrhl przyjrzał się nielicznym skwarkom. - Koguta do kaszy daliście? Osobliwa kuchnia. Twoja teściowa skąd była? Z Marimalu może? Ci koguty w wielkim poważaniu mają, to pewnie i z kaszą...

- Teściowa była tutejsza, cnotliwa... Znaczy w „Cnotce” rodzona - dorzucił oberżysta, widząc malujące się na twarzy Zbrhla zdumienie. - Bo tak ogólnie... no, wiadomo: teściowa. To i warzyła po naszymu. Tyle że tu, u nas, nie da się normalnego jadłospisu utrzymać. Przez te obesrańce, gryfy, człek nigdy nie wie, co do garnka włoży. I cieszy się, jak w ogóle coś do włożenia jest. I garnek jaki.



- Garnek? - Debren nadal kasłał, dochodząc do siebie po zbyt chudej kaszy, więc rotmistrz przejął ciężar prowadzenia rozmowy. - Aż tak marnie interes idzie?

- Ano marnie. Ale z garnkami to, po prawdzie, trochę insza historia. Latacze je, widzicie, kradną albo tłuką. Wywieszisz na płocie, jak się w porządnym domu godzi, a tu przyleci paskudnik, szast-prast i kupa skorup jeno.

- Gryf? - wychrypiał Debren.

- Gryf czasem też. Choć ten, jak się już zjawi, to pół płotu od razu... Ale głównie te jego pomocniki-nocniki. Nietoperze znaczy. I ten papuga.

- Wasz gryf ma jurystę? - oburzył się Zbrhl. - A to skurwiel chędożony! Od razu mi się nie podobał!

- Żartujecie, panie rotmistrzu... - Vysedel zamrugał powiekami. - Jakże to tak? Potwór? Jurystę?

- Na Małym Czyraku... - Zbrhl wychwycił ostrzegawcze spojrzenie Debrena i ugryzł się w język. - No, mniejsza... Znaczy, powiadasz, latacze wojnę szarpaną przeciw wam prowadzą. No cóż, w lesie żyją, to i nie dziwota. Ale że się gryf nie sroma na durne garnki nastawać... No i miotłą odganiać... Dobrze Petunka mówiła: za mądry nie jest.

- Bo z pawicy rodzony - przypomniał Yeżyn. - Ale względem miotły i garnków, to nie tak. On, widzicie, mojej Petunki nie rusza.

- I chwalić Boga - powiedział szybko Zbrhl, odpukując ukradkiem w stół. - Choć, po prawdzie, to dopiero ewidentny przejaw durności. Taką niewiastę ignorować! Dziw, że się jełop o jakieś drzewo nie zabił.

- Względem tych czarnych włosów... - zaczął niepewnie Debren. Nie zwrócili na niego uwagi.

- Jeszcze się taki nie urodził, któren by moją Petunkę wziął i zignorował! - oburzył się oberżysta. - To złoto, nie baba! - Zbrhl ochoczo przytaknął. Yeżyn uspokoił się, nabrał kaszy. - Sęk w tym, że „Cnotka” po kądzieli z pokolenia na pokolenie

przechodzi. Niewiasty, znaczy, dziedziczą. To i niewiastom łatwiej tu śmierci naturalnej dożyć niżli chłopom. Teścia, przykładowo, stary gryf, Domorzec ze Starogrodu, ojciec Pisklaka, rozpruł od brody po przyrodzenie, jak z fury wysiadał, co go tu ze ślubu przywiozła. Dlatego krzywd nieboszczce teściowej nie wypominam: mało która białogłowa nie zgorzknieje, jak w dzień wesela wdową zostanie. I dziewczicą w dodatku.

- Eee... czekaj, Yeżyn, bom się ciut pogubił...

- A cóż tu skomplikowanego? Toć jak kogo gryf pazurem od gardła po krocze rozplata, to mu trudno o żonce myśleć, choćby młodziutkiej i jeszcze nie skon... no... skonfudowanej.

- Skonsumowanej - poprawił odruchowo Debren. - Panie Yeżyn, to, co o włosach mówiliście...

- Aha. - Zbrhl znów był na bieżąco. - Znaczy: do pokładzin nie doszło. No cóż, smutne, ale każda tarcza ma dwie strony. Na taką wdówkę prędzej się chętny znajdzie. Zwłaszcza, daruj, Yeżyn, pośród plebejuszy. Po zamkach to się na takie przesady za bardzo nie zwraca uwagi, ale włościństwo, jak we wczesnowieczu, cnotę sobie wysoce ceni. Zgaduję, że nieboszczka szybko pocieszyciela znalazła. Znaczy: męża drugiego.

- No... - Vysedel obejrzał się przez ramię, na drzwi. - Tylko nie mówcie Petunce, zem wam mówił. Dumna jest.

- To nie mów - wykorzystał okazję Debren. - Wróćmy może do czarnych...

- Teściowa już za mąż nie wyszła - oznajmił Vysedel konfidencyjnym półgłosem. - Co mnie nie dziwi, bo kawał sekutnicy i cholery z niej był. A i urody mdłej jakby.

- Aha. Więc teś... - Zbrhl urwał. Przez chwilę wpatrywał się w gospodarza lekko tępowym spojrzeniem. Które stopniowo dorabiało się gniewnego poblasku. Debren przezornie odstawił kubek. - Zaraz, Yeżyn... Czyś ty aby nie powiedział właśnie...? Zdajesz sobie sprawę, żeś nazwał mo... to znaczy

swoją niewiastę bardzo nieładnie?

- Że bękarca niby? - westchnął Vysedel. - A pewnie, że zdaje. Sama tak o sobie w chwilach goryczy mawia.

- Najporządniejszym się zdarza - pocieszył obu Debren. - Zamknijmy ów przykry temat i pomówmy...

- A mnie się widzi - zignorował go Zbrhl - że Petunka nie jest żaden bękart, jeno dziecię ślubne inaczej.

- Hę? - Vysedelowi pojęcie to było najwyraźniej obce.

- No wiesz: zrodzone z małżonków prawowitych, tyle że nie całkiem w czasie dla reszty noworodków typowym. Przykładowo, ociupinę wcześniej. Miesiąc po nocy poślubnej, dajmy na to.

- Albo szesnaście miesięcy - uzupełnił Debren. - Po zejściu męża, ma się rozumieć. Jeden znajomy jurysta wykladał mi, nudę żeglugi umilając, iż w krajach bardziej rozwiniętych w świetle prawa nijaki wniosek nie wypływa z faktu, że żona dziecko powije, kiedy z męża golutki szkielet ostał. Z drugim gorzej, ale pierwszy pogrobowiec może być legalnie mocno w matczynym żywocie przenoszony. Rekord siedem lat wynosi i siedem miesięcy. Sporo, ale zbieg owych cyfr dał Venderkowi argumenty nie do odparcia. Otóż dwie siódemki szczęście potomkowi zapewniają, i to z myślą o życzliwości losu rodzice mogli tak maleństwo płodzić, by się nie spieszyło z rodzeniem.

- A... aha! - Oberżysta zrozumiał. - Znaczy, grzeszenie legalne jest, tyle że jeden raz?

- I z dobrym jurystą.

Vysedel westchnął. Sięgnął po kufel, podstawił pod kurek baryłki, po czym cofnął pospiesznie.

- Co, Petunka pić nie daje? - domyślił się Zbrhl. - Nie ma żon doskonałych. A skoro już o opp Gremka zahaczyliśmy, papugę chędożonego, to ci podpowiem, Yeżyn, że jakbyś chciał rozwód uzyskać, masz wyśmienity argument. Onże Venderk karczmarza reprezentował, co żonę starą chciał na

młódkę zamienić. No to wpisali w pozew, że mu pić broni. A wiadomo: szynkarz abstynent zagraża bezpieczeństwu klienta. Bo jak, przykładowo, beczki pomyli i ługu w kufel naleje? Albo, założymy, gorzałki? Toż klient, z lekka już podchmielony, różnicy może nie dostrzec, kwartę z rozpędu tego niby-piwa w gardło wleje i się gotów przekręcić. No i karczmarz, wystaw sobie, sprawę wygrał. Jeszcze na tym zarobił, bo mu obroty podskoczyły. Schodzili się inni mężowie, o radę pytali... Nic ci nie sugeruję, ale jak szukasz sposobu na ożywienie interesu...

- Zbrhl żartuje - zapewnił na wszelki wypadek Debren. Niepotrzebnie: wyglądało na to, że gospodarz pozostaje ślepy na coraz bardziej ewidentne sygnały.

- Petunka piwo jako takie pić zezwala - zerknął smętnie na baryłkę. - Tyle że własnego warzenia albo kupne.

- A jakie inne bywają? - zdziwił się Zbrhl. Po czym zapytał, z lekka zaniepokojony: - Wyczarowane? Chcesz rzec, że ona jednak... na tej miotle... czasami...?

- Nie - westchnął Vysedel. - Dobrze by było. Pamiętałbym, jak piwo smakuje. A tak to... Nie stać nas na kupne, a własnego nie ma z czego robić. Odkąd Pisklak ostatniego większego zwierza nam ubił, motyką poletko kopię, a wiadomo: z motykowego rolnictwa piwa nie będzie. Dobrze, jeśli głodem nie przymieramy.

- Aha. - Zbrhl napełnił kufel. - Czyli to tutaj jeno dla gości? Chwali ci się, że tak o rodzinę dbasz. Ale jak już ów antałek kupiłem, może się z nami napijesz?

- Kupiłeś? - Debren ocenił rozmiary beczułki.

- Na borg wziąłem. Pod zabezpieczenie złota z tego kufra, co to mi go gryf ukradł.

- Zgaduję, że nie z panią Petunką zawierałeś umowę.

- Eee... Akurat wyszła. Do łaźni, z Lendą. Toć nie mogłem przeszkadzać - Zbrhl urwał, zmarszczył czoło. - A wiesz, chyba masz rację. Grzeczność wymaga, by i gospodynię zapytać. - Zaczął wstawać. - Skoczę, w okienko zapukam. Macie okienko

w łaźni, mam nadzieję? Albo choć szparę większą, przez którą by można...?

- Siadaj - rzucił chłodno Debren. W głosie miał coś, co skłoniło rotmistrza do szybkiego powrotu na ławę.

- Okien nie ma - powiedział Yeżyn. - Z otworów nasza łaźnia ma jedno deskę wyłamaną... zaraz, niech porachuję... będzie dwieście i dwa lata temu.

- Dwieście dwa lata łaźnia stoi? Dziurawa? - Zbrhl zaczął się podnosić. - To się pewnie dziura powiększyła i... no, bezpieczeństwu zagraża. Przejdę się jednak. Gdyby, nie daj Boże, coś się znów walić miało, przyda się w pobliżu silne męskie ramię, które by Petunkę mogło...

- Siedz - warknął magun. Zbrhl, niemile zdziwiony, usiadł i posłał za stół pytające spojrzenie. Debren dorzucił łagodniej: - Nie godzi się rotmistrzowi poważnemu koło dziur kręcić, co to je gówniarze w wiadomym celu porobili.

Zbrhl pokrył zmieszanie fałszywym uśmiechem.

- A ty, Yeżyn - zwrócił się czarodziej do oberżysty - mógłbyś dziurę załatać. Dwieście dwa lata to sporo; nie mów, że jakoś nie było kiedy.

- Nie łatalim, znaczy ja i ci przede mną, bo pamiątkowa i może jeszcze kiedyś „Cnotce” dochodu przysporzy.

- Wolę nie pytać, w jaki sposób. Uprzedzę tylko, że jeśli od Lendy zaczniesz tą metodą zarabiać, to cię może cholernie mocna lekcja dobrych manier spotkać.

- No co też wy, panie Debren! Ja nie o tym... Owszem, myślałem, by drobną opłatę pobierać za gapienie się, ale na dziurę, nie zaś przez nią. Bo ta dziura dużo ciekawsza od owych, które... To znaczy: pamiątkę stanowi. Po bohaterze narodowym, patriotcie i wielkim człowieku. Któren własną ręką deskę wyłamał.

- Nic już lepiej nie mów - mruknął Zbrhl. - I tak się po tamtej stronie gór naśmiewają z Morvaców, że patriotyzm się u nich w picciu piwa i żarciu knedli przejawia. Jak się jeszcze

wieść rozejdzie, że za bohaterów mamy takich, co się na podglądanie bab kąpiących ważą, to całkiem...

- Ale ja o królewiczu Pretokarze mówię! Chyba nie powiecie, że patriotą nie był! A niby kto Smoyeed spustoszył? Kto Lelonię najechał, trzydzieści sześć grodów pałac i wsi bez liku? Kto się z cesarzem aż do Bootalyi wyprawiał i łupy na tysiącu fur przywiózł?

- Zaraz... Chcesz rzec, że to wielki Pretokar ową deskę...? Ten sam, którego z racji nadmiernej wstrzemięźliwości własna małżonka Mnichem zwała?

- Tenże. Tyle że kawalerem będąc. Z grubsza, znaczy.

- Z grubsza? Z grubsza to można być dziewicą, znane są takowe przypadki. Ale kawalerem? Wiesz co, Yeżyn? Chyba już wiem, czemu ci żona piwa odmawia. Bo i na trzeźwo banialuki pleciesz.

- Ja? Banialuki? Toć klarownie na wszystkie pytania odpowiadam! Co chcecie wiedzieć? No, słucham?

- Co miało znaczyć to o posyłaniu czarnych włosów - uprzedził rotmistrza Debren. - Powiedziałaś, że niejeden przyplacił śmiercią...

- A co to ma wspólnego ze sławnym Pretokarem? - oburzył się Zbrhl. - Zaiste, jak tak będziemy po tematach skakać, to nic mądrego nam Yeżyn nie zdąży powiedzieć.

- No jakże: co ma? - zdziwił się Yeżyn. - Toć właśnie jemu księżniczka ów pukiel włosów posłała. Nie sam, oczywiście. Belniczanie gołodupcy są, ale to ostatecznie księżniczka była. A że chciała sprytnym fortem serce królewicza pozyskać, to mu owe kudły wepchnęła... nie zgadnicie do czego.

- W poduszkę? - wymamrotał trochę rozkojarzony Debren. Obrzucili go zdumionymi spojrzeniami.

- W poduszkę? - powtórzył z niedowierzaniem Vysedel. - Co wam do głowy strzeliło? Kto normalny włosy w poduszkę kładzie i potencjalnemu mężowi śle?

- Nikt.

Odwrócili się całą trójką. I całą trójką znieruchomieli.

Przy drzwiach na podwórze stały dwie Petuhki. Obie złotowłose, choć ta z lewej bardziej. Obie wysokie, postawne, choć ta z lewej wyższa. Obie w błękitnych sukniach, w obu przypadkach na tyle kusych, że ukazywały zgrabne łydki i zaczerwienione, bose stopy, na których szybko topniały drobiny śniegu. Obie niebieskookie, o ciut za długich, prostych nosach i ciut wysuniętych dolnych wargach, które zdawały się prowokować do całowania. Obie na swój sposób śliczne, jeśli ktoś gustował w niewiastach, które nie ciełym urokiem podbijają męskie serca. Obie wreszcie zarumienione, jak przystało na kogoś, kto wraca z łaźni.

- Le... enda? - Debrenowi zaschło w gardle.

- To peruka - poderwała dłoń, przejechała palcami po lejącym się złocie. Za szybko. Natychmiast odczytał motywy. Jestem brzydka, mówiła, nie patrz tak, przestań, nim zaczniesz, bo potem przyjdzie zawód, rozczarowanie i pokaleczysz mnie, zranisz... Przestał więc.

- A jak się komu nie widzi - rzuciła ostrzejszym tonem właścicielka mniej złotych, za to własnych włosów - to niech się hamuje zimnymi kąpielami, a nie...

- Siostró... - szepnęła Lenda. - Proszę.

Przez chwilę znów było cicho. Zbrhl i Vysedel nie wzięli przykładu z Debrena i w niemym zachwycie sycili oczy cudnym zjawiskiem. Dokładniej: jego prawą, niższą i mniej zarumienioną stroną.

- I czego się tak gapicie? - ofuknęła ich w końcu prawa strona. - Lepiej miejsce przy stole zróbcie. Napiałabym się... Zaraz, zaraz... zaraza! Yeżyn?! Co to za baryłka?!

- Pana Zbrhla - powiedział szybko lekko pobladły oberżysta.  
- A ja ani kropli, przysięgam! Kaszę aby...

Petunka postąpiła chwilę, marszcząc brwi, po czym rozchmurzyła twarz i łaskawie skinęła głową.

- Aha. Więc bądź tak dobry, skocz do piwniczki i przynieś

mi coś zimnego. Aha, i ciżmy przynieś, co?

Gospodarza wymiotło z izby. Zbrhl poderwał się ochoczo, poprzesuwał ławą w tę i z powrotem, niczym rycerz krzesłem przed damą. Bez sensu, bo Petunka i tak musiała przekładać nogi górą.

- Nie patrzcie tak - uśmiechnęła się pod nosem, ale nie bardzo się starała, by jak najszybciej pokonać przeszkodę i skryć nogi pod stołem. - Bo się pąsem obleję.

- By... być nie może - wymamrotał. - Takiej cery już w niczym poprawić... Róż żeście do kąpieli używały?

- Witek brzożowych, wody, kamieni i mydła. Szarego. - Debren wyczuł, że z lekkim żalem posłużyła się konkretnym, odrobinę kpiącym tonem, mającym sprowadzić mężczyznę na ziemię. - Jak to w łaźni. Lendzie byś lepiej pomógł, miśku. Nogi ma paskudnie pokiereszowane.

- Lenda? - Debren był już w połowie drogi do drzwi i stojącej przy nich dziewczyny. - Mówiłem: zaniosę cię.

- Może nie skaczę - wstrzymała go gestem, ruszając całkiem sprawnym krokiem - ale chodzić mogę. Juzem ci mówiła: rany na mnie zawsze jak na psie...

- Praktyka czyni cuda - rzuciła Petunka, patrząc niezbyt przyjaźnie na Debrena. - Lenda mi rzecz objaśniała, więc przyjmuję, że to nie twoja robota, ale... Mógłbyś się pospieszyć. Wiesz, o czym mówię.

Debren wiedział. Z grubsza. Widział też, dlaczego twarz Lendy płonie takim rumieńcem.

Usiedli na jednej ławie, choć nie za blisko. Zbrhl też nie przysuwał się zanadto do gospodyni, co z jego punktu widzenia miało tę zaletę, iż pozwalało zerkać w dół, na bosc stopy Petunki. Debren błyskawicznie go wyczuł: sam też spoglądał pod stół przy każdej okazji. Tyle że nie oberżystką się interesował.

- Nalej uczennicy, Debren. A ty, Lenda, bierz łyżkę i jedz. Panie Zbrhl, coś wam pod stół spadło? Czy widok golizny



psuje wam apetyt? Jeśli tak, darujcie. Butom w łaźni para szkodzi, tośmy bosy poszły.

- Chyba żeście rozum postradali, pani!

- Zaręczam ci, że nie. Mogę podać więcej powodów. Raz, że na obuwiu się oszczędza. Dwa, że pozostawione przed łaźnią buty może któryś z pacholków Pisklaka ukraść. Trzy, że ciszej stając, łatwiej człek usłyszy, iż się niebezpieczeństwo zbliża. Moją bratową, świeć Panie nad jej duszą, właśnie przez to gryf porwał i potem o skały roztrzaskał, że w drewniakach do łaźni szła.

- Eee... no tak. Po takowych przejściach... Nie dziwota, że jak ten duch stąpacie. Po części pewnie z zasługi stopek tak zmysło... zmyślnie, znaczy, uformowanych. Aż miło patrzeć, jak to natura potrafi. Darujcie, że raz i drugi zerknąłem, ale jak takie cudo żołnierzowi w oko wpadnie... Bo - wyjaśnił z powagą - z czysto żołnierskiej perspektywy im się przyglądam. W porządnej rocie schemat organizacyjny przewiduje i zwiad. Tedy próbuję zapamiętać, jakich to nówek mam wypatrywać, by cichszego zwiadowcę znaleźć. - Słuchała z cieniem życzliwego uśmiechu, wobec czego zaproponował: - Wyczuwam w was patriotkę, więc może... dla podwyższenia obronności ojczyzny, znaczy... Moglibyście nóżki tu, na ławie...?

- Miśku - mruknęła ni to miękkim, ni szorstkim głosem, w którym każdy mógł znaleźć coś dla siebie - jedz lepiej.

Jedli. Miska była spora, a i tak niektóre łyżki zderzały się ze sobą, umykały na boki, by dwie porcje później znów trafić w to samo miejsce. Gdy wrócił Vysedel, w naczyniu jakby przybyło miejsca. Już tylko łyżka Debrena podsuwała rzadko rozsiane drobiny mięsa łyżce Lendy.

- Proszę cizmy. Tu piwo dla ciebie, miła. Belnicki cienkusz z kontrabandy. A tu cizmy dla panienki Lendy. Jako siostry mi się tam, przy drzwiach, widziałyście, tom pomyślał, że stare buciki Petunki jak raz się przydadzą. Za duże kupiłem na

jarmarku. Słomy tyle wchodziło, że parę razy jeno je włożyła, jakeśmy się na jarmark wypuścili. Kiedyś zimą szkapina nam zasłabła, stanęła, iść nie chce. Dookoła jeno mech, badyle, pewna kolka dla konia, zaparcie albo i co gorszego. To Petunka z siodła, buty z nóg, słoma z butów i, wystawcie sobie, tak się chabeta nażarła, że galopem... Tak że, można rzec, życie nam ciżemki ocaliły. Bo się już dookoła wilcy zwoływali.

- Zaiste - przyznał Zbrhl. - Czólna, nie ciżmy. Trzeźwy to ty nie byłeś, Yeżyn, gdyś kupował. No, ale to i lepiej. Nasza koza...

- W nogi nie marznie - rzuciła przez zęby Lenda. Znów pąsowa bardziej, niż wynikało z pobytu w łaźni. - I pamiątek nikogo nie pozbawia.

Vysedel wzruszył ramionami, usiadł obok żony.

- A właśnie - przypomniał sobie, sięgając po łyżkę. - O pamiątkach mówiliśmy. Dziurze panny „L” mianowicie.

Debren raz jeszcze udowodnił, że nie powinien jadać mało tłustej kaszy. Tym razem obyło się bez walenia w plecy. Lenda, siedząca najbliżej, też miała problemy z kaszą. Nie mogła mianowicie udźwignąć tej na łyżce.

- Co... coście rzekli? - zapytała cicho. Nie zabrzmiało to łagodnie. Na szczęście Vysedel, jak to pocziwiec, niczego nie zauważył.

- No, o tej w łaźni. Cośmy o niej z mistrzem Debrenem w kontekście podglądania gawędzili.

- Debren? - posłała mu spojrzenie nawet nie tyle złe, co żalosalne, pełne niedowierzania. - I ty...?

Próbował zaprzeczać, ale kasza w tchawicy nie pozwalała. Machał więc tylko dłonią, krztusił się i próbował przypomnieć sobie jakieś sensowne zaklęcie. Na kaszę albo, jak się nie da, na spopielenie wzrokiem kretynów.

- Yeżyn nie o tobie myślał. - Petunka bez zapału odłożyła łyżkę. - Zaufałaś mi, więc winna ci jestem wyjaśnienie. Wam

wszystkim zresztą. Za przyjęcie nadto szorstkie.

- Dach ci popsulem - powiedział ze skruchą Zbrhl. - Nic dziwnego, żeś się ciut rozsierdziła.

- Właśnie od dachu się zaczęło. A konkretnie śniegu. Nie jesteście stąd, to nie możecie wiedzieć, ale o tej porze takie opady prawie na pewno jedno znaczą: że te psie syny szykują coś podłego.

- Psie syny? Znaczy... gryfowi? Pisklak i nietoperze?

- Nie, miśku. O Belniczanach mówię.

Debren zerknął ostrożnie na Lendę. Stwierdził z ulgą, że jej twarz nie wyraża żadnych emocji.

- Co ma śnieg do Belniczan?

- Trzy razy się za mego życia takie opady zdarzyły w końcu grudnia. Wiatrem nie poprzedzone, nie do przewidzenia wcześniej. Raz kordoniarze belnickiego księcia czarownicę tropili, co dziecko do terminu skradła. Raz Gwadryk Palisada, pan na Belnicy, najazd urządził. O co chodziło przy trzeciej śnieżycy, nie wiem. Ale o coś ważnego na pewno. Po tamtej stronie gór wielki ruch panował, szukali kogoś. Krótko mówiąc: ilekroć za mocno pada, gdy nie powinno, lepiej na wschód patrzeć i broń mocno trzymać. Bo zwykle, nawet jak samo wojsko granicy nie przekroczy, to luźne kupy już tak. Pałą, mordują, gwałcą... Nic dobrego taki śnieg nie niesie.

- Może to przypadek - mruknął Debren. - Dwa potwierdzone związki przyczynowo-skutkowe nietypowych opadów z ruchami wojsk na lat... no...

- Nie męcz się - posłała mu uśmiech. - Czterdzieści trzy już mam. Więc niby racja. Jedna korelacja na dwudziestolecie z hakiem. Tyle że wcześniej podobnie bywało, a rzadkość zdarzeń tego jeno dowodzi, iż z byle powodu po tak potężne środki nie sięgają. Trzeba drogich czarów, by na setkach mil kwadratowych śnieżycę wywołać. Myślę, że tylko na książęcy rozkaz tak...

- Toś mnie wzięła za belnickiego zbója? - rozczulił się Zbrhl.

- Biedactwo ty mo... znaczy... strasznie mi przykro. Ale żeby mnie z tymi łajdakami pomylić... To pewnie z tego życia w ciągłej grozie. Yeżyn wspomniał, że ci gryf ojca ubił. Ty mówisz: bratową. Zwierzęta wybija, garnki... Istny dopust boży. Że też nikt nie zrobił porządku z plugawym rodem. To już, powiadasz, czterdzieści lat i... Nie zmyślasz aby? - uśmiechnął się niepewnie. - Względem wieku, znaczy? Jak siostry z Lendą wyglądacie.

- Dzięki, Zbrhl - rzuciła Lenda lekko gorzkim, ale wolnym od gniewu tonem.

- Dzięki, miśku - zarumieniła się Petunka. - Choć może nie pij więcej. Matką mogłabym jej być.

- Eee, przesadzasz. - Rotmistrz oderwał na moment trochę nieprzytomne spojrzenie od oberżystki. - Ile ty masz wiosen, kozo?

- Sto trzydzieści - mruknęła, uśmiechając się krzywo.

- Trzydzieści? - Nie dosłyszał. - No, widzicie? Mówiłem. Petunka musiałaby mieć trzynaście, na świat dziecko, znaczy się kozę, wydając. Bzdura oczywista.

- Czemu? - sprzeciwił się Vysedel. - Panna „L” tyle właśnie miała, jak się puściła. I to nie pierwszy raz.

Debren zerknął z niepokojem na Lendę. Słusznie. Oczy miała wąskie, kocie.

- Panie Yeżyn - powiedziała cicho - jeśli to jakieś durne żarciki, których nie pojmuję, lepiej dla was będzie...

- Spokojnie. - Petunka wyczuła, że znalazła się blisko wdowieństwa. - Yeżyn, ręczę ci, to ostatnia osoba zdolna z kogoś kpić. - Uśmiechnęła się niezbyt radośnie. - Po prostu zabroniłam mu wymieniać to przekłete imię. Oczywiście nie ciebie ma na myśli. Musiałabyś mieć nie sto trzydzieści, a dwieście piętnaście lat. Bo księżniczka Ledoszka, srał pies na jej mogiłę, urządziła nas tak, jak widzisz, w roku machrusowym 9. Lat trzynaście mając.

- Ledoszka? - Lenda zamrugała pozbawionymi rzęs

powiekami. - Księżniczka?

- Belnicka, ma się rozumieć. Wszystkie one słynęły z puszczalskiej natury. Matka aktualnie panującego Gwadryka, przykładowo, powiła łajdaka mając jedenaście lat z kawalkiem. Czym baby w tym parszywym rodzie myślą, nie będę przy stole mówić.

- Nie lubisz ich chyba, siostró - powiedziała powoli Lenda. - Za obyczaje czy może...?

- Za jedno i drugie. - W błękitnych oczach Petunki zalśniły okruchy lodu. Z gatunku tego, co to rozpruwa kadłuby statków na wodach Wolkanii. - Za to, że łajdaków rodzą, którzy nasz kraj napadają, mordują, gwałcą, i za to, że się puszczają bez opamiętania, nie bacząc na skutki. Za siedem pokoleń moich matek i babek, które dwa stulecia swoje koło na grzbiecie dźwigały. Dużo cięższe od tego - wskazała oparty o szynkwias kołofiks znad Jondu. - Za to, że przez te siedem pokoleń ledwie trzy niewiasty z naszego rodu męża znalazły, a z tych trzech jedna jedyna pierworodne dziecko powiła zgodnie z boskim nakazem, czyli z lędźwi ślubnego poczęte.

Coś zalśniło w jej oczach, zadrżało, by szybko zniknąć pod długimi rzęsami. Przez chwilę patrzyła na stół.

- Ty, jak rozumiem, ósme pokolenie stanowisz? - zaniepokoił się Zbrhl. Zignorowała go, sięgając po kufel belnickiego. Nie odważył się ponowić pytania. Powstrzymał go Yeżyn, kręcący głową i demonstrujący wszem i wobec dłonie z rozprostowaną siódemką palców. Zbrhl, lekko oszołomiony, wziął przykład z Petunki i chwycił kufel.

- Wybaczcie. - Uśmiech złotowłosej wydał się Debrenowi równie blady, jak resztki piany na jej ustach. - Rzadko wracam myślami do tych tragicznych wydarzeń, więc ciut... Na czym stanęliśmy?

- Na tym - zaczęła Lenda, patrząc gdzieś w bok - że i w twoim rodzie z prokreacją...

- ...były problemy - wszedł jej w słowo Debren. Póki co,

mówiący może nawet to samo, ale tonem zupełnie nie takim samym. Postarał się, by zabrzmiało to miękko. Z powodzeniem chyba: Petunka posłała mu spojrzenie niemal ciepłe, zaś Zbrhl i Vysedel podejrzliwe. - Uzasadnione i w niczym przez babki pani Petunki niezawinione.

- Ciekawość, skąd tyle wiesz na ten...

- Lenda! - rzucił ostro. Umilkła. - Pani Petunko, proszę kontynuować. Lenda... no, wam chyba nie muszę tłumaczyć, czemu ma w tych dniach podlejszy humor.

- Nie musisz. A przy okazji: w takich dniach powinieneś dać uczniom więcej czasu i więcej... środków. Milcz, Yeżyn - uciszyła męża, próbującego dowiedzieć się, o czym mowa. - Kończąc przeprosiny: z tych siedmiu pokoleń, a niewiast w sumie trzynastu, bo o tych z krwi Petuneli Wyklętej mówię, różne bratowe, szwagierki czy teściowe pomijając, większość śmiercią tragiczną zginęła. Owdowiały zaś, bez wyjątku, wszystkie. O ile raczycie, do ciebie głównie mówię, Lenda, uznać za owdowienie utratę chłopca, z którym się dzieli łożo. Niektóre partnerów życiowych traciły z przyczyn jeno pośrednio z gryfami związanych, ale większość Starogrodczyk i jego latająca kompania uśmiercili. Babki zresztą też. Różnica do tego się sprowadzała, że jako babki właśnie, znaczy, gdy niewiasta z naszego rodu spadkobierczyni się dochowała i stara już była, Domorzec regułę niepisaną wprowadził, iż gospodyni ginie, gdy zostaje babką.

- Chciał mieć pewność, że się ród nie urwie - zgadł Debren. - Niegłupie. Ale ciut ryzykowne. Dzieci, jak wia domo, często mrą przed pierwszymi urodzinami. Na miejscu gryfa poczekałbym na dwójkę, trójkę...

- O czym ty prawisz? - Zbrhl przyjrzał mu się podejrzliwie. - Co ma gryf do śmiertelności niemowląt?

- Debren - wyjaśniła Petunka - jako czarodziej w mig się domyślił, o co chodzi. Żeśmy klątwą potężną obłożone. My, potomkinie Petuneli, i nasza oberża. - Uśmiechnęła się słabo

do Zbrhla. - Tedy wybacz, miśku, żem ci gnicia jajec życzyła. Gdy śnieg zaczął walić, pewna byłam, że to na mnie pora przyszła. I jak huknęło łamanym dachem... No i bluznęłam bez zastanowienia. Wybacz.

- Eee - machnął ręką. - Jakby wojakowi od byle słowa grubszego miała się krzywda dziać, to nie tylko pierwszej bitwy, ale i unitarki by nie przeżył. Tak - pokiwał głową. - Unitarki zwłaszcza.

Zmarszczyła brwi. Debren dopiero teraz zauważył, że ma je dziwnie ciemne jak na blondynkę. Usta też miała bardziej czerwone, niż można by oczekiwać. Pomyślał, że w łaźni, jeśli dobrze poszukać, znalazłoby się coś więcej niż witki brzozowe, woda, kamienie i mydło.

- Nie bagatelizuj tego. Tu, u nas, klątwy potężną moc miewają, więc może i taka, przypadkowa... ale do rzeczy. Otóż tak się złożyło, że król Morvacu w roku 9 zmarł przedwcześnie i...

- Jak dla kogo - wymruczała Lenda.

- ...i tragicznie. Dwie sieroty zostawiając...

- Na marimalską francie z powikłaniami - ciągnęła Lenda, fakt, że półgłosem.

- Dwie sieroty, powiadam...

- Byczki po siedemnaście wiosen, jako tury.

- ...nagłością ojcowego zgonu zaskoczone.

- Ba! Któż mógł przypuszczać, że stary cap właśnie w zamtuzie zacznie gwałcić, mając do dyspozycji całą Belnicę szturmem wziętą, paloną i plądrowaną.

- Lenda! - rzucił błagalnie Debren. Petunka odwdzieczyła mu się ciepłym spojrzeniem.

- Dramat od tego się zaczął - ciągnęła - że królewicze bliźniakami byli. Pierworodnymi w dodatku.

- Któryś zawsze bardziej bywa - zauważył przytomnie rotmistrz. - Słyszałem, że się w wielkich rodach takie sprawy prosto załatwia: wiążąc kokardę na łokciu tego, co pierwszy

matuli spomiędzy nóg wyskoczy. Ten dziedziczy, jako sprytniejszy i bardziej przebojowy. Król powinien metodę łokciową znać. Panujący często się hormonami wspomagają w polityce dynastycznej, to i co rusz im się cięższe mnogie przytrafiają. Żonom, znaczy.

- Wstążka była w użyciu - stanął w obronie króla patriota Yeżyn. - Ale drugi z otroków ponoć pierwszemu kokardę działkami zerwał i pod kołyskę wypluł. Bo oba ambitne były chłopaki, do tronu chętne.

- To podła plotka, rozgłaszana przez tajne służby Belnicy - zgromiła go Petunka. - Którym to służbom należy pewnie przypisać komplikacje przy położeniu.

- Dowodów, oczywiście, brak? - uśmiechnęła się krzywo Lenda. - Stolicę też sobie Belniczanie złupić dali, by starego zbereźnika w wiadome sidelka pochwycić?

Zapachniało awanturą. Na szczęście obok był Zbrhl. I piwo. Trochę w baryłce, sporo w Zbrhlu.

- Sidelka? - zarechotał nagle. - Tak to się u was...? He, he... Zapamiętać muszę. Sidelka-pieścidelka. Milutko. Nie to, co na ten przykład...

- Zbrhl! - złąły się w jedno głosy obu złotowłosych. Rotmistrz schował twarz za kuflem, a złotowłose przestały słać sobie otwarcie jadowite spojrzenia.

Znów skojarzyły się Debrenowi z rodzeństwem. Uznał, że to efekt kolorystyki, zaczął wodzić wzrokiem od twarzy do twarzy i ugrzązł, porażony odkryciem, że i Lenda dorwała się w łaźni do czegoś więcej niż mydła i witek. Tuszu nie miała jeszcze na co nakładać, ale kiedy się patrzyło z daleka, wyglądała jak ktoś obdarzony cienkimi, ładnie zaokrąglonymi brwiami i ustami w barwie malin.

Słodko wyglądała. Nawet oglądana z bliska.

- Już milczę - burknęła, fałszywie odczytując wymowę spojrzenia. - Mów, siostrze.

- Na łóżu śmierci król podjął decyzję odnośnie sukcesji. Ten



miął z synów dziedziczyć, który, cytuję: „Pierwej pannę dziewiczą krwi monarszej w prawelskiej katedrze poślubi i dziecka się z niej doczeka”. Żaden się z braci nie mógł od łoża konającego ruszyć, bo to i wydziedziczeniem groziło, i zamachem pałacowym na niekorzyść ruszającego, więc jeno listy ślali na wszelkie możliwe dwory, choć głównie te bliższe. Treści listów się domyślacie.

- A pewnie - przytaknął Zbrhl. - Pełno takich po kronikach. Młody, dobrze sytuowany, z własnym zamkiem, pozna pannę książęcego rodu, hetero, z dużą i gęsto...

- Zbrhl!!! - znów okazały się jednomyślne.

- ...zaludnioną prowincją w posagu. Coście takie nerwowe, miłe panie? Chybaście nie myślały...? Toć o porządnych kronikach mówię, nie tych z rycinami wszetecznymi. Tych jeno w krzakach używam...

- Zbrhl - zaczął znacznie ciszej Debren.

- ...jak się podcieram. A czytam pisma poważne, fachowe. „Żołdaka fortuny”, „Nową Technikę Wojacką”...

- Wróćmy do Pretokara i Garrola - zaproponowała chłodno Petunka. - Otóż obaj bracia mieli problemy ze znalezieniem odpowiedniej panny. Bo to albo konflikt interesów, albo panna owszem, ale nie dziewica, albo dziewica, ale wdowa, albo i panna i dziewica, lecz z rodu trwale bezpłodnością dotkniętego... Nie gap się tak, Yeżyn, toć o elitach mówimy... Na Wschodzie głównie dziewosłęby szukali, gdzie już wtenczas niewiasty mocniej wyzwolone były, więc się i przypadek niehetero trafił, i odmowa jednej księżniczki, która tak ojca omotała, że jej decyzję w sprawie zamęścia pozostawił. Głównie jednak niedoszli teściowie żądali czasu do namysłu i gwarancji, że córka z przychówkiem na tronie siądą. A tych akurat żaden z królewiczów nie mógł dać. Więc się jakoś przed pałacem karety z kandydatkami w tłoku nie zderzały.

- Zaczynam się domyślać reszty - mruknął Debren.

- Ba. Tonący brzytwy się chwyta. Garrol znalazł w końcu jakąś Sovrojkę, aż za kołem podbiegunowym ponoć i w dodatku garbatą, za to z rodziny płodnej jak króliki. Więc Pretokarowi wielki wybór nie pozostał. Zwłaszcza że się jego brat osobiście po narzeczoną wyprawił. Z całym kufrem amuletów i eliksirów, o których zastosowaniu nie godzi się niewieście opowiadać.

- Aha - zrozumiał Zbrhl. - To, o czym mówiliśmy, Debren: dziecię ślubne inaczej. Sprytnie.

- My? - jęknął magun. - Toż Yeżynowi wyjaśniałeś...

- Panowie, proszę - uciszyła ich Petunka. - Przez was zapomniałam, na czym to stanęłam.

- Pretokar chwycił się brzytwy - podsunął Zbrhl - i posłał swatów do Belnicy.

- Na gruzy Belnicy - mruknęła Lenda.

- Pierwsze poselstwo partyzanci księcia Jarowida z rozpędu wystrzelali na przełęczy pod Dusznym Zdrojem. Ale drugie Dorma, Lisicą nie od włosów jeno zwana, przyjęła i z entuzjastyczną odpowiedzią do Prawią odprawiła.

- Dorma była...? - upomniał się Debren.

- Siostrą Jarowida, a matką tej zdziry Ledoszki. Nawiasem mówiąc, sama taki numer wykreśliła... No, ale to inna historia. Dla naszej ważne, że w Jarowid miał osiem lat i tylko formalnie rządził księstwem. Faktycznie rządziła Dorma. Wiadome było, że jeszcze cztery lata i Jarowid siostrzyczkę odsunie od władzy, więc się baba ochoczo okazji chwyciła. Bo teściowanie morvackiemu królowi to łakomy kęs. Może nawet zięć, by kłopotu się pozbyć, posadziłby ją na belnickim tronie. Wiadomo, że nic tak baby w domu nie trzyma, jak tron pod zadkiem.

- Do zaręczyn więc doszło.

- Brawo, Debren. Jarowid się trochę stawiał, że to niby wróg, że on stryjową opiekę jest Ledoszce winien, że nie da biduli krwiopijcom, co parę niedziel wcześniej dom jej spalili

razem z kotem, lalkami i cebrzykiem łakoci. No to mu Pretokar posłał pudło żołnierzyków i smark zapomniał, że miał jakąś siostrzenicę i księstwo do władania. Ale z Dormą było trudniej. Poszło o względy prestiżowe. Gdzie, mianowicie, mają się narzeczeni spotkać. Aha, zapomniałam rzec, że Ledoszka, cholernie mocno wyzwolona jak na kraje Zachodu i taką smarkulę, zażądała, by jej królewicz konterfekt przysłał. Kręciła, że go potrzebuje, by oblubieńca rozpoznać, gdy się na neutralnym gruncie spotkają, ale tak naprawdę chodziło puszczańskiej o to, czy królewicz młody jest, urodziwy i dobry w łóżu. Takowymi to kryteriami od wieków niewiasty z tego przeklętego rodu się kierują. Użytecznością przy chędożeniu.

- Miałem tego słowa nie wymawiać - przypomniał Petunce mąż, znów zerkając na futra przy kominku.

- I dalej masz. - Wróciła spojrzeniem do Debrena. - Nie uwierzysz, ale smarkula napisała królewiczowi, że wolałaby blondyna o długich włosach barwy starego złota. Bo jako czarnowłosa do takich ma słabość. Pretokar najlepszego balwiera kazał sprowadzić, Marimalczyka, i włosy przemaalował. Wystawiasz sobie? Królewicz! Ale nie to najgorsze, a fakt, iż z długością nic się szybko bez magii zrobić nie dało. No i jak zaczęli czarować, to mu najpierw jak pannie wyrosły, długachne, w loczki, zalotne takie jakieś, a potem, już tu, w „Cnotce”, w pół dnia wszystkie wylazły.

- Widać jakiś balwierz urok na okolicę rzucił - zaśmiał się Zbrhl. - Co, Debren? Najpierw królewicz, teraz wy... A ty się dziwisz, że niechętnie plecionkę ze łba ściągam.

- Dudkaj się - poradziła mu Lenda.

- Powiedziałaś: w „Cnotce”? - Debren patrzył oberżystce w twarz. - Tu się spotkali? Dlaczego?

- Bo to pogranicze i obie strony sobie do niego prawa rościły. Każda mogła zachować pozory, że u siebie, na swoich

warunkach, monarsze dziecko narzeczonemu przedstawia. Dorma i Pretokar ogłosili przetarg na zorganizowanie zjazdu, otwarty, ale dla oferentów jeno z tego właśnie, spornego pasa. Trzech się zgłosiło. Oprócz naszej oberży w grę wchodził jeden rycerz gościnnik oraz klasztor pod Złotą Skarpą. Klasztor Ledoszka z miejsca skreśliła. Domyśl się, dlaczego. Zamek rycerza gościnnika Pretokarowi się nie widział.

- Czemuż to? Feudałowi? Chyba nie sugerujesz, że wasz bohater narodowy miał demokratyczne ciągotki?

- W tamtych czasach? Nie żartuj. I słuchaj uważnie. Z rycerza gościnnik był, znaczy żył z tego, co na gościńcu złupił i w okupie wziął za brańców w lochu goszczonych. Jeszcze tylko tego królewiczowi brakowało, by go jakiś hołysz w pordzewiałej zbroi po wieżach przetrzymywał, gdy się Garrol żenić i rozmnażać będzie. No i padło na nas.

- A już myślałam, że przez wzgląd na nazwę - nie wytrzymała Lenda.

- Nie - powiedziała spokojnie Petunka. - Lokal zwał się wówczas „U Petuneli”. Od imienia właścicielki. Niewiele o niej wiadomo, tyle że w ciąży tu przybyła, a bez chłopca. Kupiła działkę przy gościńcu, który aż z Diweenu w Arustanie prowadził, a wiódł na północ, przez Lonsko do Lelonii, Domorza czy nawet Draklenu. Tak, moi drodzy. Do traktów międzynarodowych się zaliczał i zapewniał utrzymanie nawet dużej oberży. A jeszcze jak na Gnojnej Skarpie złoto odkryto i gorączka wybuchła, to sobie w promieniu stu mil inwestorzy w brody pluli, że dali Petuneli za marny grosz działkę podkupić. I to z budową rozpoczętą. Bo od wdowy kupowała po niedoszłym oberżyście, którego z placu budowy wilkołak uprowadził.

- Z murarzami się ugadywał o dzieło - dorzucił Yeżyn. - To się i wilkołak nie namęczył. Chłopina tak był pijany, że nawet nie zauważył, jak go bestia zżera. Ale i wilkołakowi się nie poszczęściło. Tak okrutnego przepilca dostał, że do wsi po

kwaśne mleko się zakradł lub sok po ogórkach. Jednakowoż go już w opłotkach zmoгло, zasnął, a rano go wieśniacy kłonicami zatłukli.

- Mniejsza z tym - mruknęła Petunka. - Ważne, że Petunela stworzyła dobrze prosperujący interes. Zjazd miał do reszty ugruntować renomę oberży i przysporzyć jej najlepszej klienteli. Bo musicie wiedzieć, że nic tak nie podnosi popularności noclegowni, jak szansa przespania się w łóżu, w którym spał ktoś wielki i sławny. A babce miały się aż dwa takie łóżka za jednym zamachem trafić.

- Dwa? - upewnił się Zbrhl.

- Dwa - powtórzyła stanowczo. - Nie miała zamiaru niczego tej rozwiązej suczce ułatwiać. Do śmierci ani za mąż nie wyszła, ani dzieci więcej nie miała, ani nawet parobków młodych i podejrzenie gładkich. Krótko mówiąc, była niewiastą porządną, bogobojną i nad wyraz cnotliwą.

- Albo dyskretną - zauważyła Lenda.

- Cnotliwa była - oświadczyła wyniośle Petunka. - Ale do rzeczy. Z winy Ledoszki łajno wyszło z małżeństwa. Gospodyni, dyskretna i kulturalna, od początku w cień się odsunęła i robiła wszystko, by się młodzi jak u siebie czuli. Po fakcie wiadomo, że to był błąd: smarkuli nie powinno się z oka spuszczać, a świty nie należało daleko kwaterować, najlepiej w jednym łóżu z puszczałką. Ale trudno mieć do babki pretensje: raz, że świty było za mało, by dyskretnie gości zagęszczać, a dwa, że obie strony po cichu na coś więcej niż uroczystą wieczerzę liczyły.

- W końcu to powiedziałaś, siostró - posłała jej cierpki uśmiech Lenda. - Wylazło szydło. Ledoszka zdzira, tak? Ale ktoś tę zdzirę w zajeździe na uboczu z napalonym junakiem umówił, ktoś świtę skompletował, głuchych, ślepych albo trunkowych dobierając. I, na koniec, ktoś okazję wykorzystał. Palcem nie pokazując: ktoś, kto z racji stanowiska na czele całego rycerstwa stoi i jako wzór cnót rycerskich służyć

powinien.

- Lenda, on miał siedemnaście lat! Nie można winić normalnego, zdrowego chłopca, że po chamsku nagabywany przez doświadczoną i rozpustną...

- ...trzynastolatkę?! Siostró, czy ty słyszysz, co mówisz?! Toż to dziecko było! A z tego twojego Pretokara molestator nieletnich! U nas w Belnicy w tym wieku...

- Coś powiedziała?!

Nagle zrobiło się cicho. Głos Petunki zgrzytnął jak obnażana klinga. Debren zaklął w duchu. Myślał o tym, a nic nie zrobił. Trochę usprawiedliwiał go fakt, że rzecz była dość oczywista, Lenda zbyt pyskata, a Petunka inteligentna. Że wcześniej czy później złotowłosej musiały opaść łuski z oczu. Że - jeśli wierzyć Lendzie - obie zwaśnione nacje wyczuwały się na milę. Ale i tak miał wyrzuty sumienia. Reakcja była silniejsza, niż zakładał.

- Belniczanka? - Oberżystka musiała przepchnąć pytanie przez ściśnięte gniewem gardło. - Jesteś...?

- A bo co? - rzuciła przez zęby Lenda.

- Pod tym dachem - gospodyni też cedziła słowa przez zęby - nie gości się wściekłych psów, skurwysynów, kretynów i Belniczan. Tych ostatnich zwłaszcza.

- Ale Petunko... - próbował łagodzić Vysedel. - Jaka tam z panny Branggo Belniczanka? Toć słyszysz, jak mówi. To nie ichnia gwara. Akcent ma jak mistrz Debren, a ten aż z Dumayki pochodzi, tak daleko na zachodzie Lelonii, że ponoć już ludziska czarne podniebienia tam mają. A jeszcze owo Branggo... Słyszałaś, by się ktoś tak na Zagórze zwał? Niesłusznie dziewczynę obrażasz tak paskudnym podejrzeniem.

- Dzięki, panie Yeżyn - mruknęła Lenda. - Za chęci, nie efekty. Boś mnie właśnie sam obraził.

- Eee... że jak?

- Drogie panie... - próbował interweniować Zbrhl.

- Wyjeżdżam, Debren. - Lenda dźwignęła się z ławy. - Nie oczekuję, że mi będziesz towarzyszył. Nie ciebie tu w jednym szeregu z kretynami stawiają i skurwysynami. Ale gdyby jednak, to zbieraj się. Ani pacierza dłużej pod tym zamtużnym dachem nie zostanę. Zbrhl, żegnam i zdrowia życzę. Nie winię cię za chamstwo współplemieńców.

- Akcent? - zaśmiała się nieładnie Petunka. - Chędożyć akcent! Łajno się znasz, Yeżyn! Wystarczy arogancja! Taka zadufana w sobie, tępa, wyszczekana, uparta, niewdzięczna, porywcza i zaślepiona może być tylko pełnokrwista Belniczanka! Aha: i załgana! Bo w jednym masz rację! To jej niby rodowe imię na milę fałszem jedzie!

- Jestem Branggo, durna krowo!!! - Pięść Lendy wyrznęła w stół, aż baryłka podskoczyła. Zbrhl mocno ją opróżnił, ale i tak wraz z baryłką podskoczyli na ławach wszyscy obecni. - Masz szczęście, że cię szanuję!!! Bo bym ci te żółte kłaki powyrywała!!!

- Ja?! Krowa?! - Petunka też nie była w stanie dłużej usiedzieć. - Na siebie popatrz! Młoda jeszcze dziewczyna, a do czego się prowadzeniem doprowadziła?! No?! Do czego?! Zwierciadła w domu nie masz?!

- Dudkaj się! Domu nie mam! Bo mi go za dużo razy morvaccy zbóje palili!

- Drogie panie, nie przystoi damom subtelnym...

- Zawrzyj gębę, Zbrhl! I nie siedź na rzyci, jak ci naród obrażają! Powiedz coś!

- Może ja coś... - zaczął Debren.

- Zamknij się! - wrzasnęła Lenda. - Bo ci czarne podniebienie widać! Lepiej mi konia siodłaj! O ile jeszcze nikt siodła nie podpieprzył! Albo konia! Co by mnie nie zdziwiło w tym morvackim zamtuzie!

- „Cnotka” to nie zamtuz, gówniarno! To porządna oberża z dwustuletnią tradycją! Łajno się znasz na hotelarstwie!

- Ale na zamtuzach się znam! Od pierwszego rzutu oka

rozpoznaję! Debren, powiedz jej!

Debren wołał trzymać gębę na kłódkę. Yeżyn, przewidując rękoczyny, przytulił do piersi miskę z kaszą.

- Nic nie musi mówić! Sama w łaźni widziałam! A wy, panie Debren, wybaczcie, żem z waszą osobą ową rzecz wiązała! Chyba mi ćma na mózg padła!

- Jaką rzecz? - Pytanie Vysedela miało służyć raczej zmianie tematu. Niestety, wyszło nie za dobrze.

- Nie twój interes! - huknęła na niego żona. - I rusz zadek z ławy! Nie słyszysz?! Panience nasza oberża zamtuzem śmierdzi! Wyjeżdża! Oczywiście nie płacąc! Więc może byś pannę spakował, alfonsie dajkowodo?!

Yeżyn wstał, odstawił misę, zwrócił twarz ku Lendzie.

- Koń, znaczy się? Ten kradziony czy ten kulawy?

- A żebyś wiedziała, że zamtuzem! - zignorowała go, miotając z oczu błyskawice na Petunkę. - Myślisz, że nosa nie mam?! Nie czuję, jak tu pachnidłami jedzie?! A ta podłoga z desek, do czysta wyszorowana?! A futra pod kominkiem, płomień nastrojowy?! A łaźnia?! Wypisz, wymaluj dyskretny dom rozpusty dla wyrafinowanej klienteli! Dwa wieki tradycji! Święta prawda!

- To potwarz!

- Potwarz?! Jakbym chciała cię obrażać, tobym o te łańcuszki spytała bezecne! Ile ich tam było, Debren? Po...

- Trzy - rzucił odruchowo.

- ...jednym na każdej... - Lenda zająknęła się, posłała w bok zdziwione spojrzenie. - Coś powiedział? Trzy?

Magun, ciut za późno, próbował skryć twarz w kuflu. Nie wyszło: przyglądali mu się uważnie. Wszyscy.

- Ja? - spróbował jednak. - O trzech coś...?

- Debren! - rzuciła ostrzegawczo Lenda.

- Debren... - szepnęła zarumieniona Petunka, ni to odwracając skromnie wzrok, ni to trzepocząc zalotnie długachnymi rzęsami. - Och.



- Och? - Lenda też zaczęła mówić dużo ciszej. Za cicho. - Och? Jasna cholera... Więc jednak.

- Księżniczko, posłuchaj...

- To temmozańskie łańcuszki, prawda? - zignorowała go, zwracając ponure spojrzenie ku gospodyni. - No pewnie. Koszula nocna mało co ci u góry zakrywa, siostró. Nie dziwię się zresztą, szkoda byłoby skrywać tak udane... Tam trzeciego nie było. Czyli musiał być...

- Petunko? - Zbrhl gapił się na złotowłosą z trochę żalną, a trochę rozmarzoną miną.

- To typowy zestaw - spróbował jeszcze raz Debren. - Tancerek brzucha. Właściwie... jak ktoś się odrobinę orientuje... To tak jak z ostrogami: widzisz je i możesz śmiało założyć, że wyżej znajdziesz pas rycerski. Bo...

- Debren - przerwała mu. - Już mi tę kwestię wykladałeś. Po wypadku młodego Suswoka. Więc krótko: przy okazji tylko na gołą rzyć Petunki zerkałeś, czy to właśnie dla niej pod łaźnię się zakradłeś? Krótko, proszę.

- Oszalałeś? - uniósł się, nie do końca szczerze. - Miałbym w jakieś... to znaczy przez jakieś... Dżuma i syfilis! - zdenerwował się. - Jestem poważnym czarodziejem! Magunem! Po studiach najwyższych z możliwych!

- Które długo trwają - powiedziała trzymając głos na wodzy. - Rozumiemy. To nic dziwnego, że po latach odmawiania sobie... pewnych naturalnych...

- Lenda, do cholery, nawet nie wiem, gdzie tej łaźni szukać! O dziurze nie mówiąc!

- Chodnikiem z bali przed się - wytłumaczył Vysedel.

- Nie łzyj, Debren. Nie jestem młódka, wiele rozumiem i zaakceptować mogę, ale o jedno cię proszę: nie łzyj. Rozum to ostatni atut, jaki mi został, i jeśli także nim pogardzasz, to nic nas już...

- Nie podglądałem was! Zaraza, nawet jak tu jechaliśmy, tom się starał na ciebie nie patrzeć!

- To miał być argument? - upewniła się Petunka. - Bo chyba nie komplement?

- Dzięki. - Lenda pobladła z gwałtownością kogoś, komu rzucono na twarz prześcieradło. - Za szczerość. Cho... chociaż mógłbyś to... deli... katniej...

Była szybka, więc nikt nie zdążył zobaczyć łez, wypełniających trochę niebieskie, trochę zielone oczy z rozsianymi tu i ówdzie okruchami złota. Ale też nikt nie potrzebował widzieć. Opadając na ławę i kryjąc twarz w przyklejonych do stołu przedramionach, zachowała się aż nadto jednoznacznie. No i nie panowała nad ciałem. Nic nie było słyhać, ale patrząc na jej drżące plecy i przekrzywioną perukę, trudno było nie wyciągnąć wniosków.

- I jeszcze histeryczka - mruknęła Petunka, wyraźnie nie wiedząc, co począć z rękami. - Wypisz, wymaluj, Belniczanka pełną gębą.

- Po... połową - wybulgotała Lenda przez zatkany nos, ramiona i łzy. - Ta... tatko był... On był...

- Cudzoziemiec.

Wszyscy, wyłączając moczącą rękawy dziewczynę, przenieśli zdziwione spojrzenia na Vysedela.

- No co? Toć mówiłem: akcent ma obcy. Jakby z obojga rodziców Belniczan była, to i mówiłaby inaczej. No i do ciebie taka podobna - uśmiechnął się niepewnie do żony. - Tom od razu zgadł, że nie samą belnickość we krwi musi mieć, a coś dobrego.

- Upiłeś się? Do mnie podobna? - Petunka pociemniała. - A ty nie rycz. Jeszcze mi do opinii tylko brakuje, że klientów do płaczu doprowadzam. No, uspokój się. Nic się takiego nie stało. To ja powinnam beczeć, że mnie Debren gołą podejrział.

- Dżuma i syfilis! Ile razy mam powtarzać, zem nie...

- Kła... kłamca! - wykrztusiła Lenda. - Przecież wiem! Aż mi pas za... zadzwonił! Wyraźnie twój... wzrok czułam!

- O czym ta koza plecie? Jaki pas? - zaniepokoił się Zbrhl. -

Petunka? Co wyście w tej łaźni...?

- Wzrok? - Debren odgadł prawie od razu. - Nie rycz przez chwilę, to ważne. Dzwoniło czy może wibrowało? Wiesz, o czym mówię? Kiedy w dzwonie dźwięk dogasa, dają się wyczuć takie lekkie drżenia. O tym mówię.

- Ła... łajdak! Jeszcze i za... za kretynek... mnie ma! Debren zaklął, podniósł kuszę z szynkwasu.

- Zbrhl - wskazał stół z bronią. - Weź berdysz. I uważaj na drzwi. A jakby co... Nie wychodźcie. Oczekaj parę dni, wykuruj Lendę i Henzę. Dopiero wtedy. Z rana, jak najwcześniej, by was zmrok w lesie nie zaskoczył.

- Debren? - Zbrhl niewiele rozumiał, ale mówił już spod przeciąganego przez głowę pancerza. - Co się dzieje? Łajno i kał, ja pijany jestem czy wy?

- Wi... wibrowało. - Lenda już nie chowała czerwonych oczu ani opuchniętego nosa. - To... naprawdę nie ty..?

- I opiekuj się nią.

Zatrzasnął za sobą drzwi, nim twarz Zbrhla wyjrzała spod blach. Choć oczywiście nie przed wzrokiem rotmistrza uciekał. Chciał znaleźć się jak najdalej, przewidując, że po chwili oszołomienia Lenda zaproponuje mu swe towarzystwo. Motywy mogły być diametralnie różne - ale polazłaby tak czy tak. Nie mógł do tego dopuścić.

Wyszedł z gotową do strzału kuszą i różdżką w zębach. Powtarzał sobie, że gryf to tylko duży latający kot. I że przeżył tak długo, bo polowali na niego amatorzy.

Klęknął przy ścianie, przytrzymując kuszę jedną ręką, zaczął czarować przy oczach. Nic się nie działo. Kiedy z atramentowego mroku wyłoniły się pierwsze kształty, domyślił się powodu.

Podwórze, jak okiem sięgnąć - czyli, póki co, na dwadzieścia kroków - naszpikowane było zaostrzonymi palami, wysokimi na dwóch chłopa. Tu i ówdzie z ziemi sterczał złamany kikut. Debren ocenił, że odstęp między palami są za duże, by

uniemożliwić Pisklakowi lądowanie. Fortyfikacja miała jednak dostateczną gęstość, by wymusić spowolnienie manewrów i wykluczyć atak z lotu koszącego - a to już coś. Gryf musiałby nadlecieć nad podwórze, wyhamować i dopiero wtedy opaść między zastrugane w szpic belki. To dawało czas na ucieczkę. Względnie na strzał. Czy celny i skuteczny, osobna sprawa: jeśli się dodało drzewka owocowe, studnię, wiatę ze żłobami i różne przybudówki, robił się z tego niezły gąszcz.

Poprawił wzrok i przez parę pacierzy miał widzieć nie gorzej niż starzejąca się sowa. Termowizji nie użył. Świat ciepłych plam był zbyt dziwny, mózg nie radził z nim sobie za dobrze. Oczywiście przeskanował otoczenie. Bez rezultatu. Było cicho i ciemno. Vysedelowie, może dla bezpieczeństwa, a może z uwagi na to, co robili przed kominkiem, pozamykali okiennice na parterze. Sowim oczom Debrena nie brakowało jednak światła: miały go akurat tyle, ile potrafiły spożytkować. Z zakłębieniem nie bardzo magunowi wyszło: przy przyzwoitej czułości akomodacja mocno szwankowała. Chwilami dostrzegał wyraźnie odległe szczyty gór, hen, aż na belnickiej granicy, ale generalnie miał problem z odróżnieniem częstokołu od lasu. Dżuma i syfilis... Przedobrzył. Przez drzwi słyszał coraz bardziej poirytowany głos Zbrhla. Nie rozumiał słów ani nie słyszał Lendy, ale czuł, że w końcu usłyszy. Kiedy dziewczyna przestanie się mazgać i zamiast mamrotać przez spuchnięty nos, wydrze się na rotmistrza. Znał ją już na tyle, by zakładać możliwość, że Zbrhl jako taki okaże się równie nieskuteczny jak rozsądne apele Zbrhla, a Lenda dorwie się do zasuw i wyskoczy na podwórze - naturalnie w najmniej stosownej chwili. To właśnie z myślą o czymś takim postarał się o szybką filtrację. W efekcie uzyskał wzrok znakomity, tyle że krótki. Połowa podwórza pozostała poza jego zasięgiem. Naprawdę nie potrzebował wiele światła, by ogarnąć wzrokiem tę bliższą połowę.

Blask sączył się z okienka na poddaszu. Do sondowania kości Henzy Debren potrzebował energii, na pięterko trafił więc płaski żelaźniak na trzech nóżkach, podobny do palenisk ze starożytnych pogańskich świątyń. Do czego to dziwo, zwane przez Yeżyna grullem czy grilllem, miało służyć, nikt nie wiedział: kupiła je jeszcze prababka Petunki. Zbyt zszokowana niedawnym pogrzebem męża, by przegnać domokrażcę lub przynajmniej wysłuchać jego wyjaśnień. W roli paleniska żelaźniak się jednak sprawdził i Debren, zakończywszy badanie, nie gasił resztek zabytkowego zydła. Wiele tego nie było, ot, odrobina żaru, ale sowim oczom nie potrzeba więcej.

Podniósł się z klęczek, ruszył w stronę łaźni. Minał drewnię i wkroczył między parę potrzaskanych słupów, z których jeden został ścięty głazem stopę nad ziemią.

- Durrreń! - zaskrzeczał znienacka chrapliwy, szydarczy i jakby nieludzki głos. - Krrretyn!

Głos miał rację: ułamka momentu zabrakło, by magun strzelił. I zmarnował jedyny bełt. Kierując się skrzekiem zdołał wprawdzie zlokalizować pyskacza i nakierować broń na jabłonkę, zza której pyskowano, ale tuż obok piętrzył się ośnieżony sąg drewna i rosły krzaki, a pyskacz był mały, zwinny. Poza tym marnie go było widać. I na koniec - nie był gryfem.

Gryf czekał z tyłu. Od samego początku.

Rzucając się szczupakiem na brzuch i sunąc po oblodzonym chodniku, Debren pomyślał, że straszliwie spieprzył sprawę. Dach oberży, jak to w górach, był stromy. Mokry śnieg - czarodziejskiej proveniencji, jeśli wierzyć Petunce - jakoś się go trzymał, ale gryf o masie byka musiał mieć z tym problemy. Nie spadł, bo przywarował na kominie - a tam nie mógł być niewidoczny. Wystarczyło raz zerknąć w tył...

Debren nie zerknął, zmylony negatywnym wynikiem skanowania. Byłby to ostatni błąd w jego życiu. Gdyby nie

pewien domokrażca, pewna półprzytomna z żalu wdowa i pewien gruli, względnie grill.

Pisklak z racji kociej krwi poruszał się bezszelestnie. Także gdy szybował. Debren zareagował wyłącznie na jego cień. Stwór nie znalazł się wprawdzie w jednej linii z oświetlonym oknem, ale sowim oczom wystarczył krótki zanik odblasku w soplach okalających dach drewnutni.

Mimo wszystko gryf omal nie dopiął swego.

- Górrrą Starrrogrrrrodczyk! - wrzasnął triumfalnie pyskacz zza jabłonki. Nie pomógł tym Debrenowi. Magun pozwolił się zdekoncentrować, zajechał za daleko i grzmotnął czołem w środek zbawczego słupa. Słup pękł.

Moment wcześniej Pisklak sięgnął tylną łapą pośladka człowieka. Pół momentu później był już znacznie wyżej, wykorzystując nabytą przy ślizgu energię i idąc w górę pionową świecą. Mimo wszystko zahaczył o złamany przez Debrena słup. Łupnęło drugi raz, zaostrzony czubek pała wpadł z impetem w zarośla przy jabłonce.

- Kurrrwa! - wydarł się ten zza jabłonki. - Barrrany!

Debren przeturlał się, potem jeszcze raz i jeszcze... Wirował świat, wirował poderwany podmuchem śnieg. Kusza jakimś cudem nie wystrzeliła. Ale i tak nie było z niej pożytku. Debren miał pod powiekami pełno wiórów: pękający pień okazał się w środku suchy jak hubka i równie zabójczy dla oczu.

Po omacku odnalazł następny słup gryfochron. Chyba mocniejszy, a na pewno grubszy. Słup stał obok drzewa, więc Yeżyn nie zadał sobie trudu wkopywania obok drugiego. Potwór wykorzystał to i spróbował jeszcze raz.

- Rrręce w górrrę! - zażądał krzykacz. Nagle znalazł się w okolicach domu. Debren pomyślał, że odcina mu odwrót, ale nie miał czasu przejmować się jeszcze i tym. Próbował wykorzystać jedyną szansę zabicia gryfa. Jedyną - bo w trakcie zderzenia czarodziejska różdżka zaciskana w zębach w

czarodziejski sposób zamieniła się w grudę śniegu. Też wprawdzie zaczarowanego, ale bezużytecznego w walce.

Kiedy Pisklak wychynął z mroku, łamiąc z pół setki drobnych gałęzi i znikając w chmurze strąconej z nich bieli, okazało się, że śnieg jest więcej niż bezużyteczny. Był, mianowicie, szkodliwy.

Gdy Debren nacisnął spust, mechanizm prawie obrócił się do końca i prawie zwolnił cięciwę. Prawie.

- Starrrogrrrrodczyk górrrą! - wzniósł kolejny okrzyk ten z tyłu. Miał rację. Tylko śnieżny obłok sprawił, że gryf stracił cel z oczu i nie rozplątał człowieka. Debren skończyłby jak niedoszły ojciec Petunki, ale ocaliły go pał i dążność potwora do perfekcji. Orle oczy nie zgubiły celu w śnieżnym tumanie, dziób trafił dokładnie w środek mgliście zarysowanej sylwetki klęczącego wroga i Pisklak z właściwym bykom impetem rąbnął głową w słup.

- O kurrr...!

Krzykacz nie dokończył. Błysnęło. Otwierane z rozmachem drzwi oberży zderzyły się z karłowatym asystentem gryfa i pokurcza rzuciło daleko poza drewnianą ścieżkę.

Nie miało to większego znaczenia. Prawdę mówiąc, nie miało żadnego. Liczył się tylko Pisklak.

Zderzenie ze słupem przyprawiło go o silny wstrząs - jak najbardziej pałowy. Podrywając się, Debren miał nawet nadzieję, że dwustuletnia wojna właśnie dobiegła końca. Po rozszczepieniu na dwoje pała stopowej średnicy, przechyleniu go o trzy rumby i upodobnieniu do pijanej runy Y, żaden viplański zwierz nie utrzymałby się na nogach. Te bardzo duże zachowałyby pewnie przytomność, ale nawet one nie miałyby ani sił, ani ochoty, by dalej walczyć.

Gryf miał. Nie zabił Debrena tylko dlatego, że przedtem czarodziej oberwał w głowę walącym się słupem i upadł poza zasięgiem Pisklakowych łap.

Uwięziony w pogruchotanym drewnie dziób wypuścił

stłumione ryknięcie. Stwór dźwignął się, stanął na rozchwianych łapach, opadł na kolana, znów wstał. Był oszołomiony i wściekły. Popełnił kolejny błąd, próbując sięgnąć skrzydłem tego, czego nie sięgał pazurem, ale zaraz potem obudził się w nim instynkt urodzonego zabójcy i ruchy stały się bardziej celowe. Dał spokój człowiekowi, zaparł się łapą o pal i zaczął wyszarpywać z niego dziób.

Debren, niewiele mniej ogłupiała po dwóch uderzeniach w głowę, klęczał sążeń dalej i raz po raz szarpał spust kuszy. Jak zahipnotyzowany patrzył na dziwaczne, na poły kocie, na poły ptasie palce, wystarczająco długie i giętkie, by chwycić co większe przedmioty.

- Wracaj! Dokąd, durna kozo?!

Nie widział jej, ale słyszał, jak sady długimi susami, na przełaj, przez gąszcz malinowego chruśniaka. Jak przewraca jeden ze stojących tam uli i zaczyna krzyczeć. W krzyku był i strach, i wściekłość, ale gryf usłyszał wyłącznie wyzwanie. Potężnym szarpnięciem uwolnił dziób i następnym zrywem kończyn miał dopaść Debrena. Nie popełnił jednak tego błędu.

Lenda też nie popełniła błędu. Pomijając ten gigantyczny, jakim było wyrwanie się Zbrhlowi i galopada przez pełne potworów podwórze. Z halabardą, którą, sądząc po chwycie, najwyraźniej pomyliła z oszczepem.

Debren natychmiast zapomniał o zmaganiach z zaśniętym mechanizmem spustu. Poderwał się, skoczył naprzeciw. Może dziewczynie, może gryfowi. Raczej gryfowi. Gdyby starcie rozegrało się tak, jak sobie wyobrażał, zrobiłby dla Lendy to, co chwilę wcześniej słup zrobił dla niego. I raczej nic więcej: pomysł, by użyć gangarina, przyszedł za późno. Lenda nie była jednak typowym dodatkiem do złotych włosów i błękitnej sukni z falbanami. Nie myliła ciężkiej halabardy z lekkim oszczepem ani gryfa z jeleniem. W momencie, gdy potwór zaczął obracać orli łeb w jej stronę,



wykorzystała fakt, iż halabarda zajmuje jej tylko jedną rękę. I że Pisklak nie zdążył jej obejrzeć.

Była już blisko, więc trzymana w lewej ręce hulajkula spełniła zadanie. Porcja wyrzuconych przez sprężynę siekańców ugodziła gryfa w okolice ogona. I zmyliła.

Coś ukąsiło go z tyłu, coś dziwnego, bezgłośnego, a więc najgroźniejszego z trójki przeciwników. Pasiaste cielsko zawirowało, potężny, haczykowaty dziób przeciął pustkę. Hulajkula poleciała w krzaki, na pozór bezużyteczna, lecz nadal przynosząca korzyści. Hałas sprawił, że Pisklak zawahał się, stracił kolejny moment.

- W nogi!!! - wrzasnęła dziewczyna, łapiąc drzewce oburącz i wyprowadzając potężne pchnięcie znad ramienia. Gdyby użyła oszczepu, gryf zyskałby łokieć stali i drewna w piersi. Halabarda to jednak nie oszczep. Gryf uderzył z boku, żeleźce podskoczyło, ugodziło go w grzbiet. Ostrą, lecz zbyt szeroką końcówką topora.

- Szyj, Debren!!!

Próbował. Grzmotnął pięścią z góry, potem od dołu, kolanem. Wybił trochę śniegu z zapadki - i tyle.

- Won, gówniarzu!!! - Petunka nadbiegała środkiem ścieżki, wywijając miotłą. - A poszedł!!!

- Do łaźni! - Debren chwycił kuszę w prawą dłoń, palce lewej złożył w pięciokąt, wymierzył w gryfa. Brzeszczot ugrzązł płytko, bez szans na spowodowanie poważnych obrażeń, póki jednak ryczący z bólu i złości Pisklak parł w stronę Lendy, stal tkwiła w ranie.

- W nogi, Debren! - Głos dziewczyny, o dziwo, brzmiał najspokojniej. Może dlatego, że nie musiała już dodawać sobie odwagi wywrzaskiwaniem płuc. Wszystko zrobiło się zabójczo proste: mogła albo utrzymać halabardę w ranie, utrzymać dystans i utrzymać się na jadących w tył, szeroko rozstawionych nogach - albo umrzeć. Debren, któremu przemknął pomysł zastąpienia jej przy drzewcu, zrezygnował

od razu. Nie było czasu na taki manewr.

Gryf nie tyle parł na Lendę, co biegł, pchając ją przed sobą. Gdyby nie śnieg, spod bosych stóp dziewczyny sypałyby się pewnie iskry. Utrzymała równowagę wyłącznie dzięki Debrenowi, który chwycił się jej talii. Kuszy jakimś cudem nie zgubił, ale z gangarina nic nie wyszło.

- Z drogi!!! - Yeżyn wypadł przed drzwi, wycelował w plecy szarżującego Zbrhla z trzymanej oburącz hulaj-kuli.

- Z drogi!!! - huczał młynkujący toporem Zbrhl.

- Won!!! - wrzeszczała powiewająca włosami Petunka. Debren nie wierzył, widząc, jak potwór rzuca do tyłu spieszne spojrzenie, drobi niepewnie łapami, traci okazję. Gdy Petunka dopadła jego zadu, odskoczył. Raczej nie dlatego, że miotła trafiła tam, gdzie siekance. Wyglądało to raczej na lęk przed osobą niż bólem.

- A masz, szczyłu! Za babkę! Za prababkę! Za praprababkę! - Petunka tłukła miotłą jak cepiarz, mający ambicję pobić rekord w młóceniu zboża i trafić do *Księgi Gupissa*. Wiele nie zwojowała, bo po pierwszym niepewnym pląsie Pisklak zaczął opędzać się machnięciami ogona, osłaniać skrzydłem. Próbował przetrzymać atak, samemu atakując równocześnie Debrena i Lendę. Za późno: magun zdołał otworzyć drzwi, a dziewczyna przerzucić w ich światło koniec drzewca. Stało się jasne, że gryf tę walkę przegrał.

Był za duży, by precyzyjnie się przecisnąć przez ościeżnicę, a za mały, by roztrzaskać łaźnię w kilka pacierzy. A tyle najwyżej miał: ludzie byli uzbrojeni i dłuższy szturm skończyłby się dla niego tragicznie. Musiał mieć pewne doświadczenie w tej kwestii, bo ledwie niedoszłe ofiary znalazły się za progiem, zręcznie wywinął się miotle i popędził długimi susami w głąb podwórza.

- Drzwi! - Petunka zatrzasnęła Debrenowi owe drzwi przed nosem. - Do domu! Szybko, nim zacznie ciskać!

Debren mimo wszystko skoczyłby za nią. Gdyby byli sami w

nadal gorącym, wciąż zaparowanym wnętrzu. Ale był tu ktoś jeszcze.

Coś czarnego i wielkiego runęło na niego spod stropu. Poderwał rękę, osłaniając się kuszą jak tarczą. Usłyszał szcęk zapadki, trzask, jakby pękającego drewna, a potem coś twardego i ciężkiego spadło mu na głowę.

- Ile palców? - Głos był dokładnie taki, jak dłoń unosząca mu głowę: szorstki z wierzchu, ciepły i delikatny odrobinę głębiej. Miły. I dłoń była miła, choć zadawała ból odrętwiałym mięśniom. - Debren? Rozumiesz, o co pytam?

Coś jasnego latało mu przed oczami. Druga dłoń.

- Pie... pięć? - wymamrotał. W głowie mu szumiało, ale nie tak, by nie usłyszał, że dziewczyna klnie pod nosem.

- To nic. - Kiedy się odezwała, miała zupełnie inny głos. Spokojny. I prawie szczerzy. - Minie. Płaskim dostałeś. Zresztą ciemno tu. Sama ledwie rękę widzę.

Aha. Zaczynał rozumieć.

- Odgryzł ci palce? - zażartował, opuszczając powieki. Było ciepło, wręcz gorąco.

- He? - Poruszyła się, może po to, by zerknąć mu w twarz. Dopiero teraz uświadomił sobie, że leży nagi na brzuchu na drewnianej ławie, a ona siedzi obok niego. Pod twarzą miał podściółkę z jodłowych gałązek przykrytych lnianym ręcznikiem, a na plecach rękę Lendy.

Normalny wzrok wrócił błyskawicznie. Sam, bez czarowania. Dżuma i...

- A, o nietoperza pytasz - domyśliła się. - Nie, niczego nie zwojował, szczur przebrzydły. Dziabnęłam go hakiem trochę po tym... no wiesz.

- Jak mnie trzasnęłaś halabardą w łeb?

- Gniewasz się? - zapytała niepewnie.

- Nnn... nie. Lenda... Mogę zapytać...?

- Nie. - Coś się zmieniło w jej głosie. - Ile palców?

- Tych? - dotknął podsuniętej mu pod nos dłoni. Mimo

głębokiego mroku widział ślady zadrapań. Najpierw most, potem bieg przez zarośla i gryf, jeszcze później nietoperz, zamknięty w ciasnym pomieszczeniu. I na koniec on. Musiała się zdrowo naszarpać, by go rozebrać i tak ułożyć, nie dodając nowych ran i stłuczeń do tych, których już się dorobił. A nie dodała. Był tego dziwnie pewny.

Ktoś taki miał prawo do podrapanych dłoni. I tego, by dotykano ich z największą możliwą delikatnością, samymi opuszkami palców.

- Tych jest pięć. W tym wyprostowany jeden.

- Dobrze. Skoro oprzytomniałeś, powinnam ci parę spraw wyjaśnić. Zastanawiasz się pewnie... - Cofnęła lewą dłoń, tę, której dotykał. - Bo pewnie zauważyłeś...

- Zauważyłem.

- Wiem, jak to wygląda - roześmiała się nieszczerze. - Ale to nie to. Są aż trzy racjonalne powody, że tak...

- ...zażywamy kąpieli - ułatwił jej początek.

- Jeśli tak spojrzeć, to nawet cztery. Ale względem owych trzech... Po pierwsze Pisklak oberwał. Zbrhl krzyczał, żeś jakimś dziwnym trafem postrzelił go w zadek. Pisklaka, nie Zbrhla.

- Pisklaka? Dzięki. Ulżyło mi.

- Nie kpij. To, coś z kuszą wyczyniał... Jakbym cię kiedyś brała na polowanie, z głowy mi to wybij. Ten dziobaty cholernik nie napędził mi tyle strachu, co ty.

- Łesz, księżniczko. A drugi powód?

- Czekaj, z pierwszym nie skończyłam. Nie po to cię tu tak... no, żeby za karę różgami smagać. Choć zasłużyłeś.

- Nieprawda. A po co mnie rozebrałaś?

- Prawda. A po to, żeśmy jakby obleżeni. Gryf się wściekł, lata i pociski z góry spuszcza. Na dom głównie, ale i w nas celował. Więc nie ma jak wyjść. A że tu pary od cholery, uznałam, że lepiej będzie ubrania w przedsionku złożyć. Bo tu zamokną i gdyby przyszło uciekać w las...

Nie brzmiało to za dobrze. O ile mówiła całą i szczerą prawdę. Debren po cichu liczył, że jednak nie.

- Rozważna z ciebie panna.

- Drugi powód jest taki, że musiałam opatrzyć ci rany. Nie wiem dlaczego, ale ilekroć się spotykamy, bierzesz po zadku. I to coraz mocniej. Myślałam, że ci się ta leczona różdżką otworzyła, ta z mostu, ale widzę... wyczułam znaczy... no, zauważyłam, że nowej się dorobiłeś. Więc, myślę sobie, jak już tak leży biedak bez przytomności... Trafnie przewidziałam, że przytomny byś się wzbraniał?

- W myślach mi czytasz.

- A siedzę blisko, bo dobra pielęgnacjuszka ma w obowiązku, jakby co, pacjenta przed walącą się belką osłonić. I nic w tym nie ma osobistego. To trzeci powód.

- Rozumiem. - Odczekał chwilę. Najdłuższe rozważania nie zastąpią jednak paru krótkich słów, więc przełamał się i nie odrywając policzka od lniano-jodłowej poduszki, zapytał: - I to... wszystkie powody?

Milczała. Gdzieś daleko, w innym świecie, strzelił łamany gont, trzasnęła belka, uderzona czymś ciężkim, spadającym z wysoka. I zaryczał Zbrhl. Raczej wściekły, niż trafiony. Ale wystraszony na pewno. Z tyłu dobiegało rytmiczne pukanie wody o deski ławy. Lodowata mgiełka rozdrobnionych kropel przyjemnie chłodziła stopy Debrena i nieco mniej przyjemnie przypominała, że luksus przebywania w cieple nie potrwa długo. Dach przeciekał. Na razie nieznacznie, ale drewniana budka nie była tak solidna jak dom. Coś, co radziło sobie tak znakomicie z więźbą dachową oberży, mogło za jednym zamachem rozwalić połowę łaźni.

- Co trzy pacierze - mruknęła Lenda. - Musi mieć przygotowane kamienie i belki na jakiejś nieodległej górze. Leci, bierze następną, spuszcza, zawraca, bierze...

- Długo to trwa?

- No, z klepsydrę trzeba już liczyć.

Uniósł lewą rękę, pomacał głowę. Wcześniej wstrzymywała go nie tyle obawa przed wymacaniem ruchomych kawałków kości, co raczej niepewność, czy nie trafi łokciem na którąś z piersi Lendy. Nie miał odwagi jej dotykać; bał się reakcji dziewczyny. I swojej. Oboje byli praktycznie nadzy; czuł jej ciepło przez plecy, bok tułowia, do którego przywarła. Było gorąco, było ciemno, a ciemność miała barwę rozmytej w parze czerwieni. No i przede wszystkim to była ona, Lenda Branggo, dziewczyna, o której marzył od szesnastu najdłuższych w życiu miesięcy.

- Całą klepsydre byłem nieprzytomny? To dlaczego...? Powinnaś dawno być w oberży. Tu jeden duży kamień...

- Nie dałabym rady cię dotaszczyć. Nogi... trochę bołą. Nie wiem, czy mielibyśmy szansę zdążyć. To sprytny potwór. Wcale nie jest powiedziane, że rzuca głazy tak szybko, jak może. Możliwe, że dołot zajmuje mu mniej czasu. Albo że bierze parę kamieni, rzuca jeden, a potem krąży i czeka. Nie wiem. Nie znam się na gryfach. A ty się znasz?

Nie pamiętał. Winy nie ponosiło nadproże budowanej według wczesnowiecznych norm oberży, słup gryfochron czy halabarda. To ona była winna. Pozwolił się wciągnąć w rozważania taktyczne, bo łudził się, że zapomni o gołej Lendzie opartej o gołego Debrena. I nawet, przez pacierz, pomagało. Tylko po to, by zaraz potem zacząć szkodzić.

- Dobrze się czujesz? - zaniepokoiła się. Prawa dłoń, ta z pleców, formalnie pełniąca rolę tarczy do powstrzymywania spadających na pacjenta belek, drgnęła, ruszyła ku górze. Ale zawróciła. A głos Lendy, choć nadal zatroskany, zrobił się rzeczowy. Jak u pielęgniaczki właśnie. - Dużo krwi straciłeś. Nie wiedziałam, że z tyłka może tak trysnąć. Ale też ciachnął cię głęboko. Jak się z tych gór wydostaniemy, powinieneś się do jakiegoś medyka zgłosić. Z tych, co to urodę poprawiają.

- Kpisz ze mnie? - Naprawdę nie wiedział.

- Zapomniałeś? Przyjaciele jesteśmy. No, chyba że ci się w

drodze, po tej stronie kopców, odwiedziało. Ale żeś mi jeszcze tego oficjalnie, w oczy, nie powiedział, to jak przyjaciel radzę. Z gładkim tyłkiem lepszą partią będziesz. Niewiasty lubią gładyszów.

Cholera. Nadal nie wiedział. Tyle że problem stał się mało istotny. Omal nie obejrzał się, nie zajrzał jej w twarz.

- Odwidziało się? - powtórzył wolno. - Lenda, skoro już sami jesteśmy... Co ty wyprawiasz?

- Ja?

- Miotasz się jak trzynastolatka. Obrażasz wszystkich, pijesz, na sztyldach się wieszasz, wyjeżdżać chcesz...

- Trzynastolatka?

- Jak nas Petunka omal nie wystrzelała, milczałaś. Choć to ciebie chciała bronić i jedno słowo wystarczyło...

- Przecież nie dałbyś jej nikogo skrzywdzić. Czarodziej jesteś. Co tam dla czarodzieja jedna baba z odpustową strzelawką na myszy. W dodatku drocząca się.

- Drocząca?! Yeżyn zjawił się z tą kuszą, całkiem nie odpustową, jak na ścieście! Naprawdę ich nastraszyliśmy! Że Petunka ma nerwy jak postronki, to jeszcze nie...

- W nerwy też jej zajrzałeś? Nie tylko pod spódnicę?

- Ja? Pod spódnicę? Bzdury jakieś... Nawet nie miała spódnicy. Była w...

- Wiem, w czym. Baba jestem, więc mam oko na takie rzeczy. Ale jak chłop potrafi opowiedzieć ze szczegółami, co miała na sobie białogłowa, to znaczy, że albo ciłopofil, albo że jest pod cholernie mocnym wrażeniem.

- Jestem magunem - warknął. - Pamięć mam wyćwiczoną. A ze szczegółami toś przeholowała. Petunka była całkiem goła, w samej jeno koszuli, a i to kusej. Jakbym tyle nie umiał zapamiętać, za różdżkę bym się nie brał. By krzywdy komuś nie zrobić.

- Goła? - To jedno do niej dotarło.

- Pod koszulą! Lenda, dzuma i syfilis, nie odwracaj kota

ogonem! O tobie mieliśmy gadać.

- Skąd wiesz, że nic pod spodem nie miała?

- Skąd? Bo widziałem! A jakbym nie widział, tobym zgadł! Myślisz, że gdzie jesteś: w Eileff? To zapyziała prowincja, gdzie o gryfa łatwiej niż babę w bieliźnie!

- Może i nie znamy tu frymuśnych majtek i gorsecików, ale kalesony to już ze dwieście lat. Jak nie dłużej.

- O kopcach mówiliśmy - sapnął. - Co miała znaczyć ta uwaga o odwiedzeniu się? Co niby miało mi się...?

- Dudkaj się.

- To nie była odpowiedź. Czekam.

Czekał długo. Niełatwo wygasić silne wzburzenie, a ona, jak Petunka, bynajmniej się nie droczyła. Uświadomił to sobie, czując, jak gwałtownie faluje jej to, czym go dotykała w okolicach lewej pachy. To jędrne i tak jedwabiste, że od przypomnienia aż bolało leżenie na deskach.

- W porządku. - Kiedy się w końcu odezwała, jej głos był rzeczowy i aż nadto dorosły. No i cichy. Nie była aż tak dorosła. - Skoro ciebie nie stać na szczerłość, to chyba mnie wypada. My... nas nie ma, Debren.

- Co?

- To znaczy i tyś jest, i ja, ale żadnych nas nie ma i nie będzie. Wiesz, w jakim sensie. Cicho. - Wyczuła, że otwiera usta, klepnęła go między łopatki. - Ja mówię. Nie przerywaj, bo i bez tego... Rozumiem, co się stało. Zbrhl miał świętą rację. Końska przypadłość ci się... - urwała, by po chwili zmagania się z opornym językiem dokończyć odważnie: - ...nam się przytrafiła. Niczyja wina. Natury chyba. Krew, strach, umieranie... I jeszcze golizna wokół. I nikogo w łożu od strasznie dawna. Więc nic dziwnego, żeśmy... że ci się to z miłością pomyliło. A i czarowanie, włosy w poduszkach, też nie bez efektu pewnikiem. Więc było tak, jakbyś się wina opił. Nie, wróc... gorzałki. Wino trunek szlachetny; gorzej się po nim rzyga, ale szlachetny. A ja... No, właśnie taka wsiowa



okowita: dobra w braku czegoś lepszego, idąca w głowę, łatwiej dostępna. Toś pogalopował jak koń Zbrhła za drakleńską kobyłą. - Zrobiła przerwę, odetchnęła raz i drugi. - Kiedyś, jak z Sovro wojowaliśmy, tom się w jednym księciu zadurzyła. Jak wjechał między namioty naszej chorągwi, zbroją srebrzoną błysnął, zębami białymi, jak zagrzmiął, że pod jego komendę idziemy... No, młódka wtenczas byłam, więc z miejsca na zabój. Zwłaszcza że i ja w oko paniczykowi wpadłam. Nie dziwota: jedna dziewczka na sześć tuzinów chłopca, pysk różowiutki, włosy takie, że warkocz pod pachą przeciągniesz i w zębach trzymasz...

- Ty sama tak...?

- Nie przerywaj. Sama. Nogami przebierałam, ustawiałam się w wymyślnych pozach, mieczem dziarsko machałam i w ogóle robiłam wszystko, by się księciu w dobrym świetle ukazać. Mówiłam: byłam młoda i tak durna, że aż mi się dziś wierzyć nie chce. No, a potem poszliśmy w pochód. Wiesz, jakie jest sovf ojsbif pogranicze: błota, lasy, latem komarów tyle, że ślepy, mieczem tnąc, ze dwa ubije. Żadna strona przewagi nie miała, no to manewrowaliśmy tak, że się buty i podkopy sypały. Trzy niedziele marszów, kontrmarszów, pogoda gówniana, żarcie gówniane, nastroje gówniane i jeszcze ciężka, ogólna sraczka.

- Dyżentaria. Powinnaś popracować nad językiem, księżniczko. Mądra jesteś, a wysławiasz się jak...

- Negatywny wpływ środowiska. Nie przerywaj. Więc, krótko mówiąc, dostaliśmy w rzyć. Najpierw, pamiętam, mój księżę w lśniącej zbroi strzemię w strzemię jechał, a gęba mu się nie zamykała. Jak kwietną łąkę zobaczył, to buch z kulbaki, kwiecie rwać. Kostkę nadwerężył, tak się spieszył ze spieszaniem. Cały wór *teg*<sup>o</sup> zielska dostałam, bo na jednym razie nie poprzestał - Ale, co charakterystyczne, potem już giermka słał, a sam jeno wręczał. Szóstego dnia tak się już miłowaliśmy, zem *tan* o swoim dupniaku opowiedziała.

- Lenda, wiem, czym jest trudne dzieciństwo i wpływ środowiska. Ale miarkuj słowa, proszę - Wystarczy: pas.

- Dudkaj się. I nie przerywaj, bo to opowieść z morałem; wysłuchać warto. No więc jakoś z szoku pozbierał w głupie dwa dni. Rankiem ósmego jeszcze mnie unikał, ale w południe weszliśmy w kontakt bojowy, trupów padło sporo, naszych głównie, bo z księcia był taktyk jak ze mnie hafciarka. Aha, i koń pod nim legł.

- - To ważne. Pół klepsydry pod martwą szkapą przeleżał, jucha tak mu zbroję zalała, że aż chlupało. Szok beZpałowy, krótko mówiąc. Więc jak go w końcu wyjęli, w pierwszym odruchu do mnie, na kolana pada i miłość wyznaje. „Lenduś - jęczy - żyć mi bez ciebie nijak, durny byłem, zem tego nie dostrzegł, daruj, cudna ty moja!” To niby jak miałam nie darować? Boćkać się poczęliśmy. I nawet mu zbroję pomagałam ściągać. Pod koniec to w tak gorączkowym pośpiechu, że pasek główny osłony pachwiny zerwałam. I potem...

- Daruj sobie szczegóły - rzucił Debren, siląc się na beznamiętny ton. - Z grubsza się domyślam.

- Ale nie tego, co trzeba. Bo się w mym lubym właśnie w takim momencie jedna z pierwszych ofiar owej ciężkiej... no, niech ci tam... dyzenterii. Więc się ofiara odezwała. Zbroję zdążyliśmy zdjąć, ale odbiec w krzaki już nie. Tom chwyciła pawęż, stanęła obok, majestat osłoniła...

- To będzie historia z morałem? - upewnił się.

- Będzie. Tak więc zaliczyliśmy i bitwę wspólną, i to. Miłowałam go dalej, nie powiem. Może i bardziej, bo strach doszedł o lubego, bom sobie uświadomiła, że zwyczajny jest, ludzki, i mogę go stracić. Ale... księcia z bajki, takiego na białym koniu, tom już w nim nie widziała.

Coś łupnęło o ścianę. Kamień był mały, ale nie był sam. Debren słyszał wyraźnie, jak te inne dudnią o zamarzniętą ziemię, ścianę oberży, jak triumfalnymi trzaskami

potwierdzają trafienia w gonty. Gryf uzbierał z półtora tuzina okruchów skalnych i zrzucił je równocześnie. Pewnie wysypując z sieci. Do polowań na latające potwory nagminnie używano siatek, miał prawo posiadać odpowiedni kawałek w swym zbiorze łupów.

- Zbrhl przez dziury w dachu szyje - wyjaśniła Lenda. - Na niego pewnie ta drobnica. Widzisz, co miałam na myśli. Taką salwą pewnie by nas trafił. A wracając do mej miłości... Świadomość, że każda klepsydra może być ostatnią, natchnęła księcia do pomysłu nocy przedślubnej. Bo o ślubie, nie powiem, dalej mówił. Ale też, przyznaję, nie bardzo wiedział, co mu na przeszkodzie do małżeńskiego szczęścia stoi. Nie, żebym go świadomie oszukiwała... po prostu sama wierzyłam, że się paskudztwa pozbędę. Że to jeno kwestia zebrania funduszy. - Przerwała. Debren leżał, cieszył się i martwił zarazem dotykiem jej nagiej skóry. Westchnęła. - No dobrze, jak już ma być szczerze i z życiowym morałem... Na jego sakiewkę też leciałam. Takie już baby są, Debren. Świadomie, mniej świadomie czy całkiem podświadomie, ale lecą. Ja chociaż umiem to logicznie wytłumaczyć. W moim przypadku miłość równa się brak dupniaka, a brak dupniaka równa się kuferek złota na kurację. To wielce wygodny układ. Nie muszę się silić na kulturalne splawianie chudopachołków. Mogę prosto z mostu powiedzieć: „Nie stać cię na mnie, nie zwracaj głowy i nie rób tłoku, bo poważnych konkurentów odstraszasz”. Prawda, że to wygodne? - Debren za dobrze odczytywał jej ton, by kusić się o odpowiedź. - Taaak.

- No więc pod wieczór uspokoiło się, rozbiliśmy nawet jedyny namiot, co go nam sovrojscy partyzanci razem z taborem nie spalili. Rannych mieliśmy sporo, deszcz siąpił, ale że i księcia, i mnie potrzeba okrutna przyparła, tośmy namiot dla siebie zarezerwowali. Niby na krótko, ale tak tylko gadaliśmy, by sumienia uspokoić. Mój luby w końcu nie wytrzymał i wyznał, że tak mnie miłuje, że całutką noc będzie

ostro... - Lenda... proszę.

- Ostro miłował. - Chyba się uśmiechnęła. - A ja wiedziałam, że owszem, całą, ale piłował. Cicho - klepnęła go po łopatce. - W sensie dosłownym mówię. Ale łajno z tego wyszło. Książę miał pilnik do cięcia zbroi, jak to dobrze wyposażony rycerz współczesny, któremu zdarza się, że po bitwie, mocno wymłócony albo kopytem nadeptnięty, nie może z odkształconego pancerza wyleźć. Miał także miłość w najlepszym gatunku, znaczy się czystą, romantyczną i ku małżeństwu zmierzającą. Młodzi byliśmy, więc nam się zdawało, że to starczy. A, bom zapomniała rzecz, że mi jeden guślarz przepowiedział, że miłowanie szczerze to najlepszy lek na takowe jak mój problemy. Nie śmieć się. Młoda byłam, durna. No i chciałam wierzyć w takie pier...

- Lenda...

- Wybacz: w takie nieracjonalne...

- Ja nie o tym. Chciałem powiedzieć, że twój pas białą magią trąci. Więc wcale bym się nie dziwił, gdyby pierdoły wiejskiego guślarza okazały się nie takimi znowu pierdołami.

- Czym trąci mój pas, tom właśnie miała powiedzieć. Ale po kolei. Piłowanie całkiem nam nie wyszło. Najpierw, jak zdjęłam spódnicę... zaznaczam: góry nie ruszając, i to tak dalece, że w półpancerzu siedziała... no więc jak błysnęłam księciu bielą ud, to... Nie chcesz, bym języka obozowego nadużywała, więc oględnie powiem, że książę o okrutnym ciężarze zaczął mamrotać, co to go dłużej nie udźwignie i że gdybym go mogła, ciężar znaczy, jakoś z... hmm... barków mu usunąć...

- Wiem, o czym mówisz - zapewnił szybko i cicho.

- I dobrze. Dorośli jesteście, a ty w dodatku poważny mistrz magii. Tej czarnej, mocno po ziemi stąpającej, więc bardziej wyrozumiałej dla przyziemności. Także w miłowaniu. - Westchnęła. - Krótko: miłowałam go na tyle, by średnio ciężki grzech popełnić. Ten... no wiesz, marnotrawienia...

- Księżniczko, naprawdę nie musisz...

- Nie bój się. Bez szczegółów. No więc... ciężary, nawet takowe, ręką jeno... zdejmuję. - Milczeli z pół pacierza. - No i potem, jak już się księciu lżej zrobiło, to nagle sobie przypomniał, że warty powinien obejść. I ze dwie klepsydry obchodził, choć biwak był maleńki i gdy się kamieniem cisnęło, można było sovrojskiego partyzanta trafić. Nawet się bałam, że któryś go... Ale nie. Wrócił i zabrał się za piłowanie. Tyle że serca już w to nie wkładał. I szybko skończył, bo mu głupio było tak dwuznacznie po nocy hałasować. „Lepiej - powiada - odłóżmy to i prześpijmy się. Nie myśl, że z tych jestem, co dziewczkę wyobracawszy, z łoża ją gonia”. No to poszliśmy do łoża, a konkretnie na posłanie z kropierza. Srebrnymi guzami go ponabijano. Górą derka poszła, ale czuję, jak się książę wierci, stęka. Nic nie mówię, bom myślała, że to z ochoty na mnie. Ale żem dziewica porządna, to jeno leżę i czekam. A ten, już prawie przed świtem, bluzgać zaczyna. „Wciórności! - mówi. - Księżniczka to ty nie jesteś i nie będziesz! Z taką skórą?! Nie gniołają cię te cholerne ćwieki?! Nic delikatności w tobie nie ma?! Ja się dla ciebie męczę, sińców nabawiam, a ty nawet palcem nie kiwnęłaś!” To go pytam, czy oczekiwał skarg na migi, skoro tak się krępował z dziewczką w namiocie hałasować. „Bo - mówię - i mnie to srebro pozerskie dojadło. Zwłaszcza, że guzy jeno posrebrzane, spod spodu żelazo wyłazi, a ja na żelazo uczulona jestem i krostami noc pewnie przyplączę”. A on na to, że co ja, prostaczka, mogę o cierpieniu wiedzieć, skoro mi tyłek blachami opancerzyli. Może na takowe okazje właśnie.

- A to cham.

- Nie, Debren. Kiedy się nie wiercił na kropierzu, to biegał za potrzebą. Mówiłam: dyzenteria. A że przyszło w trudnym terenie walczyć, to i odciski na stopach, i ukąszenia komarów... Zresztą potem od razu się pogodziliśmy. Następnej nocy już lepiej było. Nawet trochę popiłował. Tyle

że potem ja zaczęłam co pół klepsydry w krzaki biegać. A że znów w pochód ruszyliśmy, raz i drugi krzaków brakło. I skończyły się mrzonki o związku pana z prostytutką. Bo pan, choć obok jechał, płaszcz miał jak mały namiot i pawężników pod bokiem, głowę odwracał i udawał, że nie widzi, jak mnie nieszczęście dopada.

- Nie osłonił cię, jak ty jego - mruknął Debren.

- Ano nie. I żalu wielkiego nie miałam, boć to przecie księżę, a ja sama nie ułomek, potrafię tarczę przytrzymać, nawet w takich okolicznościach. Ale nie potrafiłam przełknąć tego, że mnie wieczorem w namiocie strzelił w pysk i urządził awanturę, że niby mu takiego sromu narobiłam. Wiesz, że choć z natury łagodna, czasami bywam porywcza. - Debren odchrząknął wymownie, ale nie odważył się skomentować. - Toteż do wymiany ostrych słów doszło. Ale potem przyszła następna bitwa i obojgu nam się syndrom drakleńskiej kobyły odnowił. Pogodziliśmy się. Giermka mi ze świeżym kwieciem przysłał, to jak mu miałam nie wybaczyć. Zwłaszcza że... - urwała. Debren, choć głowę trzymał tak, by nie widzieć ani kawałka jej ciała, wyczuł jej zmieszanie.

- Śmiało, księżniczko. Nie ma nic złego w tym, że panna troszkę głupieje, gdy lico w aromatyczny bukiet włoży. Zgaduję, że kwiecie było cudnej urody. Róże, co?

- Łubin - mruknęła.

- A... łubin. - Był trochę rozczarowany, a trochę zadowolony. - Cóż, też niczego sobie. Prostota posiada swój urok. Zresztą na wojnie byliście.

- Za róże - uśmiechnęła się gorzko - giermek, w imieniu pana, wziąłby w pysk. Bo jako żołdak, nie kochanka, też na księcia cięta byłam. Z chorągwi trzecia część jeno ostała. No, ale łubinem to mi serce na nowo podbił. A wiesz dlaczego? Wiesz, Debren?

- Skąd niby mam...? - Nie skończył. Nie czytał jej w myślach, nigdy. Ale umiał słuchać, a głos Lendy z dnia na

dzień stawał się dla niego jak melodia, niosąca coraz bogatsze, coraz subtelniejsze treści. - Och... książniczko.

- Czyli wiesz. - Udało jej się to powiedzieć zwyczajnie, nawet żartobliwie. - Cóż, kiedyś mi jeden wróżbita na pocieszenie rzekł, iż się w przyszłości przemysł drzewny wielce rozwinie, a papier tak stanieje, że go ludzie stale miast siana, liści i, dajmy na to, łubinu, używać będą. Ale aż taka głupia nie jestem, by w te bajania wierzyć. A wtedy nic lepszego mi się nie mogło trafić niż ów łubin.

- Książę... zorientował się? To dlatego zerwaliście?

- Po części pewnie tak. Bo owszem, zorientował się. Tego wieczoru pierwszy raz wzięłam się na odwagę, pewnie z resztek tej złości... No, oględnie mówiąc, poprosiłam, by i mnie coś z tego wspólnego nocowania skapnęło. Znaczą - dorzuciła pospiesznie, znów z zawstydzeniem w głosie - w przenośni. No wiesz: korzyść jakaś.

- Rozumiem.

- Schudłam w pochodzie, od dyzenterii odwodniona byłam... A on miał szczupłe dłonie. Tom pomyślała...

- Rozumiem, Lenda. I... nie wstydz się. Nie ma się czego wstydzić. W Marimalu, przykładowo...

- Tak, wiem - powiedziała cicho. I westchnęła. - On też wiedział. Książę, było nie było. Oczytany, z dworami oswojony, a te zawsze o sto lat do przodu były, jeśli o użyteczne nowinki idzie. I nawet... Tylko że ja...

- Zostawmy to - poprosił.

- Nie, Debr en. Muszę skończyć, bo to... to nas dotyczy. Czas spojrzeć prawdzie w oczy. No więc książę, choć postępowy światowiec, obsobaczył mnie. Że niby jak mogę go prosić, by on, mężczyzna pełną gębą, ręką się w męskim dziele wspomagał. Że spaliłby się ze wstydu, gdyby rzecz na jaw wyszła. Że egoistka jestem, że rozwiązała, że suka. Tłumaczę, że nic na jaw nie wyjdzie, bo przecież ślub weźmiemy i do śmierci jeno ze sobą... Ale tyle utargowałam, że się na

miłowanie w marimalskim wydaniu zgodziłyśmy. - Musiała zrobić przerwę. Debren, mający coraz większe problemy z wyleżeniem na deskach, nie miał nawet pretensji, gdy usłyszał sarkazm w jej głosie. - W szczegóły się nie wdaję. Miało być tak jak u ciebie i dziewiczej baronówny Ronsoise. No, pewnie nie tak doskonale. Baronówna, z imienia sądząc, Marimalka pełnej krwi, więc i we krwi ma takowe...

- Nie spałem z nią - powiedział spokojnie.

- My też nie spaliśmy. I to w obu sensach owego słowa, nie, jak u ciebie, w jednym. Bo gdy przyszło co do czego, księżę blachom się dokładniej przyjrzał i pyta: „A właściwie to jak sobie waćpanna z higieną radzi?” No to ja, że wodą, choć wiedziałam, że nie o to pyta. A on: „Widzę, że wodą, w spódnicy cały tył masz mokry, wstyd mi czynisz, przez obóz tak przechodząc. Ale w tym drugim względzie. Bo chyba mnie nie okłamujesz, żeś kluczyk zgubiła, hę? A tak w ogóle, to co tu robi ten łubin? Łubinem się dla mnie nacierasz? Toć ci flakon perfum kupiłem, za całe pół dukata!”

- Kluczyk?

- A co mu miałam rzec? Że mnie za rozwiązłość sąd grodzki dupniakiem pokarał? Musiałam jakoś wyjaśnić, skąd się to paskudztwo wzięło, tom kamratom z chorągwi powiedziała, że mnie rodzina w pas cnoty wyposażyła, bym w razie klęski losu gorszego od śmierci nie zaznała. W stepowych kampaniach, gdy teren intymności nie sprzyjał, od razu ową legendę rozpowszechniałam i potem miałam spokój. Druhowie się z łapami nie pchali i niczemu nie dziwili. Wystarczyło powiedzieć, że się w poprzedniej wojnie kluczyk zawieruszył.

- Rozumiem.

- To miłe. Księżę nie okazał zrozumienia. Do pokładzin nie doszło tej nocy, choć do zerwania też nie. Jak mówiłam, kochaliśmy się. Pewnie się uśmiechasz pod nosem, ale to prawda. Była miłość, i to spora. Nie wywlekałabym ci tu takich brudów, gdyby to nie była autentyczna miłość. Bo o



morał chodzi.

- Brudów? - Nie był zdziwiony, ale nie chciał, by pomyślała, że akceptuje to słowo. - O niczym brudnym...

- Nie utrudniaj mi, Debren. Nie bądź taki szlachetny. Bo oboje wiemy, że to najprzód śmieszne, a zaraz potem odrażające. Mówię o stosunkach ze mną. W dwojakim znaczeniu owego słowa. Także tym ambonalnym.

- Mówisz o czymś - mruknął - o czym nie masz pojęcia. Z samej definicji.

- Że niby sama ze sobą...? Dzięki. Choć to też żalotne, na swój sposób. Że tak w ciemno mnie możesz skomplementować.

- Skom...? Dżuma i syfilis! Źle mnie... Mówię, że nie wiesz, jak to jest być obok ciebie! O tym mówię!

- Aha - mruknęła. - No cóż, to pewnie łatwiejsze. Ale i na to jeszcze nikomu sił nie starczyło. Bo w końcu na jaw wychodzi, że z Lendy dziwaczka, że się zachowuje nie tak jak wszyscy... Nie da się żyć normalnie, mając tyłek w czymś takim uwięziony. I nie mówię tu o żadnych sercowych historiach. Na tym dawno kółko postawiłam. O prozie mówię. O konieczności ciągłego biegania do łaźni, o wysiadaniu w baliach, cebrzykach, potokach...

- Wiem, o czym mówisz. Więc daruj sobie. Bo słyszę, że ci to wielkiej radości nie sprawia.

- Już kończę. Książę przestał ze mną strzemię w strzemię jeździć. Coś o woniach niemiłych napomykał. Kazał stosować więcej perfum, a potem wypominał rozrzutność i te pół dukata. Spotykaliśmy się tylko nocami. Nic nie mów, sama wiem: głupia byłam jak but. Trzeba mu było z miejsca powiedzieć, by sobie do zdejmowania wiadomego ciężaru z barków owcę znalazł. Ale odkochywanie się jest ciężkie, a ze mnie była smarkula. Ryczałam, klęłam, a potem szłam do niego i nawet nie mówiłam, że mógłby wziąć ze mnie przykład i choć raz, niby to przypadkiem, z siodła w strumień zlecieć.

Potem, od tego zlatywania i zgłaszania się na ochotnika do rozpoznawania brodów, pochorowałam się trochę. Nie zajrzał do lazaretu, ale żalu nie miałam. Już go tak mocno nie kochałam. I żeby nie ta ostatnia bitwa, tobyśmy się pewnie po cichu, bez słowa rozjechali. Ale traf chciał, że został ranny. Gdy się wieść rozeszła, machnęłam ręką na podział łupów i pobiegłam tam, gdzie leżał. Marnie wyglądał: krew, blady jak gieźło, zarzygany od naramienników po ostrogi. I jeno popiskuje. To ja z biegu ślizgiem na kolana, za dłoń łapię, do serca tulę, do ust... Nagle znów bliski mi się stał, taki mój... Więc klęczę, kretynkę z siebie na oczach zebranych robię, coś tam mamroczę, że ledwo draśnięty, że do wesela się zagoi. A on tak dziwnie patrzy, łyka powietrze... Więc łapię medyka, pytam, co się dzieje. No i dowiedziałam się. Książę, wystaw sobie, pod koniec bitwy na Sovrojca zbrojnego w berdysz się rzucił. No i się tamten na niego zamachiwał. Znaczący: topór wznosił, by z góry ciąć. Ale, cholera, zmęczony już był, powolny.

- To... chyba lepiej?

- Łajno tam, lepiej. Akurat na podrywany berdysz mój niedoszły się nadział. Każdy inny cios by odbił, a jak nie on, to jego pancerz, bo solidny miał. Ale go żelastwo od dołu ugodziło, w samiuteńką słabiznę. Wyobrażasz sobie?

- Uuuch... - Debrenem aż wstrząsnęło.

- No właśnie. Medyk z miejsca mówi: „Jaśnie panie, przykro mi, ale od tej pory możecie kazać, by was jaśnie panią tytułowali”.

- Tak mu rzekł?! Łziesz!

- Jak Machrusa miłuję. Bitwa była krwawa, mój książę dość pośledniego rodu, a chirurg wojskowy i w dodatku pijany. To pewnie dlatego. Nie cackał się. Wojna to piekło, a i pośpiech wymusza. Na mnie też wymusiła. Bo nie myśl, że bezmyślnie to palnęła. Zastanowiłam się najpierw. Szybko, fakt, ale dogłębnie. Jak na dorosłą przystało. Bom chyba

wtedy właśnie dorosła, jeśli wiesz, o czym mówię.

- W kwestii dorosłości wiem. W kwestii bezmyślnego palnięcia nie bardzo.

- Powiedziałam, że za niego wyjdę. Że to, co mu się przytrafiło, to nic. Że go miłuję, a przecież miłość najważniejsza w małżeństwie. Że i tak.

- Że i tak? - nie zrozumiał.

- Ludzie słuchali, tom nie wyjaśniała, że w pasie cnoty z jaśnie panią dokładnie tyle samo rozkoszy zaznam, ile z jaśnie panem. Więc zawiesiłam znacząco głos.

- Aha. I co? Powiedział ze łzami: „Mojaś ty, po czym ducha wyzionał?” Bo wdową, zdaje się, nie jesteś?

Coś łupnęło o ścianę łazienki. Pocisk przebił deski, śmignął nad piętami Debrena i trzasnął w palenisko. Sypnęło iskrami, popiołem. Lenda, nie za mądrze, za to szybko, runęła piersią na plecy maguna. Próbowwała czymś więcej niż samą piersią, lecz z jej nogami było marnie i tylko tyle zdołała dokonać. Na szczęście. Debren zdążył pomyśleć, że cios blachami w pośladki kosztowałyby go pewnie kolejne omdlenie. A tak tyłek ocalał.

Ale z drugiej strony... dokładnie naprzeciwno...

Podbrzusze eksplodowało. Fala rozkoszy spłynęła ku stopom, rozpałała tęczowe kręgi pod zaciśniętymi powiekami.

- Psia jucha... - Jej głos zadrżał. - Mało brakło.

Musiała spojrzeć, upewnić się. Leżał nieruchomo, z całych sił trzymając w garści te części ciała, nad którymi nie odebrała mu władzy, więc raczej niczego się nie dopatrzyła. Ale z drugiej strony... tam, gdzie odebrała...

Machrusie, ile tego było... Tęsknił za nią szesnaście miesięcy. Śnił o niej. Marzył na jawie. No i uzbierało się.

Nie zdążyła pomyśleć, to był odruch. Głupi. Choć po dziesięciokroć mniej głupi od tego, co mu teraz robiło jego własne ciało.

- Nic ci nie jest, Debren?

Nic. Całkiem nic. Ale z drugiej strony...

Gorzej niż nastoletni smarkacz. Im to się przynajmniej przytrafia we śnie. Umarłby ze wstydu. Gdyby akurat nie umierał ze szczęścia, które mu podarowała.

Jakie jędrne miała te piersi. Boże.

Ośloniła go. Była zdecydowana umrzeć, by on przeżył. Tak po prostu.

Nie mógł mieć pretensji do swego ciała. Odpowiedziało miłością na miłość, i tyle.

- Ni... nic - wykrztusił. I już całkiem cicho, w len i pachnące lasem igliwie, wyszeptał: - Lendusia...

Była dziwną istotą. Najdziwniejszą z tych, które napotkał, a przecież widywał już stwory, na tle których pręgowany gryf z pawim upierzeniem wydawał się prozaiczny jak podwórkowa kura. Była duża i ciężka, a nie poczuł, kiedy uwolniła go od swego ciężaru. Miała piersi delikatne jak puch i twarde jak kamień - równocześnie. Była tu, Przy nim i na nim, będąc zarazem w innych miejscach.

Tam, za nogami, gdzie w ścianie ziała dziura wielkości ludzkiej głowy. I przy drzwiach. Czary.

Czas stanął na głowie. Świat stanął na głowie. On, Debren z Dumayki, poważny mistrz magii, miał ochotę stanąć na głowie.

- No, pięknie. - Jak przez mgłę słyszał jej zduszony głos. - Przypieprzył z niskiego pułapu, po płaskiej trajektorii. Debren, musimy stąd dyrdać. Wiesz, co on robi? Wali w drzwi oberży. Tym razem nie wcelował, ale jak wceluje, to pójdzie do szturmu.

Było ciemno; pomieszczenie, choć dziurawe, nadal wypełniała para. Prawie jej nie widział. Trochę dlatego, że starała się pozostać niewidoczna. A przynajmniej uchronić przed jego wzrokiem niektóre partie ciała.

Leżał i patrzył, jak miota się między głównym pomieszczeniem a przedsionkiem. Słyszał, jak klnie, skrzypi

drzwiami, pobrzękuje halabardą, znów klnie.

Leżał. Patrzył. Słuchał. Nie mógł myśleć. Jeszcze nie.

- Dasz radę biec? Ściągną całe? Debren, mówię coś. Mówiła zwrócona do niego tyłem, siedząc na pieńku do rąbania szczap. Nakładała suknię, suknia wymagała sznurowania, więc usiadła. Mimo iż wiele tego sznurowania nie było. No i te jej pytania... Nie kryła za dobrze strachu.

Od razu odgadł, w czym rzecz.

- Ty nie dasz rady, prawda? - Dźwignął się.

- Mniejsza o mnie. Na mnie rany jak na psie...

- Potrafisz powtórzyć taki bieg? Tylko bez kręcenia, księżniczko. Widzę, na czym stoimy.

Szarpnęła sznurkami, zaciskając węzeł. Mocno. Na tyle, by ciche westchnienie dało się przypisać naciskowi na płuca. Debren wodził palcami po przykrytym szmatami pośladku, ostrożnie zdejmował blokady nerwów.

- Ja na jednej nodze - mruknęła ponuro. - Ten cholerny nietoperz... Źle stąpnęłam. Ale też mnie rozwścieczył, szczur wredny. Wiesz, co tu robił? Żar w garnek przekładał. Spalić nas próbowali. Gryf nie smok, sam z siebie ognia nie wykrzesze, więc przysłał pacholka na złodziejstwo. Garnek też kradziony pewnie. - Nie odwracając się, rzuciła mu ubranie. - Masz, odziej się. Bo pewnie nie chcesz, by ci pomagać.

- Poradzę sobie - powiedział pospiesznie. - I nie martw się. Pisklak nie jest taki głupi, by szturmować dom. Kawał bestii z niego, ale odpornością na żelazo nie dysponuje. Gdybyś go niżej trafiła tą halabardą...

Urwał, ale nie łudził się, że w porę. I słusznie.

- Racja - powiedziała bez urazy, odruchowo wykręcając kosmyki peruki. - Mogło być po wszystkim. Yeżyn piłby piwo, Petunka urodziłaby mu i syna, i córeczkę, i może nawet wnuczką się nacieszyła, a ty byś nie ryzykował, że okulejesz. Ale że przez tego cholernika rdzawego zawsze się do konnicy zaciągałam, to i nie utrafiłam, gdzie należało. Halabardą

nigdy...

- Syna i córeczkę? - Resztę zrozumiał. - A co ma Pisklak do jej potomstwa? Kontrolę urodzin tu zaprowadził?

- Taki durny to żaden z nich nie był, ani Domorzec, ani jego synalek, by z kontrolą urodzin ryzykować. Bo w jedną niedzielę by go Kościół wyklął i przy pomocy kołomyi świętej zmiotł z powierzchni tych gór. Ale w praktyce owszem, coś takiego nastąpiło. Trocheśmy z Petunką pogawędziły o babskich sprawach. Z półsłówek zrozumiałam, że mają problemy z prokreacją. Yeżyn konkretnie.

- Przecież mają dwóch synów.

- Oj, Debren, Debren. Nic nie zauważasz, wniosków nie wyciągasz. Może dlatego, że nie chcesz. Co mnie nadto nie dziwi. Ona... cóż, nie powiem, morvacka nacjonalistka, ale poza tym, fizycznie...

- Urodziwa? - zgadł. - To problem Zbrhła. Mój nie.

- Nie chcę się przed walką wdawać w spór, więc przyjmijmy, że ci wierzę. A wracając do rzeczy: jest jaka jest, to się chłopom świętą widzi. Ale to zwyczajna niewiasta. Z potrzebami. A jeszcze i z misją do wypełnienia.

- Ona też ma misję? Jak gryfy?

- Tu wszyscy mają misję. Okolica taka. Misją Petunki jest postawić interes na nogi. Siedem pokoleń tradycji to nie byle co. Chce czy nie, musi kontynuować dzieło babek. To po pierwsze. A po drugie, oswoiła się z myślą, że w jej rodzie sprawy łóżkowe mało mają wspólnego z konwenansami i obyczajnością.

- Ej, czy ty jej aby nie obrażasz? Rozumiem twą niechęć do wszystkiego, co morvackie, ale...

- Powiedziała mi, że oboje marzą o córeczce. I że pewnie się nie doczekają. To ja, by ją pocieszyć, mówię: „Przynajmniej was Bóg parą synów obdarzył”. A ona, że ją, owszem, ale Yeżyna już nie bardzo. Bo jak ją brał za żonę, to już z chłopaczkami i że właśnie za to go kocha, iż nosem nie kręcił,

ludzkiej obmowy się nie bał, o gryfie nie wspominając. Ja na to, że faktycznie, na kamieniu się tacy nie rodzą, co ubogą wdowę z dwojgiem przychówku przed ołtarz wiodą. To mi kazała odpukać i przez ramię spluwać. Bo wdową, powiada, nigdy nie była i nie zamierza być.

Milczeli przez chwilę. Debren wiązał onuce.

- Nie nasza sprawa - powiedział. - I nie twoja wina, że się Yeżyn syna i córki szybciej nie doczeka.

- Córki jeno. Syna ponoć nie chce.

- Nie? - zdziwił się. - Toć mówiłaś...

- Yeżyn jest zbyt bojaźliwy, a i poczciwy, by ryzykować z chłopcem. Tutaj ci, co portki noszą, częściej od bab giną. Córka to co innego. Wnuków Vysedelowie nie mają i nie zanoszą się, by szybko mieli, więc jakby się dziewczuszka urodziła, nietykalna byłaby jako spadkobierczyni. Zemsta ma trwać do skutku.

- Tego się sam domyśliłem.

W oddali załomotały kamienie. Mocno. Debren pomyślał, że nawet pojedyncze trafienie może strzaskać drzwi.

- Może powinniśmy...?

- Nie, Lenda. Powoli. Trzeba się przygotować. Zresztą póki drzwi całe, i my nie wejdziemy. Okienka maleńkie, z twoim pasem mogłyby być problemy.

- Aha. Zadek mam gruby. Dzięki.

- Głupia jesteś. Lepiej wyjaśnij, co z tym synem.

- Syn już jest. Vaclan, jej pierworodny. Ten od balsamów, co je Petunka dziewczynie przynęca aplikowała. I ten, który na potwory chadzał. Ciut pan oberżysta przesadził. Raz smarkacz poszedł. Na gryfa. No i gryf tak go pochlastał, że się wstydzi odtąd ludziom pokazać. Vaclan, nie Pisklak. Petunka miała łzy w oczach, tom nie pytała o konkrety, ale paskudnie musi chłopak wyglądać. Nie dziwota, że zdziwaczał. Znaleźli mu w Ołomuciu izdebkę na poddaszu i posadę kopisty. Miniatury ponoć cudnie maluje. Więc choć jedna mu tylko ręka została,

jakoś tam na chleb zarabia. Ale baby nie ma. Młodszy brat do tamtejszej chorągwi się zaciągnął, bo mu rodzice kazali Vaclanowi pomagać, a po prawdzie to chyba dawać nań baczenie. Bo się ponoć już na życie targał.

- Rozumiem.

- Nie, Debren. Niepełnosprawny nigdy nie byłeś, to i nie zrozumiesz. Ja tak, ale nie ty.

- Masz na myśli pas - domyślił się.

- No widzisz? Intelpekt jak brzytwa, tyłek przez okno do każdej oberży wejdzie, zwłaszcza że pewnie praktyka w tym spora.

- Można jaśniej?

- Jaśniej? Proszę. Grosz się ciebie nie trzyma, więc, jak znam życie, ty się pannom do izby przez okno wślizgujesz, nie one tobie. To miałam na myśli. Nic złego, uchowaj Boże. Przecież wiem, żeś nie złodziej.

- Użalasz się - powiedział cicho.

- A co, nie wolno? Babą ostatecznie kiedyś byłam, to się mogę nad biedakiem pouzalać.

- Nad biedakiem? - Zapiął kaftan. - Nie dokończyłaś historii z księciem. Morału się nie doczekałem.

Zastanawiała się przez chwilę. Ale nie miała wyjścia.

- Prawda. Obiecałam morał. - Usiadła twarzą do niego. - Choć z twoim rozumem pewnieś się sam domyślił. Ale niech tam. No więc książę, mówiąc ogólnie, harbuzem mnie uraczył. „Z tobą? - piszczy - miałbym się żenić? Z tobą? Ty śmierdzielu na okrągło obesrany! Przez ciebie już nigdy... Nigdy, pojmujesz?!”

- Wstrząs - wzruszył ramionami. - Pałowy, ale z elementami bezpałowego. Nie wzięłaś chyba jego wrzasków na serio.

- Krzyczał, jaka to ze mnie ladacznica i jaka żalosna imitacja niewiasty, ludzie tego słuchali, a ja nie mogłam pojąć, o co mu idzie. Żeby nie ten klin, którego mi zabił, to albo jego mieczem bym pchnęła, albo, co prędzej, siebie, bo nigdy



takiego upokorzenia nikt mi jeszcze do tej pory nie zgotował. Ale nie rozumiałam i to mi życie ocaliło. Bo mnie czeladnicy medyka pod łokcie chwycili i wywlekli, by pacjentowi cierpień nie dodawać. Dopiero wieczorem, jak w lesie ryczeć skończyłam, w głowie mi się rozjaśniło.

- Taaak. Czasem potrwa, nim sobie człek uświadomi, jak bezsensownie go oskarżano.

- Nie rozumiesz, Debren. Sensownie. Ja byłam winna. Przez ten mój brak kobiecości właśnie. I przez chore, babskie popędy. Nie rozumiesz? No tak, masz prawo. Nie ty mu pasek tarczki pachwinowej zerwałeś. I nie ty swoim niezdecydowaniem, fochami, zmiennymi humorami sprawiłeś, że zbroi do naprawy nie oddał. Nie gap się tak głupio. Tak często się obrażałam, że biedak nie wiedział nigdy, czy i kiedy to zrobimy. No i w ciągłej gotowości chodził. Bez osłony znaczy.

- Ro... robiliście to... w zbroi?!

- Nie bądź taki wstrząśnięty - warknęła. - Akurat ty, ekspert od miłości antypodowej. Wulgarne to i śmieszne, jak z boku patrzeć, ale o każdym chędożeniu to samo...

- Wybacz - przerwał jej szybko. - Przepraszam, księżniczko. Źle mnie zrozumiałaś, ale i tak przepraszam.

Podziałało. Lenda oklapła.

- Morał - wymruczała - jest taki, że i prawdziwa miłość nie przeżyje, jak ją z pasem cnoty zderzyć. Powoli zdechnie. I tylko się miłujący pokaleczą. Taki jest morał, Debren. Tyle lat pamiętałam, a potem zapomniałam i widzisz, co się powyprawiało.

- A cóż takiego się powyprawiało? - zapytał.

- Nie udawaj. Robotę straciłeś, pokaleczony jesteś i nie wiadomo, czy cię ten cholernik nie zadziobie. A wszystko bez nijakiej korzyści. Po tamtej stronie kopców to cię przynajmniej zaćma trzymała, a...

- Zaćma?

- No wiesz: to ogłupienie, włosiem w poduszce wywołane. Ale teraz... teraz już patrzeć na mnie nie możesz.

Debren zdał sobie sprawę, że po tej stronie kopców tak naprawdę nie rozmawiali ze sobą. Psiakrew. Powinni porozmawiać. Przynajmniej raz.

- Ja na ciebie nie mogę patrzeć? Co za bzdury...?

- Debren, przecież ślepa nie jestem. Widzę. A jakbym i nie widziała, toć sam mi to prosto w oczy rzekłeś. Że jak jechaliśmy, to się starałeś na mnie...

- W kontekście podglądania! No dobrze: nieprecyzyjnie się wyśłowilem. Trudno o precyzję, gdy cię najbliżsi o dewiacje pomawiają. Publicznie i w miejscu, gdzie byle oskarżenie może się eksmisją skończyć albo postrzałem z hulałkuli. Ale chyba nie myślałaś...

- Najbliżsi? - poderwała głowę. - O... Zbrhlu mówisz?

- O Zbrhlu?! To ta gorączka, czy może faktycznie masz sto trzydzieści lat i ciężką sklerozę?! Chyba ci muszę to napisać, bo widzę, że mówienie to jak grochem o ścianę! Kocham cię, kretynko! I z tego kochania nie patrzę, gdy nie należy! Bo cię, dzuma, szanuję! I nie będę termowizyjną metodą cycków podglądał! Zechcesz sama pokazać: proszę bardzo! Ale tak nie chcę!

Zdał sobie sprawę, że stoi. Nie, poprawka: że oboje stoją. Bo i ona nie uznała tematu za jeden z tych, które można omawiać na siedząco.

- Nie łzyj, babiarczy! Petunkę toś z każdego łańcuszka rozliczył! Ronsoise, dziewicę, antypodów uczyłeś! A „Różowy Królik”? Po księgi tam trafiłeś? Nie po to czasem, co chłopów do zamtuza ciągnie?

- Lenda, zapewniam cię, że zaćma nadal mnie trzyma. Równie mocno jak wtedy, gdy cię na grzbiecie dźwigałem.

- Mówisz tak, bo jesteś... - zabrakło jej słowa - jesteś... za dobrze wychowany! Nie potrafisz przyznać, że nie potrafisz już na mnie patrzeć! W drodze... Myślisz, że nie zauważyłam?

Na wszystkie strony ci głowa latała, jeno nie w moją! I smród ci przeskadza! Pierwsza rzecz to: do łaźni z nią, Petunko, byle szybko! Drugi ksiązę, cholera!

- Nie jestem za dobrze wychowany. W drodze nie gapiłem się na ciebie, bo w tych lasach żyją wilkołaki, jest ostra zima i jak ktoś o pannie poważnie myśli, to na las się gapi, nie pannę. Bo tak się składało, że ilekroć jednak spojrziałem, toś się silila na poprawianie w kulbace, rozpinanie półkożuszka i pyskowanie Zbrhłowi. Bo się jedna durna koza silniejszą i zdrowszą tak bardzo chciała wydawać, że i nogi nadweręzała, i płuca, i gardło, i cierpliwość rotmistrza, u którego na łasce byliśmy. Bo się pannie ciężkie dni akurat w takiej chwili przytrafiły i musiałem udawać, że plam na portkach nie zauważam ani ukradkowego szorowania śniegiem. Bo nos mam nawet od ksiązęcego delikatniejszy i mi się nie uśmiechało strzemię w strzemię z panną jechać, własny smród wachając. Nawet jeśli ze zdobycznego ubioru głównie pochodził. Bo wiem, jak mnie przelot przez jelito urządził i boję się, że mnie panna jako cuchnącą maszkarę zapamięta. Z bólem, zimnem, strachem i chorobą raz na zawsze skojarzy. Bo podzielam zdanie, że ekstremalne warunki mogą miłość zabić. A nie chcę jej zabijać. Ani tej mojej, z którą mi dobrze, ani tej twojej, o której nie wiem, czy w ogóle jest. Bo, na koniec, nie chcę cię oglądać termowizyjnie z czerwonymi cyczkami w sine plamy, które ośnieżony kaftan daje. Wolę poczekać i w naturze obejrzeć.

Musiał skończyć. Nogi cały czas, powoli lecz nieubłaganie, niosły go w jej stronę. I zwyczajnie zabrakło miejsca. Do pniazydla jeszcze było, ale do Lendy nie. Co znaczyło, że i ona nie całkiem panuje nad nogami. W dodatku wyrosła na sążeń w górę i ustami trafił akurat na jej trochę arogancko, a trochę zmysłowo wypchniętą dolną wargę.

Miała usta jak pomarańcze, które jadał na „Arami-zanopolisańczyku”. Przepisy bezpieczeństwa, jak to na

galerze, były ostre, więc nawet scyzoryki ściśle reglamentowano i Debren, nie chcąc się biedzić z twardą skórką młodych owoców, zamawiał u kucharza po tuzinie już obranych. Jadł je powoli, lekko przesuszone na wierzchu i - przez kontrast z tą suchością - niewiarygodnie soczyste wewnątrz, pod pomarszczonym nabłonkiem. Był z Północy, więc zakochał się w pomarańczach. Ale nie tak jak teraz w wysuszonych gorączką, spękanych, pociągniętych pomadką z buraka ustach Lendy. Które, podobnie jak jej piersi, były twarde i miękkie zarazem, cudne w dotyku, a przede wszystkim - co je od piersi różniło - chętne.

Nie całował jej. Całowali się - to różnica tak wielka, że od samego myślenia o niej wirowało w głowie. Nie stracił równowagi i nie upadł wyłącznie z poczucia obowiązku. Nie mógł. Nie był sam. Czuł jej bose stopy na swoich stopach, jej bicepsy gniotły mu szyję, wisiała na nim, dusiła, oddawała całą siebie z ufnością dziecka, któremu przez myśl nie przyjdzie, że z rodzicielskich ramion można wypaść. Więc stał. I całował ją. Jak nigdy nikogo.

Z czasem znów działo się coś dziwnego. Nie umiał określić, jak długo to trwało. Wieki, to pewne. Za krótko - jeszcze pewniejsze. Oboje dostali zadyszki. Lenda cięższej: miała katar. Ale to nie ona przerwała.

- Cze... czekaj. - Nie myślał o tym, ale dłonie same omijały skryte pod suknią blachy. Kleiły się do pleców, poznawały kształt ud. Za mocno jednak tulili się do siebie, by jego biodra potrafiły długo ignorować coś, co przepływało z jej bioder. - Czekaj, Lenda. Czujesz to?

- Co? - Spojrzenie miała nieprzytomne, rozmazane.

- N... nie wiem - zająknął się. - Chyba... twój pas... Oprzytomniała błyskawicznie. Pomyślał, że on sam by tak zareagował, gdyby mu ktoś wbił kołek w tę ranę z tyłu. Chcesz zranić Lendę Branggo? Nie ma sprawy: wymów magiczne słowo na runę „P”. Dżuma i syfilis. Ale przecież musiał. Bo coś

się działo i to coś nie było dobre.

- Tak - oblizła usta. - No tak. Pas. - Próbowala się cofnąć, ale nadal ją obejmował, a nogi miała za słabe. - Puść. To... bez sensu. Nigdy ci nie dam...

- Cicho. - Przesunął dłonie na jej biodra, przymknął oczy, zaczął dostrajać umysł do sączącej się energii.

- Poniosło mnie, wybacz. To się już nie...

- Cicho, Lenda. Cicho. Zamknij się.

- Pojadę ze Zbrhlem. Ponoć Prawel jest śliczny. A jego dzieciaki miłe, mądre i chętne do nauki żołnierskiego rzemiosła. Taka nauczycielka w sam raz im się nada. Tak że darmo niczyjego chleba...

- On wibruje. Nie czujesz? Twój pas. - Zesztywniała, ale przynajmniej umilkła. - Pamiętasz? Zdawało ci się, że wyczuwasz mój wzrok. To było to?

Umiała szybko powracać na ziemię. Nic dziwnego. Dziesięć funtów balastu robi swoje. Chciało mu się płakać. Przed chwilą miał w ramionach kochankę, najczulszą z możliwych. Teraz żołnierza. Nagle, jak za dotknięciem różdżki, powrócił ból, zmęczenie, no i smród ubrania.

- Tak - mruknęła. - Co to jest? Następny nietoperz?

- Nie. - Gorączkowo przeczesywał kolejne pasma, zaczynając od tych typowych. - To idzie stąd. Z pasa.

Szło. Coraz silniejsze. Nie, wróć - to on odbierał wyraźniej. Sygnał był chyba stały. Nadal nie dawał się zaklasyfikować, ale Debren doszukał się jakiejś regularności.

- Odbierasz to jako wibrację? - Pokiwała głową. - Zdarzało ci się już coś podobnego?

- Nnnie jestem pewna. Chyba... chyba jak byłam mała. Na początku. Ale nie jestem... - Nagle jej oczy rozszerzył strach. Krótki błysk, nad którym zaraz zapanowała. Jej twarz zmieniła się w doskonale nijaką maskę. - Debren, mógłbyś mnie zostawić samą? Na chwilę.

To było coś więcej niż prośba. Omal nie uległ.

- Nie mógłbym. To idzie na przenikających. Nie wolno wystawiać ludzi na takie pasma bez ich wyraźnej zgody. Ktoś tu, psiamać, łamie zasady. Nie, Lenda. Nie zostawię cię sam na sam z przestępcą. A poza tym...

- To cię może skrzywdzić - rzuciła przez zęby. - Ostrzegano mnie. Odejdź, Debren. Pewnie nic się nie stanie, ale gdyby miało się stać, to straty mniejsze będą.

- Daj dokończyć. Poza tym jest jeszcze Pisklak. Niby jak to sobie wyobrażasz? - Argument był nie byle jaki, więc umilkła.

- I nie bój się. Ktoś jawnie łamie reguły obchodzenia się z czarami, ale moc nie jest wielka.

- Co to znaczy?

- Najprościej? Że dupniak nie dupnie zniecka. - Nie wypuszczając jej z objęć, ugiął kolana, przywarł twarzą do miejsca, gdzie schodziły się jej uda. Wydawało mu się, że westchnęła. Nie był pewien. Wszedł w główne pasmo nośne, teraz dostrajał umysł, zagłębiał się w szczegóły. To wymagało koncentracji. - Cii... Nie ruszaj się.

Była cicho i nie ruszała się. W stajni przerażony koń walił kopytami, rżał panicznie. Zbrhl wrzeszczał, odgrażał się latającym obesrańcom.

Debren wstał. Dłonie nadal trzymał na biodrach dziewczyny. Starał się nie patrzeć jej w oczy. Nie dał rady.

- Co? - zapytała spokojnie, chłodno. - Mów.

- To chyba... Sygnał jest podobny do tego, którym się wskazania nawigacyjne dla wrzecion przekazuje. Informacyjny, znaczy. Dziwne, ale to wygląda, jakby ktoś próbował... no, nawiązać kontakt. - Zebrał odwagę. - Słuchaj... chciałbym otworzyć ten kanał.

- Jak? - Czuł jej lęk, ale czuł też, że panuje nad nim.

- W tym problem. Sam niewiele zwojuję. Nie wiem dlaczego, ale twój pas działa jak wzmacniacz. Jest nasączony magią, więc to pewnie efekt przypadkowego rezonansu.

- Daj spokój. - Była opanowana, sugestią wyraziła jednak aż

nadto dobitnie. - To niebezpieczne. Diabli wiedzą, kto i co śle w ten sposób. To nie nasza sprawa. Jak czegoś od nas chce, niech gońca pośle. Albo gołębia. A nie dziewczkom zadek wibruje. Wibrowanie niewiastom pewnych miejsc bez ich jednoznacznej zgody bywa w niektórych krajach większym przestępstwem niż puszczanie pasm przenikających. A chamstwem to już wszędzie.

- Nie żartuj, księżniczko. To może być ważne. Byle gówniarz nie dokona czegoś takiego.

- Więc tym bardziej nie. Z byle gówniarzem pewnie sobie poradzisz. Ale jak to robota doświadczonego czarodzieja... Boję się - powiedziała otwarcie.

- Będę przy tobie.

- Toż o ciebie właśnie się boję, durniu. Ja w tym blaszaku tkwię i nic nie poradzę. Ale ty nie musisz stać obok, jak się czar objawi.

- To informacja. Informacje bywają przykre, ale rzadko zabójcze. Serce mam zdrowe, nic mi nie grozi.

- W „Różowym Króliku” jeden tłuścioch to samo Dunne do głowy wbijał. Dwóch dużych i namiętnych dziewczek żądając. Dała się przekonać. I wiesz co?

- Domyślam się. Ale my nie na królikową modę będziemy ze sobą spółkować. - Zesztywniała. - Nie patrz tak, toż mówię, że nie... To słowo ma i drugie znaczenie, dla czarodzieja przynajmniej. Wiesz, co to medium? -

Słabo kiwnęła głową. - Ty i twój pas jesteście takim jakby zbiorowym medium. Ja pokieruję odbiorem, poprowadzę cię. Krótko mówiąc, na spółkę to zrobimy.

- A... aha. - Może mu się zdawało, a może faktycznie skryła rozczarowanie. - Rozumiem. Ale nadal uważam, że nie powinniśmy... A jak to naprawdę korespondencja? Cudza? Nie godzi się cudzej czytać.

- Może i cudza - zgodził się. - Ale jedną rzecz sam rozszyfrowałem, bo ją w główne pasmo wyraźnie wpisano. Co

powiesz na to, że się fala w dwie runy układa? I nagłówek „DD” tworzy? Z niczym ci się to nie kojarzy? - Zamrugła powiekami. - No? Pytam. Odpowiedz, jeno szczerze.

- Szczerze... to nie mogę.

- He?

- Bo się czepiasz o każde... że niby wulgarna jestem.

- Lenda!

- No dobrze, dobrze... Owszem, kojarzy się. W mniej koszarowej lełońszczyźnie ci to rzeknę, skoro uszy masz takie delikatne. To, po mojemu, mogłoby być: do rzyci.

- Do...? Aha. No tak. - Zerknął na nią niepewnie. - I to jedyne twoje skojarzenie? A Debren z Dumayki?

- No... po prawdzie... Nie możesz mieć do mnie pretensji, Debren, nie o logiczne myślenie. A najbardziej logicznym się wydaje, że „DD” to znaczy, com rzekła. Bo niby w co depesza trafiła? W moją zbyt tłustą...

- Dosyć. Każdy pacierz takowej emisji ciężkie pieniądze kosztuje, więc zdecyduj się. Odbieramy czy się głową pod zydel chowamy, wierząc, że nas to uchroni?

Sapnęła, oczy jej rozbłysły znajomym, kocim ogniem. Takiej jej jeszcze nie całował. Bardzo chciał. A teraz chyba nawet mógł. Tyle że nie byłoby to rozważne. Mogła uznać gest za formę pożegnania.

- Co mam robić? - rzuciła wyzywająco.

- Nie wiem. Sygnał pokieruje. Może coś usłyszysz, może zobaczysz... nie wiem. Wiem, że trzeba stworzyć możliwie bezpieczny układ rezonujący. Pas, ja, na końcu ty. Będę cię ubezpieczał. W razie czego przerwę seans.

- A jak nie dasz rady? Debren, może jednak...

- Dam. A jak nie dam, to nas oboje szlag trafi. - Przez chwilę patrzyła mu w oczy, zaskoczona takim postawieniem sprawy. Po czym nieoczekiwanie uśmiechnęła się. Leciutko, samymi kącikami ust, które wydawały się Debrenowi wciąż nabrzmiałe od pocałunków. Skinęła głową. - Tak? Zgadzasz



się? Zuch dziewczka. I ostatnia sprawa. Nie zrozum mnie źle, ale muszę się dobrze chwycić.

- Chwytaj się - poszerzyła uśmiech.

- Za obrzeża pasa - dopowiedział niepewnie. - Eee... bezpośrednio. Znaczący...

- Jak to się mówi na dworach... - wyszczerzyła zęby i obróciła się do niego plecami, bez skrępowania podciągając pod pachy dół spódnicy - ...cała przyjemność po mojej stronie.

Nie miała racji. Powinna, ale nie miała. Debren odczuwał wyrzuty sumienia, bo krawędzie blachy, choć niby wygładzone, były nawet dla palców szorstkie w dotyku. Bo nie zęła księżciu i faktycznie wyczuł wysypkę na styku skóry z żelazem. Niejeden zamaszysty ruch nogą czy skłon musiał się kończyć bólem. Może i lekkim, ale nieuchronnym. Więc nie miał prawa odczuwać przyjemności dotykając jej w takim miejscu, pchając się brutalnie z palcami w strefę otarć i odcisków. Bez wątpienia przysparzał jej cierpienia. Był ostatnim draniem, czerpiąc z tego jakąś chorą, niezrozumiałą przyjemność.

Ale czerpał. Stał przyklejony piersią do jej pleców, wdychał zapach wilgotnej skóry, czuł na policzku chłodną pieśczołę złotych włosów.

- Co teraz? - zapytała poważnym już głosem.

- Będę powoli zwiększał przepływ. Zobaczymy, co z tego wyjdzie. Nie bój się. Aha, Lenda... Może będę musiał wzmocnić styk. Znaczący: silniej do ciebie... no, przywrzeć. Nie zwracaj na to uwagi. A teraz zamknij oczy i spróbuj się rozluźnić. Powolutku. Spokojnie. Jestem z tobą.

Był. Mocniej niż kiedykolwiek. Tylko przez moment czy dwa, co prawda, zanim na styku ciał i dusz nie ustaliła się równowaga, ale moment czy dwa to całkiem sporo.

Mój. Ciepło. Dobrze. Jak dobrze. Mój. Bezpiecznie...

Cholera. Przebiecie. Nawet nie tyle myśli, co ich aura, rozmazane echo. Ale wpakował się jej do mózgu. Nie

zachował ostrożności. Błąd, mistrzu. Błąd niegodny mistrza.

Błąd... celowy?

Dość. Weź się w garść. Są sprawy ważne i nieistotne.

Sygnal rósł w nich, lał się coraz szerszym strumieniem. Kiedy się ustabilizował, Lenda westchnęła cichutko. I ruszyła przed siebie. Wolno, chwiejnie. Niepewność kroku nie miała nic wspólnego z ranami nóg. Dziewczyna była w transie. Debren nie próbował niczego jej narzucać, po prostu poszedł za nią jak cień. Niedaleko. Łaźnia była mała. Nim się zorientował, Lenda już pochylała się ku schodkowym siedziskom, wyciągała drżącą rękę.

Nie rozumiał. Dopóki trzy środkowe palce nie skreśliły drugiej runy na zroszonej desce.

O-S-T-A-W-J-A

Pisała szybko. Chyba przypadkiem. Ten, który przez nią przemawiał, raczej nie wiedział, że nalot na desce jest prawie niewidoczny, a runy ukazują się głównie dzięki przepływającej przez dłoń dziewczyny energii, rozbłyskując gasnącym niemal od razu płomykiem. W drugą stronę nie poszło nic. Debren mocno się o to starał.

N-I-E-J-E-S-T-D-L-A-C-I-E-B-I-E

Pomyślał, że będą ją bolały palce. Mięśnie pod suknią były napięte jak liny sztormującego okrętu. Jedno złe ustawienie dłoni, a połamie paznokcie. Ale nie mógł temu zapobiec. Miał za dużo roboty z pilnowaniem przepływu. I własnego refleksu. Nie ufał nadawcy.

N-I-C-Z-T-E-G-O-N-I-E-B-E-D-Z-I-E-D-E-B-R-E-N

Cholera. Ręka Lendy. Sunęła z lewej w prawo i właśnie zepchnęła z ławki okryte lnianym ręcznikiem gałązki jodły. Te, na których trzymał głowę. Cholera.

N-I-C-N-A-T-Y-M

Trzeba ją powstrzymać. Nie mógł dopuścić, by ręka dotarła aż do...

Ale przekaz mógł im coś dać, coś podpowiedzieć. Tylko

dureń zrywałby kontakt bez bardzo ważnego powodu.

N-I-E

Ostatnia chwila. Zdecyduj się, chłopie. Jest w transie; to, co zapamięta najsłabiej, to właśnie wychodzenie z niego. Więc teraz. Już. Albo wcale.

S-K-O-R-Z-Y

Wyładowania na styku palców z wilgocią nabrały mocy, poczerwieniały. Stało się. Trudno. Warta była i tego. Każdej ceny była warta. Najwyżej się z niego pośmieje. Najwyżej, gdy zerwą, jak każda urażona zerwaniem kobieta puści w świat stosowną plotkę. Pies trącał plotki. Nikt nie wierzy porzuconym kobietom. A tym, które porzuciły? Bo przecież on jej nigdy...

S-T-A-S-Z

Gówno prawda. Wielkie, gówniane gówno. Nic nie wiecie. To co, że śmieszne? Że nieeleganckie? A w wypadku tego, przez co właśnie przebiegały iskiereki magicznego pisania, także trochę żalodne? Może dla patrzącego z boku. A jemu było z tym dobrze. I już.

P-O-R-Z-U-Ć-J-Ą

Dudkaj się.

B-O-Z-G-I-N-I-E-S-Z-Z-J-E-J-P-O-W-O-D-U

Dudkaj się.

O-S-T-A-W-J-Ą-N-I-C-N-A

Miał szczęście. A tamten pecha. Bo okazał się naprawdę szybki. Chyba wyprzedziłby maguna mimo całej jego czujności. Ale pętla się zamknęła. Apel rozpoczynał się na nowo, kiedy jego nadawca wyczuł obecność odbiorcy i spróbował sondowania. Sygnał, słaby, dyskretny, przeszedł przez pas, przez Debrena, wszedł w Lendę, odbił się i zaczął wracać. Jakaś jego cząstka prześcignęła nawet cofające się spod blach palce - ale mało tego było.

Zdążył. Bo już przedtem zaczął wyciągać dłonie.

Złapać osuwającą się na podłogę Lendę też zdążył.

- Co., co się... Debren?

- Nic. Już dobrze. - Przeszła przez seans znakomicie, nogi ugięły się pod nią tylko dlatego, że nagle wróciło czucie i dała się zaskoczyć eksplozji bólu. Ale była przytomna. Nie miał więc wyboru: musiał złapać mocniej, zakręcić nią, postawić przodem do drzwi. I przy okazji zamknąć w dłoni jej prawą dłoń, zetrzeć, ile się da.

- Ej! Co ty wyprawiasz? Oszalałeś?

- To... rutynowa procedura. Nie powinnaś patrzeć, bo... bo... No, bo trzeba sprawdzić, ile zapamiętałaś.

Błagał ją w duchu, żeby nic. Nie chciał, by się z niego podśmiewała. Ale jeszcze bardziej nie chciał, by zaczęła apelować do jego rozsądku.

- Pisałam, tak? - Znakomity początek, nawet tego nie była pewna. Ale dalej już nie było tak znakomicie. - Oni... oni cię ostrzegali? To było ostrzeżenie? - Potrząsnęła głową, smagając go po policzkach końcami włosów. - Psia jucha, ta twoja hipnoza mało co słabsza od gorzałki. We łbie mi szumi. Nie spałam? Dobrze było?

- Byłaś znakomita, księżniczko. Ale teraz zapomnij o tym. Nie myśl i nie wspominaj, dobrze?

- Ty jesteś czarodziejem, ty się znasz. Ale masz mi powiedzieć, o co chodziło. Czego chcieli?

- Niczego ważnego. Durne sztuczki. Pewnie jakiegoś głupka z Teleporthanzy. Nieważne. Lepiej pokaż tę kostkę. Może coś da się zrobić.

Z kostką Lendy za dużo się zrobić nie dało. Nie umiał szybko odnaleźć właściwych nerwów, a blokowanie wszystkiego przyniosłoby oplakane skutki. Ból jest lepszy od braku czucia, kiedy od rączych nóg zależy życie.

Kłęczał, trzymając jej bosą stopę, gdy gryf zabił jednego z koni. Stajnia znajdowała się daleko, ale doskonale słyszeli rozpaczliwy, pełen przerażenia kwik.

- I po koniu - wyszeptała Lenda. - Cholerny Yeżyn. Nie

domknął wrót.

- Nie wdarł się do stajni - mruknął Debren. - Tam jest okienko. Małe, ale koński łeb przejdzie.

- Konie nie są takie durne, by wystawiać łby i obwąchiwać leśne biesy. Zimno - poruszyła palcami nóg. - Nie męcz się. Dokuśtykam. Lepiej wynośmy się stąd.

- Konie może i nie są durne. - Posłusznie dał spokój czarowaniu, lecz nie wycofał uda, o które opierała stopę. Zamiast tego zaczął ją zwyczajnie, niemagicznie, rozcierać w dłoniach. - Ale jak czują tuż obok drapieżkę, uciekają. Chyba wiem, jak Pisklak to zrobił. Pohałasował za stajnią, a potem pognał dookoła i dopadł twojego gniadosza, kiedy ten próbował... bo ja wiem...?

- To mój koń? - spochmurniała do reszty.

Miał przed oczyma kolano Lendy, a w dłoniach jej chłodną stopę, w której najdelikatniejsza gładź skóry spotykała się z szorstkością, dostarczając palcom fascynujących wrażeń. Tamto, na ławie, niewiele pomogło, jak się okazuje. Nadal popadał w żalosne ogłupienie od byle dotyku, spojrzenia. A ogłupienie zabija. Nie tylko konie.

- Jeszcze raz - westchnął, odstawiając nogę Lendy i podnosząc się z kolan. - Nie rozmawiałaś z tamtymi?

- Odkrzyknęłam jeno, że sobie radzimy.

- Mądra dziewczuszka - posłał jej uśmiech. - Czort wie, ile bydlę rozumie. Mama wprawdzie pawica, ale gryfy słyną z inteligencji. Swoją drogą, unikat z niego, już po ojcu. Nie słyszałem, by gdzieś w Viplanie... Na Domorzu co drugi gród gryfa ma w herbie, więc burmistrzowie z różnymi krzyżówkami eksperymenty czynili, by się nad innych wybić, ale że Starogród po tygrysie geny sięgnął... No, no.

- Jeno nie mów, żeś za ochroną rzadkich gatunków.

- Owszem. Ale nie bój się: magunów uczy się wyboru mniejszego zła. Lendy cenię bardziej niż gryfy.

- Lendy doceniają twą postawę.

- Na pewno sobie poradzisz? - Dotknął halabardy.

- Lepiej niż z czarowaniem - posłała mu kpiący uśmiezek. - Daj spokój, we dwoje na dywanik go przerobimy. Morvacka baba miotłą go pogoniła, to ja halabardą nie pogonię? A przy okazji, pókiśmy sami... To czarownica, co? Słowo, Debren: nie mam uprzedzeń. Zresztą już jesteśmy na noże, bardziej nie będziemy. Mów śmiało. Czarownica?

- Nie.

- Wiedziałam, że tak powiesz. Cholera, wszystkich was zauroczyła. Dobrze powiadają: chłopcy wolą blondynki.

- Nie ja.

Wskazał jej palenisko, a sam wyszedł do przedsionka. Tuż za progiem nie było gryfa. Pewnie nigdzie w pobliżu też nie, lecz Debrena interesowało sąsiedztwo drzwi. Wychylił się i używając obu dłoni, posłał ładunek energii na prawo od wykładanej drewnem ścieżki. Potem cofnął się w głąb przedsionka i, już bez ryzyka, robił swoje.

Czarował szybko, przedkładając siłę nad precyzję. Lenda przysypywała nagrzane kamienie świeżymi porcjami drewna, więc stać go było na rozrzutność. Dziewczyna miała uważać na stan paleniska, uprzedzić go, gdyby balansował na granicy zduszenia płomieni. Nie musiał dzielić uwagi między źródło a odbiorcę - to pomagało. Gdyby nie pośpiech, wyczarowałyby naprawdę ładne widowisko.

Nie mieli jednak czasu. Razem z pierwszą porcją energii w ciemność podwórza poleciały onuce Debrena, przesiąknięte jego krwią opatrunki i jakieś ciemne kawałki nie wiadomo czego, co Lenda w ostatniej chwili dorzuciła do puli środków mylących. Całość została podarta na drobno, skropiona wodą i potraktowana czarem wzmagającym parowanie. Efekt powinien być taki, że na przestrzeni kilkuset łokci kwadratowych przemieszane zapachy Debrena i Lendy zagłuszą inne i zmylą wężącego gryfa. Na krótko. I o ile gryfy dysponują powonieniem. Debren nie był tego pewien: dopóki

nie poznał Lendy, orłokoty, nawet te prozaiczne, stały całkiem wysoko na jego prywatnej liście gatunków chronionych, nie miał więc motywacji, by wkuwać spis ich słabych stron.

Teraz oczywiście żałował.

Jeszcze bardziej żałował, że nie potrafi oszacować siły wzroku Pisklaka. No i jego inteligencji.

Plan był prosty. Podwórze zalegał śnieg, w łaźni było ciepło, był też czarodziej mogący posłużyć jako łącznik jednego z drugim. Resztę miała załatwić sama natura.

Czar topił śnieg, rozbijając uzyskaną wodę na drobiny aerozolu. Część z nich odparowywał. Mieszał śnieżny pył z parą, niósł w górę ciepłym prądem wstępującym, rozrzucił na boki. Wszystko to razem tworzyło wypełzającą z niebytu, grubą na dwa sążnie i nieco niższą białą dżdżownicę, rosnącą w głąb podwórza w tempie dwóch łokci na moment. Najtrudniejsze w zaklęciu było takie dobranie proporcji między telekinezą, termoemisją i zdalnym elektryzowaniem, by poderwane w górę drobiny możliwie długo, już samorzutnie, wisiały w powietrzu.

\*\*\*

Pomijając użyty materiał, do złudzenia przypominało to osławione Węże Dymne, zastosowane przez Kummonów podczas pierwszego najazdu na Viplan. Jedyłą niemagiczną bronią, przy pomocy której udało się stronie atakującej doprowadzić atakowanych do takiej dezorientacji, że dwie nadworne chorągwie rycerzy kopijników zaszarżowały na siebie i zniosły się ze szczerem, nim uczestnicy kontrataku zrozumieli, że dziurawią sojuszników. Rzecz działa się w trakcie sławetnej i tragicznej bitwy pod Stojnicą, a więc całkiem niedaleko, ale dobre dwieście lat wcześniej. Tak zwana Szarża Dwóch Kuzynów, podczas której książę belnicko-śpiwopolski Hanko III pomylił swego kompana od kielicha, kuzyna i najwierniejszego sprzymierzeńca, księcia

breclawskiego Rykneha Brodacza, z kummońskim prawym skrzydłem, trafiła na trwałe do podręczników wojskowości. Tudzież *Księgi Gupissa*. Gryfy jednak ksiąg nie czytają i Debren liczył, że uda mu się zaskoczyć Pisklaka.

Pierwsza dżdżownica wyrastała z zasy na prawo od łaźni i biegła zygzakiem ku południowemu węglowi oberży. Poprowadził ją między gryfochronami, pod gałęziami jabłonek, obok sągu drewna, zza którego ubliżał mu pyskacz. Koniec ginął w kępie zarośli przy szczytowej ścianie budynku - dalej, z braku widoczności, czar nie sięgał. Ale dalej był częstokół, a za nim, niedaleko, frontowe drzwi oberży, z punktu widzenia podwórkowej bitwy bezpieczne i dyskretne. Trasa biegła przez miejsca z natury chroniące przed atakami z powietrza - Debren, gdyby był gryfem, tam właśnie szukałby uciekinierów.

Drugi, środkowy wał, wiódł z grubsza wzdłuż ścieżki ku drzwiom, przez które wyszli, choć parę kroków przed budynkiem rozmywał się, rozłaził jak rzeka w delcie i czwórka mniej masywnych ramion sięgał także okien. Końcówka nie za dobrze Debrenowi wyszła, bo czarował przez własną zasłonę śnieżną, ale podobne trudności miałby gryf, próbując się zorientować, którym z odgałęzień umyka zdobycz. Okna były wprawdzie małe, ale jeśli ktoś nie wiedział o pasie Lendy, mógł dopatrywać się w nich dróg ucieczki.

Trzecia dżdżownica wiła się wzdłuż północnego ostrokołu, omijała przylegające doń sterty rupieci, resztki ustawionej na kamieniach fury, jakiś ogrodzony niskim płotkiem ni to warzywnik, ni kojec dla drobiu. Debren zdecydował się na tę trasę właśnie dlatego, że posuwając się nią mieli osłoniętą przynajmniej jedną flankę.

- Zaraz zgasisz!

Zignorował ostrzeżenie. A nawet ucieszył się. W rozgrzanych kamieniach było wystarczająco wiele mocy, by zdołał dokończyć, a za mało, by gryf wykorzystał je w



charakterze pocisków zapalających.

- Idziemy - rzucił przez ramię. - Halabarda nisko.

Omówili każdy szczegół, a na to, by nie wystawiać halabardy ponad kamuflaż z pary i śnieżnego pyłu, wpadła właśnie ona. Nigdy nie przyłapał jej na braku zimnej krwi; przynajmniej nie wtedy, kiedy walczyli. Spośród ludzi, których znał, tylko Zbrhl byłby teraz lepszy w charakterze towarzysza. Mimo to musiał odmówić sobie ostatniego spojrzenia w jej twarz. Nie ukryłby strachu.

Wtedy halabarda dała im tylko odrobinę czasu. Ratunek zawdzięczali wyłącznie Petunce i jej miotle. Teraz nie mogli na nie liczyć.

Zdecydował się w ostatniej chwili. Może dlatego, że z takim ujmującym, dziecięcym posłuszeństwem poderwała się na pierwsze jego słowo. Może z niewiary w siłę pawich genów Pisklaka. Ale przede wszystkim dlatego, że nie potrafił już sobie wyobrazić przyszłości bez Lendy Branggo.

- Jeden moment - mruknął, pochylając się nad paleniskiem.

Jak kazał, zalała je resztkami wody. Były to jednak znikome resztki i nie musiał czekać. Jeden moment przeciągnął się raptem do pacierza z kawałkiem. Skończył, nim zaniepokojona Lenda dojrzała do stawiania pytań. Czar nie był trudny. Mnóstwo osób zginęło właśnie dlatego, że należał do tak prostych.

- Teraz szybko.

Wybiegli z łaźni. On z przewieszoną przez plecy kuszą, ona z trzymaną poziomo halabardą, oboje zgięci w pół. Szybcy Szybsi niż Debren oczekiwał. Ale i tak przygnębiająco powolni. I bardzo niezręczni.

Prowadził. Widoczność była zerowa, więc zgodził się biec przodem, choć miał niemal pewność, że gryf, o ile zaatakuje, pojawi się od strony łaźni. To dlatego halabarda od samego początku spoczywała w dłoni Lendy grotem w tył - chodziło o szybki cios, a nie o to, by się nie pogubić w śnieżnej

zawierusze. Ale, oczywiście, wykorzystali okazję i Debren cały czas kurczowo ścisnął drzewce.

Podtrzymywany z niemałym wysiłkiem czar sprawił, że nie stać go już było na żadne inne. Nie mógł lekką telekinezą rozgęścić rdzenia dżdżownicy. Musiał biec na oślep. I wpadał na wszystko, na co się dało.

Przewrócił się na połówce koła od fury. Zderzył z furą. Potłukł lewe kolano, bezskutecznie usiłując wyhamować przed płotkiem. Podarł prawą nogawkę i podrapał łydkę, przeskakując drugie ramię tego samego ogrodzenia. Rąbnął czołem w jakiś słup. Nie za mocno, ale po poprzednich słupach, nadprożach i halabardach nie było dla niego słupów nie za mocno uderzonych głową.

Lenda, o dziwo, wyszła bez szwanku ze wszystkich kolizji. Sztywny hol w postaci drzewca czynił cuda. Albo, po prostu, pole bitwy lepiej jej służyło.

Bo znów byli na polu bitwy. Dobiegali już do budynku mieszkalnego, kiedy nad ich głowami przemknęło coś długiego i smukłego, coś, co zderzyło się z oberżą, wprawiając w drżenie niemałą część dużego przecież domu. To coś nie było gryfem, ale gryf był gdzieś blisko. Belka - bo to ją widzieli - leciała płasko, bardziej ze wschodu na zachód niż z góry na dół. Pisklak zaryzykował lot koszący, zwolnił pocisk tuż przed celem i zapewne strzelił świecą w niebo w uniku przed dachem. Jeśli nawet przeleciał na drugą stronę, było oczywiste, że zatoczy ciasny krąg i zechce sprawdzić rezultaty nalotu. Ale mógł też mieć dostateczny nadmiar szybkości, by wykonać pętlę, a to oznaczało możliwość nieprzerwanego prowadzenia obserwacji.

Dżdżownicy nieubłaganie przeistaczały się w tasiemce, para skraplała, pył osiadał. Kamuflaż przestawał działać. Debren ocenił, że pozostało im najwyżej pół pacierza niewidzialności. Pacierz, gdyby przypadli do ziemi. Czyli, w sumie, półbezruch równał się klęsce.

Musieli zaryzykować.

- Zbrhl!!! Otwieraj drzwi!!! - wrzasnął.

Stało się. O słuchu, w przeciwieństwie do węchu, czarodziej wiedział, iż gryfy go posiadają. Kości zostały rzucone i teraz wszystko zależało od refleksu obu stron. Gdyby Pisklak płynnie przeszedł z pętli do lądowania...

Nie przeszedł. Kiedy wypadli na odkrytą przestrzeń, gryf wykonywał właśnie nieskładną półbeczkę, miotając się między chęcią zabijania a niechęcią do rozbijania się. Zwyciężyła ta druga. Co tylko dowodziło, jak groźnym przeciwnikiem może być pasiasty gryf, zmutowany z zapadnickiego tygrysa śnieżnego.

Był ranny i wściekły, ale zdecydował się na powolne, bezpieczne lądowanie w odległym kącie podwórza. I miał rację. Debren uzmysłowił to sobie, gdy dopadli wejścia.

Drzwi, mimo długotrwałego kamiennego bombardowania, nie ucierpiały zbytnio. Były duże, ale też ciężkie, solidnie okute. Dorobiły się paru szczerb i wgnieceń, lecz przetrwały. To ciut ich opóźniało, za to dobrze rokowało na przyszłość. Z tamtej strony ktoś szarpał się już z rygłem, a Debren pamiętał, jak łatwo i szybko Lenda uporała się z połączonymi siłami drzwi i Zbrhla. Założył milcząco, że teraz, mając rotmistrza po swojej stronie, pokonają przeszkodę jeszcze szybciej. Rachunek był w zasadzie prawidłowy, nie uwzględniał jednak belki.

Zastrugany na końcu, ewidentnie skradziony z jakiejś budowy pień wbił się w ościeżnicę akurat przy klamce. Bo drzwi, choć wczesnowieczne, miały już i klamkę, i nawet zamek z dziurką na klucz. Po dwustu latach pewnie zepsuty, lecz nadal podnoszący prestiż gospodarzy: większość wiejskich chałup nadal zamykano na drewniane zaszczepki, niekiedy nawet te zupełnie archaiczne, jednostronne.

Ościeżnica była mocna i cios ją tylko nadłamał, podobnie jak brzeg skrzydła drzwiowego. Do całkowitego przebicia

chyba nie doszło, ale oberża to nie okręt i nie miało znaczenia, czy jest przedziurawiona. Ważne, że pał wbił się głęboko i tkwił mocno zaklinowany w drewnie.

Równie mocno jak drugi koniec belki w pniu najbliższego gryfochronu.

Debren wpadł biegiem na kamienny podest przed wejściem i bez namysłu zaatakował belkę barkiem. Na szczęście skośnie - więc jedynie wywalił się i potłukł o drzwi, zamiast połamać parę kości.

- Nie mogę! - wołała z drugiej strony Petunka. - Yeżyn! Szybko! Drzwi się zacięły!

Debren, korzystając z faktu, że już i tak leży, kopnął belkę od dołu. Nic. Kątem oka widział skrzydła gryfa, znikające między czubami zaostzonych słupów.

- Uwaga! - krzyknęła Lenda. Zaraz potem siekierzasta strona halabardy grzmotnęła z impetem w drugi koniec belki. I ugrzęzła. Latający taran, wbrew oczekiwaniom, nie ześliznął się z gryfochronu. Ościeżnica była z jakiegoś sprężystego drewna, chyba cisu używanego do produkcji łuków, a skrzydło drzwiowe obramowano stalową listwą. Debren błyskawicznie zrozumiał, co to oznacza.

- Wyrwij! - wrzasnął, podrywając się na nogi. - I nie rąb! Osłaniaj od gryfa!

Miała problemy: drzewce halabardy było przeraźliwie długie jak na topór i kiedy oręż wprawiło się już w ruch tnący, siła uderzenia stawała się niebagatelna. Ale też uwolnienie żeleźca z objęć obiektu, w który się wbiło, stanowiło nie lada wyzwanie.

Belka-taran trafiła na przeszkodę nie mniej sprężystą od łączyska kuszy. Drzwi ugięły się i odbiły ją tak nieszczęśliwie, że tylny koniec trafił idealnie w środek gryfochronu. Pocisk utkwiał na tyle solidnie, że jedynym sposobem usunięcia kłody stało się jej przerąbanie. A na to nie było czasu.

Gryf gnał już przez podwórze długimi susami.

- Uciekaj! - Debrenowi przez chwilę wydawało się, że dziewczyna krzyczy na szarżującego orłokota. W jej głosie było coś z dziecięcej bezradności, a właśnie dzieci zdolne są do odstraszenia potworów równie głupimi okrzykami. Ale to była Lenda i oczywiście nie gryfa miała na myśli. - Drabina! Zatrzymam go!

Mogła to zrobić. Ciut wcześniej mocą czterech ramion udało im się oswobodzić halabardę. Teraz wystarczyło wbić ją precyzyjnie i spróbować odskokiem ustawić się tak, by na przedłużeniu drzewca znalazł się prostopadły kawałek ściany. Gdyby drzewce nie pękło od razu, a rozjuszony bólem gryf nie zachował się mądrze, dziewczyna pewnie dożyłaby widoku Debrena znikającego za krawędzią połaci dachowej. Drabina leżała niedaleko, na ciężką nie wyglądała, a dach był podziurawiony. Plan Lendy nie był głupi. Był tylko nie do przyjęcia.

- Petunka! - Czarodziej cofnął się, oparł plecami o okute, solidne jak zamkowa brama wrota. - Precz od drzwi! I nie patrzeć! Oczy w drugą stronę!

Gryf mijał furę. Musiał lawirować między słupami, to go spowalniało. Ale nie za bardzo. Lenda już poziomowała halabardę, mierzyła, wybierając punkt na pasiastym cielsku. Wiatr rozwiął chmury, odsłonił księżyc.

- Zostaw mnie! - Mieli do dyspozycji ułamki pacierza, więc nawet nie próbowała się oglądać. Chociaż chciała. Bardzo. Drugi raz stanęła między nim a skrzydlatą śmiercią i trudno było nie wyciągnąć oczywistych wniosków.

- Lenda. - Tym razem nie krzyczał, i to nie tylko dlatego, że dzieliły ich trzy kroki. - Jak powiem, masz legnąć. A potem od razu biec.

Nie odwróciła głowy. Była żołnierzem. Dobrym.

- Uciekaj, durniu, ale już!

- Nie, Lenda. Kocham cię. Teraz!!!

Zdażył zobaczyć, że zza jej barków wyłania się upiorny,

jakby rozciągnięty wszerz dziób Pisklaka, ale nie zdążył już zyskać pewności, czy to dlatego, że usłuchała i padła, czy dlatego, że gryf skoczył.

Czar poszedł w drzwi i stracił Debrena w niebyt.

- ...całkiem zdumieć, żeby cię słuchać, Zbrhl!

Głos był gniewny, naburmuszony. Zakatarzony. Zręśliwy. Miły. Przede wszystkim miły.

W głowie huczało. Plecy bolały i piekły. Tyłek jeszcze gorzej. No i szyja. Leżał na brzuchu, na czymś twardym, ale głowę miał wyżej, pod głową pachniała Petunką poduszka i od tej różnicy poziomów Debrena łupało w karku. Ale było też coś przyjemnego. Nie potrafił tego umiejscowić. Może dlatego, że przestało być?

- A ty, siostró, nie szczerz głupawo zębów. Odruchowo to zrobiłam; zaskoczył mnie durną radą, cap obleśny.

Coś się poruszyło, zaskrzypiały deski.

- Cap nie cap - mruknęła raczej radosna niż szczerząca zębami Petunka - ale chyba podziałało! Patrzcie!

- Debren?! - Pociemniało, Debren uniósł jedyną nie zablokowaną poduszką powiekę i ujrzał przed sobą jasne oczy Lendy. - Słyszysz mnie? Rozumiesz, co mówię?

Leżał na stole. Jednym z niewielu, które pozostały na swoich miejscach. Większość mebli powędrowała pod drzwi, tworząc chaotycznie ustawioną barykadę. Nie widział jej za dobrze: płomień na kominku zgasł, w izbie panował półmrok. No i chłód. Drewna zgromadzono przy drzwiach tyle, że zapora całkowicie przesłaniała wyjście na podwórze, ale ze szczelnością było gorzej i zza wypełnionych śniegiem szpar dmuchało mrozem. Dopiero teraz Debren zdał sobie sprawę, że przykryto go czymś ciepłym. Futrami, chyba tymi sprzed kominka. One też pachniały Petunką, choć nie tylko nią.

- Co się dzieje? - zapytał słabym głosem.

- Koza sprawdzała, jak ją lubisz - zarechotał opancerzony

Zbrhl. - Wychodzi, że bardzo. Jeden chwyt, fakt, że jakby profesjonalnie wykonany, i już...

- Cap obleśnik! - Lenda była zła, ale nie aż tak, by odrywać spojrzenie od Debrena. - Nic ci nie jest? Nastraszyłeś nas tak, że szkoda gadać. Nogi czujesz?

- Jakby nóg nie czuł, toby i twojej rączki nie poczuł. Bo to u chłopaka jakoby trzecia...

- Uważaj, byś ty nie poczuł! - odgryzła się. - Zwiniętej! Na nocha! Wybacz, Debren. - Jej głos zmiękł, wypełnił się ujmującą mieszanką radości i troski. - Pewnie cię uszy bolał. Huknęło, że jeszcze mi we łbie dzwoni.

Debren, trochę sam, trochę przy jej pomocy, usiadł, rozejrzał się. Z podestu na zakręcie schodów pokiwał mu ręką ubrany w rycerską łebkę i uzbrojony w kuszę Yeżyn. Pod głównymi drzwiami, tymi dla przybywających ze świata gości, stała druga, mniejsza barykada.

- Lenda doradziła - wyjaśniła Petunka. - Ponoć tak stajnię zaatakował. Niby z jednej, a zaraz potem z drugiej strony.

- Debren na to wpadł - powiedziała skromnie Lenda.

- O gryfowej taktyce w łaźni rozprawialiście? - zainteresował się Zbrhl.

- A coś myślał, capie obleśny? - Debren siedział, machał nogami i całkiem zręcznie obmacywał różne sińce, więc dziewczynie ulżyło i od razu zaczęła szukać jakiegoś powodu do zwady. - Niby co mieliśmy robić, jak nie nad odsieczą dla was radzić?

- Zbrhl myślał - poinformował ją zyczliwie oberżysta - że się chędożycie.

Debren przestał macać plecy. Lenda, co dało się zauważyć mimo podłego oświetlenia, pociemniała na twarzy. Petunka - i to było najdziwniejsze - uśmiechnęła się pod nosem.

- Yeżyn - przypomniała spokojnie - miałeś nie używać nieobyczajnych słów.

Zbrhl na wszelki wypadek odsunął się od dziewczyny.

- Eee... Tbc w przenośni jeno. Wiecie, jak wzmiankowane słowo popularne jest w wojsku. Co drugi rozkaz je zawiera, a przecie nikomu na myśl nie przyjdzie za babami latać. Albo chłopami - dodał - gdy wojak sam baba.

Przez chwilę było cicho.

- O wojowaniu gadaliśmy - wymruczała w końcu nietypowo potulna Lenda. - Na sovrojskim froncie. I... i Debren trochę czarował. Znaczy: odbierał wieści magicznie słane. Medium się wspomagając. Mną znaczy. Nic więcej.

- Wasza sprawa, coście w łaźni robili - powiedziała Petunka, wodząc spojrzeniem po obecnych i szukając śmiazków, nie dzielających jej punktu widzenia. Oczywiście nie było takich. Jedna Lenda próbowała ciągnąć wątek. Debren miał ochotę wytargać ją za uszy. Wolałby za włosy, ale te za wolno odrastały.

- Tb święta prawda, Zbrhl. Jak nie wierzysz, idź i obejrzyj sobie ławę. Palcem jak dobrze pociągniesz, to ci na nim zostanie taka lepka...

- Nie!

- ...ektoplazma - dokończyła z rozpędu i dopiero potem posłała Debrenowi zdziwione spojrzenie. - Co: nie? Coś tak podskoczył?

Debren myślał gorączkowo. Widział, że nie znajdzie na czas dobrego kłamstwa. Nigdy nie był w tym mocny. A już z dwiema inteligentnymi kobietami naraz nie mogło mu się udać żadną miarą. Bo i Lendę wypadało doliczyć. Trzepała jęzorem jak nastoletnia smarkula, ale gdyby tylko raz zadała sobie odpowiednie pytanie...

Był skończony. Wiedział, że nie wykrztusi słowa. I wtedy nadeszło wybawienie.

- Co to? - Podniósł dłoń, oskarżycielsko wymierzoną w kominek, i głos. - Ta potwora w misce... Skąd się tu wzięło takie paskudztwo?

Osobnik siedzący w wielkiej misie, z której jedli kaszę, tak



naprawdę wcale nie kojarzył się z czymś paskudnym. Mało jest rzeczy obrzydliwych i fantastycznie kolorowych zarazem - może dlatego kobiety lubują się w barwnych szatach. A stwór był kolorowy aż do bólu oczu. Gdyby nie fakt, że poruszał się i łypał ponuro spod na pół przymkniętych powiek, Debren zastanawiałby się, czy nie ogląda jakiejś cholernie ekskluzywnej potrawy z pawia w piórach własnych. Inna rzecz, że pawie, pomijając ogon, nie były aż tak kolorowe.

Ani pyskate.

- Potworrrra Debrrrren! - zaskrzeczało czerwone ptaszysko z żółtym podgardlem, zielono-niebiesko-fioletowo-cytrynowymi skrzydłami, białymi obwódkami wokół oczu, brunatnymi nibybrwiami, orzechowym dziobem i pomarańczowym czubem, najeżonym w tej chwili wojowniczo. - Wrrredny oszczerrrca! Krrretyn! Grrruboskórrrny rrrrozwalacz wrrrót! Dewastatorrrr!

Debrena zatkało. Lendzie załśniły oczy. Z zachwytu aż rozchyliła wargi, omal nie klasnęła w dłonie. Zbrhl splunął.

- A nie mówiłem? Na rosół trza było pacholka. Humanitarnie, póki bez ducha leżał. A teraz? Apetyt mi popsuł.

- Zbrrrhl wrrredny rrryj! - stwór zatrzepotał skrzydłami, nastroszył się jeszcze mocniej. - Morrrderrrca!

- A cóż to takiego? - Debren na wszelki wypadek pomacał się po głowie.

- Emisarrriusz! - zaskrzeczał kolorowy, wypinając dumnie czerwoną pierś. - Prrrawa rrrręka grrryfa! Dorrradca strrrrategiczny rrrrodu Starrrogrrrrodczyków!

- To ty się darłeś z za saga - zidentyfikował go Debren.

- Prrrawda.

- Ta głupia koza - wyjaśnił Zbrhl - specjalnie na i dwór wybiegła, by rosoła z ziemi zgarnąć. Gryfa co prawda już nie było, boś go srodze wystraszył tym dewastatorstwem wrót, ale i tak najdurniejsze to było ze wszystkiego, co dotąd uczyniła.

Mam nadzieję, Lenda, że się w mych oczach zrehabilitujesz i pozwolisz Yeżynowi obwiesia w ślady Szałamajki posłać.

- Kurrrr pokrrrraka - prychnął kolorowy. Debren wstał, na próbę zrobił parę kroków w stronę kominka. Nogi działały. Oczy też. Dostrzegł łańcuszek Petunki opleciony wokół nogi ptaka i zamocowany do haka w ścianie.

- Szałamajka kogut był na schwał - ujął się za nieboszczykiem Yeżyn.

- I smaczny - dorzucił Zbrhl. - Choć Petunka miała rację: twardawy. Ale co tam. W obłęzeniu wszystko smakuje. I po tym rosolaku palce jeszcze będziemy lizać.

- Nie zjemy go - powiedziała Lenda. Stała bokiem, co pozwalało jej macać się pod peruką, nie odsłaniając pokrytej meszkiem czaszki.

- Onże Szałamajce rogi przyprawiał - wsparł rotmistrza Vysedel. - I żeby to raz... Ale gdzie tam! Żadnej kokoszy nie popuścił, bezecnik. A na koniec koguta nam ubił.

- A Lendzie guza nabił. - Zbrhl podszedł bliżej dziewczyny, zajrzał pod uniesione złoto fryzury. Cofnęła się. - No, pokaż. Bo jak szyć trzeba, a nie zszyjesz, to ci blizna zostanie. I Debren ładniejszą sobie znajdzie.

Debren obrócił gwałtownie głowę. Kolorowy pyskacz nie był głupi: odskoczył aż pod ścianę.

- Dziobnąłeś Lendę? - Magun uniósł dłoń, potrzymał chwilę, po czym strzelił palcami. W izbie, na krótko, ale aż nadto wyraźnie, zapachniało pieczonym drobiem. Lenda szybko wyciągnęła zaśliniony palec spod peruki. Ptaszysko z wysiłkiem przełknęło ślinę, nastroszyło się, mocno upodabniając do sowy.

- Bzdurrrra! Absurrrrd!

- Nikt mnie nie dziobał! O nadproże zahaczyłam! Nie jego wina, że drzwi jak dla skrzatów!

Debren, nie chcąc marnować raz zaczętego zaklęcia, zastąpił zapach pieczeni apetyczną wonią rosółu. Równie

jednoznaczną w odbiorze.

- Trochę i jego - powiedziała Petunka. - Dawnośmy o modernizacji myślały, babki i ja, ale nie było za co i kim. Na budowniczych to gryfowi tacy cięci, że z rozpędu nawet jednego konterfektystę ubili, choć artysta był, nie malarz komnatowy. Nic go ze sztuką budowlaną nie łączyło.

- Łączyło - sprostował Yeżyn. - Chlał ponoć okrutnie.

- Ale na artystyczny sposób! - zdenerwowała się. - A w ogóle to nie gadaj o czymś, co jeno znasz ze słyszenia. Na wielkiego mistrza by chłopak wyrósł! Może i nawet szkołę depholską przeskoczył, która równych sobie nie ma!

- To ta od gołych bab? - popisał się erudycją rotmistrz. Petunka, o dziwo, poczerwieniała jeszcze bardziej.

- Jesteście chamy i prostaki - tupnęła nogą - na prawdziwej sztuce ani trochę się nie wyznające!

- Nie tup - poradził nie bardzo urażony Yeżyn. - Bo ci się rana otworzy.

- To nie ta nóż... noga - poprawił się Zbrhl.

- Zaraz, zaraz - Debren uniósł dłonie i choć tym razem nie zapachniało niczym smakowitym, wszyscy zastygli w oczekiwaniu. - Drzwi nie ma. Barykada taka sobie. Gryf, jak rozumiem, żywy i wkurzony. Może byśmy o tym, co ważne, a nie o kulinariach pogadali?

- Debrrrren prrraw! - Wsparcie nadeszło z najmniej spodziewanej strony. - Rrrosół chorrresterrrol. Sklerrroza.

- Zamknij dziób - warknął magun. - Co tu się stało?

- Stało się to - przemówiła w imieniu zebranych Lenda - żeś Petunce zabytkowe i cholernie drogie drzwi w drobny mak rozwalil. Drzazga ze wzmiankowanych Petunkę ugodziła. W nogę, choć już nader blisko końca. Zbrhl, który właśnie z piętra zbiegał, tak się tym przejął, że jeszcze w biegu ślubowanie wykrzyczał. Między liczne bluzgi wpleciona została obietnica, że nie ruszy się stąd, póki gryf dycha. Potem na Petunce suknię poszarpali do spółki z Yeżynem. Pod

pretekstem tamowania krwi.

- Była krew! - Zbrhl grzotnął o podłogę drzewcem berdysza. - Co ty mi tu inseminujesz, głupia kozo?!

- Insy... - zaczął Debren. I zrezygnował. - Pani Petunko, wybaczcie. Za dużo energii w sobie zgromadziłem, a tego się nie da porcjować. Albo się całość zwolni, albo nic.

- Marny czar - ocenił Yeżyn. - Ale jak już, to trza było w Pisklaka nim łupnąć. Drzwi to prościej klamką...

- Miało być w Pisklaka.

- Teraz to mówisz? - posłała mu gniewne spojrzenie Lenda.

- Od tych ciosów w łeb chyba mocno zgłupiałeś. Czemuś go nie poraził, jak była okazja? Patrząc na to, coś z drzwiami zrobił, widzę, że mogłeś.

- Nie mogłem. Obiektu trza dotknąć. I to porządnie. Im większa powierzchnia styku, tym słabszy strumień jednostkowy. I większa nadzieja, że się przeżyje wypływ.

- Prze... - zająknęła się, gniew błyskawicznie zmienił się w przestach. - To... niebezpieczne? - Debren wzruszył ramionami, wskazał rozrzucone po całej izbie kawałki drewna. - Nie o to pytam. O czarodzieja pytam.

- Ryzykowne - stwierdził oględnie.

- Mogłeś zginąć? - upewniła się.

- Wszyscy mogliśmy - uciał. - I dalej możemy. Do rzeczy. Co z twoją głową? Nie znajdę sobie ładniejszej, ale Zbrhl ma rację: ktoś powinien rzucić na to fachowym okiem. A skoro mowa o niepotrzebnym ryzykanctwie... Po jaką cholere wybiegałaś na dwór? Piór do czapki szukać?

- Oszczerrrrstwo! - zapiał potencjalny dawca piór. - Rrrenda dobrrrra! Rrrycerrrska!

- Rycerze też nie od tego, by pawi czub z powalonego wroga zedrzeć - wzruszył ramionami Zbrhl. - A ciebie, rosolaku, właśnie dobra pani Lenda drzwiami pieprznięła. Po Debrena biegnąc. To jeszcze rozumiem. Ale żeby drugi raz łba nadstawiać, i to dla jakiegoś kanara...

- Kanarki są małe i żółte - mruknęła Lenda. - Gdyby nie owe brwi i sowa szerokość gęby, tobym powiedziała, że to prawdziwy DIP.

- Mamy izbę dla takowych - pochwalił się Vysedel. - Tę, co się w niej Pretokar tak srodze na Ledoszcze przejechał. Rozczarował, znaczy. Ale co z arystokracją i monarchami ma wspólnego ten gryfi pacholek, nie pojmuję.

- Izba jest dla WIP-ów - uświadomiła go żona. - Co się ponoć tłumaczy na Władza i Pieniądz, względnie Ważni i Przemądrzali. Ten tu kogucik do przemądrzałych się zalicza, owszem. Ale ważny nie jest.

- DIP znaczy: Duża Inteligentna Papuga - wyjaśniła Lenda. - Zwana też Dużą Rozumną Papugą. - Podeszła do kominka, uniosła dłoń. Ptaszysko nawet nie nastroszyło piór. Położyło czub po sobie, zmrużyło niby to sowie, ale jakby ciut łajdackie ślepią, zagulgotało miękko, po gołębiemu. Debren pomyślał, że zareagowałyby podobnie. Każdy, kogo dłoń Lendy obdarzyłaby taką delikatną pieśczętą, mruczałby z rozkoszy we właściwym sobie języku. Różnica była taka, że Debren nie zamykałby oczu. Dziewczyzna znów miała na twarzy ten dziecięcy wyraz zachwyty. - Widziałam takie w dzienniku Wal Mrocznej. Jak mała byłam. Nie chciało mi się wierzyć, że tak cudne istoty mogą gdzieś żyć naprawdę. Widzicie, jak mu się piórka mienia?

- Drrrop - zaskrzeczało ptaszysko.

- Bo tłuszczem się upaskudził - sprowadziła ją na ziemię Petunka. - Mściwa nie jestem, ale Zbrhl ma rację. Lepiej go od razu po gardle i do garnka. Marnie trafiliście, zapasy akurat nam się skończyły. We wsi trzymamy, bo tu myszy za dużo, odkąd nietoperze ostatniego kota zżarły. Mieliśmy iść po nowe. Więc wychodzi na to, że słusznie Lenda wyskok ryzykowała. Bo to nasza cała spyża.

- Drrrop - powtórzył ptak, wyraźnie delektując się brzmieniem słowa. - Ogrrrromny Rrrozumny Frrruwacz.

- Nie dam zjeść Dropka! - Dziewczyna opasała papugę ramieniem, przytuliła. Debren drgnął, zrobił pół kroku w jej kierunku. Orzechowy, zakrzywiony i całkiem pokaźny dziób znalazł się nagle blisko oczu Lendy. Wystarczyłby jeden szybki ruch i...

- Dobrrra Rrrenda - zagulgotał ptak. - Serrrduszeko szczerrozłote.

- A właśnie, względem kruszców - przypomniał sobie Zbrhl. - Słuchaj, rosolaku. Gwałciłeś tu, jak słyszę, a i mord masz na koncie. Kurzego rodu rzecz wprawdzie tyczy, ale że sam jesteś latawiec, to się w jednym szeregu stawiasz z ofiarami. A takie czyny są gardłem karane. Że nie wspomnę o pomaganiu potworowi przeciw ludziom poczciwym. Krótko mówiąc: już po tobie. Ale że ci całkiem źle z oczu nie patrzy, dostaniesz szansę rehabilitacji. Gadaj, co Pisklak zrobił z moją szkatułą. I w ogóle wszystko I o nim. Gdzie ma kryjówkę, jak walczy, jak u niego z logistyką.

- Sekrrret.

- Odsuń się, kozo. Pokażę ja sekrety temu rosolakowi.

- Drrrop emisarrriusz! - zaprotestował ptak. Lenda mocniej przycisnęła go do piersi. - Zabrrronione!

- Ma rację - przyznał Debren. - Jeśli jako poseł tu przybył, nie wolno go źle traktować.

W zasadzie nie miał nic przeciw dobremu rosolowi. Ale za takie jak to teraz, ciepłe spojrzenie Lendy, oddałby i beczkę rosołu.

- Nie uczcie kondotiera praw wojennych - wzruszył ramionami rotmistrz. - Wiem, jak się z posłami obchodzić. Ale to jeno ptaszysko. Wredne w dodatku.

- Jest mój - rzuciła twardo Lenda. - Jam go powaliła i do niewoli wzięła. Mówi wam to coś, panie kondotier?

- Mówi - skrzywił się. - Niech będzie: jest twój. Ale chyba pozwolisz swego jeńca ciut przepytać? Dużo wie. A wiedza to oręż w nowoczesnej wojnie.

Chciała zaprotestować. Debren był szybszy.

- Lenda ci życie ratuje - zwrócił się do ptaka. - Mógłbyś coś dla niej zrobić. Na przykład powiedzieć, czemu się tak do nas przyczepił ten twój Pisklak.

- Zagrrrozenie.

- Z nim się ciężko dogadać - uprzedziła Petunka. - Z rodzinnych przekazów wiem, że kiedyś papugi całkiem elokwentne były. Ale ten bękart w połowie z sowy się wywodzi. Ojciec samiczki nie miał swojej krwi, a że się po nocach szlajał...

- Rrrodziców obrrrażasz - rzucił ostrzegawczo Drop.

- Fakt - poparł go Yeżyn, który akurat wrócił z patrolu po poddaszu. - Nie godzi się imć Dropa czepiać. Sama wiesz, jak tu u nas ciężko w tych sprawach.

Petunka chyba wiedziała, bo zasznurowała usta.

- Jechaliśmy przez most - wrócił do przepytywania papugi Debren. - Gdyby gryf nas nie napadł, pojechalibyśmy na południe, w ogóle o tej oberży nie mając pojęcia. Więc o jakim zagrożeniu mówisz?

- Zagrrrozenie. Rrrozpoznane. Śmierrrc grrryfa.

- Pisklak się nas przestraszył?

- Prrrawda.

- Znaczy się: tak - odpowiedział Yeżyn.

- Dzięki. Lenda, postaw pana Dropa. - Dziewczyna, trochę zdziwiona i odrobinę nieufna, usłuchała jednak. - Bo panem jesteś, prawda?

- Ogrrromne przyrrrodzenie - nadał się natychmiast sowio-papuzi mieszaniec. - Kurrri warrriują!

- Zrozumiałem. Tedy jak mężczyźni porozmawiajmy. Moge ci zaufać? Potrafisz słowa dotrzymać?

- Rrregularrrnie - Drop nadał się jeszcze bardziej. Zbrhl splunăł, ale nie skomentował. - Grrranit.

- Mówi, że jego słowo jest jak skała - wyjaśniła na wszelki wypadek Lenda. - Zawsze.

- Dzięki, Mam propozycję, Drop. Jako prawa ręka Pisklaka mógłbyś odszukać go i przekonać do negocjacji.

- Grrryf mrrruk.

- Nie mówi? - domyślił się magun. - Ale ty mówisz...

- Z grubsza - mruknął Zbrhl.

- ...i możesz tłumaczyć. Moja propozycja jest następująca: przekaż mu, że zwady nie szukamy i pomsty brać nie będziemy. Więc jeśli się odczepi, to po dobroci...

- Wybacz, że przerwę - wtrącił się rotmistrz. - Ale nie chcę, byś z gęby cholewę robił. W negocjacjach trza się precyzyjnie wyrażać. A jak nie z jurystą sprawa, to i uczciwie gadać, co i jak.

- O co chodzi?

- Zwady wprawdzie nie szukam i pomsty też nie, ale nie chcę, by z twoich słów chędożony kocur wyciągnął wniosek, że go poniecham. Bo nie poniecham. Nawet jak gotówkę i hełm zwróci.

- Obojętnie którą stroną by zwracał - dopowiedziała niby to poważnie Lenda. Nie udało jej się sprowokować rotmistrza. Był nachmurzony, niemal zatroskany.

- Wiem, że ci pozycję przetargową psuję - wyznał. - Ale rycerz nie jestem. Ani jurysta. Ani król. Jestem żołdak i moje słowo ma coś znaczyć, a nie jakieś napuszone srutu-tutu. Ślubowałem, że albo gryf, albo ja i jak nie dotrzymam, to więcej w zwierciadło nie spojrzę.

- A spoglądałeś? - nie wytrzymała Lenda. - Biedak. Nie dziwota, że śmierci szukasz. Bo to jest jawne szukanie zakończonych zgonem kłopotów. Debren poczwary czarami nie pokonał, a ty siekierą zamierzasz? I pewnie jeszcze Henzę w to wciągniesz? Kretyn jesteś. I egoista.

- Zgadzam się z Lendą - oświadczyła gospodyni. - Z wyjątkiem tego kawałka o zwierciadle. Dziwne w Belnicy macie kryteria urody. No, ale w kwestii Pisklaka akurat mądrze powiedziałaś. To głupota na gryfy polować. Dwa wieki



różni polowali i efekty mamy jak widać.

- Odłóżmy to - wyprzedził rotmistrza Debren. - Może gryf propozycję wyśmiej. Zobaczymy. Na razie proponuję, by papugę na rekonesans wysłać. Kto jest przeciw?

Nie było sprzeciwów.

- A jak go paskudnik zeżre? - Lenda odruchowo pogładziła ptaka po czubatym łbie. Drop zmrużył oczy, zagulgotał z zadowolenia. - Nie podoba mi się ten pomysł.

- Wrrrócę - zapewnił Drop. - Rrrenda dobrrrra.

- Wróci - westchnęła Petunka, łapiąc pogrzebaczem okiennicę i przytrzymując ją do czasu założenia rygla przez Yeżyna. Zbrhl stał z tyłu z halabardą, a Debren z dłonią ułożoną do gangarina. Niepotrzebnie: gryfa za oknem nie było. - Zawsze wracają. Taka ich misja.

- To papuga. - Lenda stanęła w obronie Dropa. Z racji pokiereszowanych nóg nie brała udziału w procesie wietrzenia izby. - Z ciepłych krajów pochodzi. Nie przeżyje zimy w lesie. Musi gdzieś mieszkać.

Nie wstając z ławy, zanurzyła miotłę w cebrzyku, zaczęła tłuc nią po palenisku kominka. Nadal robiła to porządnie, ale entuzjazmu już w tę pracę nie wkładała. Nawet jeśli udawało jej się zdusić trochę płomieni, kłodzie w tym samym czasie udawało się powołać do życia dokładnie tyle samo nowych w innych miejscach. Od jakichś czterech szóstnic panowała pod tym względem równowaga.

- Dziupli w borze nie brak - mruknęła Petunka.

- Papudze w dziupli zimno.

- To niech się do uczciwej roboty najmie. Mało to wsi? Gadać umie, a jego ojcowie i dziady jeszcze lepiej umieli.

- Jakże to: ojcowie? - zdziwił się Yeżyn, wyjmując bełt z korytka kuszy. Otrzymał w tej kwestii wyraźny rozkaz. Nie był typem wojownika i chodząc z załadowaną bronią, stanowił zagrożenie. - Toż jednego można mieć.

- To nie takie proste - dobiegł zza chmury dymu głos Lendy.

Ostatnie słowo zabrzmiało ciszej, jakby dziewczyna poniewczasie ugryzła się w język, ale Debren słabo ją widział i nie miał pewności. Kaszel też brzmiał wprawdzie jakoś inaczej, lecz ostatecznie uznał, że pierwsze zdanie było skierowane do żony, nie męża. Wywnioskował to ze zdania drugiego: - Chłopi by go z miejsca na rożen nabili, a w najlepszym razie z piór oskubali, bo cenne.

- Ja go oskubię - obiecał Zbrhl, odkładając halabardę i biorąc kufel. - Jak zaraz nie wróci.

- To zamku poszukać - trwała przy swoim Petunka.

- W zamku by go z miejsca do klatki wpakowali.

- W złotej klatce bywa znośnie. Jeść dadzą, blisko pieca postawią, partnera u zookrązcy dokupią...

- Chciałabyś w niewoli żyć?

- Nie wiem - powiedziała ciszej. - Wiem, że z ludzkiej krzywdy żyć bym nie chciała. Ale czy aż tak bardzo...

Zamilkli. W wywietrzonej izbie pojaśniało, dym znalazł sobie wolne i chłodne miejsce pod powalą, unosił się więc ochoczo. Lendę znów było widać.

- Jak tam, Kopciuszkę? - zainteresował się Zbrhl. - Nie zmęczyłaś się? Debren, mógłbyś jaki kijek-samobijek wyczarować. Żal patrzeć, jak się dziewczuszka męczy.

- To nie patrz. Za nią się pomęcz - rzuciła z przekazem Petunka. Podobnie jak rotmistrz sięgnęła po piwo.

- Mężczyźnie nie przystoi miotłą machać.

- Wygodna doktryna. Moi chłopcy też się w swoim czasie na nią powoływali. Pół tuzina różeg zwykle wystarczało, by rewidowali poglądy.

- To poważny błąd wychowawczy. Wiem, że z winy gryfa brak wam rąk do pracy, ale nie tak się problemy rozwiązuje. Rozumna rodzicielka szybko by się wystarała o córkę, a nie otroków w baby obracała.

- A jak się rozumnej następny chłopak trafi?

- To do skutku próbować. Ja, przykładowo, jak żółtodziób

byłem i kuszą nie bardzo potrafiłem obracać, to tak długo w tarczę waliłem, aż w końcu któryś bełt trafił.

- Ba - westchnął Yeżyn. - A co, jak bełtów braknie?

- Walenie w tarczę - rzuciła chłodno Petunka - ma się nijak do świadomego planowania rodziny i wychowywania dzieci. Nie masz pojęcia, o czym mówisz, miśku.

- Ja nie mam? Trzy córki żem spłodził!

- Trzy? - Zmarkotniała, ale szybko wzięła się w garść. - To chłopaków pewnie z pół tuzina, co? Znam ja was, wojaków. Każdemu się marzy darmowa drużyna złożona z własnych synalków. A dziewczuszki krzywo się widzą.

- To wszelkich stanów dotyczy - wtrącił się Debren. - Tak już jest, że dziewczynki są nieekonomiczne. Posag, droższa odzież, wydatki związane... no, z ustrzeżeniem...

- Wiem, o czym mówisz - zerknęła w stronę kominka. Debren nie zaryzykował, ale wyłapał bez trudu przerwę w postukiwaniu miotły.

- Dobrze mówi - westchnął Zbrhl. - Prawdziwy to dopust boży, że się tyle dziewczuszek rodzi. Żeby jeszcze takie jak Lenda... Ale się takowy rodzynek jeden na sto trafi. A reszta? Małe toto, rączyny chude, skóra delikatna, włosy do zadka, nijak pod hełm upchać... To co to za wojak? Żaden. A dostatek narodu jakoś tam budują. Więc dobrobyt rośnie... i co się dzieje? A to, że jak nie sąsiedzi, to Kummony czy insze koczownicy najazd czynią. Jakby się, powiedzmy, po trzech, no, choć dwóch chłopaków na jedną dziewczuszkę rodziło, to byłoby komu bronić. A tak to co? Zgliszcza, płacz, nieszczęścia. Chłopy wybite, panny popsute. Więc tym, co z frontu wróca, kandydatkę na żonę ciężko znaleźć. No i się wojaństwo, z braku inszego honorowego wyjścia, musi na jakąś zagraniczną wojnę wybrać, cudzoziemek w niewolę nabrać i z tymi potomków płodzić. A to spirale przemocy nakreca.

- Znaczy: co złe, to przez baby? - upewniła się Lenda.

- Tegom nie powiedział. Bóg was takimi stworzył; nie wasza

wina, że się nadmiernie mnożycie.

- Wybacz Petunce głupie pytanie o pół tuzina synów. Z takowym podejściem toś pewnie dwa tuziny zmachał. I jeno dzięki tej obfitości owe trzy dziewczuszki się prześliznęły. W tłoku łatwo przegapić. Czy może Zdrenka pomocnicie do miotły sobie wyprosiła? Co, Zbrhl? Ty obesrany chłopski szowinisto?

- Lenda!

- A ty lepiej milcz! Szlag mnie trafia od tego klepania po kołku! Czarodziej, cholera, a w wędzarnię nas zmienia.

- Nie krzycz na Debrena. - Rotmistrz nie obraził się i choć sposepniał, stanął w obronie maguna raczej z męskiej solidarności niż chęci odwetu. - Nie jego wina, że tak ci stopy urosły.

- Odchędoż się od mcich stóp! Sążeń mierzę! Przy takim wzroście chyba mogą mieć ciut większe nogi niż normalna niewiasta?! W zwiadzie nie służę!

- Nie jego wina, powiadam - ciągnął spokojnie. - Jeśli już, to twoja. Nie dlatego, że cię cizmy Petunki cisną, choć jej przecież nie cisnęły. Nabroilaś, panno, nosem na łapcie kręcąc.

- Łapcie?! Do wizytowej sukni, adamaszkiem lamowanej?! Chyba bym ze wstydu umarła!

- Debren się o ciebie troszczy, więc nie miał wyjścia. Musiał pomieszczenie ogrzać.

- Akurat tym łajnem - warknęła ciszej, trącając przerąbany na troje i ułożony w kominku taran. Debren westchnął, ale już niczego nie próbował tłumaczyć. Miała rację. Nie cała, lecz sporo. Najgorsze, że od początku odczuwał mrowienie skóry, wyraźnie wskazujące, że z kłody promieniuje magia. Powinien się był jej przyjrzeć, poskanować. Ale wyprawa za barykadę była ryzykowna, spieszyli się i z tego pośpiechu działali szybko także później. Zbrhl od razu rzucił się z berdyszem na jeden koniec belki, a on czarował przy drugim, osuszając

przyczółki dla ognia. Potem był zajęty przepychaniem komina - trochę telekinezą, trochę halabardą. No i zaniedbał. A komina i tak nie przepchał.

Może gryf, może któryś z pocisków rozprawił się z przeciwnym końcem przewodu. Raczej gryf i raczej świadomie: drugi komin, ten od pieca, też okazał się zatkany. W efekcie ogień w paleniskach pogasł i kiedy Debren z Lendą wrócili z łaźni, oberża była już mocno przestudzona.

- Myśmy też nie bez winy - kontynuował Zbrhl. - Ja zwłaszcza, jako dyplomowany machinerzysta. Powinienem coś zwąchać, choć to półprodukt jeno i całkiem inaczej wygląda, jak go już okują i ubrzechwią. Ale z kolei ty więcej na Zachodzie wojowałaś, a to sovrojski wynalazek. Na rycinach takie zarzygałki widziałem jeno. U nas ich nie stosują. Cholernie niehumanitarna broń.

- I brzydka z nazwy - zauważył Yeżyn.

- No, oficjalnie to się nazywa Organy... czy może Organ... no, tego łajdaka wąsatego, co to u nich za demokracji władał. Ku jego czci tak system ogniowy ochrzczono. Zarzygałką go sami żołnierze nieformalnie nazwali. Że niby nie ugasisz, choćbyś się i porzygał. Ponoć na próbach technicznych, gdy armia pocisk testowała, właśnie do takowego incydentu doszło. Tuzin wojów z cebrami miał biegać między studnią i chałupą-celem i próbować ratować chałupę. Studnię wysuszyli, połowa się z wysiłku porzygała, a chałupa jak się paliła, tak spaliła, bo pocisku nie szło ugasić. Więc nie krzyw się, że Debren nie zdołał.

- I dalej klep kolek - dokończyła Petunka. - Od tego my, baby, jesteśmy. A wracając do córek, miśku... Sami dorośli tu siedzimy, a i nie dziewice, więc jak się już zgadało, to może się ciebie poradzę.

Coś stuknęło. Debren obejrzał się i stwierdził, że miotła. O podłogę. Lenda schylała się po nią, klnąc pod nosem. Czerwona, z czołem mokrym od potu. Podniósł się z ławy,

podszedł do baryłki, zaczął napełniać kufel.

- Słucham. - Zbrhl dla odmiany swój odstawił.

- Co czynicie ze Zdrenką, by się córki dorobić? Rotmistrz lekko zeszywniał. Lenda ukradkiem przetała czoło, przywołała na twarz jeden z tych swoich paskudnych uśmieszków.

- A ktoś tu mówił - mruknęła niby to do siebie - że dziewic w izbie maławo.

- Zdrenka... - Zbrhl musiał odchrząknąć, choć w odstawionym kuflu jeszcze kołysała się piana. - Zdrenka pomarła. Gorączka połogowa.

Zrobiło się cicho. Cisza trwała krótko, ale była wymowna. Rotmistrz podziękował bladym uśmiechem.

- Taki nasz babski los - mruknęła gospodyni. - Czasem braknie bełtów, by w tarczę walić, ale częściej tarczy, nadmiernie dziurawionej. Przykro mi, Zbrhl. Dawno...?

- Przy najmłodszej. - Zmarszczył brwi, policzył w pamięci. - Średnia ma osiem wiosen, potem żem długi kontrakt podłapał, aż w anvaskich koloniach, potem trochę zeszło, nim do domu wróciłem... no i ciąża... No, tak - westchnął. - Pięć lat będzie.

Debren podszedł do Lendy, podał kufel. Przyjęła bez słowa. Wyglądała zabawnie z wysuszonymi przy ogniu włosami peruki, sterczącymi teraz jak strzecha po przejściu wichury, z okopconą twarzą, tak bardzo nie pasującą do lamowanej adamaszkiem sukni wizytowej. Ale nie cieszył się widokiem tak, jak by mógł. Była zbyt smutna.

- Dziwnie lata rachujesz - zauważyła Petunka. - Od średniej córki. Nietypowo.

- Bo najmilsza - uśmiechnął się z zakłopotaniem, ale w oczach miał blask. Nie patrzył ani na gospodynię, ani na kominek, a blask i tak w oczach miał. - Już po ciżmach nie sika, nie ryczy z byle powodu, a jeszcze ojcu nie pyskuje. Za miecz się już weźmie, kuszę windą napnie, a suknie z

lamówką ma jeszcze w pogardzie. - Westchnął, uniósł kufel. - Wszystkie okrutnie miłuję, nie myślcie sobie. Ale starsza chyba żal w sercu nosi o matkę, że niby z mojej winy... A znowuż ten szkrab to mnie się czasem z nieszczęściem Zdrenki skojarzy. No i kłopotliwe obie, choć każda inaczej. A ta jak złoto. I do nauki się garnie. Siądę, bywa, na przyzbie, fachową kronikę przeglądam, a tu się ów wróblík na kolana gramoli, palec w rycinę pcha i szczebiocze: „To berulda wreleńska, prawda, tatku? Szesnastokołowiec, na grząskim dobry, ale ciut przyniski. Dwa haki i pomost obobręczowany, a dołem kozieł”. Każden jeden rodzic by się do łez rozrzewnił, prawda?

- Prawda - przyznała Petunka. - Choć niejeden spytałby z za łez, co to za cholerstwo ta berulda wreleńska.

- Beluarda wehrleńska - wyjaśnił Debren. - Taka wieża obłęźnicza. Z taranem w dole. Kozłem, znaczy.

- Takem podejrzewała. I ty mi, Zbrhl, błędy wychowawcze wytykasz? Że niby synów na panienki przerobię, jak od czasu do czasu izbę zamiotą albo onuce wypiorą? A sam co? Knechta z małej robisz! Tak to jest, jak się dwa tuziny synów zmacha. Atmosfera w domu tak męską się robi, że biedne dziewczuszki na stojąco sikają. Bo nie mając skąd wzorców pozytywnych czerpać, naśladowują tłumy braci.

- Moje córki nie...! Łajno i kał! KobiECE są jak cholera!

- Ale nie dbasz o nie. Po chłopakach muszą doczytywać. I to o czym? O jakiejś paskudzie beluardzie. Z kozłem z dołu. Wyobrażam sobie, jak to na rycinie wygląda. Mistrz Rovoletto, ten, co go gryf niesłusznie za malarza komnatowego uznał i zamordował, pokazywał mi jeden szkic batalistyczny. Z wieżami właśnie, w bramy walącymi. Więc wiem, co mówię. Nie jest to urządzenie, które wypada młodziutkim pannom prezentować. Podręcznik hafciarstwa byś córkom kupił, skąpcze!

- Ja skąpiec? Każdy grosz na nie wydaję!

- Na synów więcej - parsknęła.

- Na synów? Ja nie mam synów! Jeden się, zaraza, urodził, to go trzy dni miałem!

Znów było cicho. Dłużej niż poprzednio.

- Radziliśmy się w tej kwestii - odezwał się wreszcie Vysedel. - W drugą stronę co prawda, ale nam medyk wytłumaczył, że sposób jest taki sam, jeno na odwyrtkę.

- Sposób? - posłał mu posępne spojrzenie rotmistrz.

- Na pokierowanie płcią dzieciątka. Trzeba otóż... na córce omówię, bośmy się o nią starali, trzeba...

- Yeżyn... - zaczęła niepewnie trochę zarumieniona Petunka. Ale sama urwała i machnęła ręką, pokazując, że może mówić dalej. Debren zauważył, że wyznanie Zbrhla mocno ją wstrząsnęło.

- Trzeba, by dołem się ulokowało to z rodziców, po którym ma dziecko płeć wziąć. Bo w naturze tak jest, że męski pierwsnek...

- Pierwiastek - poprawiła cicho.

- A tak, właśnie o tym żem myślał... No więc tenże górę bierze nad niewieścim. I po urodzeniu, i przed takież. Znaczy się w żywot niewiasty wpływając dołem, wyżej się ulokują...

- Daruj sobie szczegóły, Yeżyn - zaproponowała Lenda. - Wystarczy, że Zbrhl zasadę zapamięta.

- Prawda - zgodził się oberżysta. - No wiec jakby to syn miał być, to musicie, panie Zbrhl, Petunkę górą dać.

- Zapamiętam - powiedział cicho rotmistrz. I oczy rozmaśliły mu się na moment czy dwa. Petunka rozchyliła usta, ale nie wydała gniewnego okrzyku. Być może tylko westchnęła; Debren nie był pewny.

- I druga ważna rzecz - kontynuował Vysedel. - Trudniejsza, nie kryję. To znaczy dla ciebie to nie, bo chłopaka chcesz. Ale ja musiałem się na babę przerobić. Znaczy w sukience pokładźmy czynić, umalowany, w gorseciku i peruce. Tej, co ją Lenda nosi. Specjalnie w tym celu od jednej ladacznicy ją



kupiliśmy, która do Złotej Skarpy podróżowała, na gwarkach zarabiać. Przy chłopcu to Petunka by się musiała w męskie szaty odziać. No i chyba dla pewności włosy obciąć - dodał po namyśle.

Jakiś czas było cicho. Niektórzy pili piwo. Debren wszedł na poddasze, sprawdził, czy wypełniający pieterko dym nie ukrywa kogoś, kto cicho stąpa i jeszcze ciszej dyszy. Wrócił na dół, zerknął na klepsydrę. Lenda, spocona i zniechęcona, włożyła dymiącą miotłę do wiaderka ze stopionym śniegiem, dzwignęła się.

- Na czym stoimy? Od strony magicznej, konkretnie.

- Na konkrety w tej kwestii za wcześnie. - Usiadł przy stole.

- Najpierw może strona wojskowa.

Poślinił palec i zaczął kreślić szkic budynku.

- Oj, lepiej to zamażcie, mistrzu Debren. - Jako pierwszy zrecenzował efekt Yeżyn. - Ostatniego, którego tak udanie domy rysował, ojciec papugi Dropa zaprosił do gryfa. Za Domorca Starogrodzkiego to jeszcze było. Zjechał tu inżynier, biegły w sypaniu wałów i inszej sztuce fortyfikacyjnej, no to go Petunka zagadnęła, czy by projektu taniej obrony antylataczowej nie sporządził. Gryf zwiedził się jakoś i przyfrunął tu w mig papuga. Tak we łbie inżynierowi zamącił, że się ten zgodził z nim pojechać i pogadać z Domorcem o zabezpieczeniu jego pieczary. No i go, ma się rozumieć, gryf do zabezpieczenia na swój sposób wykorzystał. Głowę, znaczy, na paliku zatykając. Przy ścieżce, co do jaskini wiedzie.

- A to parszywiec! - oburzył się rotmistrz. - Przez takich wojny na psy schodzą! Rozumiem: w boju, jak już się wyklaruje, kto, z kim, przeciw komu i za ile. Ale żeby fachowca utłuc, gdy warunki zaciągu negocjuje?! Toż nie godzi się! Jakby się takowe procedury rozpowszechniły, kondotierstwo padnie! O, nie... Nie ruszę się stąd, póki ów zbrodniczy ród ziemię kała swą obecnością! Ja albo gryf A to skurwiele! Nie dość, że żołd rabują, to jeszcze chcą do upadku

samo żołdactwo przywieść!

- Spokojnie, Zbrhl - rzucił chłodno Debren. - Od ciebie akurat oczekuję konsultacji. Oficer jesteś. Jeśli już teraz nie oddaję ci komendy, to jeno dlatego, że batalia jest specyficzna. Gryf, jak sądzę, część problemu zaledwie stanowi, a cały problem może być bardziej magiczny niż militarny. Więc na razie pozostawmy w zawieszeniu kwestię dowodzenia, dobrze?

- Jak zgaduję - powiedziała Lenda, ocierając pianę z ust - kandydaci w spódnicach z góry są skreśleni?

- Z góry - twardo oznajmił Zbrhl. Debren pomyślał zdziwiony, że pierwszy raz słyszy rotmistrza tak ostro stawiającego się dziewczynie. - Jeszcze mi życie miłe. A nasz ród ma tragiczne doświadczenia ze służbą pod babską komendą.

Lenda, równie jak Debren zbита z tropu, na powrót zajęła się piwem.

- Tak więc... to jest „Cnotka”. Oberża znaczy. Zaznaczyłem wszelkie otwory, którymi gryf mógłby się wdrzeć. Jak widać, mamy dwa rzuty: dołu i strychu.

- Aha, to strych - pokiwał głową Yeżyn. - A ja żem myślał, że gumno w złym miejscu nakreślone.

- Nie, to górna kondygnacja. Obok, dla czytelności. Budynków gospodarczych nie rysowałem. Przykro mi, ale nie damy rady ich bronić. Dobrze będzie, jak dom wybronimy. Mam rację, Zbrhl?

- Świętą.

- Otworów już istniejących - kontynuował Debren - jest w zasadzie tyle co nas. Te tutaj drzwi - wskazał, już w naturze, obie barykady. - Z kuchni można wyjść trzecimi, małymi, a piwnica ma włącz do opuszczania beczek. Piąty otwór jest w dachu. Inne dziury na razie nie są groźne, choć cztery głazy przebiły się aż do parteru.

- Znaczy, obronimy dom? - zapytał niepewnie Yeżyn.

Debren nie odpowiedział. Spojrzał wymownie na rotmistrza. Zbrhl dokończył piwo, podrapał się po brodzie.

- Co z Henzą?

- Jedno żebro nieładnie pękło - westchnął Debren. - Mogłoby przebić płuca, więc uśpiłem go solidnie. Prawdę powiedziawszy, to raczej letarg niż sen. Chory nie będzie się wiercił i nic sobie nie robi, gwarantuję. Ale i gryfowi nic nie zrobi. Jak go pojutrze obudzimy, to dobrze.

- Pojmuję. - Rotmistrz skinął z powagą. - No więc, po mojemu, sprawa wygląda tak: na dwoje babka wróżyła. Jak gryf w dobrym miejscu zaatakuje, to się wedrze do chałupy. A jak złą dziurę obstawi, to nie.

- Cofam swą kandydaturę - oznajmiła Lenda. - Poraził mnie właśnie poziom fachowości u konkurencji.

- Cicho, kozo. Całkiem wojna to to nie jest, myśliwy by nam się przydał. Ale z mego łowieckiego doświadczenia wiem, że zwierz takiej jak Pisklak postury od jednego bełtu nie pada. Debren go z łaźni w zadnią łapę ugodził, potem ja, z poddasza szyjąc, po żebrach pociągnąłem. Ty mu halabardę wbiłaś...

- I z hulajkuli dostał - uzupełnił Debren.

- Miotły nie liczę, bo to broń psychologiczna. I co? Ano nic. Jak latał, tak lata, biega szybko i w ogóle pełnosprawnym się wydaje. Co znaczy, że trzeba go naprawdę mocno porazić, by padł. A my mamy jedną sprawną kuszę.

- Tamta i tak się zacinała - przypomniał Debren. Nie patrzył jednak na nikogo.

- Boś ją w śniegu wytarzał - Lenda nie zamierzała się litować. - Sprawdzałam w łaźni: całkiem dobra była. Póki jej razem z tymi biednymi drzwiami... Na drugi raz, jak z siebie żywy wulkan zechcesz robić, to pozwól, że co delikatniejsze przedmioty ja poniosę.

- To go na drugi raz halabardą po łbie nie wal - ujął się za czarodziejem Zbrhl. - A wracając do gryfa: odporny z niego potwór. My zaś marnie ze wszystkim stoimy. Z mobilnością,

bo Lenda nikomu z odsieczą nie zdąży. Z uzbrojeniem, bo z cięższego oręża mamy cztery sztuki na pięcioro. W dodatku kuszę za pół sztuki trza liczyć, bo nie ma cudu, by kusznik zdążył drugi raz załadować, nim się do niego gryf dobierze. Tasaków nie rachuję.

- Popraw, jeśli źle pojęła: mówisz, że już po nas?

- Nie, kozo. Mówię, że na utrzymanie nawet tak skróconego frontu sił braknie.

- Co proponujesz? - zapytała Petunka.

- Sztuka wojenna zna tylko jedną receptę: dalsze skrócenie frontu. - Zbrhl rozejrzał się po izbie. - Gdybym miał decydować, tego jeno bym bronił.

- Mam oddać cały dom na pastwę tego szczyła?! - trzasnęła kuflem w stół. - Nie wiesz, co mówisz!

- Schowaj honor w onucę, jak to się mówi. Rozumiem: niełatwa to decyzja. Dom to dom; każdego serce boli, jak się w nim wróg panoszy. Ale krótka okupacja to żaden...

- Ostatnia krótka okupacja skończyła się spalaniem chlewa! Sama paliłam, cholera! Kulturalna jestem i się bez potrzeby nie wyrażam! Więc jak mówię o tym skurwysynu, że jest szczył, to to coś znaczy! - Pokorna mina Zbrhla uspokoiła ją, więc już ciszej, choć z większą goryczą, dokończyła: - Smrodu jego odchodów zdzierzyć nie sposób. Jak był małym pisklakiem, tośmy wszystkiego próbowali: wapna, mydła, perfum nawet, co to ich baryłkę Domorzec z inszymi łupami podrzucił. Nic nie pomagało. Jak gdzieś wypróżnił czy to pęcherz, czy kiszki, to bez palców mocno na nosie ściśniętych nie szło ćwierci pacierza wytrzymać. Ogień dopiero smrody usuwał. Po tej okupacji chlewa to z dwóch świń, co okupację przeżyły, obie szybko skonały. Tę drugą Yeżyn sam dobił, by straty zminimalizować. Ale nie zminimalizował, bo i tak mięsa nie dało się jeść. Tyle korzyści, że szczury na jakiś czas przegnaliśmy, małe skrawki przy ich norach rozkładając.

- Zaraz, zaraz - Debren posłał jej zdziwione spojrzenie. -

Dobrze rozumiem? Pisklak jako pisklak bywał tu tak często, że mieliście problem z jego odchodami?

- Tom nie powiedziała? - zmieszała się. - Psiakrew... Wybacz. Zdało mi się oczywistym... Owszem, mieliśmy problem. I z odchodami, i z samym smarkaczem głównie. Już jajem będąc, trzy dobre kokosze zamęczył.

- Jajem?!

- Jako jajo tu trafił. Domorzec już nad grobem stał, kiedy mu w łapy kupcy wpadli, co kurę pawia wieźli. Więc ją, z braku lepszej, do swej groty uprowadził, na swą babę przerobił i jej jajo zmajstrował z gryfiątkiem w środku. Matka, ma się rozumieć, ciąży nie przeżyła. Jak już zdychać zaczęła, to ją mężulo pazurem rozplątał, żywą jeszcze ostawił i przyleciał do nas. Z nakazem, byśmy mu potomka do wyklucia przechowali, a że zima szła, to i już wyklutego do wiosny podhodowali.

- Toście go sami...? - Zbrhl nie dokończył.

- Ano sami - powiedziała z goryczą. Debren patrzył na łzy, kręcące się w szeroko otwartych, bardzo niebieskich oczach. - Sami na siebie bat kręciliśmy. A jedyny z tego pożytek, że się gówniarz respektu nauczył dla mojej miotły. Bo miotłą go lałam. By krzywdy nie zrobić.

Zrobiło się cicho. Nikt nie miał odwagi zapytać, choć cała trójka gości miała owo pytanie na końcu języka. Debren nie zdziwił się, słysząc głos Lendy. Była kobietą. I, choć rzadko jej się to zdarzało, potrafiła nadać słowom miękkość puchu.

- Co się stało, siostrzyczko? - szepnęła, nakrywając dłonią dłoń Petunki.

Oberżystka potrzebowała jeszcze trochę czasu, by zapanować nad emocjami. Była twarda, więc choć oczy nadal lśniły, głos brzmiał już spokojnie:

- Ty syna trzy dni miałeś, miśku. Do dziś bólnosisz w sercu. Ja ją miałam sto razy dłużej. Nie mówię, że sto razy bardziej boli, ale... Jakem do izby wchodziła, to się śmiała, rączki

wyciągała, coś tam po swojemu gaworzyła. Jednej ciąży nie donosiłam, więc mam porównanie. Tak to ujmę: tym mocniej dziecko miłujesz, im dłużej je masz. Proporcja nie jest prosta, ale... Więc się pocieszam, że lepiej się stało, że gdyby to Vaclan albo Rovolik...

- To nasz młodszy - wyjaśnił Yeżyn.

- Co się stało? - powtórzyła, chyba jeszcze łagodniej, Lenda. Już obie jej dłonie obejmowały rękę złotowłosej. Była wyższa, szczuplejsza, w zestawieniu z oberżystką jakaś kanciasta. Debrenowi skojarzyła się z chłopakiem, pocieszającym starszą, ale i słabszą kobietę. Lecz chociaż te dwie tak się różniły, to przez chwilę rzeczywiście wyglądały jak siostry.

- Porwał ją. Całe lato pod gruszą kołyskę stawiałam i nic złego... Dziewuszka, jedyna w rodzie. Myślałam, że jest bezpieczna. Że przez łeb mu nie przejdzie... I właściwie miałam rację. Bo nie chciał maleńkiej krzywdzić, nawet jej mamkę znalazł, choć podrośnięta już była i kozie mleko by starczyło. Ale latał aż pod Rumperkę i najbardziej cycatą dziewczuchę wynalazł, jaką w życiu widziałam. Po wszystkim, jak ją wypuścił, zaszła tu i opowiadała, że trzy razy musiał z błonia startować, bo udźwignąć branki nie mógł. Jak ten tam piec dziewczucha - wskazała - choć Tedwie szesnaście lat. A Domorzec miał już wtenczas dwudziesty krzyżyk na karku, jedną łapą stał w grobie. No a potomka nie było. Więc jak mu się owa pawica trafiła, to własne reguły złamał, na misję plunął i moją córuchnę na zakładniczkę porwał. Potem z jajem zakrwawionym tu wylądował, kładzie je i mówi, że jak mu pisklaka nie oddam wiosną całego i zdrowego, to on mi dziecka też nie odda.

- Zabiję go - powiedział cicho Zbrhl.

- Sam się zabił - mruknął Yeżyn. - We wieżę ratuszową waląc. Petunka mówiła: „Staruszek już był”. Niedowidział, nie usłyszał, jak go ostrzegały nietoperze w czujce lecące. No i tak pieprzną! w nowy ratusz rumperski, że się burmistrz z

rajcami na powrót do starego, drewnianego przenieśli. Bo mularze gwarancji na wieżę nie dawali.

- Dziewczyna mleka miała aż nadto - pociągnęła watek Petunka. - Ale doświadczenia żadnego. I nie upilnowała dzieci. Oboje się pochorowali. Pocieszam się, że moja maleńka ponoć szybciotko zgasła. Raz-dwa poszło.

- Temu wszarzowi raz-dwa nie pójdzie - zazgrzytał zębami Zbrhl. - Choć synalek jeno. Ale nie pójdzie. O nie.

- Spokojnie - powiedział cicho Debren. - Nalej lepiej piwa. Nie tego: krzepkosza lej. A ty, Petunko, wypij.

- Nie. Nic dla siebie nie bierzemy, co od nich pochodzi. A to piwo pochodzi. Pisklak częściej niż ojciec podrzuca nam łupy wzięte na książęcym szlaku.

- Książęcym?

- Tym - wskazała frontowe drzwi. - Stara droga. Jeszcze poganie ją w lesie wycięli, zanim Morvac powstał i królestwem się stał. Wieki nim ludzie podróżowali, to i teraz czasem podróżują, choć to ani wygodne, ani bezpieczne. Ale do paru miejsc inaczej się nie dojedzie. No to jeżdżą, głównie obcy, a gryf co niektórych napada, rabuje, a zdobyczą się dzieli.

- Pokręcone to wszystko - westchnął Zbrhl. - Nie pijesz tego krzepkosza? To ja wypiję.

- Pisklak - mruknął Debren - twej miotły się lęka i respekt czuje. Ale nie dlatego prezenty daje, prawda?

- Prawda. Boją się, łajdaki, byśmy z głodu nie pomarli. A zdarzały się w „Cnotce” przypadki śmierci głodowej. Ruch mały, obroty nędzne, bywa i tak, że całe tygodnie nikt nie stanie na nocleg. Z pola też wyżyć się nie da. Ziemia marna, zwierząt nie pohodujesz, bo jak gryf nie zeżre, to ryś porwie, wilki dopadną albo i wilkołak.

- Gryf zre bydło i gości płoszy - podsumowała Lenda. - I równocześnie dokarmia? Czy może jeno piwo i insze otumaniacze dostajec.'

- Spyżę także - odpowiedział gospodarz. - I różne dobra. Te łańcuszki, przykładowo. No, wiecie.

- No to nie rozumiem - westchnęła dziewczyna.

- To proste - wyjaśnił Debren. - Obowiązuje zasada, by dokuczyć, ile wlezie, ale nie zabić. W każdym razie kogoś, na kim ród by wygasł.

- Dokładnie tak - kiwnęła głową Petunka. - Gdyby o proste zabijanie chodziło, na Petuneli Wykletej historia by się zamknęła. Szybko i tanio. A tak to mnóstwo niewinnych ludzi ucierpiało i pewnie jeszcze ucierpi. - Nalała sobie belnickiego. - Mam nadzieję, że przynajmniej was klątwa nie dosięgnie. - Łyknęła, skrzywiła się. - Faj, paskudztwo... Za samo to powinno się wywlokę Ledoszkę... No, nic. Lepsze takie niż gryfowe. Już moja prababka przysięgała, że nic do ust nie weźmie, co od łajdaka Domorca pochodzi. Potem rzecz się rozszerzyła na ruchomości. Z łupów, znaczy, niczego nam nie wolno spieniężyć.

- Nie za mądre te śluby - pokręcił głową Zbrhl.

- Śluby nader często to do siebie mają - rzucił sucho Debren. - Twoje też mogłyby być bardziej przemyślane.

- Moje są na miejscu. Ja albo on. Trochę rycerskością mi to trąci, ale i porządny najemnik śmiesznością się nie okryje, takową przysięgę składając.

- Śmiesznością nie, ale nogami może. - Czarodziej popatrzył na szkic. - Nawet jak się tutaj cofniemy i pozwolimy, by Pisklak po izbach paskudził...

- Nie pozwolimy - rzuciła stanowczo gospodyni.

- Ale nawet gdyby - dokończył po chwili - to o jednym musimy pamiętać. - Westchnął, spojrzął na dziewczynę. - Lenda, powiedz im o nietoperzu.

- Plwam na nietoperze - prychnął Zbrhl. - W zadek mnie mogą ugryźć. I to wszystko, co mi mogą.

- Nie w nietoperzu problem - mruknęła Lenda. - Węgle z paleniska, szczer jeden, wybierał. Mówi ci to coś?



- Łajno i kał - mruknął Zbrhl. Nie musiał odpowiadać.

- Przecież... nie spali oberży - Petunka powiodła niepewnym spojrzeniem po twarzach. - Debren? Klątwa w łeb by wzięła! Dwa wieki i tak po prostu...?

- Dwa wieki i dwa lata. - Lenda, krzywiąc się, podwinęła nogę pod siebie, zaczęła rozcierać zziębniętą stopę. - Wierzysz w magiczne układy cyfr? Dwieście dwa. Czy w Przód czytać, czy w tył, jedno wychodzi. Może coś się za tym kryje. Co myślisz, Debren?

- Myślę - zerknął ku schodom - że miałyście rację. Dym, którego pod powalą było sporo, a na poddaszu wręcz dużo, zawirował, zgęstniał. I wypluł coś, co najpierw było czarne, a potem, nagle, zrobiło się bardzo kolorowe.

- Wędzarrria, wciórrrności! Zdurrrieliście?

- Dropek! Jesteś!

- Naturrralnie, serrrdeńko. Gwarrrancja grrranit.

Papuga wylądowała obok dziewczyny. Lenda natychmiast wyciągnęła ręce, znalazła właściwe miejsce na podgardlu, zaczęła delikatnie drapać. Ptak zmrużył oczy.

- No proszę - pokręcił głową Zbrhl. - Ktoś widać mocno zmarzł. I uznał, że kociołek z rosółem to nie taka znów marna alternatywa.

- Krrre... - Drop nie dokończył: wystarczył lekki nacisk kobiecego palca na koniec dzioba.

- Panie Zbrhl - powiedziała Lenda oficjalnym tonem. - Nie zaczepiajcie mojego jeńca. Na parol go puściłam. Jak widać, wrócił. To mu daje prawo do honorowego traktowania. A że jako jeniec pozwać was na udeptaną ziemię nie może, godzi się go poniechać. To podłość obrażać kogoś pozbawionego możliwości obrony.

Zbrhl z lekka zdębiał. Debren skrył uśmiech. Nie napracował się przy tym. Ptak, choć ucieszony z pieczyoty i bliskości Lendy, ogólnie zbyt radosny nie był.

- Słuchamy, Drop. Co masz do przekazania?

Drop stał na ławie obok Lendy, wyprostowany, nieco sztywny. Sięgnął dziewczynie do ramienia.

- O zarrrianiu Rrrrenda, Debrrren, Zbrrrrhl i tarrrczownik w drrroge. Warrrunek grrryfa.

- Mamy wyjechać o świcie? - Debren zerknął na klepsydrę. Trochę czasu im zostało.

- Potwierrrdzam.

- A potwierdzasz, że nas twój pan dopadnie i zadziobie, jak tylko nos spod dachu wytkniemy? - uśmiechnął się nieładnie Zbrhl.

- Bzdurrrra.

- Lenda, powiedz mu, że jak mi będzie opowiadanie bzdur w oczy zarzucał, to go w nieudeptanej ziemi rzycią ku górze zakopię. Ucieszny, kolorowy krzak czyniąc.

- Brrrutal! Oprrrrawca!

- Cicho - zganiła ptaka. - A ty, Zbrhl, nie znęcaj się nad nim jeno dlatego, że słabo ludzką mowę opanował. Nie widzisz? Trudno mu cokolwiek wymówić, co runy „R” nie zawiera. Czytałam, że to z powodu budowy krtani. Słowo „nie” musi innym zastępować.

- Prrrrawda.

- A co - zapytał powoli Debren - jeśli nie wyjedziemy o zaraniu? Albo, przykładowo, nie wszyscy wyjedziemy?

Drop nastroszył się, potem wstrząsnął jak mokry pies.

- Smierrrc. Srrroga rrrąbanina. Pożarr w ekstrremalnym warrrunku. - Obrócił głowę, obrzucił dziewczynę błagalnym spojrzeniem. - Wyrrrusz w drrroge! Prrrroszę!

- Tak ci zależy? - Zbrhl bawił się kuflem. - Ciekawość, czemu. Słyszeliśmy tu frapującą historię o jednym inżynierze od fortalicji. Którego pewien łowca uczonych głów także usilnie zachęcał. Mówi wam to coś, panie papuga?

- Rrrrodzić? - zapytał z wahaniem Drop. Lenda wyciągnęła rękę, jakby chcąc pogłodzić pierzastą głowę. Ale cofnęła ją. W oczach miała niepewność. I pytanie. Do Debrena. Magun

westchnął w duchu. Nie całkiem szczerze. Było coś ujmującego w jej niemym zaufaniu.

- Drop - powiedział cicho. - Spójrz mi w oczy. - Papuga bez sprzeciwu zastosował się do polecenia. - Pewnie wiesz, ile mogą tacy jak ja. Może ci się przytrafić coś gorszego od krzaka w nieudeptanej ziemi. Wiesz? - Drop kiwnął głową. - I przydarzy się. Jeśli spróbujesz łąć.

- Prrrawda - powiedział ptak. - Szczerrra.

- Dlaczego mamy ci ufać?

- Rrrenda.

- Lenda? - Debren znał już odpowiedź; był jedynym na świecie człowiekiem, któremu tak łatwo przyszło ją poznać i uznać jej sensowność. Ale musiał jej jeszcze wysłuchać.

- Rrrenda dobrrrra. Wybrrrrana. - Drop mówił cicho. Był tak zakłopotany, jak tylko może być ptak. - Durrrna historrrria... Grrrot cherrrubina. Prrrrosto w serrrce. Serrrce rrrroszczepione. Srrromota - dokończył całkiem cicho, poprawiając jakieś sterczące piórka niezgrabnym ruchem dzioba. Nie patrzył nikomu w twarz. A najbardziej nie patrzył w trochę niebieskie, trochę zielone oczy z okruchami złota. Oczy, które robiły się coraz większe.

- No nie, łajno i kał... - Zbrhl otrząsnął się pierwszy. - Nie zdzierzę. Wiecie, co ten rosolak właśnie powiedział?

- Ja nie wiem - wyznał z ujmującą prostotą Yeżyn.

- Debren? - Petunka, marszcząc brwi, rzuciła czarodziejowi wyczekujące spojrzenie.

- Debren? - Lenda rzuciła błagalne, po dziecięcemu zagubione. Zbrhl skrzywił się szyderczo, ale i on nie miał pewności. Czekali. Całą piątką.

- Tak - powiedział Debren. - Ja mu wierzę. Rotmistrz sapnął, pokręcił głową, bez słowa sięgnął po kufel. Lenda zamrugła powiekami, lekko rozchyliła usta. Jedna Petunka stanęła na wysokości zadania.

- Dlaczego? Telepatia? Czytałeś mu...?

- Nie.

- No to jak...? Skąd wiesz, że ją...?

- Nie zrozumiesz tego - uśmiechnął się lekko do wpatrzonej w niego dziewczyny. - Ja sam nie bardzo... Po prostu się nie znali, a potem Lenda... no, Lenda przypieprzyła mu drzwiami.

- Mogę cię prosić? Na chwilę?

Debren zerknął w stronę kominka, przy którym Lenda i Drop siedzieli na dwóch przeciwnych końcach ławy, grzejąc zziębnięte nogi i udając, że się nie widzą. Gospodarz ze Zbrhlem zeszli do piwnicy sprawdzić, co z przeniesionym tam Henzą.

Skinął głową. Petunka poprowadziła go przez kuchnię, izbę czeladną i ciasny korytarz do prywatnej części budynku. Stała przed wąskimi drzwiczkami, błysnęła kluczem, szcęknęła zamkiem i znaleźli się w odpowiednio małej izdebce. Dziwnej jak na leśną oberżę.

Pomieszczenie zavalone było skrzyniami, kuframi, belami tkanin i różnymi drobiazgami, które, gdyby je przenieść do jaskini, do złudzenia przypominałyby zgromadzone przez zbójców łupy. Alkowa pełniła także inną, kto wie, czy nie ważniejszą funkcję - ubieralni. Nad lekko sfatygowanym, ale drogim sekretarzykiem zawieszono wielkie, trzyłokciowe lustro w kształcie jaja. Wyglądało na robotę neveckich mistrzów i jeśli było tym, na co wyglądało, Petunka teoretycznie mogła się nie martwić ani o podziurawiony dach, ani o roztrzaskane drzwi, o ganku i szyldzie nie mówiąc. Wystarczyło sprzedać zwierciadło.

Kilka pośród wiszących pod drugą ścianą sukni czy futer też dałoby się zamienić na dobrze wypchaną sakiewkę. Debrena bardziej jednak zainteresowały długie szeregi flakonów, słoiczków, puzderek, moździerzaków i innych, niekiedy zupełnie mu obcych przedmiotów, zajmujących trzy czwarte powierzchni niemałego przecież sekretarzyka. A także księgi. Wczesnowieczne skończyło się, z grubsza biorąc, półtora

stulecia temu i małe biblioteczki nie były niczym niezwykłym także na prowincji - ale ten zbiór trudno było nazwać małym. Na półkach, pokrywach kufrów, parapecie okna, nawet na podłodze stały i leżały książki oraz kroniki w liczbie kilkuset chyba sztuk.

Największe wrażenie wywarł na nim obraz. Tylko jeden, za to umieszczony na honorowym miejscu i duży.

- Mam nadzieję - uśmiechnęła się nieznacznie gospodyni, zamykając drzwi - żeś faktycznie nie jest wysłannikiem Inkwizycji. Bo to się chyba liczy za pornografię, a za pornografię oczy wylupują.

Zapalała bez pośpiechu świece.

- Prawda, że robi wrażenie? - uśmiechnęła się. - Czułam, że ci się spodoba.

Nie potrafił odgadnąć, na czym opierała przeczucia. Bo chyba nie na powierzchowności Lendy, formalnie jego uczennicy, a nieformalnie - w odczuciu gospodarzy i większości ludzi, z którymi zetknie się w przyszłości - także kochanki. Lenda nie należała do niewiast, których uroda bezdyskusyjnie rzuca na kolana. Zwłaszcza teraz. Jego rzuciła na twarz - kiedyś, w Vijuće - i nadal trwał w tej pozycji, ale nie był ślepy i bezkrytyczny, zdawał sobie sprawę, że nawet z kompletem owłosienia panna Branggo pozostanie dla większości mężczyzn taką sobie, ani piękną, ani brzydką dziewczyną. Petunka miała okazję obejrzeć ją w łaźni, więc Lenda mogła nieco zyskać w jej oczach - ale i to nie było pewne. Atut dobrej figury na pewno bladł w zestawieniu ze zbyt męską muskulaturą i kolekcją blizn. Debrenowi dane było poznać tylko tę na kolanie, której dziewczyna zawdzięczała posadę w „Różowym Króliku”, ale teraz doszła rana po bełcie belnickiego kordoniarza, a wcześniej pewnie parę innych, na co dzień skrytych pod ubraniem. Była zawodowym żołnierzem, a ci rzadko potrafili policzyć blizny przy użyciu samych tylko palców rąk.

No i miała okropne maniery.

Nie, Debren nie wiedział, skąd pomysł oberżystki, że trafiła na konesera. Ale obrazem był zauroczony.

Płótno miało trzy stopy wysokości i dwukrotnie większą szerokość. Dobre farby. Profesjonalna robota.

- To... „Cnotka”? Ciemno już było, jak przyjechaliśmy.

- Perspektywa jest zdeformowana. - Debren wyczuł, że posłużyła się cytatem. - Dla uzyskania przejrzystości przesłania. Ale - uśmiechnęła się, gubiąc wyraz lekkiej zadumy i mówiąc już we własnym imieniu - ogólnie biorąc, odmalował wszystko jak się patrzy.

- Rovoletto? - Zerknęła na niego z ukosa i, nie przestając się lekko uśmiechać, skinęła głową. - Miałaś rację. Mógł być wielki.

- O, tak.

- Ale - powiedział ostrożnie - to nie jest konterfekt. Punkt widzenia umieszczono w miejscu, z którego dało się oglądać i modelkę ze szczegółami, i jak największy fragment okolicy. W tym celu artysta ciut naciągnął proporcje i obalił jedną z modnych teorii naukowych, tę o krągłości ziemi. U niego też była okrągła, ale wklęsła.

- Nie jest - przyznała Petunka. Wyglądało na to, że nie chce o tym mówić. Pewnie dlatego przesunęła się, stając na wprost zwierciadła. Wyraźnie nie o sprawdzanie urody chodziło: dopiero po paru momentach roztargnionego wpatrywania się w idealnie gładką tafłę czarodziej wyłowił błysk paniki w pustym dotąd spojrzeniu błękitnych oczu.

- Machrusie słodki! - poderwała dłonie do twarzy. - Wyglądam koszmarnie! Dlaczegoś nic nie mówił?!

Odepchnęła go, fakt, że bardziej kokieteryjnie niż energicznie, prawie pod okno, a sama opadła na taborecik.

- Jestem magunem - oświadczył po krótkiej chwili panicznego szukania stosownych słów. - Nie koncentruję się na tym, co powierzchowne. Sięgam głębiej.

Zdążyła zetrzeć makijaż w miejscach, gdzie rozmazany makijaż ośmiesza kobietę. Zrobiła to szybko i fachowo, jeszcze raz udowadniając, że wie, do czego służą rozprowadzone w łożu sadze czy wywary z soku buraczanego. Wyglądała znacznie lepiej i pewnie dlatego zdecydowała się posłać Debrenowi szelmowski uśmiech.

- Na przykład pod nocną koszulę, co? Zasznurował usta, przycupnął z tyłu, na skrzyni, i zajął się kontemplowaniem płótna.

- No, od biedy ujdzie - mruknęła gospodyni, obracając się na stołku. - Jak sądzisz, bystrooki?

Odrywał spojrzenie od obrazu bez wielkiego zapału. Ale gdy już oderwał, stwierdził, że nie miał racji.

- Sądzę... - zawahał się - że Yeżyn ma szczęście. Zarumieniła się. W użyciu było i bielidło, i róż, i czort wie co poza tym, ale skórę miała jeszcze gładką, a gust dobry i kiedy się rumieniła, było to widać.

- Jesteś bardzo rycerski - powiedziała z uśmiechem, od którego niejeden nabawiłby się ciężkiego zawrotu głowy. - Miała rację ta twoja Lenda.

- Lenda? Powiedziała, że jestem...?

- Och, znasz ją. Ujęła to w takiej formie, że przeciętny rycerz naderwałby sobie stawy w palcach od zbyt szybkiego ściągania rękawicy...

- A, no tak, to do niej podobne.

- ...ale pod tą szorstką formą bez trudu dała się odczytać całkiem inna treść. Z którą muszę się zgodzić.

Zlitowała się nad Debrenem, odwróciła, zaczęła zamykać flakony i szkatułki, chować pędzelki.

- O czym chciałaś mówić? Bo chyba nie o Lendzie? Wzięła się za rozczesywanie włosów.

- Pamiętasz, jak pochopnie na koło przysięgałeś? Niefortunnych słów użyłeś. Że, mianowicie, nigdy mi nieprawdy nie powiesz.

- Owszem - uśmiechnął się. - Ale to nie dowód, że się ma całkiem zakuty łeb. Nie obiecałem, że zawsze będę odpowiadał. Jest prawda, nieprawda i milczenie.

- Prawda - błysnęła zębami. - Ale wiesz, o czym mówię. W milczeniu zwykle pobrzmiwa odpowiedź. - Odczekała moment, po czym, niby od niechcienia, zapytała: - Faktycznie uczysz ją magii?

Zastanawiał się chwilę. Ale w milczeniu zwykle pobrzmiwają odpowiedzi, więc wybrał szczerość.

- Nie. Nie wiem nawet, czy dysponuje choćby szczątkowym Współczynnikiem Zaczepnięcia. - Spojrzał jej w oczy. - Zaszokowałem cię?

- Mnie trudno zaszokować. Ale rozumiem, że pytasz, czym cię właśnie ujrzała w innym świetle, mniej korzystnym. Odpowiedź brzmi... - zawahała się. - Nie wiem.

- To dla ciebie ważne, czy pytasz z ciekawości?

- Ze wścibstwa. I nudy. To okrutne zadupie. Nie dziwi cię chyba, że w takim miejscu każdy przybysz natychmiast staje się obiektem zainteresowania.

- Nie dziwi. Lenda... miała kłopoty. Pomogłem jej. Przedtem już się spotkaliśmy, przelotnie, ale nie dlatego jej pomogłem. Mam głupi zwyczaj udzielania ludziom pomocy, o ile uznam, że nie kosztuje mnie to zbyt drogo. Nieraz... no, powiedzmy, że często się mylę. I pakuję się w opałę. Ale, jak już ustaliliśmy, jestem rycerski i nie umiem się zrećźnie wycofać.

- To jeden z takich przypadków?

- Nie.

- Nie wleciesz jej ze sobą dlatego, że jesteś zbyt litościwy i nie wiesz, jak powiedzieć: „Żegnaj”?

- Nie. - Odetchnął głęboko. - Nie chcę być niegrzeczny, ale czy moglibyśmy nie mówić o Lendzie?

- Jeszcze tylko jedno pytanie. Ona... nie jest wysoko urodzona, prawda?

- Dlaczego pytasz?



- Och, pogadałyśmy w łaźni. Wiesz, takie babskie paplanie. Zagadnęłam, co was łączy. Ona na to, że stosunki uczniowsko-mistrzowskie. Więc pytam o owe blachy na biodrach i czy to z twojego powodu. Powiedziała, że rodzice nalegali, ot tak, profilaktycznie. Nie ustępuję i zagajam o emocjonalny aspekt stosunków uczniowsko-mistrzowskich. Powiedziała, wiesz, takim oficjalnym tonem, że bardzo cię szanuje. Każdy czeladnik ma w obowiązku takowe deklaracje składać, więc zignorowałam to i pytam, jak to od strony mistrza wygląda. No, czy dba o uczennicę, czy szacunek odwzajemnia. To mi odpyskowała, bym sobie serdecznika urwała. Wiesz, co to takiego, prawda?, i powróżyła. I jeszcze, że telepatii, póki co, nie przerabialiście i nie wie, jak ci do łba zajrzeć.

- Cała Lenda. - Nie mógł powstrzymać uśmiechu.

- Może i cała, a może nie. Bo chwilę posiedziała, posmagała plecy różgami, a potem tak jakoś niepewnie pyta, czy, moim zdaniem, można serdecznikowym wróżbom ufać. Bo jak raz zebrała się w sobie i zaczęła skubać, to jej wyszło coś pośredniego między: „Nie dba” a „Kocha”. To znaczy w tym przedziale, a nie że dokładnie pośrodku.

Debren zmarszczył czoło, przywołał wspomnienia ze szczenięcych lat i łąk w zakolu Lej cza.

- Pośrodku toby wypadało: „Żartuje” - mruknął. I, mocno poirytowany, dorzucił: - Jak jej, psiamać, takowa dokładność wyszła? Nie mówię, że wróżba pewna czy choćby przez magię zalecana, ale prostoty stosowania jej nie brakuje! Jedno serduszko, jedno hasło! Nie sposób się wątpliwości interpretacyjnych dorobić!

- Ponoć listki były jakieś nieforemne, nie jak serca normalne, ale rozszczepione jakieś, złamane czy co... Wyszło jej, że „Żartuje” jest najbliższe prawdy, i poparła to niegłupim argumentem. Ponoć ją, mianowicie, z uporem księżniczką przeżywasz. Zazwyczaj gdy jest bosa, brudna, usmarkana, ubrana niezgodnie z trendami aktualnie panującej mody czy

w jakiś inny sposób mało kobieca. A że ty sam byle kim nie jesteś, ma prawo podejrzewać, że się z jej niskiego stanu w ten sposób naigrawasz.

- A to durna gęś! Tak ci powiedziała?! Że się z niej...?!

- Nie jest głupia, Debren, i nie jest już gęsią, jeśli wiesz, co mam na myśli. Dlatego radzę, byś miłosne zawołanie na jakieś neutralne zmienił. Na żabię przykładowo. Miłosne - powtórzyła, widząc zdziwione spojrzenie. -

Bo że ją miłujesz, to i ja widzę, i nawet ona sama. Nie w tym problem, że zupełnie się w tej kwestii nie potrafi bez serdecznika obejść. Po prostu nie wie, co tam głębiej, pod miłowaniem siedzi. Czy właśnie nie kpina aby. I nie tłumiona pogarda dla prostej dziewczuchy.

- Nie mów tak o niej - rzucił przez zęby.

- Jenó ją cytuję. Od siebie powiem tyle: ów Rovoletto, którego obraz malował, zwykł się do mnie zwracać: „O, pani z cnotą”, a że i w piśmie to robił, wiem, iż dużych run używał. Więc o oberżę chodziło, a w żartobliwym zawołaniu więcej szacunku się kryło niż chęci wytykania wiadomych niedostatków. Bo od kołyski Vaclańa mnie takimi słowy odciągał - wyjaśniła. Debren opuścił uniesione pytająco brwi. - Czarodziej jesteś i bystry obserwator, więc nie będę owijała w bawełnę: nie same stosunki oberżysta-gość nas łączyły. Zaszokowałam cię?

- Mnie trudno zaszokować. Ale rozumiem, że pytasz, czy cię właśnie ujrzałem w innym świetle, mniej korzystnym. Odpowiedź brzmi... - zastanowił się. - Nie wiem.

- Dzięki za szczerość.

- Poczekaj, Petunka. Sama wtedy byłaś?

- Chodzi ci... o Yeżyna?

- Nie, nie o Yeżyna. Jak zrozumiałem, Yeżyna jeszcze tu nie było.

- Jest moim pierwszym mężem - zarumieniła się.

- Nie o to pytam. Nie o... formalności.

Rzuciła mu badawcze spojrzenie. Zakończone igrającym w kącikach ust uśmiechem.

- Nie - mruknęła niby to do siebie - z Inkwizycji to ty nie jesteś. Formalności... Uważaj, Debren. Doigrasz się kiedyś. Zwłaszcza jak wam obojgu włosy szybko nie odrosną. Nie żartowałam z tymi łowcami czarownic. Trafiali się tu już tacy, co brzytwę pod habitem nosili. A wracając do twego pytania... Owszem, puszczałam się. Owszem, cztery ciężę, wszystkie pozamażeńskie. Owszem, ostatnia już po ślubie z Yeżynem. Ale nigdy go z innym mężczyzną nie zdradziłam. Może to niewiele, ale...

- To wszystko, co potrzeba wiedzieć - przerwał jej. - Wszystko. Przynajmniej z mojego punktu widzenia.

- No to masz wielce oryginalny punkt widzenia.

- Po prostu wyprzedzam epokę - zazartował. I dopiero gdy się roześmiała, zapytał: - Rovolik to zdrobnienie?

- Nic się przed tobą nie ukryje. - Zamiast rumieńca obejrzał więcej jej zębów. - Ale od tematu odeszliśmy. Pytałam o Lendę. Kim jest.

- Wiem o niej, że z księstwa belnickiego pochodzi. I że jest tam chyba przez prawo ścigana. Co przy jej ozorze o łokieć za długim zbytnio nie dziwi. Napyskowała pewnie komuś ważnemu, on jej odpowiedział, nie gołym słowem może, doszło do rękoczynów... Nie, cholera, nie wiem. Jedno jest pewne: że ani bakalarką w szkółce niedzielnej nie była, ani się o dwór żaden nie otarła. Jej maniery...

- Ale z księgami się zetknęła.

- Nie żyjemy we wczesnowieczu. Byle kmiotek ma w chałupie przynajmniej kawałek kroniki, bo to w dobrym tonie. Najczęściej karta do góry nogami wisi, bo z czytaniem już gorzej, ale są. Choć nie mówię, że ona z kmiotków... Nie wiem, Petunko. Obstawiałbym nieślubną córkę jakiegoś władzyki, może ślubną kupca... Nie obchodzi mnie, prawdę mówiąc, kim jest. To znaczy, owszem, chciałbym wiedzieć. Ale

niczego to między nami nie zmieni. Nawet jak się okaże, że smok Wawelko ją splotdził.

Skinęła głową, wyjaśnienie zostało przyjęte. Mógł odwrócić wzrok, przenieść go na obraz.

- Miałem to zobaczyć? Po to mnie tu wpuściłaś? Bo, domyślałam się, że nie wszystkich wpuszczasz?

- Nikogo nie wpuszczam. Owszem, miałaś zerknąć.

- Nikogo z wyjątkiem Yeżyna? - upewnił się.

- Nikt z mojej rodziny nie ma tu wstępu.

- Boisz się o ich oczy? - uśmiechnął się lekko. - Bez obaw, za patwienie nie wyłupują. Jenó posiadacz musi aż tak uważać. Patrzących batożą i w dyby kują.

- Debren, jestem żoną, matką i ością w gardle lokalnego biskupa. Mam aż nadto powodów, by to skrywać.

Przez chwilę oboje wpatrywali się w nagą, szczupłą blondyneczkę, która ciągnąc za sobą smagane wiatrem warkocze i wdzięcznie kołysząc nie za dużymi, ale i nie za małymi piersiami, biegła wprost na oglądających. A właściwie nie tyle biegła, co parła: malarz znakomicie oddał siłę wiejącego jej w przymrużone oczy wichru. Debren pomyślał, że mistrz przesadził. Podmuchi, w nieodległym tle łamiący gałęzie i zrywający gonty z dachu oberży, porwałby takie chuchro, poniósł hen, aż za widoczną w rogu dolinę małego potoku. O ile to była dolina, a nie głęboki żleb. Czymkolwiek było, jego urwiste brzegi spinał znany magunowi most. Inna sprawa, że nie do końca, jako że na obrazie most właśnie pękał na pół.

Ciekawe. Ciekawy był też kolor włosów dziewczyny. Doskonała biel z dodatkiem lekkiego różu. Debren objechał i opłynął niemal cały Viplan, ale z takim odcieniem jeszcze się nie zetknął.

- Za co cię biskup nie lubi?

- Za bycie czarownicą. Oficjalnie. A naprawdę za to, że przez naszą klątwę musi wozic dziesięcinę ze Złotej Skarpy przez

Grabogórkę, królewskim szlakiem. I jako jedyny w kraju biskup rogatkowe burmistrzowi płacić.

- Biskup? Rogatkowe?

- Ano tak. Widzisz, Pretokar był mocno wściekły na Ledoszkę i złota na zemstę nie żałował, ale nim drogę, znaczy królewski szlak przeciągnął przez góry, zdrowo się grabogórczanom po sakiewce dostało. Rozumiesz: stara droga zamknięta, nowej jeszcze nie ma, a miasto od dawien dawna z tranzytu żyje. No i jak Belniczanie wojnę rozpętali, Grabogórka ogłosiła tymczasową secesję i zagroziła, że bramy Jarowidowi otworzy. A to strategiczny punkt i kto go trzyma, całe Zagrabogórze trzyma. No i kopalnie w Złotej Skarpie.

- Aha. I królewicz się ugiął, przywilejem sypnął?

- Nasz narodowy bohater? Patriota w pieśniach sławiony? Nie żartuj. Od razu ekspedycję karną wysłał, dwie pieczenie przy jednym ogniu piekąc. Pierwszą, że mieszczan do nogi wybito, mężczyzn znaczy, a drugą, że siła najemnych, których nie było czym opłacić, przy szturmie legła. - Westchnęła. - No, ale przy tylu pieczeniach równolegle pieczonych każdy się sparzy. Ci z zaciężnych, którzy przeżyli, załogą w grodzie stanęli i tak długo na żołd czekali, że się doczekali masowego rozwiązania.

- Rozwiązania... problemu żołdu?

- Bab masowo zaszurmowanych dziewięć miesięcy wcześniej. Wystaw sobie, że w jedną niedzielę populacja o prawie ćwierć wzrosła; akuszerki na pysk z wyczerpania padały. A garnizon, jak to u świeżo upieczonych ojców, tak zgłupiał, że poczuł się w obowiązkach i posłał do królewicza petycję. Żądali, by oprócz żołdu dla nich Pretokar miastu jakieś nowe źródło dochodów przyznał. Bo jak nie, to garnizon wymaszeruje i stary, książęcy szlak na powrót dla handlu otworzy. Dla dobra dzieci.

- Aha. Ale królewicz się nie ugiął i następną karną ekspedycję posłał?

- Nie żartuj, Debren. Bohater narodowy nie znaczy od razu krety. Na wściekłych wierzyce, w górach ufortyfikowanych? Zawodowców? Musiałby pięć razy liczniejszy zaciąg zrobić, a za co? Słyszałeś kiedyś o królu z nadmiarem wolnej gotówki? Normalnie nie ma z tym problemów, bo się knechty godzą do pierwszych łupów płatności odroczyć, ale tu raz, że łupów miało nie być, bo Grabogórka świeżo złupiona, a dwa, że się nazwa fatalnie kojarzyła. Z nieplaceniem knechtom właśnie. A znów na wolontariuszy i panów z pospolitego ruszenia królewicz nie mógł liczyć, bo kto z własnej woli pociągnie przeciw niemowlętom? No i, chcąc nie chcąc, Pretokar musiał ustąpić. Przyzwolił miastu brać myto ze wszystkiego, co nową drogą ciągnie, a że insze kłopoty miał na głowie, to zapomniał w przywilej wpisać, że Kościoła to nie dotyczy. Tyle utargował, że się Grabogórka zobowiązała królewski szlak utrzymywać.

- A Kościół co? Uszy po sobie?

- Kościół klątwą zagroził, a konkretnie biskup ołomucki, w którego diecezji całe Grabogóry leżą. Ale się już mleko rozlało. Nie, żeby Pretokar się stawiał czy grabo-górczanie; skąd. Pamiętaj, że rzecz się we wczesnowieczu działa, kiedy to Ojciec Ojców potrafił cesarza za brodę wytargać i trzy doby przed bramą na klęczkach trzymać.

- No to jakim cudem...?

- Klątwa, Debren. Jak miasto pieczę nad drogą przejęło, to się miejskie dochody o klątwę zazębiły. Że niby jak ktoś je mocno uszczknie, to baby bez mężów, potomstwem obarczone, znaczy samotne matki, nie podolają wysiłkowi i gościniec królewski zapuszczają. Dziury się pojawiają, kłody zawalidrogi, zbroj jeden z drugim... Lelońska droga, krótko mówiąc, się robi, a nie porządny, viplański trakt.

- I biskup dał się przekonać - zgadł Debren.

- Biskup na petycję mieszczek odpisał, że może im co najwyżej zniżki z chrzcinowego co łaska udzielić, a i to

niechętnie, bo doszły go słuchy, że się ostatnio zastraszająco dużo bękarciat porodziło. Taki był krotochwilnik. No, ale trafił sierp na kolek... Na Domorca znaczy.

- Domorca gryfa czy Domorca z Domorza?

- Gryfa. Choć właśnie z owej lesistej i jeziorzastej krainy nasz poprzedni prześladowca pochodził. Jak wiadomo, Domorze gryfami słynie, więc tamtejsi władcy chętnie je po zaprzyjaźnionych dworach rozsyłają. Głównie wypchane i w postaci skór, ale czasem i w naturze. Naszego Domorca Pretokar pod postacią jaja otrzymał. Ponoć w charakterze harbuza od tamtejszej księżniczki, którą o możliwość zameścia pytał. Co księżniczka chciała wyrazić, trudno dociec. Miesiąc potem panna, zesłana przez ojca na wieś, w pólgu zmarła.

- No to chyba wiem, co chciała wyrazić. O ile i ją Pretokar bez ogródek o dziewictwo zagadnął.

- Może to być. Ale gryf niczego królewiczowi nie odgryzł, a potem się przydał. W charakterze kuratora klątwy, cholera. Tak się rolą przejął, smarkacz białkiem jeszcze ociekający, że wiesz, co zrobił? Poleciał do Ołomucia, pożarł biskupa, odgryzł nogę jakiemuś klerykowi, który akurat w biskupich komnatach przebywał, napaskudził na dach katedry i odleciał, zatoczywszy nad grodem triumfalną beczkę. Dopiero potem, już za nowego biskupa, przysłał swego papugę, który wyraził ubolewanie z powodu tak niefortunnego incydentu i zaproponował, by puścić go w niepamięć. Oczywiście po rezygnacji diecezji z ubiegania się o immunitet od grabogóreckiego myta.

- Hmm, smutna historia... Nie rozumiem jednak, jak to się przekuwa na niechęć kurii do twej osoby. A gdzie stara zasada: „Wróg mojego wroga druhem mym”? No, chyba że następca na biskupowym stolcu po cichu gryfowi pomysłu gratulował. Ale już następcy pierwszego następcy nie mieli powodu gryfa lubić.

- Fakt. Pierwszy też chyba nie czuł wielkiej wdzięczności za stworzenie wakatu, bo raz-dwa biesiarza tu przysłał. Znaczący się wiedźmina: tak ich wtenczas zwali. No, ale że Domorzec młody był, rasowy, a więc i inteligentniejszy od synalka, to jeszcze tą samą furą, co wiedźmina przywiozła, stopy i skalp wiedźmiński do Ołomucia odesłał. Bo akurat tyle z biedaka zostało, jak go gryf w paszczę ucapił.

- Eee...

- Wiem, co myślisz: aż tacy kurduple z naszych pradziadów nie byli. A i gryfy dawniejsze, choć większe i lepsze, jak wszystko, co starzy wspominają, aż tak gigantyczne nie rosły. Masz rację: Domorzec był niewiele potężniejszy od syna. Ale, jak mówiłam, miał łeb na karku. Psychologicznie do problemu podszedł. Furmanowi, przez papugę, wyjaśnił grzecznie, dlaczego akurat tyle z pasażera oddaje, sam się z lasu nie wychylił, no i przerażony wozak wieść w świat powiózł, że książęcego szlaku gryf strzeże, co ma dziób na pięć stóp szeroki. Tak że jeno stopy i czubek głowy ze śmiałków zostają, a i to tych słusznego wzrostu. Jak łatwo zgadnąć, wiedźmini zaczęli szerokim łukiem omijać diecezję ołomucką. Między innymi dlatego tyle tu wilkołaków i inszego plugastwa.

- Nadal nie rozumiem, co ma do ciebie biskupstwo.

- Długo nie miało nic, ale najnowszy metropolita, oby czym prędzej w poczet świętych trafił, dokopał się w księgach zapisu o klątwie Pretokara. I wpadł na prosty pomysł, by od drugiego końca za problem się wziąć. Czyli nie gryfa, a „Cnotkę” usunąć z książęcego szlaku.

- Nie rozumiem.

- Och, Debren, przecież to oczywiste. Stary, czyli książęcy szlak, nie wiedzie przez samą Grabogórkę. Owszem prawie się ociera o miasto, ale na tym prawie Kościół by dwa denary od każdego grosza dziesięciny złotostockiej oszczędził. A że dopóki „Cnotka” stoi i potomkinie Petuneli utrzymuje, poty



gryfy szlak blokują...

- Aha, teraz rozumiem.

- Jak Zbrhl powiada: każda tarcza ma dwie strony. Dawno by mnie na stosie spalili, już to za prowadzenie się, już to za sam fakt utrzymania się przy życiu w takiej okolicy, ale że klątwa jest dobrze rzucona, gryf na milę kościelnych wyczuwa i nieprzyjemne rzeczy im robi.

- Nikt nie lubi konkurencji - pokiwał głową Debren. - No tak... Co nieco się wyjaśniło. Ale, wybacz, Petunko, nadal nie wiem, dlaczego mnie zaprosiłaś.

Odłożyła grzebień. Próbował sobie przypomnieć Lendę z grzebieniem. Niekoniecznie w dłoni - w ogóle. Nie udało się.

- Chciałam się poradzić. Gryf ultimatum postawił. Może się myłę, ale odniosłam wrażenie, żeś skłonny je przyjąć.

Milczał dłuższą chwilę. Oboje patrzyli na obraz.

- Lenda nie ma racji - powiedział w końcu, nadal nie spoglądając w jej stronę. - Żaden ze mnie rycerz. Nie znoszę krwi przelewać. I to nie tylko swojej. W ogóle. Wybacz, taki już jestem. Jeśli tylko mogę się dogadać...

- Nie mam ci czego wybaczać. Po pierwsze, nic mi winien nie jesteś. I po drugie, ważniejsze, wygląda na to, że ty jeden podobnie jak ja myślisz.

- Podobnie? - Oderwał wzrok od gołej blondynki i przeniósł na ubraną. Całkiem inną. Pewnie ten gwałtowny przerzut spojrzenia pozwolił mu sformułować błakające się poza granicą świadomości pytanie. I odpowiedzieć z marszu. Nie, nie przypominały jedna drugiej. Dzieliło je wszystko: rysy twarzy, wiek, kolor oczu. No i, oczywiście, włosy. Te najbardziej.

- Ja też się nie palę do bitwy z Pisklakiem.

- Dlaczego? - zapytał rzeczowo.

- Och, powód jest banalny: boję się. Ty też się boisz. Każdy, kto ma trochę rozumu, musi się bać w takiej sytuacji. Chyba że mu honor i rutyna rozsądek przyćmiły.

- Mówisz o Zbrhlu.

- Dobrze go znasz? Nie jest z tych szynkowych wojowników, co to gębę mają pełną bohaterkich...?

- Nie - przerwał. Przez chwilę milczeli. - Dobrze go nie znam, ale od tej strony akurat tak. Jego żołdecki honor sięga daleko poza granice głupoty. - Odwrócił twarz, udał, że ogląda kolekcję sukien, z których większość była i gustowna, a niemal każda w innym rozmiarze, co dość jednoznacznie sugerowało pochodzenie. - A w dodatku... I Wiesz, o czym mówię.

- Wiem. - Musiała się uśmiechać, słyszał to w jej głosie. Nie był to triumfalny uśmiech zdobywcy i Debrenowi się to spodobało. - Ten alkierzyk... Jak widać, pracuję nad sobą. Możesz to nazwać próżnością. Albo kompleksem utajonej dajki. Ale...

- ...to misja? - dokończył, stawiając symboliczny znak zapytania. - Czy tylko poszukiwanie uczucia?

Westchnęła. Oglądał jeszcze przez chwilę zrabowane kupcom suknie - tylko kupcom i tylko z wozów: żadna i nie nosiła śladów cerowania czy usuwania krwi - po czym powrócił spojrzeniem do Petunki.

- Wolę myśleć, że to z poczucia misji - powiedziała. - Zawsze przyjemniej, prawda? W głodzie własnego chłopca pod pierzyną nie ma nic wzniosłego.

- Nieprawda. Mówisz: misja. Wielkie słowo, a na końcu cóż mamy? Dobrze prosperujący lokal gastronomiczny, dający właścicielom znaczne dochody. Jak znam zamożnych oberżystów, to dobrze prosperujący lokal oznacza wodę w piwie, pchły w pierzynach, niedouczzone dziewczki nositacki, co to jakoś zawsze myślą się z rachunkiem na szkodę klienta, chamowatych odźwiernych, unizoność dla zamożnych i słabo skrywaną pogardę dla tych z chudą sakiewką. No i kopniaka w zadek, gdy ktoś w ogóle bez sakiewki. W dzieleniu z kimś łoża nie ma może wiele wzniosłości, ale w tym nie ma jej wcale.

Zamrugła powiekami.

- Psiakrew, Debren... Nie wiem, co powiedzieć. Więc uważasz, że stanowią siódme pokolenie idiotek? Które dają się gwałcić, głodzić i mordować tylko po to, by móc wlać cebrzyk wody w beczkę krzepkosza? Dzieci poświęcają dla umiejętnego niedouczenia nositacek? Własnych wnuczek się boją, albo i nienawidzą, by się dostatecznie chamowatego wykidajły dorobić? Tak to widzisz?

- Nie, Petunko. Może źle się wyraziłem. Nie ma niczego złego czy głupiego w pomyśle życia z szynkarstwa i udzielania noclegów. Zawód jak każdy inny, choć może łatwiej w jawne złodziejstwo popaść. To jeno rzecz chciałem, że do zarabiania na chleb służy, a w tym nijakiej wzniosłości nigdy nie było i nie będzie. To konieczność. Jak, wybaczyć porównanie, bieganie do wygodki.

- Zaczynam rozumieć, dlaczego groszem nie śmierdzisz. Z takim podejściem... Jeszcze parę słów, a zacznę podejrzewać, żeś jest demokrata.

- Staram się powiedzieć, że twoje poszukiwanie miłości jest stokroć wznioslejsze od zabiegania o interes oberży.

- Aha. Przez wygodkę, znaczy, dotarliśmy do romantycznych porywów, rozszczepionych serc i inszych takich? Ciekawy szlak obrałeś. - Bawiła się chwilę grzebieniem, po czym zaskoczyła Debrena lekkim uśmieszkiem. - Ale wiesz co? Mimo wszystko dzięki. Mało który chłop by tak puszczałskiej bronił, co się do czworga bękarciat przyznała. Już chyba wiem, jak z Lendą wytrzymujesz.

- Ja nie wiem - odwzajemnił uśmiech. Chichotali zgodnie przez chwilę. Petunka spoważniała pierwsza.

- Tracimy czas, a świt coraz bliżej. Czarodziej jesteś, najmądrzejszy z nas. Powiedz: co powinnam zrobić?

- To twój dom i twoja przyszłość. Wybaczyć, nie próbuję się sianem wykręcać. Po prostu nie wiem. To... hazard.

- Całe życie to hazard. A jakoś słowa „doradca” nikt ze

słownika nie wyrzucił. Co więcej: rozmaici doradcy coraz lepiej się mają. Aż się dziwię, że okazji nie chwytasz. Widzisz? - wskazała kufry. - Na biednych nie trafiłeś. O ważną poradę proszę, możesz nieźle zarobić.

- Nie mogę - uśmiechnął się. - To gryfowa zapomoga, prawda? A tej nie wolno ci spieniężyć.

- Nie spieniężę. W naturze ci zapłacę.

- To kręctwo. Wiesz, że nie o to babkom szło.

- Babki miały więcej honoru, a ja mam więcej rozumu. Gołodupiec z ciebie, a na Lendę to aż patrzeć nie mogłam, takie to było żalosne w tych szmatach. Z czego wynika, że obdarowując was, wspomagam ubogich. A to mi wolno. Babki furtkę zostawiły.

- Skoro mam fachową poradę za owe dobra w naturze zapłacić, to żadna furtka...

- Odchędoż się od furtki, bo moja. Na moją głowę grzech spadnie. W co zresztą wątpię. Bo nie za to wam piwo funduję, a w przyszłości coś z ubrań, że mi usługi świadczyce. Daję, bo was lubię. A to się inaczej liczy.

- Lubisz nas?

- Do Lendy pijesz? No cóż, nie przeczę, ciut mnie poniosło. Jak psów ich nienawidzę. Mam powody. Ale ona półkrwi jest i wierzę, że ta druga połowa, porządna, przeważała. - Odczekała chwilę. - To jak będzie? Przyjrzyj się kościom, którymi mam grać o swój los?

Podniósł się ze skrzyni.

- W sedno trafiłaś - mruknął. - To jak gra w kości. Tyle że dla nas wszystkich, a z tego wynika, że wszyscy powinniśmy się nad decyzją zastanowić.

- Tak myślałam - westchnęła. - Wiesz, Debren? Ty chyba w głębi ducha trochę jesteś demokratą. Bez urazy, ale chyba trochę tak.

- To obraz - Debren dotknął szarego płótna rozpiętego między listwami. Bo pod taką postacią, póki co, mogli oglądać

dzieło mistrza Rovoletta zwołani do gościnnej izby uczestnicy narady. Siedzieli naprzeciw stołu i z zainteresowaniem wpatrywali się w czarodzieja. Zbrhl z kuflem na udzie, Lenda z papugą, Yeżyn z plamą czegoś oleistego, połyskującego jak wolkański olej ziemny, który zamarzył niefortunnemu szyprowi w baryłkach. To właśnie Yeżyn jako pierwszy skomentował wstęp Debrena.

- Pewnie ten sekretny, co go tak Petunka strzeże.

Lenda, Zbrhl i papuga przenieśli spojrzenia na siedzącą obok Debrena gospodynię. Petunka ostentacyjnie zaczęła sprawdzać stan paznokci.

- Ten obraz - Debren zaakcentował pierwsze słowo - jest czymś więcej, niż się wydaje. Więc bez głupich komentarzy. Mamy powody, by wieszać go... - rozejrzał się - o, na tym, powiedzmy, słupie.

Zawiesił obraz. Efekt był natychmiastowy. Zbrhl zassał piwo tak, że go było słycać co najmniej w łaźni, Yeżyn wymamrotał pełne respektu „Łojej”, a Drop, choć nie kanarek, zagwizdał z wrażenia.

- Goła baba - rzuciła Lenda. - Znam to. Oklepany chwyt. I nie na miejscu. Taką metodą, Debren, to się morale podnosi, gdy wojsko ma gród szturmować. A my...

- Właśnie takie komentarze miałem na myśli. Bądź cicho i słuchaj. Dyskusja potem. Petunko, proszę.

Petunka sięgnęła po rożen, specjalnie na tę okazję wyczyszczony, ale na razie nie wstawiała.

- Zdaniem Debrena powinnam dokończyć opowieść o Ledoszcze i Pretokarze. Oraz konsekwencjach ich pobytu tutaj. To bolesny temat, więc darujcie, że się streszczać będę. Na czym to skończyliśmy?

- Wynikł spór - przypomniał Zbrhl. - Czy z Pretokara molestator nieletnich był, czy z księżniczki trzynastoletnia cyniczna zdzira. Znaczy o wiek chodziło, nie praktykę.

- Dziękuję. Otóż, jak wspomniałam, obojgu przydano świty

nieliczne i absolutnie nie spełniające norm, które się przyzwoitkom stawia. Co, nawiasem mówiąc, omal planów spotkania nie zniweczyło. Koniuszy Pretokara mianowicie, pijak i alkoholik, nieodpowiedniego rumaka królewiczowi przydzielili. Ogier ni z tego, ni z owego w połowie drogi najpierw Pretokara zrzucił, skutkiem czego królewicz mocno okulał, a potem, zamiast się zrehabilitować, poniósł i pana w jeszcze gorsze tarapaty wpackował. Konkretnie na leśną drogę, na której maruderzy grasowali. Poczёт, przez kretyna albo może agenta Garrola dowodzony, w ogóle za młodzieńcem nie próbował gonić, bo im ów sabotażysta wmówił, że to chuć okrutna tak Pretokara ku Ledoszcze pognała. No i się królewicz po uszy w bagno wpackował.

- W przenośni oczywiście.

- Nie przerywaj, Zbrhl. Nie, dosłownie. Maruderzy-grasanci za nim pognali, to przestał uważać i w topiel razem z ogierem wleciał. Już po nim by było, bo ciężko się od wroga opędzać, powoli w błoto zapadając. Aliści traf chciał, że akurat przejeżdżał obok pewien rycerz ze Smoyeedu. Narodowość o tyle jest ważna, że się Pretokar jeszcze we wczesnej młodości dał poznać jako zajadły wróg Smoyeedczyków. Tedy za ironię losu należy uznać, iż właśnie ten rycerz, z długiej niewoli morvackiej powracający, królewiczowi skoczył z pomocą. A drugą ironią jest, że uczynił to przez pomyłkę.

- Konia chciał ratować, a w jeźdźca liną trafił? - zażartowała Lenda.

- Ratować chciał jeźdźca. Tyle że motywy miał niesłuszne. Bo się w niewolę dostał, gdy oba królestwa o Orapisz wojowały, który z dawien dawna do Smoyeedu należy, choć Orapiszacy nie bez racji za zachodni odłam Morvaców uchodzą i prawie tą samą mową się posługują. A z kolei Smoyeedczycy tak upiornego języka używają, że nikt ich ni w ząb w całym Viplanie nie rozumie. A że ten rycerz z pośledniejszych był i staromowy go nie nauczono, to jadąc do

domu, mocno pobłądził i święcie wierzył, iż wieśniacy, o drogę pytani, to już poddani jego króla, górale orapiszaccy. No i tak mu jakoś wyszło z rachuby, że jest niedaleko granicy, ale już u siebie. I maruderów za agresorów wziął.

- Kretyn - wyraził swój pogląd Zbrhl.

- Ale patriota - ujęła się za Smoyeedczykiem Petunka. - Bo choć maruderów kupa była, to od razu skoczył i rozgonił, ranę przy tym odnosząc. Tak że się królewiczowi cudem upiekło.

- Królewicz, bez urazy, też kretyn - poszła w ślady rotmistrza Lenda. - Noga rozwalona, koń ponosi, własne, przynajmniej kiedyś, wojaki zamordować chcą, wróg śmiertelny przez pomyłkę ratuje, a on co? Nie zastanowi się nad nader czytelną serią znaków, jeno dalej jedzie. Sam się o kłopoty prosił, jeśli ktoś chce znać moje zdanie.

- Nikt nie chce - zapewnił Debren. - Petunko, proszę.

- Nie był to bynajmniej koniec upokorzeń, jakich Pretokar w podróży doznał. Bo oto wybawca linę wprawdzie rzuca, ale i, ku zdziwieniu królewicza, wzrok wstydliwie odwraca, oczy dłonią osłania i w ogóle kryguje się tak, że od tego krygowania ogier całkiem utonął, choć był do uratowania. Diabli wiedzą, czy i Pretokara by takie ratowanie na oślep drogo nie kosztowało, ale się w końcu poczet zjawił. W poczcie był tłumacz, który tłumaczenia rycerza snioyeeedzkiego na ludzkie przetłumaczył.

- Założę się, że wiem! - Debren klepnął otwartą dłonią w stół. - To proste! Rycerz twarz ratowanego w końcu rozpoznał i wzrok obracał, bo ścierpieć nie mógł, iż takie świństwo ojczyźnie czyni. Ale że rycerz był i szlachcic, to się już wycofać nie miał jak. Ale że jednak patriota, to po cichu miał nadzieję, że na oślep linę rzucając, ciut za późno trafi i mimo wszystko...

- Bez urazy, Debren: ty też się zamknij. Jak wszyscy będziecie przeszkadzać, do świtu nie skończę. A zakład przegrałeś. Rycerz owszem, rycerski był jak trza, tyle że dla

dam.

- He?

- Toć mówiłam, że tej wywłóce Ledoszce się zachciało narzeczonego z włosami do łopatek. Fryzjerzy przedobrzyli i Pretokar, świeżo upieczony blondyn, kręcony i różowawy, jak panienka wyglądał. A że ciepło było, pod zbroją podróżną nic nie nosił, górą znaczy. Tonąc pancierz szybko zrzucił i go z lekka goławego Smoyeedczyk ujrzał. Może to wyjaśnia fakt, iż się zbytnio nie przyglądał. Kiedy już było po wszystkim, to się przyznał, ciut zawstydzony, że królewicz mu się syreną urodziwą wydał.

- Syreną? - nie wytrzymał Debren. - A to kretyn! Tu, w górach, w samym sercu Viplanu! Syre...

Zamilkł z rozwartymi ustami. Lenda ust nie otworzyła, ale tylko to ich różniło. Oboje wpatrywali się w siebie nawzajem z minami często spotykanymi u ofiar wstrząsu bezpałowego.

- I pewnie się jej o rękę oświadczył - zarechotał rotmistrz. - Jak kretyn, to pełną gębą.

- Zbrhl... - wycharczał magun. - Le... lepiej zamilcz.

- Waśnie - poparła go Petunka. - Zwłaszcza że mi całą przyjemność narracji odbierasz. Tom ja rzecz miała. Bo owszem, złożył rycerz propozycję pannie wodnej, w błotnistej kałuży napotkanej. Po smoyeedzku, więc wierzyć nam tylko wypada, iż małżeństwa dotyczyła, jak potem rycerz solennie zapewniał. Ale przypominam, że z niewoli nieszczęśnik wracał, a rzecz się działa w puszczy i z przedstawicielką gatunku, który za przesadnie cnotliwy nie uchodzi. No, ale to na marginesie. Podróż zakończył jeszcze jeden mało radosny incydent. Otóż z winy Ledoszki, owego rycerza wybawcę ptaszysko opaskudziło.

- Ptaszysko? - zainteresował się Zbrhl. - Z winy?

- No, może nie z winy, ale w związku z nią niewątpliwie. Lubieżnica tak udem o udo z niecierpliwości tarła, że I gołębicę z listem miłosnym królewiczowi naprzeciw wysłała.



Z różową kokardą na szyi, pachnidłem skropioną. To i nie dziw, że się na takową kurierkę sokół rzucił. Ale i już blisko adresata ją wypatrzył i go dworzanie Pretokara odpędzili. A że sokoły dumne są, to wziął na nich odwet i co w sobie miał, to w dół posłał. Ośmieszając Smoyeedczyka.

Zbrhl nie skomentował, o szczegóły nie zapytał. Zasznurował nagle usta.

- Ostatnia przykrość spotkała królewicza już na miej-; scu. Do oberży mianowicie wbiegając, łbem o futrynę trzasnął. Bo wielki był władca, także wzrostem. Biegł zaś bez zachowania należytej ostrożności, o powadze nie mówiąc, bo ta wywłoką w najbardziej krzykliwą suknię się ubrała, biżuterią obwiesiła i tak go zza progu urodą porażała, że biedak głowę stracił. I nią w belkę rąbnął.

- Kolorrowa rrozpustnica - pokręcił łbem Drop. - Garrrdzę nieskrromnością strroju.

- Słusznie. Niewiasta powinna w szarej sukieneczce konkurentów przyjmować, bez ozdób frymuśnych, ni kawałeczka ciała nie ukazując ponad to, co niezbędne. A ta co? Ciżmy nie tylko spod spódnicy wystają, ale złotem błyszczą. Szyję caluszką widać, a na szyi, zamiast koła, jakieś pogańskie paskudztwo. Włosy od szcztokowania aż elektryzują, usta podejrzanie czerwone... No, krótko mówiąc, jak ładaczka narzeczonego przyjęła. To i nie dziwota, że jak przed południem poczty zjechały, to wieczorem całe towarzystwo pijane leżało, a młodzi się do łaźni, niby to dla higieny, wymknęli.

- Względem towarzystwa - podniósł palec Zbrhl. - Tegom do końca nie zrozumiał. Że niby jak? Widokiem Ledoszki tak się upili? Aż taka cudna była?

- Wyrachowana była, nie cudna! Słowem nie pisnęła, gdy Pretokar, co kęs ugryzł, to się z ławy podrywał i toast ku jej czci wznosił! Nic, cholera! Buzia w ciup, rumieniec i siedzi, grzeczniutka, cichutka. Intrygantka!

- Pewnie chciała sprawdzić, ile chłopak wypić może.

- Głupiś, miśku. Wypić? Nie mówię, że królewicz popijał, a że toasty wznosił. Cóż to za gospodarz uczyty, który gości samych zostawia, pod stół się waląc?

- Czyli, koniec końcem, oboje trafili do łaźni - podsumował Debren. - Trzeźwi.

- Oboje owszem, ale smarkula za trzeźwa nie była.

- Ją też spoił? - mruknęła Lenda. - Pięknie.

- Co chcesz przez to powiedzieć? - zmarszczyła brwi oberżystka. Debren postukał w stół, pogroził Lendzie palcem. Do wymiany opinii nie doszło. Petunka pociągnęła opowieść dalej: - Tak więc do łaźni trafili. Młodzik, przemyślnymi sposobami uwodzony, i zepsuta dziewczyna. Jak Pretokar wytrzymał, tego nie wiem, bo, niechętnie to przyznaję, Ledoszka za całkiem niebrzydką uchodziła. Ale że wytrzymał, to pewne.

- Pewne? - upewnił się Debren.

- Królewicz był nie tylko honorowy, ale i mądry. Kiedy się już afera zrobiła i przyszło wielkie sumy na realizację klątwy łożyć, nie poprzestał na suchym oświadczeniu. Sam kazał arcybiskupowi najświętszą relikwię przynieść i na nią przysiągł, iż Ledoszki nie tknął. W łaźni.

- Aha - pokiwała głową Lenda. - W łaźni. No, w taką przysięgę mogłabym uwierzyć. To zastrzeżenie tchnie szczerością.

- Nie ironizuj. Sprawa była poważna, wydatki na nową drogę duże, więc królewicz z każdego pacierza pobytu tutaj się wypowiadał. Nie chodziło o wykazanie, że jakimś odchyleńcem jest, co dziewczkami gardzi, a o to, kiedy i jak pohańbienia od Ledoszki doznał. Nie rób takiej miny, Lenda. Dobrze słyszałaś. Pohańbiła go.

- Co konkretnie w łaźni zaszło? - zapytał Debren.

- Konkretnie to właśnie nic. Owszem, gapili się na siebie, na ile to możliwe przy tak skąpym oświetleniu. Pretokar nie krył,

że dla dobra narodu i dynastii o łaski panny zabiegał, nie całkiem przyzwoite krotchwile opowiadając i jej urodę sławiąc. Raz i drugi pomógł z mydłem przy częściach ciała, do których pannom sięgnąć albo trudno, albo w towarzystwie męskim nie wypada. Ale, zaklinał się na życie matki, własne, trzech sióstr, dwóch siostrzeńców... no, krótko mówiąc kogo tam miał w rodzie, Garrola jeno wyłączając, że na tym poprzestał i ani na ćwierć cala... no, wiadomo. Rodzina w dobrym zdrowiu przez parę następnych lat żyła, więc nie ma powodu nie wierzyć. Potem Ledoszkę wino zmogło, więc jak na kawalera przystało, głowę ukochanej własną osobą od desek osłonił i...

- A konkretnie? - nie przegapiła szansy Lenda. - Jak to osłanianie wyglądało?

- Siostro - Petunka zmierzyła ją trochę gniewnym, a trochę kpiącym spojrzeniem - nie jesteśmy parą naiwnych dziewczyc, więc krótko ci powiem: nie tak.

O dziwo, Lendzie wystarczyło takie wyjaśnienie. Choć nieco pociemniała na twarzy.

- Potem - kontynuowała Petunka - królewicz też przysnął. Albo się rozmarzył. Nieważne. Ważne, że jak się ocknął, to ta łajdaczka akurat z łaźni wybiegała. Jakieś dziwne odgłosy wydając. Pretokar wstał, idzie do drzwi, a tu drzwi zamknięte. No to za ubranie... a ubrania nie ma. Najpierw czekał, myśląc, że to głupie żarty belnickiej smarkuli. Potem, już zły, krzyknął raz i drugi. Ale nie miał szczęścia, bo ci z dworzan, którzy nie padli, akurat do etapu śpiewania dojrżeli. Zresztą szybko zdał sobie sprawę, że nie może odsieczy wzywać. Sprawa sukcesji na ostrzu noża leżała, byle drobiazg mógł szalę na korzyść Garrola przechylić, a nic tak we władcę nie uderza, jak śmieszność. Więc sam się postanowił ratować. Wybił deskę, odepchnął kołek, którym ta łajdaczka drzwi podparła. Osłonił się deską i dalej ku oberży. Ale że tu, w gościnnej, ludzie byli, skoczył ku kuchennym drzwiom. A tam, patrzy, kucharka się

uwija. Więc zrezygnował z drzwi i zaczął wokół domu krążyć, innej drogi wypatrując. Trzy razy tak budynek okrążył. Dziś to by mu się pewnie nie udało i jak nie coś cenniejszego, ową deskę przynajmniej na ostrokole by zostawił, ale w tych szczęśliwych czasach gospodarstwo nie było ufortyfikowane. Więc długo to nie trwało i jakoś wykrycia uniknął. Ale mu nerwy puściły, co i nie dziwota, bo któremu monarsze by nie puściły, gdyby jak jaki Cassamnoga goło się musiał pod oknami przemykać. No i następnego upokorzenia doznał. W odruchu rozpaczy, mianowicie, ubrał się w suknię owej kucharki. Suszyła ją po jakimś wypadku w kuchni. Może od tego wypadku, może od kucharki, suknia woń takową z siebie wydzielala, że się królewicz jeszcze parę miesięcy później z odrazy wzdrygał. Ale co miał robić? Z jednej strony mógł go któryś z ludzi przydybać, a z drugiej jakiś zwierz w goły zadek kłami chapnąć, bo oberża nowością tu była i co bardziej konserwatywne wilki czy niedźwiedzie nadal tędy do wodopoju chadzały. Więc zęby zacisnął i w sukni, z kamienną miną, do izby wkroczył. I pewnie z tego upokorzenia zamiast się samemu do biesiady przyłączyć albo w alkwie zamknąć, wziął i poleciał robić awanturę Ledoszce.

- Właściwie to mu się nie dziwię - stwierdził Debren.

- A ja tak - powiedziała twardo Petunka. - Zamiast się przebrać, umyć, wziąć miecz i łeb paskudzie odrąbać, jak królowi przystoi, wpadł do niej w tej cuchnącej sukni, bosy, z gołymi rękami. No i nie miał jak kary wymierzyć. Bo przecież nie godzi się baby, choćby tak wrednej, po gębie prac. Mieczem to co innego, ale ręką...

- W ogóle nie powinien jej odwiedzać w takim stanie - wyraziła swój pogląd Lenda.

- Jak rzadko, zgodzę się z tobą. Bo się fatalnie wizyta skończyła. Ledoszka, suka podstępna, histerię zasymulowała. Najpierw nawrzeszczała na niego, od gwałcieli wyzywając, potem, jak zbaraniał, łzami się zalala i powiedziała, że co

prawda serce jej na drobne kawałki połamał, ale mu wybacza, bo go tak okrutnie kocha i wielbi, a potem wyszłochała coś w rodzaju: „I jak ty wyglądasz?”, zdarła z niego suknię, za okno cisnęła, a jego samego obmywać poczęła. Bo komnata była dla WIP-ów, z miednicą.

I tej próbie już królewicz nie sprostał - mruknął na Poły do siebie Debren.

- Ano nie. Ale też wstydu by sobie narobił, gdyby jak kołek stał, gdy go księżniczka własnymi rękoma i własną, prywatną gąbką obmywała, o miłości zapewniając. Nikogo pewnie nie zdziwię, jeśli powiem, że oboje do łoża trafili. Do świtu. A o świcie, gdy w izbie pojaśniało, Pretokar wstał i obejrzał pościel. I mu w oczach pociemniało.

- Bo był durny, wczesnowieczny, zacofany i zakłamanym ciemniak - rzuciła przez zęby Lenda.

- Nie, Lenda. Bo był ciężko oszukanym, naiwnym młodzieńcem o uczciwych zamiarach i prawym sercu, które wszeteczna dziewczka brutalnie brudnymi nogami podeptała. Omal nie rozdeptując przy okazji jego szans na berło.

- Twa wzmianka o brudnych nogach tendencyjności dowodzi.

- Precyzji jeno. Dobrze wiemy, jak się stan pościeli w niektórych przypadkach na honor niewieści przekłada. Nic dziwnego, że królewicz ów szczególnie w zeznaniach uwzględnił. Szoku doznał, widząc czerń w miejscu, w którym miał święte prawo czerwieni się spodziewać.

- Czerwieni to się powinien spodziewać na własnych uszach i pysku. Takowe rzeczy przed ludźmi wywlekając. Cham był i świnią ostatnia, a cały błąd Ledoszki na tym polegał, że go w łaźni, nie chlewie, zawarła. Co zaś brudu się tyczy, to na swoje nogi lepiej by patrzył. Dziewczyna po kąpieli była, a on po bieganiu goło wokół oberży. To niby kto owo prześcieradło na czarno upaprał?

- Ledoszka - oświadczyła spokojnie Petunka. - Twoje

oskarżenia o tendencyjność są nie na miejscu. Z prostej przyczyny: Debren kazał mi całą prawdę mówić, bo mu przekłamania mogą diagnozę utrudnić. A ja, wystaw sobie, aż taką patriotką nie jestem, by własny kark nadstawiać za honor króla, co od półtora wieku ziemię gryzie. - Zrobiła krótką przerwę. - Ledoszka stopy królewiczowi obmyła, nim do łóża skoczyli. Zaś sama brudne miała, bo z łaźni bosy wybiegła. Komisja, sprawę badająca, ustaliła, iż nóg nie umyła, bo leżała w łóżku i ryczała.

- Płakała? - upewnił się Debren. - Cały czas?

- Tak ustalono, a arcybiskup tęgich fachowców na biegłych powołał. Ich zdaniem przyczyną tak histerycznego zachowania było załamanie się niecnym planów Ledoszki. Która srogiego zawodu doznała, dużo więcej sobie po wizycie w łaźni obiecując. Widać całkiem głupia nie była i zdawała sobie sprawę, że ją w izbie test prześcieradłowy może łatwo zdemaskować jako oszustkę. W łaźni to co innego. Każdy może naiwnym wmawiać, że woda ślady zmyła. Stary to sposób, od lat przez puszczałskie panny stosowany. Tak zwana metoda na ostatnią deskę ratunku. Otumanić pana młodego, do łaźni zawlec, dać się na mokrej desce wydudkać, a potem wmawiać naiwnemu, że krew była, ale się zmyła.

- I co dalej? - upomniał się Zbrhl.

- Pretokar też w histerię popadł. Zaczął biegać po domu, włosy drzeć, bo już mu wyłaziły, wołać, że Ledoszka to zdzira, że on dla niej miłość życia poświęcił, małżeństwo rozwalił, włosy zaraz straci, a ona mu rogi jeszcze przed ślubem przyprawiła i ani kropli obiecanego dziewictwa w sobie nie ma. No, a na koniec wziął się i na oczach wstrząśniętych dworzan rozplakał. Jak bóbr.

- Znaczy się, mocno - dopowiedział Zbrhl.

- Znaczy się, drewno, a konkretnie stół, z tej bezradnej złości gryząc. A potem tak jak stał, półnagi, na konia skoczył i w siną dal pogalopował. Dopiero go nad wąwozem dognali,

tam, gdzie teraz most stoi. Mało brakowało, a byłby się w przepaść zwałił.

- Zaraz, zaraz - zmarszczyła czoło Lenda. - Co miało znaczyć to o rozwalonym małżeństwie?

- Nic ważnego - wzruszyła ramionami Petunka. - Pretokar miał na boku jakąś tam nimfę czy rusalkę, ot, zwyczajnie, jak to młodzik z dobrego rodu, łowiectwem się parający. Tyle że na jakąś durną trafił albo może intrygantkę o wybujałych ambicjach, no i taki nibyślub wzięli.

- Był żonaty?! I on miał czelność...?!

- Nie podniecaj się, siostrze. Nie był żonaty. Ot, odprawili jakieś pogańskie gusełko, z którego się zresztą raz-dwa wyświadał. Takie tam rusalkowe obiecanki, że to niby zawsze się będą miłować i wierni sobie pozostaną, co w obyczajowości leśnych panien za rodzaj ślubu uchodzi.

Ale księdza przy tym nie było; na jakieś drzewo, a nie koło święte, przysięgali. Więc sama widzisz, że nijakiego małżeństwa nie było i w świetle praw ludzkich i boskich z Pretokara kawaler był pełną gębą.

- Ale ją kochał? - na pół spytał, na pół stwierdził zamyślony Debren.

- A gdyby nawet? Cóż to zmienia?

- Pewnie nic - przyznał. - Tb znaczy: w kwestii klątwy, a o tym rozmawiamy. No i jak się rzecz skończyła?

- Morvacki orszak się wyniósł z oberży. Ledoszka spazmów dostała, potem na pół goła chciała za królewiczem biec, potem, jak ją zawrócili, to się tak wściekła, że porwała za topór i drew narąbała na całą zimę, by jakoś tę złość rozładować. I znów w ryk. Że niby ją łajdak wykorzystał i porzucił, a jeszcze i sromotą okrył, bo przecie dziewicą była jak się patrzy, nim do łaźni poszli. Belniczanie tak za bardzo panny nie słuchali, bo raz, że ich kac męczył, a dwa, że się już ci co przytomniejsi do koni rzucili, by z wieścią do stolicy gnać albo z ostrzeżeniem do fortów, głównie tych strategicznie

najważniejszych, pod Dusznym Zdrojem. Bo trafnie przewidzieli, że Pretokar, w ramach zmazywania hańby, jeszcze tego dnia garnizon jeden z drugim zagarnie i jakąś placówkę belnicką z dymem puści. Za ostrzeżenie udzielone w porę spory grosz mógł informatorowi wpaść, a fortów i narażonych osiedli sporo było, więc się raz-dwa „Cnotka” wyludniła. Ale dwóch rycerzy, co gorzej picie znosili, i jedna wiekowa dama dworu presji księżniczki ulegli i poszli do łaźni, by ślady badać i prawdy dociekać.

- Znaczy dziurę oglądać, przez królewicza wybitą? - upewnił się Zbrhl. - I kołek, którym drzwi zastawiono?

- Sameś kołek, miśku. Ślady dziewiczości swej pani, a nie jej męskiego ducha. Bo te już mieli: całe podwórko zasłane było porąbanymi polanami. A Ledoszka, choć czerwona i spocona, aż kapało, nadal z toporem w ręku biedaków od maślanki i kiszonych ogórków odpędzała. Co było błędem, nawiasem mówiąc. Bo nie dość, że cała trójka stronnicza, belnicką, oraz mocno nieświeża po przepiciu, to jeszcze i zeznania wymuszone jakby. Wściekła dziewczka z siekierą mocniejsza bywa w działaniu od kwarty gorzałki: niejedną rzecz można zobaczyć, która w realnym świecie nie istnieje. Więc się nikt nadto nie przejął, gdy na troje świadków jeden zeznał, że środek górnej deski upaprany był krwią dziewiczą, nieco już przez parę rozmytą.

- Jeden z trojga? - Lenda nie kryła rozczarowania. Petunka zaczęła się uśmiechać, ale zerknęła na maguna i triumfalny błysk w jej oczach natychmiast przygasł.

- Cóż, po prawdzie to dama dworu, choć na etacie starszej instruktorki haftu artystycznego, ślepa była jak kret i protekcji jeno stanowisko zawdzięczała. A z rycerzy ten wolniej trzeźwiejący potknął się i nosem w owo kluczowe miejsce przyrznął, własną juchą je zalewając. Tudzież pucharem wina-klina. Tak więc ze śladów, gdyby nawet naprawdę były, nic nie zostało.



Dziewczyna zmarszczyła brwi.

- Zaraz... Powiadasz: środek górnej deski? - Debren, w roztargnieniu bawiący się kałamarzem, nagle zabawy zaprzestał. - Czy to nie tam, gdzie się ektoplazma objawiła? Debren?

Czarodziej milczał. Chwilowo stać go było na udawanie, że zeszywniała twarz jest twarzą pogrążonego w głębokiej analizie fachowca. Na nic więcej.

- Co znowu za ektoplazma? - skrzywił się Zbrhl.

- Substancja astralna, która się z medium wydziela podczas seansu. W tym wypadku ze mnie się wydzieliła. Prawda, Debren? Przez palce chyba przelazła, czy jak... Nie znam się na magii, ale to chyba nie przypadek, że właśnie w tym miejscu... Co, Debren?

Na szczęście nie byli sami.

- Nie przypadek - wyręczyła maguna Petunka. - Środek człowieka blisko środka deski się lokuje, gdy ów zalegnie. Często w takiej pozycji kąpieli zażywam, więc ci z doświadczenia powiem, że rzecz jest prozaiczna. Deska otóż się ugina, jak to w zwyczaju desek. Pośrodku najmocniej. A w zwyczaju substancji ciekłych, czy to astralnych, czy zwykłych, jest spływać na sam dół. Więc się twoja ektoplazma tam znalazła, gdzie dwa wieki wcześniej zadek Ledoszki.

- Wróćmy do tematu - mruknął Debren.

- No tak... Więc się wojna na nowo zaczęła, ograniczona wszakże, bo po obu stronach skomplikowały się kwestie dziedziczenia. U nas Garrol zaczął rozpowszechniać plotkę, że się wprawdzie jego brat na niecnotę naciął, ale już po cichym ślubie z nią, więc raz, że jeleń jest rogaty, a dwa, że nie wypełnił warunku ojcowego i lepiej niech sobie pastę do polerowania poroża sprawi, a nie do czyszczenia koron. Po drugiej stronie kopców, w Belnicy, stronnictwo Jarowida pożarło się z partią Dormy Lisicy i próbowało nieudolną matkę do klasztoru wpakować. Więc wybuchła mała wojna

domowa, o której nikt dziś nie pamięta i...

- My, Zbrhle, pamiętamy - przerwał jej nieco patetycznym tonem rotmistrz. - Bo w niej nasz sławny przodek, Zbrhl Kusy poległ, regentce Dormie służąc. A konkretnie półkolumną taranów dowodząc! W składzie trzech taranów, czterdziestu chłopów, dwudziestu koni i fury. W trakcie walk ulicznych o podgrodzie Belnicy wielce się owa półkolumną siłom regentki przysłużyła, ale ostatecznie jarowidowcy wzięli górę i mój przodek osłaniał uchodzące wojska. Samą Dormę ponoć od strzały osłonił, choć już był dwakroć ranny, w łeb i zadek. Nim kto co głupiego powie - posłał wymowne spojrzenie Lendzie - wyjaśnię, że bynajmniej nie w ucieczce się owej drugiej rany nabawił. Wręcz przeciwnie: dobry przykład dając i porywając za sobą nadto tchórzliwą piechotę belnicką. Jakiś łucznik partacz za nisko strzelił. No, ale Jarowid miał lepszych łuczników i niedługo potem, własną piersią zleceńdawczynię osłaniając, Kusy chlubnie poległ.

- Amen - zakończyła Petunka. - Tak to jest, jak się kto z Belniczanami zadaje, choćby i za godziwy żołd. Zaś co się kłątwy tyczy, królewicz po paru miesiącach wrócił tu na czele wojska, mularzy i maga. Jednego, ale za to bardzo potężnego. Mesztorhazy mu było.

- Mesztorhazy? - Debren drgnął. - Smoyeedczyk?

- Słyszałeś o nim?

- Toż to klasyk! Jeden z pierwszych czarodziejów, którzy na miano maguna zasłużyli! On... - urwał, zmarszczył brwi, rozejrzał się po izbie, jakby ją pierwszy raz na oczy oglądał. - To... jego robota?

- Ano jego. - Petunka też spochmurniała. - Klasyk, powiadasz? I magun? No to pewnie na tym skończymy? - Wszyscy poza Debrenem posłali jej zdziwione spojrzenia. - Pewnie nie zechcesz włączyć w paradę konfratrowi z cechu i klasykowi w dodatku? Ha, głupio pytam. Bo niby w imię czego? Przywrócenia świetności trzeciorzędnej oberży?

Trzeba być idiotą, by w jednym szeregu stawiać mistrza Mesztorhazego i jakąś podłą knajpę. Prawda?

- Praw... - Yeżyn popisał się reflekssem i nie skończył.

- Mesztorhazy - oświadczył lekko urażony Debren - dostał zlecenie i je wypełnił. Nasza profesja dokładnie taka bywa jak inne: albo się zlecenie bierze, albo z głodu zdycha. Owszem, kodeks cechowy wiele ograniczeń na maguna nakłada i zabrania mistrzowi z drugim na czary się potykać. Ale, po pierwsze, Mesztorhazy dawno śmiercią maga poległ, nieudany eksperyment prowadząc, a po drugie tu o ludzkie życie idzie. Jeśli czar rzucony przez jednego maguna ludziom zagraża, inny magun nie tylko może, ale i powinien złu zaradzić. Chyba że rzecz się o politykę, religię albo wojskowość ociera; te kwestie osobne przepisy regulują, a po prawdzie to zasada TSD.

- To znaczy? - zainteresowała się Lenda.

- Trzymaj Się Daleko. Ale to chyba nie ten przypadek.

- Nie byłabym pewna. Pretokar był królewicz, Ledoszka siostrzenica władcy, córka regentki i protoplastka aktualnie rządzącej dynastii. Co prawda dwa wieki minęły, ale w polityce dwa wieki to niekiedy mało.

- Ważne, że w magii dużo. Odpowiadając na twą sugestię, Petunko: nadal mam zamiar ci pomóc. Obawiam się tylko, że się sprawa skomplikowała. Mesztorhazy nie po znajomości klasykiem został. Jego połączenia magii białej z czarną po dziś dzień znawców szokują. No, ale opowiadaj. Pretokar z wojskiem, budowlańcami i czarodziejem do oberży zjechał. I co potem?

- Do oberży to zjechał z niedużym pocztem i ekipą Mesztorhazego. Mularze skierowali się tam, gdzie most dziś stoi, a wojsko ku Grabogórcie pomaszerowało. Więc na miejscu został jeno tabor z beczkami, przyboczni królewicza i kareta. Z rusalką w środku.

- Rusalką? Tą...?

- Żoną na gębę. Kochała go, więc się znów zesłi. Tyle że ona chorzała. Ponoć serce jej nadłamał niewiernością.

- Po co ją przywiózł? - zainteresowała się Lenda. - Następną niewiastę chciał w tym samym miejscu krzywdzić? W nawyk mu weszło?

- Bez złośliwości, moja panno. Przywiózł, bo wszędzie woził. Mówi się, że czar na niego rzuciła, a inni powiadają, że sieci... w ciążę zachodząc. Prawdy nie docieczemy, ale pozostaje faktem, że do końca życia ją przy sobie trzymał. Jej życia, konkretnie. Wkrótce potem zmarła, od owego nadłamanego z winy Ledoszki serca.

- Ledoszki?! Toż jej Ledoszka na oczy...!

- Moje panie - wtrącił się Debren. - Nie jesteśmy tu, by spory historyczne rozstrzygać albo, co gorsza, moralne. Konkreatów się trzymajmy. Rzeczy namacalnych. Czarów, magii i klątw.

- Słusznie - zgodziła się Petunka. - Z konkreatów tom nie dopowiedziała jeszcze, że się tutaj, tuż przed królewiczem, belnicki podjazd zjawił. Pieszy podjazd: tuzin chłopów z rotą rozpoznawczej, więc niemal specjalnej. Same tęgie rębajły, krótko mówiąc. Dali się zaskoczyć nadciągającym Morvacom, w panikę jednak nie wpadli, tylko do kurnika. Zagarnąwszy uprzednio kołyskę z córką Petuneli. Niby nikt nikomu niczym nie groził, ale co sobie matka pomyślała, to chyba oczywiste.

Rzucone w kierunku Lendy wyzywające spojrzenie pozostało bez odzewu. Dziewczyna głaskała łeb papugi, unikając krzyżowania wzroku. Wyglądała na przybitą. Do tego stopnia, że Debren złamał własną zasadę.

- Gdzie stała kołyska? - zapytał rzeczowo.

- Kołyska? No... pod drzewem, jak to kołyska. A co to ma do rzeczy?

- Istnieje możliwość, że na linii głównego ostrzału się znalazła. Roty zwiadowcze rąbią tego, prawda, ale ich główna broń to łuki. W tych są szczególnie mocne. A jak się w

budynku Belniczanie zabarykadowali, to już do gęstego szycia z luków obowiązkowo musiało dojść. Jak znam życie, atakujący też by nie sterczeli jak kołki, jeno zza osłon szyli. A i kołyska niezgorszą osłonę daje. Więc nie broniąc w ciemno honoru zwiadowców, równie w ciemno bym ich nie potępiał. Istnieje możliwość, że któremuś żal się maleństwa zrobiło.

Jemu samemu zrobiło się gorąco. Od zaskoczonego spojrzenia Lendy. Było... było takie jakieś...

- Może tak być - wsparł go nieoczekiwanie Zbrhl. - W rozpoznaniu najlepsze wojaki służą, z trzeźwą głową. Które wiedzą, że jak można, to lepiej przed walką cywilów przegonić, a zwłaszcza baby i dzieciarnię. Bo zamęt jeno czynią i do większego zużycia amunicji się przyczyniają.

- Łajno mnie obchodzi, co sobie te belnickie zbóje myślały - rzuciła gniewnie Petunka. - Ważne, że się Petunela na śmierć wystraszyła. I słowa nie rzekła, gdy karetą królewicza zaraz potem na podwórze wjechała. Stoi blada, na pół przytomna, kolana jej dygocą, a tu z karety Pretokar wyskakuje i od razu do niej z pyskiem. „Dziesięć krzywd - wyrzaskuje - tum doznał, niewiasto przewrotna! Za jedną łeb dają i wielmoża, a ty, prostaczka, dziesięciu jesteś współwinna! Jej dziękuj, że cię tym oto mieczem na miejscu z całym rodem nie zbigosuję!” I tu wskazuje na karetę. Mieczem wskazuje, bo go poniosło. Z karety całą scenę rusałka oglądała. A z kurnika Belniczanie. No i jak klinga błysnęła, to któryś nie zdzierzył i strzałę posłał. Myślał pewnie, że Pretokar rozkaz do szturmowania daje.

- Może to być - pokiwał głową Zbrhl. - Belniczany miękkie są, nawet te ze specoddziałów. Nerwy ich łatwo ponoszą. Jak mój dziadunio kiedyś w służbie Ammy Połowczanki przeciw demokratom stawał, to go właśnie przez tę nerwowość belnicy feudalisci w czoło postrzelili. I to, cholera, z kuszy. W zasadzce stali, przy drodze, na demuchów czekając. Ale demuchy, jak to one, dyskutować z rana zaczęły miast w

pochód ruszyć, no i się zasadzkowicze nerwowo wypalili. Więc dziadunio podskoczył za zakręt traktu, by sprawdzić, czy tamci nie idą. A jak wracał, to go, kretyni, swoi znaczy, feudałści, wzięli i ostrzelali. Dobrze, że hełm miał mocny i jeno go ów bełt zgłuszył. Ale i tak nieszczęście się stało, bo na parę pacierzy omdlał, a kiedy się ocknął i wstał, to go strzała w zadek ugodziła. Demokratyczna. Bo się w końcu hołota pojawiła.

- Amma Połowczanka? Matka Gwadryka Palisady, pana na Belnicy? Ta, co rekord dynastii pobiła, syna w jedenastym roku życia rodząc? Pogratulować, Zbrhl. Pięknie sobie twoi przodkowie mocodawców dobierali!

- A żebyś wiedziała, że pogratulować. Bo Kusy zginął, wojnę domową podsycając, czyli w gruncie rzeczy interesowi morvackiemu służąc. A dziadunio jeszcze zaszczytniej poległ, bo zwalczając ową siną zarazę, która ład naturalny usiłowała obalić. Demokrację znaczy. Nic to, że akurat Ammę mieczem wspierał. Ważne, w jakiej sprawie to czynił. A sprawa była najświętsza ze świętych, może nawet od gromienia temmozan ważniejsza. Trza było odłożyć na bok dawne swary, gdy widmo demokracji przez Viplan pełzło.

- To i dziadunio poległ? - spytała ze współczuciem Lenda.

- Ano poległ. I nie wiadomo, czy nie nadaremnie. Bo ową zasadzkę, musicie wiedzieć, feudałści poczynili, by cnoty swej małoletniej pani bronić. Ammy znaczy, którą wtenczas wszyscy Amulą albo i Amcią wołali, bo smarkata jeszcze była okrutnie. W Belnicy demokracja za mocno nie stała, feudałów nie pościnalo jak tych w Sovro, ale internowani po co mniejszych zameczkach siedzieli i jeno wypatrywali, czy kat nie jedzie. Jak Amma dziesięć lat skończyła, to i ją na listę niebezpiecznych wrogów demokracji wciągnięto i się wieść rozeszła, że demuchy zamierzają dziewczusce jakowys paskudny numer wykręcić. Nie, żeby życia pozbawić; raczej na odwrót.

- Aha - mruknęła Petunka. - Rozumiemy.

- No to zawrzało pośród rycerstwa i co świątlejszych poddanych. Bo się ród chwilowo na Amci kończył i jakby jej łono te niebieskie lotry splugawiły, to już by się dynastia nie podźwignęła. Więc patrioci oddział leśny sformowali, w którym i mój dziadunio służył, a który miał wokół dworu panienki krążyć i w razie czego na gwałcicieli demokratycznych uderzyć. - Zbrhl westchnął, napełnił kufel, by zmyć krzepkoszem smak goryczy. - Zasadzka nie wyszła, jak już wspomniałem, bo demokraci dziadka spostrzegli, łuki pozdejmowali i gdy się na samych zasadzkowiczów natknęli, to już gotowi, rozochoceni polowaniem.

- To upolowali go?

- Jeszcze nie tam. Dopiero pod dworem legł. Z kilkoma niedobitkami ucieczkę Ammy osłaniał. Czy skutecznie, tego nikt nie wie, bo obie strony sprzecznie relacjonują. Feudaliści, że panienka pod boską opieką cała w las uszła, a demokraci, że ją przedtem reprezentanci ludu dorwali i panieństwa pozbawili. Jak było, trudno orzec. Faktem jest, że w parę dni później szybko ją za mąż wydano, a po dziewięciu miesiącach powiła Gwadryka.

- Za co niech ją Bóg pokarze - dopowiedziała Petunka. - A do Pretokara wracając: potyczka rozgorzała, w której królewicz i rusalka tylko dlatego życia nie stracili, że karoca była solidna. Bo zaskoczenie było wielkie. Belniczanie z kurnika wypadli i niemal całą świtę królewicza z podwórza pognali. Rycerzy mało w niej było, głównie czeladź Mesztorhazego i woźnice, więc do końca nie było wiadomo, kto weźmie górę. Pretokar musiał się w karocy zabarykadować, a na wozie z tyłu zwiadowca jeden cepem małego smoka mu zatłukł, którego królewicz w związku z klątwą tu przywiózł. Bo najpierw smoka mieli w planach jako kuratora dla nas. Dwugłowego ponoć. No, ale smok zginął młodo i tragicznie, więc na gryfa padło.

- Pecha miałyście - powiedział Debren współczującym tonem. - Smok gnębiący niewiasty to prawdziwa gratka dla błędnych rycerzy, a i niejeden szewc czy kaletnik się skusi. Już dawno by was wyzwolono, Ale gryfa w herbie wiele możliwych rodów posiada. W dodatku to latawiec całoroczny, nie to co smok, który zimą i nocą ledwie co dłuższe skoki czyni. Ciężko z kopią na takiego polować. Tedy nie jest w modzie zabijanie gryfów. Futra też ponoć marne.

- Dzięki - rzuciła mało wdzięcznym tonem Lenda. - Właśnie żeś Petunce kompleks antybelnicki pogłębił.

- Pretokara uratował Mesztorhazy - podjęła oberżystka, nie komentując żadnej z uwag. - Ciskając z dachu pioruny i antałek czarodziejskiego mazidla.

- Z dachu? - zainteresował się Debren. - Wylewitował?

- Wlazł po drabinie. Zaraz jak tylko poczet na podwórze wjechał. Z asystentem, który za nim antałek dźwigał. Petunela sobie potem w brodę pluła, że drabinę pod ścianą zostawiła, bo gdyby nie ona, toby się akurat łajdak znalazł w środku rąbaniny i jak nic poległ. Wdzięczny cel stanowił: czapa wielgachna, stożkowa, cały granatowy w gwiazdy, a broda siwa i aż do pasa. No, ale jak na dachu siedział, to nie było jak i kiedy go usiec. I tak Belniczanie potyczkę przegrali.

- Zaraz - zmarszczył czoło. - Czy dobrze rozumiem? Karoca ze wściekłym królewiczem ledwie co wpada na podwórze, Pretokar raz dwa mieczem zaczyna wywijać, Belniczanie wypadają i wszystko co żywe bigosują, ze smokiem na czele, a Mesztorhazy, starzec siwobrody, już na dachu? To by znaczyło, że wprost z kulbaki skoczył ku drabinie. Inaczej żadną miarą by nie zdążył..

- Ano... prawda. - Petunka, nie bardzo przejęta, wzruszyła ramionami. - Cóż dziwnego? Czarodziej był. Pewnie przewidział, co się szykuje. W kulę zerknął czy fusy...

- Nie, to nie to - mruknął magun. - Nie to. Gdyby coś podejrzewał, królewicza by ostrzegł. Petunko, co to był za



antałek? Ten, którym cisnął?

- Antałek był zwykły, tyle że mały. Ale okrutnie ciężki. Temu Belniczaninowi, co nim w łeb dostał, ponoć zuchwę z płuc wyciągali. Całkiem jakby ołów w środku, a nie płyn. Choć właśnie płyn beczułka zawierała. Wiem, bo pękła i się to dziwo wylało, zaraz w ziemię wsiąkając.

- Zachował się opis? Jak wyglądało? Choć z grubsza.

- Z grubsza - wskazała palcem - to tak jak portki Yeżyna. Owa plama, konkretnie. Za którą Yeżyna poważna rozmowa czeka, bo się cholerstwo nijak sprać nie chce i sto razy mówiłam durniowi, by uważał, po poddaszu łażąc.

Oberżysta skurczył się, zmałał. Chyba nawet nie zauważył, jak czarodziej podrywa się zza stołu, klęka przy nim, wodzi palcami po brudnej nogawce.

- Mesztorhazy - ciągnęła opowieść Petunka - był zły z powodu owej beczuлки, ale też uspokoił królewicza, zapewniając, że sobie poradzi. Trzy dni tak sobie radził, a w tym czasie Petunela z dzieckiem i czeladzią w chlewie pod strażą siedziała. A na czwarty dzień Pretokar kazał ją przyprowadzić przed swoje oblicze i swą wolę obwieścić.

- Chwileczkę. - Debren uniósł się, obwąchując odrobinę nabranego na palce mazidla. - Jak rozumiem, teraz będzie najważniejsze. Lenda, spisuj treść klątwy.

Dziewczyna pakużyła za stół, zamoczyła pióro w kałamarzu, na próbę pociągnęła zygzak po rogu kartki.

- Urrroczy charrakter skrrrobania - wyraził swą opinię lądujący na blacie Drop. - Zrrręczna rrrączka.

- Nie podlizuj się - pacnęła go po dziobie miękkim końcem pióra. - To co mam pisać? Zaznaczam z góry, że papieru mamy mało.

- Pisz w punktach. Petunko, co królewicz powiedział?

- Z grubsza to, co po wyskoku z karocy. Wyliczył krzywdy, których doznał z winy Ledoszki, a w które, jego zdaniem, i Petunela była zamieszana, jako że do owego nieszczęsnego

zjazdu narzeczeńskiego bezpośrednio się przyczyniła. Zaczął od tego, że z konia zleciał i nogę...

- A to gnojek! - nie wytrzymała Lenda. - Że niezdara, to też wina Ledoszki?! I to jej przypisał?!

- Cicho - rzucił Debren. - Pisz: Punkt pierwszy. Noga. Lenda zapisała, choć z nadąsaną miną.

- Drugi zarzut - Petunka zaczęła mówić wolniej, by ułatwić notowanie - był taki, że go upokorzył wróg śmiertelny, od własnych rodaków ratując. - Lenda, kręcąc głową, dopisała: „Ratowanie przez wroga”. - Trzeci zarzut sokoła dotyczył, a konkretnie opaskudzenia z powietrza zbawcy i królewiczowskiego przyjaciela. Co srodze Pretokara zabolalo, bo nieba by gotów owemu szlachetnemu rycerzowi przychylić, a nie z nieba na łeb fekalia ściągać.

- Mówimy o wrogu śmiertelnym z paragrafu drugiego?

- Masz pisać - przypomniał Debren - nie komentować. Punkt czwarty brzmi...?

- Głowa o nadproże rozbita - podyktowała Petunka. - Wiem, co Lenda powie.

- Ale że inni nie wiedzą - wymruczała skrobiąca po papierze Lenda - to mimo wszystko się refleksją podzielę. Moim, naiwnym może zdaniem, za guzy gości słusznie gospodarze odpowiadają.

- Piąty zarzut dotyczył biegania goło dookoła domu - oznajmiła spokojnie Petunka.

- Goło... wokół... domu. - Lenda uniosła parę dużych, niebieskich, bardzo niewinnych w tej chwili oczu, zamrugła z miną godną poczciwca Yeżyna. - Zarzut dotyczy...?

- Lenda... - jęknął czarodziej. Na szczęście oberżystka nie dała się wciągnąć w spór.

- Ledoszki - wyjaśniła z uprzejmym uśmiechem - jako bezpośredniej sprawczyni. Zapisałaś? To zanotuj paragraf szósty: konieczność publicznego występowania w stroju płci przeciwnej przynależnym, w dodatku podłym gatunkowo i

śmierdzącym jak cholera. Żeby nie ta historia z włosami, toby Pretokar nigdy na tron nie usiadł, bo żaden naród nie ścierpi władcy, co się w babskie fatalaszki skrycie przebiera. No, ale że wyłysiał i się nijak ze zniewieściałością nie kojarzył, nikt mu uwag w tym względzie nie czynił. Więc i on nie dorzucił oskarżenia do listy. Choć mógł. Mennica kupę monet z mocno kudłatym Pretokarem wybiła i kiedy mu włosy wypadły, trzeba było bilon na koszt państwa przekuwać.

- Numer siedem? - przynaglił Debren, stojący przy ścianie i opukujący ją łyżką.

- No, ten jest z grubej rury - ostrzegła Petunka. - Brak cnotliwości u wybranki, rozwianie złudzeń, może i naiwnych, ale przecież nie nierealnych, że się pierwszym będzie, najważniejszym, tym na całe życie. Puszczalski charakter niedoszłej partnerki życiowej. Jej rozwiązłość seksualna. I, na koniec, jej głupie bredzenie o uniesieniu, którego jakoby na łaziebnej ławce doznała.

- Bredzenie? - Debren źle puknął w belkę, wypuścił łyżkę. Próbując złapać w locie, posłał ją długim łukiem za szynkwias. Czerwony ze zmieszania, zaklął pod nosem. - Dżuma i syfilis, guma temmozańska, nie jodła... O jakim uniesieniu mówisz?

Petunka nie zdążyła odpowiedzieć, choć Lenda mówiła cicho, powoli, nie próbując z nikim ścigać się na słowa:

*I gdym tak leżała, bezbronna, na wznak, o udo Twe głową oparta, Tyś berłem mnie przeszył i było mi tak, że chwila ta życia jest warta, co w wieży kamiennej się sączy jak pył w klepsydry zamokłej gardzieli.*

*Boś moim przez chwilę przecudną tę był, nim los nas okrutny rozdzielił.*

Coś stuknęło o deski podłogi. Druga łyżka. W misce pozostały jeszcze trzy, ale Debren nie próbował już po nie sięgać. Nie utrzymałby żadnej. Stał pod ścianą, stał, bo była obok, bo mógł się oprzeć. Patrzył na Lendę, w jej niewidzące oczy, które były trochę niebieskie, trochę zielone, ze złotymi

plamkami, ale które teraz, nie wiadomo dlaczego, na krótką chwilę załśniły purpurą rozmytą w bieli. Barwami łaźni. I rozkoszy.

- Oj - westchnął Yeżyn. - Jakowy cudny poemat.

Lenda posłała mu cień uśmiechu. Bardzo smętnego i najpiękniejszego, jaki Debren oglądał. A potem, jeszcze ciszej niż uprzednio, dokończyła:

*Więc para, gdy syczy i drew mokry blask przez rzęs się  
kurtynę przelewa, wspomnienie powraca, i słodki ów czas, i  
serce przez łzy znów mi śpiewa.*

Było cicho. Nikomu nic więcej nie leciało z rąk, ale Debren miał dość przytomności umysłu, by zauważyć, że melodyjny, chrapliwy i miękki zarazem głos dziewczyny zaczarował obecnych, sprawił, iż zastygli z oczyma utkwionymi w jej smutnej twarzy. Że Zbrhl nie oblał piwem żołnierskiego buciora jedynie dlatego, że zdążył osuszyć kufel nieco wcześniej. Że Petunka musiała szybko podnieść rękę i ratować mankietem zagrożony makijaż. Że Yeżyn rozdziawił gębę, a papuga dziób.

Nie umiał powiedzieć, dlaczego. I jak powinno się rozdzielić zasługi między tę, która pisała, a tę, która wylaża ze skorupy pyskatej najemniczki i wydeklamowała utwór.

- Dla... - Petunka przełknęła ślinę. - Dlaczego powiedziałaś ten wiersz?

- Dlaczego? - Lenda patrzyła w dół, choć nic nie wskazywało, by dostrzegała leżącą przed nią kartkę czy choćby stół. - No właśnie... Co to kogo obchodzi?

- Psiakrew - Zbrhl poderwał się z ławy, podszedł do niej, sięgnął ponad stołem. Wielkie łapsko przywarło do czoła dziewczyny. - Wiedziałem. Masz gorączkę, kozo.

Cofnęła głowę. Dziwnie powoli jak na nią i morwacką dłoń na czole. Albo, poprawił się Debren, w ogóle dłoń. Czyjakolwiek. Była niczym słabo oswojone zwierzątko. Nie lubiła, gdy jej dotykano. Nie powiedziała mu tego, a znali się

za krótko, by zdążył ją na tej niechęci przyłapać - ale wiedział. Był blisko niej, patrzył i w pewnym momencie kolejna cząstka prawdy o Lendzie Branggo po prostu pojawiała się w jego umyśle.

- Nic mi nie jest - powiedziała już prawie własnym, lekko naburmuszonym i lekko zaczepnym, choć jeszcze miękkim głosem. - Zdrowie tom zawsze miała, jak to się mówi, żelazne.

- Idź, prześpij się - nie ustępował Zbrhl. - Nie jesteś nam potrzebna.

- A komu jestem? - parsknęła czymś, co tylko na pozór było podobne do śmiechu.

- Zapytałam cię o coś - przypomniała Petunka. Lenda zerknęła na nią z ukosa, zawahała się.

- O wiersz - wzruszyła ramionami. - Łajno mnie to obchodzi, ciebie pewnie też, ale skoro pytasz... Jest w zamku belnickim, książęcym, stara wieża, jeszcze z lelońskich czasów. Paniucha o niej mówią, choć oficjalnie nazywa się Baszta Trzech Mądrości. To stąd, że pierwszy książę cały swój księgozbiór w niej zgromadził, a miał go trzy tomy, w tym jeden wyłącznie obrazkowy. Potem biblioteka się rozrosła, ale nie z biblioteki baszta słynie, a z tego, że w niej krnąbrne i kłopotliwe niewiasty z książęcego rodu zamykają. Wieża jest kamienna, zimna i wilgotna jak cholera. Ponoć dlatego, że na skraju bagienka stoi, już za głównym obrysem murów, z którymi jeno wąski pomost ją łączy. Lokalny mikroklimat sprawia, że lokatorki za długo w niej nie goszczą. Albo do łask wracają, albo... - wskazała palcem do góry.

- Nie widzę związku z wierszem - zauważyła Petunka.

- Ledoszka właśnie tam trafiła, gdy jej plany małżeńskie wzięły w łeb. Młoda była, silna, więc sama wyszła, a nie wyniesiona nogami do przodu, ale co odsiedziała, to jej. A parę lat jej tam zeszło.

- Wtrącili ją do wieży?

- Coś taki zdziwiony, Debren? Że kurwę i oszustkę, co się

przed trzynastymi urodzinami puszcza czort wie z kim, pod ścisły nadzór oddano? To chyba normalne. Zwłaszcza jak jej ambitna mamusia wojnę z bratem przegrała i w ramach pokuty musiała wyrodną córkę publicznie obsmarować. Co zresztą dość chętnie uczyniła. Nie lubiły się zanadto, ale to już inna historia.

- A ta jest ta sama? - upewniła się Petunka. - O wierszu? Co ma wspólnego owa liryka z rozwiązłą, zepsutą do szpiku kości dziewczuchą, którą własna rodzina w wieży musiała trzymać, by się jak suka nie parzyła?

- Przy tak postawionym pytaniu - uśmiechnęła się nawet dość pogodnie Lenda - zaiste nic. Tyle rzec chciałam, że to Ledoszka wiersz napisała. Na ścianie baszty Paniuchy, bo jej papieru nie dawali, by listów ukochanemu nie próbowała słać. Zastruganą trzcina, bo na barłogu z sitowia sypiała. A że własną krwią, to już nie wiem dlaczego: bo kretynka była i nie słyszała, że z sadzy można inkaust zrobić, czy dlatego, że romantyczka. W każdym razie napis całkiem niezłe te dwa wieki przetrwał.

Znów udało jej się zrobić wrażenie na pozostałych. Debren z zainteresowaniem śledził gwałtowną zmianę kolorystyki twarzy Petunki. Złotowłosa to bladła, to czerwieniała, wpatrując się w dziewczynę nieruchomym spojrzeniem. Zbrhl z niedowierzaniem kręcił głową. Yeżyn marszczył brwi, głowiąc się nad jakimś skomplikowanym problemem. Ale najdziwniej zachował się Drop.

- Rrredoszka dobrrrra i prrrawdomówna - zaskrzeczał. - Ofiarrra wyobrrrraźni. Okrrrutnie w Prrretokarze rrozmiłowana. Wirrrtualnie rrozprrrawiczona. Urrroczna wierrrszokletka.

I tak oto, pomyślał Debren, Lenda straciła monopol na wyczarowywanie opadających szczęk.

- Że co?! - Zbrhl przykucnął przy stole, z bliska zajrzał papudze w ślepie. - Że jak?!

- Kto mu dał piwa? - próbowała się roześmiać Petunka. Nie wyszło jej. - Bredzi, nieszczęśnik. - Dała sobie spokój z uśmiechem i prawie wrogo rzuciła: - Lenda, to twoja robota? Wytresowałaś papugę, by takie bzdury wygadywał?

- Nie. - Lenda sama wyglądała dokładnie tak, jak pytająca; marszczyła czoło, w jej oczach czaiła się niepewność i podejrzliwość. - Drop? Co miały znaczyć twe słowa?

Ujęła ptaka w dłonie, ustawiła dziobem do siebie, ale i wówczas nie cofnęła rąk. Ani nie zmniejszyła nacisku. Debren widział, jak głęboko pod pióra wbite są końce jej palców, i zastanawiał się, czy Drop jest wystarczająco duży i cierpliwy, by nie skwitować takiego zgniatania celnym ciosem dzioba.

- Dygrrrresja - rzucił spokojnie przedstawiciel Dużych Rozumnych Papug. I dodał: - Rrenda, grrrruchoczesz zebrrrra. Prroszę.

Zmniejszyła ucisk. Wyglądała na zdeorientowaną.

- Jemu nie można wierzyć - wymruczała Petunka. - Sam się z Belnicy wywodzi, to i obiektywizmu w nim nie ma za grosz.

- Jesteś z Belnicy? - W oczach Lendy rozbłysnął na chwilę dziwny płomyk.

- Prrraszczurrry. Drrrop urrrrodzony w Morrrvacu.

- Pretokar - wyjaśniła oberżystka - przydał Domorcowi jego przodka do towarzystwa, po prawdzie to chyba w cichej nadziei, iż ten gryfa szczerą niechęcią napelni do wszystkiego, co belnickie. Bo z papugi pyskacz był i fanatyk. Kiedy stosunki międzypaństwowe zrobiły się napięte, ten głupi gówniarz, Jarowid, wysłał do Prawią poselstwo z wypowiedzeniem wojny. Ale że kazał ją w mało dyplomatycznych słowach wypowiadać, chętnych na posłów brakło. Bo już za połowę użytych wyrażen każdy poseł pod topór by trafił, a każdy arbitraż przyznałby rację stronie morvackiej. Więc pojechał papuga. Łba mu nie ucieli, bo nikt nie wiedział, jak ów problem od strony prawnej ugryźć, a i śmiesznością się nie okryć. No a potem trzymany w klatce papuga skumał się z

trzymanym w sąsiedniej gryfem i Pretokarowi podpowiedziano, by Dropa do grona kuratorów klątwy dopisać.

- Rrozumnie - skomentował potomek pośła.

- Owszem - przyznała bez zapału Petunka. - Pretokar ten efekt uzyskał, że przestano klątwę wiązać z polityką i animozjami morvacko-belnickimi. No bo kuratela, formalnie, obustronna. Więc choć wojen przez te lata było niemało, nikt nas tu nigdy nie próbował wyzwalać z pobudek politycznych. Raczej na odwrót. Gryf, czy to z poczucia misji, czy zwyczajnie, na towarzysza zbyt pyskatego poirytowany, nie tylko kupców na szlaku książęcym tępił, ale i belnickich zbójów, co się na kupców zasadzali. A w wojenny czas to i podjazdom nie popuścił. O co nas, ma się rozumieć, obwiniają w Belnicy.

- Drogie panie - Zbrhl wskazał ustawioną przy szynkwacie klepsydrę. - Czas ucieka. Imć Drop słusznie zauważył, że jego słowa dygresję stanowiły. Wiersz, którym nas koza uraczyła, takóž, nawiasem mówiąc. Rozumiem, że co niektórzy w innym świetle nagle postać księżniczki Ledoszki ujrzeli, co to ją po dziś dzień Chędożką przezywają, ale dla Debrena chyba nie jest ważne, która z szanownych dam ma więcej racji.

Debren bez zapału kiwnął głową. Intrygował go problem niefortunnej księżniczki, ale prywatnie.

Reakcja Lendy była jeszcze bardziej intrygująca.

- Wygląda na to - spojrzała Petunce w oczy - że to ty masz więcej. No cóž, nie znałam sprawy w szczegółach.

- Mam rację? - upewniła się zaskoczona oberżystka. - Co do Ledoszki? Niby że... święta nie była?

- Czytywałam ten wiersz w dzieciństwie - powiedziała Lenda oficjalnym, pełnym dystansu tonem. - Wywarł na mnie duże wrażenie. Bo też od strony literackiej... Ale teraz widzę, że gówniara po prostu zełgała. Z historii Pretokara i waszego rodu jasno wynika, że królewicz czuł się mocno wystawiony



do wiatru. Czyli, że jej w łaźni nie ruszył. A wiersz wyraźnie łaźni dotyczy.

- Lenda... - Debren zaczął i ugryzł się w język.

- Skończyliśmy na siódmym zarzucie - przypomniała, nie patrząc na kartkę. - Czyli zostały jeszcze trzy.

Petunka potrzebowała trochę czasu, by przeskoczyć od liryki do jurystycznego żargonu.

- Paragraf ósmy... zaraz... aha. Po ósme Pretokar zarzucił, że dla niecnoty Ledoszki tu, w „Cnotce” miłość życia podeptał. Tę jedyną, prawdziwą, co się w trumnie kończy.

- Zapisałam. Myślał, oczywiście, o rusałce?

- O rusałce. Punkt dziewiąty: płacz w miejscu publicznym i przy gapiach. Pierwszy w życiu. Ponoć nawet jako dziecko nie płakał, w każdym razie nie przy ludziach. A tu łyzy jak groch, histeria. U kandydata na króla.

- Mam. I dziesiąte?

- To nawet dokładnie zacytuję, bo zarzut szczególnie Petunelę ubódł i w pamięć jej zapadł. Królewicz rzekł, że listę krzywd zamyka napad: „Tego, co w kurniku chowaliście i co omal mnie nie ubiło. Oraz jedynej, którą miłowałem, miłuję i miłował będę”. Paragraf ważny, bo nim uzasadniał posadzenie nam na karku Domorca. Że niby też z kurnika wylazł, jak owi zwiadowcy.

- Hipokryzja - ocenił Debren. - Ale zręczna. No to argumenty mamy załatwione. Teraz wyrok.

- Wyrok - westchnęła. - Cóż, ten już zawodowy jurysta spisał, więc oczywiście do cytowania się nie nadaje, bo bełkot okrutny. W uproszczeniu o to idzie, że się za karę trakt zamyka, dalej, dla odróżnienia, książęcym ochrzczone, zaś otwiera, na koszt Pretokara i Korony Morvackiej, nowy gościniec. By podróżni, a tym samym zyski, omijali wyklętą za swe grzechy oberżę „U Petuneli”. I że kara ma trwać długo, kolejne pokolenia obejmując, ze szczególnym uwzględnieniem niewieściej części, zaś właścicielkom wyżej

wspomnianej oberży nie wolno ani jej sprzedać, ani porzucić i mają tu siedzieć na rzyci i cierpieć cierpliwie, póki Bóg się nad nimi nie zlituje i klątwa nie zostanie zdjęta.

- I pewnie zapomnieli powiedzieć, jak zdejmować - splunął na podłogę Zbrhl. - Jak znam jurystów, tego akurat zapomnieli, papugi chędożeni. Bez urazy, Drop.

- A owszem. Ten, co sentencję czytał, kręcił, że małymi runami to dopisano, a jemu oczy słabują. Ale Mesztorhazy, choć łajdak, Petunelę wziął na stronę i wyjaśnił, co zrobić, by się od zaklęcia uwolnić. Inna rzecz, że nie wiadomo, czy dla większego zadania bólu tego nie uczynił. Bo warunki, cholera, to takie postawili, że świat się skończy, Bóg zdąży zapomnieć, że jakieś sądownie ostateczne odprawiał, a my tu dalej cudu będziemy wyglądać.

- Tak źle nie będzie - pocieszył ją Debren, podchodząc do słupa, obejmując go ramionami i przyciskając głowę do drewna. - Trwałość białej magii, która z reguły wyzwala klątwy stanowi, nie przekracza pięciuset lat.

- Dzięki - posłała mu kwaśny uśmiech. - Pozwolisz, że te niosące otuchę zapewnienia zanotuję i prawnuczce polecę przekazać? Lenda, nie musisz pióra oddawać. W kamieniu tekst wyryję. Trzy wieki to sporo jak dla papieru.

- Pięćset to górna granica - wymruczał. Stał przytulony do słupa i wsłuchiwał się w odgłosy domu. Nie w te, które czynili zamieszkujący go ludzie, gryzonie lub korniki. W te drugie. Prawdziwe.

- Lenda siedzi tam - zarechotał po chwili rotmistrz. - To co ściskasz, też szorstkie i pod powalę sięgające, ale ciche, skromne i miłe. Nie wiem, jak się można tak omylić.

- Gburr - skomentował Drop.

- Dudkaj się - zaproponowała dziewczyna. - Debren, mamy wyjść? Czarujesz, tak?

- Już skończyłem. - Cofnął się. - Co było potem?

- Najpierw prawdziwa masakra - westchnęła Petunka. -

Mularze most musieli postawić, wojsko drogę przez puszcę cięło, ale wolno, bo wojna trwała. Więc siła podróżnych na starym, ale póki co jedynym trakcie legła. Trudno powiedzieć, ilu gryf pomordował, a ilu belnickie podjazdy, bo się nawzajem pod siebie podszywali. Fakt, że przez następne pół wieku wozy jeno konwojami chadzały, a jak kto na stronę szedł, musiał uważać, by jakiegoś kościotrupa nie obsikać.

- Ruch zmarł? W oberży, pytam.

- Ciut mniej niż na drodze. Bo oba szlaki na nasze szczęście międzynarodowe. Sporo obcych zawsze nimi jeździło, a ci są zwykle niedoinformowani. Więc po staremu podróżowali, na rozstajach ku wschodowi skręcając. Trafiali tu i dopiero w „Cnotce” się dowiadawali o gryfie. Niektórym nie chciało się zawracać i ci, jeśli rozsądniejsi, nocowali w oberży. Inni, zawracający na królewską drogę, też czasem nocowali. Albo przynajmniej coś zjedli. Więc nie było nigdy tak, by całkiem ruch się urwał. Zwłaszcza że Domorzec w końcu zauważył, jak mało brakuje, byśmy z głodu pomarli. I zaczął napadać wybiórczo. Prawie jak sławny zbój Yenoszczyk, co to jeno bogatych łupi. Domorzec też na chudopachołków przestał zwracać uwagę. Tyle że na takich i oberża nie zarobi. A już całkiem marnie to się robi podczas wojen z Belnicą. Bo szlak królewski dalej od granicy biegnie, co bezpieczeństwo zwiększa. Zwłaszcza że o szlaku wiadomo, iż go gryf napadami nie nęka.

- Nas napadł - przypomniał Zbrhl.

- I właśnie dlatego za kościelnych was wzięłam. Bo jak już gryf kogoś poza książęcym szlakiem zaatakuje, to wyłącznie z myślą o uchronieniu kłatwy. Za demokracji, przykładowo, jednego rycerza przed rozstajami Domorzec zadziobał, którego się rozmiłował w ówczesnej właścicielce „Cnotki” i nie bacząc na mezalians, chciał ją poślubić i do siebie, na zamek wywieźć. Rycerz, rozsądny widać, z silnym pocztym jechał, więc go gryf jeszcze przed swoim tradycyjnym terenem

łowieckim napadł, z zaskoczenia. Czasem też większe siły tam atakował, bo ku południowi, w kierunku Rumperki i Ołomucia, skąd czy to biskupy, czy kupce najemników ślą, teren jest bardziej odkryty, lasów mniej i bombardowanie kamieniami lepsze efekty daje. Gryfy nie są głupie.

- Taktyki, znaczy się - mruknął z uznaniem Zbrhl. - No, ale tym razem z rozpoznaniem coś paskudnik pokręcił. Bo my nijakiego zagrożenia dla jego misji nie stanowiliśmy. Nie z braku chęci - zapewnił, spoglądając oberżystce w oczy. - Ale żadne z nas o „Cnotce” w ogóle nie słyszało. Nie byłoby nas tu, gdyby Debrenowi koń w tę stronę nie uciekł. Prawdę mówiąc i wtedy wahaliśmy się, czy z traktu zjeżdżać. Ktoś wam, muszę powiedzieć, cholerną antyreklamę na rozstajach robi. Jest tam taki drogowskaz, ewidentnie po piracku do przepisowego podczepiony, na którym jakowyś partacz wyskrobał mało czytelnie, że z owej drogi się nie wraca. Albo się na niej wywraca. Względnie, że na podróżnego zwracają. Cokolwiek miał na myśli, zachęty nie czynił. Kto wie, może to gryfa robota?

- Yeżyna - stwierdziła krótko i stanowczo Petunka. Jej mąż omal nie zleciał z ławy. Nagle zrobił się bardzo czerwony i mocno przestraszony. - A z drogi się zawraca.

- Wie... wiedziałaś? - wykrztusił. - Jakim cudem...?

- Nie cudem, a dedukcją, mój drogi. Czyli myśleniem. Gdy cię ktoś umazany farbą pyta któregoś dnia ze sprytną miną, jak się pisze słowo: „droga”, następnego interesuje się słowem: „której”, a trzeciego rozpoczyna długą i mętłą dysputę na temat różnic między zawracaniem a cofaniem, zagadując o pisownię obu zwrotów i który, moim zdaniem, bardziej zniechęcająco by na przeciętnego podróżnego wpłynął, to chyba nietrudno się reszty domyślić.

- Nietrudno? - zdziwił się Yeżyn.

- I pozwoliłaś na to? - zmrużyła oczy Lenda. - Ty, oberżystka z babki prababki?

- Nie pozwoliłam - sprostowała Petunka. - Takowy postępek stałby w jawnej sprzeczności z moją misją. Nie jestem idiotką. Wiem doskonale, że im więcej ludzi tą drogą jedzie, tym większa szansa, że się w końcu ktoś trafi, kto klątwę zdejmie.

- I że ktoś zginie - dokończyła cicho dziewczyna. Petunka nie skomentowała. Wyjęła pilniczek, zaczęła dopieszczać i bez tego idealnie utrzymane paznokcie. Debren pomyślał, że Lenda też ma ładnie utrzymane paznokcie, tyle że trochę ją ponosi i czasem je lekko obgryza.

- Nie dokończyłaś relacji - przypomniał. - Nadal nie wiemy, jakie warunki trzeba spełnić, by zdjąć klątwę. Lenda - zwrócił się do dziewczyny - masz jeszcze miejsce?

- Obejdzie się - mruknęła Petunka. - W treści recepta jest prościutka, nic nie trzeba dopisywać. Jenó osobę.

- Osobę? - zmarszczył czoło Debren.

- Napisz, Lenda. Sposób: „Doświadczenie wszystkich nieszczęść, jakich Pretokar doświadczył i w dziesięciu paragrafach wyliczył. Osoba nieszczęść doświadczająca... - zawiesiła na chwilę głos - księżniczka ze wszech miar cnotliwa. Ze szczególnym uwzględnieniem cnotliwości właściwej, czyli pełnej dziewiczości”. Prawda, że prosta recepta?

- O, łajno i kał - szepnął Zbrhl. Debrenowi przemknęło przez myśl, że to najlepszy z możliwych komentarzy.

Z lekka porażony prawdą, podszedł do beczki, napełnił kufel krzepkoszem. Musiał się napić.

- No tak - mruknął, kiedy już otarł pianę z ust. - Teraz wiemy wszystko. A ja zaczynam rozumieć wymowę obrazu.

Oczy zebranych zwróciły się ku obrazowi. Debren podniósł rożen, podszedł do płótna.

- Mamy tu szkic okolicy. Trakt królewski, most, tu rozstaje, nawet z drogowskazem, choć jeszcze bez tabliczki Dysza... Yeżyna. Tu, za oberżą, początek przeklętego szlaku. Na oberży szyld, ten, co go Lenda naderwała. Ciekawe - podrapał się w

głowę. - Tu też łańcuch puścił, tyle że od wichury. Która, jak wnioskuję, symbolizuje zdejmowanie czaru. Przez główną postać - zbliżył czubek różna do pępka nagiej dziewczyny, po czym przeniósł spojrzenie na Petunkę. - Daruj, że o sprawy osobiste pytam, ale to może mieć znaczenie... Jak to się stało, że Rovoletto ów pejzaż namalował i całą scenę? Mówiłaś, że w konterfektach się specjalizował.

- To się od biedy pod konterfekt da podciągnąć - zauważyła Lenda. - Zwłaszcza jak mistrz bojaźliwy. Gołą babę malując, na zarzut pornografowania się naraża. Jedna z definicji sądowych głosi, że to takowe czynienie sztuki, które ma za jedyny cel niezłą sztukę ukazać, znaczy się niewiastę nagą i postawną. No, ale jak się dookoła niewiasty doda coś z mitologii illeńskiej albo na przykład Machrusika-dzieciątka czy scenę batalistyczną, to już dobry jurysta malarza wybroni. Że niby o przekazanie głębszych treści szło.

- Rovoletto nie był tchórzliwym krętaczem - oświadczyła stanowczo Petunka. - Co chciał przez swe dzieła powiedzieć, to mówił wprost. I, co najwyżej, obrazu byle komu nie pokazywał. Ten tutaj namalował, jak mi powiedział, ku pokrzepieniu serc. Z pewnych powodów natury... no, powiedzmy zdrowotnej, zatrzymał się u mnie na dłużej. A że golec był, chciał się jakoś za gościnę odwdzińczyć. Choć mu z ową golizną całkiem do twarzy... - urwała, a lekkie zmieszanie przepłoszyło z jej oczu zrodzoną chwilę wcześniej mgiełkę rozmarzenia. - To znaczy: mimo braku gotówki potrafił szyku zadać. Coś jak Debren. - Lenda odruchowo kiwnęła głową. - No i na podstawie naszych pogawędek namalował ów obraz. Mówił, że mając przed oczyma wyraźną wizję, łatwiej człek cel osiąga.

- I miał rację - mruknął Debren. - Yeżyn, ty się pewnie konserwacją dachu zajmujesz, sądząc po trudnych w praniu portkach... Powiedz: widać z dachu most?

- Most? Toć to ze trzy mile.

- Droga. W linii prostej najwyżej...

- Widać - wyręczyła męża Petunka. - Z komina przynajmniej. I kiedyś. Brat prababki, jeszcze jako otrok, wdrapał się na czubek komina. I akurat jak tam siedział, to się owa sławna bitwa rozegrała między Domorcem Starogrodzkim a Kompanią Mytniczą.

- Sławna bitwa?

- Ano sławna. Bo choć mała, to wielce prestiżowa. Kompania kłopoty wtenczas miała, proceder pobierania opłat z mostów zaczął być powszechnie krytykowany. Niektórzy to nawet o drogach zaczęli mówić, przepraszam za wyrażenie, że publiczne są. Ekonomia się zmieniła, ale się mytnicy nie mogli z tym pogodzić i chcąc zaakcentować, że w kaszę nadal lepiej im nie dmuchać, roгатkę na moście ustanowili. Pretokar na tym cały swój zamysł opierał, że królewski szlak będzie do przebycia tańszy, w rachunku ciągnionym przynajmniej, więc surowo zabronił opłaty na moście pobierać. Starczy, że Grabogórka z przejezdnych darła. Jakby i mostowe doszło, toby się co niektórym lepiej opłaciło całkiem innym szlakiem jechać, może z ominięciem Morvacu jako takiego, albo zbrojnych nająć i na chama przez gryfową dziedzinę się pchać. No, ale to było po śmierci Pretokara, a Kompania nadal miała dobre układy na dworze w Prawlu. Tedy postawili szlaban i blokhauzik zgrabny dla załogi. Półkopek zbrojnych do ochrony poborcy najęli. Czyli trudno powiedzieć, że Domorca zlekceważyli. Mytnicy zawsze potrafili rachować i jeśli się ten jeden raz przerachowali, to nie z głupoty, a dlatego, że ich postęp do muru przydusił. Prestiż, rozumiecie. No a sam gryf mądrze batalię rozegrał. Bo, wystawcie sobie, papugę do nich posłał. Ten grzecznie nad podziw wypytał szlabaniarza o stawki, zgodził się, że stawki uczciwe i firma jeszcze do interesu dopłaca, jak to w zwyczaju wielkich i porządnych firm, pożegnał się i odfrunął. I nic. Spokój przez całe niedziele. To w Kompanii rachmistrze nad

politykami wzięli górę i z półkopka knechtów się mendel zrobił. Mniej czujny oczywiście. No i wtedy, ni z tego, ni z owego, Domorzec własne zasady złamał i w biały dzień najpierw wielkim głazem w blokhauzik przypieprzył, a potem, już to kamieniami, już to walcząc wręcz, całą załogę do nogi wybił. A szlabaniarza na szlaban w pion ustawiony nadział ku przestrodze innym. Co mu, nawiasem mówiąc, popularności w kręgach kupieckich przysporzyło. No, aleś o widoczność pytał. Z opowieści pradziadowych wynika, że nalot głównie obejrzał. A z boju lądowego jeno rzeź niedobitków na Osypańcu.

- Gdzie? - Debren obejrzał się na obraz. Petunka wyjęła mu rożen z dłoni i pokazała maleńką, stromą skarpe górującą nad lewą stroną północnego przedmościa. - Aha. Tamtędy na drogę zjeżdżaliśmy. A nazwa skąd? Kośćmi mytników gryf zbocze obsypał?

- Nazwa była już wcześniej. Ponoć się owa zdradliwa skarpa na mularzy zwała, kiedy most stawiali. Z tuzin ich zginęło. Niektórzy powiadają, że za sprawą Mesztorhazego - dokończyła ponuro. - Że mu ich krew i męka potrzebne były, by budowla pewnie stała. Wiesz, jak w tych wczesnowiecznych bajaniach o ludziach, co to ich żywcem pod fundamentami zakopywano, w twierdzach zwłaszcza.

- Nie sądzę. Mesztorhazy magunem był, nie przesadnym czarodziejem, co bezmyślnie zaklęcia klepie. Na pewno wiedział, że gnijące mięso marne podłoże stanowi. Na czym, jak na czym, ale na sztuce budowlanej to się znał.

- Wiesz, boś czytał? - zapytała Lenda.

- Wiem, bo konstrukcję sondowałem - popukał w słup.

- I widziałem, czym Yeżyn portki upaprał. A i na moście co nieco zdążyłem zobaczyć, nim nas Pisklak dopadł. Nawiasem mówiąc, winien wam jestem przeprosiny. Wygląda na to, że z nadmiaru ostrożności w kłopoty was wpakowałem. Właśnie wtedy, opukując most.



- A mówiłem - przypomniał Zbrhl z lekkim wyrzutem.

- Morvackie mosty są bezpieczne i komfortowe. Gdybyście mi uwierzyli... No, ale może to i lepiej, żeś swą lelońską ambicją gryfa sprowokował. Bośmy Petunkę spotkali. I ktoś w końcu Pisklaka ubije.

Oberżystka posłała mu dziwne spojrzenie. Na pewno ciepłe. Na pewno z gatunku tych, których inni mężczyźni muszą zazdrościć. Ale też jakieś smutne.

- To nie takie proste, miśku - westchnęła.

- Jak dnia doczekamy - poparła rotmistrza Lenda - to się na podwórze wyskoczy i różdżkę odszuka. A z różdżką, przy świetle, jakoś sobie poradzimy. Uda się, że wyjeżdżamy. Henza, ma się rozumieć, zostanie, ale to się gryfowi wytłumaczy. Ranny, nie wolno ruszać, normalka. Ja na konia siądę, bo tego kulawego jakoś gryf nie utłukł, kuszę wezmę. Debren gryfowi piorunem przyłoży, jak na nas skoczy, a Zbrhl berdyszem dobije. Las dookoła, więc nawet jak od razu nam nie wyjdzie, to jest się gdzie schronić, odskoczyć. Nie mówię, że łatwo pójdzie, ale poradzimy sobie. Pisklak ranny, osłabiony.

- Osłabiona to ty jesteś - stwierdził Debren. - Umysłowo. Jeśli myślisz, że cię jak ruchomy gryfochron w kulbace będę woził. Wybij to sobie ze łba.

- Chyba nie chcesz ogona podwinąć i robić, co każe? - Nie na niego zerknęła, a na Petunkę. - I chyba mu nie wierzysz? Toż to potwór! Fanatyk! Drop, powiedz mu! O to chodzi, by nas spod dachu wywabić i wykończyć, prawda?

- Brrrak inforrrmacji - stwierdził ze smutkiem ptak.

- A ja mu tam wierzę - zaskoczył wszystkich Zbrhl. - Potwór nie potwór, ale, jak słyszę, przedni wojownik. A ci się rozumem kierują, z którego i honor chcąc nie chcąc wypływa. Bo to na wojnie rzecz ważna: opinia słownego. No, ale po prawdzie to bez znaczenia. Bo ja się, wybaczcie, nigdzie nie wybieram. Tu poczekam, aż bestii rura zmięknie. Twój plan,

Lenda, jest do rzyci. Mam lepszy.

- Tak?

- A tak. O świcie to gryf jeszcze zbyt łatwo pokonać nas może. Ale jak nas tu pooblega, jak osłabnie, to inaczej się siły rozłożą. I wtedy go dopadnę.

- Ty? My, chciałeś rzec.

- Co rzec chciałem, to rzekłem. Gryf w górach mieszka, w jaskini. Droga do niej, jak zakładam, niełatwa, a ty kulawa jesteś. Debren z kolei pacyfista; nie zabiorę go, bo jeszcze by mi na końcu gadzinę ratować zaczął.

- Chcesz iść na gryfa? - zdumiał się Debren. - W domu go atakować? Lenda, wybacz. Nie ciebie umysłowo osłabiło. To Zbrhlowi ów bełt belnicki zaszkodził.

- He, he - zaśmiał się rotmistrz. - Bełt. No właśnie.

- Chcesz Pisklaka z kuszy ustrzelić? - rzuciła niepewnie Lenda. - No, nie wiem. Szyjesz dobrze, ale sam mówiłeś, że na taką bestię jednego bełtu mało.

- Jak mi dobrze pod berdysz podlezie, to się i bez kuszy obejdzie - stwierdził chętnie Zbrhl. - Ale że młodzik próżny nie jestem, to się nie będę niepotrzebnie na hazard wystawiał. Tak, Debren - trącił słup czubkiem buciora. - Ty tu ściany łyżkami opukujesz, obrazami się wspomagasz, a ja ci powiem, że proste metody i wyszkolenie to w wojowaniu grunt. Nie mówię, że od razu rzecz zaplanowałem czy choćby szansę zauważyłem, ale w końcu zauważyłem. I tyle wam powiem, że o Pisklaku możecie już w czasie przeszłym mówić. Żywy trup z niego.

- Upiór, znaczy? - Yeżyn przeżegnał się pospiesznie.

- Co masz na myśli? - Jego żona też nie zamierzała podskakiwać z radości.

- A to, że go na moście, choć bezbronny, śmiertelnie poraził - wyjaśnił mało skromnie rotmistrz. - Konkretnie, w pysk gadzinie kapalinem cisnąłem.

- Tym to go może w honor uraziłeś - prychnęła pogardliwie

Lenda. - A i to nie wiem. Jakby tak onucą dostał, to jeszcze. Ale hełm się prawie jak rękawica liczy, a tą po pysku oberwać i rycerzowi nie dyshonor.

- Głupia jesteś. Porażenie jest fizyczne, nie jakieś tam bezpałowe. Co, jeszcze nie pojęliście? Toć durne bydlę mój kapalin wzięło i połknęło!

- Aha - zrozumiał Debren. - Liczysz, że mu zaszkodzi? No cóż, muszę cię rozczarować. Z połykanymi przedmiotami, jeśli nie haczykowate, tak już jest, że jak weszły, tako i wychodzą. Nie mówię, że łatwo, lekko i z przyjemnością dla połykającego, ale jednak. Założę się, że gryf już dawno twój kapalin, jak to się mówi, w pawia obrócił.

- Stoi - rotmistrz wyciągnął rękę. - O ile zakład? Może o twoją dolę we łbie, skórze i pierzu tej poczwary? Jak dobrze pójdzie, to go niepochlastanego dostanę, więc ładnie mi się nada na ozdobę w świetlicy.

Debren, trochę oszołomiony, podał mu rękę. Yeżyn, przynaglany przez Zbrhla, przeciął.

- No, to trofeum moje - zatarł dłonie rotmistrz. - Bo kozy nie liczę. Uczennica twoja, więc ty ją łupami ze swojej doli obdzielasz. Jak ja Henzę.

- Okrutnie się zasmuciłam. A już Pisklak to wręcz płacze. Skóra podzielona, nic, jeno mu wziąć i zdechnąć.

- Kpisz, aleś w sedno utrafiła. Właśnie to robi. Zdycha. I pewnie nawet wie, że zdycha. Co, nie zdziwiło was, że tak łatwo zasady zmienił i dom niemal w ruinę obrócił? Petunko, mieliście kiedyś tyle dziur w dachu? Przebicia aż do piwnicy? - Wskazał nieduży, ale czysto wybity otwór w powale i drugi, w podłodze. Oberżystka pokręciła głową. - A palenie? Lenda w łaźni podpalacza ubiła. Ogniem was, założę się, też wcześniej nie atakował?

Petunka z wysiłkiem przełknęła ślinę, posłała Debrenowi podszyte lękiem spojrzenie.

- Na rany Machrusa... On ma rację.

- Nigdy nie było tak źle?

- Nigdy. Zabijają, dręczą, ale żaden gryf nie podniósł łapy na dom. Toć bez domu klątwa niczemu nie służy.

- Ba - podrapał się w zarośnięty policzek. - Bez domu, zaryzykuję twierdzenie, w ogóle nie ma klątwy. Ciekawe.

- Jak to: nie ma? - zdumiała się Lenda. - Co znaczy: nie ma? Wszyscy, cholera, jesteśmy umyślowo osłabieni? O czym ty bredzisz? Co ma dom do czarów?

- Wszystko. - Trącił słup czubkiem buta. - Mówiłem przecież: Mesztorhazy był magunem. Stąpał mocno po ziemi, a czarował głównie na czarno, konkretnie. Białej magii jeno tyle używał, ile niezbędne.

- Możesz gadać po ludzku?

- Wybacz. Sprawa jest na swój sposób prosta. Czar siedzi w budynku. Dobry czar zawsze w czymś musi siedzieć. Ten został zagruntowany w oberży. Praktycznie w całej. Jest z drewna, a to wdzięczny materiał.

- Chcesz powiedzieć, że gdyby, przykładowo, tę rudere z dymem puścić, byłoby po kłopocie?

- Po kłopocie - skinął głową. - Ale i po oberży. Tu jest hak ukryty. Nawiasem mówiąc, to tłumaczy niechęć gryfów do budowniczych. Myślałem, że chodzi o to, by obejścia nie fortyfikować, ale teraz wiem, że raczej o dom. O to, by ktoś tajemnicy nie odkrył i nie zbadał. Albo jakowegoś kanału nie naruszył.

- U nas kanałów nie ma - poinformował go Yeżyn. - Ze studni wodę czerpiem. Dwie są, to na co jeszcze kanał.

- Myślę o kanale, którym czar płynie. Czarowodzie znaczy. Mówiłaś - zwrócił się do Petunki - że Mesztorhazy beczek nazwoził. Dam głowę, że parę dziur na poddaszu nawiercił i szarzaka nalał z konwi wolnolejki. Są tam jakieś dziwne otwory, Yeżyn? Mogą być zakołkowane.

- Znaczy się... No, z dziur to chyba jeno te, co to w nich teściowa, świećcie jej tam, gdzie jest, kołki pod sznury

bieliźniane osadziła.

- A tak - podchwyciła Petunka. - Faktycznie. Jest w rodzie tradycja, by w ściany niczego bez potrzeby nie wbijać. Kiedyś zięć Petuneli rogi chciał jelenie ku ozdobie powiesić, no i go korniki ubiły. Albo coś takiego. Ze ściany wyskoczyło przez dziurę i jak mu w nos wleciało, to kichał, kichał i się do wieczery na śmierć zakichał.

- Musiał w jakiś ważny splot trafić - pokiwał głową Debren.  
- Zwykle szarzak nie zabija. Po co zabijać, jeśli ma się dostatecznie wielką moc psychiczną, by wygenerować najgorsze zwidy. Albo, przykładowo, zahipnotyzować.

- Mój dom straszy i hipnotyzuje?! - Petunka miotała się między głęboką niewiarą a równie głębokim oburzeniem.

- Nie mówię, co robi. Mówię, co teoretycznie mógłby zrobić, gdyby go współczesny mag współczesnym szarzakiem nasączył. Ale, znając poglądy Mesztorhazego, oberża raczej utrupi kogoś kichaniem czy zwyczajnie, przy pomocy gryfa, niż będzie się zabawiać w oddziaływanie na umysł. Nie kto inny, a właśnie ów wielki Smoyeedczyk sformułował tezę: „Czar czarem, a młot młotem”. Miał na myśli, jeśli ktoś nie zrozumiał, optymalne pozbywanie się kłopotów.

- A nie wbijanie hufhali? - posłała mu kpiący uśmiešek Lenda. I, po przyciągnięciu ku sobie zdziwionych spojrzeń, wyjaśniła: - Dom, co też do końca nie jest pewne, zgładził jednego z domowników. Gryfy mają na koncie sześć pokoleń babek, babek ciotecznych, dziadków, braci, bratowych i cholera wie kogo jeszcze. Dobrze mówię? - Petunka przytaknęła. - Więc, choć opowiadasz wielce ciekawe rzeczy, może byśmy dokończyli kwestię hełmu Zbrhla? Sam powiedziałaś, jaka jest ulubiona recepta oberży na kłopoty: kichanie albo gryf. Dziur nie świdrujemy, więc katarem nas nie załatwi. Ale przy pomocy gryfa, póki co, może.

Debren zerknął na klepsydrę. W grudniu noce są długie. Mieli czas, mogli wszystko dokładnie przemyśleć.

- Zbrhl, nie pamiętasz, coś z paskiem od hełmu zrobił?

- zapytał. - Jakby sprzączka luźno wisiała, faktycznie gryfowi ciężko byłoby kapalina się pozbyć. Wiesz, na zasadzie kotwicy. Chociaż, z drugiej strony...

- Z drugiej strony też nie wylezie - wtrącił się Yeżyn.

- Raz tu jeden zdesperowany baca, co to mu Pisklak stado zdziesiątkował, jagnię na łańcuchu uwiązał i się z łukiem zasadził. Dwa srebrne groty kupił, to myślał, że bestię ubije. Ale raz chybił, raz owcę trafił, no i go Pisklak tak palnął, że chłopinie oczy ze łba wyskoczyły. No a potem gryf jagnię za jednym zamachem chapnął, bo już juhasy biegly pomsty szukać. No i, z tego pośpiechu, łańcuch zeżarł. Nie powiem, spory, bo go pastuchy wyszabrowały z jednego zamku przez Belniczan spalonego, a w owym zamku tenże łańcuch był do podnoszenia mostu używany. Ale znów takie grubachne to ogniwa nie były. A gryf się trzy dni męczył, bo mu żelastwo w kiszkach stanęło i nijak nie wyłaziło. Dopiero go jeden kupiec poratował, któren miał kontrakt z kordoniarzami belnickimi na dostawę spyży. Jak się wieść rozeszła o gryfowej wpadce, kupiec na muła szybko baryłkę mięsa drugiego gatunku rzucił, worek grochu i pognał ku Grabogórom. No i kurację wstrząsową bestii zaaplikował. Znaczy mięsiwo przeterminowane mieszane z grochem. Efekt był nad podziw...

- Daruj sobie opis - burknęła Lenda. - Domyślamy się, na jakiej zasadzie łańcuch organizm opuścił. Nie wiem tylko, po co takie niesmaczne historie opowiadasz.

- Yeżyn - wyjaśniła Petunka - chciał zwrócić uwagę na znaczną różnicę między przeciwnymi końcami układu pokarmowego u gryfów. Które drugą stronę bez porównania ciaśniejszą mają niż dziób.

- Co tylko dobre świadectwo im wystawia - powrócił do głosu Debren. - Bo dowodzi wysokiej efektywności przemiany materii. Z tego, co zeżrą, mianowicie, większość w czystą,

choć łądacką energię się przemienia. Tylko mała resztką ulega wydalaniu. Czym się, nawiasem mówiąc, dużą smrodliwość fekaliów tłumaczy. Koncentraty to do siebie mają...

- Jeszcze jeden takowy wywód - uprzedziła Lenda - a mnie zemdli. Chora jestem, jeśli kto nie pamięta.

- Powinnaś była posłuchać Zbrhla i się przespać - wyraził swą opinię Debren.

- Zostanę - oznajmiła. Wzruszył ramionami, podniósł futro spod kominka, rzucił pod stół, ku bosym stopom dziewczyny. Wolałby klęknąć, otulić. Ale przewidywał konflikt z Lendą i nie chciał, by poczuła się nadmiernie pewna swej pozycji.

- Mnie też temat nie bawi, ale wojna bywa brudna. A mówiąc o drugiej stronie, nie miałem na myśli podogonia - Chciałem rzec, że być może nie doceniamy sił natury. Mało kto ma tak solidne żołądki, jak potwory z grupy lataczy. Smoki, przykładowo, w swoich parę potrafią produkować i kwasy mocno stężone. Bez szkody dla zdrowia, a nawet z pomocą, bo te, co produkują, dłużej żyją. O gryfach mało wiem, ale skoro Pisklak owcę od niechcienia połyka, na niestrawność raczej nie cierpi. Zresztą nic dziwnego. Żadne zwierzę tyle energii nie potrzebuje co latające. Smok jest zmiennocieplny, więc radzi sobie wygrzewaniem na słońcu czy zapadaniem w letarg, ale gryf, by być w gotowości, musi żreć jak rota piechoty na manewrach.

- Już mnie nie mdli - poinformowała go Lenda. - Ale za to robię się głodna. Jak wilk. Nie wiem, co gorsze.

- Mdłości przemiennie z wilczym apetytem? - zainteresował się Zbrhl. - Oj, coś mi to przypomina. A na ogórki, kiszzone konkretnie, nieodpartej ochoty aby nie masz?

- Dudkaj się! - Poczzerwieniła błyskawicznie. - Że też ci łba razem z hełmem nie pożarł!

- Spokojnie - pomachał rękoma Debren. - Zbrhl, nie chcę cię martwić, ale założę się, że Pisklak kapalin strawi. A

przynajmniej na tyle nadtrawi, że resztę bez trudu...

- A takiego! - rotmistrz precyzyjnie ukazał, jakiego. - O co zakład, że nie? Za tępaka mnie masz? Myślisz, że jak topór do pracy noszę, to mam tyle rozumu co jakiś durny drwal? Jakem powiedział, że z Pisklaka już żywy trup, to znaczy, że można mu mogiłę kopać. Strawi, he, he. Z pawiem puści, he, he. Myślisz, że co ja na głowę kładę: garniec za trzy grosze? Z dziurką na kurze piórko? Profesjonał jestem i na profesjonalny ekwipunek nigdy nie skąpił! Lenda, powiedz temu cywilowi, do czego kapaliny służą. I czym się cechują.

- Kapalin - zaczęła posłusznie - jest hełmem używanym w rotach pieszych, morvackich głównie i bootalyjskich. Cechuje się kapeluszowym kształtem, przez co dobrze ramiona chroni. Od cięcia z kulbaki, ale głównie od pocisków z murów miotanych. Bo właśnie w szturmach twierdz swe zalety najlepiej...

- Wystarczy. Szturmy, Debren. Na takich, co z góry ci na łeb różności leją, w tym także i kwasy. Myślisz, że mając okazję kwasoodporne opancerzenie kupić, pożalowałem tych paru groszy więcej? Otóż nie. Zwłaszcza że kwasoodporność rdzewieniu ponoć zapobiega, co przy poważnych inwestycjach w oręż nie jest bez znaczenia.

- Czyli nie strawi hełmu - podsumowała Petunka. - No a jak pasek się o nic nie zaczepi? Kiedy Pisklak był mały, pamiętam, to raz się do kurzych piskląt dorwał i tyle zżarł, że potem całymi rzygał. A w proporcji chyba i większe były niż twój hełm.

- Mój hełm we flocie Bikopuliss służył - oświadczył dumnie Zbrhl. - Co, Debren, nie wiesz, o czym mówię? Ha, bo też ta wasza galera gówniana była, drugoliniowa, najwyżej na pływającą baterię zdatna. Ale prawdziwe bojowe jednostki miały pancerną piechotę na stanie. Jeszcze z zulijskich legionistów się wywodząca, a może nawet z hoplitów starożytnego Illenu. Dwadzieścia wieków tradycji bojów



morskich. Nic dziwnego, że się Bikopulijczycy dorobili paru użytecznych wynalazków. Syfon ogniowy jest z nich najświetniejszy, ale ty, jako we flocie służący, coś powinieneś i o systemie zrzutu opancerzenia słyszeć.

- Nie słyszałem - przyznał bezwstydnie Debren. - To do ułatwiania ucieczki? Że niby lżej bez blach z pola bitwy zmykać? No, w zmykaniu to cesarscy faktycznie mają.

- Głupi jesteś, a jeszcze i mnie obrażasz. Nie kupowałemby czegoś, co utracie narzędzia pracy służy. Nie powiem, szybkie odwroty w karierze mi się zdarzały, ale nawet kozika żem nie wyrzucił, a cóż dopiero brygantyny czy hełmu. Nie, Debren. Nie mam na myśli ułatwacza ucieczek. System zrzutu blach po to wymyślono, by dobrych fachowców bez pożytku nie topić, gdy dziurawa galera na dno idzie. A wiesz, jak na Międzymorzu walczone: tarany, maszyny najcięższe, ognie illeńskie... To nie to, co rąbanina dwóch drakleńskich drakkarów, w dodatku z pijanymi załogami, które więcej klną i rzygają od kaca i wysokiej fali oceanicznej, niż szkody przeciwnikowi czynią. Tam, bracie, nieraz w pół pacierza galera bierze w bok, kilem się nakrywa albo łamie, albo cała w ogniu staje. No i nie ma czasu rzemieni odpinać. Albo z ciebie opancerzenie samo spadnie, gdy do morza wlecisz, albo po tobie. A że pancerni jednak na morzu potrzebni, starożytni Hieno wie wymyślili samotrzymkę.

- Co wymyślili?

- Samotrzymkę. Magiczne mazidło, znaczy, które w boju pancerz albo hełm trzyma lepiej od rzemienia, a gdy w wodę słońą wleci, z miejsca puszcza. Są też odmiany na chłód wody reagujące, tańsze, ale się na tych kiedyś jeden cesarz paskudnie sparzył. Dekturan podbijał, do piramid dotarł, do rozstrzygającej bitwy doprowadził, a tu, cholera, zimny deszcz spadł, i mu z armii pancernej banda kulawców została. Bo połowie legionistów opadające blachy, spizowe jeszcze i ciężkie, paluchy u nóg odzianych w sandały poobijały. Inna

sprawa, że tak zimnych opadów w Dekturanie nie bywa i gdyby nie tamtejsi czarodzieje, pewnie by cesarz na kretyna nie wyszedł.

- Rozumiem, że twój kapalin miał samotrzymkę? - Zbrhl przytaknął. - To dlaczego ci go przy kopcach belniccy kordoniarze z głowy zestrzelili?

- Bo to ostatnie chamy i prostaki. Belniczanie w ogóle, nie kordoniarze. Bez urazy, Lenda, ale jak można określić karczmarza, co to ci w taką miskę krupnik leje, że łyżki nie idzie od miski oderwać, bo ją brud jrzykleił?

- Niechlujem.

- Niechluj by na laniu w miskę poprzestał. Ale jak po grzecznym zwróceniu uwagi, że włosia mam mniej w hełmie niż on w naczyniu, ten łajdak do hełmu mi zupy nalał? Jak takiego zwać?

- Samobójcą - wyręczył dziewczynę Debren. - Rozumiem, że kompletnym ignorantem ów karczmarz nie był i krupnik podał gorący? Co pewnie mazidło zmyło?

- Właśnie. Ale po bitce z kordoniarzami przypomniałem sobie i kapalin dobrze nasmarowałem. Więc nie ma cudów, by z gryfa wyleciał.

Debren, po chwili wahania, skinął głową.

- No to gryfa chyba faktycznie mamy z głowy. To znaczy: Petunka. Albo jeszcze precyzyjniej: jej dzieci.

- Hę?

- Sam powiedziałaś: zdycha i wie o tym. To paskudne zestawienie. Nie ma nic do stracenia.

- Umrze? - zapytała cicho oberżystka. Z wyrazu jej twarzy trudno było cokolwiek wyczytać.

- Zdechnie z głodu - mruknął Debren, spoglądając na obraz.

- Hełm zatka drogę do jelit, bestia będzie najedzona, ale coraz słabsza. Hmm. Dziwna śmierć.

- No, to problem sam się rozwiązał - zauważyła Lenda. - I nie musimy rzucać monetą w intencji przyjęcia ultimatum.

Nie wierzyłam zdrowemu, a cóż dopiero zdychającemu. Chce nas wywabić i utrupić, to oczywiste.

Debren nie patrzył na nią. Wpatrywał się w obraz.

- Nic nie jest oczywiste. - Petunka wsparła łokcie o blat, ukryła twarz w dłoniach. - Nic.

Jakiś czas panowała cisza. Słysząc było kapanie wody: topił się śnieg w szczelinach barykady.

- Nie bój się - rzucił niepewnie Zbrhl. - Nie dopadnie nas tutaj. Gdyby mógł, już by spróbował. Słyszałaś, co mówił Debren: gryfy muszą na okrągło żreć, by z sił nie opaść. Więc o świcie będzie wyraźnie słabszy. Może nawet nie zaatakuje, jak zobaczy, że nie daliśmy się nabrać. Kto wie? Może już teraz nie może latać?

- Tak szybko to nie pójdzie - westchnął Debren. - Ale Petunka chyba nie o to się martwi, prawda?

Pokręciła głową. W oczach miała smutek i niepewność.

- Na obrazie - powiedziała cicho - nie ma gryfa.

- Co? - Zbrhl obejrzał się, pomyszkował spojrzeniem po płótnie. - A, faktycznie. I co z tego? Może ten twój Rovoletto nie wiedział, jak bestia wygląda? Co widział, namalował, a czego nie...

- Tu nie było nijakich gołych dziewczec - zauważył przytomnie Yeżyn. - W ogóle nijakich obcych bab nie było. Sama Petunka z naszym pierwotnym, raczkującym jeszcze, no i teściowa.

- No to - powiedziała powoli Lenda - może na obrazie nie dziewczec widzimy.

Oberżystka zarumieniła się. Lekko. A w jej równie słabym uśmiechu, posłanym dziewczynie, nie było urazy.

- Jakże: nie dziewczica? - wzruszył ramionami Yeżyn. - Toć leliję ma zamiast...

- Mniejsza o szczegóły - wtrącił się pospiesznie Debren. - W obrazie ważne jest...

- To nie taki znów szczegół - poparł Yeżyna Zbrhl. - Lelija jak się patrzy, a i barwą w oczy kłuje. Rudawa jakaś. Chyba

nie przypadkiem ją tu malarz umieścił.

- Bez kwiatu albo liścia - włączyła się do dyskusji Lenda - żaden by go jurysta nie wybronił w razie czego. Bez urazy, Petunko, ale nie zgadzam się z tobą. Odważny malarz nie wymyśliłby tak rozłożystego kielicha. Asekurant był z tego twojego Rovolika. I fantasta. Gdzie on takie kwiaty widział? Ruda lilia, też coś.

- Rovoletta - poprawił ją Yeżyn. - Rovolik to nasz młodszy. A wiecie? - zmarszczył czoło, zaintrygowany nagłą myślą. - Zaiste, podobnie owe imiona brzmią. No, ale Petunce się nie myliły - rzucił tonem pocieszenia. - Jak mistrz tu na stacji stał, to jeszcze Rovolika na świecie nie było. Dopiero potem się urodził. Choć, trzeba przyznać, nie za długo potem. Z rok tego było. Albo pół roku. Albo coś pomiędzy.

- Jakież to szczęśliwy zbieg przypadków - uśmiechnęła się Lenda. Debren zmarł, oczekując czegoś co najmniej nieprzyjemnego. Ale, o dziwo, uśmiech okazał się raczej ciepły niż kpiący. Porozumiewawczy, przyjazny. Może było w nim troszeczkę zazdrości - lecz nic ponadto.

- Rovoletto był realistą. - Petunka też się uśmiechnęła, choć miała w oczach jeszcze więcej skrywanego smutku. - Z natury malował. Nad jej twarzą - wskazała obraz - okropnie się męczył właśnie dlatego, że fikcyjna. Ale lilia jest prawdziwa. Tyle w niej fantazji, że ją wiatr z niewłaściwej strony na pannę nawiewa.

- Eee - mruknął sceptycznie Zbrhl. - Bez przesady. Goły zadek maluje się bez nijakich listków-pryzwoitek. Nie żyjemy we wczesnowieczu, proszę ja kogo. Cóż niestosownego jest w gołym zadku? No, może i jest - zgodził się. - Ale, za przeproszeniem, dużo większego uszczerbku by oglądający doznał na psychice, jakby ujrzał liść łopianu do tyłka przyklejony. Bo mogłoby mu się to całkiem nieromantycznie skojarzyć.

- Miałam na myśli - wyjaśniła spokojnie Petunka - że takie

kwiaty, rudawe, rosną na Zalewisku. A to po drugiej stronie obrazu, pod wiatr. Gdyby którąś lilię wichura wyrwała, to właśnie w pupę by księżniczka dostała.

- Bagno tu macie? - zainteresował się Debren.

- To przez most - wyjaśnił Yeżyn. - Jak go postawili, to się strumyk, nie wiedzieć czemu, leniwiej toczyć zaczął. I zalał kawał terenu. Jeszcze jeden kłopot mają ci, co starą drogą jeżdżą. Nawet utopiło się paru. Całkiem jakby bobry, a przecie nijakich bobrów tu nie ma. Po prostu wolniej woda płynie.

- Wolniej? - Debren zmarszczył brwi.

- Czasem nurt słabnie - odpowiedziała za męża Petunka. - Choć lepiej widać, jak Zalewisko rośnie. Bywa, że bez wyraźnego powodu woda się szerzej rozlewa.

- Bez powodu? - zapytał z naciskiem.

- Domyśliłeś się. - Cień bladego uśmiechu zadrzał w kącikach ust. - To pewnie i reszty też.

- Można wiedzieć, o czym mówicie? - upomniał się Zbrhl. Debren uniósł pytająco brew. Skinęła głową.

- Problem - wyjaśnił bez zapału - polega na tym, że nie polega na gryfie. Gryf jest narzędziem. Poręcznym, prawda. Może nawet niezbędnym, by kłątwa dała się utrzymać. Może wystarczy go usunąć i reszta pójdzie łatwo. Ale może nie. I dlatego gryfa nie ma na obrazie.

- Aha - pokiwał głową Zbrhl. Po czym oznajmił z ujmującą szczerością: - Nic, cholera, nie rozumiem.

- Rovoletto... - przemówiła cicho Petunka - no, ze szczegółami mu wszystko opowiedziałam. - Uśmiechnęła się łagodnie, po matczynemu, posyłając ten uśmiech Yeżynowi. - Wiele wieczorów przegadaliśmy, bo malarz mnóstwa informacji potrzebuje, by dzieło stworzyć.

Yeżyn skinął głową z powagą. Debren zerknął, sprawdził, czy nie znajdzie szyderczych błysków w oczach Lendy. Ale nie. Przyglądała się złotowłosej wyczekująco, trochę pochmurna, milcząca. Daleka od dokonywania ocen, a przynajmniej

zdradzania się z nimi.

- Wiedział więc tyle co ja - stwierdziła Petunka. - Zaprzyjaźniliśmy się, stąd moja gadatliwość. Ale że szczerowość była wzajemna, zwierzył mi się kiedyś, że miewa sny. Był artystą, a ci są wrażliwi, pewnie lepiej odbierają różne magiczne sygnały... W każdym razie gdy zwróciłam mu uwagę na brak gryfa, powiedział, że tak właśnie ma być. Że w snach tak to widuje: bez gryfa. I nie dał się przekonać. Trochę się nawet pokłóciliśmy. Byłam młoda, nie za mądra. Tak jak Lenda zwymyślałam go od tchórzy. Bo i ta lilia, i brak Domorca... Powiedziałam, że malarz ma walić prawdę prosto w oczy, bez oglądania się na cenzorów czy reakcję potworów. Takie tam banialuki. W kwestii cenzury udowodnił mi szybko, że nie mam racji - zarumieniła się lekko. - Ale w sprawie gryfa nie ustąpił. Uparł się, że niczego nie zmieni, bo, jak powiedział, sztuka ma ludzi na właściwą drogę kierować, nie ku przepaści. W końcu uwierzyłam, że go intuicja nie myli. Bo ten drugi obraz wyszedł mu, jakby... - urwała. Przez moment, zmieszana, czekała na pytanie. Nikt go nie postawił. Wykonała głęboki wdech i dokończyła: - Yeżyn, chłodno się robi. Mógłbyś przynieść tę zieloną chustę?

Ysedel wstał i wyszedł z izby. Wyglądał dokładnie jak mąż posłany po chustę przez zmarzniętą żonę.

- Użyję swego przykładu - od tej pory Petunka mówiła nieco ciszej - bo babki nie mają szansy, by cokolwiek wytłumaczyć. A nie chcę, by zostały zapamiętane jako głupie, tchórzliwe albo zepsute. Po czynach nie da się sądzić człowieka. Trzeba jeszcze znać okoliczności, posłuchać wyjaśnień... Zresztą nie ma sensu sięgać wieki wstecz. Myślę, że jestem dobrym przykładem.

- Chcesz opowiedzieć o sobie? - upewnił się Debren.

- Nie chcę, to nic przyjemnego. Ale muszę. Jeśli Zbrhl ma rację w kwestii hełmu, a ty odnośnie domu... Nie boję się o siebie. Od dziecka wiem, że klątwa mnie zabije. Ale Yeżyn,

chłopcy... To może jedyna okazja, by ich ocalić. Albo zgubić. Nie mam pojęcia, na co się zdecydować, o co was prosić. Więc na początek proszę o radę. - Odetchnęła głęboko i wskazała obraz. - To... ja. Głowę zmyślił, ale reszta jest moja. Nie tylko gadaliśmy wieczorami. A Rovolik, jak się niektórzy domyślili, jest jego.

Spośród czworga słuchających aż troje powstrzymało się przed skierowaniem wzroku na płótno. Zbrhl nie dał rady. Ograniczył się do krótkiego rzutu oka, przyplącił to mocno niewyraźną miną i czymś, co Debren wzięłby za rumieniec, gdyby dopuścił myśl, że ktoś taki może się rumienić - ale spojrzeć musiał. Co Debrena nie dziwiło. Kiedy rotmistrz przeniósł wzrok z młodej kopii na starszy oryginał, w jego oczach emocje kłębiły się jak kasza we wrzątku. Chyba wszystkie możliwe.

- Lilia jest oczywiście nie na miejscu - stwierdziła Petunka, dobrze schowana za tarczą rzeczowości i troski o sprawy naprawdę ważne. - Jak wicie, byłam już matką. Nie wspominam o osobie modelki, by się figurą chwalić. Rzecz w tym, że to nie jedyny obraz. Rovoletto był płodny nie tylko jako mężczyzna. Zdążył tu namalować trzy obrazy i na każdym byłam ja. Na tamtych dwóch już z własną twarzą, ale nie dlatego ich wam nie pokażę. Pierwszy przedstawia nas dwoje, mnie i Rovoletta. Jest z gatunku tych, za które bez gadania wylupiają oczy, choć ukazuje miłość, a nie prostackie... W każdym razie chowam go najgłębiej. Nie dlatego, że tak niemoralny. Rovolik jest jak skóra z ojca zdjęta, mógłby na jego widok...

- Może nie powinniśmy tego słuchać? - Zbrhl długo walczył ze sobą, nim przepchnął przez usta tę sugestię. Bo chciał wiedzieć. Wszystko. Niezależnie od bólu, jaki sprawi mu przełykanie owej wiedzy. Debren rozumiał go. Jeszcze nie tak dawno mógłby obejrzeć bliźniaczo wyglądającego nieszczęśnika. Wystarczyło postawić zwierciadło na desce w

pewnej łaźni. I zastąpić malarza księciem.

- Powinniście, Każdy ma prawo wiedzieć, na czym stoi. Gra idzie o przeżycie, a to ważniejsze od dobrej opinii wiejskiej baby. Nie trzymam cię siłą, ale jeśli zamierzasz wyjść z mego powodu, to proszę, byś został.

- A trzeci obraz? - Debren delikatnie zmienił temat.

- Trzeci chyba mogłabym pokazać moim chłopcom. Nie sądzę, by któryś mnie rozpoznał. - Uśmiechnęła się krzywo. - Obraz można zatytułować: „Belnicki gwardzista pałacowy gwałci morwacką wieśniaczkę”. I tu już lilia byłaby na miejscu. Wieśniaczka się broniła, więc jej twarz nie wygląda za dobrze. Malarz zużył dużo czerwonej farby.

- Gwardzista pałacowy? - wycedził przez zęby Zbrhl. Debren pomyślał, że gdyby świadków było trochę więcej, Gwadryk Palisada musiałby szybko rozformować swą elitarną jednostkę. Albo co najmniej potroić żołd.

- Szczęście w nieszczęściu - wzruszyła ramionami Petunka. - Przynajmniej Vaclan ma w żyłach porządną, rycerską krew. Swoją drogą to krotochwila losu: syn gwardzisty oficera zostaje artystą przepisującym cenne manuskrypty, a syn malarza wojskowym. Obaj mieli dokładnie odwrotne plany życiowe. Zabawne, nieprawdaż?

- To cię boli - stwierdziła cicho Lenda. - Po co się katujesz, siostrze? By wywołać we mnie poczucie winy?

- W tobie? - Petunka uniosła kąciki ust w słabym uśmiechu.

- Dużo dziewcząt splugawiłaś w lesie, gdy jagody zbierały?

- W połowie jestem Belniczanką - przypomniała Lenda.

- Co nam próbujesz powiedzieć? - Debren zajrzał oberżystce w oczy. - Czemu ma służyć to darcie ran?

- Pytałeś o przybory wody w strumieniu. Te nietypowe pewnie. To było właśnie w czasie takiego. Lato, susza. I nagle woda przestała spływać w dół koryta. Znacie w Lelonii potrawę, która się kisiel nazywa? No to właśnie coś



podobnego się z wodą porobiło, z tą przy moście. Płynęła, owszem, tyle że wolno. Wyżej, na Zalewisku, gromadziło się za to mnóstwo zwykłej, rzadkiej wody. A potem, bez żadnego ostrzeżenia, z lasów wyszły belnickie zagony.

- Potem?

- Potem. Sądząc po stanie bagna, zaczęło się tworzyć, gdy Gwadryk był jeszcze u siebie, po tamtej stronie kopców. Czyli najmniej o dziesięć klepsydr wcześniej.

- Belniczanie próbowali coś zrobić z mostem?

- Wtedy już nie. Ale na początku, jeszcze za życia Petuneli, owszem. I potem, kilka razy. Stary szlak w paru miejscach prawie ociera się o granicę. Póki był jedynym, łatwiej im się wojowało, więc dość szybko po tamtej stronie ktoś wpadł na myśl, by zablokować królewski trakt. Co wydawało się łatwe: starczyło zniszczyć most.

- Ale most się nie dał - zgadł Debren.

- Właśnie. Większe ekipy saperów gryf wybijał z powietrzem. Co most robił z mniejszymi, nie wiem. Ale chyba coś paskudnego, bo już za czasów Aleryka Belniczanie przestali próbować.

- Most jest kamienny - wzruszył ramionami Zbrhl. - Nasz, porządny. A te dzikusy za szczyt techniki mają kłodę, w której dziury wyświdrowano i parę kołków na poręcz wetknięto. To i nie dziwota, że się nie umieli za kamienne przęsło zabrać.

- Nie, Zbrhl - pokręcił głową Debren. - Oglądałem ten most. Nie wiedziałem, do czego służy zakłęcie, które wyczułem, ale teraz już chyba wiem. On czerpie energię z przepływającej dołem wody. Jak młyn, tyle że nie kołem, a czarami. A że odbiera sygnały od oberży, to dowiaduje się o zagrożeniu wcześniej i zaczyna gromadzić siły do walki. Wodę, konkretnie. Stawideł nie ma, więc zastępuje je zagęszczaniem wody. Patrząc na obraz, widzę, że Zalewisko musi być sporo wyżej. Czyli mamy różnice poziomów. Jest czym przypieprzyć intruzom. Czym konkretnie ich atakuje, trudno powiedzieć,

ale ja na miejscu Mesztorhazego wykorzystałbym ową galaretę. Gdyby udało się wytworzyć lokalne rozrzedzenia, taką nibyrurę, woda wytrysnęłaby jak z najmocniejszej pompy. A w Bikopuliss widziałem pompę, co ponoć strugą człowieka dziurawiła. Zepsuta była, bo jeszcze za starego cesarstwa ją zbudowano, ale nadal ściśle tajna, więc chyba można wierzyć opisom. No, ale równie dobrze woda może być tylko dostarczycielem mocy, a samo zabijanie odbywa się inaczej. Na przykład poręczą-samobijką. Albo nagłym obludzeniem połączonym z wiatrem, który zdmuchuje ludzi z przęsła. Jak się wyda duże pieniądze na urządzenia obronne, no i fachowca najmie...

- Chcesz powiedzieć, że most też rozumny? - upewniła się Lenda. - Jak oberża?

- Aż tak to nie. Nie wyczułem szarżaka. Na pewno trochę go jest pod kamieniami, ale bez porównania mniej niż tu. Ot, tyle, by starczyło do powtarzania prostych czynności. Od myślenia i planowania jest dom. Bo raczej nie gryf. Gryf to oko i ucho. No i latająca katapulta, niszcząca z powietrza lepiej wyposażone kolumny.

- I goniec? - Debren uniósł brwi, wyjaśniła więc: - Ktoś musi powiedzieć mostowi, co dom zaplanował. To znaczy - zastrzegła się - o ile nie żartujesz i nie robisz z nas głupków tym gadaniem o rozumnych domach.

- Nie żartuję. A goniec nie jest potrzebny. To mazidło, którym Yeżyn upaprał portki, a wcześniej Mesztorhazy ciskał z dachu w belnickich zwiadowców, to roztwór rtęci i paru organicznych dodatków. Kiedyś, nim nauczono się robić zwierciadła promieniujące energią, nasączano tym drewno i w ten sposób wytwarzano emitery. Wasz dach, Petunko, jest takim właśnie wczesnowiecznym zwierciadłem. Pozwala gryfowi porozumieć się z domem, a domowi z mostem. Dlatego pytałem o widoczność. Trochę drzew nie osłabi sygnału, ale gdyby między oberżą a mostem była jakaś góra...

Nie dam głowy, ale pewnie dlatego Mesztorhazy pierwsze, co zrobił, to na dach skoczył. Bez widoczności cały plan mógł wziąć w łeb. To dlatego w łeb wziął belnicki zwiadowca. Wiecie: tą baryłką.

- Znaczy - podsumował Zbrhl - jak Pisklak wyciągnie łapy, nadal będziemy mieli na karku budowlę?

Debren skinął głową.

- I Belniczan - westchnęła Petunka. - Do tego właśnie zmierzam. Most się bronił, gdy ktoś próbował go niszczyć, ale patriotyzmu jako takiego w sobie nie ma. Belnicka armia wiele razy po nim przechodziła. Mógł ją zatrzymać. A nie chce. Nawet Gwadryka.

- Przejeżdżał przez most? - zdziwiła się Lenda.

- Trzykrotnie duże wyprawy tędy prowadził, zawsze na Rumperkę. Bo niby skąd byśmy się wzięli z Vaclanem? - uśmiechnęła się niezbyt radośnie. - Gwardia pałacowa nigdy bez księcia nie chadza.

- Skąd byście...? - Zbrhl nie odważył się dokończyć.

- Przed drugim najazdem Gwadryka, tym, co o dziewięć miesięcy narodziny Vaclana poprzedził, zjawił się tu jeden znany biesiarz. Albo, jak kto woli, wiedźmin. Skończył jak jego poprzednicy, ale był naprawdę przednim fachowcem i srodze przed śmiercią Starogrodzcyka poszczerbił. Świadczenie myśleli, że już po gryfie. Że powłókł się do lasu, by zdechnąć w mateczniku. No i się wieść rozeszła, że koniec z terrorem na pograniczu. Nagle cały układ sił się zmienił. Naszych załóg nie ma, bo po co, skoro Domorzec granicy pilnuje, Domorca nie ma, ludność pijana z radości, nie będzie komu z ostrzeżeniem pognać... No i Gwadryk przypomniał sobie młodość, na koń skoczył, osobiście poprowadził zagpn na Rumperkę. A jeden z jego przybocznych zdybał mnie z jagodami i w niewiastę obrócił.

- Jak się zwał? - zapytał na pozór obojętnie Zbrhl.

- A tego mi akurat w ucho nie wystękał. Albom może nie

zrozumiała. W przyłbicy był, staruch łajdacki. Pewnie nie pierwszy raz się tak zabawiał i wiedział, że gwałcone dziewczki pazurami w gębę mierzą. Czy choć śliną próbują strzykać. A to ponoć pecha przynosi. Oplutemu też.

- Staruch? - powtórzyła zasepiona Lenda. - To chyba nie z gwardii. Dobrześ to ujęła: gdzie księżę, tam i jego przybocznik. Mają mu tarczą być i najlepsi z najlepszych jeno do owej nielicznej chorągiewki trafiają. Młodzi, silni. Nawet dowódcy... Więc albo ten twój nie był stary, albo nie był z gwardii. Możeś się sapaniem zasugerowała. Ale ci powiem... - urwała, choć Petunka nie próbowała wchodzić jej w słowo. Odczekała chwilę i przemówiła, dopiero gdy stało się jasne, że dziewczyna skończyła.

- Za przytomna nie byłam, bo mnie zdrowo stłukł. Nastroju sprzyjającego uważnym obserwacjom też nie miałam, jak to często u plugawionych dziewic bywa. Ale że stary był, to zauważyła. Choćby po tym, że okrutnie długo rzecz trwała. Nie powiem: inną perspektywę wtenczas miałam na kwestię starości. Młodemu własny rodzic sędziwym się widzi. Ale on był siwy, miał problemy natury męskiej, a jak się wreszcie z nimi uporał, to go musieli podwładni ze mnie zdejmować, tak się utrudził.

- To chyba naprawdę nie był z gwardii - poparł Lendę Debren.

- Srał pies jego, jego herb, stanowisko i wszystko inne. Nie dla chwały własnej czy Vaclana to opowiadam. Ale jak mówię, to uczciwie, bez kręcenia. To był gwardzista pałacowy. Wiem, bo na kirysie miał cudnie kuty herb, złożony. Książęcy. Wojsko w Belnicy państwowe znaki nosi. A ten był prywatny, książęcej rodziny.

- Niemożliwe - stwierdziła bez cienia wątpliwości Lenda. - To nie mógł być prywatny herb. Pewnie nie wiesz nawet, jak on wygląda. Większości ludzi się zdaje, że książęta belniccy pieczętują się tak jak miasto, a za nim całe księstwo: złotym

rombem pośród czerni, na którym to rombie zamek widać. Prawda: wojsko i insze instytucje taki sam znak noszą, tyle że z koroną u góry. Za demokracji koronę wywalono i czapą futrzaną zastąpiono, a tło niebieskim. Że to niby dobrobyt nastąpił, który czapa symbolizuje, a dokoła same bratnie demokracje, co symbolizuje sina barwa. Władcy też pod flagą z rombem i zamkiem od dawna występują i tak się rewers monet bije. Ale...

- Ale ja nie o takim herbie mówię - gładko weszła jej w słowo Petunka. - I jeszcze raz powtórzę: srał pies herby, z koronami czy bez. Ale właśnie herb mnie w obrazie Rovoletta zastanowił i dlatego ów temat poruszam. I w ogóle temat gwałtu wśród jagodzin. Bo choć tego incydentu ze względów zrozumiałych nie omawiałam tak szczegółowo jak sprawy z kłatwą, Rovoletto wszystko namalował, jakby obok stał i wszystko widział. I to... i to lepiej ode mnie.

- Co chcesz przez to powiedzieć? - Debrenowi nie spodobało się to, co usłyszał. I co miał usłyszeć.

- A to, że faktycznie nie znała prywatnego herbu książąt na Belnicy. To znaczy, owszem, z grubsza. Jak mówiłam, gwardia trzykrotnie zawitała w te strony. Moja matka też miała wątpliwą przyjemność zetknąć się z łajdakami, co dwie skrzyżowane belki na szatach nosili. Bo tak ów herb wygląda, prawda? Dwie belki, brunatne na żółtym; skrzyżowane. - Lenda, zdziwiona i jakby zaniepokojona, kiwnęła głową. - Ale tyle od matki wiedziałam i tyle zapamiętałam z kirysa tego, co mnie zgwałcił. Że para belek. Rovoletto też tyle ode mnie usłyszał. W ogóle ze trzy zdania mu o owym dniu powiedziałam, nim zaczęłam ryczeć. A potem już do tematu nie wrócił. Mówiłam: artystą był, delikatnym z natury. Z trzech zdań jedno było o tym, co mi się przydarzyło. Drugie o osobie sprawcy, a tym samym herbie. I trzecie o metodzie. Znaczy: że mnie kompani starucha unieruchomili. Mogłam się do dwóch zdań ograniczyć, alem nie chciała, by pomyślał,

że zdzira jestem i nie próbowałam się bronić. A on, cholera, z tych parunastu słów duży i bogaty w szczegóły obraz zrobił. Aż mi szczeka opadła, gdym go ujrzała.

- Bo wyszedł daleko poza twą relację - pokiwał głową Debren. Petunka też skinęła głową. - I odtąd zadajesz sobie pytanie, czy to zasługa twojego gadania przez sen, czy czegoś więcej.

- Książęta belniccy nie mają w herbie skrzyżowanych belek - powiedziała. - Jedna to tak naprawdę człowiek. Ale stylizacja jest taka, że trudno zauważyć.

- Człowiek? - Zbrhl drgnął. - Pole żółte, a na polu chłop z belą na krzyż? Brązowy jak i bela, bo w skóry odziany? A z góry, skosem, rzeka płynie?

Debren zauważył, że pytanie wstrząsnęło z lekka obiema kobietami. Także Lendą. Gdyby nie uznał, że to absurdalne, powiedziała by, że nawet głównie Lendą.

- Znasz ten herb? - zapytał, starając się ocenić, czy do grona głęboko poruszonych nie powinien dopisać także rotmistrza. Zbrhl wyglądał dziwnie.

- Ze słyszenia - mruknął. - Alem nie wiedział... Petunko, pewnaś, że taki herb książąt belnickich oznacza?

- Vaclan znalazł go niedawno w starej księdze, którą mu do przepisania dali. Przez całe lata miałam za przejaw twórczej fantazji to, co Rovoletto memu oprawcy na piersi namalował. Ale na to wyszło, że on miał rację.

- Łajno i kał - wymamrotał rotmistrz. Po czym wstał i poszedł nalać sobie piwa. Jeden rzut oka uzmysłowił Debrenowi, że nie powinien o nic pytać. Zbrhl wyglądał jak ktoś, kto przede wszystkim sobie próbuje odpowiedzieć na zbyt trudne pytanie.

- Co jeszcze było niezwykle w obrazie? - Lenda poprzedziła kwestię długim zwilżaniem ust. Język też jej chyba wysechł. - A może... może go nam...?

- Nie! - Przez jakiś czas słyhać było tylko szmer

spływającego do kufła piwa i postukiwanie pokrywami kufrów w głębi domu. Yeżyn musiał przekopywać się przez trzecią, może czwartą skrzynię. Nie zanosilo się na to że za chwilę stanie w drzwiach. Petunka wykorzystala to przeciągając milczenie wystarczająco długo, by obecni zdali sobie sprawę z nieodwracalności jej decyzji. Po czym posłała spokojne spojrzenie Lendzie. - Pytasz o niezwykłości? Jak rozumiem, dotyczące nadmiernej wiedzy malującego? Cóż, mnie najmocniej utkwiły w pamięci dwa szczegóły. Miecze i to, jak na nie patrzy bezczeszczona.

- Miecze? - Znów pytała Lenda. Nie Debren, któremu ta wiedza mogła do czegoś posłużyć.

- Miecze. Dwa. Starego i drugi, jednego z rycerzy. Powiedziałam Rovolettowi, że tamci mnie unieruchomili. Jak byś to namalował, Debren? - Czarodziej nieznacznie wzruszył ramionami. - No tak, nie twoja działka. Wy, magicy, jeśli nawet naszłaby was fantazja osiąść niewiastę wbrew jej woli, subtelniejsze metody znacie. Ale Zbrhl powinien znać to z praktyki. Nie rób takiej miny, miśku: nie zarzucam ci, że sam... Ale jak mi najemnik powie, że nigdy się z czymś podobnym nie zetknął, to mu mogę w ciemno zarzucić, że albo łże, albo żaden z niego najemnik. No więc? Jak to się zwykle odbywa? Mów szczerze.

- W porządnym rotach służę - oznajmił. - Gdzie się byle łajza nie trafi, któren sam, bez wspomaganie się towarzyszymi czy sznurem, nie umie dziewczki sprawić. Ale skoro o różnych dziadów i połamańców pytasz, to proszę. Jak kogo zdobycz raz po raz zrzuca, to się jej dłonie z tyłu wiąże. Co zwykle wystarcza. A w pośpiechu, bywa, jeden pomocnik ramiona nad głowę jej zadziera i do ziemi przyciska. W lesie można szybko i ładnie zdobycz do pni uwiązać. Na dwie linki, co kształt runy „T” daje, albo cztery, co komfortowe „X”...

- Przestań! - Lenda tylko z winy poharatanych nóg nie zerwała się z ławy. - Jak możesz jej takie... takie...?

- W porządku - uspokoiła ją Petunka. - Nie rzadziej mi się to śni niż raz w miesiącu, to i zdążyłam przywyknąć. Więc jeśli ze względu na mnie się oburzasz... Ale racja. Wystarczy. Nie zamierzam nikogo z obecnych po sumieniu szturchać. Mówię tylko, że każdy normalny, dorosły człowiek tak sobie właśnie podobne sceny wyobraża. Może tylko zaczyna od runy „T” z parą kompanów, którzy sznurki i drzewa zastępują, klęcząc babie na łokciach i czekając swojej kolejki. Sznurek, między nami mówiąc, jest przejawem pewniej elegancji. I dobrze o tobie świadczy, miśku, żeś o nim wspomniał.

- Elegancji? - zamrugał oczami Debren. Poczul się nagle mało dorosły i nie całkiem normalny.

- Służy zachowaniu intymności. On, ona i sznury. Po bożemu, bez asysty. Miły gest w stronę gwałconej.

- Masz nie po kolei w głowie - wykrztusiła Lenda.

- Mam tylko odwagę nazywać rzeczy po imieniu. I rzeczowo uzasadniać swe tezy. Poruszyłam te niesmaczne szczegóły, by wykazać, jak absurdalną wydaje się wizja Rovoletta. Ktoś mu łamanym głosem mówi: i oni... oni mnie wtenczas... unieruchomili, a on co z tą skromną wiedzą czyni? On, wystawcie sobie, maluje zakrwawioną pannę, co to pół klęczy, pół leży piersią ku mchom, nadgarstek ma uwięziony między jelcem a głównią wbitego w ziemię miecza, gapi się na zastawę owej główki i duma, czy warto próbować rozciąć sobie żyły o tak tępe żelastwo. Oryginalne, prawda?

Długo nikt się nie odzywał. U Zbrhla zaszło to tak daleko, że nie potrafił skorzystać z uniesionego kubka.

- Orrryginalne. - Drop pierwszy otrząsnął się z wrażenia. Po czym zasugerował: - Sznurrra brrrakło?

- Nie - uśmiechnęła się blado. - Odciągnęli mnie w las, ale obok, gościńcem, akurat taboru jechały. Zresztą i bez pomocy taborów by sobie poradzili. Jak już było po wszystkim, to mnie jeden z rycerzy takim ładnym, jedwabnym sznurkiem do drzewa uwiązał. I choćby stąd wiem, że nie byle ciura mnie



tak... Gwardziści to byli jak się patrzy, nie tylko sprawni w boju, ale i z dobrych rodów. Aha, bom nie powiedziała, że się z tych obok stojących żaden na resztki po dowódcy nie połakomił, ani nawet nie patrzył, jak hańby doznają. Prawdziwi rycerze pełną gębą, nie chamy żadne. No i na koniec jeden mnie związał, choć strategia wyprawy na zaskoczeniu bazowała i świadków pochodu belnickie podjazdy trupem kładły.

- Pamiętasz, jak wyglądał? - zapytał cicho Zbrhl, stawiając kufel przed Lendą. - Herb może? Ozdoby hełmu?

- A... po co ci to?

Osuszył własny kufel, potem trzymał go jakiś czas na wysokości ramienia, jakby zdziwiony obecnością gliniaka w dłoni. Po czym, zaskakując wszystkich, cisnął nim o kominek z siłą, której nie powstydziliby się wściekły gryf.

- Bo ich, skurwysynów, pozabijam!!! - ryknął, w jednym momencie robiąc się czerwieńszy od obranego buraka. - Bo im nogi z gwardyjskich rzyci będę wyrывał!!! Jedną po drugiej!!! W plastry potnę!!! Wywałaszę!!!

- Zbrhl! - Debren poderwał się z ławy. - Opanuj się!

- Jestem opanowany, łajno i kał!!! - wrzasnął rotmistrz, chwytając inną ławę i jednym ciosem o słup roztrzaskując ją na kawałki. - Nie słyszysz?! Toć pytam, który skurwysyn jej nie zabił!!! Bo tego chcę szybko i bezboleśnie ściąć!!! Naostrzonym toporem!!!

Druga ławka zatoczyła łuk, poszybowała ku kominkowi. Zbrhl, daleki od wyładowania emocji, złapał za zydel.

- Oto cały chłop. - Petunka mówiła cicho, głosem nieco zrzędlwym, lecz tak spokojnym, że brzmiało to niemal obraźliwie. - Pomści, potnie, nogi z rzyci powyrывa. Co mu, ma się rozumieć, nie pozostawi czasu na pozbijanie nowych mebli. A potem się zdziwi, kiedy wróci, juchą i flakami po brwi ubabrany, i stwierdzi, że mu dama z wdzięczności na szyję nie skacze. Bo od siedzenia na gołej podłodze wilka

złapała i reumatyzm, a samodzielnie ławy naprawiając, wzięła i sobie stopę siekierą odrąbała. Tacy są, Lenda. Durni, niepraktyczni i jak dzieci uciążliwi. Więc się nie frasuj za bardzo, że ci wolno włosy odrastają. Braki w owłosieniu też bywają użyteczne. Nie trza się, mianowicie, z różnymi kretynami użerać.

Zydel wypadł Zbrhlowi z dłoni, znieruchomiał. Debren, ciut późno, zauważył że Lenda także stoi. Z rozpostartymi ramionami, osłaniając sobą obraz. A Drop wisi, nietoperzową modą, wysoko pod powałą, najeżony, wczepiony pazurami w wybitą przez gryfowe bomby dziurę. Jeden Yeżyn nie zareagował na wrzaski i uparcie przesuwiał skrzynie, szukając zielonej chusty.

- Że... że jak? - wymamrotał niepewnie Zbrhl.

- Przeszło? - zapytała oberżystka ze słodkim uśmiechem. - Bo jak nie, to tam beczka stoi. Za dużo piwa toś w niej nie pozostawił, ale i tak żal serce ściśnie, kiedy ją o ścianę roztrzaskasz. I od razu się wszyscy lepiej poczują. Ja zwłaszcza. Bom głupia była, przez dwadzieścia lat sobie wmawiając, że nic się znów takiego nie stało. Że się z tym żyć da, a nawet, kto wie, może i szczęścia zaznać. Przez co w ciemnocie i nieświadomości samą siebie utrzymywałam. Bo prawdziwe szczęście to siedzieć tu, nowe ławki ciosać i nasłuchiwać, czy jaki podróżny nie jedzie. Którego by można wypytać, czy już pana Zbrhla kaci na belnickim rynku oprawili. I czy jego głowa ładnie się prezentuje, stercząc na tyczce przed zamkową bramą. Albo czy on sam uciesznie nogami wierzgał, kiedy go na pal nabijano. - Dopiero teraz, jednym zdecydowanym pociągnięciem mięśni, zgasiła uśmiech. I poczerwieniała. - Ty kretynie!!! Sama ci w zadek kołek wbiję, jak zaraz tego nie odszczekasz!!! - Nagle, nie wiadomo kiedy, znalazła się przy nim, złapała za brzeg kolczego kaptura. - Nie chcę słyszeć o żadnych zemstach!!! Rozumiesz?!! Odwołaj to albo się wynoś i nigdy nie wracaj!!!

Nigdy, słyszysz?!!

Nie mógł nie słyszeć, zaś najkrótszy rzut oka na jego twarz wystarczał w zupełności do stwierdzenia, jak głęboko jest poruszony. A jednak potrzęsała nim z taką siłą, że niewiele lżejszy od napełnionej beczki rotmistrz musiał drobić stopami, by nie utracić równowagi. Dopiero teraz Debren zauważył, jak wiotka, szczuplutka i dziewczęca wydaje się przy nim oberżystka.

- A... ależ Petunko! - Zbrhl nie miał odwagi poruszyć którąś z rąk. - No co ty?!

- Petunka ma rację - odpowiedziała za gospodynię Lenda. Stała przed obrazem otulona ramionami jak ktoś mocno zziębnięty. - Nawet się do niego nie zbliżysz.

- Do niego? - Chyba wszyscy zauważyli, że użyła liczby pojedynczej, lecz tylko Petunka odważyła się pójść z marszu tym tropem. Debren wołał kląć w duchu.

- Już tylko jeden wchodzi w rachubę - powiedziała cicho Lenda. - I to w dodatku najmniej podejrzany. Nie bronię go, nie myślcie... Po prostu nie widzi mi się, by to akurat on Petunkę... Belnica jest mała, pewnych rzeczy nie da się kryć latami. Ludzie wiedzą, kto głupieje na widok kiecki. On nigdy nie dał się poznać od tej strony. Co innego, przykładowo, Burzybor z Prawina. Ten trzy incydenty graniczne wywołał, na dziewczki po morvackiej stronie polując. Do których to dziewczek potrafił i wdowę zaliczyć, chrust w puszczy zbierającą. Ale Burzyborowi nikt nie wytknął, że w plugawieniu marnie sobie radzi. Czyli to nie on.

- Mówisz... - Zbrhl musiał odchrząknąć - mówisz o gwardzistach pałacowych? Tych znaczniejszych?

Debren zerknął na Petunkę. Jej oczy jarzyły się w bladej twarzy jak para szafirów rzucona na prześcieradło. Ona nie musiała pytać. Już знаła odpowiedź.

- Gwardia - mruknęła Lenda - nie nosi Belochłopa. Bo tak się ów herb nazywa: Belochłop. - Spojrzała na Petunkę i chyba

przestraszona tym, co ujrzała, zaczęła tłumaczyć dla zyskania na czasie: - Historia rodu sięga czasów, gdy w Lelonii się państwo tworzyło, a pierwsze koła stawiane przy drogach płotami trzeba było grodzić, bo je naród ciemny, w pogaństwie chowany, brał za części zamienne do fur, zesłane przez dobrego bożka Traktowida. Za Dagoszka I, krótko mówiąc, rzecz się działa. Do Kotliny Belnickiej przybył wtedy najmłodszy brat Dagoszka. Imię jego się nie zachowało, niestety, bo w całym kraju, od gór aż po morze, jeno dwóch piśmiennych było. W tym jeden mnich na okrągło pijany i nie umiejący dobrze po lelońsku oraz Pazrelita, co ponoć dla temmozan z Irbii po Viplanie szpiegował. Żaden się jakoś nie zainteresował najmłodszym z braci Dagoszka, więc Bezimiennym dla historii pozostanie. Ale u nas, w Belnicy, pamiętają go. Do legend trafił jako założyciel grodu stołecznego. Choć na początku to miał być jeno leloński forcik graniczny.

- Przez dzisiejszą Belnicę granica biegła? - zdziwił się Debren. - Środkiem kotliny?

- To jeden z powodów, dla których księżęta belniccy nie afiszują się z herbem - posłała mu krzywy uśmieszek. - Lud po dziś dzień młodzika sławi za szczodry gest i fantazję. Czyli klasyczne cechy pijaka. Bo pił. Nałogowo, u najmłodszych synów płodnych władców to częsta przypadłość, a musicie pamiętać, że ojciec Dagoszka poganin był pełną gębą i żon miał na pęczki.

- O herbie miałaś... - upomniał się Zbrhl. Petunka nie była do tego zdolna: wyglądała jak typowa ofiara wstrząsu bezpałowego. Osunęła się na ławę, tylko przypadkiem nie trafiając pośladkami w pustkę i nie lądując na podłodze.

- Toć mówię - wychrypiała dziewczyna. Wyglądała lepiej od gospodyni, ale gorzej niż Zbrhl. Chrypka chroniła jej głos przed drzeniem, lecz ramiona opasujące tułów nie radziły już sobie tak dobrze i od czasu do czasu jej ciałem wstrząsał

krótki dreszcz. - Gorzałki jeszcze nie znano, więc książę musiał dużo pić, by gorycz beznadziei z duszy wypłukać. Brzuch mu od tego urósł, jak to piwoszowi. Co go uratowało. Bo kiedy już miejsce pod warownię wybrano, jemu miał przypaść zaszczyt wkopania pala węgielnego. Ale że wieczór zapadł, ceremonię odłożono do rana. No i Bezimienny, jak to on, pochłał. I po pijanemu, w środku nocy, polazł nad potok, by przed ceremonią poćwiczyć. I usnął. A gdy się obudził, leżał mokry i ubłocony czterdzieści mil dalej, już nad rzeką Kłódką, w miejscu, gdzie zamek książęcy dziś stoi. Spod góry Czarnuchy aż tam go woda poniosła. Wraz z belką, którą na herbie uwidoczniono i która, jak się domniemywa, uchroniła Bezimiennego przez zachłyśnięciem. Serdeczny był chłop, jak to trunkowi, więc się pewnie przytulił i...

- Powiedz to w końcu - przerwała jej zbolalym głosem Petunka. - Skoroś zaczęła... Chcę to usłyszeć.

Lenda skinęła głową.

- Sama widzisz: nie jest to typowa historia z herbarza. Chwalić się nie ma czym. To znaczy: mierząc dzisiejszymi standardami. Kiedyś inaczej to widziano, więc herb zarejestrowano w spisach heraldycznych. Starożytny jest, wobec czego się go ród trzyma, ale już za Aleryka zaprzestano jego stosowania w codziennej praktyce. Pozostał jeno w starych dokumentach, których nie sposób przerabiać, bo tracą ważność, i na paru precjozach, też za cennych, by je przetopić czy zezłomować. Ich lista jest dość krótka: dwie zbroje, miecz Leomira i urynał Hanka I, Wielkim zwanego. No i, ma się rozumieć, insygnia książęce.

- Urynał? - powtórzył z niedowierzaniem Debren.

- Albo nocnik, jak kto woli. Nie rób takiej głupiej miny. Wszystkie wymienione przedmioty zachowano dlatego, że przynosiły użytkownikowi szczęście, dawały siłę względnie przydawały prestiżu.

- Nocnik należy do kategorii...?

- Pierwszej i drugiej. Hanko z cherlaka i głupawego popychadła na największego z naszych władców wyrósł ponoć właśnie dzięki temu, że z urynału korzystał. Tłumaczy się to korzystnym wpływem złota i drogich kamieni na twardość monarszego zadka i rozrost ambicji. Że niby obcowanie z nocnikiem, który jest raczej ładny niż wygodny, wyrobiło w małym cechy władcy doskonałego. Moim jednak zdaniem magia to sprawiła, którą, nie wiedzieć czemu, mag nadworny akurat w urynał wpakował.

- Odrrrażające - skomentował krótko Drop.

- Ale mądre i skuteczne - zaproponował Debren. - Okres nocnikowania najlepszy jest, by dziecko ulepszać mutacjami. Malec już jest silny, a jeszcze młody. No i dawkowanie wymarzone. Regularne seanse, otwarta droga w głąb ciała, naczynie ogniskujące... Wybaczcie - skończył, zorientowawszy się, jak mało przychylnie stały się spojrzenia obecnych. - Więc, powiadasz, herb jest na urynale?

- Też - mruknęła Lenda. - Ale nas interesują, jak rozumiem, te na zbrojach. Belochłop z kirysa... no, tego, co to go Rovoletto namalował.

- Ojca Vaclana - mruknęła Petunka. - Nie wiem, czym dobrze pojęła. Chcesz rzec... był księżęcej krwi?

- Jeśli cię zdybał latem, wśród jagód - Lenda spojrzała jej w oczy - to musiało być w 9. Gwadryka zwał Palisadą, bo nigdy granicy nie przekroczył. Na Rumperkę dlatego jeno najazdy osobiście prowadził, że jego zdaniem miasto Belnicy się należy i w granicach księstwa się znajduje, tyle że pod okupacją.

- Łajno prawda! - oburzył się Zbrhl. - Rumperka od zawsze morvacka była! Tb wyście ją krótko okupowali za...

- Mówię jeno, co Gwadryk myśli - wzruszyła ramionami. - O polityce nie będę z tobą gadać. A wracając do księcia: i na Rumperkę pomaszerował ledwie parę razy, według pór roku można by te wyprawy liczyć. Pierwszy raz wiosną poszedł,

jeszcze za demokratycznego reżimu, w 7. W marcu bodajże...

- W kwietniu - przerwała jej półgłosem Petunka. Nie patrzyła na nikogo. - Mama... mama mi opowiadała o tamtym najeździe. Kwiecień, na pewno.

- Jako prosty oficer służył. - Lenda skinęła głową, dając znak, że przyjmuje poprawkę. - Z tych trzech pozostałych mężów książęcej krwi o dwóch wiem, że też ich wtenczas demokraci w kamasze zagarnęli, jak to szlachtę, do wytracenia w wojnach chętnie używaną. Ale nie o tej wyprawie mówimy - wzruszyła ramionami. - I Belochłopa też nikt raczej na pancerzu nie miał.

- Skąd wiesz? - zainteresował się Zbrhl.

- No... wnioskuję. Mówiłam: poza dwiema zbrojami księcia, żadna Belochłopem zdobiona nie jest. I nie była. A już na pewno nie za demokratów. Cud, że tych dwóch zabytkowych pancerzy do zeszlifowania nie oddali, boć to symbole niesłusznego feudalizmu. Ale że legendy się z nimi wiążą zwycięskich wodzów, no to je pod kluczem rząd trzymał na czarnej godzinę. By w razie czego kogoś z książęcego rodu ubrać, jako marionetkę na czele wojsk postawić i dmąc w patriotyczną trąbę, mobilizować zwolenników dawnego systemu. Nie wiem, czy w 7 pozwolono Gwadrykowi nałożyć zbroję po pradziadach, ale nawet jeśli, to jemu jednemu. Żaden z kuzynów na pewno nie dostał drugiej. Cała trójka z wojowniczości słynęła. Nie to co Gwadryk, w klasztorze chowany. Dać takiemu Burzyborowi kirys Hanka Wielkiego, a wnet za miecz by chwycił i się władcą obwołał. Nie, tacy głupi to demokraci nie byli.

- A gwardia? - przypomniała Petunka. - Mówiłam już: moja matka zapamiętała herb. Właśnie z 7 roku. Nigdy później już go nie widziała. Ja tak, ale nie ona. Więc w 7 musiała tu być i gwardia. Masz nieścisle informacje.

- Twojej matce coś się pomyliło - stwierdziła spokojnie Lenda. - Sama pomyśl: jaka gwardia książęca, skoro nie ma ni

księcia, ni nawet księstwa? Republikę mieliśmy, jak i wy w Morvacu. Słyszałaś, by w republikach gwardie funkcjonowały? W dodatku znakujące się herbami obalonych feudałów?

Petunka zamarła z lekko rozchylonymi ustami. Wyglądała jak ktoś ponownie zdzielony w głowę niewidzialną, za to potężną pałą. Debren zmarszczył brwi, zaczął się nad tym zastanawiać. Ponury jak noc Zbrhl wyjął zza pazuchy kamień, w roztargnieniu ostrzył berdysz.

- Tak więc - westchnęła Lenda - w grę wchodzi czterech mężów z książęcego rodu. Tyłu ich latem 9 rysopisowi mogło odpowiadać. Nie wiem, który cię skrzywdził. Gwadryk miał do kuzynów stosunek wzorowany na demokracjach: starał się wysyłać ich na każdą wojnę, by wyginęli i przestali stanowić potencjalne zagrożenie. Co mu się zresztą udało. Dziś on jeden z całej czwórki ostał. Ale latem 9 na owej wyprawie byli chyba wszyscy czterej. Demokracja niby nadal panowała, ale chwiała się już, a panowie z wielkich rodów mocno jej w tym pomagali. Więc możliwe, że cała czwórka wystąpiła w pancerzach z Belochłopem. Republika już nie była w stanie zakazać jego używania, a księstwo jeszcze nie, bo, póki co, w drugim obiegu jeno funkcjonowało. W dodatku nikt nie wiedział, kto tron weźmie, jak już wolność i feudalizm nastaną. Więc możliwe, że się cała czwórka w książęcy znak zaopatrzyła, by prestiż sobie u ludu podbudować. Bez urazy, Petunko, ale nie zdziwiłabym się, gdyby i to twoje nieszczęście z politycznego kunktatorstwa, nie chuci się wzięło.

- Nie z chuci?! - Urażony poczuł się Zbrhl. - Chcesz powiedzieć, że nie była warta szczerego, spontanicznego gwałtu?! Ślepa jesteś?! Jeno spójrz na ten obraz! Albo na nią samą! Toż to... - Rotmistrz zorientował się w końcu, co robi, i czym prędzej powrócił do szlifowania ostrza oselką. Nie na tyle szybko jednak, by przegapić rumieniec Petunki. I - tego



już Debren nie był pewien - coś jakby błysk satysfakcji w jej oczach.

- Petunka była śliczna i dalej jest - przyznała z lekkim westchnieniem Lenda. - Nie o to mi szło. Chciałam rzec, że posunięty w latach kandydat do tronu mocno by zyskał w oczach elektorów, gdyby zaraz po przekroczeniu granicy z kulbaki zeszkoczył i jakąś morwacką pannę zniewolił. Takie gesty dowodzą siły i jurności, mile u kandydatów widzianych. A że „Cnotka” najbliżej granicy... Bez urazy. Może być tak, że po prostu pierwsza na szlaku się trafiłaś.

- Komu? - zapytała cicho gospodyni.

- Niby skąd mam wiedzieć? - burknęła Lenda. Za cieniutką warstwą opryskliwości kryło się zakłopotanie, może nawet poczucie winy. Bo chyba chciała wiedzieć. I podzielić się tą wiedzą. Jej skierowane na Petunkę spojrzenie, choć chmurne i jakby obolałe, było zarazem miękkie. Przyjazne. Może nawet bardziej niż przyjazne. Do tego stopnia, że Debren przypomniał sobie głupawą odzywkę Zbrhla: tę o babofilii wśród czarownic.

- Jesteś prawdziwą kopalnią informacji o belnickim dworze - powiedziała powoli złotowłosa. - Wiem, że to głupie... Ale w ten herb z belki i człeka też długo nie wierzyłam, a teraz... Debren?

- Tak?

- Jeżeli była w tym magia... albo może wola Boga... Herbu też Rovoletto nie widział ani mieczy, a jednak... Więc chyba nie jestem całkiem durna, dopuszczając, że i twarz gwałciciela... że ją też prawidłowo...

- Zaraz. - Lenda nie tylko weszła Debrenowi w słowo. Weszła mu też w drogę, podrywając się z ławy i stając przed zaskoczoną Petunką. - Zaraz... Był w przyłbicy. Tak mówiłaś: w przyłbicy.

- Wiem, com mówiła. - Petunka też wstała, co nie uchroniło jej od spoglądania w górę. Przez chwilę przypominały

Debrenowi matkę i córkę, tyle że w odwrotnym niż do tej pory przyporządkowaniu ról: to ta niższa, tłumacząca się, była teraz dzieckiem. - Ale na obrazie Rovoletto odsłonił mu część twarzy. - Przełknęła ślinę, popatrzyła na Debrena. - Jeśli to wszystko wielcy panowie, cała czwórka, to może gdzieś się konterfekty zachowały?

- Pokaż mi go - przerwała jej Lenda. Łagodnie i stanowczo zarazem. - Pokaż mi ten obraz.

- Nie! - rzuciła odruchowo gospodyni. Dopiero potem zastanowiła się i już spokojnie powtórzyła: - Nie.

- Jeśli chcesz wiedzieć, to powinnaś. A widzę, że chcesz. Każdy by chciał. Krew to krew.

- Nie wiem, o czym mówisz - mruknęła Petunka, nie siląc się na bycie wiarygodną.

- Powiedz jeszcze, żeś się nigdy nie zastanawiała, kim był i co by zrobił, gdyby dowiedział się o synu. - Petunka zignorowała wezwanie, wpatrując się tępo w swe dłonie. Lenda westchnęła i dokończyła dziwnie błagalnym tonem: - Pokaż mi go. Może będę mogła wam pomóc.

- Poniechaj jej - burknął Zbrhl, nie zaprzestając zgrzytania osełką. - Trzech nie żyje, czwarty tego nie zrobił. Historia zamknięta. Nie pchaj palucha w blizny.

- Nieraz lepiej rany otworzyć - powiedziała cicho.

- To w swoich podłub.

- A myślisz, że...? - urwała. I, jakby rozzłoszczona, chwyciła Petunkę za ramiona. - Do cholery, przecież chcesz tego! Wiem, że chcesz!

- Tak? - Złotą głową szarpnęło gniewnie, błękitne oczy posłały w górę wyzywające spojrzenie. - A to ciekawe. Bo ja, wystaw sobie, nie wiem. Więc może mnie oświecisz?

Debren miał nadzieję, że dziewczyna zrozumie, jak niewiele miało to wspólnego ze szczerą propozycją. I chyba nie zawiódł się na wyczuciu Lendy - zawiódł się na jej takcie. Albo instynkcie samozachowawczym.

- Vaclan jest kaleką - wypaliła bez ogródek. - Żadna kobieta nie zwiąże się z kaleką bez pieniędzy i perspektyw. Co innego, gdyby chłopak okazał się książęcym synem. Choćby jeno nieślubnym i choćby ojciec z bocznej linii pochodził. To już nadzieje stwarza, prawda? A tego wam obojgu trzeba: nadziei. Człowiek wszystko zniesie, póki trochę jej ma.

- Milcz - rzuciła przez zęby poczerwieniała Petunka.

- Nie. - Lenda zignorowała i ją, i zasysającego powietrze Debrena, i złego nie na żarty Zbrhla, który wykonał ostrzegawcze pół kroku w ich kierunku. Stała z dłońmi zaciśniętymi na dziwnie wiotkich ramionach oberżystki, jak nigdy przedtem podobna do matki wbijającej w umysł krnąbrnego dziecka trudne życiowe prawdy. W jej rozpalonych oczach gniew mieszał się z lękiem i poczuciem bezradności. - To twój pierworodny. Czasem go nienawidzisz. Chciałaś się go pozbyć, gdy zaczął ci rosnać pod sercem. Może i potem życzyłaś mu śmierci. Każdą splugawioną nachodzą takie myśli. Każdą. To, co ci wśród jagodzin zrobili... A potem poszedł na gryfa, poszedł matki bronić i już do końca życia będziesz sobie stawiała pytanie, czy tamte złe myśli sprzed lat... czy przypadkiem...

- Lenda... - jęknął Debren błagalnym tonem. On jeden był w stanie wypchnąć słowa z gardła. Zbrhl, przynajmniej przez chwilę, sprawiał wrażenie zdolnego do rozrabiania dziewczyny na pół, od głowy aż po krocze. Petunka wyglądała na kogoś, kto prawie ucieszyłby się, gdyby berdysz chybił i to jej się dostało. Ale oniemieli oboje jednakowo.

- Z tą winą możesz jeszcze żyć. - Dopiero teraz Debren dopatrzył się bólu w zielonkawych oczach Lendy. Był inny niż ten zastygły w oczach błękitnych, ale przecież był. Może dlatego Petunka nie próbowała się wyrwać z uścisku, nie kwitowała niewidzialnych ciosów klątwą czy pięścią. - Bo tak naprawdę żadnej winy nie ponosisz; nie wolno karać za myślenie. Ale teraz na złych myślach się nie skończy. Zrobisz

coś albo czegoś zaniechasz. I jeśli zaniechasz, a Vaclan targnie się na swe życie, już nigdy sobie nie darujesz bierności.

- Przytrzymaj ją - wycharczał Zbrhl, sięgając do bioder i odpinając klamrę pasa. - Przytrzymaj, Debren. Dupę tak gówniarze spiorę, że przez miesiąc...

- I jeszcze ci powiem - Lenda zaczęła mówić odrobinę szybciej - że w końcu to zrobisz. Pognasz do Belnicy, będziesz szukać twarzy z obrazu Rovoletta. Bo to jakaś nadzieja, a ty jesteś matką, kochasz go i potrzebujesz każdej odrobiny nadziei dla swojego dziecka. Więc machniesz ręką na wszystko, na rozsądek, na gryfa i klątwę, pójdiesz w góry i już z nich nie wrócisz. Bo jeszcze się tak nie zdarzyło, by spadkobierczyni stąd odejść zezwolono, prawda? - Petunka pochyliła głowę, umknęła spojrzeniem ku bosym stopom dziewczyny. - Wiem, że prawda. Vaclan jest w Ołomuciu, całe dni sam z brzytwami, sznurami czy okienkami do wyskakiwania, a ty tutaj. To mówi wszystko. Nie siedzisz przy nim, nie ściągasz go tutaj... bo nie możesz. Tylko dlatego. Żadna z was nie mogła wytknąć nosa poza najbliższą okolicę. Inni tak, ale nie spadkobierczyni. Mam rację? - Petunka nie odpowiedziała, ale też pytanie nie wymagało odpowiedzi. - Ty kretynko... Dobrze wiesz, że nawet do granicznych kopców nie dojdiesz. To byłoby samobójstwo. Nędzna, tchórzliwa ucieczka, a nie próba ratowania Vaclana.

- Lenda, ja nie żartuję! - rzucił ostrzegawczo, choć też jakby ciut płaczkliwie Zbrhl. - Przestań się nad nią pastwić!

- Widywałam ich. Wszystkich... - dziewczyna zawahała się, by zaraz potem dokończyć twardo: - Wszystkich czterech. Belnica to maleńkie księstwo, nie to co wasze królestwo. Rozpoznam, który cię tak... Pozwól mi.

- Nie. - Petunce udało się przepchnąć słowa przez ściśnięte gardło. - Nie... nie mogę.

- Możesz. Do cholery, matką jesteś. Więc możesz. Gdybym ja kiedykolwiek... Możesz. To i dużo więcej.

Chciała mówić dalej, lecz umilkła, kiedy Debren chwycił ją za łokieć i pociągnął na bok, ku szynkwasowi. Magun był zły i musiał uważać, by nie przewrócić utykającej na obie nogi dziewczyny. Ale zdążył zauważyć skok Zbrhla ku zwolnionym nagle ramionom oberżystki. Wielkie łapska niemal od razu wepchnęły się na miejsca, ciepłe jeszcze ciepłem dłoni Lendy.

Potem nie oglądał się za siebie. Całą uwagę skoncentrował na pociemniałej twarzy przypartej do szynkwasu dziewczyny. Było w niej więcej gniewu niż skruchy, ale już niżej, gdzie nie spojrzenia, a ciała mierzyły się ze sobą, jego palce nie natrafiły na jeden choćby oporny mięsień.

- Co ty wyprawiasz? - wysyczał. - Rozum ci odjęło?

- Oni zginą. - Dostosowała się, też mówiła szeptem, choć bez odrobiny pokory. - Oboje. Założę się, że Vaclan żyje wyłącznie dla niej. Że tylko ona powstrzyma go...

- Założysz się?! Lenda, na oczy go nie widziałaś! Nic o nich nie wiesz, to obcy ludzie! Jakim prawem się wtrącasz?

- Bom go nie widziała, a chcę zobaczyć! Starczy ci takie wyjaśnienie? Bo mnie Petunka chciała z rąk Inkwizycji odbijać, choć ty czarodziej jesteś, a Zbrhl niewiele od tego zasranego gryfa delikatniejszy! Bo ją lubię! I nie chcę, by w idiotyczny sposób zginęła! Takim prawem, ty durny mędrku! Na siebie popatrz, jak o prawo do pomagania pytasz! Ja goło za obcą babą w las pogałam?! Zimą?! Na pewną zgubę?! Ja?! Znalazł się, neutralny z natury...

- To... to co innego. Tam człowiek potrzebował pomocy. Nawet nie człowiek - poprawił się, uradowany znalezieniem argumentu. - Za tobą polazłem. A i ty nie miałaś nic przeciw...

- Łajno prawda! Nie wiedziałaś, że to ja, a ja miałam coś przeciw. Akurat ty nie masz prawa wytykać mi pchania nosa w cudze problemy. Zbrhl co nieco mi o tobie opowiedział. Wiesz, dlaczego tak po rzyci bierzesz? Bo serce masz chorobliwie miękkie. Małż, psiakrew, nie serce.

- Zbrhl to kretyn - rzucił ze złością. - Ale nawet on w końcu

się zorientuje, co pasem tłucze. I wyżej lub niżej zacznie mierzyć. A tam blach nie masz. Więc lepiej zamknij się i nie włącz z buciorami w...

- Z brudnymi giczołami, jeśli już. Bo w buty, a nawet buciory, nie wchodzę. Mało subtelna się urodziłam, nic na to nie poradzę. Prostaczka ze skórą jak na podeszwy. Co w głowie, to na języku. Więc daruj sobie. Nie będę stała i patrzyła, jak ta idiotka samą siebie krzywdzi. Możecie mnie ze Zbrhlem na przemian trzymać i lać, a swoje i tak powiem. A ty się dudkaj.

Wyglądało na to, że przypadek jest beznadziejny. Być może próbowałyby dalej, ale wybiła mu broń z ręki tą miękkością pod palcami. Dotykał jej, czuł aż za dobrze, jak pokornie poddaje się jego dłoniom. Wystarczyłby lekki nacisk, a osunęłaby się na kolana. Mógł zrobić wszystko z jej ciałem, mówiło mu o tym niemal otwarcie, a zarazem nie mógł nawet o ułamek cała nagiąć woli, która w owym ciele siedziała i która nim rządziła. Aż mu zawirowało pod czaszką, kiedy to sobie uświadomił. Przez chwilę była najdoskonalszym z istniejących w naturze zestawieniem przeciwieństw i Debren skapitulował w obliczu tego fenomenu równie naturalnie, jak skorupka jajka skapitulowałaby przed berdyszem Zbrhla.

Cofnął dłonie, ale nie od razu znalazł w sobie dość siły, by cofnąć się samemu. Stali blisko. Mógł łudzić się, że czuje bijące od niej ciepło, a lekki ucisk w dole to nie tylko but, ale i któryś z palców jej bosych stóp na bucie.

Pomyślał, że nigdy nie będzie jego. W ten sposób, w który kobieta powinna być. I nagle zrozumiał, o czym mówiła. Zrozumiał ten kawałek o nadziei.

Uśmiechnęli się do siebie. Samymi oczami. Dopiero teraz do jego świadomości zaczęły się przedzierać na poły gniewne, na poły zatroskane pomruki Zbrhla.

- ...zazwyczaj chętniej bękartowi nóż podaruje niżli sakiewkę. Z ojcem może i coś byś wskórała: krew to krew, a i

udowadniać nie trzeba tyle, bo takiej jak ty żaden by nie zapomniał. Ale akurat tego, co prawdę znał, nie ma już wśród żywych. Pozostali jeno konkurenci do spadku. Więc proszę cię: zapomnij o tym. To marny pomysł.

- Wiem, miśku. - Ten głos był smutny i zaskakująco miękki.

- Wiem. Ale nie mam innego.

- Nie kupisz mu miłości. Twój jest, tyś go wychowała, więc pewnie jest mądry i doskonale to wie.

- Przecież nie mówię, że... Nie rób takiej miny. Może nie doczekamy świtu. Może wszystkich nas Pisklak... Po co się martwić na zapas?

- To znaczy... Ale nie pokażesz jej obrazu? Petunko?

Nie odpowiedziała. Patrzyła zza jego łokcia na kuśtykającą w jej stronę Lendę. Debren, ośmielony zachowaniem dziewczyny przy szynkwasiu, objął ją w talii.

- Jeżeli Rovoletto był tak dobry jak tu - wskazała obraz z panną odzianą w lilię - to chyba wiem, dlaczego nie chcesz, by ktoś oglądał płótno. Rozumiem to. I damę słowo, że spróbuję widzieć jeno twarz pod hełmem.

- Serca nie masz - stwierdził z wyrzutem Zbrhl. Cofnął jedną rękę, ale druga pozostała na ramieniu gospodyni.

- Burzybor nigdy się nie ożenił - zignorowała go Lenda. - Łeb by mu najbardziej wyrozumiała urwała za te wszystkie baby. Więc odkładał na później i się legalnego potomka nie doczekał. A i o nielegalnych głucho, bo ekspertem od antykoncepcji był. A może po prostu organizm nie nadążał... No, w każdym razie ładny spadek nadal na spadkobiercę czeka. Gdyby to on, daj Boże... Jego ojciec mocno ponoć od sklerozy skretyniał. Gdyby tak Vaclana za wnuka uznał, choćby i z nieprawego łoża...

- Wystarczy - przerwała jej oberżystka. - Jak drzazga w tyłku jesteś, smarkulo. Współczuję twojej matce. Ale masz rację. Jestem to winna Vaclanowi. Może nawet całej rodzinie. Więc chodźmy, i tak miałam w tamtą stronę... Właśnie mi się

przypomniało, że tej zielonej chusty już nie mam. Imć Drop, palcem nie wytykając, podpieprzył ze sznura po praniu. Trzeba powiedzieć Yeżynowi, by nie szukał. Chodź, siostró. Możesz się wesprzeć o moje ramię. Więc, powiadasz, dziadunio całkiem sklerozą porażon?

Zbrhl po raz trzeci odsunął kufel, otarł pianę z wąsów, posłał magunowi mroczne spojrzenie. Debren założył się sam ze sobą, że i tym razem obejrzy powtórkę cyklu: wahanie, kurek, osuszanie kufła, ale był w błędzie. Podobnie jak Yeżyn, który jedną ręką sięgał już ku baryłce, a drugą wyciągał w stronę rotmistrza. Kufel, zamiast w dłoni oberżysty, z hukiem wylądował na stole.

- Co to żem miał...? - Zbrhl podrapał się w kark. - Zaraz... A, wiem. - Posłał Debrenowi sztucznie obojętne spojrzenie. - Z tym przysłowiem, że niby do trzech razy sztuka... Konkretnie jak to właściwie jest?

- Z przysłowiem? - Debren nie potrafił zatrzymać wędrujących w górę brwi. - Chodzi ci...?

- W całym Viplanie je powtarzają, więc chyba jakieś ziarno prawdy w tym tkwi. Tyle że nie za bardzo wiem, jak to dokładnie rozumieć. Że niby jak coś się trzy razy, dajmy na to, popieprzy, to już zawsze tak...? Czy może na odwrót: od czwartego razu dobrze pójdzie? Co, Debren?

- Jak się dwa razy uda, to i trzeci raz też - wyręczył czarodzieja Yeżyn. - Takowa jest wykładnia. No... chyba.

- Chyba to sobie możesz... - rotmistrz zdołał powstrzymać gniew. - Psia jucha, wybacz, Yeżyn. Złość mnie od tego czekania bierze. No i nie całkiem o tom pytał. Że po dwóch trzeciej przychodzi, to akurat wiem. Co do czwartego mam wątpliwości.

- Można wiedzieć - zapytał ostrożnie Debren - dlaczego cię to interesuje?

- No... nudzę się - zełgał nie bardzo przekonująco Zbrhl. - I z tych nudów tak mi się jakoś pomyślało.



- Rozumiem. Hmm... Przyznaję, że nie słyszałem, by ktoś się w ów problem wgryzał fachowymi metodami. Widać mało kogo tak głęboka nuda dopadła. Ale bo też i gryfów w świecie niewiele. Rzadko się zdarza, by kogoś w oberży oblegały. A jak już, to jeszcze muszą na tego zucha trafić, co zamiast ze strachu nogawki moczyć...

- Czy ty aby ze mnie nie kpisz, Debren?

- Jenó z nudów - wyszczerzył zęby magun. - A po prawdzie to dla odpędzenia senności. Czuję, że jak tylko przestanę gadać, mocniej od Henzy zasnę. Nie masz pojęcia, jak męczy czarowanie. Bólu łba da się uniknąć, ale na senność nie ma mocnych. Kiedyś, pamiętam...

- O trzech razach mówiliśmy. Nie ponaglam - rotmistrz obejrzał się, sprawdził, czy kobiety nie wracają - ale gdybyś raczył odpowiedzieć, póki sami jesteśmy...

- Póki sami jesteśmy - powtórzył Debren - to mógłbyś wyjaśnić, o co naprawdę chodzi. - Nie dał Zbrhlowi czasu do zastanowienia. - Założę się, że o gryfa pytasz. Na moście się starliśmy, potem jak do łaźni szedłem, a trzeci raz, gdyśmy wracali z Lendą. Więc pewnie zastanawiasz się, czy aby limitu szczęścia nie wyczerpaliśmy.

- Wy? - Ukrytą pod zarostem twarz wykrzywił trudny do zaklasyfikowania grymas. Debren mimo wszystko podjąłby próbę, ale nagle skończył im się czas. Drzwi poruszyły się, blask pochodni zatańczył po złocie i błękicie.

- Ano my - posłał uśmiech nad ramieniem Zbrhla. - Bo ty masz na koncie jedną walkę i jakieś ułamki. Więc się nie musisz martwić. Nawet gdyby czwórka odmianę znaczyła. W co wątpię, szczerze mówiąc. I bez magii, na zwykły chłopski rozum, prędzej się jakaś reguła po raz czwarty i następne potwierdzi, niż nagle odmieni.

- O czym mówicie? - zainteresowała się Petunka. Starła się sprawiać wrażenie beztroskiej, ale wyraźnie przedobrzyła: nie nabrała nawet prostodusznego Yeżyna. I on dołączył do grona

ponuraków, którzy przyłgnęli wzrokiem do kobiecych twarzy. Inna sprawa, że szybko wszystkie trzy spojrzenia przeniosły się na Lendę. Która, niczego nie udając, blada i rozkojarzona, ciężko opadła na ławę.

- Mówię, że z naszej trójki Zbrhl ma najmniej powodów do obaw - wyjaśnił Debren. - To znaczy: jeśli ludowym mądrościom wierzyć. - Odczekał chwilę, po czym, już innym tonem, zapytał: - No i... i co?

Petunka wzruszyła ramionami, wskazała wzrokiem dziewczynę. Nadal próbowała się uśmiechać, lecz powoli przegrywała z tężejącymi mięśniami twarzy. Lenda siedziała ze zwieszoną głową, bez odrobiny kobiecej gracji, której przedtem nie były w stanie pozbawić jej ani męskie portki, ani rany czy zwichnięcia.

- Fikcja artystyczna? - bardziej stwierdził niż spytał Zbrhl. - Wiedziałem. Świat jest realny, pomijając drugorzędne sztuczki magików. Co, Debren? Całe to pieprzenie o wizjach, sztukach do trzech razy... - Nie dokończył, zastępując wniosek splunięciem. - Wyglupiłaś się, kozo.

Lenda powoli uniosła twarz. Przyglądała mu się dziwnym, nieobecnym spojrzeniem, od którego Debrenowi ścierpła skóra. Niemal ucieszył go widok łez, rozlewających się po znieruchomiłych tęczęwkach. Nie było tego wiele, ale ta odrobina wilgoci znów uczłowieczyła dziewczynę, sprowadziła do nich, na ziemię.

- Czwarty raz - powiedziała cicho, niemal szeptem. - Coście o czwartym razie mówili? - Zbrhl patrzył jej w twarz, ale odpowiadać nie zamierzał. - Debren?

- Takie tam... mielenie językiem. - Nie spuszczał z niej wzroku. - Nudę zabijaliśmy. Lepiej powiedz...

Przerwała mu w najmniej oczekiwany sposób: dźwigając się z ławy. Poruszała się z pomocną ręką Petunki owiniętą wokół talii, wsparta znowu na niższej od siebie towarzyszce jak na kuli. Debren nie odważył się założyć jej porządnych, stałych

blokad. Ból nóg narastał, chodzenie sprawiało dziewczynie coraz większą trudność. I oto wstała, płacąc za to gryzieniem wargi.

- Musimy pomówić - oznajmiła.

- Usiądź - poprosił. - Tu też możemy rozmawiać.

- Nie możemy - zaczęła kuśtykać ku drzwiom kuchni. Tyłem. Nie była pewna, czy pójdzie w jej ślady. - Prostaczka jestem, to wprost powiem: w cztery oczy chcę z Debrenem pogadać. Jak wam z tym lżej będzie, to przyjmijcie, że się dudkać idziemy gdzieś na boku.

- Lenda - jęknął. Ale przez ławę przelazł od razu. Zaczekała na niego w progu kuchni, zatrzasnęła drzwi. Dopiero wtedy jej chmurne spojrzenie zmiękło, zdziecinniało. Zaskoczony, niemal ogłupiały Debren został znienacka opasany parą ramion. Zimny i jakby mokry nos wcisnął mu się między szyję a kołnierz. Wciąż lekko wilgotne włosy peruki oblepiły pół twarzy. Pachniały dziwnym bukietem dymu, wezyrackich wonności i nawiedzonego przez myszy kufra. Lendą nie. Ale i tak natychmiast poczuł ciepło, spływające w dół brzucha ciężką, gęstą falą.

- Nie wiem, co robić - szepnęła, wdmuchując mu pod kaftan mieszaninę rozgrzanego powietrza, niepewności, obaw, lecz i ulgi. Tej ostatniej było najmniej, ale była. Debren wiedział, skąd się brała. Uścisk Lendy trudno było nazwać symbolicznym.

- No co ty... księżniczko... co ty wyprawiasz?

- Za głupia jestem, nie na mój rozum... - mruczała, nie odrywając nosa od jego ramienia. - Zbrhl o przodków pytał, prawda? O Kusego, dziadka, tego trzeciego... Wiem: zabronił mówić. Wiem. Ale urok na ciebie rzuciłam. Mój jesteś, włosami w poduszce ogłupiony. Więc powiedz. Co zechcesz, zrobię. Ale muszę wiedzieć, rozumiesz?

- Dżuma i syfilis... Czy rozumiem? Za kogo mnie masz: za telepatę-cudotwórcę?! Ni cholery nie rozumiem!

- Nie łyj. Dobrze wiesz, o co pytam.

- Nie wiem - jęknął. - Ogłuchłaś?

- Mówiłeś, że mnie kochasz. Nie okłamuje się ko... - nie dokończyła. Przez chwilę stali w bezruchu, jednakowo sparaliżowani bólem.

Debren był mężczyzną i czarodziejem. Pierwszy wziął się w garść.

- Obietnic się nie łamie - wymruczał, szukając ustami jej ucha pośród szorstkości sztucznego włosia. - Nawet dla kochanki. Ale ja niczego Zbrhlowi nie obiecałem. Nie było powodu. O przysłowiu mówiliśmy. Słowo.

Wierzyła mu, jeśli miarą wiary może być podstawianie ucha pod pocałunki i pomrukiwanie godne pieszczonego kota. Ale właśnie dlatego na jednym słowie się nie skończyło. Debrenowi było wstyd, bał się, że uzna to za wykręcanie się od odpowiedzi, więc w przerwach między wyprawami z ucha na szyję i z powrotem lekko zdyszonym głosem gładko wypowiadał się z wszystkiego, co usłyszał i wszystkiego, co mu w związku z tym przyszło do głowy. Zdumiał sam siebie, bo to, co mówił, brzmiało logicznie. Przynajmniej w tych rzadkich chwilach, gdy udawało mu się rozumieć własne słowa. Za wiele takich nie było. Nie poniosło go tak jak w łaźni, na tej zaczarowanej desce, w którą wsiąkła jakoby krew Ledoszki. Nie zawędrował nawet w połowie tak daleko. Ale na swój sposób posunął się dalej. Po raz pierwszy zachowywali się jak prawdziwa para, umykająca poza zasięg ludzkich spojrzeń i zaczynająca się z miejsca całować. Bo i jej usta nie próżnowały. Czuł je na szyi, dolnej szczęce, obojczyku. Nie próbowała posuwać się dalej, może dlatego, że i on nie próbował, ale mimo tych znamion rozsądku byli kochankami i nikt nie mógł podważyć tej oczywistości. Gdyby nie blachy skuwające jej biodra, tu i teraz sięgnąłby w dół, zadzierając spódnicę. A ona opasałaby go pospiesznie swymi długimi nogami, zawisła między jego napierającym ciałem a

szorstkością drzwi. Wiedział, że tak by się stało, ona wiedziała o tej jego wiedzy i dlatego było to takie niezwykle.

- Ona też nie żądała obietnic - usłyszał szept Lendy. Odsunęła się nieco, akurat na tyle, by być słyszaną i chyba ani o włos dalej. - Zaufała mi. Ale muszę... Co ci Zbrhl powiedział o tym trzecim przodku?

- W ogóle nie mówił o przodkach. Skąd ci przyszedł do głowy jakiś trzeci? I co to ma wspólnego z obrazem?

- Nie wiem - przyznała. - Może coś sobie ubzdurałam. Ale gdy wspomniał, jak Belochłop wygląda, kiedy go opisywał... Lepiej go znasz. Widziałeś, żeby się kiedyś bał?

Chyba gotowa była ustąpić, zaakceptować jego wyjaśnienie. Jakimkolwiek by było.

- Lepiej? - mruknął z goryczą. - Ale masz rację. Nigdy. Aż do dziś. - Westchnął. - Dżuma... O co tu chodzi? Co jest takiego strasznego w beli skrzyżowanej z pijanym jak bela chłopem? Tutejsza jesteś, oświeć mnie.

- Nic. - Znów dotknęła nosem jego barku. - Sam herb jest w gruncie rzeczy śmieszny. A Zbrhla przestraszył. Gryf nie, smok nie, a głupi stary herb... I przypomniało mi się, co o jego właścicielach mówił. Że Kusy poległ, Donnie Lisicy służąc, a później dziadek, gdy cnoty Ammy Połowczanki bronił przed demokracją. Więc gdym usłyszała, że o zasadzie trzech razy mówicie...

Starła się zbagatelizować wydźwięk własnych słów nieco kpiącym uśmiechem. Ale kiedy ujął w dłoń jej ciepłą od gorączki twarz, wszystkie dodatki znikły i zostały tylko oczy wypełnione troską.

- Co było na obrazie? - zapytał. Wahala się jeszcze przez chwilę.

- Miał za młodą twarz. - Jej głos nieco drżał. - Ale to Gwadryk. Na pewno.

- Ten Gwadryk? - Zaskoczyła go. - Pan na Belnicy? Książę? Mówiłaś, że z nich czterech on ostatni mógłby...

- A jednak - wzruszyła ramionami. - Złamanego denara bym na niego nie postawiła. Dziewki nigdy go nie pociągały. Może faktycznie o politykę szło wśród tych jagodzin. Albo po prostu Petunka... Z trzech chłopów, którzy tu są, dwóch na zabój zauroczyła, a trzeciego też niezgorzej. Więc chyba coś w sobie ma.

- Nie zauroczyła mnie - zapewnił spokojnie, choć nie do końca szczerze. - Ale mniejsza z tym. Coś o jego wieku wspomniałaś. Że młodo wygląda na obrazie.

- Rovoletto naprawdę mógł być wielki. Staralam się patrzeć jeno na tę gębę pod przyłbicą, ale zwyczajnie się nie dało. - Westchnęła. - To tak, jakbyś w duszę jej zajrzał. Tej dziewczynie. Petunce znaczy. Ale i nie Petunce. Bo taka inna tam jest, że aż uwierzyć nie sposób.

- Nie chcę cię poganiać - dotknął drzwi. - Ale ona wie, że się tu nie dudkamy. Zgadnie, o czym mowa. A nie powinniśmy o tym mówić. Nie widziałem obrazu, ale się domyślam, dlaczego tak bardzo nie chciała go pokazać.

- To cud, że się z jakiejś skały nie rzuciła. Albo na nóż. A choćby i w ogień. Gdybyś widział to spojrzenie... - Ona widziała i od samego wspomnienia zatrzęsło nią. - Pierwszy raz się ucieszyłam, że noszę te blachy na zadku. Że nigdy tak na miecz nie spojrzę, jak ona na ten Leomira.

- Miecz Leomira? - powtórzył, marszcząc brwi. - Ten z herbem? Coś go w jednym szeregu z urynałem Wielkiego Hanka...? - Skinęła głową. - To ważne? Że akurat ten miecz... że Rovoletto go namalował?

- Nie wiem - powiedziała cicho. - To znaczy owszem: akurat o mieczu wiedziałam, że będzie ważny. Nim powiedziała, że gwałciciela z odsłoniętą twarzą przedstawiono. Pomyślałam, że gdyby to Gwadryk... Ten miecz od sześciu pokoleń władcom Belnicy służy. Im i tylko im. Więc gdyby to nim Petunkę do ziemi... no, wiedziałabym, kto się pod przyłbicą ukrywa. I faktycznie: na obrazie jest i księżę, i jego miecz.

Tylko że nie w tym problem.

- A w czym? - Obejmował ją delikatnie w talii, co było przyjemne, lecz przede wszystkim pożyteczne. Zdążył zauważyć, że robi się spokojniejsza, gdy jej dotyka. Częścią umysłu umykała wprawdzie w strefę marzeń, ale przynajmniej Lenda już się teraz tak nie trzęsła.

- Powiedziała jej, że za młodo łajdak wygląda. Bez imienia, łajdak po prostu. A ona, że to przez matkę.

- Matkę? Jej matkę?

- Przyłapała ich kiedyś z Rovolettem. Na całkiem czym innym, nie malowaniu. A że się głupio tłumaczyli, że niby układy anatomiczne ćwiczą, by obraz dobrze wyszedł, to się złośliwa baba wzięła za konsultowanie prac mistrza.

- Żartujesz...

- Też mi się we łbie nie mieściło, by matka mogła tak zareagować. Ale pamiętaj, że całkiem normalna to ona od dnia ślubu już nie była. Zresztą one tu wszystkie z normalnością na bakier jakby. No i z tego konsultowania wyszło właśnie odmłodzenie rycerza. I herb na zbroi. Petunka zupełnie go nie pamiętała, a matka owszem: z kwietnia 7. Ale to z herbem różnie można tłumaczyć. Z Rovoletta trochę telepata musiał być, skoro więcej i lepiej namalował, niż dziewczyna zapamiętała. Więc z herbem mogło być tak jak z twarzą gwałciciela: że z jej snów w jego sny jakoś podświadome wspomnienie się przesączało. Za to z mieczem to mi oboje klina zabili.

- Rovoletto i Petunka? - upewnił się. - Dlaczego?

- Bo to nie ten miecz. - Po raz pierwszy umknęła w bok ze spojrzeniem. - Na obrazie jest inny niż w rzeczywistości. O ile wierzyć Petunce.

- Inny?

- Upiera się, że nie takim jej rękę unieruchomiono.

- Ciut się pogubiłem... Na obrazie, mówisz, widać miecz Leomira? Czyli książęcy? I Gwadryka, czyli księcia? A miecz

inaczej wygląda? Zdaniem Petunki? - Wzruszył lekko ramionami. - Może Rovoletto coś poplątał.

Rzuciła mu zniecierpliwione spojrzenie.

- Faktycznie się pogubiłeś. Miecz Rovoletto namalował jak żywy. Ze szczerbą po bełcie Plebwiga, z odłóżkami srebrzeniami na klindze...

- Srebrzeniami? Ten książę Leomir też musiał władać za demokracji, skoro tylko na srebro go było stać.

- Leomir nie był księciem. Był biesiarzem. Wiedźminem, inaczej mówiąc. Zabójcą potworów. I kompozytu srebra ze stalą nie dla ozdoby używał, a w wiadomym celu. Ale nie o nim mówimy. Mówimy, że Gwadryk nie miał jego miecza, gdy Petunkę na jagodach zdybał. W każdym razie... no, wiele na to wskazuje.

Debren zastanawiał się, marszcząc brwi. Nie tyle nad przesłankami, na których oparła wniosek. Bardziej intrygował go wniosek numer dwa. Ten zawieszony w powietrzu, niewypowiedziany.

- Nie miał, bo Petunka pamięta inaczej? - zapytał.

- Wierzę jej. Chciała się zabić. Bardzo. To widać w jej twarzy, i to widać tak, że ciarki po krzyżu chodzą. Wiesz, że prostaczka, więc wprost spytałam, czy jest pewna, że to nie ten miecz. Najpierw to mnie w ogóle nie zrozumiała, bo od patrzenia na obraz jakby pałą przez łeb... Ale w końcu do niej dotarło. Uśmiechnęła się, tak okropnie smutno, pokazuje szczerbą Plebwiga i mówi: „Jakby mój to miał, nigdy byśmy nie porozmawiały”. - Przerwała na chwilę. - Na mieczach się nie znasz, więc wyjaśniam, że w tych nowoczesnych, średniowiecznych, zastawy prawie nigdy płatnerze nie ostrzą. We wczesnowieczu krótszych kling używali, bo to i zbroje lekkie, i stal droga... Ale już od dobrego wieku za jelicem jakby dalszy ciąg rękojeści się kuje, ciężki, gruby i tępy. To daje lepsze wyważenie, broń jest odporniejsza, no i rycerz dłoni nie pokaleczy, gdy bez rękawicy będzie za szybko zbyt długie



ostrze z pochwy wyciągał. O taki miecz, głęboko w ziemię wbity, nie da się żył w nadgarstkach poprzecinać. Więc tak sobie myślę, że Petunka mówi prawdę. Gwadryk w 9 nie na potwory jechał, a na morvackich knechtów, którzy zawsze dobrze opancerzeni chadzali. I choćby dlatego lekki biesiarski miecz nie byłby dla niego najlepszy. To po pierwsze. A po drugie, demokraci nie daliby mu go. Bo to symbol. Może i od korony ważniejszy. Władcy, co tron próbuje odzyskać, sławny miecz przodków dużo bardziej się przyda niż cały komplet monarszych insygniów. Nie mam pewności, ale chyba dopiero w czasie Jesieni Królów, gdy wolność wybuchła i demokratyczne załogi po zamkach rozbrajano, miecz Leomira razem z resztą skarbcza wpadł w ręce Gwadryka. A to było dziesięć lat później.

- I co z tego wynika? - Sam wolał nie snuć domysłów. Ten, który wypychał się nachalnie przed pozostałe, był zbyt ponury.

- Nie wiem - powiedziała, patrząc mu w oczy. Musiała patrzeć. Bo mijała się z prawdą i nie chciała, by wziął to mijanie za zwykłe kłamstwo.

Dżuma i syfilis... Więc jednak. Oboje myśleli o tym samym. Z wysiłkiem przełknął ślinę.

- A... Zbrhl? Co ma do tego...? - urwał, bo stawiając pytanie sam znalazł odpowiedź. Klocków było dostatecznie dużo. W którymś momencie przekroczyli punkt krytyczny i oto nagle zaczęły im się układać. Obrazek nie był ładny, ale nie sposób mu było odmówić poprawności. - Boże...

- Może to nie tak - szepnęła. Prosiła spojrzeniem, by poparł ją w tej nadziei. - Może... bo ja wiem... Rovoletto zawędrował tu przez Belnicę? I gdzieś po drodze zobaczył to, co potem namalował? Mogło tak być, prawda?

Z wahaniem skinął głową. Jako magun powinien to zrobić energiczniej. Obowiązkiem maguna jest ważenie prawdopodobieństw, a patrząc od tej strony obie hipotezy były

sobie co najmniej równoważne. Ale nie umiał spojrzeć na problem chłodnym wzrokiem fachowca. Już nie.

Stali potem jakiś czas, to zerkając na siebie, to umykając ze spojrzzeniami. Żadne nie odważyło się postawić pytania. Bo raz postawione, oznaczało konieczność podjęcia decyzji, a oboje czuli, że cokolwiek zdecydują, popełnią błąd. Więc milczeli. Co też było błędem.

Gdyby którekolwiek mówiło, choćby szeptem, prawie na pewno przegapiliby dobiegające zza ściany, stłumione śnieżnym dywanem postukiwanie końskich kopyt.

- Może to nie koń - spróbowała po raz kolejny Lenda.

- Koń - zapewnił Yeżyn, sięgając po następny zastrugany kołek. - Toć parska. Inszy zwierz nie parsknie.

Przyłożył kołek do dziury, wydrążonej w podłodze halabardą. Zbrhłowi wystarczyły dwa uderzenia obuchem berdysza, by długi na łokieć kawał drewna ugrzązł w deskach. Rotmistrz kopnął go na próbę i odłożył topór.

- Nie mówiąc o tym - poparł gospodarza - że insze zwierzęta na własnych nogach chadzają, nie końskich.

- Mignęły ci jeno - wzruszyła ramionami. - Łajno widać przez tę szparę. A jeszcze nocą...

- Głównie pieszo służę - przyznał, podnosząc blat stołu i układając przy linii wbitych w podłogę kołków. - Ale właśnie dlatego na końskich nogach niegorzej się znam. Trzeba wiedzieć, gdzie bić, by szarżującego rycerza obalić. A nie ma lepszego sposobu, niż konia pod nim położyć, po nogach tnąc. Raz, że nikogo nie zatratuje, co się tym bez jeźdźca zdarza, a dwa, że zaporę swoim i rycerskim ciałem czyni, w dodatku żywą, miotającą się i przez to...

- Nie chcę tego słuchać - burknęła. - Chamski to sposób, niewinne zwierzę po pęcinach siec. Nie wiem, czym się chwalić próbujesz.

- Pewnie tym - wyręczył rotmistrza Debren - że coś takiego przeżył. Co się nieczęsto zdarza. Bo i po użyciu chamskich

sztuczek mało kto żywy spod pancernej szarży wychodzi. Masa, plus odporność na ciosy, plus zapal bojowy to nie w kij dmuchał, prawda, Zbrhl?

- Święta - podchwycił ochoczo Zbrhl, posyłając Petunce nieco chępliwie spojrzenie. - Pamiętam, jak raz jeden baron, co dwie wsie za zbroję dla siebie i konia oddał, w owej zbroi na wylot cały szyk przedziurawił, choć na dziesięciu chłopów w głąb stanęliśmy, z trzema szeregami tarczowników z przodu, a wszyscy dobrze okryci i same profesjonały. A i tak przejechał, sukinkot. Po bitwie chłopaki trafienia na pancerzu liczyli i do dwóch kop doszli, nim im się rachuba zgubiła. A baron, wystawcie sobie, jeno paru sińców i smrodu się nabawił.

- Też byś się nabawił - odcięła się Lenda - jakby cię sto dwadzieścia razy czym ostrym pchnęli.

- Ja nie o tym - stęknął, przesuwając za jednym zamachem połowę spiętrzonych przy drzwiach barykady. - Z tyłu wieś była, a w niej gnojówki. Nie wyhamował, wpadł w najgłębszą i ugrzązł. - Oceniał stabilność stosu łąw, stołów i pustych beczek, przytoczonych z piwnicy. - No, powinno wytrzymać. Abyś jeno dobrze belkę ustawiła, kozo.

Belką ochrzcili zbitą z czterech ławkowych siedzisk konstrukcją, której długość dobrano tak, by dawała się wbijać między drzwi a odsuniętą w głąb izby barykadę.

Lendą zarzuciło, nim w ogóle ustawiła się nad belką i chwyciła porządnie. Debren nie skoczył, by ją wesprzeć: w skrytości ducha miał nadzieję, że upadnie. To otrzeźwiłoby parę osób. Nie upadła jednak, a kiedy już poderwała belkę, ta zadziwiająco szybko trafiła w wyznaczone miejsce.

- W bramie mogłabyś pracować - pochwalił dziewczynę rotmistrz. Po czym, zreflektowawszy się, dodał: - O miejskiej mówię, nie jakowejś wewnętrznej, co to w niej...

- Do wewnętrznych się panna Lenda nie nadaje? - zainteresował się Yeżyn. - Dlaczego?

- Charakter mam podły - mruknęła pod nosem.

- Za duża jest. - Głos Zbrhła zlał się w jedno z jej głosem. - A praca w bramie wymaga... - zająknął się. - Znaczy się... od dziewczki...

- By mniejsza była - dokończyła za niego, z ponurym, bo ponurym, ale jednak uśmiechem. Zbrhl sięgnął do czoła. Może po to, by przetrzeć pot, a może po to, by zsunąć kolczy kaptur, nim zacznie walić głową o ścianę. Debren miał dziwną pewność, że pod drucianą plecionką uszy płoną mu czerwienią. I nie podobało mu się to. Nie potrafił przypomnieć sobie Zbrhła zakłopotanego z powodu Lendy.

- Małe lepiej się nadają? - drażył temat Yeżyn, nasadzając hełm i sięgając po halabardę. - Myślałem, że w takiej bramie, z drągiem mając do czynienia...

- Nie gadaj tyle - ofuknęła go żona. - Bo konia spłoszysz i cała robota na marne pójdzie.

Oderwała oko od wydłubanej między belkami szczeliny, przez którą Zbrhl wypatrzył końskie nogi, dźwignęła się z kolan. Skrzywiona, masowała kręgosłup w krzyżu. Debren po raz pierwszy złapał się na myśli, że jest już stara. Wyglądała znakomicie, nieporównanie lepiej niż przeciętna kobieta w jej wieku, jednak po części także dlatego, że w wieku czterdziestu trzech lat przeciętna kobieta już dawno była objedzonym przez robaki szkieletem. Ona trzymała się znakomicie, ale co innego dobra kondycja, a co innego kondycja wojownika. Zbrhl powinien ją odliczyć. Gryf zdychał. Ktoś zdychający nie przestraszy się miotły.

- Nie uciekł? - zapytała Lenda z resztką nieśmiałej nadziei. I odpowiedziała sama sobie z fałszywie brzmiącym przekonaniem: - Na pewno uciekł. Tchórzem podszyty, a Zbrhl takiego huku narobił, meble rąbiąc... I Debrena jak nic wyczuł, a oni się nie lubią. Nie przypadkiem z mostu umknął, choć wokół gryf i wilkołaki.

- Stoi - stwierdziła krótko gospodyni. - Ani drgnie.

- Nie rusza się? To może zamarzał?

- Nie łap mnie za słowa - mruknęła Petunka. Zerknęła ukradkiem na rotmistrza, zawahała się. - Lepiej... mogę cię prosić? Na pacierz - wskazała drzwi kuchni.

- Modlić się będziecie? - zdziwił się Yeżyn. - To może lepiej pospołu...

- Nie będziemy się modlić - ucięła. - Pacierz czasu mam na myśli.

- Pannę Lendę nogi bolą - zauważył przytomnie. - Pacierz to jej zejdzie, jakby chciała do szynkwasy dokuścić. A do drzwi kuchennych to będzie... - podrapał się po głowie, pomagając sobie tym sposobem w niełatwych rachunkach. - No i z powrotem...

- Ty też nie łap mnie za słowa - rzuciła ostrzej.

- Na popasach pętać go musieliśmy - pociągnęła wąż konia Lenda. - Tak Debrena nie lubi. Nie dziwota zresztą, bo mu towarzysza paskudnym piorunem poraził, jego samego o mało co... Dziw, że z własnej woli wrócił.

- A właściwie po co? - zaczął z innej, pewnie łatwiejszej beczki Yeżyn.

- Bo zreć chce - zniecierpliwiał się rotmistrz, ustawiający się już przy drzwiach. - I nie chce dać zreć Pisklakowi. Koniny konkretnie. Nie poganiam, ale jak tak będziemy...

- Pytam, co Petunka chce z panną Lendą w kuchni zrobić - wyjaśnił oberżysta.

- To, co Debren - złotowłosa posłała dziewczynie wymowne spojrzenie. - Wybacz, miśku. Rozumiem potrzebę pośpiechu, ale to ważne. Wypad, jak sam zaznaczyłeś, ryzyko z sobą niesie. Mogę zza tych drzwi nie wrócić.

- Petunko! - jęknął Yeżyn. - Nie rób mi tego!

- Nie łap mnie za słowa. - Tym razem zganiała go cieplejszym tonem. I dodała: - Toć cię nie zostawię.

- Nie martw się, Yeżyn - rzucił chmurnie Zbrhl. - Ja się robotą zajmę. Nowoczesny jestem, prawda, ale tak ze wszystkim to jeszcze nie całkiem. Jeszczem się nie nauczył

spokojnie patrzeć, jak baba jedna z drugą...

- To ci wnet korepetycji udzielimy - rzuciła hardo Lenda. Debren pomyślał z uznaniem, że przynajmniej refleksu jej nie brakuje. Błyskawicznie podchwyciła okazję, mijając gospodynię i ruszając z gniewną miną ku drzwiom na ganek. Petunka, chcąc odciągnąć ją teraz ku tym drugim, wiodącym w głąb budynku, musiałaby powtórzyć całą kwestię. A to nie było takie łatwe. Zbierała się na odwagę bardzo długo, pewnie od pierwszego spojrzenia Lendy na obraz. Spróbowała, nie wyszło, a czas gonił. Musieli się spieszyć, jeśli chcieli odzyskać wierzchowca.

- Jemu?! - oberżysta wodził otępiałym spojrzeniem od twarzy do twarzy. - Znaczy się... niby że Zbrhl...?

- Baba jedna z drugą - dokończyła Lenda, sięgając po wspartą o ścianę halabardę - same sobie poradzą. Mam rację, Petunko? - Złotowłosa stała, gryząc dolną wargę, i choć nie udzieliła odpowiedzi, Debren ocenił, że była skłonna się zgodzić. - Lepiej będzie, jak staniesz z kuszą w progu i po prostu popilnujesz, by nam nie przeszkadzano.

- Z kuszą?! - powtórzył oszołomiony Yeżyn. Zbrhl też wyglądał na mocno zaskoczonego.

- Mam stać z boku i się gapić? - zapytał.

- Jakby co, pomożesz - wzruszyła łaskawie ramionami. - Choć myślę, że sobie poradzę. Kociak ognisty, nie powiem, ale już przecie raz do zadka mu się dobrała.

- Na rany Machrusa... - Yeżyn opadł ciężko na ostatnią ławę, która uniknęła mobilizacji i przemianowania na element jednej z barykad. - Petunko... Co ona gada?

- Widziałem - Zbrhl też potrząsnął ramionami. - Jeno nie wiem, czym się tak przechwalasz, smarkulo. Tym strzałem w rzyć? To pieszczota była, nic więcej.

- Nic więcej? - jęknął oberżysta. - A cóż jeszcze miała uczynić?

- No... - Zbrhl zreflektował się, posłał dziewczynie

spojrzenie zbliżone do przeproszającego. - Fakt. Lenda nie bardzo miała czym... Ale jeśli pytasz, jak się takowe sprawy fachowo załatwia, to sobie zakarbuje w pamięci: trza chłopa na schwał, co broń niekoniecznie długą, za to koniecznie grubachną i solidną mocno oburącz złapie i od dołu w żywot wrazi, ale tak, by aż w trzewia, najgłębiej jak się da... Nie powiem, od tyłu też można, choć niektórzy powiadają, że nie bardzo się godzi, wszelako i od rzyci zachodząc trzeba...

- Nie muszę tego słuchać - oznajmił nieoczekiwanie Yeżyn dziwnym, na poły martwym, na poły uroczystym tonem. Był blady, ale tego Debren dopatrywał się dopiero później. Wcześniej zauważył drzenie dłoni, układających bełt w korytku napiętej kuszy.

- Nie? - zdziwił się rotmistrz. - Znaczy... chcesz rzec, że jak ja przywalę, poprawiać nie będzie trza? No tak - pokiwał skwapliwie głową, rzucając spojrzenia kobietom. - Co prawda, to prawda. Nie chwałąc się, nikt po mnie dotąd nie musiał roboty dokańczać. Ale wiesz, Yeżyn: różnie bywa. I najlepszemu czasem może nie wyjść. Więc lepiej byś wiedział, co i jak, bo wtedy tylko ty zostajesz. Okolica odludna, spustoszona, ludzi mało, a wilkołaków...

- Petunka nie zechce? - dokończył Yeżyn. Z nieśmiałą, bardzo bojaźliwą nadzieją.

Debren zassał głośno powietrze. Nagle zrozumiał.

- Nie zechce? - Zbrhl nie zrozumiał. - Że niby... do lasu chadzać? No... może. Choć, na ilem zdołał poznać twą małżonkę, niewiasta z niej na schwał, więc i wilkołak jej pewnikiem niestraszny. Ale nie o tym chciałem... To przyszłość, póki co, odległa. Na razie o przekraczaniu progu mówimy. I właśnie względem owego przekraczania... Wolałbym, byś odłożył tę kuszę. - Bełt, choć dopiero za trzecim razem z winy dygocących dłoni, trafił jednak do korytka i Debren łudził się przez chwilę, że rotmistrzowi przynajmniej poluzowały się łuski na oczach. Zwłaszcza że

jego głos zrobił się trochę bardziej miękki, nieco zakłopotany i nieco przyepochlebny. - Wiem, żeś do tego nie nawykł, ale... No, krótko mówiąc, wołałbym ciebie do pomocy, a nie Lendę. - Yeżyn zamrugał powiekami, posyłając mu pełne niedowierzania spojrzenie. Debren klął w duchu i próbował zrozumieć, jak sprawy mogły zabrnąć tak daleko. - Zawsze co chłop, to chłop. Sam sobie powinienem poradzić, ale jak kto z tyłu ma stać i w razie czego wspomóc, to wolę, by inszy mężczyzna. No i ona w nogach słabuje, a przy tej robocie nogi może i od sprawnych rąk ważniejsze.

- O praktyce i sercu żeś zapomniał - mruknęła Lenda. Wsparta o halabardę, niemal owinięta wokół drzewca niczym bluszcz wokół palika, wyglądała zarazem uroczo i bojowo, ale zerkający na jej łydki Debren nie miał cienia złudzeń, że to jedynie niezamierzony efekt uboczny.

Halabarda służyła wprawdzie do zadawania szyku, tyle że polegało to nie na eksponowaniu babskich krągłości, a na popisywaniu się umiejętnością samodzielnego stania.

- Serca Yeżynowi nie brak. - Zbrhl zrozumiał, co miała na myśli. - Miłuje Petunkę, więc motywację ma. Bo przecie to dla niej za te drzwi poleziemy - dodał z lekkim, lecz wyczuwalnym naciskiem.

- A praktyka? - nie ustępowała dziewczyna. - Bez urazy, panie Yeżyn, wiem, że dwóch synów macie, obu na schwał... Ale pewne rzeczy trzeba umieć robić. Od mistrzów wiedzy zaczerpnąć, potem praktyki nabrać... Same dobre chęci nie starczą.

- Ja... wiem - wykrztusił oberżysta. Debren zastanawiał się gorączkowo nad krokiem numer dwa, czyli wyborem między telekinezą, telepatią a neutralnym staniem z boku. Każde rozwiązanie miało swoje minusy. Na szczęście z krokiem numer jeden nie było problemów: cokolwiek zrobi, lepiej będzie robić to możliwie blisko Yeżyna. Moc czaru, jak wiadomo, maleje z kwadratem odległości, a i przed



przypadkowym postrzałem łatwiej się uchronić, mając kuszę w zasięgu ramion. Powolutku i dyskretnie zaczął przesuwając się w stronę zajętej przez Yeżyna ławy.

- A co się motywacji tyczy - poszła za ciosem Lenda - to mi się właśnie przypomniało, co Debren o owej rozwiązłej dziewczce, Ronsoise, wspominał.

- Ja? - zdziwił się magun.

- Niech będzie, że między wierszami i niekoniecznie mnie osobiście. Ale jak się przy jednym ognisku sypia z druhami, co dawne boje wspominają... Jakem zrozumiała, darmo nie chciałeś jej usług świadczyć, Zbrhl, choć serce ci się ku dziewczicy rwało. Masz zasadę: jeno za pieniądze.

- Za pieniądze? - zaniepokoiła się nagle wyraźnie rozkojarzona Petunka. - Coś o dziewicach mówiłaś?

- Dobrego rodu i w okrutnej potrzebie - podkreśliła nie bez złośliwej satysfakcji Lenda. - Nawet i od takowych imć Zbrhl gotówki żąda.

- Bo cech... - zaczął rotmistrz.

- Toć nie wytykam ci, że źle czynisz. Nie zrozumiałeś mnie. Szanuję cechowe kodeksy. I właśnie dlatego uwagę i zwracam. Bom ci życzliwa. Petunka groszem nie śmierdzi. Za darmo więc tyłka nadstawisz, jak za owe drzwi I wyjdiesz.

- Tyłka?! On?! - Yeżyn nie wytrzymał, poderwał się z ławy. Debren wytrzymał, nie skoczył. Kuszy, choć ści skające ją palce aż pobieły, w nikogo nie wymierzono.

Przypadkowy postrzał przez chwilę zagrażał Dropowi, ale wychowane w lesie i oswojone z wojaczką ptaszysko błyskawicznie przeniosło się na tę samą co Debren stronę oberżysty.

- To znaczy... - Lenda zaczerwieniła się nieoczekiwanie. Pewnie dlatego nikt poza bezpieczną, ulokowaną na prawo od Yeżyna dwójką nie zwrócił uwagi na paskudne zestawienie wzburzonego oberżysty i gotowej do strzelania kuszy. - Ja... przerośni użyłam. Nie że konkretnie... Nie gap się tak, Zbrhl.

Sam pewnikiem niejedną raz przed bitwą, do podwładnych przemawiając...

Zbrhl gapił się jednak. Przenikliwie. Debren natychmiast wyzbył się resztek wątpliwości. A także znalazł wyjaśnienie ewidentnej ślepoty i głuchoty tego akurat uczestnika dyskusji.

Rotmistrz miał o czym myśleć. Tak jak Lenda, od początku miotająca się między chęcią zdobycia konia a głęboką niechęcią do jego zdobywania na sugerowany przez Zbrhla sposób.

- W takich razach - mruknął rotmistrz - o nadstawianiu piersi mówię. W mojej rocie nikt boju z myślą o własnej rzyci nie rozpoczyna. - Umilkł na chwilę, pochmurniejąc coraz wyraźniej. - Ale skoro już słowo padło... nie przypadkiem, jak po twej minie widzę... - Lenda, ciut za późno, uciekła spojrzeniem w dół, ku bosym stopom. - Debren, ciebie też bym za kuchenne drzwi poprosił, jeśli można. Mam mały...

- Nie można!!! - wrzasnął zniecierpliwiony oberżysta. Magun miał już w mózgu jaką taką nadwyżkę wolnej energii i odpowiednio ułożone palce prawej dłoni, ale nie zaryzykował telekinezy. Yeżyn nie przymierzał się do strzelania, kuszę trzymał jedną ręką i każda interwencja mogła przynieść równie wiele szkody, co pożytku.

- Yeżyn! - zaskoczona Petunka niemal podskoczyła.

- Wiem!!! - wydarł się jeszcze głośniejszym. Spłoszony koń parsknął za ścianą, dowodząc, iż wbrew obawom Lendy jeszcze nie zamarł. - I wstyd mi!!! Ale nic nie poradzę!!! Zacołany jestem!!! Słoma mi z butów sterczy!!! Zaścianek!!! Ale tego już nie zdzierzę!!!

- Panie Yeżyn - zaczął Debren najłagodniej jak potrafił - to nie tak, jak wam się wydaje.

- Co chcesz, to robie!!! - Yeżyn nie zwracał uwagi ani na niego, ani na kuszę, którą wymachiwał, jakby była ze słomy, a nie solidnego drewna i stali. - W stogach, na stole, pod stołem, przy kominku, w peruce, związany nawet!!! Miłuję

cię, to robię!!! Z Lendą chcesz popróbować?! A niech tam, zgoda! Niewiasta jest, to aż tak nie zaboli, choć wolę nie myśleć, jak to strzelanie w rzyć w jej wydaniu wygląda! Ale żeby we troje, ze Zbrhlem? I żebym ja miał pomagać?! Bo z Petunki ognisty kociak i Zbrhl sam może nie podolać?! I żebym za to płacił, bo mu cech nie zezwala darmo nikogo przechędożyć?!

- To akurat... - wymamrotała oszołomiona jak cała reszta Lenda - akurat... zezwala. Znaczy... prywatnie...

- Prywatnie?! Prywatnie to może bym jeszcze zniósł! - Yeżyn pokrzykiwał coraz ciszej, w miarę jak rozżalenie i gorycz wypierała złość. - Zwłaszcza jakby z myślą o pożytku, córeczkę Petunce majstrując... Ale w takiej kupie? Jeszcze z Debrenem na czwartego?! Akurat po was, panie czarodzieju, tom się całkiem nie spodziewał...

- Nie, ja nie... - Debren odruchowo potrząsnął głową. Po czym zaklął, tym razem już na głos: - Dżuma i trąd... To znaczy oni też nie... Nieporozumienie się do dyskusji wkradło, panie...

- Yeżyn... - wykrztusiła złotowłosa i buraczkowa na całej twarzy, nie tylko na ustach, oberżystka. - Strzelanie z Lendą w...? Boże!

Zbrhl też chciał coś powiedzieć, ale wcześniej zahaczył spojrzeniem o Petunkę. Oczy mu się rozmaściły i nic nie powiedział. Debren zaklął, znów w myślach. Z których, nie bez trudu, wypierał kawałek po kawałku obraz zbliżony do tego, jaki najwyraźniej dopadł rotmistrza.

- O gryfie cały czas mówimy. - Lenda, o dziwo, wykazała się najzimniejszą spośród obecnych krwią. Policzki jej się zaróżowiły, lecz na tle gospodyni wyglądała niemal blado. - I jego rzyci. Nie Petunki. Znaczy... pośladkach. Skoro o Petunce mowa.

- Za kretyna mnie macie?! - Yeżynem szarpnęła kolejna fala gniewu. Parę osób rozchyliło usta, ale nikt jakoś nie

przemówił. - Albo głuchego?! Uszy ze trzy razy w niedzielę myję, jako i całą resztę! Dla ciebie! - zwrócił się do bezałowo wstrząśniętej małżonki. - Po opał ganiam, choć w lesie jak nie gryf, to wilkołak czy upiór! Ostatnie grosze na świece wydajemy!

- Świece? - Lenda zerknęła niepewnie na złotowłosą. Po czym szybko odwróciła wzrok.

- Wszystko rozumiem! Nimfofilka jesteś...

- ...manka - poprawiła Petunka szeptem.

- Jak zwał, tak zwał! I jak powiadam, Lendę bym ci darował, choć z nimfy niewiele w sobie ma...

- Dzięki, panie Yeżyn - mruknęła dziewczyna z lekką goryczą.

- Ale nie każ mi się spokojnie przyglądać, jak moja ukochana małżonka w mojej własnej kuchni, na jakieś wyszukane sposoby, z trójką przyjezdnych... niech będzie, że dobrych skądinąd ludzi...

Kończył niemal szeptem. Zaopatrzony w strzemionko koniec kuszy opadł ku podłodze, oparł się o nią, jak do napinania. Debren odetchnął. Pomyślał, że powinien podejść, wyjąć delikatnie broń z nieobliczalnej dłoni. Petunka okazała się szybsza. Jeszcze przed chwilą stała jak sparaliżowana z półtora sążnia dalej - i oto, niczym kuglarz zabawiający jarmarczną gawieź krótkodystansową, dość łatwą, ale efektowną teleportacją, znalazła się w ramionach Yeżyna. Czy może raczej: on znalazł się w jej ramionach.

- Głuptasie głupi, co też ci do głowy przyszło... Toż ja cię nigdy, ani ociupinę... Yeżynku, no coś ty?

Nie starała się mówić cicho, nie dbała o to. Głos sam opadł do poziomu szeptu, bo pewnych deklaracji nie wykrzykuje się co sił w piersiach, nawet gdy ludzi jest tylko dwoje, a dookoła głuche pustkowia. Nie przeszkadzali jej stojący wokół, ale tak jakoś wyszło, że niepostrzeżenie dla siebie Debren znalazł się na drugim końcu izby, w przejściu między wschodnią ścianą a

końcem szynkwasu. Z Lendą przy jednym, a Zbrhlem przy drugim boku.

Nie patrzyli na siebie. Rotmistrz unikał też spoglądania ku drzwiom wejściowym i odsuniętej od nich barykadzie, na tle której złotowłosa kobieta tuliła do piersi męską głowę, szepcząc coś i przeplatając słowa pocałunkami.

Jakiś czas nikt się nie odzywał.

Na szczęście nie byli sami.

- Ogierrr warrruje u wrrrót - przypomniał Drop, lądując na pustym legarze pod beczkę. Zbrhl przesunął ponurym spojrzeniem po zakurzonych, równie pustych półkach.

- Napiłbym się, psiakrew. - Pomilczał chwilę, po czym przybrał sztucznie obojętną minę i zwrócił się do dziewczyny: - Kopnęłabyś się do piwniczki, kozo. Gąsiorek tam jeden chyba widziałem. Zejdiesz po schodach i skręcisz...

- Kark - dokończył Debren. - Trochę konsekwencji, Zbrhl. Nogi ma za słabe, by z tobą po konia chadzać, a do piwnicy to już dobre?

- Mogę iść - wzruszyła ramionami Lenda. - Jak ty na dwór nie poleziesz.

Popatrzyli sobie z rotmistrzem w oczy.

- Aha - mruknął po chwili. I przeniósł spojrzenie na Debrena. - Znaczy się, i tobie to przyszło do głowy... No to możemy chyba za drzwi kuchenne nie chodzić, mistrzu.

- Yeżynowi ulży - uśmiechnęła się złośliwie. Debren wyczuł jednak, że nie o tradycyjne docinanie szło, a o zmianę tematu.

- Już ty lepiej Yeżyna nie wspominaj - mruknął Zbrhl. - Narozrabiałaś jak pijany kowal w kramie z garnkami.

- Ja?

- A kto wszem i wobec rozgłaszał, że idzie się z Debrenem dudkać w kuchni? - Zarumieniła się z lekka. - Łajno łkał, jak Petunka z takim durniem wytrzymuje...

Nikt nie odpowiedział. Lenda chyba zamierzała, ale w porę ugryzła się w język.

- O co chciałeś zapytać? - Debren osobiście wolałby nie pytać o nic, uznał jednak, że lepiej wziąć byka za rogi już teraz, nim Zbrhl wyciągnie ostateczne wnioski z nietypowej wstrzemięźliwości i łagodności dziewczyny.

Inna sprawa, że chyba już wyciągnął. Jak na kogoś, kto od dobrej szóstnicy poganiał pozostałą czwórkę, wyjątkowo długo zbierał się teraz do odpowiedzi.

- Ciebie? Ciebie to o dwie sprawy.

- A nie jego? - Lenda, choć nie patrzył na nią, czy może właśnie dlatego, natychmiast wychwyciła niedopowiedzenie. I uśmiechnęła się, raczej przyjaźnie niż kpiąco. - Ze mną też za kuchenne drzwi się wybierałeś?

Zawahał się.

- No... po prawdzie, to miałbym sprawę. Ale najpierw z Debrenem chciałbym... Na osobności, jeśli łaska.

- Mam iść po gąsior? - Debren jęknął w duchu, bo i ta kwestia wypadła serdecznie, ani trochę jadowicie. - Już lecę. Ale może piwa byś wolał?

- Toć żartowałem. Lenda, chyba nie myślisz, że bym cię na tych nogach... Przy kominku sobie siadź, odpocznij, zagrzej się trochę.

Było gorzej, niż Debren przypuszczał. Zbrhl też zachowywał się, jakby pomylił pyskątą Belniczankę ze swą średnią, tą najmiłszą, drapiącą się tatce na kolana i wypytującą o wehrleńskie beluardy z kozłami.

- Jeśli to nic bardzo osobistego - powiedział magun - wolałbym, by Lenda została. Jak to się mówi: jedną furą jedziemy.

- Sęk w tym... - rotmistrz, wyraźnie zakłopotany, drapał się po brodzie. - No, trochę osobistości... choć może bardziej osobiowości...

- Brrrak zrrrozumienia - poskarżył się Drop.

- Fakt. Nie poganiam, ale mógłbyś mówić jaśniej.

- Wybaczcie, waszmościowie. I ty, Lenda, też. Ostatnia

jesteś, którą bym odganiał przy takowych problemów poruszaniu. - Dziewczyna, choć starała się tego nie okazywać, jakby ciut pojaśniała. - A jam dureń. Jedno się wszak z drugim splata, więc i tak bym pewnie musiał... Debren, mogę ją na szynkwias posadzić?

Jasny rumieniec Lendy błyskawicznie przeistoczył się w głęboki, ale to magun popisał się reflekssem.

- Bylebyś za zadek nie łapał. Pod pachami ujmij.

Pogratulował sobie w duchu. Dziewczyna oprzytomniała dopiero na górze, gdy rotmistrz cofał łapska. Odruchowo omal nie skoczyła z powrotem, ale na szczęście pęknięte kolano bolało i przy zginaniu nogi. W porę przypomniała sobie, jak potrafi zboleć, gdy się skoczy.

- Zdumieliście?! - pozostało jej parskanie gniewem.

- Sama byś się nie wdrapała - wyjaśnił niefrasobliwie Debren. - Okrutnie wysoki ten szynkwias, całkiem nie jak na wczesnowieczną populację. A znów stanie twoim nogom nie służy.

- Łajno cię moje nogi obchodzą! - Strach przed męskimi dłońmi, zastygającymi nagle na twardych od stali biodrach, przed zdziwieniem w burych oczach, a potem zrozumieniem i litością, dopadł ją dopiero teraz. Przez chwilę była naprawdę zła. Debren pomyślał, że gdyby stał bliżej, odżałowałaby mniej obolałą z nóg i wymierzyła mu kopniaka. Kiedy indziej Zbrhlowi, który stał wystarczająco blisko, pewnie też. Ale nie tej nocy. Choć to Zbrhlowi się należało. Głównie za to, że po trzech dobach znajomości nie zorientował się, co dziewczyna nosi pod portkami, a teraz sukienką.

- W terminie u mnie jesteś, a mistrz ma dbać o zdrowie czeladnika. We własnym interesie. Kulawy raz dwa po piwo nie skoczy. Toteż jako mistrz ci mówię: z twoimi nogami nie jest dobrze i masz o nie lepiej dbać.

- Prrrawda - wsparł Debrena Drop.

- Zamknij dziób! Guzik się na babskich nogach znasz!

- Ale ja się znam - dołączył do męskiej drużyny rotmistrz. - Trzy dziewczuszki w domu, Zdrenka kiedyś... I na wojowaniu też co nieco. Więc ci powiem, że się ta wycieczka po konia może jak niejedna wycieczka z oblężonej twierdzy skończyć i odcięci od furty zostaniemy. Z uporem chadzasz boso, a na dworze mróz siarczysty. Palce Poodmrażasz i ciąc będzie trzeba.

- Przynajmniej w cizmy wleżę - mruknęła pod nosem.

- Dla świata urody ci przybędzie, bo zakładam, że zwykle w butach chodzisz - zgodził się. - Ale z punktu widzenia Debrena ubędzie. Więc względem dbania o riogi zastanów się, kto dla ciebie ważniejszy. On czy świat.

Debren, nie wiadomo który już raz, zaklął w myślach. Tą końcówką Zbrhl spieprzył wszystko dokumentnie. Teraz Lenda skoczy jak nic. Nie zlezie, ale właśnie skoczy. Aż belki zadrzą.

Bo przecież nie powie, że w hierarchii ważności... Choćby składanie podobnych deklaracji miało sprowadzać się do trzymania tyłka na blacie szynkwasu.

- Może - usłyszał jej spowolniony i mocno schłodzony głos - do rzeczy byśmy przeszli?

Głos, jaki by nie był, dobiegał z góry. Zrobiło mu się cieplej. Przegapiła, po prostu przegapiła. Jest chora, boi się, martwi... To nic nie znaczy. Ale cieplej było mu i tak.

- Jak się sromasz - głos Lendy znów był miękki, pewnie dlatego, że zwracała się do Zbrhla - to mnie po prostu najmij. Najemniczka jestem jako i ty. Więc się to, co powiesz, pod tajemnicę wojskową podciągnie i...

- Nie! - drgnął, niemal przestraszony jej propozycją. Lenda, bardziej zdziwiona niż urażona, uniosła brwi. - To znaczy... nie żebym w twój profesjonalizm nie wierzył... czy jakieś uprzedzenie względem niewiast zbrojnych... Postępowy jestem, wiesz przecie.

- No to czemu...? Zbrhl westchnął, poszarpał przez chwilę



zarost. Potem jeszcze raz westchnął.

- A niech tam, można i od tego zacząć... Nie najmę cię, bo sam się u ciebie nając chciałem.

- Co? - Teraz ona wyglądała na przestraszoną.

- Postępowy jestem - powtórzył - ale właśnie dlatego umysł mam elastyczny, nie zasklepiony w ciasnym światopoglądzie...

- Trrrudna prrrrofesja: zbrrrrojny - zauważył z podziwem Drop.

- Co tam kraczesz, rosolaku? - najeżył się rotmistrz.

- Drop chce chyba powiedzieć - wyjaśnił zyczliwie Debren - że cholernie ciężko się w waszym fachu oferty o pracę składa. Zawszem myślał, że starczy machnąć ze dwa razy jakimś żelastwem, parę blizn pokazać i bitwy wyliczyć, w których się brało udział. A tu proszę: nawet nie curriculum, ale wręcz pogłębiona autocharakterystyka osobowości.

- Dudkaj się! - rzucił zgodny dwugłos sprzed i z szynkwasu. Jeden Drop posłał mu cieplejsze spojrzenie.

- Chciałem rzec - dodał Zbrhl już wolnym od urazy głosem - że choć w przesady nie wierzę, a i z magii jeno w tę czarną, na konkretach opartą, to oczu na fakty nie zamykam. A faktem jest, że w moim rodzie, jak daleko pamięcią sięgnąć, reguła GZM obowiązywała, gdy się jaki Zbrhl u księżniczki belnickiej zaciągnął.

- Reguła GZM? - Debren już się nie uśmiechał. Głównie za sprawą Lendy, która wyraźnie pobladła.

- Głowa-zadek-mogila - wyjaśnił rotmistrz. - Opowiadałem wam, jak Kusy i dziadunio polegli. Niby to niewiele jak na ród od wieków z wojaczki żyjący, ale... Znam jeno trzy przypadki ran zadka przez Zbrhlów w boju odniesionych.

Debren patrzył na przygryzioną wargę dziewczyny. Nie złośliwy komentarz w ten sposób wstrzymywała, lecz właśnie dlatego zdecydował się zastąpić ją w tradycyjnej roli. Wiedział już, o co miał być pytany za kuchennymi drzwiami. I próbował sam siebie przekonać, że odpowiedzi może być

więcej niż jedna.

- Mało który wojak się ranami rzuci chwali. Póki ból da się wytrzymać bez łożenia wszędzie z poduszką...

- Ten trzeci - przerwała mu Lenda mocno stłumionym głosem. - Kim był trzeci?

Rotmistrz nie odpowiedział od razu. Stał tyłem, ale chyba wyczuł obecność Petunki za plecami. Trudno było nie wyczuć. Poruszała się z sarnią gracją i ciżemki miała miękkie, ale też nie żałowała sobie pachnideł.

- Równo trzydzieści lat temu - wymruczał Zbrhl. - Tak, prawie co do dnia równo... I nawet niedaleko stąd...

- O śnieżycy gadacie? - zainteresował się Yeżyn, dołączając do żony. W dłoni trzymał kufel.

- Śnieżycy? - Zbrhl posłał mu badawcze spojrzenie.

- Tej, co ją Belniczanie na ową czarownicę-złodziejkę przywołali. - Rotmistrz zamrugął. - Toż Petunka mówiła. Trzy magiczne śnieżyce tu mieliśmy za jej żywota, a ta w roku dwudziestym pierwszym ową nieszczęsną trójkę rozpoczyna.

Zbrhl przeniósł spojrzenie na Petunkę.

- Mówiłam - mruknęła. - W pościg zainwestowano znaczne sumy. Nie tylko w śnieżycę. Nagroda też była niezgorza. Różni się połakomili. Uciekinierkę po belnickiej stronie złapano, ale tu, zimą zwłaszcza, wieści za szybko się nie rozchodzą. Mama... miała tu paru gości i nieproszonych. Miesiąc popasali. Objedli nas ze szczeniem, a że czarownicę inni pochwycili, to i płacić nie było czym. Na wiosnę tośmy już lebiodę jadły, kijanki z Zalewiska... Cud, że nikt nie pomarł.

- A nawet na odwr... - Yeżyn, trochę za późno, ugryzł się w język. I, chyba żeby nie patrzeć na żonę, pospiesznie wręczył kufel Zbrhlowi. - Całkiem żem zapomniał, panie rotmistrz. To dla was, boście największy z obecnych koneser. Oryginalny martwieć, chluba lełońskiego browarnictwa. Nazwa się ponoć stąd wywodzi, że pierwszy, który owego wyrobu skosztował, z

rozkoszy wziął i trupem legł.

- Tak po tej stronie gór gadają? - skrzywił się Debren.

- Pięknie, nie ma jak życzliwa reklama przez konkurenta czyniona. Nacjonalistą nie jestem i uczciwie przyznam, że naszym piwom ciut do morvackich brakuje, ale akurat martwieć mocno się ponad lelońską przeciętną wybija. A nazwa się od grodu wywodzi, gdzie go warzą, nie jakichś ofiar mało fachowego warzenia. Nazwa grodu zaś...

- Czy pośród chłopów jeno o chlaniu i wojaczce się gada? - zapytała uprzejmie Petunka. - Pan Zbrhl coś o trzech razach zaczął opowiadać. Pozwólmy mu dokończyć.

- O babach też czasem plotkują - pochwaliła się obyciem Lenda. - Ale co racja, to racja. Dawaj to piwo, Yeżyn, i milcz.

- Znaczy się... wy też... - ręka oberżysty zaczęła kiwać się z lewej w prawo i na odwrót. - Oj, nie pomyślałem.

Dureń ze mnie. Toć i was swymi niesłusznymi posądzeniami srodze uraziłem. Za co serdecznie przepraszam. Już idę po drugi kufel.

- Nie trzeba - uprzedził dziewczynę Debren. Nie miał jednak pewności, czy dokładnie to samo chcieli powiedzieć, więc dodał szybko: - W jej stanie piwo, porządne zwłaszcza, krzepkie, nie jest zalecane.

- Wielkie dzięki, Debren. - Sądząc po ciut kwaśnym tonie, nie wyjął jej słów z ust. Choć chyba nie tęskniła do kufła w dłoni tak bardzo jak Zbrhl, który ochoczo pochwycił naczynie i błyskawicznie opróżnił w połowie.

- Wielkie dzięki, Yeżyn - sapnął, ocierając pianę z wąsów. - Przeprosiny przyjmuję, choć podejrzenie absurdalne było. - Popatrzył oberżystę w oczy, zdaniem Debrena głównie po to, by innym, mniej naiwnym, nie patrzeć. - A martwieć zaiste przedni, mocny jak zaraza. Dobrze mówisz, Debren: nie dla dziewczek w stanie Lendy.

- Do trzeciego razu może wróćmy - zaproponował pospiesznie magun. - To, powiadacie, w 1 rzecz się działa?

Szmat czasu.

- Wielkie dzięki, Debren - uśmiechnęła się jakoś dziwnie Petunka.

- Ode mnie też - przyłączyła się Lenda. Wyraz twarzy miała równie wieloznaczny. - Za troskę o me zdrowie - wyjaśniła trochę zbyt pospiesznie.

- Całe pokolenie - westchnął Zbrhl. - Leci ten czas, że strach... Ale jak dziś pamiętam ich wjazd. Skoczyliśmy jak kto stał, matula boso, bo z tego pośpiechu chodaki pogubiła. Za strzemię chwyta, usta do całowania pcha... bo to, wicie, okrutnie się z tatką miłowali... A tu w kulbace zwłoki sztywne. Trochę od mrozu, bo zima ostra była, a trochę przez to, że akurat tatkę sztywność pośmiertna właśnie chwyciła. Znaczy się: o mało co żyw by do domu dojechał. Niewiele zabrakło.

- Co się stało? - zapytała cicho Lenda.

- Ranili go Belniczanie. Samowtór z wyprawy wracał, z ojcem mojego Henzy. Któren, po prawdzie, łeb dwa razy bardziej zakuty od syna miał, więc się za dobrze nie szło wywiedzieć szczegółów. Z grubsza było tak, że gdzieś na granicy, nie wiadomo po czyjej stronie, na niewiastę się natknęli. Starawa ponoć była, ale chyba znowu nie tak bardzo, bo rodzic Henzy kłął się, że urodziwa. No i silna. A przede wszystkim z dzieciątkiem.

- Z dzieciątkiem? - Petunka też zniżyła głos niemal do szeptu i pewnie dlatego Debren w pierwszej chwili pomylił ją z Lendą. - Małym? Niemowlakiem, znaczy?

- A cholera je wie - westchnął rotmistrz. - Jak powiadam: Henzy rodzic do idealnych źródeł informacji nie należał. Co do mówienia, to pyskowało ponoć okrutnie, aż uszy bolały. No, ale to nijak o wielkości nie świadczy. Dedukując, całkiem mały gówniarz nie był, bo się ponoć uciekinierka skarżyła, że nieść ciężko. No, tyle że śniegu nawaliło, więc i samemu nielekko... I może o srebra bardziej chodziło, nie wiem.

- Niosła dziecko i srebra? - upewniła się Petunka.

- Misę srebrną. No i talara belnickiego. Misę szlag trafił, gdzieś przepadła, ale talara mama do śmierci na szyi nosiła. I jak umierała, to kazała gdzieś spowiednikowi schować. Chyba nawet wiem gdzie, ale Zdrenka nie wiedziała i... - głos mu z lekka zadrżał. Upił piwa, tym razem skromne ćwierć kufła, co jednak wystarczyło na wypłukanie niemęskich emocji z głosu.

- Głodowali, gdy tego mojego jedyne go rodzica. Pokarmu w piersi nie miała, choróbska się do chałupy przypętały, jak to przy głodzie, no i nie wyżył potomek. Tak sobie nieraz myślę, że gdybym jej o owym talarze powiedział, to może by mamkę najęła albo medyka dobrego. Albo wcześniej sama by więcej jadła, miast dziewczynkom wszystko oddawać. No, ale stało się... Tak że szczęścia nam moneta nie przyniosła.

- Ojciec się najął? <- Debren, jak kobiety, pytał cicho. - Za tego talara?

- A coś myślał, że go wdowie z dzieckiem na ręku zrabował w głuchej puszczy? Jasne, że uczciwie zarobił. Bardzo uczciwie, od siebie dodam. Bo choć jeno przeprowadzić babę mieli przez góry, a o bronieniu mowy nie było, chyba że od zwierzyny czy wilkołaka, to nawet podwyżki nie zażądał, gdy ich belniccy wolontariusze opadli. Walczył do końca, póki mógł i miał z kim. A tamtych kupa była, no i z czarodziejem.

- Kupa z czarodziejem? - zdziwił się Yeżyn. - To jak wasi z Henzą ojcowie do dom wrócili?

Zbrhl posłał mu mroczne spojrzenie, ale słowa musiał zbierać dość długo. Najwyraźniej i jego gryzł ten problem.

- Nie było mnie tam - wzruszył ramionami. - A ten, co był, kłął się, że od błyskawic aż las pojaśniał. Może przesadzał, alem przypalony od góry koński łeb sam oglądał.

- Były w użyciu czary - oznajmiła Petunka. - Nie wiem, czy z obu stron, ale z jednej na pewno. Bo choć dowodu niezbitego nie mam, głowę dam, że się twój ojciec na ową wiedźmę natknął, co na zamku belnickim zastawę skradła. Tę, co to ją śnieżycą ścigano.

Rotmistrz gapił się na nią dłuższą chwilę z lekko rozchyłonymi ustami.

- Chcesz rzec... na Machrusa, Petunko! Chcesz powiedzieć, że sierotą zostałem, bo ojciec jakąś... złodziejkę...?

- Nie! - Wszystkie głowy uniosły się, jako że szynkwias, choć wczesnowieczny, uczynił z Lendy najwyższą w całej gromadzie. Była też najbardziej zmieszana. Przez chwilę. Szybko wzięła się w garść. - Wybaczcie moje wzburzenie, ale przypadkiem wiem, że złodziejką nie była.

- A kim? - zapytał w imieniu pozostałych Debren.

- Ona... ludzi leczyła. - Wyczuła, że czekają na więcej. Westchnęła cicho. - No dobrze: baby głównie. I tym drugim zajęciem... no wiecie... też się czasem parała. Po najazdach głównie, gdy z płaczem przychodziły nie te płochy i bezmyślne, a po prostu za wolne w nogach. Ale sto razy więcej dzieci dla Belnicy uratowała niż... no wiecie.

- Akuszerka - podsumował Debren.

- Bardzo dobra - podkreśliła. - Jakby pani Zdrenka taką jak Sierosława przy sobie miała, to może chłopaczek... Wybacz, Zbrhl - zreflektowała się. - W ranę ci z paluchami... Ale nie mogę milczeć, kiedy się jej pamięć szkaluje. Choćby dlatego, że i mnie by nie było, gdyby nie ona.

- Odbierała cię? - Petunka zmarszczyła brwi, coś jej się nie zgadzało. - Znaczący... przeżyła wtedy? - Lenda kiwnęła głową, wypadło jednak jakoś anemicznie, bez przekonania. - Nie zabili jej? No tak... skoro dalej pracowała.. Ale że tak mocno poszukiwanej zbrodniarce winy darowano... no, no.

- Troszkę pożyła - powiedziała cicho Lenda. - Krótka, jak na czarami władającą. I nie pracowała. Win nie darowano. Z wieży już żywa nie wyszła.

- Toście w wieży rodzeni? - zainteresował się Yeżyn. Lenda uśmiechnęła się smętnie.

- Dzięki, panie Yeżyn. Ale przecie mówiła... Młódka już nie jestem. Ciut wcześniej na świat przyszłam.

- Myślałem, że żartujesz z tym wiekiem - wyznał, chyba szczerze, Zbrhl.

- Nie. Ale i tobie dzięki. I skończmy ten temat, mało niewiastom miły. Powiedz lepiej... od owego GZM opowieść zacząłeś...

- Tom nie powiedział? Wybaczcie. Ale się pewnie sami domyśliliście: tatko w łeb oberwał, potem w zadek. Nie uciekał, Boże broń: otoczyli go i wtedy... To oni odstąpili. Babę złapali, dzieciaka... Nie było o co umierać, a paru by jeszcze legło, bo tatko ponoć jak natchniony toporem wywijał. Całą polankę w zagajniku wykarczował przy tej okazji. No to uciekli. Nawet koniom się za mocno nie dostało, tyle że ten przypalony w bór czmychnął i dopiero nad ranem się znalazł. Nie szło tamtych gonić. Sam Henzy rodzic najwyżej, a przecie sam by nie poradził. No i mojego musiał pierwej opatrzeć.

- Słusznie - podchwyciła Lenda, unikając wzroku Debrena. - Głupawa młódź podśmiewa się z takowych ran, ale niebezpieczne są jak cholera. Bo to i krwi wiele, i obmyć szybko trzeba... Dobrze stary Henza zrobił.

- No, tego to akurat pewny nie jestem - skrzywił się Zbrhl. - Takie znów głębokie to owe rany nie były, skoro tatko całą półrotę, choćby po nocy i belnickiej zbieraniny, pogonił. A potem jeszcze wierzchem prawie pod sam Prawel dojechał. Nie powtarzajcie Henzie, wszelako widzi mi się, że dłużej bym się obojgiem rodziców cieszył, gdyby jego ojciec jednak za Belniczanami pogalopował.

- He?

- Bo, dureń jeden, opatrunek do dupy zastosował. To znaczy... no, właśnie nie do... to znaczy niby akurat do, ale w danym momencie... i go akurat na...

- Najmłodsze z nas - przerwała mu w końcu Lenda - trzydziestkę skończyło. Dorośli jesteśmy, krótko mówiąc. Więc po prostu powiedz, w czym rzecz. Zwięźle.

Zbrhl posłusznie pokiwał głową.

- Zwiąże to... pieluchą się posłużył.

- Czym? - zapytała zaskoczona Petunka.

- No, taką szmatą, co to się ją niemowlakowi...

- Czwooro dzieci na świat wydałam - sapnęła. - Wiem co to pielucha. Tylko mnie zdziwiło, skąd niby u kondotiera... - urwała. - No tak. Cholera, oszaleć można z tymi chłopami... Toć o dziecko pytałam, czy nie niemowlak. Nie, skąd! Opiekunce pyskuje, ciężkie... A że jak pieluchy, to i niemowlak, już żeś nie pomyślał? Trzy córki masz i nie wiesz, jak długo dzieciak pieluchy nosi?

- Aż przeciekać zaczną? - zapytała, niby to w imieniu rotmistrza, Lenda. I od razu spoważniała. - Daj mu spokój, siostro. Nie na niańkę się chce najmować, a na wojaka. To się nie musi na pieluchach wyznawać.

Zbrhl, ku zaskoczeniu obecnych, splunął symbolicznie.

- No, tego bym akurat nie powiedział. Wojak powinien znać się na wszystkim, co go zabić może. Więc i na pieluchach takż.

- Zabić? - powtórzyła z niedowierzaniem.

- I to po dwakroć. Bo raz, że je wiedźma Sierosława w zastępstwie pergaminu dała, że niby kiedyś je tatko jak asygnatę solidnego banku na żywe srebro wymieni. I pewnie dlatego czuł się w obowiązku tak zaciekle bronić. Wiecie: poważny kontrakt, poważne podejście. A dwa, że szczyzny w nich smarkacza były i się z nich zakażenie na tatkowe rany przerzuciło. Więc gdyby nie pieluchy, może zlecenia by nie wziął, a wzięwszy, nie zmarł.

- Szczyzny? - Wyglądała na mocno wstrząśniętą, ale i inni byli pod wrażeniem.

- Mało romantyczna historyjka - uśmiechnął się krzywo Zbrhl. - I nijak się nie nadaje, by nią kandydatów na szlachetnych rycerzy umoralniać. Bo jaki z niej morał? Że gdy ktoś ma za miękkie serce, to mu i najtwardsza rzyć nie pomoże, a jeszcze mu ratowany do rany nasika?



Nie uzyskał odpowiedzi. Najwyraźniej nikt nie miał pomysłu na lepszy morał.

- Jednego nie rozumiem - mruknął Debren po chwili milczenia. - Czemu asygnata z pieluchy?

- Pergaminu już nie dała rady dźwigać. - Zabrzmiałoby kąśliwie, gdyby nie to, że Lendę ledwie było słychać.

- To da się na tym pisać? - zdziwił się Yeżyn.

- Nie o pieluchy pytam. Mówiłeś: misa srebrna. Gotówki, rozumiem, akuszerka nie miała kromie tego talara, ale z miednicy, nawet kształtu nie naruszając, da się zestrugać srebra na całkiem pokazną...

- Zaczarowana była - wyjaśnił bez zapału Zbrhl. - Ta Sierosława na wszystkie świętości tatkę błagała, by misy nie ruszał. I klęła się, że dziesięć razy tyle srebra, a może i złota dostanie, jak smarkacz należne mu miejsce odzyska. Że z dobrego rodu jest, zamożny, potencjalnie w każdym razie. I na dowód, że faktycznie nie byle kogo przez śniegi taszczy, ową pieluchę mojemu ojcu wcisnęła.

- Jedwabna była? - zainteresowała się Petunka.

- Nie. Ale w rogu herb miała wyhaftowany. - Zbrhl odczekał chwilę, po czym dokończył: - Belochłopa.

Debren cichutko zagwizdał przez zęby. Inni milczeli. Pewnie dlatego rzenie konia wydało się tak głośnym.

A może dlatego, że koń był przerażony.

- Chyba zgłupiałeś - powiedział z przekonaniem Debren, gdy Lenda skończyła.

- Tak całkiem to nie - podrapał się pod koleczym kapturem Zbrhl. - Sam pomysł jest dobry. Jeno nie na nasze siły. Zwłaszcza że nie wiemy, gdzie się paskudnik usadowił.

- Rrozpoznanie zrrrobie - zaproponował Drop. - Dziurrrą w strrrropie wyfrrrrunę.

- Chyba zgłupiałeś - warknął magun. - Toż mówię: właśnie na dachu siedzi. Myślisz, że po co palec w tę szparę pchałem?

Oczy zebranych skierowały się odruchowo na wydłubaną

między belkami szczelinę.

- To nie po to - zdziwił się Yeżyn - by Pisklakowi znak furmański ukazać?

- Co ukazać? - nie zrozumiała Lenda. Oberżysta uniósł dłoń i zaczął prostować środkowy palec, ale zreflektował się i rękę z już wyprostowanym szybko schował za plecy. - A, to... Nie sądzę. Widywałam już Debrena przy robocie i nigdy żadnych paskudności z palcami... - urwała nagle i zarumieniła się. Spojrzenia zebranych, równie zgodnie jak przedtem na szczelinie, spotkały się na obliczu maguna. Też nie całkiem bladym.

Nikt nic nie powiedział.

- Skanowałem - rzucił Debren przez zęby. - Aktywne skanowanie najlepiej przez różdżkę wychodzi - zaczął wyjaśniać, mając wątplą nadzieję, że przestaną się gapić i zaczną słuchać. - W braku takowej podręczniki zalecają posłużenie się palcem. Wskazujący sprzyja precyzji, jako najczęściej używany, ale z kolei ten furmań... znaczy...

- Nie tłumacz się - Zbrhl, którego broda nie do końca kryła wymowny uśmieszek, machnął lekceważąco ręką. - Jak już Lenda wspomniała, najmłodsze z nas trzydziestkę przekroczyło. Dzieci mamy - zerknął na dziewczynę - albo wkrótce mieć będziemy. Więc się z czynności palcowych nie spowiadaj.

- To nie tak - wymamrotała Lenda, miotająca się między chęcią patrzenia obu mężczyznom w oczy a chęcią niepatrzenia na nikogo. Szykując się do wypadu, choć konsekwentnie bosa, włożyła pożyczony od Yeżyna kaftan i naciągnęła kaptur na oczy, więc miała nieco ułatwioną sprawę. - Debren... on owe palce... w celach badawczych to było, nie jakichś...

- Wystarczy - powiedziała spokojnie Petunka. I, równie rzeczowo, zwróciła się do maguna: - Ze skanowania wynika, że gryf siedzi na dachu?

- Nie całkiem - z ulgą zmienił temat. - Ale gdzie indziej go nie ma. A dachu nie sięgnę. Ekranowanie. No i to najlepsza pozycja. Wszystko dookoła widzi, ślizgiem raz dwa każdego dopadnie.

- Nie na podwórzu. - Zeszli na sprawy wojskowe i Lenda szybko wzięła się w garść. - Owe zaostrzone pale mocno paskudnika spowalniają. Jakby co, odskoczyć zdążę. I kuszę wezmę. Bez urazy, ale jak dotąd żadnego fachowca w kuszę zbrojnego z bliska nie zaatakował. Zbrhl dwa tuziny bełtów mu posłał... i co?

- I nic - Debren nie mógł sobie odmówić trochę złośliwego uśmiešku. - O tym właśnie mówię.

- Boś cywil - rzucił urażony Zbrhl. - Nie po to jeno się szyje, by kogoś trafić. Czasem szyjesz, by napastnika z dała trzymać. Nie chwaląc się, na tyle dobrze go przytrzymałem, że dotąd raz tylko szturmę spróbował. A i naloty i marnie mu idą. Jak co trzecim głazem w oberżę trafił, to góra.

- Właśnie - podchwyciła dziewczyna. - W „Cnotkę” nie wcelował, to i we mnie... znaczy, nie w sensie, zem... - znów się zmieszała.

- Mniejsza jesteś - zlitował się nad nią, trochę wbrew sobie, Debren. - Zgoda, jakiś sens to ma. Ale nie pomyśleliście, że jak Lenda z kuszą na podwórze polezie, to od frontu mniej nas będzie, i bez kuszy w dodatku?

- Mistrzu - Zbrhl uniósł berdysz, podsunął mu bliżej, twarzy - tym, jak się dobrze zamachnę, to na łokieć w głąb ciała wejdzie. Widzisz te runy? „D” i „Sz”. Duża Szkoda, znaczy. Najznamienitsza manufaktura płatnerska w Morvacu, a niektórzy powiadają, że i w Viplanie. Skąd się nazwa wzięła, chyba tłumaczyć nie muszę. Popatrz, jakie szerokie to ostrze. Nie ma cudów, by po takim ciosie gryf wśród żywych się ostał.

- Jeśli dobrze trafisz.

- Trafię.

- Ja też - zapewniła Lenda. - Jeno dajcie mi czas, by oczy

nawykły do mroku. Sześć... - zreflektowała się - trzy pacierze jeno.

Debren myślał przez chwilę. Za długo - to jedno zrozumiał od razu. Ale musiał się zastanowić. Bo wszystko, co powiedzieli, było słuszne.

- Debren? - upomniała się Petunka. Dżuma i syfilis.

- Sam nie wiem... Drop, jak u twojego kompana z ta - i ktyką? Ma olej w głowie?

- Ogrrrraniczenie rrozumny - papuga pomyślał trochę i nadymając się, dodał: - Skrrrajnie ogrrrraniczenie. W porrrównaniu z dorrrradcą.

- Znaczy, głupszy od niego - wyjaśnił Yeżyn.

- Domyśliliśmy się - mruknęła jego żona. - Nic mi nowego nie powiedziałaś, Drop. I właśnie to mnie martwi. Debren, już ci mówiłam: nie sam gryf problem stanowi.

- Tak, wiem. I wiem, żeśmy tematu nie zamknęli. Ale w tej chwili nie o zdejmowaniu klątwy mowa. Może być tak, że go tam w ogóle nie ma. To góry, wiatr czasem kierunek zmienia. Może być tak, że na chwilę skręcił i koń poczuł zapach gryfa. A może i nie gryfa: sami mówicie, że tu o wilkołaka łatwo. Są też niedźwiedzie, rysie, wilki... Nie tylko Pisklak mógł wierzchowca spłoszyć. No i za mądrzy nie są: ani mój koń, ani wasz gryf. Długo by tak nie usiedzieli, jeden na dachu, drugi pod gankiem. Więc może niepotrzebnie się tu głowimy i tracimy cenny czas.

- Co uczony łeb, to uczony łeb - zakpiła Lenda. I sięgnęła po pas z pochwą, w której tkwił jej krótki podróżny miecz. - No, idę.

Drzwi na podwórze, podobnie jak frontowe, przygotowano do szybkiego otwarcia. Polegało to na przesunięciu barykady w głąb izby i pozostawieniu wąskiego prześwitu między zastępującym wrota, ustawionym na sztorc stołem a resztą mebli i beczek, które po zaklinowaniu deską przytrzymały ów stół przy futrynie. Lenda opięła biodra pasem, sprawdziła

kuszę, wetknęła dwa zapasowe bełty za pas nad pośladkami i sięgnęła po deskę. Dopiero wtedy obejrzała się na stojącego pośrodku izby czarodzieja.

- Trzy pacierze, pamiętajcie. A ty, Debren, nie bój się. Nic mi nie będzie. Jakby co, skoczę do izby. Zdażę. Idź do Zbrhla, może cię potrzebować.

Omówili wszystko. Brzmiało sensownie. A ona niejedną wojnę zaliczyła.

- Uważaj na siebie, księżniczko. Uśmiechnęła się. I wyjęła deskę.

Stół opadł sam, znieruchomiał w skośnym ustawieniu, gdy zastrzał trafił na barykadę. Przejście było ciasne, ale takie właśnie miało być: człowieka przepuści, gryfa nie.

Coś śmignęło między nimi, sprytną spiralą ominęło wylatującą ku barwnej plamie rękę Lendy, znikło w mroku.

- Psiamać, na rosół go... - dziewczyna nie dokończyła, wykonała piruet na bosej pięcie, wepchnęła się między blat stołu a pokiereszowaną czarem i taranem ościeżnicę. Debren zacisnął zęby, zawrócił ku głównemu wejściu. Machnięciem dłoni powstrzymał dłoń Petunki, podnoszącą się ku stalowemu ryglowi.

- Trzy pacierze - warknął. - Wie, co robi. Machrusie, spraw, by naprawdę wiedziała.

Potem czekali. Zbrhl z berdyszem, Yeżyn z halabardą, on sam z załadowaną trującymi siekańcami hulajkulą. Gryf udowodnił już, że wiele sobie z ołowiu i jadu nie robi, ale tym razem mieli zmierzyć się twarzą w twarz. A oczy, choćby i magicznego potwora, to nie zadek. No i to była udana podróbka muzera, ekstrawaganckiej broni, której korytko naboju wykonane w kształcie okrągłej rury. Debren nigdy nie zastanawiał się, czym - poza chęcią zadawania szyku nowinkami - kierowali się projektanci hulajkuli, ale na jedno wpadł od razu: że rura, jak każda o kolistym przekroju, zogniskuje zakłęcie dużo lepiej niż najpaskudniej

wyprostowany środkowy palec. Choć, oczywiście, znacząco gorzej od najmniejszej różdżki.

Machruście, spraw by go tam nie było.

- ...jedenaście... tuzin... trzynaście... - Nie był w stanie rozpoznać szeptu i nie miało to nic wspólnego z faktem, że stłoczyli się ciasno całą czwórką przy drzwiach, skleili jak gromadka piechurów za plecami tarczownika, o którego puklerz bębni grad strzał.

- Tfu, nie wypowiadajcie owej liczby, panie rotmistrz... Nieszczęście przynosi.

- ...dziewiętnaście... pacierz... pacierz i jeden... dwadzieścia dwa... - Zbrhl liczył powoli, spokojnie, i choć pod krawędzią pożyczonego od Henzy kapalina połyskiwały kropelki potu, Debrenowi przemknęło przez myśl, że można by według niego skalować klepsydry.

Było cicho. Nie mógł czarować przy uszach, szykując się do posłania pioruna kulistego przez rurę muzerowego korytka, ale przecież by usłyszał, gdyby coś...

Nic nie słyszał. Była boso, była ostrożna, wiedziała, co robi. No i Drop, stary zbój, chowany od jaja w lesie, doradca strategiczny jeszcze większego zbója. Ten też nie da się zjeść z kaszą, jak poczciwiec Szałamajka. We dwoje sobie poradzą. Na pewno.

- Może lepiej nie... - jęknęła szeptem Petunka. Zbrhl zignorował ją. Chyba po raz pierwszy.

Czekali. Rotmistrz liczył. Było cicho.

- ...pięćdziesiąt siedem... Petunko... pięćdziesiąt dziewięć... - Oberżystka uchwyciła rygiel oburącz. Ręce lekko jej drżały. - Trzy pacierze. Już.

To Zbrhl ich ustawiał. Petunka szarpnęła za mocno i aż nią zarzuciło, Yeżyn zaczepił halabardą o nadproże, a Debren na chwilę oślepl od niekontrolowanego przecieku mocy - a mimo to wypadli na ganek, nie przewracając się i nie tratując nawzajem. Oto co znaczy prawidłowy szyk.

Przez następną chwilę też szło dobrze: dach ganku w tym miejscu ocalał i byli osłonięci zarówno deskami, jak i cieniem. Nikt nie brał pod uwagę cienia. Teraz okazało się, że ten kawałek zagęszczonego mroku znaczenie jednak miał. Podobnie jak naderwany szyld, który Zbrhl pod uwagę wziął i przed którym ostrzegał pomocników.

Rotmistrz wyminął go zręcznym unikiem. Przeskakując nad schodkami, zawirował w locie, omiótł spojrzeniem dach. I wylądował tyłem.

Więc jednak. Miał lądować przodem.

Gryf siedział na dachu. Niedobrze.

Ale całkiem źle też nie było. Koń stał tam, gdzie poprzednio: bliżej ganku niż studni. Inna sprawa, że lepiej by było, gdyby jednak ustawiono go obok studni. Bo z daleka, nawet przez wąską szczelinę, byłoby widać, że właśnie ustawiono. Nie wybrał miejsca sam. Konie nie mają w zwyczaju przywiązywać się do balustrady ganku.

- Uwa...!

Debren nie dokończył ostrzeżenia. Okazało się zbędne. Petunka - chyba z winy cienia - zderzyła się pierśią z szyldem dokładnie w tym samym momencie, gdy z przeciwnej strony zderzyła się z nim - też dlatego, że było ciemno i łucznik przegapił poczerńiałe deski - długa, jasno opierzona strzała.

Yeżyn skręcił w lewo, przebiegł obok żony, zeskoczył z ganku w głęboki do kolan śnieg.

- Z tyłu! - Zbrhl zamachnął się berdyszem, szerokie ostrze zastygło, znieruchomiło w gotowości.

- Wiem! - krzyknął oberżysta, mijając go i, zgodnie z rozkazami, kierując się za jego plecy. Debren jęknął w duchu. Yeżyn, druga linia oporu, miał stanąć za Zbrhlem, bo gryf miał stać przed Zbrhlem. I to akurat wyszło. Nie przewidzieli tylko, że nie gryf będzie głównym zagrożeniem.

Zarośla przy wiekowym dębie zakołysały się, wypłuły ludzką postać. Ale to nie ten wypuścił drugą strzałę:

nadleciała bardziej z prawej, zza grubego świerka.

Podobnie jak pierwsza, trafiła. Petunkę ocalił szyld. Zbrhła - pancierz. No i strzała z białym, kurzym chyba opierzeniem. Zawodowcy unikali jaskrawych lotek; zbyt łatwo było je wypatrzeć w locie i wykonać unik względnie rzucić czar - jeśli już cel wyznawał się na podobnych sztuczkach. W walce na małą odległość zabarwienie pocisku nie miało znaczenia, ale przynajmniej wyjaśniło łatwość, z jaką strzała zrykoszetowała od ramienia rotmistrza: amatorzy, oprócz niewłaściwych piór, używali także cywilnych, gorszej jakości grotów.

- Z tyłu! - krzyknął Debren. Znów za późno i niepotrzebnie. Zbrhl za bardzo kochał córki, by żałować na opancerzenie, ale rycerzem w sztywnej zbroi płytowej nie był i ciosu nie przegapił. Wykonał kolejną połówkę piruetu, skoczył ku zaroślom.

Yeżyn zatrzymał się, zaczął rozglądać. Próbował odsunąć się, zejść rotmistrzowi z drogi.

Z dachu sypnęło drobinami śniegu. Nie było tego wiele, lecz trudno oczekiwać grubej śnieżnej czapy na dachu, bombardowanym przez całe klepsydry.

- Do środka! - Debren pchnął kobietę, zbiegł z ganku. Z naprzeciwka, zza zadaszonej studni, wypadł jakiś odziany na biało dryblas. Był szybki, ale nie szybkością zaskoczył maguna, a zastosowaną bronią. Nim Debren podjął decyzję co do użycia własnej broni - żal mu było oddawać pierwszy i ostatni zarazem strzał do człowieka, w dodatku uzbrojonego w wiadro - z wiadra pomknęła ku niemu dziesięciokwartowa z grubsza porcja płynu. Trochę ku twarzy, lecz główny strumień dołem.

Za dużo tego było na skuteczny unik. Zdołał obrócić głowę i zacisnąć powieki - to wszystko.

- Nie babę! - krzyknął jakiś nieznany, męski głos. - Czarodzieja, durniu! Bo nas gryf zeżre!

W wiadrze, na szczęście, była woda. Cuchnąca z lekka



glonami i ciepła jak na środek grudniowej nocy. Zapach z czymś się Debrenowi kojarzył, ale gdyby nie ten okrzyk i kołek, wyszarpięty przez biało odzianego zza paska, pewnie nie poskładałby tych faktów w logiczną całość.

Stojąca długo i w małej ilości woda, która zdążyła skisnąć. Tu, w górach, gdzie czego jak czego, ale dobrej wody nigdy nie brak. Kościół. Kretyn uraczył go strugą święconej.

Chociaż z drugiej strony - nie taki znów kretyn. A woda nie była taka znowu ciepła: ot, nie zaczęła jeszcze zamarzać. Podbrzusze, gdzie trafiło jej sporo, przeszła lodowata igła bólu. Na chwilę Debrenowi aż zabrakło tchu.

Kątem oka dostrzegł padającego Yeżyna. I łokieć w kolczudze nad Yeżynem. Przez ułamek chwili podejrzewał Zbrhla o niegodną zawodowca wpadkę, lecz zaraz potem nad głową oberżysty przemknęła strzała.

Tym razem dostrzegł, skąd nadleciała. Ale dureń, choć mylił czarodziejów z babami, o szyldach nie mówiąc, miał wystarczająco dużo rozsądku, by nie pchać się dalej, niż to niezbędne. Od muzera dzieliło go z pół setki kroków. Za dużo. No i szył zza pnia. Debren zrezygnował ze strzału, ledwie naprowadził broń na cel. Próbował obrócić ją z powrotem i poczęstować siekańcami tego z wiadrem, było już jednak za późno.

Wiadro wyrznęło go w ramię, omal nie przewróciło. Utrzymał się na nogach, jednak okazję oddania strzału bezpowrotnie utracił. Kołek - pewnie osinowy, gruby jak drzewce berdysza - już śmigał ku jego gardłu. Debren wyrzucił mu na spotkanie obie ręce, połączone solidnie okutym łożem muzera.

Poskutkowało: kołek nie sięgnął ani gardła, ani twarzy, choć magun oberwał po czole własną bronią.

- Czarodzieja, Zefo! - darł się dowodzący łucznikami. Człowiek zza świerka próbował. Co ocaliło Yeżyna.

Zbrhl cisnął oberżystą ku studni. Zefo, celujący do Debrena,

nie posłał im strzały. Ten wyzywany od durni nie zdążył. Debren zdołał odnotować to wszystko, jako że jego walka o przeżycie nabrała na jakiś czas mocno statycznego charakteru.

Biało odziany, raczej silny niż sprytny, wspiał się na palce i usiłował wcisnąć kołek w twarz przeciwnika. Może dlatego, że pierwsze uderzenie, naprawdę potężne, trafiło prościutko w kabłąk osłony spustu. Już za spustem, więc muzer nie wystrzelił - ale też jako broń zdolna wyrzucać pociski przestał się liczyć. Z drugiej strony - kołek ugrzązł na dobre, tworząc z muzerem sztywny, niepodzielny krzyż. Debren nie od razu zdał sobie z tego sprawę. Przez pół pacierza szarpał się z białym w nadziei obrócenia hulajkuli i wpakowania mu siekańców w ucho. Na więcej nie mógł liczyć - tamten wyraźnie przewyższał go siłą.

- Cofamy się! - wrzasnął Zbrhl. - Petunka, do chałupy! Yeżyn, za mnie! Nie leż pod strzały!

Ciosem berdysza, połączonym z szarpnięciem wolną ręką, pozbawił studnię ruchomej klapy, przez którą spuszczało się wiadro. Klapa miała uchwyt. Jeden tylko i z boku, ale w silnej dłoni natychmiast nabrała cech tarczy.

Zefo machnął ręką na rozkazy i posłał mu strzałę. Chybił. Drugi, ten durny, też spudłował. Ale chyba nie dlatego dowodzący i jeszcze trzech inni wyskoczyli na otwartą przestrzeń, pognali w stronę zabudowań.

Bojowym zapalem napełnił ich dziwaczny ni to ryk, ni skrzek, który zwałił się z góry na względnie ciche do tej pory pole bitwy.

Debren nigdy wcześniej nie słyszał bojowego okrzyku gryfa. Jeśli nie runął z wrażenia w śnieg, to głównie dlatego, że biały wreszcie ciut zmądrzał, puścił kołek i oburącz chwycił go za gardło.

Pociemniało od skrzydeł rozpiętości czterech sążni.

I drugich, mniejszych, czarnych, dużo szybszych. Błysnęło złotem rozwianych włosów. Wypadli z trzech różnych

kierunków i spotkali się przed schodkami ganku. Petunka trzasnęła gryfa miotłą w sam środek łba, gryf odskoczył, zahaczył o słup, nadłamał go, pozbawiając daszek paru kolejnych desek. Nietoperz zdzielił oberżystkę w potylicę, obalił na kolana, wyrwał świecę w czarne niebo.

- Won!!! - wrzasnęła Petunka, przerażona nie na żarty, ale chyba jeszcze bardziej wściekła. - Zdrajcy!!! Jajcolizy!!! Z piekła nie wylezicie!!!

Yeżyn biegł w stronę konia. Koń, który znalazł się niemal w zasięgu gryfich skrzydeł, zarżał, stanął dęba. Uwiązano go jednak dobrze, a balustrada wytrzymała. Szarpnięty za pysk, pośliznął się, runął na kolana. Zbrhl poderwał pokrywę-tarczę, ale nie wyczuł miejsca - strzała zadzwoniła o pancerz, zaiskrzyła.

- Baby nie tykać! - krzyczał w biegu wąsaty przywódca napastników. - Inszych tykać!

Biały szarpnął w lewo, potem błyskawicznie w prawo. Był za ciężki, by Debren zdołał utrzymać równowagę. Upadli. Na szczęście w płytki śnieg. Magun, raz po raz waląc hulajkulą w okryty kapturem łeb dusiciela, miał zaskakująco dobry widok na większą część placu boju.

Z waleniem było już gorzej: pod kapturem dryblas nosił futrzaną czapę, mocno osłabiającą siłę ciosów.

Pisklak zaryczał. Składając skrzydła, nagle szczupły i zwinny jak jego koci przodkowie, skoczył w stronę Yeżyna. Znów dostał przez pysk miotłą. Zawył, zgubił rytm: Petunka namoczyła swą broń w jakimś żrącym paskudztwie sporządzonym na bazie ługu. Oślepiony potwór chybił uskakującego oberżystę. Yeżyn, waląc halabardą jak cepem, potężnie, ale po długim zamachiwaniu się, chybił Pisklaka. Zefo chybił, posyłając strzałę' tuż nad uchem jednego z biegnących kompanów, który wywalił się z wrażenia, i nad uchem Zbrhla, który chyba w ogóle jej nie zauważył. Rotmistrz doskoczył z boku, poderwał trzymany w prawej

ręce berdysz - i runął.

Dureń trafił. W tylną część jego lewego uda.

- Won!!!

Coś załomotało o otaczający podwórze częstokół. Dopiero wtedy Debren rozpoznał głos. Lenda. Chyba próbowała sforsować ogrodzenie.

Wiedział, że nie zdąży. I prawie go to cieszyło. Bo przegrywali. Teraz już wyraźnie.

Obaj łucznicy skoncentrowali ostrzał na rotmistrzu.: Upadł w złym miejscu i nim dźwignął się na nogi, zdążyli posłać mu cztery strzały. Trafiły dwie. Jedną zatrzymała tarcza. Drugą brygantyna - tyle że nie całkiem. W ruchu ręki, wyszarpującej i odrzucającej strzałę, było za dużo bólu, bezsilnej złości. Grot nie wszedł chyba głęboko, ale pod pancerz niewątpliwie się wdarł.

Gryf, jakby spłoszony krzykiem zza częstokołu, potknął się o własną łapę, potem zatrzymał. Po kociemu wypiął ogon ku niebu, prychnął, zanurkował dziobatym pyskiem w zaspie. Stał o skok od szalejącego ze strachu konia, tarł poparzone ślepią unurzaną w śniegu łapą - i nic nie robił.

Debrenowi przemknęło przez myśl, że to dlatego, iż nie musi. Bitwa rozgrywała się pomyślnie dla jego małej, ale i tak liczniejszej armii.

Trzej nadbiegający byli już blisko. Klęczący Zbrhl próbował sięgnąć skrzydłowego berdyszem, ale uzbrojony w widły młodzik zręcznie przeskoczył nad ostrzem i pognął dalej. Drugiego skrzydłowego, wywijającego toporem, Petunka wyrznęła końcem miotły w brzuch. Wąsaty przywódca odbił sulicą pchnięcie halabardy Yeżyna, odskoczył. Yeżyn sparował pchnięcie wideł i też się cofnął. Zbrhl, warcząc, odepchnął się drzewcem od ziemi, stanął na dwóch nogach, zatoczył się. Następną strzała przemknęła obok jego łokcia. Debren, na pół uduszony, dał spokój muzerowi, wepchnął palec w ucho białego i puścił przez ułożoną w furmańskim geście dłoń

błyskawicę. Miała być słaba. Łupnęło. W oczach mu pociemniało, przed oczami pojaśniało. Biały przestał dusić, zwałił się magunowi na twarz, omal nie łamiąc czołem nosa. Palec chyba odpadł. A może eksplodował. Dziwne, bo w ostatnim momencie specjalista od wody święconej i kołków szarpnął głową i większa część energii poszła przez małżowinę uszną oraz kaptur w niebo. A dokładniej: czubek jodły przy wylocie drogi do Rumperki. Z gałęzi sypnęło śniegiem, dwie czy trzy stanęły w ogniu. Pięknie, cholera.

Czwarty z atakujących, ten, co upadł, zdążył się zerwać na nogi. Cep, bojowy, porządnie okuty, pomknął skosem ku głowie Zbrhła. I chybił. Rotmistrz runął na kolano, skręcił się w biodrach, padł na łokieć. Berdysz, posłany za plecy, zakreślił poziome półkole - pozornie bez efektu. Cepiarz, nie tracąc rytmu, dopadł przeciwnika i - najwyraźniej zaskoczony tym, co się dzieje - wywinął kozła, gdy stopa zaplątała mu się w lecących z rozprutego brzucha jelitach. Runął wyjątkowo niefortunnie: prosto na Zbrhła. Zbrhl zdołał wywinąć się spod niego, lecz kosztem turlania po śniegu. Widać było, że podniesienie się zajmie mu sporo czasu.

Tak jak Debrenowi, który z wysiłkiem wygrzebywał się spod rozkrzyżowanego ciała białego. Trafili na udeptany kawałek podjazdu; pięty ślizgały się, łokcie rozjeżdżały na boki, bezcenne momenty przeciekały mu przez palce jak święcona woda przez znoszone, poprzecierane portki.

- Z potworami na ludzi?!! - krzyczała Petunka. - Z piekła nie wyrzycie!!! Śmierdziele zamosteckie!!!

Jej miotła śmigła wokół głowy osłaniającego się siekierą mężczyzny, który próbował ją złapać i obalić, ale nie próbował atakować ostrzem. Yeżyn wywijał halabardą, nawet dość sprawnie, lecz żył głównie dlatego, że łączył to z ciągłym cofaniem się. Wąsaty przywódca i widlarz wykorzystywali przewagę liczebną oraz lekkość swej broni, spychając go w niepokojąco szybkim tempie ku północnemu narożnikowi

częstokołu. Debren, rezygnując ze wstawania, złapał zębami koniec kołka, szarpnięciem jedynej wolnej dłoni próbował oswobodzić hulajkulę i posłać Porcję siekańców w przesuwające się tuż obok pośladki. Omal nie wyrwał sobie połowy szczęki - to wszystko.

Gryf nie ruszał się. Chyba przestał nawet oczyszczać ślepią z ługu.

- Won, chamy!!! - przetoczył się nad placem boju dźwięczny okrzyk Lendy. - To nasza prywatna sprawa!!!

Nikt jej raczej nie zrozumiał - Debren w każdym razie na pewno - i nikt nie posłuchał.

Złocista czupryna Petunki znikła pod plamą spadającej z nieba czerni. Tym razem nietoperz zachował się jak na nietoperza przystało i po wymierzeniu zaskakującego ciosu w kark nie odleciał, tylko wczepił się wszystkimi kończynami we włosy. Kobieta krzyknęła z bólu, upadła. Cios miotły chybił celu, topornik wywinął się zręcznym unikiem i grzmotnął ją drewnianym końcem broni w łokieć. Miotła, i tak bezużyteczna w takiej pozycji, wypadła oberżystce z rąk.

- Zabiję!!! - ryknął Zbrhl. Topornik kopnął Petunkę między piersią a nietoperzem, obejrzał się, zrozumiał, że to do niego - i poślizgnął się z wrażenia. Rotmistrz wstawał. Kolejna strzała sypnęła snopem iskier z jego okrytych brygantyną pleców, druga uderzyła w pożyczony od Henzy hełm, przesuwając go na oczy. Przebita na wylot noga chwiała się, zdrowa płała w parujących trzewiach cepiarza, który tyłem, drąc się i szorując śnieg łokciami, odpełzał w bezsensownej ucieczce przed własnymi kiszkami - ale widać było, że Zbrhl wstanie. I zabije.

Wąsaty znów udowodnił, że nadaje się na przywódcę.

- Bratanki! - krzyknął, odskakując na chwilę i pozostawiając szermierkę z Yeżynem widlarzowi. - Ku mnie! Łać grubego!

Wołając, odwrócił twarz w stronę lasu. Tym samym jego spojrzenie zahaczyło o nieruchome plecy białego i gramolącego się spod spodu maguna. Zawahał się, po czym

poderwał sulicę i dodając sobie animuszu głośnym: „Giiiń!!!”, rzucił się biegiem w stronę Debrena.

Debren, któremu zawieruszył się zagwoźdzony kołkiem muzer, posłał mu piorun kulisty. Znów przez środkowy palec, furmańską modą. Palec, jak się okazało, jednak nie odpadł, ale wytworzony między nim a uchem łuk elektryczny zrobił swoje i odrętwiała po łokieć ręka zawiodła. Kula ognia śmignęła obok policzka nadbiegającego, spaliła ćwiartkę sumiastych wąsisk i - zbyt późno pchnięta te-1 lekinezą - skreśliła w dół. Wprost na ostrokół.

Błysnęło. Najpierw żółcią długich, kobiecych włosów.] Nie całkiem tam, gdzie trafił piorun, ale wystarczająco blisko, by Debren zamarł na chwilę ze zgrozy i zmarnował ostatnią - fakt, że nikłą - okazję ratowania się. Nim przełożył rozmiary eksplozji na faktyczną siłę rażenia i wykrzesał z siebie słabą nadzieję, że jednak nie zabił Lendy, zrobiło się za późno.

Wąsacz był już nad nim, a ostrze sulicy jeszcze bliżej.

Nad głową, koziołkując jak rzucony ręką, powolny i naigrawający się z niego, przeleciał bełt. Z prawej w lewo, od domu ku lasowi. Lenda. Ona jedna miała kuszę. Poniewczasie uzmysłowił sobie, że właśnie błysk stalowego łuku był tym, co przyciągnęło jego uwagę do żółtej plamy włosów. Chyba mierzyła gdzieś w tę stronę. Chyba by zdążyła i chyba by trafiła. A on wszystko spieprzył.

Po raz ostatni.

Sulica cofała się wraz z parą biorących zamach ramion. Wąsacz wydał z piersi triumfalny okrzyk.

Który błyskawicznie przeszedł w bolesny i trwożliwy. Gdy coś, co Debren przez analogię zaklasyfikował jako tęczowy piorun, dopadło twarzy mężczyzny.

Poczerwieniało. Od piór, ale i od krwi. Drop wbił pazury szeroko, niemal od ucha do ucha, szarpnął skrzydłami, wyskakując na stopę do góry i żłobiąc w obliczu wąsatego szóstkę głębokich bruzd. Jedna okazała się bardzo głęboka:

przetaczający się na bok magun dostał w policzek wyrwanym spod powieki okiem mężczyzny.

Gdzieś z tyłu przypalany magicznym ogniem widlarz przebiegł kilkanaście kroków i wrzeszcząc z bólu, skoczył zadkiem do przodu w zaśniewane koryto. Okazało się puste, więc zaraz potem wyturlał się z niego. Na czworakach, ciągnąc za sobą ogon płomienia, wyrastający z miejsca dla ogonów typowego, pognął ku najbliższej zaspie.

- Yeżyn! - Krzyk, pełen strachu i złości, zabrzmiał w uszach Debrena jak śpiew katedralnego chóru: Lenda nie tylko żyła, ale, sądząc po sile głosu, miała się całkiem dobrze. - Tutaj! Wartko! Podciągnę cię!

To już nie brzmiało tak słodko. Panikowała. Choć gryf stał tam, gdzie przedtem - tyle Debren zdołał zauważyć.

Na więcej nie pozwolił wąsaty. Pokaleczony, ciężko Przerazony, miotał się w kółko, wywijając na oślep sulicą próbując przedziurawić nią jeśli nie ptaka, to choć czarodzieja. Ból, lęk i żądza odwetu dodawały mu sił, czyniły szybszym. Zaciskając instynktownie powiekę na ostatnim już oku, pozbawił się możliwości zadawania celnych ciosów, było ich jednak mnóstwo, były silne i nie tylko Debren, lecz także obskakujący wąsatego Drop musieli dokonywać prawdziwie cyrkowych sztuczek, by uniknąć ostrza. Na szczęście było ich dwóch, a okaleczony napastnik nie nienawidził obu jednakowo. Przetaczający się z boku na bok magun zyskiwał dłuższe chwile zwłoki, gdy ostrze, chybiwszy go o parę cali, obracało się o szesnaście rumbów i gwizdząc z bezsilnej złości, dziurawiło powietrze gdzieś obok skrzekliwego źródła plugawych wrzasków.

- Srrrajdek! Skorrumpowany sknerrus! Demokrrrata! Kurrrwi rrrodzić! - darł się Drop, akompaniując sobie łopotem skrzydeł i czyniąc dostatecznie wiele hałasu, by zagłuszyć odgłosy towarzyszące unikom Debrena.

- Ubiję!!! - ryknął wąsaty. - Brać go, bratanki!!! Kuzynkę



wam szkaluje!!!

- Kurrrwinę! - papuga wykręciła beczkę, trzasnęła dziobem w dłoń, zbijając sulicę z toru, który kończył się w pępku maguna. Debren, klnąc się za ryzykancki manewr i gratulując go sobie zarazem, dokończył przewrót w tył, wylądował na kolanach kilka stóp dalej. W końcu z plecami u góry, z jakimiś zadatkami na swobodę ruchów.

Zbrhl, dla odmiany, właśnie padał. Następna celnie wypuszczona strzała utkwiała między płytkami pancerza, ciosem między łopatki pozbawiła go chwiejnej równowagi.

Gryf stał w miejscu. Ignorując wierzgającego konia, triumfalne piski nietoperza, przekleństwa Lendy, nawet Yeżyna, który przebiegł tuż obok, gnając na odsiecz szarpiącej się z parą napastników żonie. Mógł skoczyć, zgruchotać kark jednym ciosem potężnej łapy. Nie skoczył. Wpatrywał się w płonący częstokół i jasną plamę włosów z tyłu. Nie żółtą już, a jedynie jasną - palisada przypalona magicznym ogniem dymiała intensywnie, co czyniło z Lendy ledwie widoczne widmo.

Nawet z kolorem coś się porobiło. Jasna plama wychylonego zza belek popiersia wyglądała jakoś jednolicie, bez podziału na biel twarzy i błękit sukni. Chociaż nie, jaka suknia - była w kaftanie. Śnieg? Wytarzała się, upadła?

Debren nie miał czasu zastanawiać się nad takimi głupstwami. Była za ogrodzeniem i tylko to się liczyło. Teraz znów bardziej niż przed chwilą.

Z lasu, strzelając w truchcie, wybiegli obaj łucznicy. Topornik, wymierzywszy Petunce któregoś z rzędu kopniaka, obrócił się, skoczył Yeżynowi naprzeciw. Otoczony resztkami dymu i mnóstwem pary widlarz macał w śniegu, szukając upuszczonej broni.

Wszystko nieważne.

Wąsaty, doprowadzony do szewskiej pasji papuzimi obelgami, machnął ręką na czarodzieja, machnął ręką na

ostatnie oko, otworzył je i zaczął uganiać się za wywijającym ósemki Dropem. Też nieważne.

Ważni byli nadbiegający od strony Zalewiska bratankowie. Wielcy. Barczyści.

Podpierający się co parę kroków rękoma.

Debren, który już stawał, na chwilę znów opadł na kolana. Miękkie nagle jak galareta.

Bratowa wąsatego puściła się z niedźwiedziem. Dwa razy. Obaj bratankowie byli ursoludami. Wielkie, baniaste łby porośnięte sierścią, sterczące na boki, wysoko ulokowane uszy, krótkie nogi i długie, niewiele cieńsze od nóg ręce... Byli szczuplejsi i mniejsi od swych leśnych przodków, lecz ludzkie ubiory poszerzały ich sylwetki, rozdymały do monstrualnych rozmiarów. Ten mniejszy, obdarzony większą dawką ludzkich genów, biegł szybciej na dłuższych nogach, a w prawej łapie dźwigał wojskową maczugę ze stalową głowicą najeżoną kolcami. Drugi nie miał broni - wystarczyły mu długie na kilka cali pazury i sterczące spod ściągniętych warg zębiska, osadzone w wypchniętych daleko przed czubek nosa szczękach.

- Zbrhl! Z prawej! - krzyknął Debren, szarpiąc się z tkwiącym w hulajkuli kołkiem. - Lenda! Na konia i w las!

Nie mieli szans. W ciele rotmistrza tkwiły trzy groty, łucznicy wpakowali właśnie dwa następne w tarczę-pokrywę, którą jakoś się zdołał osłonić. Było jednak oczywiste, że za każdym następnym razem będzie miał trudniej, że naszpikują go jak jeża, obskakując wokół jak Drop wąsatego, jak Drop bezkarni, lecz w przeciwieństwie do ptaka mogący zadawać śmiertelne ciosy. Nie musieli nawet chować się za plecami ursoludów - wystarczyła im przewaga szybkości i zwinności nad okulawioną ofiarą.

Ale oczywiście nie pozostawiono ich z rotmistrem sam na sam. Bardziej ludzki z półniedźwiedzi, ten z maczugą, pędził właśnie na Zbrhla.

Petunka, choć walczyła jak lwica, nie była w stanie wydostać się spod nietoperza. Największego, jakiego Debren kiedykolwiek widział. Zbyt wielkiego i sprytnego jak na siły brutalnie skopanej kobiety.

Widlarz wymacał widły, wstawał. Topornik z ręcznie zbitą pchnięciem halabardą, omal nie sięgnął ostrzem łokcia Yeżyna. A kołek nie chciał wyleźć z za spustu.

Przegrali. Choć gryf stał, kłapiąc bezgłośnie dziobem i gapiąc się beczynnym na...

...wciąż na Lendę.

Dżuma i syfilis.

- Do środka, Lenda! - zawołał. - Poniechaj konia! Skoczył w stronę ganku, drzwi, za którymi nie było chyba ratunku, ale przynajmniej była nadzieja. Trafiony strzałą szyld wciąż się kołysał, i to mocno. Jak krótko, Boże... Wydawało mu się, że wieki upłynęły, a to momenty... Jeszcze przed chwilą byli pełni wiary, może i wystraszeni, ale nie zrezygnowani. Teraz umierali. Każde samotnie, choć niby obok siebie.

Nie chciał tak. Jeśli już, chciał obok niej. Jeszcze raz zajrzeć w trochę niebieskie, trochę zielone oczy z plamkami złota. Dziwne oczy, które na pozór wydawały się po prostu szare.

- Zabieraj Petunkę, Debren! - dogonił go chrapliwy krzyk Zbrhla. - Zatrzymam ich!

Zawahał się, zwolnił. Drop przemknął nad głową wąsatego i grotem jego sulicy, zaskrzeczał wyzywająco. Nietopen zadarł łeb, zawahał się. Nim podjął decyzję, tęczowa furia spadała już z góry, nabierała impetu. Wystartował, nie zdążył się jednak rozpędzić i Debrena nie zdziwił widok szczepionych, nurkujących w zaspie ciał.

Uskoczył przed kopytem, dopadł klękającej Petunki, szarpnięciem za łokieć postawił na nogach. Twarz miała we krwi, całe garście wyszarpanych z głowy włosów lepiły się do policzków, do śniegu pokrywającego kożuszek.

- Do środka! - pchnął ją w stronę ganku. - Zabarykadujcie

się!

Zachwiała się, omal nie upadła. I wykorzystała sprytnie tę utratę równowagi, prześlizgując mu się pod pachą i ruszając biegiem równoległe do ściany oberży.

- Yeżyn!

- Yeżyn! - darła się Lenda, niewidoczna z tej perspektywy, przesłonięta węglem budynku i resztkami zadaszania nad gankiem. - Do mnie! A ty won, pasiasty obesrańcu! Bo rzucę! Jak mi Bóg miły! Rzucę! Srał ją pies! Nie moja!

Debren nic z tego nie rozumiał. Ale też nie miał czasu - nawet na stawianie sobie pytań. Yeżyn, urodzony pantoflarz, na dźwięk władczego kobiecego głosu natychmiast rozpoczął odwrót. Czym chyba uratował sobie życie.

Widlarz, siedzący po pierś i łokcie w zaspie, sprawiał wrażenie obolałego, oszołomionego i mało zainteresowanego tym, co się wokół dzieje. Ale było w jego postawie coś, co błyskawicznie rozkołysało dzwon alarmowy w głowie Debrena.

Parę kroków i Yeżyn, bezskutecznie próbujący przebić się halabardą poza zaporę topora, ustawiłby się do niego bokiem. Lewym, tym od serca, i w odległości paru zaledwie stóp. A wtedy...

Mężczyzna z toporem na to chyba liczył, bo zaatakował natychmiast, kiedy stało się oczywiste, że nie podprowadzi przeciwnika pod zdradzieckie pchnięcie. Okazał się dobrym szermierzem: już trzecie skrzyżowanie drzewc rzuciło oberżystę na kolano, zmusiło do rozpaczliwego chwytania równowagi. Czwarte jeszcze Yeżyn by przetrwał, ale piątego raczej nie.

Petunka, ciut za szybka dla maguna, skoczyła jak któraś z pręgowanych prababek Pisklaka. Dopiero na koniec kolana dogoniły dłonie, wyrznęły topornika po nerkach. Runęli oboje. Do przodu, wprost pod wznoszące się widły.

Debren rzucił na szalę wszystko, czym dysponował.

Konkretnie: cały zapas mocy przez przewodnicę hulajkuli. Nie zaryzykował z piorunem; zbyt świeże było wspomnienie głowy Lendy znikającej za rozbłyskiem. Wybrał cholernie nieekonomiczną, ale bezpieczniejszą dla postronnych telekinezę.

Rezultat przeszedł jego oczekiwanie.

Pchnięcie poszło rozpedzone widły w górę i do tyłu. Ugrzęzły w belkowaniu dachu. Widlarz, który rozpedzony nie był, wywinął kozła przez plecy, przebił balustradę, wyłamał zuchwą kawałek deski, grzmotnął o ścianę i zwałił się na ganek z bezwładnością mocno wypchanego worka. Petunkę strąciło z pleców topornika, cisnęło najpierw w zaspę, potem pod pomost. Jakies odbite od ściany echo trafiło konia. Popręg w końcu pękł, szarpiące się od samego początku zwierzę zatoczyło się, wpadło na wstającego Yeżyna. Chrupnęła łamana kość, oberżysta zawył, wypuścił halabardę. Debren obejrzał to wszystko z lotu ptaka - może tkwiący w lufie ładunek, może to wylotowe draństwo do regulowania rozsiewu wiązki spowodowało potężną reakcję i rzucającemu czar dostało się niewiele słabiej niż obrzucanemu.

Znokautował go też nagły wpływ mocy. Nic dziwnego, że zobaczył parę rzeczy, których nie mogło tu być. Gwiazdy, barwniejsze od piór Dropa. Gryfa, który pierzchał do lasu z podkulonym ogonem. Lendę na częstokole, śliczną, ognistą, wymachującą nagim mieczem i nagimi piersiami. Cuda i dziwy. Piękne i kompletnie nierealne.

Realny był wąsacz, w którego wyrznął plecami. I trzaski grotów, kłusujących pancierz Zbrhła.

Wygrzebali się z zaspą równocześnie: on i wąsaty. Obaj oszołomieni, nie bardzo wiedzący, co się stało. Debren okazał się szybszy, sięgając po tkwiący pod spustem kołek. W myśleniu szybszy już nie był. Dopiero szarpiąc się z zaklinowaną bronią, przypomniał sobie, że już próbowali: i biało odziany właściciel kołka, i on sam.

Sulica wąsatego wyskoczyła spod śniegu trochę później, za to od razu jako pełnosprawna broń. Debren rzucił się na plecy, wypuszczając hulajkulę i kołek, składając dłoń do gangarina. Kiedy impuls przebiegał przez łokieć, błysnęło mu, że wypuszczał już oburącz, w dwie różne strony. Psiamać. Mógł strzelać.

Teraz już nie. Choćby dlatego, że trafiony w błędnik wąsacz błyskawicznie wziął pomstę, zwracając na niego wieczrę, złożoną z kaszy i chyba marchwi. Sulicą, na szczęście, wymierzył gorzej. Wbiła się w ziemię obok głowy Debrena. Magun trzasnął ją łokciem, odrzucił na parę stóp od zupełnie zdezorientowanego właściciela.

Dwie strzały śmignęły obok nóg Zbrhła. Rotmistrzowi udało się wstać, zastawić berdyszem przed ciosem maczugi ursoluda. Zgrzytnęło przeraźliwie, od cylindrycznej głowicy odpadło kilka kolców. Zbrhl zachwiał się, lecz utrzymał na nogach.

Drugi człekoniedźwiedź przebiegł między stającym dęba koniem a siadającym czarodziejem, skoczył za Yeżynem. Oberzysta, wyraźnie półprzytomny, ze zwisającą bezwładnie lewą ręką, bez broni, rozejrzał się za żoną, nie dostrzegł jej, dostrzegł rozhuśtany szyld i, wyciągnąwszy błędny wniosek, pobiegł tam, gdzie mu kazano. Do Lendy. Topornik, pokaleczony hakiem halabardy, na który przewróciła go Petunka, gramolił się niezdarnie z ziemi.

Debren chwycił muzera, wycelował. Łucznik oskarżany przez wąsatego o głupotę zabiegł rotmistrza z boku, wyhamował w miejscu, skąd mógł strzelać, nie ryzykując trafienia ursoluda. Napiął łuk. Nauczony doświadczeniem wymierzył w nie osłonięte pancerzem nogi.

Hulajkula stęknęła zwalnianą sprężyną, podskoczyła Debrenowi w dłoni. Było za ciemno, by dokładnie ocenić efekty, Łuk i strzała rozleciały się jednak w dwie różne strony, łucznik, klejąc dłonie do twarzy, runął w trzecią - to musiało

magunowi wystarczyć. Zwłaszcza że wąsaty, choć niebo myliło mu się z ziemią, zdołał wyciągnąć nóż i, wspomagany kolejną falą wymiotów, próbował pchnąć Przeciwnika.

Zbrhl sparował ostrzem uderzenie maczugi i zaraz potem, pokrywą studni, drugie, zadane pazurzastą łapą.

Impet ciosu uchronił go przed upadkiem, wyprostował. Tarcza pękła. Ursolud dostał w pysk drzewcem berdysza, ryknął, splunął zębem. Drugi łucznik, Zefo, skoczył w lewo, próbując wyjść zza pleców kudłatego kamrata, zyskać sposobność do strzału. Debren uniósł hulajkulę, teraz w charakterze substytutu różdżki, choć nie bardzo miał czym czarować. Wąsaty, chyba przypadkiem, kopnął go; w łokieć, wybił broń z osłabionej nieszczęsną błyskawicą ręki. Magun, próbując chwycić w locie wirującego muzera, wylądował oburącz tuż przy osinowym kołku. Złapał go, niewiele myśląc pchnął na oślep za siebie.

Trafił. Kij był dobrze zaostrzony, gładko wszedł w gardło. Wąsaty padł. Zbrhl też - na kolano. Berdysz zatrzymał jednak spadającą z góry maczugę. Ursolud, zamiast odskoczyć i ponowić cios, runął na człowieka śladem maczugi, próbując zgnieść, stłamsić w zwarciu, poszarpać pazurami. Udało mu się, przynajmniej częściowo. Długa broń poleciała na bok, wielka futrzano-błaszana kula splecionych zapaśników potoczyła się ku studni.

- Ręka! - krzyczała gdzieś w dali Lenda. - Szybciej!!! Tam też działo się coś złego, ale Debren nie mógł się oglądać. Zefo, ośmielony widokiem zakopanego w śniegu berdysza, ruszył ku tarzającym się przeciwnikom. Strzał z przyłożenia powinien załatwić sprawę.

- Pomóż mu!

Petunka. Była z tyłu, nie wiadomo, do kogo adresowała okrzyk. Nieważne. Zbrhl na pewno potrzebował pomocy. Yeżyn być może. No i nie było czasu.

Nie było też czym czarować. Gangarin wyssał mu z głowy

cały zapas magicznej energii. Muzer pusty w środku. Dżuma i trąd.

Dźwignął się na nogi. Z trudem.

- Hej, ty. - Od samego początku starcia wszyscy krzyczeli. On po prostu mówił. Pewnie dlatego podziała: Zefo, choć brakowało mu tylko paru kroków, zwolnił, posłał magunowi szybkie spojrzenie. - Wystarczy. Bo oślepię.

Nie myślał, że podziała. Prawdę mówiąc, w ogóle nie myślał. Samo wyszło. Na pusty, wypełniony krwią oczodół wąsatego spojrzał dopiero naprowadzony spojrzeniem łuczника. Na tego drugiego, wierzgającego nogami, z twarzą jak po brutalnym goleniu przyszczy - też. Nie potrafił ocenić, czy któryś z siekańców trafił w oko. Było ciemno. Ale Zefo, mający w tle płonący ostrokół i otwarte na oścież drzwi oberży, widział jeszcze mniej. I dopowiadał sobie to, czego nie wyławiał wzrok.

- Bękarrrt! - zaskrzeczał, trochę jakby rwany zadyszka, lecz nadal zuchwały, paskudny w brzmieniu głos Dropa. - Smierrrdziel borrrny! Marrruha nierrruchliwa!

Większy ursolud zaryczał, w dwa momenty później zderzył się z czymś masywnym, chyba drewnianym, co przynajmniej częściowo połamał. Cięciwa łuku Zefa cofnęła się odrobinę. Wolno. Potem wróciła. I znów się cofnęła. Ale nogi tkwiły w miejscu, nie próbowały nieść właściciela bliżej studni, która zatrzymała w końcu toczącą się niedźwiedzio-ludzko-śnieżną kulę.

- Oślepię - powtórzył, teraz już sucho i dobitnie, Debren. Stał z opuszczonymi rękoma, niemal niedbale. Zrezygnowany, podtrzymywany na duchu świadomością, że i tak niczego lepszego nie był w stanie zrobić. I że to, co już zrobił, na coś się jednak przydało.

Nie rozumiał jak, ale ze śnieżnego chaosu jako pierwsze wyłoniły się ramiona w kolczudze i to one, zacisnąwszy się na kudłatych uszach, trzasnęły łbem przeciwnika o cembrowinę



studni. Potem jeszcze raz, i jeszcze. Przy kolejnej próbie rozbicia murka niedźwiedzią głową - bo raczej na to się zanosilo - Zbrhl zainkasował pchnięcie łapą i odleciał na dobry sążeń do tyłu, lecz tego już Zefo nie widział.

Niczym stary wyjadacz, co to już niejedno pole niefortunnej bitwy opuszczał biegiem, potruchtął nie bardzo spieszenie w stronę lasu, z łukiem w jednej, a zdjętą z ciężki strzałą w drugiej ręce. Nie oglądał się.

Debrenowi nie chciało się wierzyć. Stracił chwilę na otrząsanie się z osłupienia i następną na wyławianie sulicy ze śniegu. Zanim się uzbroił, ci spod studni byli już na nogach.

Chwiali się obaj. Z piersi ursoluda sterczał długi, dość Paskudny sztylet, który Zbrhl nosił to za pasem, to w cholewie, w zależności od tego, gdzie trafiła drewniana łyżka i bukłak z piwem. Z uda rotmistrza wystawało to, co zostało ze strzały po długotrwałej szarpaninie. Krwi było mnóstwo, jednak to Zbrhl pierwszy poderwał broń z ziemi.

Ursolud spóźnił się tylko odrobinę. Maczuga trafiła z boku ostrze berdysza, odchyliła tor. Unik też zrobił swoje. Dobrze zaostrzony brzeszczot minął się ze łbem, musnął ramię i w ostatniej chwili dogonił bosą, porośniętą włosiem stopę. Człekoniedźwiedź zaryczał i odskoczył. Po-1 łówka stopy została. Debren chwycił sulicę, ruszył biegiem. Zbrhl sparował poziome uderzenie maczugi, zakręcił się na zdrowej nodze, dziwacznym cięciem znad ramienia, w dół, tuż przy kolanie i znów w górę, ulokował żeleźce berdysza gdzieś pod prawą pachą przeciwnika. Szybko, zaskakująco, a więc nie za mocno. Ale to był berdysz, dwuręczny topór o sile rażenia małego tarana.

Kudłatym zarzuciło. Machnął wolną łapą, stracił rotmistrzowi hełm, który jakimś cudem nie spadł do tej pory. Pchnięciem maczugą niczym mieczem zgiął Zbrhla w pasie. Zbrhl, nie prostując się, ciął od dołu, obuchem, Tam, gdzie zmęczony sovrojski partyzant uderzył księcia Lendy. Może nie

z tak zabójczym skutkiem, ale wystarczająco mocno, by ursolud zwałił się na cztery łapy. Zbrhl odskoczył na jednej nodze, zamachnął się, pierwszy raz solidnie, i ciał bestię przez łeb. Tylko raz. Wystarczyło.

Debren wyhamował ryzykownym ślizgiem, zawrócił. Niepotrzebnie. Przed oberżą zrobiło się pusto, tylko Petunka, chwiejąc się i potykając, wciągała na ganek i dalej, w drzwi, dziwnie potulnego konia. Gryfa nie było. Podobnie jak Yeżyna, mężczyzny z toporem i drugiego ursoluda. Dropa też nie było, ale ten przynajmniej darł dziób zza częstokołu, nie bardzo zrozumiale, lecz bez wątpienia wyjątkowo plugawie. Na śniegu czerniały zwłoki nietoperza, na ganku - tego z widłami i złamanym karkiem. Pozostali znikli. Debrenowi wydawało się, że dostrzega ślady ludzkich stóp biegnące w stronę królewskiego traktu, lecz dymu było za dużo, by zyskał pewność.

- Dojdę! - zawołał z tyłu Zbrhl. - Biegnij do nich!

Pobiegł. Omal nie w lewo, gdzie dogasało wprawdzie, lecz wciąż mocno dymiło ugodzone piorunem ogrodzenie. Skręcił ku drzwiom i Petunce tylko dlatego, że palisada było wysoka, a jemu spieszyło się do Lendy. Ślady w śniegu chyba faktycznie były śladami, ale to kudłate bydlę... Po prawej częstokół, zmurszały i stary, ział sporą i nową dziurą. Drop przesadził z obelgami i choć przesadzał z nimi dalej, gdzieś w odległym końcu podwórza, aż za łaźnią, Debren wolałby być już po tamtej stronie budynku.

Nie dało się jednak. Koń, posłusznie idący za kobietą, zaczął się szarpać, gdy tylko wyczuł jego obecność z tyłu. A stał akurat w drzwiach.

Z tyłu była barykada, pod nogami Petunki wałała się zbita z desek belka-zastrzał, wierzchowiec, choć nie próbował wierzgać ani gryźć, raz po raz stawał, parskął nerwowo i nie dawał się przepchnąć w głąb izby - potrwało trochę, nim oberżystce udało się odciągnąć go na bok. Zbrhl, choć

kuśtykał i skręcił ku palisadzie, po porzuconą przez Yeżyna halabardę, dogonił ich jeszcze na ganku.

Wpadli do środka niemal równocześnie. Rotmistrz szczęknął zasuwą nieco wcześniej, niż magun dopadł przeciwległej barykady.

Tylko po to, by natychmiast odskoczyć.

Zza odchyłonego stołu-drzwi, omal nie wydlubując mu oka, wysunęło się ostrze krótkiego miecza. Lekko różowe od krwi, oklejone dwoma czy trzema długimi, grubymi włosami. Zaraz potem błysnęła blachą rycerska łebka Yeżyna. Trzymała się wyłącznie dzięki paskowi: głowa, na podpieranie której Lendzie zabrakło już rąk, zwisała bezwładnie.

Zaklinowana w wąskim przejściu dziewczyna próbowała coś powiedzieć, ale trzymana w zębach klinga zrobiła z tego rozpaczliwe, nieczytelne mamrotanie. Debren doskoczył, oburącz, by broń Boże nie skaleczyć policzków, wyciągnął miecz, odrzucił, złapał Yeżyna pod pachami.

- Zbrhl! Dawaj stół! Petunka, szarpie, ale migiem!

Lenda zmieniła chwyt, oburącz opasała uda rannego. Peruka przekrzywiła jej się na głowie, nie próbowała jej jednak poprawiać - nawet kiedy już położyli Yeżyna na fragmencie barykady, błyskawicznie przesuniętym przez rotmistrza bliżej kominka, gdzie było trochę cieplej i gdzie Debren miał więcej światła.

- Mateczko machrusowa... - Zbrhl, wsparty na berdyszu jak na kuli, przeżegnał się odruchowo. Petunka nie odezwała się słowem. Wepchnęła Lendzie kłęb podartych na wąskie pasy prześcieradeł, wyrwała z niego jeden kawałek, składając w grubą kostkę posłała Debrenowi pytające, na pozór spokojne, jedynie chmurne spojrzenie. Ręce nie drżały jej jak wtedy, przy ryglu. Może dlatego, że nie bała się. Na strach było za późno.

- Zaraz, najpierw blokady. - Magun sięgnął po czyjś kubek, odstawiony na kominek, ostrożnie splukał piwem krew z

lewej dłoni. Z prawą wolał nie ryzykować: wciąż to drętwiała, to pobolewała na przemian. - Znieczulę, co się da. Wstrząs mógłby go zabić.

- Krew - wymamrotał rotmistrz, przelękając z wysiłkiem ślinę. - Trzeba...

- Tak. Spróbuję. Zaraz.

Lenda, mająca świeżo w pamięci przygotowania do odwrotu z łaźni, rzuciła się na kolana, zaczęła zbierać z podłogi pozostałe po wznoszeniu barykad szczapy. Petunka sięgnęła po odrzucone na zydel szarpie, szybko i bez słowa składała je w grube, zgrabne opatrunki. W wiele opatrunków.

Debrenowi przemknęło przez myśl, że szarpi może jej zabraknąć. Na samo obłożenie rany, o wiązaniu nie mówiąc. Naszykowała na całą piątkę - Drop miał zostać, nie było go w planach - ale nie pomyślała, że ktoś może wrócić z ranami o łącznej długości sześciu stóp. W dodatku tak głębokimi. Ursolud rozcapierzył pazury, postawił na ilość, nie jakość - lecz i tak ciął głęboko. Niedźwiedzia łapa rozorała korpus oberżysty trzema nierównymi bruzdami, biegnącymi od obojczyków aż po biodra. Górą popękane, obnażone zebra i mostek przeważnie zatrzymały szpony, nie dopuściły do płuc, jednak w dole było całkiem beznadziejnie. Poszła wątroba, okrężnica, żółć z woreczka mieszała się z krwią i cuchnącą zawartością jelita cienkiego. Krwi nie było dużo, biorąc pod uwagę rozległość obrażeń. Niczego to jednak nie dowodziło: ściekała między trzewiami ku plecom, w głąb jamy brzusznej.

- Odejdź, Petunko. - Debren, choć na resztkach energii, pracował szybko: nie próbował pchać palców w klatkę piersiową, nie musiał kombinować ze stawami w niedostępnych miejscach. A zakładanie blokad teraz, gdy droga do sporej części nerwów i naczyń była otwarta, nie wymagało wielkich wydatków mocy. - Odejdź. Poradzimy sobie. I zawołam cię, jak będzie... jak będzie trzeba.

- Dam radę - wymruczała. Cicho i twardo zarazem. Nie próbował ponawiać propozycji. Zwłaszcza że Zbrhl nie wytrzymał, postukując berdyszem pokuśtykał w stronę kuchni, zazgrzytał klapą do piwnicy. Lenda karmiła kominek drewnem, nosiła wodę, miała brudne ręce, roztrzęsione w dodatku. Ręce Petunki nie drżały.

Pracowali bez słowa. Dopiero pod koniec, kiedy szarpi faktycznie zabrakło, a ona oparła stopę o zydę, podciągnęła suknię i błyskając nożem oraz kolaniem oddzierała pas lnu od noszonej pod spodem halki, uświadomił sobie, że to już dwieście dwa lata. Siódme pokolenie kobiet, które żyją na pustkowiu, same opatrują okaleczonych przez gryfy mężów, braci i synów, same grzebią tych, którym opatrunek nie pomógł.

Musiała być twarda. I była.

- Odwróć się, Debren - powiedziała spokojnie, kiedy w końcu cofnął się od stołu, niemym opuszczeniem dłoni dając znać, że zrobił, co umiał. - Dół halki mi się kończy, a mężatka jeszcze jestem i nie mogę...

- Wystarczy - powiedział cicho, trochę błagalnie, zerkając na ciąg nasączonych czerwienią opatrunków.

- Krew ci z głowy kapie. Zawinę. Jeno się nie gap. No tak. Wciąż przecierał brwi, rękaw cały czerwony...

- Zostaw na Zbrhla. - Splunął na palce, potarł rozcięcie na czole. - Chyba że masz więcej czystej bielizny na podorędziu.

Nie odwrócił głowy. Trochę z braku refleksu. Trochę dlatego, że była mimo wszystko prostą babą już nie to, że ze wsi, ale z głuchej puszczy, i mogła nie słyszeć o tym, że brud szkodzi ranom. A przynajmniej nie brać sobie tego do serca bardziej niż pogłosek o istnieniu czterogłowych smoków czy o kulistości ziemi. Tak naprawdę jednak zerknął na jej odsłoniętą nogę bardziej dla samej nogi, i nie kusej halki, noszonej w zastępstwie damskich kalessonów. Halka, o czym tak naprawdę wiedział bez patrzenia, była czysta, świeżo

wyjęta z kufra.

Dostrzegła jego spojrzenie. Nie zrobiła nic, by choć trochę zasłonić białe, pełne udo. Debren nie zrobił nic, by i udać, iż nie było powodu zasłaniać. Pomyślał, że to, czego się dopatrzyła w jego spojrzeniu, może przynieść jej więcej otuchy niż najsubtelniejsza, starannie oczyszczona z litości odmiana współczucia. Była jak Lenda. I była starsza. Więc nie odwrócił oczu. Dopiero na sam koniec, kiedy zmierzyła wzrokiem ilość odciętego płótna i wbiła nóż w miejsce, gdzie nawet nogi tak długie jak jej niemal się już kończyły.

- Bez urazy, siostró - głos Lendy, może przez kontrast z ciepłem, coraz wyraźniej bijącym z kominka, zaskoczył Debrena chłodem. - Wiem, żeś kąpiel dopiero co zażywała i mydła przednie tu warzysz, ale...

- Lenda - poprosił cicho. Dziewczyna rzuciła mu koc, podeszła do wyjścia na podwórze, lekkim stuknięciem pięści poprawiła ułożenie jakiejś deski, klinującej zastępcze drzwi. Dopiero potem spojrzała mu w twarz. Okrył ostrożnie rannego, odwzajemnił spojrzenie.

- Co: Lenda? - Nie próbowała się zbliżyć, lecz i tak widział, że przez jej oczy, szare teraz, przemykają gniewne błyski. - Coś głupiego powiedziałam?

- Lenda... nie teraz.

Nie patrzył na spryskany krwią stół i nieruchome ciało, które właśnie z ciałem, a nie człowiekiem, coraz bardziej się kojarzyło. Ale właśnie dlatego powinna zrozumieć.

- A kiedy? - Starła się być spokojna. - Kto jeszcze ma zginąć, nim dojrzejemy do rzeczowej rozmowy?

- Coś powiedziała? - zapytał trochę przez zęby. Bywała gruboskórna, w słowach przynajmniej. Ale tym razem przesadziła.

- Mówiłam: pójdę z Petunką. Mówiłam. - Nie był pewien, czy naprawdę zabrzmiało to po dziecięcemu, czy skojarzenie dopadło go przez to lśnienie w jej oczach. Pociąganie

zakatarzonym nosem też nie dodało Lendzie powagi i dorosłości. - Nic by nam nie zrobili. Sam słyszałeś: nie wolno im ruszać bab.

- O czym ty gadasz?

- Spieprzyłeś to, Debren. Akurat ty, psiakrew. Od którego rozsądku i pacyfizmu oczekiwałam. Mogłyśmy iść we dwie. My tylko. Nikomu nic by się... A tak to Yeżyn...

Urwała. Znów trochę dziecięca, bo jakby wystraszona tym, czego omal nie powiedziała. I co wszyscy usłyszeli tak wyraźnie, jakby zostało wykrzyczane.

Przez pewien czas nikt na nikogo nie patrzył. Lenda stała przy stercie mebli i beczek, pozwalała przeciągowi kołysać dołem sukni. Debren dopiero teraz dopatrywał się braku burego kaftana, w którym wychodziła. I pasa.

I Dropa. Może dlatego nie zapytał o resztę.

Zaskrzypiały deski, w drzwiach kuchni pojawił się Zbrhl. Z ostrzem berdysza pod pachą i sporym gąsiorem w ręce. Gąsior był otwarty i chyba użyty, jako że rotmistrz, choć blady, poruszał się znacznie sprawniej.

- Nie bój się. - Na ustach Petunki zamajaczył blady uśmiech. Uniosła oddarty przed chwilą pas płótna. - Nie dla niego miał być. Więcej czystej bielizny, jak się Debren słusznie domyślił, na podorędziu nie mam. Więc pozwól, że na własne zadrapania... To, co całkiem bezpieczne, na prawdziwie potrzebujących się przyda.

- Ranna jesteś? - Zbrhl w paru krokach pokonał całą szerokość izby. - Łajno i kał, Debren! Oślepieś? Nie widzisz, jaka bladziutka? - Wepchnął magunowi gąsior, wolną ręką chwycił Petunkę za ramię. - Lenda, dawaj zydel! A ty usiądź, bo jeszcze nam...

- Ja? - Nie próbowała uwalniać ręki, przykryła tylko drugą dłonią jego dłoń. - Uchlać się zdążyłeś w tej piwnicy, miśku? Na siebie popatrz. Całuska noga we krwi. Sam siadaj. Lenda, przynieś wodę. I coś ostrego, żeby nogawkę... I coś pod nogę.

Stołek chyba będzie najlepszy.

- I zydel sobie weź - dołączył Debren, obchodząc stół i wskazując stos mebli tworzących barykadę. Ukucnął Przed Zbrhlem, zerknął na sterczący z nogi kikut strzały.

- To ile w końcu tych zydlu? - burknęła dziewczyna, kuśtykając ku barykadzie. - I co jeszcze? Żebym dwa razy nie latała.

- Zaraz, łajno... - Zbrhl cofnął się, choć nikt jeszcze nie sięgał ręką do jego dziurawego uda. - Toć ona obie nogi ma do rzyci.

- Sam masz do rzyci! - odcięła się błyskawicznie.

- Wszyscy mają - stwierdził filozoficznie Debren. - Ale racja: nie uchodzi obolałej niewiasty jak rekruta ganiać. Przestań łązić, księżniczko. Krew masz na spódnicy.

- To suknia.

- Dół sukni. Czyli, jak dla mnie, spódnica. Bo spodem idzie.

- Definicja spódnicy...

- Zamknij dziób, Lenda - ofuknęła ją oberżystka. - I siadaj przy kominku. Nie mogę patrzeć, jak prawie goła po tym ziąbie łazisz. A jeszcze z takim dekoltem... Zasznurowuj choć tę sukieneczną porządnie, bo ci co spod spodu wylezie. I zostaw, do cholery, ten zydel. Barykadę rozwalisz, krzywdę sobie zrobisz. Miśkowi jeden starczy, a przy kominku masz futro. Nawet wygodniej ci będzie.

Wyswobodziła się z uścisku Zbrhla, pchnęła go, posadziła trochę na siłę. Podeszła do Lendy, wyciągnęła dłoń. Dziewczyna nie podała jej swojej.

- Nic mi nie jest - powiedziała z wyczuwalnym naciskiem. - Dzięki za rękę, siostró, ale laski chwilowo nie potrzebu... Czego zęby głupawo szczerzysz, Zbrhl?

- To z bólu - mruknął Debren, nie patrząc w górę. Póki co, nie brał się za wyciąganie drzewca z rany, lecz nawet oględziny, prowadzone bardziej na dotyk niż magią, do miłych dla pacjenta nie należały.



- Weź przykład z Debrena - kontynuowała Lenda. - W końcu dotarło do niego, że bez sensu gębą nie kłapię. I gdy powiadam, że rany się na mnie jak na sobace goją, to znaczy, że się goją. Tępy jak kołek bywa, a starczyło parę razy powtórzyć, by zrozumiał. - Petunka milczała, spokojnie czekając z wyciągniętą ręką. - Psiakrew... Nie słyszysz? Obejdzie się. Dorosła jestem, nie jakaś wstydliva smarkula: jak mnie potrzeba przydusi, sama cię poproszę. A i wtedy raczej chłopą jakiegoś niż ciebie. Zresztą, póki co, mieczyk mam. Rozmiar jak znalazł, rękojeść z gałką, wygodna, nie podrapie... - przerwała nagle.

- Zbrhl?! Chcesz mi wmówić, że takie durne miny od drewna w nodze cię nachodzą? - Debren uniósł wzrok i stwierdził, że z twarzą rotmistrza faktycznie nie wszystko jest w porządku. Wyglądał jak ktoś mocno walczący z oznakami rozbawienia. Lenda wróciła spojrzeniem do oberżystki. - Nim się lepiej zajmij. Z nas dwojga on bardziej laski potrzebuje. Z nogawki aż mu cieknie. Przestań się głupawo uśmiechać, Zbrhl. - Debren znów zerknął w górę i przyznał, że skryty pod brodą grymas, czymkolwiek w istocie był, istotnie zrobił się nagle niezbyt mądry.

- Jemu usłuż, siostró, jak się uparłaś komuś z obecnych laskować.

W izbie było widno, więc Debren bez trudu wypatrzył nagły rumieniec na twarzy Petunki. Zaraz potem dopadło go skojarzenie. Zrobić niczego nie zdążył.

- Prawie... panienka gada - rozległ się słaby głos. Wszyscy znieruchomieli. Pomijając głowy, które jak na komendę zwróciły się ku ustawionemu przed kominkiem stołowi. - Zbrhl... najlepiej by się... nadał, Petunko.

Debren miał najbliżej, ale to Petunka doskoczyła pierwsza. Na szczęście nie próbowała niczego robić. Nawet dłoni męża nie podniosła - nakryła ją tylko swoją.

- Spokojnie, Yeżyn. - Magun zsunął okrycie z rannego,

przebiegł po opatrunkach wzrokiem i palcami. W księgach miał parę zaklęć, mniej lub bardziej skutecznych przy sondowaniu ran, określaniu wypływu krwi z uszkodzonych naczyń. Ale księgi zostały we Frycfurdzie. Formuły były zresztą zbyt rozbudowane, idące w dziesiątki poziomów; nawet czarodzieje-medycy potrzebowali niekiedy pół dnia, by doprowadzić swe zmysły do odpowiedniego stanu i zajrzeć w głąb ciała. - Spokojnie. Nie gadaj. Boli? Mocno?

- Nie - ranny uśmiechnął się do niego samymi oczami. Zbrhl z buklakiem w rękę i niepewną miną ustawił się obok głowy Yeżyna. Lenda, trochę jakby samotna, znieruchomiła daleko na końcu stołu, przy okrytych kocem stopach, z których nikt jakoś nie zdjął butów. To nie było łóże, a sąsiedztwo kominka nie rozgrzewało aż tak bardzo, ale Debrenowi przemknęło przez myśl, że gdyby pazury ursoluda wdarły się w ciało trochę płycej, Petunka na pewno nie zapomniałaby o butach. Nie była typem kobiety, której mężczyzna kładzie się w cizmach do łóżka. Nawet jeśli tym łóżkiem jest karczemny stół.

- Nie krwawi mocno - mruknął po chwili.

- Ale krwawi. - Nie brzmiało to jak pytanie, więc nie odpowiedział Petunce. - Możesz coś z tym zrobić?

Patrzył na palce Lendy, zaciskające się kurczowo. Może na kocu, może na skrytych pod nim stopach Yeżyna. Nie trzęsa się, ale po raz pierwszy, odkąd wrócili, zyskał pewność, że jest jej zimno. Mimo to nie zawiązała sukni. Wycięcie nie było aż takie głębokie, nic nie powinno wyleźć spod spodu, ale coś mu się nie spodobało w widoku luźno wiszących sznureczków. Choć sam widok, owszem - należał do miłych.

- Mogę spróbować - powiedział cicho.

- Ale...? - Petunka zawiesiła głos. Nie zabrzmiało jak prośba. Raczej jak spokojne żądanie.

- Zakłęcie znosi się z tym od znieczulenia - wyjaśnił, zdobywając się na wysiłek patrzenia jej w oczy. - Pierwszy

wstrząs minął, będzie go boleć. I tak boli, ale przy trzymających blokadach... Bez nich może nawet od razu... Jest słaby. Musiałbym aktywować tkankę nerwową u wylotów...

- Krótko, Debren: jaka jest nadzieja, że go uratujesz? - Debren rozchylił usta, zaczął szukać odpowiednich słów, potem następnych, bo pojedyncze, które mu przychodziły do głowy, całkiem nie nadawały się do tego, by je wypowiedzieć, patrząc w błękitne oczy Petunki. - Aha.

Poczuł ulgę. I strach, że wyczytała ją z jego twarzy.

- Może... - Zbrhl, z pytaniem, lecz i prośbą w spojrzeniu, uniósł nieznacznie gąsior. - Wojacy zwykle...

Po policzkach Lendy ciekły krople. Wielkie. Pomyślał, że to przez te spalone rzęsy. Rąk nie miała jednak spalonych, mogła podnieść, wytrzeć szybko, ukradkiem... Nie podniosła. Pozostały gdzie były: na stopach oberżysty. Jakby wyczuwając przez koc, ciżmy i onuce, że są zimniejsze od tych jej, bosych, ośnieżonych.

- Dar... gryfa. - Yeżyn znów się uśmiechnął, teraz nawet ustami. - Ale... ten jeden... raz... Co, Petunko? Ze... zezwolisz? Gorzałka... z samej Dangizy.

Miała dziwne oczy. Były rzeczowe, gdy posłała magunowi nieme pytanie. Ciepłe, kiedy przekazywała jego odpowiedź w dół, jak on ograniczając się do skinienia głową. A potem od razu, w ułamku chwili, pełne łez, które nie wylały się na policzki, jak w przypadku Lendy, tylko dlatego, że natura obdarzyła ją dwoma kompletami wyjątkowo długich i gęstych rzęs.

Wymruczała coś o kielichu i umknęła w stronę kuchni.

- Yeżyn - odezwała się Lenda chrapliwym głosem; odbłaski płonących łuczyw płasały po całych jej oczach jak po rozfalowanym stawie. - Tam na podwórzu... To, coś zrobił...

- Głupio zem... nie musisz... sam wiem. Ale żaden ze mnie... wojak.

- Gadanie - burknął Zbrhl, poprawiając niezgrabnie kozuch,

zastępujący rannemu poduszkę. - Dobrześ stawał. Ociupina treningu i do roty bym cię wziął.

- Dajcie mu spokój - mruknął Debren. - To go męczy. Zbrhl, krew ci... z piersi...

Świeży czerwony strumyk na brygantynie Zbrhla Debren też zauważył dopiero teraz. Dżuma i syfilis. Powinien wcześniej. W trakcie tarzania się po zamarznętej ziemi rotmistrz połamał drzewca wszystkich strzał, jakimi go naszpikowano, ale przecież było ich więcej niż ta jedna w udzie i on, Debren, powinien o nich pamiętać. I nie dać się zwieść dużo większym plamom krwi ursoluda na pancerzu. Tamte były różowe od śniegu albo trochę już zaschnięte.

Zbrhl zerknął w dół jakby zdziwiony.

- Eee, to nic. Draśnięcie jeno. Córek mam całą kupę, nie stać mnie, by w jakiejś gównianej zbroi... I tak dziw, że z łuku przebili. Ale nie bój się, Yeżyn: serce całe.

- Usiądź - magun trącił go lekko, pchnął w stronę zydła. - Z nogi też ci cieknie.

Zbrhl wyszczerzył zęby.

- Tylko z laską nie wyskakuj. - Zerknął w dół i, nie gubiąc uśmiechu, rzucił: - Co, Yeżyn?

Debren doznał lekkiego wstrząsu bezpałowego: oberżysta też błysnął zębami. A nawet zachichotał.

Gapili się z Lendą na rozbawione twarze. Yeżyn dał sobie spokój z chichotem, lecz uśmiech zachował.

- To jakiś atak? - Lenda po raz pierwszy przetarła oczy wierzchem dłoni. Chyba tylko po to, by lepiej przyjrzeć się objawom. - Debren, nie stercz tak! Nie widzisz, że on... że coś z nim...?

- Śmieje się - mruknął czarodziej. Gdzieś z tyłu Petunka łomotała naczyniami. Uwiązany w kącie koń strzygł niespokojnie uszami.

- Gorączka? - szybko dopowiedziała sobie resztę. - Majaczy? - Zmarszczyła brwi. - Ale dlaczego Zbrhl...?

Debren zaklął w duchu, odczekał chwilę, po czym zaczął, już na głos:

- Widzisz, w Dangizie... która jako port liczne kontakty ze światem utrzymuje... w tym z Marimalem...

- Tu, u nas - rotmistrz zlitował się raczej nad nim niż Lendą - słowo „laska” jeszcze jedno znaczenie posiada, insze niż to u was, za górami.

- Insze? - Jeszcze bardziej zmarszczyła brwi. - Jakie?

- Mniejsza z tym. - Nadal szczyrzył zęby. - Nie twoja wina, że zabawnie wyszło.

- Jakie znaczenie? - upierała się. - Zbrhl, czy mam rozumieć, że to ze mnie się podśmiewacie?

- Więc i w Morvacu...? - zdziwiony Debren pokręcił głową. - Jak to się osobliwie wpływy kulturowe rozchodzą. Belnica o rzut mycką, Dangiza o pięćset mil, a tu proszę...

- Laska z Dangizy - jeszcze raz przerwał mu Zbrhl - i ta nasza, morvacka, to dwie różne laski. Choć, po prawdzie, bardziej nowoczesnej mowy używając, młodzieżowej gwary znaczy, to nawet i trzy. Aczkolwiek, jak się tak zastanowić, trza przyznać, że znaczenia... no... jakby jednej dziedziny dotyczą.

- Ale nie chodzenia z kijaszkiem u boku? - domyśliła się Lenda. - To może przestaniecie kręcić i ktoś mnie, ciemniaczkę poza wpływami kultury chowaną, oświeci?

- Lepiej nie - ubiegł Debrena rotmistrz. - Konfuzji byś się nabawiła.

Lenda chciała się klócić, ale zahaczyła spojrzeniem o Yeżyna. Przeszło jej. Jak chęć do śmiechu oberżyscie. Nadal nie wyglądał na kogoś, kim był - na umierającego - ale twarz, choć wolna od śladów cierpienia, spoważniała. Debren pomyślał, że po raz pierwszy wygląda dostojnie.

- Ale... dobrze się stało - powiedział cicho Yeżyn. - Zagaić... poręcznie. Dzięki, panienko Lendo.

Dziewczyna przełknęła ślinę, pociągnęła nosem.

- Zagaić? - zapytał niewiele głośniej Debren.

- Ze mną... koniec. - Yeżyn stwierdzał fakt, tak dla siebie oczywisty, że próba przeczenia stawała się niemal obelżywa. Nikt się nie odezwał, tylko Lenda odwróciła na chwilę głowę, zacisnęła powieki. - I tak dłużej... niżem myślał. Całe... lata. A z nią... niełatwo. Taka jest...

- Nie mów - znów ujęła go za stopy - nie męcz się.

- Cicho, kozo - mruknął rotmistrz. Ani trochę nie podobny do tego sprzed chwili, błyskającego zębami w uśmiechu. - Cicho.

Była cicho. Yeżyn leżał nieruchomo, zbierał siły.

- Starej zem... daty - odezwał się w końcu. - Ale dla Petunki... Ślepy nie jestem, wi... widziałem, że coś... między wami. Od początku. Lenda...

- Tak? - Pochyliła się, Debren pomyślał, że ma w spojrzeniu coś psiego. Była jak owczarek, który zapomniał się, pognął pohasać z dala od stada i teraz, świadom ogromu swej winy, wzrokiem błaga pana o jeden gest dłoni ku położonym po karku uszom, o rzut kija, który można by aportować, przynieść pod nogi, choćby rzut marnie wypadł i kijaszek poniosło w środek wilczego stada. Przypomniawszy sobie, jak po wielokroć nawoływała Yeżyna, jak niemal przemocą porwała go z placu boju za palisadę, za którą miał znaleźć ocalenie, a znalazł śmierć.

Nie znał jej od tej strony. Może tak właśnie reagowała za każdym razem, gdy miecz nie zdążył w porę i obok padał kompan, którego nie zdołała osłonić. Zawodowi żołnierze nie roztkliwiają się zwykle nad rozlanym mlekiem, ale ona była dziewczyną. I nie znał jej.

Na dobrą sprawę nie był nawet pewien, czy nie wymyśliła sobie tej wojackiej przeszłości.

- Gdyby nikt inszy... a ona by chciała... No i jakbyś ty... Siostró do niej wołasz... patrzysz tak jakoś... Więc gdybyście obie... - Z tyłu było teraz cicho i Debren słyszał, jak milknie

odgłos zbliżających się kobiecych kroków. - Z dwojga złego... jakby miała sama zostać... Staromodny jestem, ale... ale lepiej by z inną... niewiastą...

- Panie Yeżyn - w głosie Lendy nie było popłochu, już raczej rozżalenie, że znów go zawodzi - ja w takim sensie Petunki nie... Bardzo ją... Ale w ten sposób to...

- U... uczucie się liczy - uśmiechnął się oberżysta. - Tak zawsze... mawia. Że najważniejsze... uczucie.

Zbrhl odwrócił głowę, posłał zdziwione spojrzenie stojącej z tyłu Petunce. Nie odezwał się jednak.

- Będę ją miłowała. - Debren drgnął, tak stanowczo i uroczyście to zabrzmiało. No i szczerze. Przede wszystkim szczerze. - Macie to, panie Yeżyn, pewne jak w tellickim kantorze. Nie w łożu, tak bym chyba nie... Ale jak siostrę właśnie. Całym sercem. Naprawdę. I nie dlatego, żeś na tego obesranego maruchę z gołymi rękoma... Za to życie Petunce jestem winna i oddam, jak przyjdzie pora. Ale serce to darmo, za nic. Bo ją... od początku... - Nie wytrzymała, łzy znów pociekły z oczu. - Bo mnie za czarownicę... i w Debrena z hulajkuli...

Zakręciła się na pięcie, dopadła kominka, wcisnęła twarz w gzyms. Debren upewnił się, czy dreszcze przebiegające od karku aż po przybrudzone pięty nie są na tyle silne, by posłać rąbek spódnicy - względnie dolnej części sukni - na spotkanie płonącego nieopodał ognia. Potem odwrócił się, wyciągnął rękę. Petunka wsunęła w nią dziwny mały kielich, służący chyba odmierzaniu lekarstw. Nie podeszła jednak, cofnęła się znowu. Skryta za plecami mężczyzn, przycupnęła na zydlu.

- Dzięki - szepnął Yeżyn. - Szkoda, żeś nie... wiedźma. Ponoć są takie, co czarami... Jaka to by cudna... dziewczuszka... z takich rodzicielek. - Przerwał, odpoczywał chwilę. - Ja żem nie mógł... A gdy się na tamten świat odchodzi, inaczej wszystko... I czasu już mało. Więc... Zbrhl, panie Debren: na słowo.

Pochylili się, choć po części także dlatego, że do spółki

napełnili właśnie aptekarski kieliszek i przyszła kolej ostrożnego przelewania dangiskiej gorzałki w wyschnięte usta. Debren uniósł głowę rannego, Zbrhl powoli przechylał naczynko. Udało się: Yeżyn przełknął, nie krztusząc się. Prawie się uśmiechnął.

- Przednia - wymruczał, - We łbie z miejsca... kręci. Ale całkiem trzeźwo... to rzeknę. Gdyby który z was... mógł i zechciał... Wiem: panienka Lenda mło... młodsza, cudniejsze piersi ma... całkiem jak ta z obrazu... - Wspartej o kominek dziewczynie dreszcze minęły nagle jak ręką odjął, choć ani nie spojrziała za siebie, ani nawet nie oderwała twarzy od wciśniętych w gzyms przedramion. Znieruchomiła. - Za to Petunka... tak słodko... Wstydu żem się tylekroć najadł, ale słodkości... jeszcze więcej. Więc gdyby... i ona zechciała... Nie mówię o żeniaczce. Ani nawet... żeby na stałe... Prostaczka jeno. Uboga. Z przychówkiem... dorosłym. Ale parę niedziel. Czy dni choćby. Aż się... wypłacze. W garść weźmie.

- Yeżyn... - rotmistrzowi coś zacharczało w gardle. Łyknął wprost z gąsiora. - Łajno i kał, chłopie...

- Wiem, że... o wiele proszę. Ale mistrz Debren... pocziwy. W oczach to ma. I medyk prawie. A medyk... by życie ratować... hemoroidy leczy, we wrzodach, inszych paskudztwach się... grzebie. To Petunkę by mógł... Nic w niej paskudnego... no, może język czasem. - Przerwał, odpoczywał chwilę. - Nie mówiłem nigdy... Nikomu, jej nawet... Alem tu został, bo w stajni... Zaraz uprzątneła, ale... jak zajechałem, to w stajni... pętla. I cebrzyk dołem, dnem w górę. A kufry popakowane, chłopaczkowie przebrani, umyć... List na stole. Czytać żem wtedy nie... umiał ni w ząb, ale... Całkiem durny nie jestem. Nigdy jej nie powiedziałem... Ale wiem. I też żem jej nie kochał, gdym wtenczas... zostawał. Żał było, to wszystko. Teściowa wyjechała, brat, Petunka sama tu... Jakbym nie został, to na ten cebrzyk... Nie kochałem, słowo. Z litości jeno. A potem... To ta klątwa, Debren. Dureń jestem,



prostak, ale tom sam... pojął. Z historii rodu... wnioskując. Teściowa... wiecie, jakie one bywają. Zawsze im się zięć mało godnym... widzi. Na okrągło: Yeżyn, tyś na moją có-1 ruchnę... żadną miarą... Mój to mnie na rękach, moja matka... z rycerzem... Na zabój nas tu zawsze... miłowały chłopcy nasze. I nie byle kto. Kariery wielkie... w kąć ciepali. Bogactwo. Kupce. Rajca jeden. Wielkie paniska. I po prawdzie... jak się ponurą sławę miejsca... uwzględni...! Każden jeno przejazdem, prapradziad Petunki to nawet... ponoć z kulbaki piwo... zamawiał, by nie... popasać. I w tej kulbace... zdążył. To klątwa, głowę dam.

- Tak - powiedział cicho Debren. - Tak, Yeżyn. Nie wpadłem na to, ale teraz, jakeś podpowiedział... Musiał Mesztorhazy i o to zadbać. Posag żaden, z reputacją wieczne kłopoty... Ciężko by było następczyni męża znaleźć. Zwłaszcza że wyjeżdzać nie mogła.

- I tak myślę - ciągnął słabym głosem oberżysta - że gdyby z was który... szansę Petunce dał... Bośmy i my okrutnie... niedobrani byli. Okrutnie. A takich słodkości... jak ja z nią, toście nigdy... No, może przesadzam. Z was czarodziej, panie... Wiadomo: czarodzieje wszystko mogą... mieć. I wszystkie. Rotmistrze sławni też pewnie... z niejednej baryłki... miody spijali.

- Daj spokój - wymruczał Zbrhl, wyraźnie zakłopotany. Po czym zmył część owego zakłopotania potężnym łykiem.

- Ludzkie... to przecie. Średniowiecze... mamy. A i Petunka... postępową. Więc tak sobie... pomyślałem... Jak nie Debren, by życie... ratować... od cebrzyka chronić... to może... Zbrhl przysięgał... na wojnę z Pisklakiem tu... zostaje. Dach ma... naprawiać. I swego kufra... trochę po - I szuka. Bo gryfy sprytnie, w jaskini łupu... nie trzymają. Więc całe niedziele zejda. Może i... do lata. Rany wszak trzeba... przed taką walką podkurować. Na początek w łożu. Więc jak leżeć będziesz... Teraz drew nie będzie komu... nanieść. A zima sroga. Ciepłej

by ci... z Petunką obok. Wiem: niełatwo... Obca baba, niemłoda... pyskata. Nimfofilka. I pochrapuje niekiedy.

- Yeżyn... - Gorzałka, choć sławna, z Dangizy, nie pomogła widać i rotmistrz dalej miał kłopoty z mówieniem.

- Jak wróci... wytłumaczę. Trzy córki żeś... Przemówię jej do rozsądku. Rozumna jest... że strach. A do dziecka tak tęskni... Nawet jak by ci nie wyszło i... chłopczyk... Nic to. Obojętne. Co by nie było, na nogi... ją postawi. Odżyje, bidula. A nawet jak nic... Wydudkasz raz, drugi, to w siebie... na powrót uwierzy. Miast na cebrzyk, na dach... polezie. Wyglądać kogoś, kto się... pozna na niej. Wiem, że o wiele... proszę. Aleśmy razem... wojowali. Nie odmawiaj... przysługi... towarzyszowi broni.

- Yeżyn...

- Debren - oberżysta odwrócił głowę. - Debren, pomóż mu. Proszę.

Debren uniósł wzrok, zerknął w stronę kominka. Nic nie było słyhać, ale miał rację: Lenda wpatrywała się w niego szeroko rozwartymi, trochę podeschniętymi oczyma.

- Ja... Yeżyn, Petunka jest śliczna, aleja...

- Wiem - przerwał mu oberżysta. - Twoja... takuśka sama. A młodsza. Jak ta z obrazu... Ze wszystkim takuśka. Nie oczekuję, byś... Ale czarodziej jesteś. Mógłbyś Zbrhla... hipnozą...

- Że co? - Zbrhl drgnął, z wrażenia postawił kieliszek w miejscu, gdzie nie było akurat stołu. Na szczęście naczynie było srebrne, nietłukące. - Mnie? Hipnozą?

- Odporny jesteś? To może... Gorzałki w piwnicy się... uzbierało. Jak dobrze popijesz...

Debren wyczuł ruch za plecami. I palce na łokciu.

- Dość. - Mówiła cicho, głos miała spokojny. - Debren, pozwól. - Odeszli pod szynkwias. - Ile?

Zrozumiał od razu.

- Może i kwadrans - powiedział cicho. - Ale może pacierze jeno.

Chciał ją wziąć za rękę, coś powiedzieć. Pomyślał o Lendzie i nie zrobił tego.

Ominęła go, energicznym krokiem podeszła do stołu.

- Pożegnajcie się z Yeżynem - rzuciła sucho. - Słaby Jest, powinien spać. I zostawcie nas.

Izba miała dostęp do komina, a szerokie łoże przykryto pierzyną. W skośny sufit nie trafił żaden ze zrzucanych przez gryfa kamieni i dlatego Debren ją wybrał, ale teraz, po rozpaleniu grulla - czy może grilla - zorientował się, gdzie są.

- Sam los tak chce - uśmiechnął się słabo, wskazując Lendzie zaścielone łoże. - Wygląda na to, żeśmy trafili na twoją kwaterę.

Nie próbowała dyskutować. Ktoś przetarł kurze, a para kubków, nad którymi Zbrhl natychmiast przechylił tulony do piersi gąsior, nie znalazła się tu przypadkiem. Wcześniej zajrzeli do dwóch innych izb, miała więc porównanie.

- Czego to niby chce los? - zerknęła podejrzliwie znad miedzniczki, do której nalewała wody z dzbanu. Bo i takie luksusy fundowano gościom w oberży omijanej przez cnotliwe księżniczki.

- Do świtu jeszcze trochę. - Debren ustawił grulla obok łóżka, dorzucił drewno. - Prześpisz się.

- Pod pierzyną? - Zamrugła, wyraźnie zdziwiona takim postawieniem sprawy. - Mam... iść spać? Do łóżka?

- Pierwej sobie łyknij - Zbrhl podał jej kubek. Drugi podał Debrenowi. - To nie sen, ale też dobrze robi.

- Pogadać musimy - rzuciła twardo. Kubka jednak nie odstawiła. - O poważnych sprawach, więc i na trzeźwo.

- O poważnych sprawach - mruknął Zbrhl - całkiem na trzeźwo się nie da. Twoje zdrowie, kozo.

Łyknął z gąsiora. Ilość wlanej w gardło gorzałki sugerowała, że nastawił się na bardzo poważną rozmowę. De - i bren, wzdychając w duchu, przechylił kubek. Lenda też opróżniła swój. Nie do końca. Koniec posłużył jej do zamoczenia

złożonego w kostkę kawałka szarpi.

- Ssać będziesz? - zainteresował się Zbrhl. - By nadłużej przyjemności starczyło?

- Dudkaj się - warknęła. - Możesz się śmiać, zem przesądna, ale widziałam, jak poważni medycy nie wodą, a gorzalką właśnie rany omywali.

- W Sowo pewnikiem? No, ci każdą okazję wykorzystają, by sobie chlapnąć.

- Lenda ma rację - poparł dziewczynę Debren. - Naukowego dowodu jeszcze brak, ale badania sugerują, że mocne trunki dobrze robią gojącym się ranom.

- Tak? - uśmiechnął się Zbrhl. I łyknął z gąsiora tak zamasyście, jakby naczynie zawierało piwo, a nie mocną jak cholera gorzalkę z Dangizy. Zassał powietrze, przez chwilę musiał wietrzyć gardło, gasząc trawiący je ogień. - Uuuch... Siarka istna... Miło słyszeć. W końcu przyjemną kurację medycy wynaleźli.

- Zewnętrznie stosowane - dokończył trochę chłodniej Debren. - Na ranę, znaczy. Co robisz?

To ostatnie było do Lendy. Stającej przed nim i unoszącej kawałek zmoczonego w misce prześcieradła.

- Krew masz na czole.

W izbie, mimo komina, ciepło nie było i zetknięcie skóry z lodowatą wodą nie należało do przyjemności. Ale nie protestował. Zresztą uwinęła się raz-dwa. Unikała patrzenia mu w oczy. Sumienna pielęgnacjuszka, ot, wszystko.

- A teraz pod pierzynę - powiedział, gdy odkładała zmoczoną w wodzie szmatkę i sięgała po tę z kubka.

- Mamy gadać - przypomniała.

- Potem. Zbrhlem muszę się zająć. Posłała zmieszane spojrzenie rotmistrzowi.

- Qj, wybac, Zbrhl... Podła jestem. Siadaj - pchnęła go lekko w stronę zydlu. - A może wolisz na leżąco?

- He? - Pozwolił się posadzić, ale wyraźnie nie zrozumiał, o

co pyta.

- No, rany opatrywać. - Nie czekając na odpowiedź, dokuśtykała do łoża, zagarnęła pierzynę, przerzuciła na stolik, ustawiony pod przeciwległą ścianą. Zakolebało nią Przy tym, ale odzyskała równowagę sama, nie posiłkując się ani przepierzeniem, ani mieczem, od czasu do czasu dyskretnie używanym w charakterze laski.

- Tutaj? - Zbrhl natychmiast poderwał się z zydla i wyrzwał łopatkami o wysoką komodę. Przez twarz przebiegł mu grymas bólu. - Nie pleć głupstw, kozo. Idź spać, a my sobie... gdzieś po sąsiedzku...

- Portki zdejmujemy? - domyśliła się. Zagarnęła miedoićkę i postawiła na drucianej kratce okrywającej palenisko grilla czy może grilla. - Nie wygłupiaj się. Kalesony pod portkami nosisz. Nie gap się tak: portki ci nietoperz naddarł, stąd wiem. A tu masz wszystko, co potrzeba do czynienia zabiegów medycznych. Jak ci przeszkadza moje towarzystwo, mogę za drzwiami poczekać.

- Izb nie brak - powiedział niepewnie Debren. - Może faktycznie lepiej...

- Pustych izb. Ciemnych. I, nie obrażając Petunki, brudnawych. Jak chcesz chleb z pajęczyną na rany stosować, to owszem, wystarczy tam ręką machnąć i ze trzy pająki same wpadną. Ale...

- Wiesz, ile mydło kosztuje? Szmaty? - przerwał jej poruszony Zbrhl. - A i woda w górach kapryśna bywa. Raz jest w studni, a zaraz potem... I ruch marny. Więc się Petunki nie czepiaj. O rozsądku i gospodarności stan izb świadczy, a nie że niby z niej... - nie dokończył.

- Siadaj - podjął decyzję magun. - Lenda ma rację: tu mamy wszystko. A przede wszystkim nie mamy czasu. Krwawisz. Może i powolutku, ale jak tak dalej będziemy jęzorami kłapać... Lenda, do łożka.

- Pomogę - ruszyła w ich stronę. - Rana na wylot. Paru rąk

trzeba.

- Mamy dwie pary - zauważył Zbrhl.

- Zemdleć możesz.

- Zbrhle nie mdleją - oznajmił trochę gniewnie, a trochę chępliwie. - Po co ci ten nóż, Debren?

- Nogawkę muszę uciąć.

- Nogawkę? Oszalałeś?! To portki z Eileff! Wiesz, ile kosztowały?! Modne jak cholera! Zelgan, jak zobaczyła, to aż się ślinić zaczęła! Tak do nich nogami przebierała, że z własnych gotowa była wyskakiwać i... - zreflektował się. - Wybacz, kozo.

- Lelicja Zelgan? - Oczy Lendy zrobiły się okrągłe; z wrażenia aż zapomniała się skrzywić, choć Debren przyłapywał ją na tym za każdym razem, gdy, tak jak teraz, klękała. - Owa przesławna relacjonatorka? Arbitrka elegancji i kronikarka polityczna? Filar ruchu wyzwolenia niewiast? Ty ją znasz?

- Jak zły szeląg. To chyba oczywiste, skoro takową transakcję mi oferowała? Nie powiem, okrutnie wyzwolona z niej niewiasta - rozmasował okolice lewego obojczyka. - Jeszcze mi się uboczne skutki owego wyzwolenia nie całkiem zagoiły. Ale żeby z całkiem obcym... No nie, tego o niej nie mogę powiedzieć.

- Najlepiej nic nie mów - rzucił chłodno Debren. Odcisnął szmatkę zanurzoną w gorzałce, zastąpił ją drugą. Potem zabrał się za ostrzenie noża.

Lenda zmarszczyła brwi.

- A przynajmniej zważaj na to, co mówisz - pouczyła rotmistrza surowym tonem. - Wiem, że to wina niefortunnego doboru słów, aleś to tak powiedział, jakby ci Lelicja za owe portki nie własne oferowała, na wymianę, a... no wiesz. A i wzmianka o gojeniu, w takim kontekście użyta, mogłaby komuś... Zgaduję, że o swej ugodzonej męskiej dumie mówisz, która, żądłami jej ironii przeszywana, pewnie

ucierpiała, ale ktoś prostoduszny gotów pomyśleć...

- Może na portkach się skupmy - zaproponował magun. - Odciągaj, a ja będę ciął. Obcisłe, cholera, a elastyczności rajtuzów im brak. Durna ta Zelgan. Żeby się dla takiego paskudztwa podkła... znaczy... żeby się układać o takie coś?

- Sam durny jesteś - ujął się honorem Zbrhl. Pochylił się i wyjął zaskoczonemu Debrenowi nóż z dłoni. - To samiuški szczyt mody. Tellicy halabardnicy owe skórzane półrajtuzy wylansowali. Bo mocne z uwagi na materiał, zaś kształt nogi jak rajtuzy wełniaki oddają. Pewnie nie wiesz, ale pieszemu kondotierowi najmujący go najpierw na łydki zerka, jak, przykładowo, najmujący w zamtuzie dziewczkom. Powody oczywiście są odmienne, bo w przypadku piechura o zdolność wytrwałego maszerowania chodzi, nie zaś, jak w przypadku, powiedzmy, Zelgan, o...

- Oddaj nóż.

- I o nierządzie nie gadaj - dodała nadal rozgniewana Lenda. - Zwłaszcza przerwy stosownej nie czyniąc. Bo bezpośrednio ze sławnej Lelicji jakimś dziwnym trafem na ów temat zjeżdżasz. Ktoś postronny, korytarzem przechodzący, mógłby uznać, że jedno z drugim jakaś wspólna Płaszczyzna łączy. A wszak nie łączy.

- Ale krągłości - zarechotał - i owszem. Feminiczna z niej baba, fakt, ale sam przyznasz, Debren: ma na czym usiąść. I w co tchu nabrać do owego trajkotania o wyższości babskiej rasy. Ani kawałatka płaszczyzny.

- Znasz Lelicję? - Debren próbował przypomnieć sobie, kiedy ostatnio obdarzyła go spojrzeniem równie pełnym szacunku. Bez skutku. - Debren?

- Pobieźnie - mruknął urażony. Oni też znali się pobieżnie, prawda, i tak się nieszczęśliwie składało, że ani strojem, ani zasobnością sakiewki, ani talentem magicznym nie miał okazji zaimponować Lendzie, zwykle z braku ubrania, gotówki i ksiąg z trudniejszymi zaklęciami, lecz mimo wszystko...

- To oczywiste, że pobieżnie. Wielcy ludzie to do siebie mają, że nam, szaraczkom, jeno pobieżnie dają się poznać. Ale to nas nie zwalnia od obowiązku stawania w obronie ich czci i honoru.

- Miałaś iść do łóżka - burknął. Wspomnienie pani Zelgan przywołało inne i te inne były zbyt na czasie, by nie popsuć humoru. Dom na pustkowiu, znikąd pomocy, dookoła wrogowie. Wtedy się udało, bo pomoc jednak nadeszła. Nadleciała właściwie. Ale teraz niebo nie ześle im inteligentnego bełtu. Z nieba spadały tylko mordercze gryfy, nietoperze i głązy. Pomyślał o tych ostatnich i dodał: - I dobrze się przykryj. Głowę też. Poduszką.

- By nie słyszeć, jak bezmyślnie gębą kłapie ten morvacki kołek? Ani mi się śni. Bo jak mu ktoś w końcu nie wytłumaczy, co znaczy niefortunne sformułowanie, to i mnie kiedyś przed ludźmi niechcący obsmaruje. Już to słyszę: Lenda? A znam, znam. W łóżko skoczyła, brudnych nóg nawet nie obmywszy z tego pośpiechu, i czekała, aż portki ściągnę.

- Czyś ty zdumiała, kozo?! - obruszył się Zbrhl. - Za gruboskórnego prostaka mnie masz?! Może u was, w kawalerii, na oficerów takich kmiotów bez wyczucia biorą. Bo też i na co konnemu wyczucie: konia z większym łbem ma do myślenia. Ale od nas subtelności się wymaga. Wiesz ty, o ile trza czasem balistę przesunąć, by we właściwe miejsce trafić? O decyrumby! Czy wy, w konnicy, w ogóle wiecie, co rumb oznacza, o jego dziesiątej części nie wspominając? Łajno tam wiecie. Dwa kierunki świata wam starczą: gdzie koń patrzy i gdzie sra. A ja, bywa, muszę nocą, całkiem na ślepo w twierdzę z maszyny celując, delikatnie młotem w katapultę przywalić, o ułamki rumba ją...

- Skoro o delikatności mowa - przerwał mu Debren. - Nie służę w machinerii, to i subtelności mi brak, ale wołałbym ci nogi dodatkowo nie pokaleczyć. I opatrunek dobrze założyć. W czym te portki mocno mi przeszkadzają.



- Debren - powiedział spokojnie właściciel portek - baba nie jestem, a tyś tu nie w roli ognistego uwodziciela trafił. Nie musisz na mnie szat drzeć, by się z dobrej strony pokazać. Może je po prostu zdejmę, co? A prywatnie to ci radzę, byś się mniej romantycznie do niewiast zabierał. To nie wczesnowiecze; dziś szanująca się dama byle koszuliny na schadzkę nie zakłada, a co ma najlepszego. I w cerowanym nie chadza. Więc jak jej garderobę będziesz niszczył... Delikatny jestem, tom tego tematu nie poruszał, ale skoro już na ubiory i niewiasty zesłiśmy, to ci powiem, że i ty, i Lenda lepiej byście się mieli, gdybyście w końcu ślub wzięli. I na małżeńską modłę miłość uprawiali. Nie powiem: miło, gdy ukochany szaty zdziera. Miło goło po lesie hasać. Miło na karku wybranego galopować. Ale, na Boga, nie zimą przynajmniej! Bo to i choroba, i spanikowana ludność wojsko nasyła, za parę biesów biorąc. A jak rzyć od miłowania ostygnie i marznąć zacznie, przychodzi się w zdobyczne łachmany, nie całkiem świeże, odziewać.

- Panie Zbrhl! - wykrztusiła czerwona na twarzy Lenda.

- Sama żeś zaczęła.

- Ja?! Ja cnoty pani Lelicji jeno bronię!

- Dwadzieścia lat za późno - mruknął.

- Coś powiedział?! - Nie zerwała się na równe nogi, co najdobitniej świadczyło o stanie tychże nóg.

- Pakt, Zbrhl - powiedział Debren, by stłumić kłótnię w zarodku. Lenda, widząc, że jest w większości, powinna tetwiej ochłonać. - Teraz toś przesadził. Zelgan musiałaby w wieku pięciu lat...

- Pięciu? - Lenda jakoś nie ochłoneła. - W kołysce, chciałeś rzec! Dwudziesta pierwsza wiosna jej idzie! Od lat jej relacje czytuję, to wiem!

- Nie powiedziałem: trzydzieści - wyjaśnił spokojnie Zbrhl. - Uszy trza było myć w łaźni, a nie z Petunką plotkować. Powiedziałem, żeś się spóźniła o lat...

- Wiem, co powiedziałaś! I wiem, co mówię! Z tuzin razy mimochodem o swym wieku wspominała, to mi i owe dwadzieścia jeden w pamięć zapadło!

- Od lat czytujesz? - powtórzył cicho Debren. Rozchyliła usta, chcąc wyklócać się dalej... i zastygła. Oczywiście nie skomentował. Udał, że nie zauważył. Wystarczyło mu, że rozumiała. Na nieszczęście nie byli sami.

- To po kronikach wypisuje, że z niej dwudziestolatka? - roześmiał się rotmistrz znanej z delikatności formacji. - A, szelma. Swoją drogą, popatrzcie, jak to się łgarstwo przeciw krętaczowi obraca... Wyszło na to, że sama z siebie puszczalskie niemowlę zrobiła, a jam przecie miał na myśli, że rozsądna z niej niewiasta i wianek, jak się godzi, do piętnastych urodzin donosiła.

- To ma trzydzieści pięć? - zdziwił się Debren.

- Stara basetla - pokiwał głową Zbrhl. - Ale ci powiem, że właśnie taka w rękę dobrego gracza...

- Wiem - powiedział magun. Całkiem świadomie. Zbrhl miał rację: pannie wypadało nosić wianek do piętnastych urodzin. Wypadało też trochę krócej i trochę dłużej. Ale panna trzydziestoletnia, choć wianka nikt od niej nie oczekiwał i - przynajmniej od końca wczesnowiecza - braku takowego nie wytykał, mogła się czuć nieswojo. Podobnie jak w przypadku Zelgan, aż do dziś dawał Lendzie trochę mniej lat. Jak dotąd nie było okazji, by skomentować jej wyznanie w tej kwestii. Ale czuł, że gryzła się i tym, więc skorzystał z okazji.

Popęłnił błąd. Odwróciła gwałtownie twarz, rzuciła mu badawcze spojrzenie. Było jakieś... dziwne. Dżuma i syfilis.

- Dość gadania - warknął. Czuł, że pogrąża się tą złością, ale to tylko wzmagало złość. Nie było czasu, by tłumaczyć Lendzie, jak niewiele łączyło go ze sławną Lelicją Zelgan. Przeczuwał, że każde słowo wyjaśnień musiałby potem komentować trzema innymi. - Do roboty.

Wzięli się do roboty. Wszyscy troje. Rąk, jak się okazało,

wcale nie było za dużo: zwłaszcza przy zdejmowaniu brygantyny pomoc Lendy bardzo się przydała. Trochę z winy Debrena, który najpierw, z nieco mściwym posłuszeństwem, przycinał kikuty sterczącego z uda drzewca strzały i przewlekał przez nie wąskie nogawki spodni. Nóż był ostry, magun czarował, ale i tak skończyło się rozruszaniem drzewca w ranie, większym bólem i krwawieniem. Gdy przyszło do wyciągania, okazało się, że przedobrzyli ze skracaniem i nawet dłuższe paznokcie Lendy nie radzą sobie z porządnym uchwyceniem drewnianka. Trzeba było znów zmudnie, ostrożnie nacinać nożem, żłobić rowki dające palcom zaczepienie. W efekcie Zbrhl utracił za dużo krwi i znieczulił się zbyt dużą porcją gorzałki. Kiedy przyszło do zdejmowania zbroi - złamał zasadę Zbrhlów i zwyczajnie zemdłał.

Naszarpali się zdrowo, przenosząc go na łóżko. Potem było jeszcze gorzej: trzeba było wydłubywać ułamki strzał, które, na podobieństwo gwoździ, przybiły brygantynę do żeber piersi i pleców. Łóżko, cholernie ekskluzywne i przez to miękkie, falowało pod nimi, bezwładne cielsko rotmistrza przetaczało się z boku na bok jak źle zamocowana beczka pod pokładem okrętu, strzały tkwiły po przeciwnych stronach tułowia i niezależnie jak układali Zbrhla, ta na dole, której usuwanie odkładali na później, groziła głębszym wniknięciem między żebra.

Operacja, krótko mówiąc, była równie ciężka jak pacjent. Kiedy skończyli, oboje ociekali potem. Lenda powoli, ostrożnie prostując nogi, dźwignęła się z łoża. Podeszła do miednicy, zaczęła splukiwać krew z rąk.

- Miał szczęście - sapnął Debren. - Trzy przebicia pancerza i wszystkie na żebra. Żaden grot nie wszedł głęboko. Ale dwa żebra pęknięte. Każda tarcza ma dwie strony. Jak go teraz ktoś mocniej w pierś trzaśnie, to i przez zbroję może ubić. Odłamkiem własnej kości. No, ale szczęście jednak miał.

Obmywała powoli dłonie. Trochę potrwało, nim doszukał

się w tym ucieczki przed jego wzrokiem.

- Szczęście? - mruknęła. - Na wieśniaków wyglądali. Grot kuty przez wioskowego kowala w ogóle nie powinien przebić pancerza.

- Łuki długie, prawie jak anvaskie. No i blisko stali.

- To nie to. Obejrzyj groty. Klasyczny przeciwpancerny kolec. Już nie to, że wojskowy: specjalny, do dziurawienia dobrych zbroi. - Debren schylił się, podniósł z podłogi zakrwawiony stożek płynnie przechodzący w tulejkę do osadzenia drzewca. - Gówniana broń, jak przyjdzie do zwierza strzelać. Albo i leśniczego.

- Leśniczego?

- A do kogo, twoim zdaniem, może szyć z łuku prosty kmieć?

Debren nie odpowiedział. Wstał, obszedł łoże, przerzucił na nie pierzynę, okrywając rozebranego do kalesonów Zbrhła. - Nawet jak zbójowaniem dorabia, to mu przeciwpancerne pociski na nic. Wiesz, ile taki grot kosztuje? A wyliczono, że trzy razy mniej skuteczny w obalaniu od listkowych czy trójkątnych. Co z tego, że głębiej wlezie? Rana wąska, strzałę wyrwać łatwiej. Traf dzika, co na ciebie szarżuje, albo pijanego sąsiada, a tuzin razy cię uśmierci, nim do niego dotrze, że trafiony i padać powinien. Marna broń. Za wąsko specjalizowana.

- Zagadać mnie chcesz czy do czegoś zmierzasz?

- Zagadać? - Teraz już musiała się obejrzeć. Tak jak podejrzewał, była blada. Zbyt blada.

- Nie wiem - przyznał - czy po to, by do łóżka nie iść, czy po to, by o poważnych sprawach nie dyskutować. Ale czuję, że jedno z dwojga wchodzi w grę.

- Źle czujesz - stwierdziła spokojnie.

- Ale, oczywiście, do łóżka nie pójdziesz?

- Zaraz do tego przejdziemy. - Usiadła na stołku, pochylając głowę, by ukryć grymas bólu, towarzyszący zginaniu nóg. - O

grotach skończmy. Jak powiedziałam, nie pasują do wieśniaków.

- A stąd wniosek...?

- Że je ktoś specjalnie na takową okazję obstalował. Tak jak owych strzelców i niedźwiedzich bękartów.

Debren wziął z niej przykład, zaczął obmywać ręce w miednicy. Przez dach, czy może uchylone drzwi, słyszał pogwizdywanie wiatru. I nic więcej.

- Gryf jest przygotowany lepiej, niż sądziliśmy - mruknął, nie patrząc za siebie. - To chcesz powiedzieć?

- Nie wygramy. - Założyłby się, że i ona nie patrzy w jego stronę. - Ze zdolnych do walki ty zostałeś i Petunka. Baliśmy się walczyć z Pisklakiem, gdy było nas sześcioro i z kuszą. Kuszę mi tym piorunem rozpieprzyłeś. Nie twoja wina, ale teraz nie mamy żadnej. Różdzka, nawet jak nikt jej nie rozdeptał, czort wie gdzie. Zbrhl ranny, Drop gdzieś przepadł, Yeżyn... - westchnęła. - Na Petunkę bym nie liczyła. Ty nam pozostajesz i biała broń, a co z ciebie za szermierz, oboje wiemy.

- I jaki stąd wniosek? Bo do wniosku zmierzasz?

- Ktoś musi. Wniosek jest prosty. Musimy przystać na warunki tej paskowanej pokraki. Przy sześciu na jednego się zastanawialiśmy. Teraz nas ubyło, a tamtych, jak im panika minie, może nawet trzech będzie. Jeśli nie więcej. Może zresztą Pisklakowi samemu przyjdzie walczyć, może ci dwaj uciekli na dobre. Tyle że tego nie wiemy na pewno. Czyli ktoś musi tyłów bronić, w odwodzie stać.

W końcu spotkali się wzrokiem.

- Siebie przestałaś liczyć - mruknął. Posłała mu spojrzenie, które tak się miało do jej zwykłych spojrzeń jak popiół po ognisku do skaczących rażno płomieni.

- Bo na mnie liczyć nie można - powiedziała nawet nie bardzo gorzko. - Wiesz, dlaczego Yeżyn umiera? Bom przez tę zasraną palisadę nie dała rady przeleźć, choć od podwórza, z

sągu licząc, to ledwie parę stóp. Bom go całe wieki na górę wciągała. Bom potem halabardę upuściła na waszą stronę i bez broni został. Bom się wyłożyła, jak na nas ursolud skoczył. Bo Yeżyn musiał z gołymi rękami... - Przełknęła ślinę. - Łajno jestem, nie wojak.

- Nie twoja wina. - Właściwie wierzył w to, co mówi, tyle że nie potrafił wykrzesać z siebie odpowiedniej żarliwości. - Konia mieliśmy jeno... Gryf wiedział, że jeśli mamy przystać na jego warunki, potrzebujemy drugiego konia. Dwoje rannych... Wiedział. Z Dropem długo gadali. A od strony taktycznej, jak już na walkę postawił, też lepiej było wypuścić nas na szlak i z dala od domu... Kto mógł przewidzieć, że tak głupio...?

- To już przeszłość - przerwała mu. - Nie mówię, jak zawałam, by się spowiadać. Po prostu tłumaczę, dlaczego musisz mnie skreślić z listy zbrojnych. Nogi mam do rzyci, jak słusznie Zbrhl zauważył.

Stanął naprzeciw niej. I kolan, starannie okrytych suknią, która była kusa, nieprzyzwoicie krótka i nie zawsze okrywała kolana takich jak Lenda Branggo, marnie wychowanych panien.

- Od kiedy to? - zapytał, kucając. Na razie daleko od stołka, z plecami wspartymi o łożo. Był zmęczony, poobijany, miał prawo ulżyć nogom. Ale już wtedy skryte pod błękitną tkaniną kolana dziewczyny przywarły jedno do drugiego w nieświadomym odruchu obronnym.

- Od urodzenia - rzuciła wyzywająco. - Jak wszyscy. Co słusznie tyś z kolei zauważył.

- Odnośnie twoich nóg... Dawno nie miałem okazji się im przyjrzeć. - Nadal nie ruszał się z miejsca. - Wiem, co powiesz: że w łaźni. Tylko że wyżej kostki nie...

- Nie macałś? - wychwyciła moment wahania. - No i dobrze. Bo pożytku nijakiego nikt by z tego nie miał.

- O co ci chodzi, księżniczko? - zmarszczył brwi.

- O to, że czas przy mnie tracisz. Przy moich nogach, konkretnie. I to w dwójnasób. Bo i jako medyk, i jako mężczyzna. Medykowi satysfakcji nie dam, bo się na mnie wszystko jak na psie goi. Żadna radość taką wyleczyć. A to drugie... - urwała.

- Mam z ciebie pożytek - powiedział cicho.

- Tak, wiem - parsknęła. - Jak kogoś trzeba bełtem uraczyć, w łeb palnąć. Można też z Lendą pogawędzić, bo zabawna.

- Dobrze mi z tobą. - Nie wstając, przysunął się do niej, ukląkł naprzeciw gniewnie zaciśniętych kolan. - Ile razy muszę to powtarzać?

- W ogóle nie musisz. - Głos i spojrzenie nie były gniewne. Raczej zrezygnowane. - O niektórych rzeczach nie trzeba gadać. Niektóre rzeczy po prostu się widzi. Za wielkiego doświadczenia w tych sprawach nie mam; na pewno nie takie jak czarodziej, co to po całym świecie miody najśłodsze spija. Ale wiem, po czym poznać, że chłopu dobrze było z babą.

Sięgnął ręką, próbował odsłonić jej lewe kolano, to poturbowane przy katastrofie wrzeczona. Nie pozwoliła. Delikatnie, ale stanowczo nakryła jego dłoń swoją. Niewiele mniejszą. Podrapaną. Śliczną. Dłonią, której dotyku pragnął i której dotyk tak teraz bolał.

- Lenda...

- Daj spokój - powiedziała cicho, umykając ze wzrokiem w bok. - Żaloszne się to powoli robi. Tyś nie Pretokar, ze mnie żadna Ledoszka. Lat mamy po dwa razy tyle, skromnie licząc, a i nie w zapyziałym wczesnowieczu przyszło nam żyć. Wiesz, jak dziś normalny, nowoczesny człek na takową sytuację patrzy? Na dorosłą babę, co goło z gołym chłopem w łaźni wysiaduje i niczego, kromie potu, z niego nie wyciśnie?

Jeszcze bardziej odwróciła głowę. Zabrał rękę. Patrzył na jej ciut za długi nos i dolną wargę, wypchniętą do przodu bardziej niż zazwyczaj, z pozoru arogancko wyzywającą cały świat, a tak naprawdę starającą się nie drzeć. Przemknęło mu przez

myśl, że właśnie takie profile powinno się wybijać na monetach. Nie była Ledoszka, nie była księżniczką; w jej peruce, jak we wszystkim, co przemysłem zamtużnym pachnie, było coś tandetnego, ale gdyby miał własną mennicę...

Ba, łatwo powiedzieć. Chłop, choćby i całkiem dorosły, bez trudu prawi dziewczynie takie komplementy. Nawet już po wizycie w łaźni.

- Kiedy byłam młoda - odezwała się po chwili - aż zębami zgrzytałam, gdym wspomniała, jak ten łajdak biedną Ledoszkę pokrzywdził. Ale mi dzisiaj Petunka oczy otworzyła. Co niby miał królewicz zrobić? Niczego nie robić? Toć siebie by śmiesznością okrył, a ją może i hańbą.

- Hańbą? Znaczy... niczego nie robiąc?

- Nie zapominaj, że była księżniczką. Nie jakąś tam Proszą dziewczuchą. A inszymi się kryteriami księżniczki ocenia. I... i postępową była. Wyzwolona, jak na swoje czasy przynajmniej. Słyszałeś: konterfektu zażądała, pukii złocistych. Myślę, że skoro ktoś taki do łaźni z Pretokarem polazł, to nie po to jeno, po co się zwykle do łaźni chadza. A w każdym razie królewicz tak mógł to odbierać. Więc jakie miał wyjście? Zignorować nagą pannę, co obok siedzi? Ba, siedzi... Jak to szło? W owej rymowance...

- „I gdym tak leżała, bezbronna, na wznak...” - Lenda odwróciła się ku niemu, trochę za szybko, trochę zbyt zaskoczona. Pomyślał, że trzeba było z uśmiechem, może nawet kpiącym, bez tej trubadurskiej domieszki. Ale już prawie podjął decyzję i nie miało znaczenia, że może wyjść na zakamuflowanego wierszokleteromantyka. W porównaniu z tym drugim... Dokończył więc tak, jak zaczął. Jak usłyszał i jak zapamiętał. Z zadumą, smutkiem i wizją mrocznej łaźni przed oczami: - „O udo Twe głową oparta”.

Przyglądała mu się zdziwiona.

- Znasz...? - nie dokończyła. - Ach tak... racja. W waszym



fachu wyćwiczona pamięć to podstawa.

- Ładny wiersz, tom zapamiętał.

- Wiersz ładny - przyznała nijakim tonem. - Ale autorka, jeśli malarzom wierzyć, co najwyżej niebrzydka była. Zgrabna, owszem, lecz z twarzy nic nadzwyczajnego. Nos za duży, usta jakieś takie... bo ja wiem...? No, coś aroganckiego w nich miała. No i czarna w dodatku, a wiadomo: mężczyźni blondynki wolą. Więc postaw się w roli jej sąsiada z łazienkowej ławy. Wyobraź sobie, żeś kawaler dobrze wychowany, a tu ci panna naprzeciw, w góry dzikie, ochoczo wyjeżdża, że jakieś cuda z włosami wyczynia, a na koniec, całkiem goła, nagle do ciebie ciałem przylega... Co byś uczynił w takowych okolicznościach? Toć licząc sęki w desce, co to na niej siedzicie, największy despekt dziewczce uczynisz. Chcąc nie chcąc, musisz... To znaczy - dorzuciła pośpiesznie - teoretycznie oczywiście mówię.

- Wiem. Mówisz, jak to z perspektywy Pretokara...

- Właśnie. Wystaw więc sobie: nie za ładna, trochę postrzelona; tron, jeśli odziedziczy, to pod warunkiem, że; się jakieś nieszczęście krewnym przytrafi; w porównaniu z twoją pozycją i majątkiem niemal prostaczka i żebraczka. Zwyczajnie nie wypada takiej... no... - uśmiechnęła się z zakłopotaniem - berłem nie potraktować. Rozumiesz.

- Rozumiem.

- Ledoszka w wieży wylądowała. - Mówiła teraz nieco innym tonem, stopniowo różowiejąc na twarzy. Znów nie patrzyła mu w oczy. - Nie powiem, za tragedię to miała, ona i chyba wszyscy, co się z jej smutną historią zetknęli. Ale choć reumatyzm podłapała w murach Paniuchy i bękarta się dorobiła...

- W wieży? - przerwał jej z niedowierzaniem. - I to takiej, dla panien z książęcego rodu? Bez urazy, Lenda, ale chyba Zbrhl ma rację: wasze księstwo sto lat za Yougończykami się wlecze. A służby lochowe to już całkiem do rzyci macie.

- Dureń jesteś - parsknęła. - W wieży, też wymyślił... Toć mówię, że ją Pretokar owym berłem... Nie słyszałeś nigdy, czym się może dudkanie skończyć?

- Zaszła w ciążę? Z Pretokarem? - Lenda ograniczyła odpowiedź do wzruszenia ramionami. - I w wieży ją z królewskim dzieckiem zamknęli?

- Po pierwsze, Pretokar jej za grosz nie wierzył przez to bredzenie o berłoczynach w łaźni, więc syna nie uznał. A po drugie chłopca w wieży z matką nie trzymano i dopiero jak ją amnestia objęła, mogła małego Hanka do serca przytulić.

- Długo tak...?

- Nie bardzo, jak na wczesnowiecze i taką plamę w życiorysie. Ale że wczesne dzieciństwo mocno się w procesie wychowawczym liczy, to ta separacja od matki wyraźnie chłopakowi psychikę wykoślawiła. Wiesz, jakiego się przydomka dorobił? W kronikach o nim piszą: „Hanko Beznumernik”. Bo, kretyn jeden, na serio wziął gadanie o swej funkcji regenta i najpierw nie kazał na siebie Hanka IV wołać, a potem, jak prawowita dziedziczka dorosła, zamiast otruć ją cichaczem, tron wziął i oddał. Znaczy, numeru nie wykręcił. Innym też nie wykręcał i dziś nie wiadomo, czy bardziej z tej poczciwości przydomek się nie wziął.

- Znaczy... przyzwoity był? - upewnił się Debren.

Wzruszyła ramionami. Minę miała jakby nadaśaną.

- Mierzac kryteriami prostaków... no, można by tak powiedzieć. Ale chyba wiesz, że dobry władca to zły władca? Zresztą nie on jest tu najważniejszy. Pamiętasz, o czym mówimy?

- Szczerze powiedziawszy... To znaczy - dorzucił pospiesznie, widząc pogłębiający się rumieniec - oczywiście. Na Beznumernika skęciliśmy z tematu...

- Mniejszego zła. - I znów nie patrzyła mu w oczy. - Zmierzałam do tego, że choć Ledoszkę kto żyw obgadywał, jak to pannę z dzieciątkiem, nikt się z niej nie śmiał. Z jej

kobiecości - dodała ciszej. - Tej nijak nie dało się kwestionować.

Znów położył dłoń na jej kolanie. Ostrożnie, pytająco.

- Wiem, o czym myślisz. Ale...

- To oszczędź mi tego - poprosiła cicho. - Wiem, że sam nie będziesz... I że nikomu nie powiesz. Ale jak się przy kimś parę dni pokręcę, to choćbym nie wiem jak ostrożnie... Jeśli nie jakiś Suswok w łaźni podejrzy, to ktoś w zadek odruchowo klepnie, bo tłusty mi wyrósł i do klepania prowokuje.

- Nie masz tłustego zadka.

- Dzięki, uprzejmy jesteś. Ale i ci uprzejmi w końcu... Na siodło cię taki podsadzi zniecka albo jak Zbrhl, na I szynkwas. I wymaca. Albo po prostu gdzieś nad wodą przyuważy. Przez to cholerstwo na okrągło podmywać się muszę. Krótko mówiąc: już nawet nie próbuję się ze swoim dupniakiem kryć, jak mi czyjeś towarzystwo na dłużej zagraża. Za dużo zachodu, kłopotów, wydatków. Lepiej prawdę... no dobrze: podkoloryzowaną z lekka... no więc lepiej prosto z mostu i potem mieć spokój. Bo i tak wylezie na jaw, że coś pod spódnicą czy portkami skrywam.

I z tym nauczyłam się żyć. Już nie boli za bardzo. Zwłaszcza póki uchodzę za taką, co mężczyznami pomiata.

- Rozumiem - szepnął.

- Debren, ja charakter mam podły. Od początku cię lubię, to nie wiesz nawet, jak podły, ale ci powiem, że tacy, co się ze mnie śmiali, a wcześniej sympatii nie zdobyli, I ziemię zwykle gryzą. Więc jak dalej będą nas brać za parę, to nasz wspólny szlak będzie przypominał ten z Czarnuchy. Co parę kroków trup jakiś. Poważnie mówię.

- Przesadzasz.

- Nie. Nie znasz mnie, powiadam. Geny po rodzicach to takie odziedziczyłam, że lepiej nie gadać. Mnóstwo ludzi w życiu usiekłam. Z tego sporą część właśnie dlatego, że się z mojego pasa podśmiewali.

- Nie jesteś już w wojsku. Ani w zamtuzie. Jesteś, dla świata przynajmniej, uczennicą czarodzieja. Świat obfituje w idiotów, fakt. Ale takich, którzy by z wiedźmy, choćby i terminującej dopiero, śmiali się i po tyłku ją klepali, to naprawdę wielu nie spotkamy. Nikt nie będzie wiedział...

- Ja będę - przerwała mu. - Nie rozumiesz? Nie o ludzi chodzi. To ja problem stanowię. Ja będę szyderstwo dostrzegać w każdym uśmiechu, kpinę w niewinnym pytaniu. Z tą laską z Dangizy najlepszy przykład. - Debren omal nie wycofał palców z jej kolana, powstrzymał się jednak, bo chyba przeoczyła ich obecność i właśnie cofaniem mógłby się pogryźć. - To Zbrhl, przyjaciel, życie bym za niego oddała. A mało co w łeb nie dostał, bo mi się, durnej, uwidziało, że o jakowychś sprośnościach gada. Taka przeczulona jestem. - Debren otworzył usta, by po chwili zamknąć je bez słowa. - Choćby dlatego musimy się rozstać. Kłopotów ci narobię, z przyjaciółmi skłócę.

- Właściwie to nie mam przyjaciół. - Posłała mu badawcze spojrzenie. Wzruszył ramionami, siląc się na niedbałą minę. - W tej profesji... Wiesz: nigdzie człek miejsca nie zagrzeje, czasu nie ma, by z kimś... No i byle kogo przyjaźnią nie darzę. Zwykle jeno ludzi mających w sobie wystarczająco wiele delikatności, by w razie czego, nawet jak się... hmm... zabawnego aspektu dopatrzeć...

Popatrzyła na niego jakby z politowaniem spod nisko opuszczonej grzywki, po czym bez słowa wskazała palcem łóżko. Dobrze wybrała moment: Zbrhl zachrapał właśnie niczym nowoczesna, napędzana kołem wodnym piła tartaczna. Wychwalana przez fachowców za wszystko, tylko nie za delikatność.

Debren zaklął w duchu.

- Nie mogę z tobą zostać.

W końcu to powiedziała. Właściwie niepotrzebnie. Od początku wiedział, do czego zmierza.

- Możesz - mruknął, cofając rękę z jej kolana. Postarał się, by poczuła to cofanie. Usiadł na piętach, co pozwoliło mu spojrzeć na nią z nieco większej odległości.

- Nie - pokręciła głową. - Nie po wizycie w tej oberży. Ile tu jesteśmy? Parę klepsydr jeno. Zbrhła nie liczę: tam, przy kopcach, sam wykrzyczałeś, że cię ku mnie ciągnie. Ale tu między obcych ludzi trafiliśmy. I te parę klepsydr wystarczyło, by nas jednoznacznie do grona kochanków przypisali.

- To nie jest zwyczajne miejsce. Jeśli coś się ma uwidocznić, to właśnie tu najprędzej... Pradziad Petunki zdążył się rozmiłować, piwo w kulbace pijąc.

- Bo z góry widoki lepsze - mruknęła. Siedziała nieruchomo, zapatrzona w którąś z desek podłogowych. - Jak nositacka dekoltu nie dosznuruje.

- Nie zostawiaj mnie. - Drgnęła, ale nie uniosła głowy. - Nie z tak idiotycznego powodu.

- Powód nie jest idiotyczny. Ludzie się z bardziej błahych przyczyn wieszają, pojedynkują, nawet wojny wypowiadają. Umierają, krótko mówiąc. Ja nikogo nie chcę uśmiercać. A zwłaszcza naszej przyjaźni. Bo wiesz, co myślę? Że ją uśmiercimy, jak razem dłużej pobędziemy.

- Bzdury pleciesz, księżniczko. Jak niby sobie trwałą przyjaźń wyobrażasz? Że to taka na odległość? Nie obito ci się o uszy przysłowie: „Co z oczu, to z serca”? Oklepane jest, ale prawdziwe jak cholera.

- Prawdziwe - zgodziła się. - I właśnie dlatego proponuję rozstać się już teraz. Póki sobie ran zbyt głębokich nie zadamy. Bo to, co do mnie czujesz, najpierw zelżeje, a potem może i całkiem... Wiem: chciałbyś ze mną jak z niewiastą... Wiem, Debren. Może to te włosy w poduszce, może syndrom drakleńskiej kobyły. Nieważne. Ważne, że gapisz się jak pies na kielbasę, co ją łobuziaki wysoko na belce uwiązali, podskakujesz, sięgnąć nie możesz i coraz gorzej ci z tym. Nawet jak się nie pokaleczysz, to w końcu kielbasę

znieawidzisz. Więc odejdz, póki czas.

Pies, co na niedostępną kielbasę poluje, źle musi skończyć.

- Wyjątkowo marna parabola - skrzywił się. - Ale jak już się jej trzymać... Po pierwsze, psu brakuje zdolności do znieawidzenia kielbasy. Może jej nigdy zębami nie sięgnąć, tyle że go ta klęska nijak do nienawiści nie doprowadzi. I jak po latach cud się stanie, sznur pęknie i kielbasa mu przed nosem wylądaje...

- To go jej smród ubije - mruknęła. Debren skrzywił się jeszcze bardziej, ale nie dał się sprowokować.

- I po drugie, ważniejsze: kielbasa ze swej natury długa bywa. Dobra kielbasa nawet bardzo długa. I jak ją na sznurze zawiesić, to siłą rzeczy niektóre partie niżej wiszą. Bywa tak, że собака nie jest w stanie całej dopaść. Bo głodna, słaba, bo wprawy nie ma, bo z niewłaściwego miejsca podskakuje. Ale bywa, że dolny koniec jakoś odgryzie. Nie mówię: całość. Koniec jeno. Ale pamiętaj, że o przedniej kielbasie mówimy. W najlepszym gatunku. Nie z tych wschodnioviplańskich, co to w nie masarze różności pchają, by mięso udawały. Mówimy o prawdziwej, lelońskiej kielbasie. Soczystej, jędrnej, tłusciutkiej, takiej, że aż ślina z pyska kapie.

- Tłusciutkiej? - Teraz ona się skrzywiła. - Wiesz, masz rację w kwestii parabol. Cokolwiek to słowo oznacza - dodała nieco zbyt szybko. - Cofam owe psy i kielbasy. Chciałam rzec, że świat jest pełen innych...

- ...kielbas - wszedł jej w słowo. - Ja też cofam, com o marnej paraboli powiedział. Mało romantyczna, fakt, ale zła nie jest. Całkiem dobrze istotę rzeczy oddaje. Bo do czegoż to psa namawiasz? By wbrew psiej naturze postąpił. Zostawił kielbasę, pogodził się z myślą, że przyjdą inni i na plastry ją potną. By odszedł, akurat teraz, kiedy jej smak w pysku poczuł. - Umilkł na chwilę i dokończył wyraźnie ciszej: - Najśłodszy na świecie.

Milczała znacznie dłużej. Zamknęła oczy; gdyby nie fakt, iż

siedziała sztywna niczym świeżo upieczony król na pierwszej audyencji, pomyślałaby, że usnęła. Nie zdziwiłoby go to. W głębokich cieniach pod oczami, w opadających kącikach ust było wystarczająco wiele zmęczenia.

- Widziałam, jak patrzysz na Petunkę - odezwała się cicho. - Nie zrozum mnie źle. Porządny jesteś, uczciwy. I wiem, że jak się akurat we mnie kochasz, to gdyby cię w łóżu dopadła, bronilibyś się ze wszystkich sił. Ale wiem też, że gdyby niewiasty miały taką nad wami przewagę jak wy nad nami, i mogły broniącego się chłopca na siłę zniewolić, to w końcu byłoby ci z nią dobrze.

- Co za bzdury wygadujesz?

- Wiesz, o czym mówię. - Dopiero teraz uniosła powieki. - Nie kręć, Debren. Marnie ci to wychodzi. I nie obrażaj mnie. Nie jestem tępą babą, co nijakiego wyrozumienia nie ma dla natury, czy to psiej, czy męskiej. Przecież cię nie potępiam za to, co czujesz. Sama nie jestem lepsza. Już ci raz powiedziałam: jeno dlatego pod pierzyną z kimś nie figluję, że dupniak przeszkadza. Nie brak chęci. Pas i tylko pas. A powiem ci, że choć wołałabym z tobą, to... gdybym miała wybierać... - Zacięła się, przez chwilę szukała właściwych słów. Nie patrzyła na niego. Nie potrafiła chyba powiedzieć czegoś takiego, zaglądając mu w oczy. - Lepiej się dudkać z kimkolwiek, niż się nie dudkać wcale z... z kimś, kogo...

Gdzieś na dole zazgrzytał metal. Coś jakby rygiel. Powinien zejść, sprawdzić. Za ścianami czaiła się śmierć i każda zasuwa, choćby przy najmniejszym z okienek, mogła przesądzić o wszystkim. O losie jego samego, losie tej posiniaczonej, bladej dziewczyny, unikającej jego wzroku, o losie trojga innych, mających przeżyć lub umrzeć w zależności od tego, co i jak on, Debren, zrobi. Nawet o losie Yeżyna, który konał wprawdzie, lecz z błogą świadomością, że pozostawia żonę całą i zdrową, może nawet bezpieczną. On, Debren, miał obowiązki wobec nich wszystkich. I był poważnym czarodziejem. Poważni

czarodzieje nie powinni zaprzątać myśli babskimi zadkami, gdy w grę wchodzi ludzkie życie.

Ale to była Lenda. A za ścianami czaiła się śmierć. W każdej chwili mogąca wpaść pomiędzy nich, rozdzielić na zawsze. Nie umiał tak po prostu wyjść.

- Za późno, księżniczko - powiedział spokojnie. - Pies sięgnął końca kielbasy. I już nie odejdzie.

- Niczegoś nie sięgnął - burknęła zniecierpliwiona. - Powąchałeś jeno. Wiesz, co znaczy smak kielbasy w pysku poczuć? Wiesz? W naszym realnym przypadku? Konkretnie? Niczego w zębach nie miałeś i mieć...

- Wiem - przerwał jej. Obie ręce same powędrowały na jej kolana. - Wiem, co znaczy smak.

- Łajno wiesz! Skończ z poetyzowaniem, durniu! O życiu mówię! O konkretnych...

- Rozumiem, o czym mówisz.

- A mnie się widzi, że chyba nie!

- Mówisz, że z głodu zdechnę przy takiej jak ty kielbasie. Oszaleję i okuleję od bezskutecznego skakania. Zmarnuję szansę, bo świat, jak ci się wydaje, pełen jest smakowitych kielbas, których nikt na niedostępnych sznurkach nie wiesz.

- Wydaje mi się? A Petunka, daleko nie sięgając? A pani Zelgan? A Ronsoise, baronówna dziewicza i w antypodach biegła?

- Co: Zelgan? - zmieszał się odrobinę.

- Tępa nie jestem - rzuciła gniewnie. Po czym zmieniła ton na inny, grubszy, udatnie naśladowający męski. - Wiem, Zbrhl. Wiem, jakie słodkie dźwięki basetla w sile wieku wydaje. Toć grałem, aż smyczek dymił, nie pamiętasz?

Dzuma i syfilis. Więc jednak. Nie przegapiła.

- Nic nie dymiło - jęknął. - Owszem: poznałem ją...

- I poznał ją, a ona syna mu powiła...

- Nie cytuj mi tu Księgi Świętej, jeno słuchaj, co do ciebie mówię. Żadna mi dotąd niczego nie powijała i jakoś z tym



żyć. Nawet, szczerze mówiąc, bardziej szczęśliwy. Z Lelicją jedno nas łączy...

- Połączył się z nią po tysiącuroć jeszcze, lecz jałowe było jej łono i nie dała mu potomka.

- Lenda, do cholery! Nie jesteśmy w szkółce niedzielnej! Nie popisuj mi się tu... Jak powiadam, jedno nas z panią Zelgan łączy: że nie widzimy w niewieście samej tylko maszynki do rodzenia dzieci.

- To już wiem, czym jej serce podbiłeś. Postępowy światopogląd was łączył, nim to drugie złączyło.

- Łajno wiesz. Mówię, że nie oceniam niewiasty po tym, ile potomstwa na świat wydaje. Czy choćby zdolna wydawać.

- W to akurat wierzę. Przynajmniej póki o łączeniu baby z chłopem mowa. Bo już losu z losem, to insza para chodaków. Ale jak krótki koncert na basetli w grę wchodzi, to pewnie lepsza taka, która łatwo przyjemnego z pożytecznym nie łączy.

- Mogłabyś skończyć z tym gadaniem o łączeniu i po ludzku mówić?

- Proszę bardzo: lepsza taka, co od pierwszego chędożenia brzucha nie łapie. Czyli daje przyjemność, nie dając obowiązków. - Sapnęła, rzuciła mu wyzywające spojrzenie zza rumieńca, który pewnie zaliczał się do gniewnych, ale do którego pewnie i zakłopotanie dołożyło swoje. - Co, znów wulgarnością cię poraziłam?

Przemknęło mu przez głowę, że zapytała, bo i jego twarz pokryła się czerwieńią. Miał nadzieję, że nie, ale nie chwycił się zbyt gorliwie owej nadziei. Cokolwiek mówił, odbijało się jak strzały od zamkowego muru. Nie miał wyjścia, musiał użyć katapulty. I zapłacić stosowną cenę.

- Nie. - Przynajmniej nad głosem potrafił panować. Trochę pomogło to, że ktoś szedł po schodach. Mieli mało czasu. - Dobrze jest czasem nazywać rzeczy po imieniu. Zwłaszcza jak się z kimś na metafory i aluzje dogadać nie idzie. - Odetchnął głęboko. - Jeśli dlatego chcesz odejść, bo z ciebie nie mam

pożytku jak chłop z kobiety, z widocznymi pożytku dowodami... bo kiełbasie wstyd samym zapachem psa dokarmiać...

- Skończ z tą kiełbasą - mruknęła. - Głodna jestem, a ty na okrągło...

- Wybacz. No więc... tam, w łaźni, nie sam pot ze mnie wycisnęłaś. Wiesz, o czym mówię.

Wiedziała. Zrozumieli się w lot. Zanim jeszcze skończył mówić, jej twarz zastygła w kamienną maskę.

Za szybko. Potrafił już składać życie w zamian za jej życie, leżeć nagi u jej boku, całować te krnąbrne usta i nawet doszukiwać się uroku w opalonej z owłosienia twarzy.

Ale nadal byli sobie obcy i pewnych rzeczy nie umiał jej powiedzieć, patrząc w oczy. Spojrzał w nie dopiero, gdy przepchnął przez gardło najtrudniejsze w życiu wyznanie, a wtedy było już za późno. Mógł tylko zgadywać, z jakich składników zlepiła to coś, co zastąpiło ludzkie oblicze.

- Lenda? - Nie zareagowała; w nieruchomych oczach nie zapłonęła żadna nowa iskierka, pod skórą nie drgnął ani jeden mięsień. - Słyszałaś, co powiedziałem?

Durne pytanie. Uderz ją w twarz krzesiwem, a iskry polecą. Jasne, że słyszała. Miał nadzieję, że coś powie. Choćby samym spojrzeniem. Że zdąży ochłonać, pozbierać myśli. Nie doczekał się. Petunka była szybsza.

- Drop wrócił - oświadczyła, stając w progu. - Musimy pomówić. O waszym wyjeździe.

Debren odłożył zwierciadelko. Mgła skroplonego oddechu znikła błyskawicznie. Ale była tam. Yeżyn wciąż żył.

- To bez znaczenia.

Odwrócił się. Oczy Petunki wyglądały jakoś inaczej, ale potrzebował czasu, by zrozumieć, że to bardziej efekt braku czernidła na rzęsach niż czegoś w samych oczach. Zmyła starannie wszystko, co nosiła na powiekach i wokół nich. Chyba nie przed lustrem: na samym dole, tam, gdzie łyzy

trafiały na krawędź podbródka, pozostało parę szarych plamek. Wyglądała trochę starzej, jednak może właśnie dlatego sprawiała wrażenie kogoś silnego.

- Bez znaczenia?

- Czy przy nim siedzisz. Z tobą czy bez, nie doczeka świtu. Znam się na ranach - dodała, widząc, że Debren otwiera usta.  
- I na umieraniu. Bratowa na moich rękach, Cedrzyh...

- Cedrzyh?

- Mój młodszy brat. - Milczała przez chwilę, spoglądając w płomień kominka. - Potrafię szanse ocenić.

Musnął dłonią kołofiks znad rzeki Jond. Petunka ustawiła go obok stołu, tuż za głową Yeżyna.

- Cuda się zdarzają - mruknął. - Rzadko, ale...

- Tu się, póki co, żaden nie zdarzył. Dwieście lat... i nic. Ani jedna cnotliwa księżniczka nawet nie zajrzała. Nie powiem: dopuszczam myśl, że i na nas kiedyś padnie. Bez tego chyba by się całkiem żyć nie dało. Ale cuda to do siebie mają, iż nie trzeba ich amatorską medycyną wspomagać. Daruj szczerłość, aleś sam powiedział, że bez ksiąg amator jesteś.

Debren zerknął w otwarte drzwi kuchni. Z miejsca, gdzie stał, widać było tylko koniec pomarańczowego ogona Dropa. Papuga skrzeczał z cicha, odpowiadając krótko na równie ciche pytania niewidocznej Lendy Nie wyglądało na to, by kończyli.

- Nie zostawię go - mruknął. - Czasem cudowi trzeba pomóc. Choćby i po amatorsku.

Petunka nie próbowała dyskutować. Usiadła obok Yeżyna, utkwiała nieruchome spojrzenie w jego równie nieruchomym profilu. Debren pokręcił się po izbie, poskanował I przez szczelinę w ścianie, po czym wszedł na poddasze i sprawdził stan dachu w trafionych głazami izbach. Pod I największą z dziur, którą od biedy przecisnąłby się i gryf, I urosła spora biała górką, ale śnieg był jedynym intruzem. Debren wycofał się na korytarz, podparł kołkiem drzwi. I Nie powstrzymałyby

Pisklaka, ale nie o powstrzymanie chodziło, a o uniemożliwienie bezgłośnego wtargnięcia. Sama trzeszcząca podłoga mogła nie wystarczyć: I przekonał się o tym aż nadto dobitnie, kiedy nagle, bez żadnej zapowiedzi, mrok korytarza rozjaśnił blask łuczywa.

- To ty? - Zbrhl opuścił berdysz i dopiero teraz użył go w roli kuli. - Łajno i kał, nastraszyłeś mnie. Budzę się, w izbie nikogo, cisza, ja prawie goły.. Już myślałem, I że mnie ten kocur ze zbroi obrał, jak żółwia na zupeć.

- Zemdląłeś.

- Zbrhle nie mdleją - przypomniał rotmistrz. Cofnął się za próg, zaczął zbierać porozrzucane po całej izbie fragmenty ubrania. - Zasnąłem pewnie.

Usiadł tam, gdzie przedtem Lenda, postępując wciągnął modne jak cholera portki z Eileff. Debren, zerkając podejrzliwie na jego opatrunki, podszedł szybko do leżącej nieopodal brygantyny, jednym ruchem poderwał z podłogi. Przez pokaleczony pośladek przemknął mu płomień, omal nie zwałił się na deski. Ale warto było. Właśnie dlatego.

- Uważaj na rany - stęknął, krzywiąc się z bólu. - Bez eliksirów niewiele mogłem działać. - Pomagając sobie kolanem, przerzucił zbroję na komodę. - Psiakrew, ależ ciężkie to draństwo. Nie myślałem, że brygantyna...

- Bo to sportowa - wyjaśnił Zbrhl. - Znaczy się, do podtrzymywania kondycji. Klasę wytrzymałości ma jak zwykła oficerska, a ciężar o połowę większy. Po prawdzie - westchnął - to i o połowę więcej kosztuje.

- Cięższa, droższa, a tej samej wytrzymałości? - upewnił się Debren. - To chyba dla rotowego głupka, nie oficera? Nie kupowałeś jej aby razem z hełmem? Po utracie poprzedniego wskutek ciężkiego ciosu w głowę?

- Sameś głupek. - Zbrhl podniósł onucę, zaczął owijać stopę. - Oficer to nie prosty knecht, ale o tężyznę fizyczną takż musi dbać. A że mu nie wypada jak szeregowemu

pawężnikowi przy sypaniu wałów jej nabierać, inaczej musi się ratować. Właśnie cięższą zbroję na co dzień nosząc.

- Nie taniej kamienie po kieszeniach?

- Taniej. Ale kretyn, łażący z kamieniami, długo rotą nie pokomenderuje. Migiem by sobie autorytet zszargał i właśnie na etat rotowego głupka trafił.

- Rozumiem. Wybacz naiwne pytanie, ale czy nie lepiej, skoro już cięższy pancerz się kupuje, zainwestować po prostu w grubszy?

- A po cholere? W sportowej zbroi nikt w bój nie chadza. Za ciężka.

- To może dwie zbroje kupić? I obie nosić, a przed walką jedną zdejmować?

Zbrhl posłał mu pełne politowania spojrzenie.

- Debren, bo mi pozytywną opinię o magunach popsujesz. Dwie zbroje?! I przed bitwą zdejmować?! Wiesz, co mówisz?! Toż taki dowódca najpierw by na tchórza wyszedł, a potem w dodatku na idiotę!

Debren zasznurował usta. Nie chciał niszczyć pozytywnego wizerunku magunów w oczach Zbrhla.

- Podasz but? Tam, pod komodą. Łajno i kał, co wyście tu z moim odzieniem wyczyniali? Istny zamtuz. Tylko babskiej pończochy brakuje, na belce pod stropem wiszącej.

- Sporo krwi straciłeś, musieliśmy szybko... - Wyciągnął but, ale nie podszedł z nim do rotmistrza. - Słuchaj, nie powinieneś... Żebra masz popękane, no i to udo... Byle stuknięcie i krwotok gotowy. No i nie możesz się przemęczać. Potrzebujesz ciepła, wygody.

- Chcesz, bym w łożu zostałem? - domyślił się Zbrhl, mocując końcówkę drugiej onucy. - Nie bój się, nie jestem kretyn, nie będę bez potrzeby ryzykował. - Debren odetchnął, odstawił cizmę na komodę, podszedł do łóżka, zaczął poprawiać pierzynę, wyklepywać poduszkę. - Drugi kaftan pod pancerz włożę. No, co tak sterczysz? Podaj brygantynę. Sam

powiedziałaś: nie mogę się przemęczać.

- Drop rozmawiał z Pisklakiem - zaczęła Lenda, ledwie zajęli miejsca. Mieli do dyspozycji tylko jedną wolną ławę, więc Debrenowi od początku kojarzyło się to z Akademią i lekcją anatomii. Z jednej strony ich troje, stłoczonych na przykrótkiej ławeczce, bladych i sennych, a więc w typowym dla pracowitych kursantów stanie, z boku Drop w zastępstwie czarnego kocura, kruka albo sowy - w latach dwudziestych nieodłącznego atrybutu poważnego czarodzieja - na zydlu, twarzą do nich, marszcząca brwi Petunka w roli surowego wykładowcy, a za jej plecami stół. Yeżyn wciąż oddychał i nie przypominał typowego obiektu sekcji, lecz i tak skojarzenie narzucało się samo. Debren pocieszał się myślą, że tylko jemu. Za udział w krojeniu trupów nie szło się już automatycznie na stos, lecz uprawiany w zaciszu akademickich lochów proceder nadal uważany był za wstydlivy. Kronikarze mieli dość rozsądku, by o nim nie pisać, i ogółowi społeczeństwa podobne widoki przywodziły na myśl jedynie jak najbardziej prawomyślne czuwanie przy zwłokach bądź łożu umierającego.

- Mam nadzieję - przerwał dziewczynie Zbrhl - że pod białą flagą.

- Brrrak zrrrozumienia - zdziwił się ptak.

- A ja rozumiem - warknęła Lenda. - Jenó udam, że nie. I przypomnę, że Drop bohatercko w naszej obronie stawał. Debrena uratował, Petunce pomógł, potem przemyślnym manewrem ursoluda z pola bitwy odciągnął.

- Bluzgami - sprecyzował rotmistrz. - I uciekaniem.

- Mniejsza o szczegóły taktyczne manewru - wtrącił się Debren. - Lenda ma rację: twoje uwagi są nie na miejscu.

- Brrrak zrrrozumienia - poskarżył się Drop.

- W kwestii imć Dropa nie masz racji, miśku - dorzuciła Petunka. - Znamy się trochę i wiem, że obwieś z niego i hultaj, ale honorowy. Jeśli do gryfa poleciał rozmawiać, to na

pewno nie o tym, jak by tu przewał zrobić.

- Co zrobić? - nie zrozumiał Debren.

- Zmienić płatnika żołdu w trakcie kampanii - wyjaśniła Lenda, cytując najwyraźniej jakąś uczoną definicję. I od siebie dodała: - Zbrhl Dropowi zarzuca, iż za Pisklakiem pognał nie jako poseł, pod białą flagą, jeno w prywatnym interesie. Proponując, że stronę wału zmieni. Barykady, po lełońsku mówiąc.

- Oszczerrrrca!!! - wrzasnął urażony do żywego Drop.

- Obrrrraza śmierrrtelna!!! - Zakłapał bezgłośnie dziobem, gorączkowo i bezskutecznie poszukując odpowiednich słów. - Utwarrrrdzać terrren!!!

- Że co? - zdziwił się Zbrhl.

- Chce cię pozwać na udeptaną ziemię - wyjaśniła Lenda. Debren posłał jej pełne podziwu spojrzenie, ale przegapiła je, zwracając się do siedzącego na belce ptaka.

- Masz święte prawo, Drop, ale chcę cię prosić, byś z niego zrezygnował. Zbrhl za długo się między najemnikami obracał, to dlatego. Przewałowy proceder to w jego fachu codzienność. Nie mówię konkretnie o tobie - uprzedziła protest rotmistrza.

- Przyznasz jednak, że zmiana strony wału, głównie w trakcie oblężeń, smutną codzienność współczesnych wojen stanowi. Czytasz „Żołdaka Fortuny”, znasz statystyki. Nadzieja matematyczna, że to przeWалу dojdzie, w skali kwartalnej 0,21 wynosi w pierwszym półroczu, a potem jeszcze rośnie. Więc bez unoszenia się honorem, proszę. Obaj przyjaciółmi mi jesteście i nie życzę sobie, byście się potykali.

Przyjaciele Lendy zerknęli na siebie mało przyjaźnie, lecz na tym poprzestali.

- Niektórzy wiążą to z upadkiem demokracji - wtrącił się Debren. - I normalizacją nazywają. Że niby pieniądź słusznie ideologię z wojen wypiera.

- Bez polityki, proszę - przywołała go do porządku Petunka.

- Lenda, wypytałaś Dropa. Mów, co i jak. Bez urazy, panie

papugo: tak prędzej będzie.

Dziewczyna kiwnęła głową i zaczęła opowiadać. Historia była krótka: Drop odciągnął mutanta aż pod wschodni częstokół, ale w końcu spóźnił się z unikiem, oberwał łapą i stracił przytomność. Na szczęście cios był silny, a palisada tuż obok - ptaka przerzuciło na drugą stronę i ursolud, nie tracąc czasu na przełazenie przez ogrodzenie i dobijanie przeciwnika, zawrócił ku gospodarzowi.

Kiedy papuga oprzytomniał, wokół było cicho i pusto. Drop zerknął przez szparę w okiennicy, upewnił się, że większość towarzyszy przeżyła bitwę, i, nie ryzykując stukania, zaczął cichaczem przeszukiwać okolicę. Wbrew jego oczekiwaniom, gryf nie czaił się ani w zakamarkach podwórza, ani w pobliskich zaroślach. Nie było go też na sąsiadującym z oberżą, skalistym wzniesieniu, służącym Pisklakowi za lądowisko i skład pocisków. Samych pocisków też już prawie nie było - klątwa nie zakładała obracania „Cnotki” w ruinę przy pomocy długotrwałych nalotów i gryf zużył praktycznie cały skromny zapas kamieni oraz belek. Drop zatoczył parę coraz szerszych kręgów nad lasem i w końcu natknął się na ślady kocich łap. Krzyżowały się ze śladami butów, krwi i drzewca siekiery, wiodącymi spod oberży na zachód. Gryf i topornik spotkali się niedaleko drogowskazu. Sądząc po odciskach w śniegu, rozmowa do serdecznych nie należała. Człowiek najpierw odskoczył za najgrubsze drzewo, a potem wydeptał pierścień wokół pnia, krążąc tak, jak potwór i pilnując, by cały czas oddzielała ich wiekowa jodła. Ostrożność nie była bezpodstawna: Pisklak, choć kulawy i też krwawiący, również łaził w kółko, najwyraźniej wypatrując okazji do morderczego skoku.

- Dobra nasza - skomentował ten fragment relacji Zbrhl. - Marnie z poczwara, skoro się rannego kmiotka wystraszyła. Zdycha, jak nic. Głowę dam, że to zasługa mego hełmu. Nie wiem, czyście zauważyli, ale już tu, jakieśmy się bili, kiepsko



stawał.

- Może - mruknął Debren. - Ale boję się, że po prostu łaził w kółko, by postraszyć, nie zabić.

- Chyba słusznie się boisz - westchnęła Lenda. - Bo się w końcu po dobroci rozeszli. Tyle że kmiotek biegiem. Wyraźnie mu rozmowa sił i odwagi dodała. Do mostu pognał. A gryf ku jaskini zawrócił. Szedł, więc go Drop dogonił. No i pogawędzili sobie.

Z opisu pogawędki wynikało, że Pisklak nie przejawiał wrogich zamiarów, choć przewal w wydaniu jego doradcy strategicznego był dość oczywisty. Spokojnie wysłuchał wyjaśnień papugi, po czym zapewnił, że jego poprzednia propozycja pozostaje aktualna. Obcy wyjeżdżają o świcie, Vysedelowie zostają, nikomu nie dzieje się krzywda.

- To wszystko - zakończyła Lenda. - O odszkodowaniach i kontrybucjach nie było mowy, co nam upraszcza sprawę. Możemy raz-dwa decyzję podjąć i jeszcze się zdrzemnąć trochę. Trzy klepsydry do świtu zostały.

- Mądrze gadasz, kozo. Ja tu z Petunką posiedzę, w trudnych chwilach towarzystwa dotrzymam - Zbrhl zerknął na Yeżyna - ale ty faktycznie brykaj na górę. Łóżko zagrzane, wskakuj pod pierzynę i śpij.

- Najpierw decyzja - przypomniał Debren.

- A o czym tu decydować? Toż już ustaliliśmy: zostajemy i czekamy, aż się biesowi zdechnie.

- Poczekaj, miśku - uprzedziła maguna Petunka. Dziwnym tonem, łagodnym i surowym zarazem. - Lenda, do łóżka. Na nos nam tu zaraz padniesz. Bez nijakiego pożytku, bo nie do ciebie decyzja należy.

- Bo baby prawa głosu nie mają? - najeżyła się dziewczyna. - Dlaczego Debrena pod tę pierzynę nie gonisz? Też na siedząco zasypia! Oczy to ma o połowę ode mnie Mniejsze!

- Właśnie dlatego. Bo oczy masz wielkie i niebieskie, z tych, co to najrozsądniejszego chłopca ogłupią. A „Cnotka” to

porządna oberża, gdzie się pannom kawalerów pod pierzynę nie wpycha. Zwłaszcza przed podróżą, długą i być może ryzykowną. Snu potrzebujecie oboje, a nie... Litościwie nie dokończyła. Debren zmarszczył brwi.

- O jakiej podróży mówisz?

Oberżystka odczekała, aż niepokój przeniesie się na pozostałe twarze. Mądrze. Kiedy wreszcie przemówiła, jej słowa zabrzmiały bardziej dobitnie.

- To mój dom, mój los i moja rodzina. Nie muszę się z niczego tłumaczyć, ale że za przyjaciół was mam, to powody wyłożę. Samej decyzji to jednak nie zmieni. I dlatego możesz śmiało iść spać, moja miła.

- Ani mi się śni - rzuciła twardo Lenda.

- Łatwiej by mi było wyjaśnienia składać. - Petunka zerknęła wymownie na obraz z nagą księżniczką, zdejmującą kłatwę z oberży. - Panience nie przystoi o pewnych sprawach słuchać.

- Sama jesteś panienka!

- Nie jestem - powiedziała spokojnie gospodyni. - I w tym rzecz właśnie.

Dziewczyna zacisnęła obie dłonie na brzegu ławy. Widać było, że nie ustąpi. Petunka wzruszyła nieznacznie ramionami i przeniosła spojrzenie na Debrena.

- Postanowiłam - oświadczyła - że wyjedziecie o świętym Bie. Tak będzie dla wszystkich najlepiej. Jezyn umiera, mnie Pisklak nie skrzywdzi, was, skoro odjeżdżacie, nie ma po co atakować. Nie istnieje żaden powód...

- Łajno! - przerwał jej wzburzony rotmistrz. - Istnieje, i to cholernie poważny! Moje słowo mianowicie!

Przyglądała mu się przez chwilę. Oczy miała szare, bardzo smutne. Noc była wyjątkowa i nie żalowali lu-1 czyw, ale choć izba tonęła w blasku, w jej spojrzeniu go brakowało.

- Z mego powodu ślubowałeś. W biegu, pochopnie. Na dodatek przyczyną nie był gryf, a Debren, który drzwi rozwalił.

O drzazdze w zadku nie wspomnę litościwie, choć powinnam, bo przy cofaniu słowa znawcy każą się i uważnie intencjom przyjrzeć. A drzazga w zadku... cóż, jeśli się zaczniesz z takich powodów pojedynkować, to cię i do żadnej karczmy nie wpuszczą. Bo i w najporządniejszych, bywa, nowa ława gościa takową niespodzianką uraczy. A o nową nietrudno, jako że stare szybko się zużywają. Wiadomo: poręczne w bójce, a jeszcze za broń nie uchodzą i uszkodzenia ciała pod inne paragrafy się podciąga. Pamiętam z tych korespondencyjnych kursów Yeżyna, że przeciętna ławka karczemna żywotność ma ledwie...

- Petunko - przerwał jej łagodnie Debren. Umilkła.

- Słowo to słowo - burknął Zbrhl. Widać było, że argumenty trafiły mu do przekonania. Stąd podły humor.

- Prawda - zgodził się magun. - I prawdą jest, że są słowa, które można wycofać, honorowi ujmy nie czyniąc. Więc może wysłuchajmy Petunki do końca. Przyjaciółką nam jest, pamiętaj. I mądrą niewiastą. Nie sędzę, by cię narażała na pohańbienie.

Pogratulował sobie w duchu: tamci natychmiast zajrzeli sobie w oczy, oberżystka zarumieniła się, a Zbrhl zasznurował usta.

- Na początek muszę was przeprosić - Petunka uśmiechnęła się smutno. - Powinnam pomyśleć o zamostkowiakach, ostrzec... Głupia baba ze mnie.

- To owi pachółkowie gryfa? - domyśliła się Lenda.

- Nie wszyscy; z Zamostków spora wieś. Ale że na naszej krzywdzie się tak rozrosła, to i większość z gryfem po cichu sympatyzuje. Zwłaszcza ci co w uprawach się specjalizują i usługach. Bo hodowcy owiec już nie bardzo. Tyle że tych garstka pozostała: nieboszczyk Domorzec większość z torbami puścił. Ogólnie jednak wieś dobrze na klątwie wychodzi. Za Petuneli to dwa szalasy były, przez Smolarzy zamieszkiwane. Potem Pretokar królewski szlak przez pustkowie pociągnął,

most postawił... Od razu się inwestorzy pojawili: kowal, kołodziej, karczmarz i ksiądz. Za demokracji szkołę nawet mieli, ale teraz zamknięta, bo niż demograficzny i reforma. No i sołtysa się dorobili. To ten węsaty, co to go Debren kołkiem po gardle... Swoją drogą, pogratulować oka, mistrzu. Dobrze wybrałeś: w gardle właśnie był najmocniejszy. I gardłowałem na urzędzie się od lat trzymał. Choć, po prawdzie, teraz widzę, że może nie samym gardłowaniem.

- To znaczy?

- To zadupie - wyjaśniła. - Trakt nie trakt, w głuszy żyjemy. Więc się stare obyczaje w Zamostkach utrzymują. Kadencyjność władzy, mianowicie. Co cztery lata od nowa radę i sołtysa się wybiera, jak za demokratycznego reżimu. No i rozmaici konkurenci do wyborów przeciw sołtysowi stawali. Z wymowności sływał, to i większość gładko w przedbiegach odpadała, ale było paru takich, co omal mu liczbą głosów nie dorównali. Po prawdzie demagodzy jeszcze od niego więksi: jeden obiecywał, że dzieciaki furą gminną do szkoły dowozić będzie, drugi, że gryfa opodatkuje... Takie tam banialuki demokratyczne. I, wystawcie sobie, tuż przed wyborami zawsze taki mądrała znikał. Nie wiedzieć jak i gdzie. Za to definitywnie.

- Gówniany ustrój, ta demokracja - splunął Zbrhl. - Pamiętam, jak kadencyjnego płatnika nam w regimencie wprowadzili. Też na lat cztery. Po trzech, złodziej jeden, do Tellicji dał nogę i jak król żyje z naszego srebra, co to je w tamtejszych bankach potajemnie lokował. Teraz to co innego: płatnikiem byle łachudra nie zostaje. Wieś trzeba mieć, zamek jakiś... Jest z czego długi ściągać. I nie na cztery lata synekurę dają, ale na rok albo dożywotnio. Każde rozwiązanie lepsze od owych księżycowych czterech lat. Bo to przez rok nakraść i ukryć nie zdążysz, a wybierający jeszcze pamiętają, coś obiecywał i za co powinni cię w zadek kopnąć. A znów dożywocie mając, nawet jak kradniesz, to po trochu, by sobie

za wcześnie gałęzi pod rzycią nie podciąć. Więc albo poddani większe szanse mają złodzieja przegnać i się po jego rządzeniu pozbierać, albo okrada się ich uczciwie, nie ze szczeniem. A czterolecie... Mamy tu takie przysłowie: „Cztery lata przy korycie starczą ci na złote życie”. I drugie: „Władzę pełniąc cztery lata, każdy zejdzie na psubrata”.

- Miało być bez polityki - przypomniał Debren.

- Właśnie - poparła go Petunka. - Wspomniałam o zaginionych kandydatach nie po to, by feudalizm propagować. Bo i ten, szczerze mówiąc, ma swoje wady.

- To fatalny system - pokiwał głową Zbrhl - jeno że nikt nie wymyślił lepszego.

- Wonston Szeroki - popisała się odczytaniem Lenda.

- A czy ja mówię, że nie? - wzruszył ramionami. - Pewnie, że Wonstona cytuję. Aż taki durny nie jestem, by się pod klasykę myśli politycznej podszywać.

- Miało być bez polityki - jeszcze raz przypomniał Debren. - O sołtysie mówiliśmy. I konkurentach do stołka, co to ich cichaczem zgładził.

- Raczej gryfowi do zgładzenia wytypował - poprawiła go Petunka. - Demokracja i to jeszcze do siebie ma, że charaktery wykoślawia. Zamiast uczciwie widły wziąć i w żywot oponentowi wrazić, człek się musi podłych podstępów chwytać. Bo takich, co otwarcie, z przodu atakują, jakoś ludzie nie wybierają. Sołtys to wie, więc go z zaginięciem konkurentów nijak nie szło powiązać. Zawsze a to na wiecu był, a to z pielgrzymką, a to na weselu. Najmarniej tuzin postronnych świadków głową ręczyło, że gdy tamci znikali, przebywał gdzie indziej.

- Rozumiem. I za to się Pisklakowi odwdzięczał?

- Chyba nie tylko. - Petunka ani przez chwilę nie sprawiała wrażenia radosnej, lecz teraz sposepniała jeszcze bardziej. - Ten bies, co Yeżyna... To bratanek sołtysa. Drugi ursolud takoz. Widzieliście, jak okrutnie zmutowani. Mało co po

matce odziedziczyli. Rodzina w lesie chować ich musiała, bo choć stryj na stanowisku, pewnie by sąsiedzi nie zdzierżyli i na widły paskudę wzięli. I słusznie, bo gówniarze, jak podrośli, parę osób na tamten świat wyprawili. Zaczęli od proboszcza, co próbował młodszego ochrzcić i rasie ludzkiej tą metodą przywrócić. Starszy mu rękę razem z kropidłem odgryzł i zżarł. Od tej pory w górach się kryją. Sądząc po dzisiejszym... za cichą zgodą gryfa. Raz starosta z Rumperki chciał na nich ekspedycję karną urządzić, ale mu to sołtys wyperswadował. Tłumacząc, że bratankowie w lesie równowagę ekologiczną utrzymują i jak podrosną, to i zbójów wytępią, i Pisklakowi tak się panoszyć nie dadzą. A tu proszę: wychodzi, że w tajnym sojuszu z nim byli.

- Starszy i młodszy. - Lenda zmarszczyła brwi. - Więc nie bliźniaki? To się, widzę, sołtysowi albo bardzo odważna, albo bardzo głupia bratowa trafiła. Dwa razy z rzędu dać się niedźwiedziowi w borze dopaść... No, no.

- Była i odważna, i głupia - przyznała Petunka. - Ale nie w łożeniu po lesie się to przejawiało, a w tym, że swego ślubnego w porę polewką z muchomorów nie struła albo nie przydusiła, gdy schlany leżał. Względnie nie posłuchała rad mojej matki, która ją paru skutecznych metod antypoczęciowych wyuczyła. Bo to on, mąż rodzony, jej owych potworków zmajstrował. Nie ją, a jej teściową marucha zdybał w puszczy. Tyle że w pierwszym pokoleniu ludzkie geny górę wzięły i brat sołtysa mało w sobie miał z niedźwiedzia. Ot, czasem po wsi na czworakach biegał i ryczał, ale przy jego zamięłowaniu do miodu to nikogo nie dziwiło. Że zarośnięty i kudłaty chadzał, też nie: za demokracji rzecz się działa, a wiadomo, jak wtenczas krucho było z brzytwami i mydłem. Dopiero gdy żona mu pierwsze dziecko poroniła, caluśkie we włosiu, to się plotki o jego pochodzeniu potwierdziły. - Westchnęła. - Nie mają szczęścia do dzieci w tym rodzie. Sołtysowi jedna tylko dziewczeczka się urodziła i ta jedna...

- Słyszałem. - Debren pomilczał chwilę, po czym zapytał: - Dlaczego o nich mówimy?

- Słyszałeś, co Drop o owym obwiesiu z toporem opowiadał.

- Rozmasowała odruchowo skopany przez tamtego bok. - Założę się, że prosto do wsi pognał.

- Rrrozumne rrrozumowanie - pokiwał łbem Drop.

- Dzięki. Ciebie gryf stracił, więc musiał człowieka z wieścią posłać. Nie wiem, jak się dogadali, ale...

- Rrękokoczy. Prrcedensy potwierrrdzone.

- Na migi - wyjaśniła Lenda. - Już wcześniej się zdarzało, że bez pomocy Dropa rozmawiał z ludźmi.

- Dzięki. Ale - dokończyła Petunka - sprawa jest prosta i długich objaśnień nie wymaga. Pisklak kazał zapewne sprowadzić ze wsi wszystko, co do noszenia broni zdolne. I, jak znam zamostkowiaków, stawia się.

- Nie przesadzasz? - skrzywił się sceptycznie Debren. - Słyszy się tu i ówdzie o ludziach kolaborujących z biesami. Cichaczem jednak. I nigdy całą wsią.

- Sołtysowy ród ma ogromne wpływy. A z rodu zostali: brat, żona i puszczańska córeczka. Dyszący pewnie chęcią zemsty za ubitych krewniaków. No i zainteresowani, by wszystko zostało jak jest. Nie zapominaj, że dobrobyt wieś zawdzięcza królewskiemu szlakowi. A ten bez gryfa podupadnie. To znaczy w mniemaniu postronnych, którzy się w niuansach klątwy nie orientują. Więc nie sądzę, by były kłopoty ze zwołaniem pospolitego ruszenia.

- Petunka ma rację - wsparła oberżystkę Lenda. - A ty, Debren, o jednym zapominasz: żeście tu się ze Zbrhlem na władzę i niewinnych cywilów za jednym zamachem... no... zamachnęli. No i jeszcze kłusownictwo popełnili. O owych maruchach mówię. W połowie niedźwiedziami byli, czyli, jak zsumować, jednego niedźwiedzia tu ubito. A wiadomo, że z niedźwiedzia zwierz mocno chroniony. Krótko mówiąc, o żadnej kolaboracji z potworem nie musi być mowy. Jako

zwykłych, pospolitych złoczyńców straż obywatelska was pochwyci. Legalnie.

- Zaraz, zaraz... Was? Żeście ze Zbrhlem? To niby ja tego ursoluda na podwórzu...?

- Ja - wzruszyła ramionami. - Tyle że bez świadków. I w dodatku baba jestem. Nikt nie uwierzy, że baba takową bestię utłukła. Na wasze konto pójdzie.

- Co ci po głowie chodzi? - Zbrhl zmarszczył czoło.

- To, co i Petunce: by was stąd wyprawić. Dwa konie mamy. Henzę się jak przedtem ułoży, ty na zdrowego siądziesz, Debren kulawego weźmie za uzdę i w drogę.

- Petunce - uprzedziła maguna gospodyni - nie całkiem to chodzi po głowie. Petunka widzi Lendę na grzbiecie kulawego.

- Nie zostawię cię samej, siostró - oznajmiła spokojnie dziewczyna. - To raz. A dwa, że na kulawym koniu nikt nie pojedzie, bo by koń przed rozstajami padł. Połówkę Henzy dźwigać, to co innego, ale mnie na dodatek... Po trzecie zaś, i najważniejsze, ja jedna nie mam powodu stąd uciekać. Za częstokół nosa nie wychyliłam, neutralna jestem.

- Głupia przede wszystkim! - Debren nie był w stanie wysiedzieć na ławie, zwłaszcza że od dziewczyny oddzielał go Zbrhl. - Wyobrażasz sobie, że co to będzie: sąd grodzki?! Że ktoś zechce wysłuchiwać argumentów o neutralności i trzymaniu się właściwej strony palisady?! Dziś się urodziłaś? Jak rozwścieczona tłuszcza dziewczki dopada, to najpierw... - urwał, ponieważ przypominając sobie, do kogo mówi.

- Zamknijcie się i posłuchajcie mnie w końcu - warknęła Petunka. - To mój dom, moja klątwa i moje kłopoty. Wnuczki nie mam, bo ci durnie, Vaclan i Rovolik, ślubowanie złożyli, że baby nie tkną, póki matka żyje. Wybijam im to usilnie z głów, ale, póki co, bez rezultatu. Efekt jest taki, że nie do ruszenia. Przynajmniej póki gryf, kurator klątwy, żyje i bronić mnie może.

- Bronić? - zaskoczony rotmistrz zamrugał oczami.



- A tak - rzuciła gniewnie. - Co, i ty dziś się urodziłeś? Nie wiesz, jak pokręcone bywa życie? Właśnie tak, miśku. On mnie przed samosądem obroni, a ty, broniąc, do śmierci możesz przywieść. Coś przysięgał? Że gryfa usieczesz? Pięknie, tylko co z wieśniakami, którzy swój los związali z królewskim szlakiem?

- Sram na wieśniaków! - Zbrhl wziął przykład z czarodzieja i jak on zerwał się z ławy. - Odsuwaj barykadę, Debren! Wychodzę! Utłukę biesa, łeb zatknę na drogowskazie i czwartą tabliczkę pod spodem zawieszę! Na której to hultajstwo będzie mogło wyczytać, co z nich grabarzom zostawię, jak na pół mili do oberży podleżą!

- Piękny plan - rzuciła szyderczo Lenda. - Szkoda, że nie uwzględnia niżu demograficznego. I tego, że z braku szkoły dopadną cię analfabeci.

- Symbolikę łba na słupie każdy zrozumie!

- Pierwej trzeba łeb do zatykania posiadać. A ty moi żesz się co najwyżej ursoludzkimi posłużyć, względnie sołtysim. To kmiotków nie powstrzyma. W duchu niektórzy się ucieszą, ale żeś obcy, a tamci, jacy by nie byli, swojacy, to ciebie, a nie łby, na widły wezmą, by w gnojówce topić.

- Uszy umyj, kozo przemądrzała! Toż mówię: Pisklaka pierwej ubiję!

- Nie ubijesz, bo on do pojedynku nie stanie.

- Prrrawda - poparł dziewczynę Drop. - Awarrryjne rrrrozwiązanie. Wrrróg grrroźny, grrryf drrruhami szturrrmuje. Perrrrsonalnie w rrrrezerwie. Rrrrozwiązanie dorrrradca strrrrategiczny oprrrracował.

- Psiakrrrew - zaklął rotmistrz, opadając bezsilnie na jawę. Przez chwilę było cicho. Petunka wykorzystwała przerwę, odwróciła się, przetała pot z czoła konającego.

- Skoro już wiemy, na czym stoimy - odezwała się, odkładając szmatkę - wyjawię wam powody mojej decyzji. Tfej o wyjeździe was wszystkich, z Lendą włącznie.

- Nie... - dziewczyna i Zbrhl zaczęli protestować zgodnym chórem i jak chór umilkli na widok władczo poderwanej dłoni.

- Pokornie proszę o wysłuchanie. - Odczekała trochę i uśmiechnęła się blado. - Dzięki. Za to, coście zrobili i co zrobić gotowicie, jeszcze większe dzięki. Do wczoraj nie miałam żadnych przyjaciół, dziś mi troje... - zawahała się, zerknęła na papugę - czworo przybyło. To wielkie szczęście. Nie pozwolę, by się w nieszczęście obróciło. A tym się zawsze kończyła próba zdejmowania klątwy. Zawsze. O babkach nie będę opowiadać, o swoich doświadczeniach jeno. Słyszeliście już, jak na inicjatywie mojej matki wysłałam. Majątek na biesiarza wydała, zadłużyła się, a efekt jaki? Ranny gryf, martwy wiedźmin, najazd Belniczan, zgwałcona Petunka. Nie powiem: i dobre strony były. Vaclana dzięki temu mam. Ale cena... no, słono zapłaciłam. Potem mój brat, Cedrzyh, piętnaście lat skończył i za dorosłego się uznał.

- Masz brata? - Zbrhl zmarszczył brwi.

- Miałam. O tym właśnie mówię. Miałam. Spłodził go któryś z tych, co na Sierosławę polowali. Cedrzyh był taki jak ty: głupi, zarozumiały, przekonany o swej sile i że wszystko mu się w życiu uda. Tyle że jeszcze ze śladami matczynego rzemienia na tyłku, więc ekspedycję przeciw gryfowi cichcem urządził i po fakcie się dowiedziałyśmy.

- Ekspedycję? Znaczy: nie sam...?

- Po belnickiej stronie największych zabijaków zebrał. Szczeniak był, ale przywódcze talenty zawsze w nim drzemały. Tyle że na ludziach się nie znał. No a wtedy, za pierwszym razem, na złego konia w dodatku postawił, fachowców zwerbował, owszem, tyle że mało ideowych. Za obietnicę łupów z nim poszli, a nie dlatego, że obowiązkiem przyzwoitego człowieka jest potwory zwalczać.

No i całe przedsięwzięcie wzięło w łeb, bo Domorzec, cho stary już i schorowany, łeb nadal na karku nosił.

- Z zasadzek ekspedycję wytlukł? - domyślił się Zbrhl.

- Z jaskini się wyniósł. Wraz z dobytkiem. Ot tak, pprostu. Łowcy kupę owczych kości znaleźli i parę świeżych kup, na pośmiewisko w poprzek ścieżek wypaskudzonych. To wszystko. Łupów żadnych. Cedrzyh zaklinał się, że z gryfa bogate panisko, tamci poszli, zainwestowali, czas stracili i... łajno dostali.

- Ale nikt nie zginął? - upewniła się Lenda. Oberżystka pokręciła głową. - No to nie taka znów tragiczna ta.

- Cedrzyhowi łowcy pysk tylko obili - przerwała jej spokojnie Petunka. - Za to „Cnotkę” splądrowali, a mni prawie na śmierć zachędożyli. Dwa tuziny ich było, więc nim ostatni skończył, pierwszy znów ochoty nabierał. W połowie drugiej kolejki do reszty przytomność straciłam, więc nie wiem, ile razy...

- Dość - wycharczał Zbrhl.

- Nie, miśku. Mnie też to nie bawi, ale skończę, bo h> storia pouczająca jest i ku właściwym wnioskom popycha. Otóż nie zamiłowali mnie na śmierć jeno dlatego, że Do morzec w końcu łeb z lasu wytknął, przyleciał i rzucając z nieba kamienie, bandę rozgonił.

- Tchórzliwy śmierdziel...

- Polityk, miśku. Dwie pieczenie za jednym zamachem upiekł. A patrząc perspektywicznie, to nawet trzy. Raz, że na długo wszystkim się łowów odechciało, czy ze strachu, czy ze względu na nieopłacalność. Dwa, że w ciążę zaszła. - Zbrhl przełknął z wysiłkiem ślinę. W 7 to było, sześć lat po tym, jak łajdak Rovoletta za bił. Wykrzyczałam mu wtedy, że prędzej sobie co zaszyję, niż chłopa do łóżka wpuszczę. Ryzykując, że córce tako los zgotuję. I dotrzymałam słowa.

- Za... - Lenda zająknęła się, zbladła. - Zaszylaś?!

- Idiotka - parsknęła gospodyni. Nikt więcej o nic ni zapytał, więc odczekała trochę i, już spokojniej, pociągnęła wątek: - W cnocie sześć lat wytrwałam, i nie o ober' mówię. Ciężko było,

bo trzydziestki jeszcze nie miałam nosiło mnie jak każdą normalną babę. Alem się uparła Do gości matka wychodziła albo Cedrzyh; dzień w dzień, cały rok, nad strumień chadzałam zimne kąpiele brać. Doniorzec musiał się w końcu zorientować, że rodowi wygaśnięcie grozi, no i okazję wykorzystał.

- A trzecia pieczeń? - zapytał Debren po chwili nieprzyjemnego milczenia.

- Miał kogo na zakładnika brać, gdy mu pawica jajo z Pisklakiem złożyła. Bo i ten drugi gwałt jakąś kropelkę miodu w beczce dziegciu mi przyniósł. Córeczkę urodziłam. I mogłam się nią cieszyć. Krótko, fakt. Gdybym mogła wybierać, to nigdy... Ale była, miałam ją. Rok niemal. Przez rok byłam prawie szczęśliwa. Bom się i poczucia winy wyzbyła. Chłopcy byli jeszcze mali, ale Cedrzyh już się zakochać zdążył. Po prawdzie, to trochę dla zaimponowania lubej ową ekspedycję zorganizował. I...

- Durny gówniarz - mruknęła Lenda. - Mam nadzieję, żeś mu zdrowo dała po łbie.

- Dałam - uśmiechnęła się dziwnie Petunka. - Bardzo zdrowo nawet. Ale nie wtedy. Wtedy... ulżyło mi. Bo kochany był. Postrzeleniec, prawda, ale taki dla mnie dobry... To on pierwszy wpadł na pomysł, by się miłowania wyrzec, póki ja żyję i sama córki nie powiłam. Wiesz, ile takowa decyzja dla zakochanego piętnastolatka oznacza? To jakby sobie rękę dla mnie odrąbał. Więcej nawet. A on przysięgę złożył - i już. Bo się bał, że jak mu żona córkę urodzi, to mnie gryf, jako już niepotrzebną, uśmierci.

- Łajno i kał - szepnął Zbrhl.

- Powiłam zdrową dziewczynkę, więc od razu się ożenił. Jakby przeczuwał, że to jedyna okazja, by trochę szczęścia zaznać.

- Co się stało? - zapytała cicho Lenda.

- Na jesieni 9, tej pamiętnej, Jesienią Królów zwanej,

Domorzec porwał moją małą. Cały zachodni Vi-Plan szalał z radości, a myśmy tu łzy lali. W marcu dowiedziałam się, że zmarła. W kwietniu zjawiał się Yeżyn. Prawie głowę z pętli mi wyjął, bom już dość miała wszystkiego. Potem w Belnicy monarchię przywrócono, Gwayk wstąpił na tron i by się jako preżny władca wykazać, na Morvac najechał. Cedrzyh stanął na czele chłopów i...

- Cedrzyh? - przerwała jej Lenda. - Smarkaty wyrostek przeciw księciu? Na czele?

- Osiemnaście lat już miał. Żonę. Paru belnickich zbójów na koncie. Bo nie myśl sobie: nie puścił płazem tego, co mi zrobili. Dopadł kilku. Od małego z łukiem ćwiczył, toporem... No i, jak mówiłam, przywódcze talenty przeja wiał. A że innych chętnych nie było, bo chaos okresu przejściowego zapanował, Cedrzyh skrzyknął okoliczną ludność i zastąpił drogę Gwadrykowi.

- Szaleństwo - pokręcił głową Zbrhl. - Z chłopami n; regularne wojsko... Głupi smarkacz.

- Głupi - przyznała Petunka. - Ale... wyjścia nie miał. Największą szansę próbował wykorzystać, jaka się od dwustu lat trafiła. W dodatku u wróżki rady zasięgał. Najbardziej wiarygodnej w okolicy. Myślałam, że jak mu kubek zimnej wody na rozpalony łeb wyleje... Cholera, sama go do niej posłałam. Bodaj mi jezor durny usechl. Po jechał i roześmiany wrócił. Wróżka trzy razy wróżby po wtarzała i...

- Trzy razy sobie policzyła? - domyślił się Zbrhl.

- To też. Ale dwa i pół razu jej wyszło, że klątwa z „Cnotki” i rodu zdejmie właśnie ktoś z naszego pokolenia. I nie sam, a z pomocą obcych, choć jednej krwi.

- Znaczący... morvackich współplemieńców? - Rotmistrz podrapał się po kudłatej głowie. - Ale dlaczego dwa i pół?

- Wróżki takie są - oświeciła go Lenda. Minę miała jak ktoś, kogo tylko dobre maniery powstrzymują przed spluwaniem. - I w ogóle większość magią władających. Prędzej ci złotą górę

wyczarują, niż jednoznacznej odpowiedzi udzielą. Znam ja ich trochę, krętaczy.

Wszyscy czekali przez dłuższą chwilę. I nie doczekali się: nie dodała, że Debrena do owego grona nie zalicza.

- No tak - przerwała niezręczne milczenie Petunka. O wróżbach wiadomo, że do końca jednoznaczne nie bywają. Ale ta prawie o jednoznaczność zahaczała. Choćby w kwestii pokolenia. Cedrzyh upewnił się i odpowiedź uzyskał, że o nas chodzi. Czyli o niego konkretnie, bo tylko dwoje nas mama miała, a ja przecież baba, gdzie fflj tam do wojaczki. Albo, dajmy na to, kwestia broni...

Wskazała leżący na szynkwasio muzer. - Tę właśnie hulajkulę miał ze sobą, gdy o przyszłość pytał. Bo to wiecie: za demokracji pozwolenie na oręż wymagano i zdrowo się trzeba było wykosztować, by móc się między ludźmi z normalną kuszą pokazać. No a muzer pod pazuchę ładnie wchodzi... No, nieważne. Ponoć wróżka dłoń na nim położyła i powiedziała, że ten oręż, dobrze wymierzony, los nasz odmieni. Klątwę zdejmie, choć pośrednio. Cedrzyh miał prawo zrozumieć, że jak bój rozpocznie strzałem z hulajkuli, to się wszystko dobrze skończy. Ale tak naprawdę to przeważała ostatnia wizja wróżki. Objawił jej się mianowicie most krwią książąt belnickich skropiony. A z innych wróżb wróżce wyszło, że takowe skropienie przęśło przełamię. No i klęła się, że widzi nieodległą przyszłość, Cedrzyha na moście i krew książęcą.

- Krew książęcą most przełamię? - zapytała cicho Lenda. - Tak powiedziała? Pewna jesteś?

- Jak wizja konkretnie wyglądała? - Debren zmarszczył czoło. - Most jak most, ale krew? Co: błękitna była? W runy się układała? Bo, jak rozumiem, samego krwawiącego nie było w wizji?

- Nie wiem - mruknęła Petunka. - Może wszystko zmyśliła, plotąc, co ślina na język przyniesie. Wiem tyle, żeśmy jej uwierzyli. My i cała okolica. I to tak dalece, że Cedrzyh plany

batalii zmienił. Zamiast most od razu burzyć, nasi na południowym brzegu zaczęli się okopywać.

- Most chciał burzyć?

- A myślisz, że po co się w tę awanturę wpackował? Nie z patriotyzmu, nie myśl sobie. Jego rodzic z Belnicy się wywodził, a nas, było nie było, w kłopoty morvacki władca wpędził. W dodatku do szkół za demokracji chadzał mu do łba wbili, że jak się feudałowie biją, to jest to ich Prywatna sprawa i prosty człowiek nie ma się po co do awantury mieszać.

- Prawda - przytaknął Zbrhl. - Ogłupiali naród tą de-°iuszą propagandą, aż wspominać przykro. Wiesz, kozo - zwrócił się do Lendy - co się wtenczas obowiązkowo pod <sup>n</sup>agló<sub>w</sub>kiem każdej kroniki pisało? „Demokraci wszystkich nacji jednoczą się”. Papier, cholera, drogi, a ci numer w numer do jednoczenia wzywają, i to niemałymi runami.

- W każdym razie - zgromiła go spojrzeniem Petunka - do polityki się Cedrzyh wcześniej nie mieszał. No, ale gdy się trafiła okazja most gromadą zaatakować, i to jeszcze pod królewski trybunał nie podpadając... Tyle że przez tę cholerną wrózkę do burzenia nie doszło. Nasi szańczyk usypali, z kamienia, bo z ziemią tam krucho i...

- Nie widziałem - zdziwił się Zbrhl.

- Widziałeś - zapewniła. - Jeno w innej postaci. Po bitwie materiał z owej fortyfikacji Pisklak na wzgórza okoliczne poprzeniósł, amunicję z niego czyniąc.

- Aha - zerknął na dziurę w suficie. - Znaczy, zza wału mieli mostu bronić? No, nie powiem: dość fachowo, i Szpicę puścić na swój brzeg, tyły, na moście stłoczone, od skrzydeł ostrzeliwać. Niegłupio. Choć wieśniakami komenderując, nie ryzykowałbym takowego...

- Plan batalii trochę inaczej wyglądał - przerwała mu z nieco drętwym uśmiechem na ustach. - Pojedynek obejmował na wstępie.

- He?

- Cedrzyh umyślił sobie, że pozwie Gwadryka i pośrodku przęśła ubije. Co sprawi, że belnicka armia, jako feudalna, a więc pozbawiona wyższych motywacji, w popłochu się rozbiegnie. Bo wszak bez pana, którego interesów ma bronić, walczyć nie będzie miała o co.

- Łajno i kał - zaklął. - Oto jakiej sieczki demokracji do bezbronnych dziecięcych głów napchali. Rozumny, wydawać by się mogło, chłopak, bo jednej z tobą krwi, a takie durne myślenie... Nie mogłaś mu wytłumaczyć, że...?

- Słabowałam trochę. - Zarumieniła się wyraźnie i Debren pomyślał, że być może nie tylko choroba powstrzymała ją od przemawiania bratu do rozumu. Ostatecznie była starsza, o kilkanaście lat dłużej nasiąkała demokratyczną propagandą. - Za późno się na most wybrałam. Nie wiedziałam, że chce Gwadryka pozwać. Mnie powiedział, że spróbuje ustrzelić księcia z za szanicyka. Nawet się zastanawiał, czy z hulajkuli nie za daleko będzie...

- Amatorszczyzna - westchnął Zbrhl, kręcąc głową.

- Teraz to wiem. Ale wtedy plan wcale mi się głupim nie widział. Ten pierwotny, znaczy.

- Zburzenia mostu? - upewniła się Lenda.

- Nie. Zastrzelenia Gwadryka, gdy ten, na czele armii jadąc, na most galopem wpadnie.

- Książę na czele armii mostem galopujący?! - Zbrhl aż się złapał za głowę. - Ile wyście lat wtedy mieli?! Po sześć?! Nie, co ja gadam... Moja średnia, sześć mając, ze szkoły z hukiem wyleciała!

- To ma być argument? - upewnił się Debren.

- A żebyś wiedział. Bo za rysunek ją wylali. Bakałarka, chcąc pamiętną rocznicę uczcić, kazała dzieciakom wymalować sławne zwycięstwo Pretokara Wielkiego pod Czarną Górą. I pałę mojej córuchnie wlepiła, bo na jej obrazku króla z za pleców gwardii widać nie było, a sama gwardia ledwie co



czubki kopii z za taboru i piechot wychylała. Zresztą i piechoty mało widoczne, jako że Dagmuszka wszędzie kurz głównie malowała, caluszką burą farbę zużywając i połowę żółtej.

- To i nie dziwota, że pałę zarobiła - wzruszyła ramionami Lenda. - Oczami wyobraźni widzę to dzieło. I nie powiem, z czym mi się z racji kolorystyki kojarzy, bo by mnie tu kto jeszcze o antymorwackość oskarżył i... hmm... kalanie narodowych świętości.

- Milcz, durna kozo. Malunek realizmem się cechował i znajomością rzeczy. Na co Dagmuszka grzecznie uwagę bakałarce zwróciła. W takowym właśnie ordynku nasze hufce tego dnia stanęły, za który to szyk znawcy bardzo Pretokara chwałą. A i kurz, sztuką naszych magów podniesiony, niemałą rolę w zwycięstwie odegrał. Na co bakałarka zakazała jej pyskować, smarkuli jednej, i powiedziała, że to obraza majestatu tak króla z tyłu umieszczać, skąd nie bitwy, a co najwyżej końskiego łajna się naogląda. Na co Dagmuszka rezolutnie jej odparła, że króle i insi władający widoku główna zwyczajni, bo na co dzień się w nim babrają, jako że sztuka rządzenia do czystych nie należy. I że prawdziwa obraza to robienie z Pretokara kretyna, któren na czele wojsk do ataku pędzi.

- A to smarkula - Lenda pokręciła głową, uśmiechając się jednak pod nosem.

- Koniec końców, pokłóciły się okrutnie, bo Dagmuszka, choć cicha i skromna, wielce jest we mnie rozmiłowana i nie może zdzierżyć, gdy ktoś przy niej ojcowy autorytet podważa. A bakałarka podważyła, twierdząc że całkiem inaczej bitwy wyglądają niż w moich opowieściach, o czym ona wie, bo malarstwo klasyczne studiowała w samej Gadze depholskiej. Na to moja córuchna, ojca cytując, poinformowała ją, że z wojskowego punktu widzenia klasyczne malarstwo batalistyczne nie jest warte desek, na których je malowano. Za co dostała drugą pałę i wyleciała za drzwi.

- Powinieneś się ożenić, miśku - uśmiechnęła się łagodnie i smutno Petunka. - Dziewczynkom kobiecej ręki potrzeba, choćby i po to, by na takowe czupurne języki nie wyrosły.

Zbrhl posłał jej dziwne, jakby rozmazane spojrzenie.

- Tak myślisz?

- Dzieciom oboje rodzice potrzebni. Jak człowiekowi obie nogi, by prosto przez życie iść. Gdybyśmy z Cedrzyhem ojca mieli... nie mówię, że rodzonego od razu... ale gdyby mężczyzna w domu był, pewnie inaczej by owa bitwa na moście wyglądała. Ale nas niewiasta wychowała, jak owa bakałarka w sprawach wojskowych ciemna. Święcie wierzyliśmy, że wojna jak na obrazach wygląda. Że władca przodem do ataku gna, w zbroi srebrzystej, może nawet koronie zamiast hełmu, a wojsko dopiero za nim.

I że co bardziej konserwatywni książęta, pradawnym obyczajem, gotowi są przed bitwą rękawicę wrogiego wodza podjąć i sam na sam się z nim potykać, by obu stronom krwi zaoszczędzić. Cały plan na owym założeniu oparliśmy - dorzuciła z goryczą.

- Nie obwiniaj się - mruknął Debren. - Rozumniejsi od ciebie na błędnej wróżbie się przejechali. A i samo **założenie** nie było tak całkiem bez sensu. Weź pod uwagę, kiedy rzecz się działa. Pierwszy rok wolności, feudalizmi trzeba od podstaw budować po siedemdziesięciu latach! demokracji. Władcy, nawet jak ze starych rodów, we władaniu niedoświadczeni. I, nie oszukujmy się, zdemokratyzowani jak cała reszta. Pamiętam, jak to wyglądało. Śmiesznie niekiedy. W Starohucku król nie to że w bój, ale do wygodki w koronie chadzał, bo mu się wydawało, że tak właśnie wypada. Ceremoniał dworski z dziadkowych bajan większość znała albo wschodnich romansów, bo poważniejszej literatury cenzura nie przepuszczała. Całe lata rycerze szyku zadawali, białe onuce do rajtuzów nosząc, i to tak, by koniec z cholewy wystawał, a nawet powiewał. Z braku nowoczesnych wzorców

do wczesnowiecznych jeszcze sięgano, bo też i, po prawdzie, Zachód wprost ze wczesnowieczna w demokrację wskoczył. Więc nie było nic głupiego w oczekiwaniu od księcia nuworysza, że koronę na łeb wetknie i w bitwie przed szereg skoczy. Niektórym i dziś się wydaje, że na tym feudalne wojowanie polega.

- Dzięki, Debren. - Uśmiech Petunki, choć smutny, wart był tak długiego wywodu. - Ale obwiniać się będę, bom wtedy przez głupią babską płochosć brata straciła. Gdybym ociupinę wcześniej na most zdążyła... Alem się, durna krowa, przebierała. Niby że między ludzi idąc, i to tak licznych, nie mogę byle jak wyglądać. I nie zdążyłam. Jakem do szanca dobiegła, Cedrzyh na most wkraczał.

- Gwadryk rękawicę podjął?

- Tak myśleliśmy. Belnicka awangarda stanęła jeszcze przed Osypańcem, herold, co go Cedrzyh wysłał, żywy powrócił i bez rękawicy... Gdybym zdążyła, zatrzymałabym go, ale sam był, więc wziął hulajkulę i poszedł.

- Z hulajkulą na księcia? - skrzywiła się Lenda. - Jak °n to sobie wyobrażał? Że strzelać do siebie będą? Toż Gwadryk śmiesznością by się okrył na wieki! Wiadomo, jak pojedynek wygląda: dwóch mężów potyka się na białą broń, czary względnie pięści. Ale strzelanie? Niby czego można w ten sposób dowieść? Co najwyżej, że celniej się strzela. Byle gówniarz bohatera gotów w takiej walce ućbić. Albo i baba. Nigdy o durniejszym sposobie rozstrzygnięcia sporów nie słyszała. Nawet sławny Bobin Czapa, jak chciał udowodnić, że co trzeba w rajtuzach nosi, to po pałę dębową sięgał albo miecz, a nie łuk.

- Niby tak - zgodziła się Petunka. - Ale nam tak ta obesrana wróżka we łbach namieszala... No i w pozwie była dowolna broń. Czym kto chce, walczy. Nie zapominaj, że nie o klasyczny pojedynek chodziło, a o wstęp do regularnej bitwy międzynarodowej. W bitwach zaś godzi się czym podejdzie we

wroga godzić.

- No, od tej strony patrząc... I co, stanął mu Gwadryk?

- Nie - powiedziała ciszej gospodyni. - Herold, prosty kmieć, też sprawę spieprzył. Wodza tamtych w imieniu Cedrzyha pozwał, jękając się okrutnie i płacząc, a z tego przejęcia nie bardzo pamiętał, co mu Belniczanie odpowiedzieli. Zrozumiał, a za nim Cedrzyh, że Gwadryk wyzwanie przyjmuje, choć niezależnie od wyniku ofensywy nie przerwie. No i jak z tamtej strony rycerz w porządnej zbroi ku mostowi ruszył, ruszył i mój brat.

Zamilkła. Nie zamknęła oczu, ale przez chwilę były jak oczy niewidomej: ślepe na to, co przed nimi. Spoglądały w odległą przeszłość, która dla Petunki Vysedelowej nigdy nie miała się stać dostatecznie odległą.

- To nie był książę - bardziej stwierdziła niż zapytała Lenda. Oberżystka drgnęła, uśmiechnęła się z wysiłkiem.

- Nie był. Herold wodza pozwał, chyba z imienia księcia nie wymieniając, no to na most wódz pokłusował. Konkretnie: oficer dowodzący rotą rozpoznawczą. Nawet lekko opancerzony, i nie na całym ciele, jak to zwiadowca, ale Cedrzyh i tak nie poradził. Strzelił, a tamten nic, przyspieszył jeno. Pośrodku mostu się zwarli, ale że Cedrzyh pieszo stawał... - Petunka umilkła na kilka momentów. - Przez tę cholerną wrózkę nawet nie bardzo walczył. Nie mógł uwierzyć, że... No i w szermierce też nie był za mocny, a tamten konno, zawodowiec z elitarnej formacji... Ani się obejrzelśmy, jak Cedrzyha ręką ogłuszył, przez lęk przerzucił i na północny brzeg uwiózł.

- Żywego? - Zbrhl gniewnie zmarszczył brwi. - A wyście na szańcu sterczeli i się beczynnie gapili?

- To była zbieranina, miśku. Zwykli wieśniacy. I nie tak miała bitwa wyglądać. Gdy wodza nagle zabrakło, to i najodważniejsi pogłupieli. Ja sama... Mój brat przecie, kochałam go, życie bym za niego... A stałam i gapiłam się.

Nim oprzytomniałam, widły komuś wyrwałam, tamten już konia zawracał. Nie było szansy dogonić. A już ja zwłaszcza, która dopiero co z oberży przez zasy przybiegłam. Taka słaba byłam, że się pośrodku mostu jak długa wyłożyła, na pośmiewisko Belniczan. I długo wstać nie mogłam. - Westchnęła ciężko. - Tamci łuczników mieli, ale żaden jednej strzały nie wypuścił. I jak piechota ruszyła, to też żaden... I nie dziwota. Baba, cieknie z niej co tylko może: łzy, smarki, krew... Leżałam tam, płakałam, sama nie wiem: ze wstydu czy złości, a oni po prostu obok przebiegali i żaden mnie halabardą czy piką nie poczęstował. Widły mi tylko jeden wyrwał i z mostu zrzucił.

- Po naszej stronie gór - powiedziała cicho Lenda - niewiasty się szanuje.

- Chłopi i pacierza nie wytrzymali - ciągnęła Petunka. - Jak Cedrzyh padł, panika się zaczęła i po prawdzie ci, co walczyli na szańcu, głównie dlatego opór gwadrykowym stawili, że w tym zamęcie nie mieli jak uciekać. Ciasno tam na przedmościu.

- Taka pozycja - stęknął boleśnie Zbrhl. - Dobra rota całą armię mogłaby zatrzymać. Nie na amen, ale przez klepsydrę, dwie...

- Cedrzyh zatrzymał. Aż do następnego ranka.

- Hę? Jak to: zatrzymał? Toż mówiłaś...

- Most się wmieszał? - strzelił na chybił trafił Debren.

- Most nie kiwnął... no, tym, czym kiwają zaczarowane mosty. Aleśmy Rumperkę ocalili. Cedrzyh i ja. We dwoje. No, może z tą obesraną wrózką pospołu. - Uśmiechnęła się, szyderczo tym razem. - Trójka durniów demokrację być może w Morvacu obaliła. Bo tu, u nas, wciąż się demokraci u władzy trzymali. Najazd Gwadryka jedna z owych śnieżyc grudniowych poprzedziła, o których wam wspominałam, no i przede wszystkim śmierć Domorca, ale potem co mądrzejsi komentatorzy sugerowali, że tak naprawdę do kopców

granicznych armii by nawet nie doprowadził, gdyby go w wielką politykę nie wplątano. Bo, Po prawdzie, wódz z niego żaden, księstwo ma małe, ubogie raczej, a na wyprawę tron ponoć zabrał, by mu go spod rzyci jakiś inny pretendent nie wyrwał. A w Belnicy, choć to już niby wolnej i feudalnej, nadal sovrojski kontyngent stacjonował. I, wystawcie sobie, zamiast bratnich demokratów z Prawią wesprzeć albo chociaż gród pod nieobecność księcia złupić, Sovrojcy z Gwadrykiem się dogadali, że mu pod nieobecność księstwa przypilnują.

- W Sovro demokracja też już się sypała - przypomniał Debren.

- Ale jeszcze się nie sypnęła. I chyba rację mają ci, co twierdzą, że celowo międzynarodówka demokratyczna Gwadryka gładko do Morvacu puściła. Bo zagrożenie z zewnątrz stanowił, a nic tak władzy nie cementuje, jak obcy najazd. Rząd z Prawią mógł do narodu o lojalność apelować i trwanie przy sprawdzonych strukturach, które jako jedyne są w stanie ojczyznę obronić. Agitować, że oto wymarzony feudalizm zamiast dobrobytu i fury dla każdego, wojnę niesie i zniszczenie. Bo gdyby Gwadrykowi plan się powiódł i Rumperka padła, doszłoby do wojny. I to kontynentalnej może, jako że w Rumperce też mały garnizonik sowojski stacjonował. Na przebieg szturm i obrony nijakiego wpływu by nie miał, ale na wielką politykę, owszem. Wystarczyło tych parunastu knechtów wysiec, a Związek Sowojski zyskałby pretekst do interwencji.

- Związek nie napadł Wschodu przez siedemdziesiąt lat swojego istnienia - skrzywił się sceptycznie Debren. - Choć chwilami prawie mu potęgą dorównywał. Nie sądzę, by z powodu jakiejś, daruj szczerłość, trzeciorzędnej mieściny, miał się na wojnę porywać. I to tuż przed swym rozpadem, gdy własne prowincje jedna po drugiej posłuszeństwo mu wypowiadały.

- Niby tak - zgodził się Zbrhl. - Ale z drugiej strony właśnie

dlatego mógł. Przyrównując to do naszej sytuacji: I jak gryf miał hełm w kiszkach i nic do stracenia. Jenó nie I bardzo rozumiem, dlaczego na wielką politykę zesłiśmy.

Bo Cedrzyh - wyjaśniła Petunka - do świtu Gwadryka po tamtej stronie mostu przetrzymał. Do Rumperki posiłki zdążyły dotrzeć i Gwadryk, szturmó nie ryzykując, zawrócił. Zaraz potem demokratyczny rząd w Prawlu podał się do dymisji i wolnym królestwem się staliśmy.

Nikt tego oczywiście nie udowodni, ale gdyby nie te kilkanaście klepsydr, przy moście zmarnotrawionych, być może belnicka armia zmieniłaby historię świata. - Uśmiechnęła się z zakłopotaniem. - Pewnie nie, ale tak wolę to widzieć. Przynajmniej śmierć Cedrzyha jakiegoś sensu nabiera.

- Kto wie? - powiedziała z powagą Lenda. - Może masz rację? Mówi się, że ekonomia i procesy dziejowe o losach narodów decydują, ale mnie się widzi, że to trochę jak z okrętem. Potężne siły na niego działają, fale z jednej, tysiące łokci ożaglowania z drugiej, dwustu, bywa, wioślarzy z trzeciej, ster z tuzinem bloków i wielokrążków, czary niekiedy... I wszystkie owe niebotyczne moce równoważą się, kurs nadając, a tu nagle chudziutki, mizerny chłopczyzna okrętowy niechcący świecą linę sterową przypalił i galera, jak od kopniaka w zadek, całkiem gdzie indziej płynie.

- Dlaczego akurat galera? - zainteresował się Zbrhl. Bez żadnych widocznych intencji, ale dziewczyna zarumieniła się z lekka, umknęła wzrokiem w rejony, gdzie nie groziło krzyżowanie go ze wzrokiem Debrena.

- Tak mi się... powiedziało. Czytałam kiedyś...

- W owym przykładzie klasyczny żaglowiec byłby poręczniejszy - pouczył ją rotmistrz. - Bo to i mało która galera ma ożaglowanie w tysiące łokci płótna idące, i najczęściej rumplem się je kieruje, i trudno kurs zmienić, zdrowo się batem nie namachawszy. Ale jak na

góralkę z księstwa, co to mostu nie zna, więc i łodzi pewnikiem też, całkiem dobrze się w żeglarskich zawłóściach orientujesz. Z Debrenem powinnaś pogadać. - Policzki Lendy pociemniały trochę bardziej. - Tak się osobliwie składa, że właśnie galerą pływał, choć to już w naszych czasach rzadko spotykany przeżytek. - Przeniósł wzrok na oberżystkę. - A ty słuchaj. Wymówki mi czynisz, że córki na niewłaściwych lekturach wychowuję. To co powiesz o rodzicach kozy? Nie dość, że o żegludze czytać kazali dziewczusce, co to większej rzeki na oczy nie oglądała, ale w dodatku starocie jakieś. Obeznanie z beluardą wehrleńską, z kozłem czy bez, każdemu współczesnemu człowiekowi może się przydać. Ale z okrętem, i to takim?

- Dajmy spokój okrętom - zaproponował Debren. Niepokoiło go zachowanie dziewczyny. Od momentu, gdy przepchnął przez gardło wyznanie o incydencie w łaźni, ani razu nie spojrzała mu w oczy. Nie było to równie ostentacyjne jak teraz, lecz w końcu zauważył, że coś się między nimi zmieniło. Niby łatwo było przewidzieć, że Lenda ujrzy ich wzajemne stosunki w nieco innym świetle, ale... Czuł się nieswojo. Tak dalece, że raz i drugi naszała go całkiem poważna myśl o ukradkowym posłużeniu się telepatią. Miał z tego powodu wyrzuty sumienia i pewnie dlatego stanął teraz w obronie wyraźnie zmieszanej dziewczyny. - I rodziców Lendy się nie czepiaj. Nie każdego stać na kupowanie dzieciom nowych ksiąg. Stare są tańsze, a że o galerach, a nie karawelach... W ubogich rodzinach wszak nie o to chodzi, co dziecko czyta, a głównie, by miało na czym czytanie ćwiczyć.

- Dzięki - mruknęła, nadal nie patrząc mu w twarz. - Nie z owej morskiej księgi run się uczyłam, aleś trafił: najtańsza była na jarmarku. Właśnie dlatego, że runami drukowana, podczas gdy w Vijuće bukwy zachodnie królują. To cóż mi szkodziło kupić i z nudów po pracy czytać?

- Czytanie po pracy mądre nie jest - pouczył ją Zbrhl. - No,



może latem, gdy dni długie. Ale już od października oczy to psuje, a i sakiewce szkodzi, bo sztucznym oświetleniem trza się posiłkować.

- We wrześniu kupowałam - mruknęła.

- I po pracy czytała - znów ujął się za nią Debren.

- Toż właśnie mówię: po pracy niezdrowo.

- Tak, ale w „Króliku” kończyli... - Ugryzł się w język. Zdziwiony Zbrhl poczekał chwilę, nie doczekał się wyjaśnień, więc wzruszył ramionami i dał mu spokój.

- Jednego nie zrozumiałem - zwrócił się do Petunki. - Co Gwadryk robił przy moście przez te kilkanaście klepsydr? Śnieżyca go zastopowała? Czy może triumf lelońską modą oblewał?

- Mówiłam - na usta gospodyni wrócił gorzki uśmiech kogoś, kto zdaje się szydzić z siebie samego. - We trójkę, swą głupotą i niekompetencją, demokrację w Morvacu obalaliśmy. Co konkretnie na tym polegało, zem się do nóg belnickich rzucała, błagając, by Cedrzyhowi darowali.

- Czyich nóg? - zapytała cicho Lenda.

- A cholera je wie. Ryczałam cały czas, przez łzy mało co widząc. Z góry śnieg walił, a oni w siodłach... Wiem, że ten najważniejszy złote ostrogi miał. I zbroję drogą. A głos starawy. Więc pewnie sam Gwadryk. Wyłożyłam mu, co i jak. Szczerze, jak na spowiedzi.

- Że jego personalnie ubić chcieliście? - skrzywił się boleśnie Zbrhl. - Oj, nie wiem, czy mądre to było.

- Pewnie głupie - przyznała. - Choć nie o ubijaniu mówiłam, a o owej krwi spod serca wylanej.

- Spod serca? - Lenda przestała gapić się na podstawie najbliższego słupa. - Nic nie mówiłaś o...

- Wybacz. Nadal nie umiem spokojnie... A przecież to ważne. Bo wróżka mówiła o krwi księżęcej z głębi trzewi, spod serca na most wylanej. Śmiałości nam to dodało, bo przecie mogło być i tak, że Cedrzyh Gwadryka co najwyżej w palec

skaleczy. A tu nie: przepowiedziana rana, jeśli nawet nie śmiertelna, to bez wątplenia ciężka. Zaś potem, gdym o zlitowanie dla brata zebrała, starałam się położyć akcent na tym właśnie, że nie w serce, a gdzieś obok. Czyli że nie na życie księcia nastawaliśmy, jeno na trochę krwi. I nie z niechęci, a tylko dlatego, że do zdejmowania klątwy potrzebowaliśmy zakrwawionego mostu.

- Ale się Gwadryk przekonać nie dał - mruknął Zbrhl.

- Nie. Tyle zyskałam, że przepowiednię poważnie potraktował. Wystraszył się. Wróżkę i w Belnicy znali. Psy na niej wieszam, ale, pomijając tę sprawę, znakomitą opinią się cieszyła. Więc ksiązę namiot kazał rozbić na północnym brzegu i konsylium magików zwołał. Mieli ustalić, czy co złego Gwadryka nie spotka, gdyby na most wjechał. Potem z kongylium zrobiła się rada wojenna, bo ktoś rzucił myśl, by ksiązę został, a wojsko samo na Rumperkę maszerowało, albo by ksiązę z wojskiem, ale nie przez most, a objazdem... W końcu doszło do tego, że najemni renegocjacji stawek zażądali, powołując się na niepomyślne prognozy. I tak radzili, kłócili się, a Gwadryk coraz wścieklej z namiotu porykiwał. Pomyślałam sobie, że z Cedrzyhem marnie, i na jedną kartę wszystko postawiłam.

- Chyba żeś nie...? - rotmistrz nie miał odwagi dokończyć. Ale właśnie dlatego wszyscy zrozumieli. Petunka posłała mu słaby, żaloszny uśmiech.

- Po trzydziestce byłam. Zasmarkana od płaczu, z nosem czerwonym, brudna, dzieciata... Nie, miśku. Miły jesteś, ale znam swą wartość. Nawet nie pomyślałam, by do księcia z taką łapówką... Wyśmiałyby mnie i jeszcze knechtom ku uciesze rzucił. Nie, nie zaproponowałam mu siebie w zamian za życie Cedrzyha. Obiecałam mu, że jeśli jego przy życiu ostawi, i ja żyć będę.

- He? Że niby... Chyba nie rozumiem - wyznał.

- Och, to proste. Skoro wiedział już o klątwie, łatwo było

wytłumaczyć, że beze mnie klątwa się nie utrzyma. Co prawda musiałam trochę nałgać. Że niby tylko w babskiej linii dziedziczenie idzie, że Vaclan bezpłodny, a Rovolik skłonności ma chłopofilskie i od dziewczek z krzykiem ucieka. Yeżyna z matką i chłopcami do lasu wysłałam, tom wiedziała, że Belniczanie nie dadzą rady sprawdzić, nawet gdyby czas znaleźli i fachowców odpowiednich.

- Zagroziłaś, że się zabijesz? - upewnił się Debren.

- Zagroziłam, że szlag od tego klątwę trafi, przez co] na Gwadryka pomsta gryfów spadnie, tudzież potomków Pretokara. No i tańszy szlak otworzy, wzdłuż którego to I szlaku niechybnie forty powstaną, co nijak się interesowi strategicznemu Belnicy nie przysłuży. Prawdę mówiąc plotłam, co mi ślina na język przyniosła, ale książe doradcy trochę się przestraszyli i namówili Gwadryka, by I darował Cedrzyhowi życie.

Teraz i ona wzięła przykład z Lendy, przenosząc zain-]teresowanie na słup. Siedziała jednak naprzeciwko i mimo opuszczonej głowy nie była w stanie ukryć nagłego rozbłysku pod rzęsami. Zwłaszcza że łzy niemal od razu przelały się przez ich zaporę, spłynęły po policzkach.

- Nie dotrzymał sukinsyn słowa - rzuciła przez zęby Lenda. Nie brzmiało to jak pytanie, a w jej głosie nie było wątpliwości, ale Debrena nie zaskoczył przeczący ruch złotowłosej głowy. Petunka była twarda. I miała jednaście lat, by się pozbierać. Skoro się nie pozbierała...

Poczuł nagle ochotę na łyk czegoś mocniejszego.

- Dotrzymał. - Petunka pociągnęła nosem, ale jak na i kogoś, komu po twarzy płyną łzy, mówiła nader opanowanym głosem. - To ja go... Dłonie mu obcięli, które na majestat podniósł. Oczy wyłupili, których chciał do mierzenia w majestat używać. Język wyrwali, bo obelżywą propozycję składał. Wykastrowali go, by następnych monarchobójców nie spłodził. W narkozie wszystko, przy udziale najlepszych

medyków, by go wstrząs nie zabił. Nawet wyroku mu nie odczytano, bo serce mogło prawdy nie wytrzymać. Piwo z narkotykiem dostał, niby do wieczery. - Lenda zgięła się w pół, skryła bladą jak płótno twarz w dłoniach. Zbrhl milczał, ponuro wpatrzony w czubki butów. - Za bardzo go miłowałam. Nie mogłam... Gdyby się przebudził, zrozumiał... Nie mogłam mu tego zrobić. I matce, jego żonie... Wiozłam go na sankach... bo nie powiem, dali mi i sanki prócz sakiewki z medykamentami... I cały czas myślałam, jak im to wszystkim powiem. Razem to planowaliśmy, nie wybiłam mu z głowy, a teraz... Ja nawet jednego zadrapania, a on...

- Nie znałem go. - Debren musiał włożyć sporo wysiłku w przemawianie normalnym, odrobinę tylko chrapliwym głosem. - Nie mogę za niego mówić. Więc ci jeno we własnym imieniu powiem, że chciałbym, by moje siostry coś takiego dla mnie zrobiły.

- Dziękuję. Ale nie musisz...

- Nie przeżyłby z takimi ranami. Prawie na pewno nie.

- Nie musisz mnie pocieszać. Ja... przemyślałam to. I wiem, że dobrze zrobiłam. Znałam go. Wiem. - Nabrała pełne płuca powietrza, wypuściła je powoli. - W naszym rodzie mało kto w łóżku umiera. Od dziecka wiedzieliśmy, że jedno drugie obmywać z krwi będzie, nim ciało do trumny złoży. I chyba nawet wiedzieliśmy, że to ja jego, choć młodszy był o czternaście lat. Alem nie myślała, że Przedtem przyjdzie mi kamienia w lesie szukać i... - Powiodła spojrzeniem po twarzach zebranych. - Nigdy nikomu tego nie powiedziałam, dopiero wam teraz. Rodzinie nakłamałam, że najpierw był ten cios w głowę i że już nad zwłokami się tak Belniczanie pastwili. W przypadku bratowej mogłam sobie chyba darować: wymknęła się Yeżynowi, jak ja na most biegła i ją po drodze jacyś maruderzy splugawili. Delikatna dziewczuszka była, nie to, co baby z rodu Petuneli, więc rozum jej się od tego pomieszał. Potem ciągle myć się biegła do łaźni, no i w

końcu ją Pisklak właśnie pod łaźnią dopadł i na skały zrzucił. Na rękach mi umarła. I znów się prawie cieszyć musiałam, że ktoś z bliskich na rękach mi umiera, bo taka pogruchotana była...

- Chorą niewiastę, spoza rodu - pokręcił głową Zbrhl.

- A ty mi mówisz: poniechaj go? Toż tego padalca powinno się kawałek po kawałku...

- Kawałek po kawałku to wolałabym sobie język odgryźć, niż wam to wszystko opowiadać. Bo wychodzi na i to, że m brudny siennik dla każdego sukinsyna, który tędy przejeżdża, kretynka i bratobójczym. Ale przyjaciółmi mi jesteście i muszę wam jasno wyłożyć, dlaczego odjechać musicie. I nigdy tu nie wracać.

- Bzdury opowiadasz - warknął. - Nie jesteś żaden...

- To bez znaczenia - przerwała mu łagodnie. - O morał z tej historii chodzi, o nic więcej. A morał jest taki, że z trzech prób usunięcia klątwy każda następna gorzej się kończyła. Najpierw jeden splugawił, potem dwa tuziny, I potem brata musiałam... Owszem, hartowało mnie to. Dźwigałam się jakoś i nawet coraz mniej mnie musieli bliscy pilnować, bym z cebrzykiem i sznurem do stajni się nie wykradała. Ale młodsza wtenczas byłam. Młody więcej zniesie, choćby dlatego, że głupi, naiwny, że ma w sobie tyle nadziei. Ja jej nie mam. W każdym razie nie tyle, I by się do zdejmowania klątwy siłowo zabierać.

- Więc co? - warknął Zbrhl. - Prześcieradło na komin? Rób z nami, co chcesz, gryfie, panie nasz, raby my twoje pokorne? Tak to chcesz rozwiązać? Pokornie czekać, I aż obesraniec przyleci, flaki z ciebie wypruje? Albo synów? Posprzątać, powiedzieć: „Cóż, taki nasz los”, i wypatrywać następnego lajdaka, który cię za kark chwyci i bękartem uszczęśliwi?

- Zbrhl! - Lenda poderwała się z ławy.

- Zbrhl... - rzucił ostrzegawczo Debren.

- Co: Zbrhl?! - Rotmistrz też nie wytrzymał na siedząco. - Z

prawdą żem się gdzieś minął?! Łajno i kał, ślepi jesteście?! Toż widać, co jej po tym pustym łbie chodzi! Serce ma sto razy bardziej złote od włosów i ofiarę z siebie czyni, by nas nie narażać! Myślisz, żem się na tym nie poznał, durna babo?! Ślepy nie jestem!

- Ale głuchy chyba - burknęła. - Toć mówię: przyjaciółmi mi jesteście i dlatego was na zbity pysk wyrzucam.

- Ładna mi przyjaźń! Zimą, rannych!

- Wy byście zginęli, a mnie się znów jakieś nieszczęście przytrafiło. Taki byłby koniec. - W przeciwieństwie do Zbrhła trzymała na wodzy i nerwy, i głos. - Dlatego stanowczo się domagam, byście opuścili mój dom.

- Jeszcze mnie żaden karczmarz z karczmy nie wywalił! O babie karczmarza nie mówiąc!

- Nie krzycz na nią - rzuciła przez zęby Lenda.

- Zawsze jest ten pierwszy raz - poinformowała rotmistrza nadal spokojna Petunka.

- Przestańcie - poprosił Debren.

- Debrrrren prrraw - poparł go Drop. - Rrrozumnie rrradźmy. Konstrrrruktywnie obrrrradujmy.

- Jeszcze mnie żaden drób rozumu nie uczył! Zamknij dziób, rosolaku!

- Na niego też nie krzycz - ostrzegła go Lenda. - Bo akurat on tu najbardziej kompetentny.

- Że jak? - Brwi rotmistrza powędrowały do góry.

- Ktoś tu jajami myśli - wyjaśniła mało życzliwym tonem. - I chyba właśnie ptaka potrzeba, by mu wyłożył, że nawet pośród drobiu jaj się do głosu nie dopuszcza, gdy o poważnych rzeczach mowa.

- A pośród ludzi smarku], co mleko pod nosem noszą! Debren, weź ją gdzieś na bok i zadek rzemieniem zlej, bo nie zdzierzę!

Debren westchnął. I w duchu, i na głos.

- Znam jedno zaklęcie... - zaczął z rezygnacją.

- Łajno tam zakłęcia! Paskiem w rzyć, i tyle!
- Głupi morvacki gbur!
- Jako gospodyni tej oberży stanowczo...!
- ...które struny głosowe paraliżuje.

Nagle zrobiło się cicho. Lenda nawet usdowił się na nim okrakiem w połowie drogi między ławą a stołkiem Petunki.

- Mało czasu zostało - oznajmił - a ja chciałbym się jeszcze przespać przed świtem. Cokolwiek postanowimy, lepiej być w formie.

- Prawda - poparła go nieoczekiwanie Lenda. - Zdecydujemy, co i jak, i do łóżek.

Zaskoczyła wszystkich, ale tylko Zbrhl dał temu wyraz.

- A cóż to cię tak nagle przypiliło?

- Ochoty nabrałam, by z Debrenem pod pierzynę skoczyć - posłała mu kpiący uśmiech. - Coś jeszcze chcesz wiedzieć, czy możemy o sprawach poważnych...?

- Nie ma o czym mówić - powiedziała Petunka tonem na pozór stanowczym, ale lekko podszytym brakiem pewności siebie. - Wyjeżdżacie i już.

- Mówić jest o czym - stwierdził Debren. - Byle krótko. Propozycja, uzasadnienie, głosowanie. Tak to widzę.

- Głosowanie? - prychnął Zbrhl. - Cóż to: demokrację chcesz przywracać?

- Demokracja opiera się na głosowaniu wszystkich - pouczył go magun. - Także skończonych jełopów, łajdaków i ignorantów. My tu mamy i rozum, i uczciwe intencje, i niezłe rozeznanie w sytuacji.

- I właścicielkę lokalu - przypomniała Petunka. - Której świętego prawa własności nijak się podważyć nie da.

Lenda, która wyraźnie się wahała, podjęła decyzję.

- Debren ma rację. I królów się obiera, gdy ród wygaśnie. Feudalizm się z zasadą głosowania nie kłóci, byle kompetentne osoby głosowały. - Powiodła lekko

wyzywającym spojrzeniem po twarzach. - Czy ktoś z zebranych uważa innego za osobę niekompetentną?

Zebrani musieli się zastanowić. Debren obstawiał powszechne milczenie, jednak pomylił się.

- Rasistą nie jestem - oświadczył Zbrhl - ale nawet za demokratów drób prawa głosu nie miał.

- Co masz przeciw Dropowi? - Lenda bardziej się zdziwiła, niż oburzyła. Może dlatego, że sam zainteresowany przytaknął spokojnym kiwnięciem głowy.

- Osobiście nic. Tyle że z niego babiarz, co samo w sobie kogutowi się chwali, lecz w danych okolicznościach jako uczestnika obrad dyskwalifikuje. Toż widać, że ślepiami za tobą jak wierny pies wodzi. A i Petunce nadskakuje. Poczytalność, znaczy, ma ograniczoną. Powiedz, żeś głodna, a rosół zaproponuje.

- Dobrrrowolnie rrezygnuję - uprzedził wszystkich, a raczej wszystkie, Drop.

- Brawo - pochwalił go Debren, któremu nawet bardziej niż Zbrhlowi nie uśmiechała się perspektywa obdarzania Lendy podwójnym prawem głosu.

- Jeśli takowe kryteria przyjąć - posłała mu złośliwy uśmiech Petunka - to i ty pewnie się wycofasz?

- Oraz Zbrhl - mruknęła Lenda, nie patrząc na nikogo. Debren, który patrzył, odnotował, że oprócz papugi wszyscy jakby pociemnieli.

- Dość żartów - rzucił chłodno. - Propozycję Petunki znamy. Wysłuchajmy innych, a potem głosujmy. Ktoś jest przeciw? - Oberżystka zaczęła unosić dłoń, ale rozmyśliła się i użyła jej do przetarcia czoła mężowi. - Nie? Znakomicie. Wobec tego, żeby niepotrzebnie nie przedłużać...

- ...ja coś zaproponuję - weszła mu w słowo Lenda.

- Nie to chciałem powiedzieć - rzucił jej surowe spojrzenie. - Miałem zamiar wyjaśnić, że problem najprawdopodobniej sprowadza się do mojej osoby. I że to ja...



- Że to ty powinieneś wyjechać? - Znow nie dała mu skończyć. - No to zgodni jesteśmy.

Zrobiła wrażenie. Na wszystkich. Debren, lekko oszołomiony, uzmysłowił sobie nagle, jak rzadko bywali zgodni w jakiegokolwiek ważnej kwestii. Oraz w nieważnych.

- Znaczy... - zaczął Zbrhl. - Chcesz powiedzieć...?

- Że Debren ma rację. Te kmiotki z Zamostków wyraźnie jego chciały uśmiercić. Gryf zaatakował na moście, bo go Debren różdżką opukiwał. To na Debrena się rzucił, gdy tylko ten na podwórze nos wychylił. Myśmy z Petunka, choć niewiasty bezbronne, spokojnie do łaźni i z łaźni chadzały... i nic. Jak się na ratunek Debrenowi rzuciliśmy, wszyscy w praktyce, to czy kogoś Pisklak ubić próbował? Nie, Debrena jeno. Gdy po konia szliście, sama na podwórzu byłam...

- Krrromie... - zaczął Drop. Rzuciła mu szybkie i dość złowrogie spojrzenie.

- Zaniknij dziób! Sama, powiadam, spośród ludzi i wrogów gryfa, bo osób o niejasnym statusie liczyć nie należy. I też mnie Pisklak nie napadł. Po waszej stronie do srogiej rąbaniny doszło, w której się do końca szale wahały, a ten nic, z boku stał i się gapił jeno. Dlaczego? - Nie pozwoliła nikomu odpowiedzieć. - Bo się tylko czarodzieja i rzucanych przez niego czarów boi. Wyłącznie one zagrożenie dla klątwy stanowią. I jak oczywiste się stanie, że żadnego rzucania nie będzie, gryf z pewnością...

- A właśnie - przypomniał sobie Debren. - Skoro o rzucaniu mowa... Kiedy Yeżyna do siebie wołałaś, chyba coś o rzucaniu słyszałem. Że niby ty rzucisz, jak się gryf nie wyniesie. Pomijając przekleństwa, tak to z grubsza brzmiało. Mogłabyś wyjaśnić...?

- To proste - wzruszyła ramionami. - Palisadę zapaliłeś, więc złapałam jakąś płonąca szczapę i udawałam, że się na oberżę zamachuję.

- Moją oberżę? - zmarszczyła brwi Petunka.

- Nie, tę w Rumperce... A którą niby? - Lenda jeszcze raz wzruszyła ramionami. - Toż nie naprawdę. Ołgałam go. Taki podstęp, rozumiecie. A po prawdzie tom i hipotezę Debrena zweryfikowała w praktyce. I wyszło na to, że Debren ma rację: sami widzieliście, że rura kocurowi zmiękła. Boi się o ten budynek.

- Już przedtem z boku stał - mruknął nie całkiem przekonany, ale też nie mający argumentów czarodziej.

- A ty byś na jego miejscu nie stał? - zaatakowała, czując słabość przeciwnika. - Po owym pokazie z rozwalaniem drzwi? Miał cię w dziób łapać i ryzykować, że go jak owe drzwi potraktujesz? Nie zapominaj, że on ma misję do spełnienia. Nie w tym rzecz, by w bijatykę się wdać i chlubnie polec. Jest tu po to, by oberża stała, cała i niespalona. A w oberży cała i zdrowa następczyni Petuneli rzewnymi łzami swój los opłakiwała, pokutę czyniąc.

- Fakt - poparła ją gospodyni. - Was Pisklak ma, za przeproszeniem, w rzyci. Więc wyjedźcie, póki grzecznie prosi. Bo jak po lewatywę sięgnie...

- Nie słuchasz, siostró - upomniała ją Lenda. - Rzyć pisklaka nie ja zaczopowałam, nie Zbrhl czy Henza, a ten tutaj czarokrążca - uśmiechnęła się krzywo, wskazując Debrena. Trochę wstrząśniętego, bo i słowa, i wyraz twarzy, i gest miały w sobie coś jawnie obraźliwego. - Dlatego stawiam pod głosowanie następującą propozycję: żeby Debren wziął zdrowego konia i wyniósł się stąd równo ze świtem. Sam - dokończyła.

Na komentarze przyszło czekać dość długo. Trochę z winy maguna, który uparcie oglądał buty, unikając krzyżowania spojrzeń. Spojrzenia Lendy nie musiał unikać: harde i mroczne, zderzało się wprawdzie z innymi, ale jakoś nie zawędrowało w jego okolice.

- On ma jechać, my zostać? - upewnił się Zbrhl. - To jest twój plan?

- To jest dobry plan - poprawiła go.

- A jak go Pisklak napadnie? - zapytała cicho Petunka.

- Nie napadnie.

O dziwo, zapewnienie Lendy zabrzmiało wiarygodnie. Nikt się nie uśmiechnął, nawet pod nosem, nikt nie skomentował złośliwie, nie zadał pytania.

Debren uniósł głowę, zerknął przelotnie na dziewczynę. Na jej nijaką minę, bliźniaczo podobną do jego miny.

- Proponuję to po prostu przegłosować - powiedział spokojnie. - Kto jest za?

Lenda zawahała się, po czym uniosła dłoń. Jako jedyna. Wyglądało, że trochę ją to zdziwiło, ale dość szybko na poblądłe usta wpełzł nieładny uśmiezek.

- Na tchórza byś wyszedł, głosując przeciw. - Nawet teraz patrzyła bardziej na siedzącą w tle Petunkę niż na czarodzieja. - Oni się wstrzymają, więc mój głos starczy.

Debren skinął głową, pomyślał chwilę - i podniósł rękę. Odniósł wrażenie, że zaciśnięte usta dziewczyny zrobiły się jeszcze cieńsze.

- Kto przeciw? - zapytał spokojnie.

Ręka Zbrhla bez wahania powędrowała do góry.

- W kupie siła - powiedział trochę za szybko rotmistrz. Debren pomyślał, że chyba nie on jeden doszukał się czegoś dziwnego w zachowaniu Lendy.

- Jakby co, sam sobie nie poradzi - powiedziała Petunka. I też uniosła dłoń.

- Wniosek nie przeszedł - oznajmił Debren. Zadbał, by nie okazywać emocji. - Są inne?

Ręka Lendy ponownie powędrowała w górę.

- Wnioskuje, by ewakuować niewiasty i niezdolnych do walki - oznajmiła. Z jej twarzy, podobnie jak z oblicza Debrena, trudno byłoby cokolwiek wyczytać.

- A konkretnie? - upomniał się Zbrhl.

- Baby od chłopca nie odróżnicie, panie rotmistrzu?

- O niezdolnych pytam. Bo coś mi się widzi, że i mnie miałaś na myśli. Ale niedoczekanie twoje, jeśli myślisz...

- To ci się źle widzi - przerwała mu. - Ja pojedę, Petunka i Henza. Ty zostaniesz z Debrenem. Taka jest moja propozycja. A jej uzasadnienie jak w poprzedniej: że gryf tych jeno napadnie, którzy mu realnie zagrażają.

- Uzasadnienie to samo, a plan o szesnaście rumbów odwrócony? - Debren uniósł pytająco, lecz i lekko ironicznie, jedną brew. - Ciekawe.

- Elastyczna jestem - mruknęła. Potem poświęciła dwa długie spojrzenia Petunce i Zbrhlowi. - Z nim nie rozmawiam, bo widzę, że z założenia kłody pod nogi mi rzuca. Ale wy powinniście zrozumieć, że to dobry plan. Ja ledwo chodzę, kulą u nogi bym w bitwie była, a Petunka ze swoją miotłą też wiele nie zwojuje. W razie zaś klęski, jako niewiasty, losu gorszego od śmierci możemy zaznać.

- Gryfy na kozy nie lecą - odgryzł się rotmistrz.

- Ale zamostecka czerń już może - sparowała. - A że sołtysa zabrakło, to z rozpędu i Petunkę mogą...

Nie musiała kończyć: po Zbrhlu było widać, że zrozumiał. I że się przejął. Lenda dała mu jeszcze trochę czasu, ze skrywaną satysfakcją obserwując, jak mrocznieje skryta pod bujnym zarostem twarz. Odezwała się dopiero, gdy wyraz zagubienia w oczach rotmistrza zastąpiony został chłodnym błyskiem ostatecznej decyzji.

- Przegłosujmy. Na tchórza byś wyszedł - uprzedziła Debrena - głosując przeciw. Kto jest za?

Podniosły się dwie ręce: jej i Debrena. Podniosły się szybko, więc jeszcze przez chwilę po ustach dziewczyny błądziły zaczątki triumfalnego uśmiechu. Nie miał być radosny, ale zwyczajnie - raczej tak. Nie pozwolono mu się narodzić.

- Kto przeciw? - zapytał Zbrhl i uniósł wielkie jak bochen łapsko. Petunka poszła za jego przykładem. - No to mamy dwa do dwóch. Łajno, znaczy się.

Chyba to podsumowanie wyrwało Lendę z lekkiego osłupienia.

- Rozum wam podejmowało?! - zasapała. - Zdecydujcie się na coś, do cholery! Chcesz przysięg dotrzymywać i się tu z Pisklakiem bić? Proszę bardzo! Chcesz Petunkę chronić?! Właśnie ci daję szansę! Oboje się o dzieci martwicie, o los rodzin? To czemu przeciw mnie głosujecie? Kto się dziećmi zajmie, jak wszyscy tu poginiemy? A tak - dodała ciszej - to my z Petunką...

Zbrhl popatrzył z nadzieją na oberżystkę.

- Naprawdę byś...? Dziewuszki grzeczne, pracowite... Jak do kupy je zebrać, to i z kuszy szyć potrafią, i igłą. A najstarsza to takie knedle robi, że ślina sama...

Petunka nie odpowiedziała. Po prostu kiwnęła głową, wpatrzona w brodate oblicze szeroko rozwartymi oczami. Zdaniem Debrena, ciut jakby cielęcymi w wyrazie. Lenda, nieco rozpogodzona, posłała magunowi ostrzegawcze spojrzenie.

- To jeszcze raz - zadysponowała. - Kto za? Unieśli ręce równocześnie z magunem. Zmarszczyła brwi, jednak jeszcze nie zamierzała godzić się z porażką.

- Kto się wstrzymał? - spróbowała inaczej. Żadna dłoń nie powędrowała do góry. - Siostro, do ciebie mówię. Nie gap się na tego kretyna, bo się od niego wyrazem twarzy zarazasz. Na mnie patrz. I słuchaj, co mówię. Mówię, że rękę masz podnieść. Bo matka jesteś.

Petunka usłuchała - w części dotyczącej patrzenia. Ręki jednak nie podniosła.

- Mam przyjaciół zostawić? - zapytała cicho. - By za mnie walczyli i ginęli?

Nikt nie próbował odpowiadać. Sprawa była oczywista i Debren dla czystej formalności zapytał, kto jest przeciw. Przeciw, jak poprzednio, byli Zbrhl i Petunka.

- To może ja - przełamał krótką ciszę rotmistrz. -

Wnioskuje, byśmy nad głupotami nie debatowali, jeno się do walki przygotowali. Inaczej mówiąc: jestem za tym, by się w gromadzie trzymać. W kupie siła, co wam pierwszy lepszy podręcznik taktyki powie. Głosujmy - zakończył, od razu podnosząc rękę.

Debren, po krótkim wahaniu, wziął z niego przykład.

- Kto przeciw? - warknęła Lenda i równie szybko jak rotmistrz wyciągnęła ramię ku powale.

- Ja. - Oczywiście Petunki znów miały naturalny dla siebie rozmiar, a ciełość ustąpiła chłodnej desperacji. - Ja jestem przeciw. W ramach ogólnego bycia przeciw waszemu tutaj pozostawaniu i mieszaniu się w nie swoje sprawy.

- Nie głosujemy ogólnie, tylko nad konkretnym projektem - podkreśliła Lenda. - Który właśnie upadł, bo głos się liczy, a nie motywacja.

Debren patrzył w ogień, zastanawiał się. Też miał propozycję, nie był jednak pewien, czy sytuacja dojrzała do jej składania. I czy on sam dojrzał.

Petunka nie miała takich problemów.

- Sami widzicie - wzruszyła ramionami. - To ja mam rację. Więc użyjcie do myślenia głowy, nie inszych krągłości, i zagłosujcie na jedyną sensowną propozycję. Moją, znaczy. Kto jest za tym, by nieszczęścia nie pogłębiać i by goście wyjechali?

Podniosła rękę. Zdecydowanie, niemal gniewnie. Zupełnie nie tak, jak Debren. Ale i Debren podniósł.

Po raz pierwszy od dawna napotkał wzrok Lendy. Otwarcie zdumiony, kaleczący jak otwarta brzytwa.

- Chcesz... samą ją zostawić? - zapytała z niedowierzaniem. Nie odpowiedział. A potem wytrzymał napór jej pociemniałych oczu, choć łatwo mu to nie przyszło i musiał posiłkować się wspomnieniami innej Lendy z całkiem innymi oczami.

- Kto przeciw? - rzucił sucho i cicho zarazem.

Jeszcze przez chwilę nie podnosili rąk. Jakby nie wierząc, że muszą, że zażądano tego od nich. W końcu jednak obie powędrowały w górę. Zbrhła, jakby zakłopotana, nieco niżej. Ale i ona jednoznacznie.

Jakiś czas było cicho.

- Też mam wniosek do przegłosowania - mruknął Debren. - Może wam się dziwny wyda, ale zapewniam, że głową go układałem, nie innymi krągłościami.

- Z braku takowych?

Lendy niemal nie było słyhać. Ale w powszechnej ciszy wszyscy ją zrozumieli. Jeden Debren nie popatrzył w jej stronę.

- Wnioskuje - powiedział spokojnie - by Zbrhl tu został i oberży pilnował.

Chyba oczekiwali czegoś równie niezwykłego. Mimo to zaskoczył całą czwórkę. Nawet Drop zmełł w dziobie soczystego kurrdebalansa.

Lenda była mniej wstrzemięźliwa.

- Zdumiałeś?! Samego zostawić?! On ci życie ratował, a ty chcesz...?!

- Bez emocji - przerwał jej stosownym, opanowanym tonem. - Po prostu głosujemy. Chyba że ktoś chce uzasadnienia wysłuchać.

Lenda natychmiast otworzyła usta. I na tym poprzestała, wyraźnie tknięta nagle zrodzoną myślą. Petunka swoje zacisnęła. Zbrhl, choć nie od razu, ułożył w uśmiezek, podszyty zrozumieniem i chytrnością.

Po czym, jako pierwszy i ewidentnie zdecydowany, poderwał rękę. Lenda posłała mu mroczne spojrzenie.

- A ja - rzuciła przez zęby - wnoszę wniosek o wykluczenie Zbrhla z głosowania. O swojej indywidualnej sprawie miałby decydować. Co się kłóci...

- Z zasadami demokracji? - podsunął złośliwie. - Żeś jest z plebsu i ambitna, wiedziałem, ale że ci aż od tego łeb

zdemokraciał i na niebiesko myślisz...

- Sześciokrotnie ranny jesteś - nie dawała za wygraną. - W tym w głowę. I upływ krwi też poczytalności nie służy. I... i to do ciebie najczęściej strzelali.

- Dlatego miałyby się z nami przez puszcę przedzierać? - uprzedziła Zbrhła Petunka. Błada, posepna, ale wyraźnie zdecydowana. - Tu przynajmniej ściany go c'bxonią. Szkoda czasu na dyskusje. Głosujemy. Ja... jestem za.

Podniosła rękę. Debren, jako ostatni, też podniósł swoją. Lenda, mocno wstrząśnięta, mrugała powiekami, wodząc po twarzach coraz wilgotniejszym spojrzeniem.

- Poszaleliście wszyscy - wykrztusiła. - To przez ten poroniony, demokratyczny wynalazek głosowania w kupie. Może i plebejuszka jestem, ale wiem chociaż, że nic tak ludzi nie ogłupia, jak łączenie się w tłum.

Potrząsnęła głową, jakby próbując obudzić się ze złego snu. I, o dziwo, wyraźnie jej to pomogło. W pełnych zagubienia oczach błysnęło nagle chłodną stałą. Debrenowi nie spodobał się ten błysk, jednak niewiele mógł zdziałać.

- Głupio czy mądrze, aleśmy zdecydowali - oznajmił wyraźnie zadowolony Zbrhl.

- Poczekaj - mruknęła dziewczyna. - Skoro tak... to jeszcze nie skończyła.

- A co, masz pomysł czterokrotne tak rokujący? Zignorowała go. Mrużąc oczy, popatrzyła na Petunkę.

- Tego tępaka nie przekonam - powiedziała. - Ale ty możesz głos cofnąć. I chyba powinnaś.

Pomijając Debrena, nikt raczej nie domyślał się, co trzyma w zanadrzu.

- Dlaczego? - zapytała spokojnie oberżystka. Lenda zawahała się, zerknęła na czarodzieja.

- Choćby dlatego, że w zasadę trzech razy zdajesz się wierzyć. Właśnie nam opowiedziałaś, jak po trzykroć klątwę zdejmować próbowano, i jak się to po trzykroć kończyło. -



Petunka nie skomentowała. - Pojedyncze osobliwe zdarzenie nic nie znaczy. Dwa to przypadek. Ale trzy...

- Co próbujesz powiedzieć?

- Że Zbrhl nie powinien stawać w obronie... - Lenda zawahała się - w obronie oberży. Bo zginie. Jak trzech jego przodków.

Debren poczuł na sobie cztery pytające spojrzenia. Nie odwzajemnił żadnego.

- Bzdura. - Zbrhl mówił cicho, z wielką ochotą bycia przekonującym. Także dla siebie. - Żadne trzy razy. Tatkowi brudna pielucha zaszkodziła, i tyle. Jak się wiecznie opaskudzaną szmatę na świeże rany pcha, to nic dziwnego... Nijakie przeznaczenie nic tu nie pomoże ani nie zaszkodzi. A tak w ogóle to nie wiem, o czym mówisz.

- Chyba wiesz, skoro na pieluchę zjechałeś.

- Bom akurat o smarkaterii myślał - burknął. - O tobie konkretnie. To mi się i pielucha skojarzyła.

Popatrzyła na niego spokojnie.

- Wybacz - wzruszyła lekko ramionami. - Nic nie poradzę, że w ludziach takie skojarzenia budzę.

Zbrhl na szczęście nie zrozumiał, co miała na myśli. Debren, choć sporadycznie pełnił rolę jej medyka, też nie miał pewności. Powyżej kolana nie pozwalała się leczyć.

- Chyba wiem, co Lenda próbuje powiedzieć. - Posłał dziewczynie twarde spojrzenie, ostrzegające przed ponawianiem próby. - I, po namyśle, zgadzam się z nią. Zbrhl nie powinien zostawać tu sam i ryzykować starcia.

- Więc cofasz swoje za? - Natychmiast skorzystała z okazji.

- Zaraz, zaraz... - poruszył się niespokojnie rotmistrz. - Jak zaczęliście, to może łaskawie dokończycie? Nie dam się z planów wymazywać jakąś obesraną pieluchą! Wyjaśnień oczekuję!

Debren zerknął na dziewczynę. Znalazł to, czego należało się spodziewać: jasne ostrzeżenie, że wprawdzie daje mu czas,

ale tylko na załatwienie sprawy po jej myśli.

- Nie wiem - zwrócił się do Zbrhla - czy w pielusze było coś paskudnego. Może. Ale to nieważne. Myślę, że twego ojca zabił herb.

- Przeznaczenie? - ni to zapytała, ni to stwierdziła wyraźnie bledsza Petunka.

- Trzy wielkie, kosztowne śnieżyce - ciągnął Debren, bardziej myśląc na głos, niż tłumacząc. - Raz wojna, najważniejsza dla Gwadryka, bo na tronie go sadzająca. Raz nie wiemy co, ale kogoś ważnego kordoniarze szukali. I raz pościg za akuszerką, co srebrną misę skradła i parę pieluch. Nagroda, skoro w samej tylko „Cnotce” gromada łowców całe tygodnie na uciekinierkę czekała, też musiała być znaczna. Ale to oczywiście nic w porównaniu z ceną wielkiej sztucznej śnieżycy. Czytałem w „Róźdzce”, że za pokrycie wysokim śniegiem łana ziem dać trzeba równowartość połowy zboża, co na owym łanie wyrośnie. Wyniki trochę starawe były, bo najnowsze zawsze wojsko utajnia, no i Sovro dotyczyły, gdzie za demokracji rolnictwo podupadło, ale to chyba rangę problemu oddaje. Dla takiego księstwka jak Belnica wydatek musiał być wielki. I Czyli mało prawdopodobne, by dla najładniejszej choćby I misy śnieżycę za Sierosławą słano. I to w 1 roku, gdy I demokraci rządzą.

- To akurat marny argument - zauważył Zbrhl. - **Cudze** srebro łatwo na głupoty przepuszczać.

- Nie przesadzajmy. Gospodarka demokratyczna za księżycową wprawdzie uchodzi, jednak, było nie było, siedemdziesiąt lat się trzymała w niemalej części świata. Ale nie w tym rzecz. Wierzyć mi się po prostu nie chce, by takich środków użyto po kradzieży w książęcym zamku. - I Popatrył na Lendę. - Nie pamiętasz tego, ale może rodzice mówili... Muzeum tam było czy może ktoś z książęcego rodu dalej mieszkał?

- To nie Sovro - uśmiechnęła się blado. - Nacjonaliza-1 cję

zamków i fortalicji za Ammy Połowczanki co prawda przeprowadzono, lecz potem ją demuchy po cichu odwołały, bo się nieremontowane mury sypać zaczynały. Owszem, muzeum w zamku zrobili, krzywdzie chłopów pańszczyźnianych dedykowane, ale w jednym skrzydle jeno. Resztę, jak dawniej, dwór zamieszkiwał. Nieformalny i nieliczny, tolerowany jednak.

- Co innego nie prześladować arystokratów, a co innego majątek wydawać dla ratowania ich pieluch. - Debren przeniósł wzrok na Zbrhła. - Dowodów nie mam, ale wiele wskazuje na to, że nie o pieluchę chodziło tym, co Sierosławę ścigali. I nie o Sierosławę.

Rotmistrz wolno kręcił głową, jak ktoś, kto próbuje nie godzić się z oczywistą prawdą.

- Nie może to być... Nie wierzę, by te skorumpowane,<sup>8</sup> niebieskie łajdaki majątek wydały dla jakiegoś...

- Następcy tronu? - dopowiedziała Lenda. - Już ci mówiłam: Belnica to nie Sovro. Gwadryka nikt nie ściał; do armii nie jako prosty tarczownik trafił, a jako oficer, zaś z internowania w klasztorze już wyszedł. W następnym roku ożenił się. Na weselu, choć nieoficjalnie, paru ministrów z nim chlało. W grudniu, tuż przed tą czarodziejską śnieżycą, żona syna mu powiła. Po chrzcinach znów paru członków rządu przepilca leczyło, ale nie to ważne, a fakt, że kroniki szeroko się rozpisywały o tym, iż Gwadryk jedynemu potomkowi dał na imię Vyborzyn na cześć demokracji i jak dobrze przyszłości wróży takowa pomyślna koegzystencja sił dawnego i nowego ładu. W drugim obiegu ulotka krążyła o przepowiedni samej Damstruny, która ponoć wielką przyszłość dziecku wywróżyła. Nie z imienia wprawdzie, ale w całym rodzie jedna niewiasta z wielkim brzuchem chodziła: małżonka księcia. Jeden Vyborzyn miał się do młodego pokolenia zaliczać. I nadal on jeden się zalicza, bo Gwadryk więcej dzieci nie miał, a z kuzynów też żaden, nigdy. Toteż nie dziwota, że się co

bardziej przezorni woleli zabezpieczyć i latorośl na oku mieć. Gówniarza, pod bokiem rosnącego, łatwo łakociami i cackami pozyskać. A wypuść takiego za granicę, pozwól, by na Wschodzie, między arystokracją feudalnymi ideami nasiąkał... i masz jak w kantorze mściciela-wyzwolicieła. Więc choć dowodów nie mam, tak jak Debren uważam, że Sierosława małego Wyborzyna wtenczas wykradła.

Zbrhl szukał przez chwilę argumentów. I znalazł je.

- Niegłupio brzmi - przyznał. - O jednym wszelako zapomnieliście. Gówniarz był męskiej płci. Co do reguły trzech razów nie pasuje. Dorma, Amma... baby pełną gębą, urodziwe, ze swej kobiecości aż słynne. A to co? Jakiś lejący pod się chłopczyna.

Debren zmarszczył czoło, zaintrygowany takim ujęciem sprawy. Nie zdążył jednak przemyśleć kwestii.

- Ty też o jednym zapomniałeś - uprzedziła go Lenda. Że zasada GZM bez pudła zadziałała. I że teorię o zgubnym wpływie służenia Zbrhlów u bab i tylko bab ty sam Po amatorsku stworzyłeś. Po amatorsku - powtórzyła twardo, widząc, że otwiera usta. - Bo nieracjonalna jest. Żaden profesjonalista nie wyciągnie wniosku na podstawie dwóch przypadków. Gdy zdarzą się trzy, to tak, ale &ie wtedy, gdy dwa. Zapytaj Debrena.

Debren zawahał się. W końcu pokiwał głową, ale i to nie wypadło przekonująco. Dziewczyna posłała mu wyjątkowo mroczne spojrzenie.

- Na klątwach i pechach się nie wyznaję - przyznał nie bardzo zmartwiony Zbrhl. - Ale swój rozum mam. A ten mi podpowiada, że czas bez pożytku marnujemy. Bo nikt tu nijakiej księżniczki bronić nie zamierza. Zostanę i oberży popilnuję, to wszystko.

- Toż jak dziecku tłumaczę - warknęła. - Nie samych jeno niewiast rzecz dotyczy. I nie księżęcości belnickiej. W każdym razie... no, tej dosłownej.

- Jak tak jasno dzieciom tłumaczysz - wyszczerzył zęby - to się na bakałarkę nie najmuj.

Wbrew przewidywaniom Debrena, Lenda nie próbowała się odcinać. Wybrała łagodną perswazję.

- Dorma, choć całe życie na intrygach jej zeszło i nogami aż do tronu przebierała, nigdy na nim nie zasiadła. Nawet jako żona księcia. Amma do śmierci obywatelką jeno była, choć z przerwą. Niemowlę Sierosławy... - zawahała się - Wyborzyn, jak ustaliliśmy metodą dedukcji...<sup>TM</sup> no, też w danym momencie tytułu formalnie nie nosił. Nawiasem mówiąc, po dziś dzień nie on, a ojciec panuje, oficjalnie przynajmniej. Jest w Belnicy tradycja, że ojciec dziecku tron za wnuka oddaje, a u Wyborzyna z płodnością też nietęgo. No, ale nie o tym... Szczególnie bogate też żadne z wymienionych nie było, gdy ich Kusy, Zbrhl dziadek i Zbrhl ojciec bronili. Niekiedy mniej mieli, niż wartość księgową „Cnotki” wynosi. W łachmanach i pieszo chadzali. Czyli ani w tytule i funkcji rzecz, ani w majątku. Liczy się krew. Krew Bezimiennego i władców Belnicy.

- Obiecuję solennie - Zbrhl uniósł dwa palce - nijakiego pieszego łachmaniarza nie bronić, którego by tędy podczas waszej nieobecności przechodził. Jeszcze w rzyć go mogę kopnąć, jak to Lendę uspokoi.

- Kretyn - stwierdziła krótko. I popatrzyła Petunce I prosto w oczy. - Szkoda czasu na niego. Do ciebie mówię. Cofnij głos. On nie powinien tu zostawać.

- Dlaczego?

- Bo o schedę zawsze szło. Bardziej interesu niż życia klienta Zbrhle bronili. A „Cnotkę” po tobie dziedziczy Vaclan. Który po ojcu dziedziczy krew książąt na Belnicy. Dlatego. Dostrzegasz chyba analogię.

Petunka zrobiła się bledsza. Zbrhl poczerwieniał pod zarostem. Drop rozdziawił dziób. Debren powtórzył sobie w duchu po raz kolejny, że Lenda jest kobietą i lepiej od niego

potrafi wybrać to, co z kobiecego punktu widzenia uznane zostanie za trochę mniejsze zło. I że on, choć tylko mężczyzna, z definicji głupi i bezradny w tych kwestiach, też by to rozegrał w ten sposób.

Teraz, gdy klamka zapadła, niemal w to uwierzył.

- Coś powiedziała? - W głosie Petunki zabrzmiała pogroźka.

- To, co już dawno powinnam. Nim po konia poleźliśmy. - Lenda zerknęła za jej plecy, na Yeżyna, i szybko odwróciła wzrok. - Głupia byłam. Ale drugi raz nie...

- Który to? - przerwała jej oberżystka. Podniosła się powoli, jak skazaniec przed odczytaniem wyroku. - Mów.

Debren sklął się w duchu od kretynów. W ogóle nie wziął pod uwagę tej możliwości. Czterech podejrzanych, w tym tylko jeden żywy. Można było i wilka, i owcę...

Tyle że było za późno. Mógł wejść w słowo Lendzie, to akurat nie stanowiło problemu. Była kobietą i pewnie umiała wybrać zło, które mniej pokaleczy inną kobietę, lecz nie zmieniało to faktu, że prawda ją bolała.

- Gwadryk. To Gwadryk cię wtedy...

Petunka usiadła. Tak się złożyło, że na zydel, bo akurat stał we właściwym miejscu. Ale tylko dlatego.

Przez chwilę nikt się nie poruszył. Potem Zbrhl, po raz pierwszy w tempie stosownym dla sześciokrotnie ranionego, dźwignął się z ławy.

- Srać na to - powiedział stłumionym głosem. - Nie zostawię cię, Petunko. Choćby i wszyscy czterej wtedy Vaclana spłodzili. Srać na nich.

Potrzebowała jeszcze trochę czasu, by odzyskać zdolność mówienia. Za to kiedy się odezwała, słowom towarzyszył słaby, lecz widoczny uśmiech.

- To porządna oberża, miśku. Tu się na nikogo nie sra. Choćby Belniczaninem był i koronę nosił. - Najwyraźniej fcie zrozumiał, więc dodała po chwili: - Cofam swój głos.

W twarzy Lendy nie dało się wyczytać ani odrobiny

satysfakcji. Siedziała ze zwieszoną głową, gryzła wargę.

Zbrhl zastanawiał się, marszcząc czoło.

- W takim razie - westchnął Debren - składam propozycję odwrotną do poprzedniej. My zostajemy, Zbrhl wyjeżdża. Nie wiem, co z Henzą począć, ale to mniej...

- Oszalałeś? - przerwała mu Petunka.

- Do rzyci taka propozycja - skomentowała, choć z dużo mniejszym przekonaniem, Lenda.

- I przedwcześnie - mruknął Zbrhl. - Z poprzednią nie skończyliśmy. Skoro Petunka mogła swoje „za” odwołać, to teraz może odwołać odwołanie.

- Może może - zgodziła się złotowłosa. - Tyle że nie zamierza.

- Baby ze zmienności słyną - zaskoczył wszystkich, uśmiechając się krzywo. Wykonał głęboki wdech, wypełniając, płuca chłodnym powietrzem, snującym się po izbie dymem... i odwagą. Bo do tego, co potem powiedział, odwaga była niewątpliwie potrzebna. - Zwłaszcza tak cudne jak ty. Co jednym spojrzeniem chłopu serce łamią. Od których oczu oderwać nie sposób. I których nijak się nie da zostawić. Żadną miarą. Nigdy.

Debren zauważył, że poczerwieniały obie, choć, naturalnie, Petunka dwa razy bardziej. Drop zagwizdał. Moc wyznania i nim wstrząsnęła. Bo to było wyznanie. Tylko jego adresatka zgłupiała na tyle, by tego nie zrozumieć.

- Znaczący... mówisz, że zdanie za łatwo zmieniam? - upewniła się.

- Nie o to mu szło - powiedziała cicho Lenda.

- Prawda... czasem bez namysłu coś palnę. Debrenowi przemknęła przez głowę ponura myśl, że być może tak właśnie wygląda reguła. Że od niewieścich umysłów podobne, do bólu jednoznaczne deklaracje po prostu się odbijają jak cywilne groty od porządnej brygantyny. Nie miał wielkich doświadczeń w tej kwestii; był jedynie amatorem, mogącym

co najwyżej wyciągać nieracjonalne wnioski z dwóch o niczym nie przesądzających obserwacji. Co prawda rzecz dotyczyła mało typowych kobiet, ale nie potrafił się tym pocieszać. Nie obchodziły go reakcje typowych. Wiedza o tajnikach niewieściej psychiki była mu potrzebna tylko o tyle, o ile dało się ją zastosować w odniesieniu do Lendy Branggo.

- Ale skoro Debren mówi, byś wyjechał... to znaczy został... nie, dobrze mówię: za wyjeżdżaniem mamy głosować... Tak? - popatrzyła na Debrena zagubionym spojrzeniem oszołomionej nastolatki. - Nie poplątałam?

- Siostró... - Lenda też nie wyglądała szczególnie mądrze i tylko na tle tamtej sprawiała wrażenie tak rzeczowej i opanowanej. - On nie całkiem to...

- Cholerrra. - Drop kręcił z niedowierzaniem głową, to składając, to prostując zdołując go czub. - Okrrrutnie rrrromantyczne. Krrromie srrrania w prrrrologu.

- A poza tym słowo dałem - dopowiedział szybko Zbrhl, któremu wyraźnie kończyła się odwaga. - Więc i tak wyjechać nie mogę. I o tym pogadać powinniśmy, a nie o jakowychś głupotach. Co to żem miał...? A, wiem. - Poczawszy pod stopami pewniejszy grunt, usiadł z powrotem na ławie. - Wymyśliłem, jak się od reguły GZM ubezpieczyć. Nie wierzę, by męska linia owego przekłę... to znaczy... owego rodu... no, by też pecha nam przynosiła. Bo był jeden Zbrhl, co u Hanka III służył i nie tylko żywy wrócił, ale i z trzosem ciężkim. Więc mnie ten przypadek z Wyborzynem nie przekonał. Ale dla świętego spokoju możemy się zabezpieczyć.

- Jak? - Petunka, choć właśnie teraz mgielka oszołomienia w jej oczach skropiła się i rozmyła ich błękit, nagle z jękającej się smarkuli na powrót stała się dojrzałą, rzeczową kobietą. Tyle że ładniejszą.

- Wydziedziczysz Vaclana.

- Co? - Gospodyni dość szybko zorientowała się, że coś jest nie tak. - O co chodzi, Lenda?



Dziewczyna miała już jednak dość. Spojrzenie, posłane Debrenowi, nie tyle pytało o zgodę czy poradę, a otwarcie żądało, by tym razem on wziął ciężar na siebie.

Cudownie. Wielkie dzięki, Lenda.

- Debren? - Petunka równie łatwo odczytała ich niemy dialog. - Masz mi coś do powiedzenia?

W gruncie rzeczy wiedział, że do tego dojdzie. Łudził się oczywiście, ale prawdziwej wiary, iż zdołają się dogadać i cała trójka bez zadawania pytań przystanie na jego propozycję, nigdy w nim nie było. Zdążył więc przygotować się na tę chwilę.

No i było coś jeszcze.

- Nie chciałem tego mówić - posłał jej blady uśmiech. - Nie teraz. Zbyt wiele może nam się jeszcze dziś przydarzyć. Ale skoro tak beznadziejnie utknęliśmy... To nie moja sprawa, widzę jednak, że Zbrhl... no, całkiem obojętny ci nie jest. Nie darowałabyś mi potem, gdybym rzecz przemilczał, a jemu coś się stało.

- Nic mi się nie stanie - zapewnił rotmistrz. Nikt nie zwrócił na niego uwagi.

- Nie kręć - upomniała maguna Lenda. - Po prostu jej powiedz. Bo tylko biedaczkę straszysz.

- Mnie trudno nastraszyć - mruknęła Petunka. Debren w duchu przyznał rację im obu.

- Najpierw to gorsze - westchnął. - Nie mamy z Lendą pewności, ale wiele, nawet bardzo wiele wskazuje na to, że w kwietniu 7 twojej matce przytrafiło się... no, to samo, co tobie wśród jagodzin.

Zbrhl rzucił mu ostrzegawcze spojrzenie. Petunce nie drgnął ani jeden mięsień w twarzy.

- Chyba dałam wam to do zrozumienia - powiedziała spokojnie. - Może nie całkiem wprost, ale...

- Tak, wiem. Bo niby skąd byśmy się wzięli z Vaclanem - zacytował. - Tyle że wtedy mieliśmy za mało kawałków, by

mozaikę złożyć. Nie wiedzieliśmy... to znaczy Lenda nie wiedziała, co jest na obrazie.

- Powiem to raz - oznajmił Zbrhl - i nie będę powtarzał: nie życzę sobie, byście wypominali Petunce to z obrazu. Nijakiej winy nie ponosi, że ją tak srodze klątwa prześladowuje. I nie ma powodów publicznie...

- Są - przerwał mu Debren. - Kiedy przeszłość siej z przyszłością zazębia, niekiedy trzeba ranę podrażnić. Ale z publicznym wypominaniem masz rację. Wybacz, Petunko. Powinienem zapytać, czy mogę mówić przy Dropie i Zbrhlu. O Lendę nie pytam, bo wie tyle co ja. Choć i ją możemy za drzwi odprawić.

- Obejdzie się. - Nadal zachowywała spokój. - Nid mam tajemnic przed nikim z obecnych.

- Z ludzi - podpowiedział Zbrhl, rzucając wymowne] spojrzenie na Dropa.

- Z obecnych - powtórzyła z naciskiem. - Nie wiem, czy życie, ale twarz mi Drop uratował na pewno przed tym cholernym nietoperzem. Za co, w swej niewieściej płochości, serdecznie wdzięczna mu jestem.

Papuga nadał się jak indor. Zbrhl zasznurował usta.

- Twoja matka - kontynuował Debren - w kwietniu 7 miała przygodę z belnickim gwardzistą; przygodę, o której, jak przypuszczam, wiele i z ochotą córce nie opowiadała.

- Słusznie przypuszczasz.

- Wydusiłaś z niej to pytaniami o ojca. - Nie odpowiedziała, było jednak oczywiste, że dobrze trafił. - Powiedziała, ile musiała. Czas, miejsce, osoba. Żadnych szczegółów. Dokładnie jak ty Rovolettowi. Ale Rovoletto poza malarskim miał talent magiczny. Miejsce wymalował jak na okografii, miecze, o których nie wspomniałaś, herb... Przyjęłaś, że to zasługa magii i talentu, więc nie zaprzętałaś sobie głowy obrazem.

- Mów krócej - upomniała go.

- Wybacz. Magia i talent pewnie by wystarczyły. Ale twoja matka wtrącała się ze swymi uwagami i co nieco od siebie dodała. - Zbrhlowi wydłużyła się mina, nie odezwał się jednak. - Twarzy gwałciciela nijak Rovoletto nie mógł z twoich wspomnień zaczerpnąć. Herb tak. Nie zapamiętałaś go, podświadomość jednak mogła. Ale twarz to co innego. Jest za młoda. Jest twarzą Gwadryka, tyle że z roku 7. - Petunka zrozumiała natychmiast i pewnie dlatego z jej własną twarzą nie stało się absolutnie nic: pozostała taką jak uprzednio, beznamietną maską, równie doskonałą, co sztuczną. - W 6 wojska Układu Starohuckiego na Smoyeed ruszyły, przewrót feudalny tłumić i bratnią pomoc ludowi smoyeedzkemu nieść. Mocno wtenczas pachniało wielką wojną ze Wschodem, więc demokraci poważne siły zmobilizowali. Kiedy sovrojskie kontyngenty z Lonska interweniować pomaszerowały, Morvac się upomniał o parę spornych wiosek na pograniczu i jakieś stare długi, jeszcze sprzed ustanowienia republik. Co więksi pesymiści przepowiadali dwa najazdy na Lonsko: feudałów ze wschodu i Morvaców z południa.

Może nawet Lelończyków. Nic dziwnego, że poczyniono poważne przygotowania wojenne. Pewności nie mam, ale widywałem podobne w zachodniej Lelonii, też w demokratycznych czasach. Jak Kummonami za mocno pod Dumayką zapachniało, władza ochoczo sięgała po pomoc swoich feudałów. Nie udowodnię tego, ale myślę, że rok 7 był jedynym, w którym potomkowi byłych władców demokraci mogli powierzyć sławny miecz przodków. A i to tylko dlatego, że za granicą miał walczyć.

- Miecz? - zainteresował się Zbrhl.

- Biesiarza Leomira - wyjaśniła Lenda. - Ten z herbem, jak urynał Hanka Wielkiego.

- I ten, który Rovoletto namalował - uzupełnił Debren. Petunka ukrywała pod maską spokoju nielekkie chyba oszołomienie, więc nie poprzestał na tym i ciągnął: - Lenda

rozpoznała broń na obrazie. Wszystko się zgadza, łącznie ze szczerbą na klindze. Tylko czas się nie zgadza. W 9 najgłupszy demokrata nie dałby czegoś takiego potomkowi książęcego rodu. A w 7 z kolei najgłupszy demokrata nie zezwoliłby wojska z Belochłopem na uniformach przeciw Morvacowi wysłać. Księcia w rodowej zbroi, z mieczem biesiarskim... owszem. Jednego księcia łatwo upilnować. Ale rząd, który pozwoliłby zdobić uniformy narodowego wojska herbami dawnych władców, błyskawicznie wylądowałby w sovrojskiej tajdze z siekierą w ręku i cholernie wyśrubowaną normą dziennego wyrębu.

- Chcesz powiedzieć...? - Zbrhl najwyraźniej zrozumiał, bo nie odważył się dokończyć.

- Nie chcę - westchnął czarodziej. - Ale chyba muszę. Bo wszystko wskazuje na to, że Rovoletto obraz z dwóch różnych wspomnień skomponował. Matki i córki.

Cisza, jaka zapadła, była wyjątkowo głęboka. Ale dużo krótsza, niż przewidywał jej sprawca.

- Więc jestem księżniczką. - Petunka dźwignęła się z zydła. Nadal z maską zamiast twarzy. - No proszę.

Zbrhl i Lenda też poderwali się z ławy. Może ta zgodność sprawiła, że żadne nie podbiegło do złotowłosej.

- Wiem, co czujesz... - zaczął Debren, pospiesznie biorąc przykład z pozostałych i wstając.

- Łajno wiesz - powiedziała spokojnie. - Bo ja sama nie wiem. Cholera... Księżniczka. - Zdumiała go po raz kolejny, wydając z siebie krótki chichot. - Szkoda, że już nie cnotliwa... No, dobra. Wiem jedno: muszę się napić. Gdzie ten gąsior, miśku? W izbie został?

Wyminęła zręcznie całą znieruchomiałą trójkę, wbiegła po schodach, znikła za kominem. Debren zrobił dwa kroki w tamtą stronę.

- Zostań - mruknęła Lenda.

- A jak sobie co zrobi? - zaniepokoił się Zbrhl.

- Nie zrobi. - Zignorował ją, próbując obejść ławę. Złapała go za łokieć i dodała ostrym tonem: - Poradzi sobie. Twardsza jest od zelówki. Wszystkie one takie. Żadna śmiercią samobójczą nie skończyła. Wiem, co mówię.

- Łajno wiesz, głupia kozo! Nawet imion nie znasz!

- Nie? - skrzywiła usta w dziwnym uśmiechu. - Dorma, Ledoszka, Mroczna Wal, Zermila, Amma... Co jedna to bardziej pokrecona, ze spaskudzoną opinią, po przejściach, pyskata i pazurzasta, że bez tarczy nie podchodź. Cholera, że też od razu się na niej nie poznałam... Nawet z twarzy do Połowczanki podobna...

- Pewna jesteś?

- Z Ammy męczennicę feudalizmu zrobili i na setkach obrazów jak nie ryczy, to cierpi, ręce załamując. Ale jeśli się durny wyraz twarzy pominie, to rysy...

- O targanie się na życie pytam - wyjaśnił Zbrhl.

- To nie w ich stylu. W rodzie i poetki się trafiały, i morderczynie, o rozpustnicach nie wspominając. Ale samobójczyni historia nie odnotowała. No i weź pod uwagę, jaką krew po matce wzięła. Nie, krzywdy sobie nie robi. Co najwyżej się uchla.

Petunka nie uchlała się. Wróciła na dół z gąsiorem w dłoni, ale drugą dłonią prawie nie musiała przytrzymywać się poręczy. Podeszła do Zbrhla, który na jej widok podniósł się z ławy, bez słowa wręczyła mu naczynie.

Debrenowi przemknęło przez głowę, że wyglądali przez tę krótką chwilę jak małżeństwo. Na tyle stare, by rozumieć się bez słów, i na tyle młode, by ona dorzucała do daru cień uśmiechu, a jemu wilgotniały oczy. Oddałby rok życia za taką chwilę z Lendą.

- Masz cztery powody, by stąd wyjechać. - Z poręczy prawie nie korzystała, zawartość gąsiora jednak uszczupliła i pewnie stąd brało się jej podszyte niefrasobliwością opanowanie. - Trzy córki, które cię potrzebują, i syna, którego ty

potrzebujesz. Więc zrób nam wszystkim przysługę i wyjedź z innymi o świcie.

- Ja wyjadę - uprzedził rotmistrza Debren. Uniósł rękę, kładąc ją na słupie z nieco kuglarskim, przesadnym namaszczeniem. - Rozmawiałem z szarzakim. - Obdarzyli go uważnymi spojrzeniami. - Na początku udawał, że go tu nie ma, a teraz jakąś okropną, smoyeedzką staromową wibruje, ale...

- Wibruje? - zapytała cicho Lenda. Posłał jej przelotny uśmiech.

- Nie na tym paśmie; tam w łaźni to nie on... No, w każdym razie najważniejsze sobie powiedzieliśmy.

- Mój dom z tobą rozmawiał? - zapytała Petunka. - Wolno zapytać, jak zdołałeś...?

- Stawiał się, więc zagroziłem, że go spalę.

- Jak Lenda? A on ci uwierzył? Jak gryf Lendzie?

- Łiesz - stwierdziła dziewczyna, siadając po temmozańsku, ze skrzyżowanymi nogami. To bolało, ale poważnych rozmów nie da się łączyć z przesuwaniem brudnymi piętami po podmurówce kominka.

- To ty łągałaś. Co na głupiego gryfa wystarczyło. Ale szarzak jest rozumny. I na telepatii się zna, więc wolałem być szczery.

- Szczery? Kamień mi zdjąłeś z serca. - Petunka nadal się uśmiechała i choć źródło uśmiechu tkwiło w gąsiorku, nie wyglądała przez to mniej ponętnie. - Piromanów z miejsca za drzwi wywalam.

- Wywalisz mnie - spokojnie skinął głową. - Ale rano. Pytałem szarzaka o klątwę. Co mógłbym zrobić, by ją zdjąć. Postraszyłem go, więc...

- Co ty mógłbyś zrobić? - powtórzyła spowolnionym głosem Lenda. - Ty sam, jak rozumiem?

- Wiem: przegłosowaliśmy to już. Nie upierałem się, bo były inne możliwości, ale skoro wszystkie odpadły... Sytuacja wygląda następująco: Zbrhl nie może być tam, gdzie się

walczy. Mnie dom poradził na most się udać i...

- Ale łiesz...

- ...i do chłopów przemówić - dokończył. - Nie, księżniczko, nie łżę. Przemówienie doradził. Ba, nawet zalecał. Bo, powiada, przyleźć tu gotowi i mnie spalić.

- To on łąał - nie ustępowała. - Nie zapominaj, że to wróg. Jak sam twierdziłeś: ważniejszy i groźniejszy od gryfa. Dlaczego miałby z okazji nie skorzystać i nie posłać cię na pewną śmierć? Jednego przeciwnika mniej.

- Jedyne - poprawił ją. - Właśnie to staram się wam powiedzieć. Zapytałem, czy ktoś z nas może klątwę usunąć. Nie odpowiedział, tylko wyliczył mi warunki jej zdjęcia. Ton odebrałem jako szyderczy, co i nie dziwota, bo pytanie było głupie. Aniśmy księżniczki, ani cnotliwe. Więc zapytałem, czy chociaż gryfa da się utłuc. A on na to, że tak, ja teoretycznie mogę. Ale tylko ja, bo bez magii to za cholere... I żebym się lepiej zastanowił, bo z braku gryfa on, jako strażnik klątwy, będzie musiał zastosować inne środki. Gorsze. A nie chce tego robić, bo osobiście nic do Petunki nie ma ani innych ludzi, a to oni by ucierpieli.

- No, teraz toś zełgał...

- Najwyżej coś błędnie interpretuję - wzruszył ramionami. - Mówiłem: marnie zna staromowę. Ale jedno zrozumiałem na pewno: że nie życzy nam źle. Robi po prostu swoje, i tyle.

- Lepiej powiedz - Zbrhl potoczył po ścianach badawczym wzrokiem - czy naprawdę da się psubrata spalić.

- Miśku! - rzuciła ostrzegawczym tonem Petunka.

- I drugie pytanie, Debren - zignorował ją. - Pewien jesteś, że szczerze z tobą gadał? Bez kręcenia?

- Obaj na koło popiątne przysięgaliśmy.

- Domy na koła plwają - wzruszyła ramionami Lenda. - Co innego, gdybyś z furą, przykładowo, rozmawiał. Choć i ta w większym szacunku miałaby zwykłe koło z półtuzinem szprych.

- Szarzak jest wczesnowieczny. - Zignorował kpinę. -

A Mesztorhazy, choć magun, z religijności słynął, nawet jak na tamte, same w sobie mocno religijne czasy. Tak, Zbrhl. Pewien jestem, że to pod przysięgą mówił szczerze. Zwłaszcza że udowodnił, iż gra uczciwie.

- Uczciwie ostrzegł, że z przemawiania do kmiotków łajno wyjdzie? - domyśliła się Lenda. - Bo cię znów wodą święconą i kołkami potraktują?

- Nie bawił się w prorokowanie czy ostrzeganie. - Debren konsekwentnie trzymał się taktyki udzielania poważnych odpowiedzi na jej prowokacyjne zaczepki. - Nie jest tu po to, by ułatwiać życie takim, co skutkom klątwy próbują przeciwdziałać. Sam mi to powiedział, tłumacząc, dlaczego mówi tyle, ile mówi.

- Powiedział ci - uśmiechnęła się krzywo - rzeczy oczywiste, o których sami wiemy. To stary jak świat sposób zjednywania sobie naiwnych prostaczków.

- Może - zgodził się. - Może jestem naiwny, a to gadanie o apelowaniu do wieśniaków to podstęp. Ale jednego dowiedziałem się na pewno.

- Że ognia się boi? - zapytał z nadzieją Zbrhl.

- Że poważnie liczy się z możliwością mojego sukcesu. Naszego - poprawił się.

- Naszego? - zmarszczyła brwi Petunka.

- Naszego - powtórzył z niewesołym uśmiechem. - Ja nie zdejmę klątwy, a tobie cnotliwości, tej właściwej, trochę brakuje. Ale, jeśli dobrze sytuację oceniam, razem mamy sporą szansę. Rzecz lata potrwa, ale przynajmniej szansa jest. Waśnie dlatego, żeś nie dziewica.

- Chcesz... - Lenda zbladła - chcesz z Petunką...?

- Porozmawiać. Sam na sam.

Pogasiła łuczywa, ale w żelaznej skrzynce grulla czy może grilla płomyki skakały rażno po bryłkach opału. Od razu zauważył zawieszoną na kołku suknię.



Znieruchomiał w progu.

- Śpisz? - zapytał szeptem.

- Leżę - powiedziała cicho. - Zamknij. Ciepło ucieka. Zamknął drzwi. Miała rację, ale to nie dlatego jemu samemu zrobiło się cieplej. Obok żelaźniaka, na zydlu, pewnie po to, by rano nie witać pani lodowatym dotykiem, leżało zdobyczne ubranie Lendy: koszula, poplamione spodnie, kaftan. Z kaptura, pewnie przez przeoczenie, bo pod postacią maleńkiego białego różka, wychylał się skrawek lnianej tkaniny. Zapewne identycznej z tą, która pod postacią dwóch świeżych onuc szarzała spod zydlu, powtykana w parę łapci. Debren był pewien, że patrzy na trzecią dołożoną przez Petunkę onucę. Wiedział też chyba, dlaczego materiał leżał tak, jak leżał - ukryty, ale i na wierzchu.

- Nie stercz tak - mruknęła Lenda. - Rozbierz się i włącz pod pierzynę.

Nigdy nie widział jej sypialni. Oczami wyobraźni - owszem, ale naprawdę nigdy. Uświadomił sobie, że wyobraźnia, jak na używaną przez czarodzieja, wyjątkowo marnie się spisała. Jedyne suknie była i tam, i tu, w świecie rzeczywistym. Brał oczywiście poprawkę na jej chudą sakiewkę i żołnierską przeszłość: sukienki ze snutyh na pograniczu jawy i snu wizji były brzydsze, szare, niekiedy połatane, a tamta, nieco odrealniona Lenda wieszała je, przykładowo, na słupach obozowych namiotów. Ale niemal zawsze, o ile już wisały czy leżały złożone w kostkę na żołnierskim siodle, na wierzchu, zgodnie z logiką rozbierania się, bieleły niewieście kalessony beznogawkowe, z marimalska nazywane majtkami. Po rejsie „Jaskółką”, za sprawą rozwieszonego między wantami prania Lelicji Zelgan, ten fragment garderoby fikcyjnej Lendy stał się ekstremalnie beznogawkowym prawie trójkątem. W co śmielszych scenach obok majtek spoczywało coś czarnego, o co nie miał wtedy odwagi zapytać relacjonatorki, a co, na własny użytek i kierując się krojem, nazwał podubraniowym

dwumiseczkowym gorsetem napiersiowym.

Potem, przez chwilę, dane mu było oglądać prawdziwe, żelazne majtki Lendy. Zdażył oswoić się z myślą, że są i ze strachem, że będą zawsze. Ale jakoś nie pomyślał, że ich obecność wymusza stosowanie całkiem niekonwencjonalnej bielizny. W swym duchu bliższej zdobionemu Belochłopem paskudztwu, które uczyniło sierotę ze Zbrhla.

- Zamknę oczy, jak się sromasz - usłyszał jej pomruk. Przeniósł spojrzenie na wystającą spod pierzyny głowę.

Bieda równa się brak opału, szpary w ścianach i kubek wody, nie gorzałki na dobranoc. Biedacy marzną częściej niż ci z wypchanym trzosem. Kojarzyła mu się z tamtą nocą w Vijuće, ciałem jeszcze parującym łaźnią, ciepłą, miękką od wody stopą na karku. Ale rzeczywistość musiała być taka właśnie: wystający spod pierzyny, zimny i zaczerwieniony od kataru czubek nosa. Może szlafmyca na głowie. Teraz nocną czapkę zastąpiła peruka.

Ciekawe, czy nie zdjęła jej ze względu na panujący w izbie chłód, czy z myślą o nim. Włosy miała czarne i grube; po trzech dniach jej czaszka wyglądała jak szczęka oszczędzającego na brzytwie południowca, ale choć Debren raz i drugi pod różnymi medycznymi pretekstami przesunął po niej dłonią i nie krył satysfakcji z niepowtarzalnej okazji obcowania z szorstką miękkością, dziewczyna uparcie i najgłębiej jak się da nasuwała kaptur na czoło. Więc raczej nie o chłód chodziło.

Ale na szczęście w izbie za ciepło nie było.

- Zimno - wzruszył ramionami, od szeptu przechodząc do bardziej neutralnego półgłosu. Jeśli Petunka do ekstrawaganckiej, odsłaniającej łydki i dekolt sukni nie dorzuciła równie nietypowej koszuli, obciętej spódnicy czy skróconych kalesonów, tam, pod pierzyną, dziewczyna była naga. Na swój specyficzny sposób, ma się rozumieć, ale i to w zupełności wystarczyło, by dmuchać na zimne, Szeptanie w

obecności nagich dziewcząt jest ryzykowne: I kojarzy się ze wstępem do uprawiania miłości.

- Ogrzałam ci łóżko. - Jej głos nadal balansował na granicy szeptu, skutecznie maskując emocje. - Chodź.

- Lepiej w ubraniu - mruknął. - Jakby co...

- Rano możesz umrzeć - przerwała mu. - Chyba warto ostatni raz normalnie... No, chodź. Nie bój się. Nie gryzę. I już zamykam oczy.

Łoże było szerokie, a on mógł nie przeżyć poranka. Powtórzył to sobie w duchu, usiadł na brzegu siennika i zaczął się rozbierać.

- Długo wam zeszło - rzuciła od niechcienia. Debren nie skomentował, więc dodała: - No, ale i nie dziwota. To Petunka. Niewiasta z charakterem i wymagająca. Takiej byle czym się nie zbędzie.

- Fakt - mruknął. Rozsznurowywał spodnie, próbując podnieść się na duchu myślą, że ostatnim razem sama je z niego zwlekła i że po szalasię na stoku Czarnuchy i tym w łaźni jego ciało nie ma dla niej tajemnic.

- Wolno zapytać, jakim to sposobem chcesz na spółkę z księżniczką klątwę zdejmować?

- Wolałbym o tym nie mówić. - Spodni też wolałby nie zdejmować, ale oczywiście zsunął je z bioder. Nie chciał ani rozbawić, ani urazić Lendy. - To trochę... niezręczne.

Pilnował, by nie oderwać pośladków od prześcieradła, nie wychylić ich broń Boże zza wału pierzyny - i w efekcie wraz ze spodniami pozbył się opatrunku. Na szczęście żadna z ran się nie otworzyła. A gdyby nawet, to przecież posłaniu dostało się już podczas opatrywania Zbrhła.

Wsuwając się pod pierzynę przypomniał sobie, że plamy krwi skupiły się po tamtej stronie. Ktoś tu chciał podarować komuś innemu lepszą połówkę łoża.

- Wierzę, że niezręczne. - Musiała wyczuć, że leży obok, jednak nie unosiła powiek. - Skoro rzecz się ociera o wspólne

poczynania na osobności i dziewictwo...

- O co ci chodzi?

- O nic. Nie mnie się mieszać między czarodziejów i księżniczki. - Nadal nie unosiła powiek, więc nie stał się dużo mądrzejszy. - Tyle ci powiem, byś na Zbrhla uważał. Chyba nie bardzo potrafi racjonalnie myśleć. Może nie zrozumieć, że klątwe, która się po prawdzie w łożu zrodziła, w łożu trzeba zdejmować.

Znakomicie panowała nad twarzą oraz głosem. Ale to, co mówiła, otworzyło Debrenowi oczy.

- Zaraz... Chyba nie myślisz, żeśmy z Petunką...?

- Jest księżniczką. - Cień smutnego uśmiechu wlał się powoli w kąci jej ust. - Ty czarodziejem. Z osobna każde z was niewiele przeciw klątwie zwojuje, ale do spółki... Oczywiście w perspektywie jakichś... - zastanowiła się - Jakichś trzynastu lat. Plus dziewięciu miesięcy, naturalnie. Strasznie długo trwało, nim skończyliście. No i zdążyłam to sobie przemyśleć. Inna sprawa, że jak już sam pomysł padł, rzecz się zrobiła całkiem prosta. Tyle że poczekać trzeba. No, może do dwunastego roku życia: ponoć co pokolenie, to dzieci szybciej dojrzewają.

- Lenda, nic nie rozumiesz...

- Rozumiem. I ciebie, i ją, i nawet to, że wam obojgu przykro, bo ty byś ze mną wolał zbawicielkę płodzić, a Petunka ze Zbrhlem. Ale oboje rozsądni jesteście, dorośli i. - głos jej lekko zadrżał - i porządni. Więc zrobiliście, co było trzeba, albo...

- Niczego nie zrobiliśmy!

- ...albo zrobicie. Bo tak trzeba. - Dopiero teraz otworzyła oczy. - Taki masz fach: ludziom pomagać.

- Mówiliśmy o zbawicielce. - Ukląkł, nawet nie bardzo dbając o to, by pierzyna osłaniała wszystko z każdej strony. Musiał patrzeć Lendzie prosto w twarz. - Długo, zgoda. Ale sprawa jest poważna i wymaga...

- ...czasu - dokończyła. - Toć wiem. Czarować trzeba, upewnić się, że starania nie pójdą na darmo. Z tego, co o sobie mówiła, wynika, że co podejście, to ciąża, ale wiadomo, jak to jest: akurat gdy się chce...

- Lenda! Zamknij się i posłuchaj przez chwilę.

- Nie chcę. - Teraz, gdy już uwięził dziwnie drobną i delikatną twarz między palcami, oczywiście próbowała ją odwracać, wtulać w poduszkę. I oczywiście robiła to na tyle nieporadnie, że jedynym efektem starań było zetknięcie się chłodnego nosa z kciukiem Debrena. - Akceptuję to, kocham Petunkę, ale nie każ mi...

- Szarzak wytwarza coś w rodzaju feromonów. - Zabrał ręce z jej policzków. - Pamiętasz, jak się spotkaliśmy pod „Królikiem”? Powiedziałaś, że za samo wejście się u was płaci, bo człek atmosferą upojną oddycha, przez co korzyść czerpie. Chodziło ci o wystrój, ale są luksusowe zamtuzy i monarsze sypialnie, choć częściej dyskretne stancje królów gdzieś na podgrodziu, w których atmosfera dosłownie oddychanie umila. I nie mówię o zapachu kadzidełek. Za duże pieniądze można nadać miejscom taką aurę, że człek nic, jeno o sprawach łóżkowych myśli. Czytałem o tym i nawet raz czy drugi ekspertyzy robiłem...

- W luksusowych zamtuzach? - bardziej stwierdziła niż spytała, ale że bez wielkiej goryczy, Debren nie uznał za stosowne komentować.

- Ten dom to takie właśnie miejsce. Klątwa swoje robi i to przez klątwę tak łatwo się przyjezdni w gospodyniach zakochują, ale Mesztorhazy na wszelki wypadek zabezpieczył się i tym. Co we wszystkich obecnych bije.

- Jeśli chcesz wyjaśnić, dlaczegoś musiał Petunce grzeczność wyświadczyć, to daruj sobie. Wolę się dopatrywać wzniosłej szych motywów. Choć nie przeczę: otumanienie czarami i chemią każdego usprawiedliwia. Ale wolę wierzyć, że płodziliście dziewczynkę, która po dwustu piętnastu latach

klątwę w końcu zdejmie i wielu ludziom życie ocali.

- Wyjaśniam - powiedział spokojnie - czemu się Zbrhl zakochał, ja się w łaźni wygłupiłem, ty zazdrość okazujesz, a nikt o niczym nie gada, jeno o miłowaniu, chędożeniu, gwałtach i rozmnażaniu. Jak walczyliśmy, przywidziało mi się nawet, że cię bez ubrania...

- Ja zazdrość okazuję?!

Tym razem nie próbował brać w dłoń jej twarzy. Pochylił się tylko i delikatnie pocałował dziewczynę w usta. Tak jak przypuszczał: wystarczyło. Umilkła.

- Pewnie moglibyśmy to zrobić - uśmiechnął się nie za wesoło. - I pewnie obojgu nam sprawiłoby to przyjemność. Ale żadne z nas nie chciało. Innych kochamy. I nie ma takiej potrzeby.

- Nie musisz mnie... pocieszać. - Pociągnęła z lekka nosem, lecz u kogoś wiecznie zakatarzonego nie musiało to niczego oznaczać.

- Miałaś rację ze zbawicielką. Ale tylko rozmawialiśmy o niej. Tak długo nam zeszło, bo musieliśmy punkt Po punkcie przeanalizować wszystkie warunki zdjęcia klątwy i zastanowić się, z kogo zrobić rodziców małej.

- Z kogo...? - nie zdołała dokończyć. Oczy zrobiły jej się okrągłejsze. - Boże, Debren... O czym ty gadasz?!

- Z tego właśnie żyję - uśmiechnął się smętnie. - I takie kwestie musi roztrząsać magun czarokrażca: wraz z klientką zastanawiać się, czy optymalne nie byłoby przespanie się klientki z własnym synem. Bo skoro i Petunka, i Vaclan są dziećmi Gwadryka, dziewczynka miałaby pięć ósmych gwadrykowej krwi, czyli więcej niż następca belnickiego tronu. Trudno o bardziej ewidentną książęcość.

- Zdumiałeś?! - Aż usiadła z wrażenia, omal nie błyskając Debrenowi w oczy bielą piersi. Była zbyt wzburzona, by pamiętać o przytrzymywaniu pierzyny. - Zboczony chyba jesteś!!!

- Cała magia to jedno wielkie zboczenie - wzruszył ramionami. - Ale bez obaw: żadnemu z nas nie spodobał się pomysł. Wysunąłem go, bo moim obowiązkiem jest przedstawić klientowi wszelkie alternatywy. I z miejsca odradziłem. Petunka jest niewysoka, jej synowie podobnie. Nie mam pewności co do Gwadryka...

- To kurdupel - rzuciła z wyraźną satysfakcją.

- Więc tym bardziej. Dziecko mogłoby nie wyrosnąć ponad wczesnowieczną normę, a czwarty punkt listy Pretokara mówi o nabijaniu guza o nadproże. Raczej mimochodem niż metodą celowego podskakiwania. Postawne panny rzadziej też płaczą publicznie. Podobnie jak te wojowniczo usposobione. - Widząc, że się pogubiła, wyjaśnił: - Zbrhl jest wysoki, a jego dziewczynki, choć każda na inny sposób, odważne, harde i dumne. Pytałem. Z paru wzmianek o Zdrence wnioskuje, że... no, najcieńszej skóry nie miała. Co dobrze zbawicielce rokuje. Bo lista Pretokara i upokorzenie obejmuje, i rozczarowanie. Prawdę mówiąc z tym był największy kłopot. Petunka nie wie, czy ma prawo rodzić kogoś, o kim z góry wiadomo... Właściwie - uśmiechnął się z zakłopotaniem - właściwie dlatego ci o tym mówię. Mogłabyś ją przekonać.

- Ja?

- Nie miałaś lekkiego życia. - Odwrócił się, położył, utkwil spojrzenie w stropie. - Najadłaś się i upokorzeń, i pewnie leż gdzieś w kącie. Wiesz, jak to jest. - Bardziej wyczuł, niż zobaczył, że Lenda też się kładzie. - Zakochałaś się w księciu, a on ci serce złamał. Czuję, że przeszłaś więcej, niż ta mała musi przejść, by wypełnić komplet warunków i zdjąć klątwę. Więc gdybyś wyjaśniła Petunce, że nawet komuś takiemu może być dobrze na świecie...

- Dlaczego akurat mnie miałyby usłuchać? - zapytała bardzo cicho. Była ostrożna. Chyba wyczuła, że nie powiedział wszystkiego.

- Bo ją lubisz, a ona ciebie. Bo podobne jesteście. Bo się po

tym nieszczęściu z księciem pozbierałaś i... - zawahał się - znalazłaś kogoś, kto cię pokochał.

Leżeli w milczeniu, oglądając więźbę dachu.

- Jest coś jeszcze, prawda?

Nie miała pojęcia o telepatii, nie umiała czarować. Ale w głowę, jak się okazuje, zaglądała mu czasem bez trudu.

- Pretokar wrócił tu ze swoją nimfą. Wstyd mu przynosiła, mieczem musiał tron zdobywać zamiast małżeństwem, nie mogła mu... - urwał. Cisza trwała wystarczająco długo, by Lenda miała czas zrozumieć, że czegoś świadomie nie dopowiedział. - A mimo to miał ją przy sobie do końca. Wiesz dlaczego? Bo się kochali. Tak naprawdę. Na złe i dobre, w łóżku i poza nim.

Był ciekaw, czy zapyta.

- Czego mu nie mogła? - zapytała.

- Wiesz, dlaczego wierzę szarzakowi? Bo mi faktycznie pozwolił gryfa zabić.

Obróciła głowę. Jej spojrzenie nabrało takiej intensywności, że niemal czuł nacisk na lewą stronę twarzy. Nie odwzajemnił go. Patrzył w górę.

- Łiesz - rzuciła niepewnie.

- Mówiłem: dom robi swoje. Mesztorhazy nie kazał mu utrudniać zdejmowania kłatwy. To może tak wyglądać, ale nie tak działa. Nie pytałem, sam mi powiedział... Nie znaleźliśmy pełnej listy.

- Co?

- Pamiętasz? Pretokar przyjechał, wyskoczył z karety i z miejsca wydarł się o dziesięciu krzywdach, jakie go tu spotkały. Potem belniccy zwiadowcy wypadli z kurnika. - Odczekał moment i powtórzył: - Potem.

- Zaraz... Chcesz powiedzieć...?

- Że punkt dziesiąty, ten podany Petuneli, dodał już po bitwie. Gdy tu jechał, nie mógł wiedzieć, że w kurniku czają się Belniczanie. - Obrócił głowę i w końcu popatrzył Lendzie w



oczy. - Ten prawdziwy, jedenasty, nie przeszedł wtedy Mesztorhazemu przez gardło. Nie w rozmowie z oberżystką. Ale szarzak go zna. Mesztorhazy wiedział, że byle dureń klątwy nie zdejmie i nie ma powodów, by następczynie Petuneli byle durniowi o intymnych sprawach królewicza gadały. A ta była intymna. No i o rację stanu zahaczała. Szarzak miał nakazane jeno poważnych... hmm... kontrahentów informować.

- Jest jedenasty warunek? Jaki?

- Księżniczka, co klątwę zdejmie, musi... Cholera, sam nie mam pewności... No, w przypadku Pretokara to była... no wiesz: męska słabość.

- Słabość?

- Po tym zawodzie z Ledoszką nie mógł z żadną inną... rozumiesz. Nawet z tą swoją nimfą. Po prostu nie mógł. No wiesz. - Przyglądała mu się dziwnym, nieruchomym wzrokiem. - Kochał ją, sypiali razem i nawet ponoć... no, nimfa nie skarżyła się... Tyle że techniczna strona owego sypiania i jej zadowolenia...

- Rozumiem - zlitowała się w końcu. Choć jej spojrzenia nie dało się określić mianem litościwego. Było raczej... martwe.

Wyciągnął dłoń, ostrożnie dotknął miękkiego policzka.

- Lenda, on potem miał dzieci. Jego potomkowie rządzą Morvacem. To mu przeszło. Na pewno. Tyle że za wcześnie się tu zjawił, klątwa padła i tak już zostało w pamięci szarzaka.

Uśmiechnęła się z wysiłkiem.

- Mam namówić Petunkę do prokreacji? Proszę bardzo. Tylko nie wiem, czy będę dostatecznie przekonująca. Trochę brakuje mi argumentów.

- Nikt nie powiedział, że księżniczka ma nieświadomie doznawać tych wszystkich... kłopotów.

- Kłopotów - powtórzyła z goryczą.

- No dobrze: dwa czy trzy punkty z listy są naprawdę bolesne. Ale popatrz na to z drugiej strony. To być może

niepowtarzalna okazja. Dwieście dwa lata, symetryczny układ cyfr. We wczesnowieczu lubowano się w takich. Dodaj do tego jej imię. To zdrobienie od Petuneli, a tak się dziwnie składa, że ostatnią właścicielką o tym imieniu; była Wyklęta. Przypadek? A wróżba, że ktoś z obecnego pokolenia przesądzi o cofnięciu klątwy? I to nie sam, a przy pomocy obcych? Z pokolenia jeno Petunka ostała. Brat zginął, sióstr nijakich...

Przerwał w pół zdania. Jakaś myśl, jeszcze nieuchwytna, wśliznęła się między stojące w kolejce argumenty, zamieszała, czmychnęła w cień. Niedobra myśl.

Nie zdążył jej pochwycić. Był chyba blisko, ale nagle Lenda uniosła się na łokciu, otarła włosiem peruki o jego ucho. Po raz pierwszy znalazła się tak blisko: wcześniej nie wyczuł niesionego z głosem zapachu mięty. Jej oddech przede wszystkim pachniał piwem i gorzałką z Dangizy, ale była w nim i mięta. Odrobina.

- Nie zrozumiałeś - uśmiechnęła się. Uśmiech był jakiś dziwny, ale ładny, więc Debren nie zastanawiał się, tylko po prostu gapił. Musiał szybko wykorzystywać okazję, bo twarz dziewczyny zbliżała się wolno, lecz nieustannie, rozmywając tym samym w miedzianą od blasku płomieni plamę. - Mam jej powiedzieć, że mała może być szczęśliwa. Jak urośnie. I z tym mogę mieć problem.

Miał już jej ciepłą stopę na łydce, wolną ręką dotykała jego torsu. Twarzy zupełnie nie widział: długa i gęsta peruka otuliła ich głowy jak baldachim królewskie łoże. Wiedział, co się dzieje. Między bok a lewe ramię wepchnęła mu się naga pierś Lendy. Wiedział. Tylko nie wierzył.

I był przerażony. Trochę.

- Co ty...? Lenda?

- Ciiicho. - Jej szept wraz z wonią mięty, której nie miała kiedy zaparzyć i którą chyba po prostu żuła, czekając tu i grzejąc dla niego pościel, wdarł się prosto w dziurki jego nosa. Bo najpierw właśnie w nos go pocałowała. Raczej nie dlatego,

że celowała na oślep. Mało widział, ale blask oczu jeszcze tak. Słyszał też żartobliwy ton w jej głosie. - Nie patrz, nic nie mów, po prostu leż.

- Lenda...

- Cicho. Zbieram argumenty. Nie ruszaj się.

Nie patrzył, i to jedno przyszło mu łatwo. Unoszenie powiek było ryzykowne: oczom niemal cały czas zagrażały jak nie usta, to włosy albo palce. Trzeba przyznać, że palce najrzadziej. Niełatwo pogodzić leżenie obok mężczyzny z dotykiem go możliwie dużą powierzchnią ciała, nie dotykiem ani kawałeczkiem opasującej biodra blachy i w końcu...

Jak to było?

Aha. Ze zdejmowaniem ciężarów z męskich barków.

Bo robiła to. Ot tak, po prostu. Nie za szybko i nie za wolno, delikatnie i stanowczo zarazem. Tak...

Fachowo?

Machrusie słodki, nie chciał tak o tym myśleć. Pod „Różowym Królikiem” tylko pilnowała porządku. Mogła podpatrzeć chcąc nie chcąc, ale sama nigdy...

To ten książę. Długa kampania, miała czas...

I dobrze. Aż zeszytniał, gdy poczuł jej dłoń między udami. Ale tam akurat... Dobrze że dawno temu, w innym życiu innej Lendzie trafił się piękny książę na białym koniu. I posada u Mamy Dunne. Że nie była płochą, całkiem zieloną nastolatką. Gdyby spojrział, na pewno nie znalazłby lekkiego zawodu w jej spojrzeniu. Cichej pretensji, że tak wolno, mało spontanicznie...

Ale nie patrzył. Także dlatego. Zabroniła mu patrzeć i to był główny powód, jednak gdzieś głęboko, pod warstwami topniejącego osłupienia i narastającej błogości czał się mały, stłamszony kłębuszek lęku.

Bał się, że znajdzie rozczarowanie. Na ból i gorycz był coraz bardziej gotowy, nie dało się ich uniknąć. Ale przed tą

cholerną łaźnią nie przyszło mu do głowy, że sprawy mogą wziąć taki obrót. Że sam dotyk jej dłoni, samo zdradzenie się z zamiarami, samo podejrzenie o takie zamiary - że to nie wystarczy i Lenda, ta wyśniona, wymarzona, będzie musiała cały pacierz...

A może dłużej? Bożycu...

Nigdy jeszcze jej pocałunki nie smakowały tak cudnie. Wcale nie ze względu na to, co wyczyniała jej dłoń tam, w dole. Nie dlatego, że czuł na sobie obie zaostrome twardymi sutkami piersi, a jej stopa pieściła mu łydkę. Przez jakiś czas bardziej liczył się głód jej ust, ich wolna od urazy spontaniczność. Tak nie całuje rozczarowana kobieta.

Oddawał pocałunki, jedyną wolną dłonią odwzajemniał pieszczoty, błędząc palcami po ciele. Był ostrożny. Wyczulone palce czarodzieja znalazły długą szramę biegnącą z prawej piersi aż pod pachę. I umknęły. Cios poszedł nisko i Lenda mogła pozwolić sobie na bardzo nawet śmiałe dekolty, ale pewnie nie chciała za pierwszym razem świecić mu w oczy wojackimi pamiątkami. No i był pas. Blaszana paskuda, o której powinien zapomnieć. Na pewno wiedziała, że to niemożliwe, ale szanował jej rozpaczliwą próbę ratowania pozorów i godził się płacić swoją część ceny.

Przez chwilę było prawie dobrze. Długą chwilę: zdążył spocić się ze strachu. Czas, jak zawsze, gdy miał ją zbyt blisko siebie, dostał dziwacznej czkawki, płynął szybciej i wolniej zarazem. Ale płynął i niósł to, co nieuchronne, z okrutną obojętnością płynącej rzeki.

Dłoń Lendy długo nie dawała za wygraną, nie przyjmowała do wiadomości swej klęski. Nie całkiem ostatecznej, bo jej przecucie nie do końca sparaliżowało Debrena i coraz bardziej pospieszne, pod koniec niemal brutalne zabiegi poza bólem przynosiły pewne rezultaty. Może gdyby wytrwała mimo wszystko, podeszła do tego jak na typową dziewczynę spod „Różowego Królika” przystało... Jakoś wygrzebał się z

najgłębszego bagna paniki. Prawie przypomniał sobie całe zaklęcie, stosowane przez podstarzałych czarodziejów w podobnych okolicznościach, i prawie uwierzył, że zdąży odwrócić katastrofę. Gdyby była bardziej doświadczona, albo całkiem niedoświadczona, i jeszcze przez parę pacierzy robiła swoje z wiedzy, że tak należy lub niewiedzy, że nie zawsze tak trzeba; gdyby zachował się trochę mądrzej, obalił ją na wznak, przyssał się ustami do jej piersi, odwrócił uwagę od tej cholernej miękkości w dole...

Ale była, jaka była, a on wszystko spieprzył i zaczął gadać, zamiast całować i czarować.

- Lenda, na tej ławce... Jak gówniarz, wiem, ale tak okrutnie mnie wzięło... A nie jestem już gówniarz i tak od razu nie mogę... Poczekaj, to nic wspólnego z tobą... Ja zaraz... Kocham cię, księżniczko. Przecież wiesz, że... To właśnie przez to na tej ławce...

Czar był domiejskowy, musiał zabrać rękę z jej piersi, wepchnąć pod pierzynę, tam, gdzie i ona miała rękę, tę odważniejszą. Spotkali się palcami. I ręka Lendy umknęła. Dopiero wtedy zdał sobie sprawę, że znieruchomiała już trochę wcześniej. Ale za bardzo się spieszył, by wyciągać wnioski.

Bo, poza wszystkim, było słodko.

Zwłaszcza kiedy to wyszeptala.

Nigdy nie dorobił się pewności, które słowa zepchnęły go w mrok. Te nasączone magią, powtarzane w duchu, czy te niezwykle - jej. Za szybko odpłynął w niebyt.

Nie było jej. Chyba od dawna: po jej stronie łóżka pościel wystygła. Ta, która została. Bo poduszka znikła. Debren, nie całkiem jeszcze przytomny, a może tylko kryjący się sam przed sobą za maską niepełnej poczytalności, zajrzał pod pierzynę. Poduszki nie znalazł. Śladów po Lendzie, tych nasuniętych pierwszym skojarzeniem, też oczywiście nie.

Na moment zastygło mu serce. Musiała otworzyć okiennicę

i podrzucić do grulla, bo z lewej strony sączyło się szare, z drugiej zaś czerwone światło. W izbie panował półmrok i w tym półmroku ciemne plamy krwi całkiem wyraźnie odcięły się od bieli prześcieradła.

Zwymyślał się w duchu od sentymentalnych - i perwersyjnych - durniów. Śniła mu się, owszem, we śnie robili rzeczy, które porządnym machrusanom nawet przyśnić się nie powinny, ale szukając krwi tu i teraz, zachował się jak krety. On jej właściwie nie tknął, a sama... Owszem: ich pierwsza wspólna noc w łóżku. Owszem: kładąc się do tego łóżka oboje nie o spaniu myśleli. Ale potem wszystko się pieprzyło. Zrobił z siebie głupca, w wyniku czego teraz, zaglądając pod pierzynę jak Pretokar dwieście dwa lata wcześniej, robił z siebie głupca do sześcianu.

Nie było dziewiczej krwi ukochanej. Była zaschnięta krew Zbrhla. I szare plamy w dole. Lenda, podobnie jak belnicka księżniczka, nie zaprzętała sobie głowy myciem nóg. Uśmiechnął się, choć nie było mu ani trochę do śmiechu.

Ubierał się bez pośpiechu, zapatrzony w jej błękitną suknię, wiszącą na kołku. Próbował poukładać myśli, złożyć w sensowną kupę, parę pierwszych słów, którymi ją przywita, no i ocenić, jak długo spał. Może od tego nadmiaru ambitnych planów skończyło się na założeniu ubrania. Lenda była zbyt nieprzewidywalna, a za oknem sypał śnieg. Szarówka równie dobrze mogła być zwiastunem przedświt, co południa. Bez klepsydry ani rusz.

Właśnie z myślą o niej zszedł na dół. Ale nie na klepsydrze zatrzymał pierwsze spojrzenie. Stał na zakręcie schodów dobry pacierz, nie mogąc oderwać wzroku od tego pod kominkiem: od stołu okrytego wykwinnym obrusem i od biesiadniczki, która, jak przystało na tej klasy obrus, usnęła z gąsiorem w dłoni. No i, naturalnie, od Yeżyna.

Twarz oberżysty okrywało płótno.

Coś się poruszyło. Drop. Wyglądał przez szczelinę, tę od

furmańskiego znaku. Debren pokonał parę ostatnich stopni i podszedł do Petunki. Nie zakorkowała gąsiora, ale to nie gąsior roztaczał intensywny zapach gorzałki, więc nie siląc się na ostrożność, wyłuskał naczynie z kobiecych palców. Za dużo ze Zbrhlem nie zostawili, ale co nieco przetrwało. Łyknął solidnie.

- O, Debren. - Zbrhl dźwignął się, usiadł na ławie, przetarł kułakami oczy. Jak rzadko kiedy kojarzył się magunowi z przebudzonym z zimowego snu niedźwiedziem. Smutnym w tej chwili. Pewnie z tego smutku pachniał piwem mocniej niż poprzednio. - Nic nie mów. Sam wiem, że nie powinna. Alem serca nie miał...

Debren zważył gąsior w dłoni.

- Widzę - mruknął. - Dawno...?

- Chyba nie - Zbrhl zerknął na okryty obrusem kształt, bardziej przypominający śnieżną zaspę niż sylwetkę leżącego człowieka. - Jak Lenda schodziła, żył jeszcze. Ale jeśli o Petunkę pytasz... Dorwała się do gąsiora, gdy tylko spać poszłicie.

Debren rozejrzał się, zahaczając spojrzeniem o klepsydrę. Siódma z trzema kwadransami.

- Póki sami jesteśmy - popatrzył rotmistrzowi w zaspane, lecz szybko przytomniejące oczy. - Nie powiem: dopatruję się jakiegoś sensu w demokracji i jej ideach, ale ślepy fanatyk nie jestem. Łajno wyszło z głosowań, widziałeś. Więc po prostu jadę. - Usta Zbrhla zastygły w połowie szerokiego ziewnięcia. - Petunka kłopotu ci nie sprawi, a Lendę, gdyby czegoś głupiego próbowała, po prostu zwiąż. To moja uczennica, więc w prawie jestem i niniejszym ci owego prawa czasowo użyczam.

- Lendę? - upewnił się Zbrhl. - Oszalałeś?

- W ostateczności - spuścił z tonu Debren, zerkając ku wiodącym na zaplecze drzwiom.

- Co chcesz zrobić? - zapytał rzeczowo Zbrhl.

- Znajdę różdżkę i pojedę w stronę mostu. - Uśmiechnął się

trochę krzywo. - Przemówię do zamostkowiaków.

- Z różdżki? - Zbrhl wziął pierwszy z brzegu kufel, podstawił pod kurek. - A nie lepiej tutaj, zza osłony?

- Z różdżki pewnie lepiej - zgodził się Debren. - Ale ja nie chcę z nimi walczyć. Szarzak o dialogu wspominał, nie waleni piorunami. Spróbuję ich przekonać...

- By z dobrobytu zrezygnowali? - wszedł mu w słowo Zbrhl.

- Wiesz co? Załóż tę łebkę po Yeżynie. Jeszcze jeden uraz głowy, a do reszty zgłupiejesz. Przemówić? Na widłach cię rozniosą, nim usta otworzysz. Niby co im chcesz powiedzieć? Że jak się książęcy szlak otworzy, to ruch na królewskim najwyżej o połowę spadnie?

- Przesadzasz. Mostu nie ruszymy, bo go najwyraźniej główna kłątwa obejmuje. Może córka Petunki ruszy, jak dobrze pójdzie. A póki most stoi, królewskiemu szlakowi poważna konkurencja nie grozi. Choćby z racji tego, że cholernik potrafi wodę zagęszczać i konkurenta podtapiać. Książęcym pójdą piesi, juczne zwierzęta i może co lżejsze furmanki. Na pewno nie ciężkie wozy kupieckie, a to z tych gościńce żyją i wsie przydrożne. Nie jestem ekonomistą transportu, ale jak o jedną, dwie tuzinne obroty zamostkowiakom spadną, to góra.

- W ogóle ekonomista nie jesteś. Za spadek o pół tuzinnej wojnę można sprawcy legalnie wypowiedzieć. Może dla czarodziejów tuzinna w tę czy tę to bagatela. Ale zabierz normalnemu człowiekowi choćby i denara z grosza dochodu, a gołymi rękami cię udusi. I nikt mu złego słowa nie powie.

- Zamostki to demokratyczna wieś. U fundamentów demokracji leży solidaryzowanie się z bliźnimi. Nie może być tak, by na krzywdzie Petunki opierał się ich dostatek.

- Debren, dostatek ma to do siebie, że na niczym innym się tak dobrze nie oprze. Z czego wszelki wzrost płynie? Z koncentracji kapitału. A co to jest ten skoncentrowany kapitał? Srebro, co to je rozumny człek dla siebie zagarnął,



miast się z głodnymi gołodupcami solidarnie i po równo dzielić. Solidarność do dostatku tak się ma jak owca do wilka.

- Dajmy spokój ekonomii - skapitulował Debren. I rozejrzął się wymownie po izbie. - Gdzie Lenda?

- Lenda? - zdziwił się rotmistrz. - To nie w łóżu? Debren bez słowa przeszedł do kuchni. Wbrew cichym nadziejom, nikt nie gotował tu dla niego śniadania. Dalej też nie poszło mu lepiej: nikt nie stroił się w suknie Petunki, chcąc dostarczyć radości oczom świeżo upieczonemu kochankowi, nie penetrował loszku w poszukiwaniu trunków dla swego mężczyzny ani nawet nie wyręczał go przy nieprzytomnym Henzie.

Lendy nie było. Przynajmniej na dwóch niższych kondygnacjach oberży. Nie dowodziło to jeszcze niczego i na poddasze po prostu wszedł, zamiast wbiec. Śniadaniem, winem i uroczymi widokami nagradza się mężczyznę po udanej nocy. Tej Lenda do udanych zaliczyć nie mogła. Miała prawo zaszyć się w najdalszej z przeznaczonych dla gości izdebek. Powinien był od razu o tym pomyśleć. Ta brakująca poduszka... Była zbyt harda, by obnosić się ze swym upokorzeniem, a nie ma jak poduszka, jeśli ktoś chce dyskretnie odreagować. I wypłakać się można po cichu, i - co wcale nie gorzej pasowało do Lendy - pochlastać mieczem coś, co da się efektownie zniszczyć, nie czyniąc wiele hałasu.

Znów się prawie uśmiechnął. Bożycu... Nie wiedział, jak jej spojrzeć w oczy, a sam do siebie szczyrzył zęby, gdy tylko trochę o niej pomyślał. Zbrhl miał rację: jego głowa stanowczo domagała się hełmu.

Naprawdę było z nią marnie. Powinien to być zauważyć, ledwie wyszedł na korytarz. Nie zauważył wcale. Zajrzał za drzwi jak za każde inne, może tylko trochę bardziej zaniepokojony, bo wiele mu już ich do otwarcia nie zostało, a za żadnymi z poprzednio otwartych nie znalazł ani dziewczyny, ani nawet śladów po niej.

Tu też nie było Lendy. Nie mogło być. Lodowaty podmuch

uświadomił mu to tak szybko, że omal nie skompromitował się do reszty i nie zawrócił na korytarz. Śnieg zalegał podłogę aż po próg, pomieszczenie było ostatnim, w którym mogłaby ukryć się dziewczyna.

Dopiero widok opartego o ścianę kołka wepchnął mu serce do gardła. Kołek był właściwie małą belką, która, wspomagana deską i drugim kołkiem-zastrzałem miała zablokować drzwi, zatrzymać gryfa, gdyby przyszła mu ochota wdzierać się do oberży przez dziurę w dachu.

Drugi kołek też trafił z korytarza do izdebki. Leżał w zaspie, dokładnie pod otworem. Śnieg nadal padał, więc ledwie go było widać, ale już linę łączącą belkę z krawędzią dziury trudno było przegapić. Oblepiona bielą, nabrała gabarytów okrętowej liny kotwicznej.

Debren, zmrożony w środku jak podłoga pod jego stopami, przeciągnął po niej dłonią. Śnieg odpadł, ukazując długi ciąg węzłów połączonych żałośnie krótkimi odcinkami strzępiącej się tkaniny. Na krawędzi strzaskanego dachu plecionka omal nie puściła: portki Lendy miały w tym miejscu łatę. Ale los nie uśmiechnął się do Debrena i dziewczyna nie zwała się z dachu. Śnieg zalegający połać po drugiej stronie dziury leżał nierówno, po bokach wyraźnie grubszą warstwą. Tak jak powinien leżeć śnieg, kiedy ktoś stojący na dole raz, drugi i trzeci szarpnie liną, próbując spowodować pionowe ustawienie się belki i przewleczenie jej przez otwór. Nie miał wątpliwości, że od początku planowała coś takiego: z trzech ryglujących drzwi elementów wybrała najkrótszy, a skleconą z ubrań linę uwiązała do niego nie pośrodku, jak nakazywał rozsądek, a niemal przy końcu. Lina zakleszczyła się między kikutami więźby dachowej, więc po paru próbach Lenda dała za wygraną, ale sam pomysł nie był głupi.

Nie, wróc - był. Nie trzeba zaglądać za drzwi, by zauważyć, że podpierające je kołki znikły z korytarza. Nie mogła liczyć na tak daleko posunięte gapiostwo Debrena, a gdyby nawet, to

pozostawali przecież inni. Więc po co?

Bo to durna, zasmarkana, bezmyślna kretynka?

Zbiegł na dół. Chyba gwałtownie, bo powitało go nie tylko ostrze halabardy, chwyconej naprędce przez Zbrhła, ale i przytępione alkoholową mgiełką spojrzenie Petunki.

- Gryf?! - Rotmistrz odłupał drzazgę od zabytkowej poręczy, rozpaczliwym unikiem wyszarpując grot sprzed brzucha pędzącego czarodzieja. - Petunka, pod stół!

- Lenda - warknął przez zęby Debren.

- Lenda cię goni? - zdumiał się Zbrhl.

- Coś jej zrobił? - wymamrotała Petunka.

- Nic - warknął. - Nie wiem, może właśnie dlatego...  
Słuchajcie, ta idiotka wyszła. Wyszła z domu.

Od razu ruszył ku drzwiom, tym na podwórze, bo to z tamtej strony dach ział dziurami.

- Drop? - Przycupnięty przy kominku papuga nawet nie drgnął, w dodatku miał go niemal za plecami. A jednak zauważył. Właśnie bezruch, bo przecież nie spojrzenie, którym ptak starał się omijać wszelkie rozumne istoty, z umiarkowanie rozumną Petunka włącznie. - Drop? Ty coś wiesz? Na warcie stoisz, tak?

Ptak nastroszył się, kładąc równocześnie czub po grzbiecie. Wyglądał jak obrażona na świat sowa.

- Pewien jesteś, że wyszła? - zapytał Zbrhl. - Może po prostu zaszyła się z nocnikiem w jakimś kącie. Wiesz, że pstro ma w głowie. Wczoraj w nocy mało mi po pysku nie dała, jakem ją kucającą w krzakach zdybał.

- Po krzakach się za nią...? - Lekkie czknięcie przecięło kwestię Petunki.

- Wilkołak się wokół biwaku kręcił, tom podszedł bliżej, uprzejmie doradził, by za potrzebą na drugi koniec puszczy nie łąziła. To mnie obsobaczyła jak ostatniego, a Debren jeszcze od siebie dołożył. Że niby głupia nie jest, wie, co robi i mam się między nią a jej sikanie nie wciskać. Tak jakbym w

podobnych uciechach gustował.

- Nie poszła sikać - mruknął czarodziej, stając nad kurczącym się w oczach papugą.

- To tym bardziej - nie zrozumiał Zbrhl. - To drugie więcej czasu wymaga, a i oddalenia, jak kto chce dyskretnie...

- Drop? Popatrz mi w oczy. - Drop popatrzył, ale w głąb przewodu kominowego. - Jak coś jej się stanie, to cię żywego na rożen nabiję i na wolnym ogniu upiekę. Gadaj, co wiesz. Dokąd poszła?

- Pewien jesteś, że nie...? - Zbrhl, nie kończąc, zaczął kuśtykać ku drzwiom. - Łajno i kał, jakim cudem? Toż na zmianę czuwamy! Drop, jak przysnąłeś na posterunku, to się módl, by Debren z rożnem zdążył. Bo ja się z tobą tak pieścić nie będę.

- Obrrrra... - Beżowy dziób zamknął się z głośnym kłapnięciem. Debren nie miał żadnych doświadczeń, jeśli chodzi o dialogi z ptakami, ale bez trudu znalazł ludzki odpowiednik. Drop właśnie ugryzł się w język.

- Żadne drugie. - Petunka myślała tak, jak mówiła: wyraźnie wolniej. - Dwa dni spokoju. Tak powiedziała. O wygodkę zahaczyłyśmy, do łaźni idąc, to wiem, co mówię.

Zbrhl już otwierał usta, ale wziął przykład z papugi i ugryzł się w język. Odstawił halabardę i zaczął odblokowywać wyjście na podwórze.

- Nic nie powiesz? - zapytał cicho Debren. Ptak, nadal nie patrząc mu w oczy, pokręcił nieznacznie głową.

- I ona wie - pociągnęła wątek Petunka. - Świnia jesteś, Debren. Tak dziewczynę męczyć... Jak jej od tego paskudztwa nie uwolnisz, nie chcę cię tu więcej widzieć. Żeby coś takiego musiała na całe dni naprzód planować... To, że się puszczała, to jeszcze nie powód... Co było, a nie jest... Jak pies się na ciebie gapi. Prędzej sobie nogi oberżnie, niż je dla innego rozłoży. Nie musisz...

Zbrhl stęknął z wysiłku, odepchnął zastępujący drzwi blat

stołu, poszerzył szczelinę do stosownych dla swego brzucha rozmiarów.

- Przestańcie mleć ozorami - rzucił gniewnie. - Trza tej durnej kozy poszukać. Dam głowę, że do łaźni polazła. Nic ci nie chciałem mówić, Debren, ale jak nie matkę, to babkę jej musiał jakiś wodnik wychędożyć. Trzy dni się znamy i trzy razy zdążyłem ją nad strumykami przyłapać prawie ze spuszczonej portkami. Nie powiem, miło gdy niewiasta czysta i schludna, ale u niej ten pociąg do wody aż chorobliwy jakiś. Ani chybi: do łaźni polazła. Pewnie po to berdysz pożyczyla.

- Berdysz? - Debren lekko zeszywniał. - Twój?

- A niby jaki? Drew, powiada, narąbać muszę. Tom dał. No, szkoda czasu. Bierz tasak.

Debren wziął tasak. Bez przekonania. Czuł, miał niemal pewność, że wszystko nie będzie takie proste. Pewnie dlatego chodził i mówił, zamiast biegać i krzyżeć. Strach paraliżował i mięśnie, i gardło, ale nie w tym rzecz. Od samego początku, odkąd poczuł pod palcami chłód ośnieżonej liny, po głowie kołatał mu się stanowczy nakaz myślenia. Nie działania, a właśnie myślenia.

Może po prostu bronił się w jedyny dostępny mu sposób. Bo odeszła dawno i gdyby to czas miał decydować...

Z tyłu dobiegł stłumiony pomruk. Dropa, ale brzmiący ani trochę nie po ptasiemu. A dokładniej: brzmiący jak pomruk kogoś, kto wprawdzie ma ptasi łeb i skrzydła, lecz przyrośnięte do tygrysięgo ciała. Spojrzeli zaskoczeni w stronę stołu. Papuga postukał dziobem w szkic domu, po czym nastroszył się i udając ruchy kogoś, kto się skrada, zaczął obchodzić rysunek w koło. Potem wskazał skrzydłem klepsydrę i zatoczył powolny łuk ku powale.

- Zdumiał? - upewnił się Zbrhl. Debren nie miał ochoty odpowiadać, ale przemógł się.

- Chyba chce powiedzieć, że gryf krąży wokół domu, a

słońce już wzeszło.

Zbrhl posłał czarodziejowi mroczne spojrzenie.

- Łajno i kał, racja. Lendy nie ruszył, bo nocą jeszcze, przed terminem ultimatum... Ale teraz w prawie jest. Tylko czemu ten durny rosolak zwyczajnie nam tego nie powie?

- Odsuń się - przerwał mu cicho Debren. - Sam pójdę.

- Razem pójdziemy. Mówię jeno, że masz się mnie trzymać. I domu. Głupi piechur, co w otwartym polu wojuje. Słyszysz? Na długość drzewca od chałupy, nie dalej.

Na dworze było jaśniej, niż sądził. Inna sprawa, że nie trzeba było wiele światła, by dostrzec bałwanka. Stał na wprost drzwi i miał dobry łokieć wzrostu.

- Lenda? - W głosie Zbrhla słychać było niepewność, i Nic dziwnego: od ich ostatniej wizyty na podwórzu sporo się zmieniło. Za sprawą śniegu, który spływał z nieba wielkimi płatkami, ograniczając widoczność do kilkunastu kroków. Odciski stóp znajdowały się bliżej, ale świeżej bieli było na tyle dużo, że rozpoznanie ich przekraczało możliwości najlepszego łowcy.

Debren kucnął, musnął dłonią śnieżną figurkę. Ostrożnie. Białe kulki zachowały ślady jej palców.

- Lenda - potwierdził.

- To... bałwan?

- Nie depcz śladów.

Ruszyli równolegle do ściany. Zbrhl rozumiał chyba, że nie o samą taktykę chodzi, bo choć rozglądał się nieustannie i ani razu nie użył halabardy w charakterze wyraźnie potrzebnej mu laski, wziął na serio słowa czarodzieja i trzymał się daleko od koleiny. Bo tak przeważnie wyglądał trop: jak drogowa koleina. Wiatr do spółki ze świeżym śniegiem zatarły szczegóły. Coś tędy przeszło, ale Debren musiał zadać sobie pytanie, czy aby na pewno Lenda. Odosobnione leje stanowiły rzadkie wyjątki, dominowała zaś wąska bruzda, którą równie dobrze mógł pozostawić stąpający łapa za łapą gryf. Pisklak

był ze dwa razy szerszy od dziewczyny i rozstaw nóg miał odpowiednio większy, ale był kotem, a kot, jak wiadomo, swobodnie spaceruje po grzbiecie zbitego z cienkich desek płotu.

- Dziwne. - Zbrhl trącił śnieg końcem drzewca. - Jak to ona, to ze trzy razy tędy laża.

Debren przyznał mu rację. Krzak, owocowy chyba, rósł w pobliżu ściany i ktoś, kto pozostawił ślady, raz minął go od strony domu, a dwukrotnie obszedł, skręcając w głąb podwórza. Kolce na gałęziach wyjaśniały powody, lecz nie przesądzały o osobie. Lenda, zwłaszcza jeśli uciekła w samej sukience, była bardziej podatna na zadrapania, ale i pokaleczony gryf miał prawo unikać cierni.

Następną nieregularność znaleźli w miejscu, gdzie dziewczyna przesuwiała się wte i wewte, próbując ściągnąć zwisającą z dachu linę. O ile to coś zasługiwało na tak szumną nazwę.

- Toż to kaftan - zdziwił się Zbrhl, przesuwając sukno w palcach. - Co ona: zdumiała? Nie prościej sznur...?

- Trzeba mieć. - Rozchwiana Petunka pojawiła się za ich plecami z godną ducha dyskrecją. - A nam gryfy embargo założyły na wyroby powroźnicze. Wiesz: sieci, cięciwy... No i sznury moje by były, a kaftan jej własny. To porządna dziewczyna. Może i wodniczka, ale porządna. Nawet sukni nie chciała.

- Sukni? - Debren zmarszczył brwi.

- A tak - przypomniał sobie Zbrhl. - Zeszła z klepsydrę temu i zagadywała Petunkę o nową sukienkę. Pewnie żeby ci się nudną nie widzieć. Durne te baby, że uwierzyć trudno. Ledwie toto chodzi, nogi jak maszt długie, figura jak u klepsydry, zgrabna, że strach, chłopca ma już gotowego, w łożu, i zamiast o tym, co by tu jeszcze z siebie zdjąć, o ubieraniu się myśli.

- Jak się nie da pasa zdjąć, lepiej go ładnie przykryć - zauważyła Petunka. - Ale jej nie o to chyba szło. Najbrzydszą

chciała i najtańszą. Suknię, znaczy.

- Suknię? - powtórzył Debren.

- Pasa się nie da? - zdziwił się Zbrhl. - Że niby co: klamra jej się zacięła? Co za głupoty mi tu...?

- Suknię - kiwnęła głową Petunka. Na tyle stanowczo, że zarzuciło nią lekko. Czarodziej stał bliżej, ale to rotmistrz pierwszy przyskoczył z ramieniem. Chyba nawet nie zauważyła. - Robotę, mówi, mam do wykonania, pobrudzić się mogę albo co, więc daj najgorszą, jaką masz. Tom powiedziała, że do roboty lepsze portki i że znajdzie jej jakieś, a ona na to, że portki żadną miarą i musi być suknia.

- Mówiłem - pochwalił się Zbrhl. - Babska próżność. Jak znam życie, chciała, byś namiętność okazał, szaty na niej drąc. Romantyczka, ale rozsądna: jak już, to te gorsze na straty spisała. Mówię ci, Debren: nie myśl tyle, tylkożeń się. Swoje wady ma, ale drugiej takiej łatwo nie znajdziesz. Tylko nie wiem, jak z ubraniami wyrobisz.

Debren zignorował życzliwą radę.

- O czym jeszcze mówiła, Petunko?

- Trochę wypięłam - mruknęła tylko pozornie nie na temat oberżystka. - O czym...? A, no tak. O chłopach i dzieciach rozmawialiśmy.

- Jak to baby - wzruszył ramionami Zbrhl. Debren odnotował, że nie przeszkadza mu to w przytrzymywaniu kobiecej talii. W rozglądaniu się też nie. Inna sprawa, że w oczach nie miał już poprzedniego niepokoju. Chyba podobnie jak Debren uznał, że skoro gryf nie zaatakował do tej pory, raczej się już nie zdecyduje. - Ale że z nas nie baby, to może byśmy...?

- A konkretnie? - Debren nie na niego patrzył.

- O moim czwartym - powiedziała nieco ciszej Petunka. - Jak mnie nim chłopci z Zamostków uszczęśliwili i te cholerne ursoludy.

- Co? - Zbrhl drgnął. - O czym ty gadasz?



- A co, nie doszłam do czwartego? - Znieczulenie z gorzałki działało; jej głos brzmiał niemal normalnie, niemal beztrzesko. - No, proszę. Głowę bym dała... Dopadli mnie, gdy Vaclana do grodu wiozłam, do medyka. Ktoś plotkę puścił, że chłopak mocno gryfa poszczerbił, może i na śmierć. To się przy trakcie zasadzili i mnie za karę całą kupą wydudkali.

- Chłopi? - zapytał przez zęby Zbrhl. - Z Zamostków?

- Durna jestem - stwierdziła samokrytycznie. - Od tego zacząć powinnam. Bo i regułę trzech razy potwierdza, i drugą, że co zamach na kłatwę, to gorsze skutki. Mama biesiarza najęła, to przyjechał Gwadryk i mi Vaclana zrobił. Bolało, ale nie tak bardzo. O konsekwencjach mówię, dziecku znaczy. Cedrzyh Belniczan na gryfa poprowadził, łupów nie było: Belniczanie mi córkę zmajstrowali. Bolało bardziej, gdy potem zmarła. Vaclan poszedł na gryfa - i znów niechciana ciąża. Gdybym nie poroniła, to jeszcze bardziej by bolało. Bo niedźwiedziatko bym powiła. Któremuś z bratanków sołtysa strzał wyszedł. Kudłate było, łeb jak mały ceber... Nie wiem, jak bym... Pewnie ze skały bym razem z maleństwem skoczyła. Zawsze to moje dziecko. Więc niby ciut lepiej się skończyło, choć raz się Bóg ulitował. Ale wolę nie myśleć, co by się stało, gdybyście teraz Pisklaka ubili.

Zbrhl nic powiedział. Zabrał tylko rękę z jej biodra i ujął w dłoń drobne palce Petunki.

Debren odwrócił się na pięcie i brnąc po kolana w zaspie, podszedł do narożnika budynku.

- O co pytała? - Nie oglądał się za siebie.

- O zamostkowiaków. Czy przyjdą, pomogą gryfowi. Wdrapał się na sąg drewna opałowego, starł śnieżną czapę z czegoś, co samo przypominało białą narośl śniegu, przyklejoną do zębatego grzbietu częstokołu.

- To poduszka? - zapytał z niedowierzaniem Zbrhl. Debren rozejrzał się, zeskoczył z sągu, zdjął z gałęzi jabłonki ośnieżoną płachtę. Uderzenie dłonią przywróciło jej wygląd

kaftana z kapturem. Sztywnego jak deska. - W co ona się bawi, łajno i kał? Petunka, czy wyście czasem nie piły we dwie, jak spałem? Bo nijakiego sensu tu nie widzę.

- Petunko - Debren odsunął go od oberzystki, położył dłonie na jej ramionach. - To ważne, postaraj się... Wzięła coś jeszcze? Dałaś jej tę sukienkę w ogóle?

- Z bólem serca. - Starła się, ale wychodziło jej tak sobie. Gorzelnicy z Dangizy znali się na robocie. - Na szmaty ją miałam. Fatalny krój, bura jak habit i mole ją napoczęły. Prosiłam, by inną, tłumaczyłam, że nie do twarzy jej - Ale pogadasz z taką? Uparte to jak...

- Wzięła coś jeszcze? - powtórzył.

- Z ubrań? No, onuce. Ale to wczoraj.

- Do sukni nie nosi się onuc - pochwalił się obyciem Zbrhl. Odstawił topór, schylił się, wbił dłoń w zaspę.

- Głupis! - wzruszyła ramionami. - Ona akurat... A zresztą, jak szła spać, nie było mowy o sukni. Widać jej Debren coś przykrego o stroju powiedział, no to się przed świtem zerwała i po ratunek przybiegła. Dranie jesteście. Niby to się śmieją z babskiej próżności, a ubierz się niedbale, to cię od czupiradeł wyzwą.

Zbrhl wyprostował się. W rękę trzymał lekko okopconą kuszę. Wyglądała na całą, ale z cięciwy zostały tylko dwa czarne knoty przy rowkach łączyska.

- Pewna jesteś? - Debren ścisnął mocniej ramiona Petunki. - A buty, kozuch, coś ciepłego? Z tego, w czym tu przyjechała, linę skreśliła. Musiałaś jej dać coś oprócz sukni i onuc.

- Może jestem pijana - przyznała odważnie. - Ale nawet Rovoletto nie miał odwagi mnie pouczać w kwestiach z przyrodziwkami związanych. Choć artysta był.

- Nie o tym...

- A ona jest porządna - nie dała mu skończyć. - Powiedziałam, by brała, co chce. Chciała sukni, niczego więcej. Jeśli sugerujesz, że potem cichcem coś podkrađa...

Debren zostawił ją, drapał się z powrotem na sąg. Po chwili był po drugiej stronie częstokołu. Poszło łatwo: najpierw poduszka uchroniła jego brzuch przed ostrymi czubkami pali, potem zwisająca spod niej onuca przed koniecznością skakania z wysoka.

To właśnie onuca zaintrygowała wyglądającego zza ogrodzenia Zbrhla.

- Ktoś się poddaje? - uniósł białe płótno.

- Ktoś skakać nie mógł. I zdjąć nie zdążył - wyjaśnił Debren. Rozejrzał się po zasłanym ośnieżonymi trupami poboju. - Z nich też chyba niczego...

Zbrhl ostrożnie przełaził przez grzbiet palisady i, nie ufając onucy, opuścił się po drzewcu halabardy. Było długie, więc zeskok minimalny, ale i tak noga nie wytrzymała. Rotmistrz wyłożył się w zaspie.

Pod resztami daszku osłaniającego ganek prawie nie było świeżego śniegu. Debren wyzbył się złudzeń. Stał tam nadal, tępo wpatrzony w odciski jej pięt, kiedy owionął go miły zapach podgrzanej kobiecym ciepłem gorzałki.

- Durna smarkula. A zaklinała się, że w rzyci ma wygląd. - Zbrhl posłał Petunce zdziwione spojrzenie, więc wyjaśniła: - Nie widzisz? Boso po śniegu biega. Znów jej, cholera, wstyd suknię z łapciami mieszać.

Rotmistrz milczał przez chwilę, patrząc to na utrwalone w śniegu odciski bosych stóp, to na Debrena.

- Dobrze Petunka mówi - mruknął wreszcie. - Popatrz tam dalej: faktycznie biegła.

Miał rację. Trop znów, jak w przypadku krzaka, rozgałęział się. Co najmniej raz Lenda zrezygnowała ze wspinania się na niski skądinąd ganek i pobiegła dłuższą trasą wokół pomostu.

- Kocich nie widać - dorzucił Zbrhl tonem pocieszenia.

Debren prześliznął się pod poręczą, ruszył wzdłuż ganku. Zatrzymał się obok naderwanego szyldu. Wpatrywał się w drzwi. I napis. Było już na tyle widno, że nie miał problemów

z jego odczytaniem, choć użyty inkaust był podłej jakości, wodnisty, a drzwi ciemne ze starości. Jeśli raz po raz zaczynał od nowa, to nie dlatego, że nie potrafił dobrnąć do końca. Nie rozpisala się zanadto.

*Mc miłuję, nie szukaj, żegnaj, Lenda. PS: Jest maty i żaloszny.*

Nie zauważył, kiedy stanęli za jego plecami. Ze wstrząsu bezpałowego wyrwały go dopiero słowa Petunki.

- No proszę - powiedziała. - Jeszcze i duchy. Jakby mało było kłopotów.

Zza ściany, przez szparę, przyglądał im się Drop. Debren słyszał wyraźnie chrobot pazurów po podłodze.

- Duchy? - zdziwił się Zbrhl. - O tych kulfonach mówisz? Duchy, jak już, piszą ostrogrockimi runami albo hieroglifami z Dekturanu. Że o podpisie nie wspomnę. Pstro w głowie ma smarkula, ale przynajmniej na to jej rozumu starczyło. Choć przyznam, że dowcipu nie pojął. Co wyście w nocy wyczyniali, Debren, że tak jej się we łbie poprzestawiało? Czarowałaś? Czy może zwyczajnie, piwo w robocie było? A w ogóle to skąd ona barszcz wzięła?

- To krew - mruknął Debren. Podszedł do drzwi, dotknął palcem runy „L”, przyłożył palec do nosa, potem do ust. - Z wodą. W śniegu musiała zmoczyć.

- Co zmoczyć? Ranę?

Debren nie odpowiedział. Popatrzył z uwagą na poruszającą ustami oberżystkę.

- Głośniej - powiedział łagodnie. Przełknęła ślinę, zerknęła na niego niepewnie.

- Nie mówiłam wam o tym, prawda?

- O czym? - zmarszczył brwi.

- Gdyby nie ortografia... - Przeniosła spojrzenie na różowy napis. - Inaczej wtedy pisali. Ale poza tym... I jeszcze ta krew... Pewien jesteś, że to Lenda? Ta twoja?

Nie był pewien. Wiedział, jak smakują jej usta i pot. Ale nie

miął okazji zapoznać się z kompozycją krwi, moczu, mydła, rdzy i stopionego w dłoniach śniegu. To znaczy, pomijając śnieg, owszem - miał taką okazję. Tyle że ją zaprzepaścił. Jak ostatni cham. I dureń.

Ale nie umiał tego wyjaśnić zbyt pijanej Petunce i zbyt trzeźwemu Zbrhlowi. Zwłaszcza że było coś ważniejszego.

- Ta moja? - zrobił krok w stronę oberżystki. - O czym ty...? Moja? A niby jaka miałyby...?

- No przecież... księżniczka.

- Księżniczka?

- Dobrze się czujesz, Debren? Boże, co wyście tam wyprawiali? Ona ucieka, ty nieprzytomny. To przez ten pas? Czarowałeś? Jasna cholera, durna nie jestem, widziałam, że zamka nie ma. Magia, tak? Zakłamię zamknięty? A ciebie tak przypiliło, żeś próbował...?

- Można wiedzieć, o czym gadacie? - warknął Zbrhl.

- Co za księżniczka? - Debren puścił mimo uszu i jego pytanie, i wszystko, co powiedziała Petunka. Na szczęście wyczuła, na co się zanosz, i odpowiedziała, nim posunął się do rękoczynów.

- A niby jaka? Ledoszka, puszczałskie nasienie. Przyglądał jej się tępo przez dobre pół pacierza.

- Powiedziałaś, że Lenda. Nie żadna Ledoszka, tylko Lenda. Inna. A księżniczka...

Sam wyczuł, jak płaczkliwie to zabrzmiało. Całkiem jak skarga małego chłopca. Niewiele z tego zrozumiała, ale już teraz znalazł załączki współczucia w jej oczach.

- Tak do naszej historii przeszła - powiedziała tonem, który ocierał się o przepraszkający. - Ledoszka Lisiczanka, po matce. Ale myślałam... myślałam, że w Lelonii na kopy macie niewiast o tym imieniu.

- Ledoszek? - uśmiechnął się gorzko, o ile to w ogóle był uśmiech. - Jednej byś nie znalazła.

- Ty znalazłaś - wzruszyła ramionami.

- Lendę. Nie żadną Ledoszkę, tylko...

- A jak się to imię zdrabnia?

- Zdrabnia? - popatrzył na nią oszołomiony.

- Dorma na łbie stawiała, by córkę Pretokarowi wcisnąć. Chciał dziewicy, a dziewictwo się z młodością kojarzy. Więc w listach nigdy smarkuli Lendą nie nazwała.

- Ale Ledoszka?! - Coś się w nim buntowało przeciw zestawianiu jej z tamtą, tak pokrzywdzonej przez los. - Żadnej tak u nas nie wołają! Lendzia, Lendeczka, czasem Lendusia...

- ...rdzawo siusia - dokończył Zbrhl. Debren zastygł z rozchylonymi ustami. Rotmistrz wyjaśnił: - Nad Wiórną takowy napis widziałem, na stodole. Pamiętam, bo się nim komtur okrutnie przeraził. W tamtych stronach, na pograniczu, Lelończykom zbroja się tradycyjnie z Rycerzami Kołowymi kojarzy. Jak kogoś nie lubią, to mu mówią, że chrzęści czy rdzewieje. Niby że zakonny, Marygatu sługus. Po okupacji ponoć drucianą szczotką czyścili baby, co się z Kołowatymi zadały. Jakby napis o politykę zahaczał, mogłyby się okoliczne ladacznice wystraszyć i ceny podnieść. A morale i tak nisko stało, bo na Kummonów gołodupców głównie trafiliśmy i łupy były do rzyci. Na szczęście nie o walkę z kolaboracją szło. Ze wsi kto żyw uciekł, ale wywiad rzucił do roboty najlepsze siły, czarami się wspomógł i ustalił, że to robota lelońskiego łuczniaka konnego. Perwersa, co babę opancerzoną, markietankę zapewne, za stodołą podpatrywał i daremnie o dudkanie zagadnął. Morde mu za podglądactwo obila, to wziął pomstę. Co jednak znaczy współczesna magia - pokiwał z uznaniem głową. - Z paru śladów tak caluszką historię wyczytać, choć to jeno mocz i wybite zęby, nie runy...

- I dobrze, że nie runy - zauważyła Petunka. - Jak widać, z runami czarodzieje problemy miewają. Lelończyk z krwi i kości - zerknęła na Debrena - za granicą bywały, we wczesnowiecznych księgach odczytany z ich dziwną pisownią, a nie połapał się, że o Lenduszkę chodzi. Tyle że

przez „e” z ogonkiem i „o” z kreską pisaną. Które to znaczki obcokrajowiec z natury pomija.

Debren wzruszył bezradnie ramionami, odwrócił się, znów popatrzył na drzwi.

- Ona... tamta... Naprawdę coś takiego...?

- Słowo w słowo. I też takową krwią. Tyle że archaicznie bardziej. Z kusym.

- Z czym? - nie zrozumiał.

- No wiesz... Zamiast małego.

Nawet nie zaboląło, choć powinien poczuć się upokorzony zakłopotaniem w jej głosie. Zbrhl, na swój sposób, też popisał się delikatnością.

- Młodzież co pokolenie, to gorsza - pokręcił głową. - Księżniczka niby wredna, a proszę: jednowymiarowo Pretokarowi przycięła. A Lenda, choć poczciwa dziewczuszka, od razu w trzech wymiarach Debrenowi...

- Niczego mi nie... - Debren ugryzł się w język.

- Przygadała, znaczy - wyjaśnił Zbrhl. - Toć wiem, że ci niczego. W zbroi żadne z was nie chadza, to ci się nie przytrafi to, co jednemu mojemu znajomkowi z kopijniczej chorągwi, któren też za stodołą, w pośpiechu...

- Debren? - Petunka ujęła czarodzieja za zwieszoną bezwładnie rękę. - Coś ty jej zrobił? Czy może ona tobie? Dorośli jesteście, nie musisz... - Popatrzył jej w twarz. - Wiem, że to trudne. Mnie też nie było łatwo o tych wszystkich gwałtach... Ale tu o życie idzie. Boso gdzieś pognała. W dziurawej sukieneczynie. Jak jej szybko nie znajdziemy, to sam mróz, bez pomocy gryfa...

- W łapciach - powiedział cicho.

- Skąd możesz wiedzieć? W wywiadzie u Kołowatych nie służyłeś. - Trąciła cizmą słabo widoczny, ale czytelny odcisk stopy. - Tu boso biegała. Machrusie słodki, jakie to biedactwo zakompleksione... Jeżyk z wierzchu, a pod spodem istna galareta. Wiesz, dlaczego boso po śniegu z takim uporem łązi?

Bo jej pewnie jakiś kretyn powiedział, że nogi ma za duże. A jakiś inny kretyn nie powtórzył sto razy, że przede wszystkim ładne.

- Jakiś kretyn - wzruszył słabo ramionami - zna ją, jak tak dobrze policzyć, że sto klepsydr najwyżej.

- Skąd wiesz, że w łapciach? - zapytał rzeczowo Zbrhl. I rozejrzał się. - Całkiem ślady zawiało.

Mówił o usłanym trupami pobojuwisku, nie ganku.

- Bo onuc na linę nie przerobiła, choć poręczniejsze. A tylko dureń używa samych onuc, mając pod ręką obuwie.

- No, za mądra to ona nie jest - zauważył Zbrhl.

- A onuce - dopowiedziała Petunka - niekoniecznie między nogi a cizmy wpychamy.

Zbrhl puścił to mimo uszu. Sunąc wzdłuż śladów dotarł do wyłomu w palisadzie. Przełaząc nad kikutami zgruchotanych słupów, Debren wyzbył się resztek złudzeń.

- Taaak - mruknął rotmistrz. - Za mądra nie jest. Niby dalekosiężne planowanie, trzecia onuca, poduszka, by żywota nie pokaleczyć, a o dziurze zapomniała. No i to bieganie w kółko... Histeria jak nic. Znam to. Zdrenka, bywało, też do stodoły czy sadu umykała, jakeśmy się pokłócili. Dobrze chociaż, że kozucha koza nie wzięła. Bo dalej by polazła, pobłądziła i zamarzła. A tak to złość wywietrzy, zziębnie i razdwa wróci.

- Wróci? - najeżyła się Petunka. - A ty chcesz po prostu siedzieć na tyłku i czekać, aż...?

- Najpierw pogadać musimy - uciał.

Ruszyli w stronę drzwi. Debren dopiero teraz dopatrzył się drugiego tropu Lendy biegnącego w głąb podwórza. Trop zaczął się właśnie przy drzwiach.

I przy bałwanku. Debren, ciut późno, zauważył, że do tradycyjnych trzech kul Lenda dodała sopel. Nawet spory, ale widocznie mniejszego nie miała pod ręką. Sopel, wbity w



dolną część najniższej kuli, wyraźnie mierzył w ziemię. Wszystko jasne. Tam, przy frontowych drzwiach, dziewczynie skończyła się krew, ale nie złość.

Znów nie bolało tak, jak powinno.

Wśliznęli się do izby, lecz Zbrhl nie próbował barykadować wejścia.

- Jak w obejściu siedzi - wskazał śnieżny tuman i skryte za nim zabudowania - to okrzyk usłyszysz. Tyle że gryf też. Wyszła po ćmie, mógł ją przegapić. Może być tak, że o niej nie wie. Zaczniemy wołać, domyśli się i...

- Idę - powiedział Debren ze spokojną desperacją.

- Nigdzie nie idziesz.

- Nie możesz mi zakazać.

- Mogę - zapewnił rotmistrz. - Prawem silniejszego. I bardziej doświadczonego. Świta, Debren, a my nie w drodze. Wojnę, znaczy się, mamy. Nie wtrącałem się, gdy o czary i negocjacje szło, ale teraz... Za długo wojuję, by bez namysłu w ryzykowne manewry się wdawać.

- Muszę ją znaleźć. Odsuń się.

- Nie. - Skrzyżowali spojrzenia, równie chłodne, jednakowo zdecydowane. Debren, zaskoczony, ale i nieco otrzeźwiony, odstąpił o krok. Zbrhl dla odmiany złagodził ton. - Widzę, że ją... Ale musisz rozumem myśleć, nie tym w portkach. Jak żyje, to głupotą jeno jej zaszkożymy, a...

- Jak żyje?!

- Pewnie nic jej nie jest - powiedział szybko rotmistrz. - Nikt nic nie słyszał, a bez jednego dźwięku takiej jak Lenda to i smok by nie ubił. No i uważała. Skoro trzy razy chałupę obeszła i berdysz wzięła, znaczy, że ostrożna. Weź z niej przykład. Nie wariuj. Pomyśl lepiej, co się stało, że wyszła. I dokąd, po co?

Debren od dawna o niczym innym nie próbował myśleć.

- Skąd mam wiedzieć? - burknął.

- Napisała, że masz... - Petunka taktownie nie dokończyła. -

Pyskata jest, ale czegoś takiego by bez powodu...

- Więc widać ma powód - rzucił przez zęby. - Mój problem, może też jej. Wasz nie. Odejdź od drzwi, Zbrhl.

- Łajno mnie obchodzą wymiary Debrena - rotmistrz posłał złotowłosej gniewne spojrzenie. - A i ta durna smarkuła coraz mniej, skoro mu za całe jego serce kopniaka w takie miejsce... Niewdzięcznica.

- Lenda nie napisałaby czegoś takiego bez cholernie mocnej przyczyny - mruknął magun. Wypatrzył porzucony gąsior, łyknął solidnie. - Petunko, niewiastą jesteś. Powiedz: po co dziewczyna robi coś takiego?

Pytał poważnie, a ona poważnie i długo zastanawiała się nad odpowiedzią.

- Widzę trzy powody - mruknęła w końcu. - Alboś ją równie okrutnie w dumę ugodził i... Nie, czekaj; nie równie: po dziesięciokroć bardziej. To nie tępa wiejska dziewczka. Za wiele subtelności w sobie ma, by z miejsca aż tak... Po drugie... zaraz, co to chciałam...? Aha: jak nie odwet, to zwyczajnie... prawda. Uczciwie sprawę stawia: nie kocha, żegna, radzi by na poszukiwania czasu nie tracić, bo nic z tego nie będzie. I konkretny powód podaje: cielesne niedopasowanie stron. Może niedouczona jest w tym względzie i boi się, że przez tę twoją krótkość macierzyństwa nie zazna, a może po prostu bez zmysłowych uciech wytrzymać nie może. Ku temu drugiemu bym się skłaniała, bo czytanie po niej widać, a pas co nieco sugeruje.

- Jaki pas? - nie zrozumiał Zbrhl.

- A trzeci powód? - zapytał spokojnie Debren.

Nie od razu odpowiedziała. Najpierw, znamiennie długo, patrzyła na rotmistrza. Oczy miała trzeźwe i smutne.

- Po tym, jak Rovoletta pogrzebałam, dwa razy jeszcze serce mi mocniej zabiło. Za każdym razem do takiego, co by go gryf jednym dmuchnięciem... Tom pogoniła. Coś takiego tu w powietrzu wisi, że jak ja kogo, to i on mnie, zawsze z

wzajemnością, cholera... Więc musiałam brutalnie, bo się byle opryskliwością i złodziejskimi rachunkami nie zrażali. A i mnie niełatwo było podłość za podłością takiemu czynić, kiedy się serce samo rwało i aż nogami przebierałam, żeby...

- Petunko... - Debren rzucił spłoszone spojrzenie w kierunku znieruchomiałego Zbrhła.

- Nie umiałam inaczej, tom jak wrzód, rozpalonym nożem... Do łaźni, niby to przypadkiem, z nowymi różgami, potem caluśkie pożądanie z biedaka wycisnąć, ręką, by determinacji starczyło i bym się nie rzuciła czym innym... A na koniec, jak mu chwilowo miłowanie zelżeje, wyśmiać od kusych ogonków. Jeden do końca nie wierzył; musiałam iść między gości i jeszcze tam mu głośnymi komentarzami wstydu przysporzyć. Obaj wyjechali szczerze mnie nienawidząc. Popłakałam, odchorowałam, ale oni przeżyli. A Yeżyna... Jego na początku ani trochę, sami widzieliście, jaki był. No a potem już tak się zżyliśmy, że jak miłowanie przyszło, tom nie potrafiła. Zresztą, jeśli o przyrodzenie chodzi, to Bóg mu niedostatki rozumu wynagrodził. Nie uwierzyłby... No i proszę - popatrzyła na okryte obrusem ciało. - Zabiłam Yeżyna.

Zrobiło się cicho. Kuśtykanie Zbrhła wydało się w tej ciszy donośne jak walenie taranem, plusk nalewanego piwa kojarzył się ze średniej wielkości powodzią.

- Rozmawialiście - przerwał milczenie Debren. - Co mówiła?

- Nic właściwie - wzruszyła ramionami. Zbrhl sącył piwo. Albo udawał, by jawnie i publicznie nie gryźć kufla. Oboje nadal nie patrzyli na siebie. Debrenowi przemknęło przez myśl, że nóż używany przez Petunkę do nacinania wrzodów był cholernie tępy. - O sukni. I Yeżyna pocałowała. Nic nie mówiła, jeno się schyliła i... Myślałam, że to dlatego, bo już ledwo, ledwo...

- I to wszystko?

- Posłałam ją, by sukni poszukała. Nie mogłam Yeżyna

samego w takiej chwili zostawić. A, i powiedziałam, gdzie mam rzeczy po córeczce i żeby sobie pieluch wzięła. A ona...

- Pieluch? - Zbrhl oderwał w końcu zęby od kufła. Ale na Petunkę jeszcze nie spojrzął. - Debren? Naprawdę przy nadziei jest? To w tym rzecz? O to żeście się...? Łajno i kał, chyba nie powiedziałaś jej, że pora nieodpowiednia i żeby drugiej Sierosławy poszukała?!

- Siero...? - Zrozumiał. Uśmiechnął się smętnie, bez urazy. - Nie. To nie to. W życiu bym...

- To po co pieluchy brała?

- Nie brała - sprostowała Petunka. - Właśnie mówię, że nie. Powiedziała, że onuca jej starczy i coś tak jakby... no, że jeszcze by Zbrhła drugi raz ubiła.

- Drugi raz? Mnie? - zdziwił się rotmistrz.

- Pod nosem mruzczała, tom za dokładnie nie usłyszała.

- Coś jeszcze o Zbrhlu mówiła? - przerwał Debren. Petunka opuściła twarz. Chyba nieco czerwiejszą.

- To... nic ważnego - bąknęła. - Nijak się nie ma... Takie tam babskie gadki.

Debren czekał chwilę. Nie doczekał się.

- Staram się ją zrozumieć - wyjaśnił. - Jak będę wiedział, dlaczego uciekła, to może zgadnę, dokąd. I może dogonię, nim coś złego się stanie. Proszę cię, Petunko: pomóż mi.

- Powiedziała, żebym go pilnowała - wymruczała, nie patrząc na nikogo. - Bym nie zważała, że to jeno parę klepsydr, że całkiem obcy, włóczykij, golec, że nic o nim nie wiem. Mówiła, że ona też tak kiedyś kogoś w świat puściła i odtąd co noc poduszkę to łzami moczy, to gryzie. Że nim decyzję podejmę, mam go tu choć do wieczora przetrzymać, w serce się wsłuchać.

- Co? - Zbrhl opuścił z wrażenia rękę z kuflem, resztki piwa spłynęły na spodnie. - Lenda ci takie rzeczy...?

- Chciała, bym obiecała, że go nie puszczę - ciągnęła Petunka. - Byśmy czas mieli i oboje świadomie... No i

poczekali, zobaczyli, bo może gryfowi się zdechnie, bo przecież ten kapalin... I że jak gryf padnie, to może i most. Bo, mówi, Debren to łgarz; nie ma powodu mu wierzyć, że nic jeden do drugiego nie ma. Sprawdź, czy most dalej stoi, a dopiero potem Zbrhlowi kosza dawaj, jeśli już.

- Nalegała, tak? - zapytał Debren, marszcząc brwi. Kiwnęła głową. - To już chyba wiem, o co w napisie szło. Cholerna intrygantka. Bała się, że za nią pogonimy, więc mnie po ambicji trzasnęła, od kusych wyzywając i bałwanów, a Zbrhla tobą poszczuła.

- Ale po co? - mruknął rotmistrz z bezsilną złością.

- Linę próbowała zdjąć. - Debren myślał na głos. - Hałas, strata czasu, a mimo to... A kaftana nie wzięła. Psiamać... kaftan! Dlaczego on w ogóle...? - Odwrócił się, popatrzył na kogoś od początku wciśniętego w najgłębszy cień. - Drop? Wyleciałeś z nią wtenczas. Specjalnie zdjęła i odwiesiła? By rano, jak się wymknie...? Nie, czekajcie... - Zapomniał o ptaku. - Skoro przez dziurę laźła, to i kaftan mogła zabrać.

- To może nie planowała dziury? - posunął Zbrhl.

- Kiedy po konia szliśmy, każdy chyba trochę wierzył w to zawieszenie broni. - Debren wpatrywał się niewidzącym wzrokiem w skulonego w kącie papugę. - Może liczyła, że nic się nie stanie, spokojnie wrócimy i jak następnym razem ktoś zechce do wygodki, to wartownik po prostu go bez pytania wypuści. Zbrhl nawykł, że w krzaki chadzała, choć wokół wilkołaki. Puściłby.

- O, takiego. - Rotmistrz pokazał, jakiego. - Wilkołak to jedno, a ten latający cholernik... Może bym i puścił, ale po rzeczowej dyskusji. - Przerwał na chwilę. - A nie pomyślałeś, że się... no, że morale jej padło? Bywa tak na wojnie. No i to dziewczyna. Łażni zakosztowała, pierzyny, chłopca obok, na okrągło tu o dudkaniu i rodzeniu gadamy... Może jej się zwyczajnie babski instynkt odezwał? Do spokojnego życia zatęskniła, domu, dzieci? Nie jest już taka młoda, czas

najwyższy... A to tutaj to nie jej sprawa.

- Myślisz, że stchórzyła? - nazwał rzecz po imieniu Debren. Potrafił, nie bolało. Nie oczekiwał wiele od Lendy Branggo. Chciał tylko, by żyła.

- Może. - Zbrhl też nie wyglądał na poruszonego. - A może na odwrót: poszła, bo taka odważna. Berdysz wzięła, przypominam. Pewnie po to, by się lepiej wybronić, gdyby co, ale może być i tak, że sama gryfa szuka. Łajno i kał, nie wiem. Dziwna jest. Nic ci nie mówiłem, ale w głowie to tak całkiem po kolei ta twoja Lenda nie ma.

- Chyba nie - zgodził się czarodziej.

- Jak w bój, to w spodniach powinna - zauważyła Petunka. - Baba nie baba, w bój się w portkach chadza.

Debren patrzył na nią przez chwilę, potem z uznaniem kiwnął głową. I uśmiechnął się blado.

- Masz rację. I chyba wiem, czemu kaftana nie zabrała.

- W panikę wpadła i zapomniała? - domyślił się Zbrhl.

- W sukni z dała widać, że niewiasta. Większa szansa, że gryf bez przeszkód...

- Obrrraza! - przerwał mu gniewny okrzyk z kąta. - Grrromada krrretynów! Oszczerrrey!

Nikogo zbyt nie uraził, ale zaskoczył wszystkich.

- Co, dziób ci się rozkleił? - ucieszył się rotmistrz. - To może nam powiedz, bratku...

- Morrrda w ceberrr - przerwał mu ze złością i żalem Drop. - Wyrrrrażny rrrrozkaz. Parrrol.

- To do mnie było? - zjeżył się Zbrhl. - Morda w...?

- Do niego chyba - powiedział zdziwiony Debren. - Jak rozumiem, Lenda kazała mu trzymać dziób na kłódkę.

- Rrrrozumiesz prrrawidłowo. Cholerrra.

- Cholera? - powtórzyła Petunka, biorąc się pod boki. - Ale mówić nie chcesz, tak? Bo parol dałeś?

- Prrrawda.

- A nie pomyślałeś, durniu pierzasty, że dziewczuszka może

zginąć? Masz mi tu zaraz gadać wszystko, bo...

- Wrrrogość dośmierrtna - zaskrzeczał żałośnie ptak. - Separrrracja. Okrrrutne grrroźby. I rrrrozkaz. Wierrrność trrrradycją obwarrrowana. Rrrrodowa. Prrrradziadowie...

- Nie mówiłaś, że rozmawiali - przerwał mu Debren, zwracając się do gospodyni.

- Bo nie rozmawiali! Słowem się nie odezwał!

- To kiedy parol dawał? - zmarszczył brwi. - Drop?

- Dorrrradzanie zabrrronione.

- Nie o rady cię Debren pyta - warknął Zbrhl. - Akurat nam twój kurzy rozumek potrzebny...

- Morrrvacki gburr.

Rotmistrz ruszył w stronę ptaka. Petunka złapała go za łokieć, zatrzymała bez trudu.

- Czekaj... - W błękitnych oczach potrzeba myślenia zmagala się z alkoholowym przytępieniem. - Coś tu... Oni zawsze kuci na obie łapy byli. Wszyscy, cały ród papuzi.

- Ale mordy żadnemu nikt dawno nie skuł - rzucił przez zęby Zbrhl. - Puść, Petunko, a w pół pacierza...

- Durrrna Rrrrenda - zaskrzeczał Drop. - Brrrutala rrrratować... Oberrrzystce urroczej krrretyna rrraić...

Debren podszedł bliżej, przykucnął przed papugą, zajrzał pod gniewnie nastroszone, sowie brwi.

- Dokąd poszła? - zapytał cicho. - Wiesz, prawda? Ten kaftan na jabłonce... Obok byłeś, jak zdejmowała. To wtedy kazała ci przysiąc, tak? - Drop kiwnął głową. - Ale co? O czym masz nie mówić?

- Parrrol - przypomniał ptak.

- Ona zginie - powiedział jeszcze ciszej Debren. - Nie rozumiesz? Gryf ją zabije.

- Rrrryzyko umiarrkowane - zapewnił ptak, patrząc mu szczerze w oczy. Po czym umknął ze spojrzeniem. - Grrryf rrrycerrski. Oberrrzystki trrrapi, instrrukcją krrrępowany. Postrrronne... - przez chwilę szukał słowa - postrrronne

kurrry trrrrakuje tolerrrancyjnie.

- Co znaczy: ratować? - upomniał się Zbrhl. - Lenda? Mnie? O czym on...? Petunko?

- Nie wiem - westchnęła. - Tyle wiem, że z dziada pradziada dropy gryfom doradzały, a gryfy nigdy na tym źle nie wyszły. Łajdak z niego i gwałciciel, kury całkiem nie po rycersku traktuje, ale głupi nie jest. I w Lendzie się durzy. Więc tak sobie myślę, że skoro ją puścił, a teraz gadać nie chce... że może wie, co robi.

- Umiarrrkowanie - rzucił z goryczą ptak.

- Masz wątpliwości? - chwycił się szansy Debren. - To dlaczego...?

- Rrrozkaz. Grrroźba okrrropna. Separrracja.

- Więc nie powiesz? - warknął Debren. Drop milczał, patrząc mu w oczy z nieszczęśliwą miną. - Trudno. Biorę konia, Zbrhl. Poszukam jej.

- Oszalałeś - stwierdził rotmistrz.

- Lenda bardziej. - Debren schylił się po siodło. - I to o mnie gryfowi chodzi. Gdy się wyniosę, nie będzie miał po co na oberżę napadać.

- Jak mu o ciebie chodzi, to i Lendy nie napadnie. A jak nie o ciebie, to nas po kolei... Nie ma nic głupszego od rozdrabniania sił przed bojem. Zostaw tego konia.

Debren przerzucił siodło przez grzbiet wierzchowca, zaczął się biedzić z popręgiem. Koń go nie lubił, nadymał się, dreptał w miejscu. Stukot kopyt zagłuszył odgłos kroków. Kiedy zwrócił się twarzą ku izbie, już jej nie było.

- Gdzie Petunka?

Zbrhl rozejrzał się, zaklął, zapominając o broni skoczył ku tylnym drzwiom. Dopiero teraz, kiedy się naprawdę spieszył, widać było, jak poważnie ucierpiała jego noga.

I chyba cała reszta. Nim Debren dogonił go za progiem z pochwyconą w biegu halabardą, oberżystka już grzebała w śniegu daleko pośrodku podwórza.



- Petunka!!! - ryknął gromko i gniewnie Zbrhl. - Wracaj, durna babo!!! Biegiem!!!

O dziwo, usłuchała. Dopiero kiedy całą trójką wpychali się z powrotem pod osłaniający drzwi daszek, Debren dopatrzył się braku skruchy pod ośnieżoną czupryną.

- Weź - podsunęła mu oblepionego białą muzera. - Nie możesz z gołymi rękami...

- Po to łajno wybiegłaś?! - Zbrhl był tak zły, że sam zapomniał o konieczności powrotu do budynku. - Życie ryzykujesz dla jakiejś dziecięcej strzelawki?! Kretynka!

Chyba dotarło do niej, co zrobiła. Opuściła głowę jak zbesztane dziecko. I uniosła brwi.

- Co to? - wskazała białą figurkę.

- Ja - mruknął Debren. - Widać chyba, co miała na myśli.

- Bałwan - wzruszył ramionami rotmistrz. Zignorowała obu. Ukucnęła, przeciągnęła dłonią po głowie śnieżnego człowieczka. Po czym zniecka spoliczkowała biedaka. O dziwo, zamiast stracić głowę, pękł z góry na dół.

- Samiście bałwany - stwierdziła z satysfakcją, wyłuskując sprawczynię tak spektakularnej katastrofy. - Histeryczka, tak? Niewdzięcznica? - Machnęła triumfalnie wyciągniętą z resztek śnieżnych kul różdżką. - Pytałeś o napis, Debren? No to już chyba wiem, o co jej szło.

- Nie o...? - Zbrhl taktownie ograniczył się do trącenia sopła drzewcem halabardy.

- Aluzja nader czytelna - wskazała zwłoki bałwanka. - Każdy chłop w złość by wpadł. Nawet gryf, założę się, nie miałby wątpliwości, o co rozgoryczonej dziewce idzie. I że prawdziwego Debrena srodze ów widok zaboli.

- No i?

- Nie rozumiesz? Dwie pieczenie na jednym bałwanie upiekła. Raz, że gryf jej nie pożarł, bo za sojuszniczkę miał prawo uznać. Nikt tak nie nienawidzi, jak rozczarowana kochanka. A dwa, że Debren nieuchronnie musiał złość na

bałwanie wyładować, a więc i różdżkę znaleźć. Gdyby ją po prostu przed progiem zostawiła, Pisklak mógłby się tu przed nami zjawić i ukraść, a znów schowanej my sami byśmy nie znaleźli.

Debren rzucił jej niepewne spojrzenie.

- Myślisz, że to na drzwiach...?

- Czarodzieje - uśmiechnęła się, podając mu różdżkę - nerwy mają mocniejsze. Niełatwo ich rozsierdzić. Coś musiała zrobić, byś bałwanowi na pewno przykopa!. Mądra dziewczyna.

- Głupia - wyraził swój pogląd Zbrhl. - Mądra by z różdżką do oberży wróciła.

- Nie mogła. Toć go porzuca.

- I podła - dodał. - Sama widziałaś: łajno Debrena ów bałwan obszedł. Gdyby nie ty, do wiosny by tak sterczał. Podła jest. W nocy się z biedakiem uciechom oddaje, a że jej nie całkiem dogodził, to go rano z gołymi rękami na potwora posyła.

- Szaleju się opiłeś?!

- A tak. Wiadomo było z góry, że za nią pogna. Gdyby nie mój rozsądek, już by sobie z kapalinem dzień dobry u gryfa w brzuchu mówili. Masz rację, Lenda głupia nie jest. Musiała przewidzieć, że tak będzie. I co? I nic, wystawiła na hazard jego życie.

- Przecież zostawiła różdżkę - mruknął Debren.

- By większych wyrzutów sumienia nie mieć. Jakoś sobie musi w twarz przed zwierciadłem spojrzeć. Jak babie aż tak na łózkowych uciechach zależy, to bez zwierciadła się nijak nie obejdzie. Łajno i kał, a ja ją miałem za...

Weszli do oberży. Zbrhl bez słowa zabrał się do barykadowania tylnego wejścia.

- Nie wierzę - pokręciła głową Petunka. - Trochę przysypało, to nie widać, ale pośrodku podwórze całe aż zryte. Musiała dobrą szóstnicę tej cholernej różdżki szukać. Na kolanach. A

jak nogę zegnie, to jej łzy same w oczach... I sto razy mógł ją Pisklak zabić. Bała się, to widać. Póki mogła, domu się trzymała, jak my. A pobiegła szukać. - Debren, nie oglądając się za siebie, szarpnęła za belkę ryglującą drzwi frontowe. - Ona cię miłuje, choćby i kusego. Miłuje cię, Debren.

Otworzył drzwi, musnął wzrokiem koślawy napis.

- Nie rób tego - rzucił ponuro Zbrhl. Ale nie poruszył się, kiedy czarodziej ujmował końską uzdę.

- Nie rozumiesz - Debren posłał mu smętny uśmiech. - Raz mi się w życiu coś takiego trafiło. Ostatni pewnie.

Zaczął ciągnąć wierzchowca. Mróz ściał pobojuwisko, uwięził pod śniegiem odór krwi i śmierci. Ale koń pamiętał. No i nie lubił Debrena. Zaparł się więc, wbił zadem w kąt.

Zbrhl zaklął, przykuśtykał bliżej, odsunął czarodzieja.

Szarpnęła za wodze. Koń zrobił krok do przodu. Z boku doskoczyła Petunka, złapała za strzemień, pociągnęła. Zwierzę skapitulowało, ruszyło ku drzwiom.

- Coś ciepłego wezmę - mruknął Debren. Przeszedł przez kuchnię, zgarnął pierwszą z brzegu opończę zawieszoną na kołku w czeladnej. Wrócił, wyszedł na ganek - i znieruchomiał.

Zbrhl, póki co bez powodzenia z winy poharatanej nogi, przymierzał się do wsiadania na koń.

- Nic nie mów - uprzedziła Petunka. - Czort wie, dokąd ją poniosło. Prawie na pewno na południe, ku Rumperce, ale może być i tak, że do Belnicy, do domu. Jak się dziewczynie świat wali, to głupieje i pod skrzydła matki ucieka. Misiek podskoczy, sprawdzi na wszelki wypadek książęcy szlak. A ty biegnij na królewski. I na rozstajach w prawo, pamiętaj. Nie na most, tylko w prawo. Bo aż tak to nie zgłupiała, by przez Zamostki...

- Mamy cię samą zostawić? - zerknął nad jej ramieniem, szukając pomocy u rotmistrza. Ale Zbrhl nie patrzył w ich stronę, próbując utrzymać konia, utrzymać halabardę i

podnieść nogę.

- Czterdzieści trzy lata tu przeżyłam. To i następną klepsydrę przeżyję. Ile razy mam mówić, że mnie gryf nie tknie? Bierz - wepchnęła mu hulajkulę w dłoń.

- Nie trzeba. - Próbował oddać broń. - Ciężar jeno, wam tu się bardziej przyda. Słuchajcie, Zbrhl nie może...

- Nie pamiętasz? Nasze losy odmieni, jak dobrze ją wymierzyć. Gwadryka nie spotkasz, ale wróżka o pośredniości mówiła. Możemy ją źle zrozumieli? Z tą krwią księżęcą też widać coś nie tak. Może to w gryfa trzeba strzelić, nie księcia? Cedryh widać źle celował, ale ty magik jesteś. Weź, Debren. A jak za ciężka, to mnie też weź. Pobiegnę za tobą, poniosę. I nie będę się mieszać, gdyby... Debren? Co tak patrzysz?

Nie dziwił się, że zauważyła. Miał wrażenie, że dostał nie hulajkulę, a hulajkulą. Po łbie. Mocno.

Zbrhl, stękając z powodu ran, wdrapał się w końcu na siodło. Debren zaklął w duchu. Czas był cenny. Zbrhl też był cenny. Rozsądek nakazywał milczenie, ale...

- Co mu powiedziałaś? Nie zdążyła się odezwać. Rotmistrz był szybszy.

- To, co i tobie - burknął. - Bym Lendy szukał. Bo tu obaj czas tylko marnujemy.

Brzmiało sensownie i pewnie nawet dokładnie to mówiła. Ale Debren potrafił sobie wyobrazić jej twarz w tamtej chwili. Do tej pory miała ją niewiele ciemniejszą od otaczającego ich śniegu.

Dżuma i syfilis. Nie mógł tak po prostu...

- Petunko, tamtego dnia, na moście... Upadłaś, tak? Na widły może? Nie pokaleczyłaś się przypadkiem?

Oboje popatrzyli na niego jak na szaleńca.

- Pośmiewisko z siebie zrobiłam - rzuciła z goryczą. Ale aż taka offerma... Nie, nie pokaleczyłam się o własne widły. Nawet nimi jednego dziabnęłam. W łydkę.

- Pewna jesteś?

- Jak dziś wszystko pamiętam - posłała mu mroczne spojrzenie. - To on mi widły wyrwał i w przepaść rzucił. Myślałam... Chciałam, by mnie na pikach w strzepy roznieśli. Mało ich jeszcze było na tamtym brzegu, szpica właściwie. Pomyślałam, że jak morwacką babę kupą utłuką, to nasi się wściekną, skoczą mścić, zniosą psubratów i przy okazji Cedrzyha odbiją, bo jeszcze szansa była. Ale chyba jakiś oficer krzyknął, by nie tykać, no i tylko widły... A nasi w rozsypkę poszli.

- O twoje rany pytałem - powiedział cicho Debren.

- Daj jej spokój - warknął Zbrhl, układając halabardę w poprzek łąku. - Na cholere ci to? Drugą batalię na moście planujesz? Myślałem, że Lendy mamy szukać.

Dobrze myślał. Debren zacisnął usta i patrzył, jak tamten wali piętą w koński brzuch, rusza z miejsca galopem, znika w białym тумanie. Tętent kopyt szybko gasł w szumie wiatru.

Jeszcze chwila. Wiało właśnie stamtąd, od Belnicy, no i śnieg, wielki jak brzożowe liście, tłumiał dźwięki. Jeszcze krótka chwila i...

- Zbrhl!

Nie krzyknął głośno. Rotmistrz, nawet jeśli coś usłyszał, mógł uznać pojedynczy dźwięk za złudzenie, czekać na kolejny. Nie doczekałby się.

Mimo to Debrenowi ulżyło, kiedy biel zgęstniała, zrodziła oblepioną śniegiem sylwetkę jeźdźca.

- Co znowu? - warknął raczej rozgniewany niż zaniepokojony rotmistrz. Debren nie odpowiedział. Włożył hu-lajkulę w dłonie Petunki, pchnął oberżystkę w stronę domu.

- Pójdę z tobą - zaprotestowała. - Co dwoje, to nie...

- W spodniach wtedy byłaś? - przerwał jej. Zamrugła oczami. - Mówiłaś, że wszystko pamiętasz. Że się spóźniłaś na bitwę, boś się przebierała.

- Całkiem zdumiałaś?! - huknął z wysokości siodła Zbrhl. -

Lendę tam może gryf ściga, a ty pytasz, co jedenaście lat temu Petunka miała na tyłku?!

- Jej tyłek - rzucił chłodno magun - nie ma nic do rzeczy. O kolana pytam.

- Własną dziewczką się zajmij! Jej zadkiem i nogami! A Petunkę zostaw... - rotmistrz zająknął się - w spokoju zostaw. To był najczarniejszy dzień jej życia, a ty...

- W spódnicy - powiedziała. Zbrhl umilkł. - Chciałam w spodniach, tylko że... Nie wiem, do czego ci to, ale proszę bardzo: w spódnicy pobiegłam. Takiej zielonej, co w niej do wysokich butów na łowy chadzam. Kusa jest, za to się w lesie o konary nie zahacza.

- Pada - przypomniał Zbrhl. - Śladów co pacierz to mniej. Widzę, że wam nie wyszło w nocy. Ale nawet jak całkiem zerwaliście, to jeszcze nie powód, by dziewczuszka w puszczy od zimna i pazurów ginęła.

- Podrapałaś kolana? - Debren puścił jego słowa mimo uszu. - Pomyśl: krótka spódnica, upadłaś. Widziałem ten most: przeszło magią odladane, goły kamień...

- Co ty z tym mostem? - zapytał podejrzliwie Zbrhl.

- Milcz - warknął Debren. - Czas ucieka. Petunko, przypomnij sobie: wylałaś krew na ten cholerny most? Troszeczkę choćby, parę kropel? Musiałaś wylać. Biegłaś, upadłaś. Potem tego knechta widłami w łydkę... Nie na stojąco przecież; pewnie klęcząc... A jak ci broń wrywał, też pewnie do szarpaniny doszło. No i cię Belniczanie nie stratowali. Musiałaś odpełznąć na bok, pod balustradę. Przypomnij sobie. Nie ma cudów, byś ani kawałka skóry z gołych kolan nie zdarła.

- O krew ci chodzi? - W końcu do niej dotarło. - Wylałam krew. I co z tego? Co to ma do Lendy?

Debren złapał konia za uzdę.

- Nic. Ale do ciebie i Zbrhla... Nie rozumiesz? Wróżka niby miała rację, ale nie całkiem. Polała się krew książęca, a most

stoi. Bo ty nie jesteś księżniczką. Nie z punktu widzenia klątwy. Życie to nie bajka. W bajkach krew się liczy, a w życiu układy, pieniądze i znajomości. No i tamte księżniczki o tron walczyły. Ty masz w rzyki belnicki tron. I póki w rzyki, a nie pod nią, Zbrhl pod zasadę GZM nie podpadnie. Możesz go zabić, owszem, ale dopiero jak ci się we łbie poprzewraca i zaczniesz się z Gwadrykiem o sukcesję procesować. Póki tu siedzisz...

- Co... powiedziałaś? - Nie miała odwagi spojrzeć na rotmistrza. Z wzajemnością zresztą. Oboje stali nieruchomo, jak sparaliżowani.

- Możesz mu dać rękę albo kosza, wolny wybór. Ale się sercem kieruj, a nie strachem, że go do zguby przywiedziesz. Nie wyganiaj go do lasu, by Lendy szukał, kiedy ciebie tu, być może, rozjuszony chłopstwo zgwałci albo i ubije. Jest żołnierzem i wie, co mówi: w kupie siła. We dwoje macie dziesięć razy większe szanse, niż każde z osobna. Nie jesteś księżniczką, Petunko. Nie dla świata, nie dla losu, więc i nie dla niego.

- Nie? - Głos Zbrhla wyraźnie drżał. - Debren, pewien jesteś, że...?

- Czary to tylko czary, żadne cuda. Niby jak się miało zdejmowanie klątwy dokonać? Najprościej: strażnik klątwy powinien był w myśli zdejmującej zajrzeć i sprawdzić, czy kryteria spełniła. Zwykle trzeba jakieś konkretne posunięcie wykonać: smoka ubić, śpiącą królową pocałować, hasło sezamowi podać. Ale Pretokar takie warunki postawił, że bez sondowania myśli za cholere... A Mesztorhazy i tak szarzakatelepaty użył. Po co miał z innymi wyzwalcami procedur kombinować, mając pod ręką najlepszy z możliwych? Wróżka o biologii mówiła, a Mesztorhazy z Pretokarem o świadomości. - Odczekał chwilę i rzucił stanowczym tonem: - Złaz z konia, Zbrhl.

Rotmistrz tkwił w siodle nieruchomo. Jak inny Zbrhl

prawie dokładnie trzydzieści lat wcześniej. A obok, z ręką na strzemieniu, stała, jak wtedy, zakochana kobieta, która właśnie coś odzyskała i właśnie zaczynała pojmować, że to coś traci. W przeciwieństwie do ojca Zbrhl nadal był żywy, ale...

- Razem pójdziemy. - Drzewce halabardy zakreśliło łuk, wskazało drogę ku rozstajom. - Jak przyleżą, to stamtąd.

- Nie. - Debren zerknął w stronę ganku. Tak jak przypuszczał, papuga wydreptał na zewnątrz i podsłuchiwał, stojąc obok naderwanego szyldu. Trudno. Posłał ptakowi ostrzegawcze spojrzenie i dokończył: - Skrótem poleżą.

- Skrótem? - oberżystka zmarszczyła brwi.

- Tajnym. Drop mi o nim mówił. - Odsunął ją, złapał pas rotmistrza, pociągnął lekko. - Złaź, Zbrhl. Musisz zostać i strzec Petunki. Gryf zna sekretną ścieżkę do mostu. Jak pójdziemy ku rozstajom, a oni nadejdą tamtędy...

Na szczęście padło na rasowego żołnierza, któremu nie musiał tłumaczyć, czym jest oskrzydlenie i wróg na tyłach. Rotmistrz bardziej zleciał niż zsiadł z konia. Debren, nie tracąc czasu, zajął jego miejsce w siodle.

- Zaraz... - Refleksja przyszła późno, ale nie za późno: czarodziej, a przede wszystkim koń wciąż byli w zasięgu ręki, niewiele mniej skutecznej od konowiazu. - Tam też są dwie drogi. Skąd wiesz, którą poszła? Może lepiej...

- Słyszałaś, co Petunka mówiła. - Oberżystka i teraz próbowała coś powiedzieć. Nie dopuścił jej do głosu. - Tylko Rumperka wchodzi w grę. Na północy miałyby góry, belnicką granicę cały czas pod bokiem i Lonsko, gdzie co drugi książę to kuzyn Gwadryka. O Zamostkach nie wspominając.

- Ale Petunka...

- Zełgała, by cię ratować - uciał. - Zresztą mniejsza o nią. Lepiej znam Lendę i wiem, co zamierza. Nie będę się wdawał w szczegóły, ale tyle wam powiem, że z takimi zamiarami na rozstajach w prawo skręci. Na południe.

I tam ją, bez niczyjej pomocy, znajdę.



Chciał odjechać. Petunka znów złapała za strzemień, zaczęła mu wpychać muzera.

- Wierzysz wróżce? To bierz. Może ci się poszczęści i wymierzysz jak trzeba.

Zawahał się. Nic prostszego, jak rzucić w krzaki po drodze. Zbrhl zostawał w oberży. Oberża była solidna, nawet gryf nie dał rady... No i chłopci, jakby co, nie przyjdą skrótem, tylko zwyczajnie, gościńcem. Musi ich spotkać. Ma różdżkę, a to tylko wiejska zbieranina. Więc pal diabli muzera. Gęba na kłódkę, skończyć te niepotrzebne dyskusje, cisnąć żelastwem w las za pierwszym zakrętem i...

- Dość gadania - rzucił sucho Zbrhl. - Biegnij po pociski. A ty, Debren, bierz hulajkulę. Sam powiedziałeś, że dobrze wróżka wywróżyła. Więc pewnie i z tym pośrednim mierzeniem miała rację. Petunka, jak przez tyle lat nie wymierzyła, już nie wymierzy, ale ty możesz. A nawet jak nie, wolę, byś coś konkretnego do obrony miał. Widziałem cię w walce i wiem, że gołymi rękami musisz kończyć, jak różdżką zaczynasz. Bierz muzera. Siekance z jadem są; nie ma lepszej broni na kmiotków. Traf takiego, a ze strachu się ufajda i czmychnie z wrzaskiem, paru inszych za sobą pociągając. Jak duży rozrzut ustawić, można za jednym zamachem całej czeredy się pozbyć. W ostateczności zaś, gdyby cię dopadli, argument do negocjacji ci zostaje. Trutka ze zwłoką, krzyczysz, nie tykać, bo jak zginę, to po was. Tak UOT-rów szkola, którzy, samotnie operując, częstokroć mają do czynienia...

- Czas tu tracimy - przerwał mu Debren.

- Prawda. Biegnij, Petunko. Czarodziej podjął decyzję.

- Czekał - złapał za rękę odwracającą się kobietę. Wepchnął jej muzera, zamknął w uścisku drobnych palców. - Wam tu bardziej się broń przyda. - Zbrhl prychnął zniecierpliwiony, mocniej ścisnął ude. Debren miał nadzieję, że nie będzie musiał tego mówić, ale Uczył się z taką koniecznością, więc

dokończył gładko: - A wymierzenie już było. Nie muszę mierzyć, bo już... Miała rację wróżka, ale to nie o Cedrzyha chodziło i Gwadryka. O gryfa też nie.

- A... o kogo? - zapytała Petunka drżącym głosem.

- O ciebie. - Czarodziej odwrócił się, ruszył kłusem w stronę lasu. Dopiero znikając w śnieżnym tumanie, zawołał przez ramię: - I o babopalca!

- Piorrrruny prrrrecz! - zaskrzeczało ciemniejsze od reszty śniegu coś, przezornie zawracając i niknąc Debrenowi z oczu.

- Drrruh niegrrrroźny!

Magun zaklął. Tylko lekkie czary przy mięśniach i gardle - a dał się zaskoczyć. Psiakrew.

- Wracaj - warknął, nie zwalniając. - Petunki pilnuj. Drop nie zawrócił. Zaczął zygzakować, by lecieć ramię w ramię z jeźdźcem. Śnieg sypał gęsto i Debren jechał ledwie ostrożnym kłusem.

- Krrręciłeś? Deklarrracja kierrrunku prrrawdziwa?

- Ja krętacz?! I kto to mówi!

- Dyskrrrecja z Rrrrendą? - upewnił się ptak.

- Przez dziurę się gapiłeś, jak...

- Zamiarrry sterrrylne! - uniósł się honorem, a i trochę na skrzydłach, Drop. - Strrróżowałem! Grrryfa wypatrrrując!

- Powinieneś mnie obudzić.

- Parrrol z garrrdła wydarrrrła. Rrrrozkazała.

- Łajno ci może, a nie rozkazywać.

- Rrrrozkaz uprrrawniony. Prrraszczury... - Drop urwał, wysunął się parę sążni do przodu. - Debrren, porrra szcrrrości. Kierrrunek Rrrrumperrrka?

- Nie twój interes.

- Rrrrumperrrka prrrawo. W drrrugą... - ptak szukał przez chwilę brakującego słowa. - Górrrny brrród. Rrrrozumiesz? Grrranitowy... okrrracza strrrrugę...

- Most - zlitował się Debren. - Nauczyłbyś się po ludzku, jak już cię do ludzkich bab ciągnie.

- Serrrcem - zastrzegł się pospiesznie Drop. - Rrreakcji przyrrrodzenia brrrak.

Debren zignorował całą kwestię i dalej robił swoje. Czarował. Nie zanosilo się na poprawę pogody, a nad lasem latały nie tylko papugi. Ptak wyskoczył do przodu, zawisł nad drogą, zwrócony dziobem do nadbiegającego.

- Porrra rrrrozstrzygnąć. Skrrrret - zakrzywiony dziób wskazał północ. - Skrrrrot. Brrród rrrychlej.

Debren zatrzymał konia, posłał nieufne spojrzenie kępie zarośli. Albo raczej: wielkiej bryle śniegu, osadzonej na krzewach tak gęstych, że całość przypominała wał.

- Tu? Do mostu?

- Strrrategiczny trrrakt grrryfa. Kwadrrrrat krrroi.

Domyślił się, w czym rzecz. Na zachód od nich znajdowały się rozstaje z drogowskazem i tabliczką Dyszana Yeżyna. Dokładnie na północ od rozstajów, w tej samej z grubsza odległości, most. Ścieżka biegnie po przekątnej Wspaniale. Tylko...

- Trakt? Zmyślasz, co? Tak jak ja?

- Szczerrrra prrrawda!

- Podły pewnie - powiedział z wahaniem.

- Okrrrutnie komforrrrtowy.

- Na co gryfowi prywatna leśna dróżka?

- Prrrroblemy aprrrrowizacyjne. Frrrruwanie enerrrgię krrradnie. Militarrrnie rrrreglamentowane.

To się trzymało kupy, ale... Gdyby opierać się na dobrej woli Dropa, mogliby teraz jeść śniadanie, nie mając pojęcia o tym, że Lenda wymknęła się z oberży.

- Mam biec do mostu? - zapytał, mrużąc oczy. Ptak musiał wyczuć, że sprawa jest poważna, bo przestał udawać ważkę, wylądował na pobliskiej skałce i odważnie spojrział magunowi w twarz. - To znaczy, że tam poszła?

- Brrrak inforrrmacji - powiedział spokojnie Drop.

- Wpadła ci w oko - Debren też mówił spokojnie. - Łotrzyk

jesteś, między nami mówiąc. I przewałowiec. Mnie też brakuje informacji. Czyś, mianowicie, całkiem ze mną szczerą. Masz motywy i stosowny charakter, by mnie tą ścieżką Pisklakowi prosto na stół zaprowadzić. On ci daruje, a Lendę miałbyś dla siebie.

- Obrrrraza! - oburzył się Drop. - Rrrady szczerre! Rrratowanie Rrendy górrra! Ignorrrruję zazdrrość!

- A, więc jednak jesteś... Ale to by znaczyło, że ci na niej zależy. Mnie zależy, więc „wiem, że podtarłbym się najświętszą przysięgą, gdyby to mogło jej życie ocalić.

- Honorrr rrodu. - Papuga zadarł dumnie dziób, choć ośnieżony czub zwisał ze łba wyjątkowo smętnie. - Brrrak alterrrnatywy. Parrrol morrrdy w ceberrr. Rrrada Debrrenowi ekstrremum zdrrrady.

W spojrzeniu szeroko rozwartych, wcale nie swoich oczu było coś żalosego. Debren zawahał się.

- Doradzasz... skrót? - Drop omal nie nadwerżył karku gwałtownym przytaknięciem. - I nie wpakujesz mnie kompanowi w paszczę?

- Grrranit!

Nie wiedział, co o tym myśleć. Ale jedno wiedział na pewno: Lenda nie zgłupiała aż tak, by wracać do Belnicy. Pozostawały dwie drogi, z których naprawdę niebezpieczna była ta na północ. Jeśli Lenda skierowała się na południe, powinna wyjść cało. Gdyby na rozstajach skręciła w stronę mostu...

Prawie na pewno tego nie zrobiła. Trzydzieści lat, zawodowa żołnierka. Nie żadna głupia smarkuła.

Prosty wybór. Na południe od rozstajów klątwa nie obowiązuje. Niby po co, skoro królewski szlak nie ma tam konkurenta? Na południu rozciąga się też Morvac, gdzie każdego, kto uciekł z Belnicy, potraktują co najmniej życzliwie. Tylko dureń skręcałby w drugą stronę, ku mostowi, gryfowi, wrogiej wsi i wrogim księstwom Lonska. Do których dotrzeć przez góry, teraz, zimą, też nie byłoby łatwo. Nie ma

nad czym myśleć.

- Debrren?

Dżuma i syfilis. Łajdak czekał, przebierał nogami raczej z niecierpliwości niż zimna, ale widać było, że nie powie. Inna sprawa, czy w ogóle wie.

Poszła na południe. Wiedział to. Był pewien. I, co więcej, chciał tego, bo tam była bezpieczna. Nie ma co dumać. Trzeba gnać prosto przed siebie, ku rozstajom.

Splunął i trącił konia piętą. Jedną. Do skrzytu.

Nie dogoni Lendy. Może już nigdy. Dureń. Miał przed sobą pusty most i puste życie. Ale wyboru nie miał. Bo gdyby jednak skręciła na północ...

Wjechał w krzaki, porastające północną stronę pobocza. Koń grymasił, ale wyczuwał nastrój jeźdźca i nie próbował się opierać. Przedarł się posłusznie przez leszczynowe zasieki, a potem, gdy gąszcz ustąpił znienacka dobrze wydeptanej ścieżce, nawet pokłusował.

- Krrryć czerrrep! - rzucił ostrzegawczo Drop. Rada była dobra: szlak, okrutnie komfortowy z punktu widzenia gryfów i papug, okazał się za niski dla jeźdźca. Debren od samego początku skazany był na podróżowanie z policzkiem przytulonym do końskiej szyi i nim zrobiło się naprawdę niedobrze, zdążył z tuzin razy skląć swoją bezmyślność. Trzeba było posłuchać Zbrhla i zabrać hełm.

Inna sprawa, że łebka Yeżyna nie przydałaby się na wiele, kiedy zamiast iglastych gałęzi zaczęły przelatywać mu nad głową kamienie. Ten, który trafił, był bodajże najmniejszy ze wszystkich, ale i tak dostatecznie ciężki, by rozłupać końską czaszkę. Bardzo dobry rycerski hełm może by wytrzymał, lecz ludzki kark żadną miarą nie.

Zderzenia z ziemią kark Debrena też nie miał szans wytrzymać. Na szczęście ugodzony głazem wierzchowiec zarył nosem w śniegu, a czarodziej wyfrunął z siodła na tyle energicznie, że zdążyło nim obrócić w locie. Grzmotnął o

ziemię nogami i biodrami, nie głową. Pośladki eksplodowały bólem pękających strupów, na chwilę czarokrąży pociemniało w oczach, ale dzięki śniegowi nie ucierpiała żadna kość i żadne ścięgno. Nawet różdżki nie zgubił.

- Grrryf! - wydarł się mocno spóźniony Drop.

Mógł sobie darować. Pisklak przemknął tuż nad czubkami jodeł, chyba dopiero w ostatniej chwili rezygnując z pomysłu poprawiania pazurami po salwie. Doskonale widoczny - i nieosiągalny. Poruszał się zbyt szybko i zanim Debren w ogóle pomyślał o uniesieniu różdżki, nie było po nim śladu.

- Prrrędsze rrruchy!

Koń podrygiwał w agonii. Debren dopiero teraz zorientował się, że gąszcz wokół nich to głównie młodniak, z rzadka poprzetykany starszymi drzewami. Z punktu widzenia bestii o masie Pisklaka: prawie jak odkryta polana.

Zerwał się, pobiegł. Na szczęście masywne jak maszty jodły zaczynały się o kilkadziesiąt kroków dalej. Rosły w sporych odstępach, ale gryf nie mógł pozwolić sobie na błyskawiczny atak z lotu koszącego.

- Grrradobicie - uprzedził Drop. - Rrrozliczne arrrsenały. Krrrótkie przerrrwy.

Szybko stało się jasne, co miał na myśli. O zamrażającą ziemię i pnie drzew zadudniła pierwsza porcja kamieni. Nie były duże, ale spadały niemal pionowo i każdy, w przypadku trafienia, mógł przyprawić człowieka co najmniej o poważną kontuzję.

To nie wyglądało dobrze, zwłaszcza że zaraz potem magun natknął się na pierwszy z rozlicznych arsenałów.

Przy ścieżce wyrastała z czap ośnieżonego mchu niewielka, mocno zryta kilofem skałka. Obok, podobne do krecich kopców, stały w równych szeregach przyzmy skruszonego urobku, a z boku, na końcu osadzonego w głazie łańcucha, połyskiwały żółtawo ludzkie kości.

- Brrraniec z trrraktu - rzucił niecierpliwie Drop, widząc, że

Debren zwalnia, niemal staje. - Starrra historria.

Racja. Niektóre kopczyki porosły zielskiem.

- Jak go przykuł? Aż takie chwytne ma łapy?

- Kolaborrrant. Drrrugi brrraniec.

Żadnych świeżych śladów. Szkoda. Gdyby stąd czerpał amunicję, można by...

Nie, niczego by nie można. Musieli gnać na łeb na szyję; czajenie się na Pisklaka nie wchodziło w rachubę, nawet gdyby poza tym wyrobiskiem nie było w całej okolicy ani jednego leżącego luzem kamienia. Jeśli Lenda robiła coś głupiego, należało się spieszyć. Jeśli nie, równie dobrze mogli wrócić do oberży.

Mimo wszystko miał wątpliwości, więc kolejną salwę przyjął niemal z satysfakcją. Gryf, zwalniając ładunek gdzieś wysoko, mocno spudłował, a on zyskał pewność, że zdecydował słusznie. Pisklak nie miał problemów z zaopatrywaniem się w kamienie. Być może miał je z lataniem, bo poczynając od kolejnego składu tłuczni, Debren cały czas biegł po śladach jego łap. Inna sprawa, że większość latających potworów porusza się na skrzydłach niewiele szybciej niż na nogach, opłacając ten skromny zysk dużo większym wydatkiem energii. Taktyka manewrowania naziemnego i atakowania z powietrza nie dowodziła więc niczego poza rozsądkiem. Po sześciu nalotach magun wiedział już, że ten w górze nie dał się porwać gorączce zarzucenia przeciwnika możliwie wielką liczbą pocisków. Ataki następowały w niewielkich odstępach czasu, ale mogłoby ich być jeszcze więcej, gdyby gryf popadł w schemat: bieg-załadunek-lot-oprózniczenie sieci.

Niestety, był na to zbyt sprytny. Kamienie spadały daleko od celu albo, spadając bliżej, odbijały się bezsilnie od gałęzi, lecz za ten spadek skuteczności Pisklak kupował sobie coś nader cennego: bezpieczeństwo.

Jego taktyka była prosta. Wzlatywał wysoko, by zapewnić

licznym i lekkim przez to pociskom dużą siłę przebiecia, istotną w lesie, po czym, z samej granicy pola widzenia, zrzucił ładunek. Miał lepszy wzrok, słyszał odgłosy towarzyszące biegowi, no i nie oślepił go syjący prosto w oczy śnieg. Wiedział też, którądy będzie przemieszczał się przeciwnik i choć nie zawsze w odpowiednim momencie, w ścieżkę trafiał nieodmiennie. No i, na koniec, ruch nie przeszkadzał mu w prowadzeniu obserwacji.

Debren mógł albo biec, albo go wypatrywać. Kiedy poświęcał cenny czas i zatrzymywał się z zadartą głową, natychmiast ślepił od osiadającej na rzesach bieli. Tamten trzymał się z tyłu, ale oznaczało to połowę nieba. Termowizja byłaby jakimś sposobem - też nie idealnym, bo padający śnieg połykał ciepło - ale gdyby teraz zaryzykować zakłęcie, Debren musiałby zrezygnować z biegania. Ścieżka, okrutnie komfortowa dla wielkich kocurów, była z ludzkiego punktu widzenia prawdziwym torem przeszkód. Nawet sprawne oczy nie gwarantowały wypatrzenia wszystkich pułapek, groźących potknięciami, poślizgami czy zakleszczeniami stopy w skalnej szczelinie. Debren wyłożył się tylko dwukrotnie i niczego sobie nie zwichnął, ale biegł teraz wolniej nie tylko z uwagi na narastające zmęczenie. Nawet lekki uraz którejs z nóg byłby katastrofą.

Na szczęście jeszcze jako posiadacz konia brał pod uwagę coś takiego. Drop przeszkodził mu w połowie zakłęcia, teraz jednak dokończył je i był gotów spróbować. Tyle że na razie nie mógł. Biegł przez stary, gęsty las. Czapy zgromadzonego na gałęziach śniegu były tak masywne, że nawet Pisklak dał sobie spokój z polowaniem i krążył gdzieś bezgłośnie w górze, wyczekując na lepszą okazję. Posyłanie czaru przez takie coś nie miało sensu.

- Strrrrumień! - obwieścił Drop w trakcie zataczania kolejnej ósemki. Chwilami wlatywał na wysokość czubków drzew, ale wyżej się nie zapuszczał. Dwa czy trzy razy omal nie zderzył



się z pniem czy gałęzią: najwyraźniej latanie w śnieżycy i papugom sprawiało problemy.

Debren musiał mu uwierzyć na słowo: żadnych znaków zbliżania się do wody nie odnotował. Pośrednim potwierdzeniem były dwa kolejne ataki. Nastąpiły szybko jeden po drugim; wyglądało na to, że gryfowi zaczyna się spieszyć. Dobrze. To znaczy, że gościniec jest niedaleko. I że Pisklak podziela zdanie Debrena.

Na otwartej przestrzeni, przy dobrej widoczności, szanse powinny się wyrównać. Śnieg nadal sypał zbyt gęsto, by liczyć na wzrok, ale zwierzyna była czarodziejem i ten, który na nią polował, najwyraźniej sobie o tym przypomniał.

Trzeci z serii szybkich ataków był najbardziej ryzykanckim z dotychczasowych. Pisklak zaskoczył i maguna, i leżącego wysoko Dropa. Wypadł nagle z białego tumanu ledwie dwa sążnie nad ziemią, próbując nie tyle wysypać na biegacza zawartość sieci, co rąbnąć go nią. Tylko pobliski wykrot ocalił Debrena. W ostatniej chwili czarokrążca skoczył między sterczące ku niebu korzenie, znajdując tarczę, dostatecznie utwardzoną mrozem, by zatrzymała cios. Nim pozbierał się po upadku, pasiaste cielsko rozpląnęło się w bieli.

- Cholerrnik! - wrzasnął bardziej wystraszony niż rozgniewany Drop. - Zdrrowyś, Debrren?

Debren nie miał już siły na jałowe pokrzykiwanie. Wygramolił się po prostu z dołu i pobiegł dalej.

Drogi nie było widać, potoku też nie, a teren, z uwagi na wyraźny spadek, zrobił się do reszty paskudny. Za to drzewa rosły rzadziej i były niższe.

Dobrze. W końcu miał nad głową tylko niebo i śnieg.

Zatrzymał się, rozejrzał. Nic, wirująca biel. Nawet Drop zniknął mu chwilami z oczu, choć z braku lepszej ochrony papuga trzymał się teraz bliżej niego. No, trudno.

- Uwaga - ostrzegł. - Zatkaj uszy.

Tamten nie miał ani czego, ani czym zatykać, więc Debren

krzyknął zaraz potem. Inna sprawa, że - przynajmniej dla posiadacza typowych uszu - nie brzmiało to szczególnie przykro. Piskliwe „eep!!!” ocierało się o ultradźwięki i gdyby nie praca nad podostrzeniem słuchu, magun nie byłby w stanie ocenić mocy okrzyku.

Padający śnieg pochłonał niemal wszystko. To, co wróciło, wróciło z daleka, a gryf, jako istota dość miękka i ani trochę nie płaska, większą część impulsu albo pochłonał, albo odbił na boki, rozpraszając bez pożytku dla wołającego. Echo wystarczyło jednak, by czarodziej zorientował się w kierunku.

Bez namysłu posłał błyskawicę śladem dźwięku. Potem kolejny okrzyk i drugą błyskawicę. Lekko rozproszona, obejmowała większy obszar i choć nie mogła wyrządzić poważniejszej krzywdy - pomijając ewentualne trafienie w oczy - była w stanie przypalić pióra lub sierść.

Rezultat okazał się żaden. Pomijając fakt spłoszenia gryfa: trzecie „eep!!!” powróciło echem z zaskakująco innej strony. Biorąc poprawkę na odległość, Pisklak musiał błyskawicznie i raczej panicznie zanurkować ku gęściej rosnącym drzewom zaraz po pierwszym rozbłysku.

Szkoda. Ale z drugiej strony - wyraźnie czuł respekt. Debren wykorzystał to, przebiegając szybko i bez oglądania się w górę kilkaset kolejnych kroków. Potem stanął i na chybił trafił posłał w niebo pół tuzina dźwiękowych sond.

Niczego nie wykryły. Gryf albo zmienił pułap na dużo wyższy, albo zmienił taktykę, albo po prostu miał szczęście. Wiązki były rozproszone, lecz w sumie nie obejmowały nawet ćwierci nieba. Debren mógłby przeszukać nimi pozostałe trzy czwarte, tyle że znów musiałby się zatrzymać: każdy okrzyk wysysał z organizmu powietrze nie gorzej niż nurkowanie.

Po wszystkim przez długą chwilę stać go było jedynie na ociążały trucht. Nie próbował czarów kondycjonujących: częściowo znosiły się z tymi, których właśnie używał.

- Odrrrażające porrrrykiwania! - zaskrzeczał mu nad uchem

Drop. - Rrozum świdrrrują!

Debren nie miał siły komentować. Po prostu w trakcie następnych krótkich postojów, połączonych z okrzykami, starał się nie krzyżeć w stronę papugi. Drzewa, zwłaszcza iglaste, pochłaniały dźwięki, ale to, co wracało po sondowaniach położonych bliżej horyzontu partii nieba, jemu samemu zgrzytało w mózgu.

Na piątym czy szóstym postoju wiązka minęła się z mocno rozproszoną gromadą kamieni. Gryf nie ryzykował: zrzucił je z wysoka, chyba na słuch. Chybił. Debren także chybił, choć wziął się na sposób i zamiast porządnego, morderczego pioruna kulistego posłał w przestworza kilka małych. Znikły w śnieżnej chmurze, ciągnąc za sobą ogony pary - i to wszystko.

Pewnie dlatego więcej nie eksperymentował z ogniem dalekosiężnym. Nie bardzo zresztą było jak, bo las znów zgęstniał i fałszywe echa od gałęzi przekreśliły sens sondowania dźwiękowego.

Przez chwilę walczył wyłącznie z bólem mięknących mięśni i ogniem w płucach. Strachu właściwie nie czuł. Poczul dopiero nad skrajem urwiska. Było strome i wysokie, omal nie przebiegł z rozpędu nad jego krawędzią - ale to nie przepaść w dole sprawiła, że serce podeszło mu do gardła.

Po prostu nagle zobaczył most.

Od momentu opuszczenia oberży widoczność ani razu nie przekroczyła trzydziestu sążni, chwilami malejąc tak bardzo, że omal nie zderzali się z Dropem. Teraz nie było lepiej - tyle że ów stan dotyczył całej okolicy z wyjątkiem mostu. Na most, choć trudno w to uwierzyć, nie spadł ani jeden płatek śniegu.

Debren zatrzymał się na moment, patrząc z niedowierzaniem na niewidzialny, a przecież wyraźnie widoczny lej, rozchodzący się spod przęsła. Żaden czar nie jest doskonały i warstwa przejściowa miała pewnie kilka łokci grubości, ale z tego dystansu wolna od bieli przestrzeń

zdawała się odcinać od tej wypełnionej śniegiem niczym wykrojona brzytwą. Może dlatego, że granice stożka sięgały wysoko i cały lejek wypełniał ni mniej, ni więcej, tylko słoneczny blask. Błękitnego nieba, zamykającego od góry chroniony obszar, Debren nie widział, ale niewątpliwie musiało tam być, i to w znacznych ilościach. Dowodził tego pośrednio fakt, iż stojąc tak daleko, był w stanie przeniknąć wzrokiem do samego przęsła.

Dookoła nadal wirował śnieg, ale było go bez porównania mniej. Musiało być mniej, bo odpowiedzialne za opady, nabrzmiałe wilgocią chmury trafiały na magiczną granicę dużo wcześniej niż sunące dołem warstwy powietrza. Magun nie próbował zgadywać, co się dzieje na styku dwóch zaklęć: wystarczyło mu, że widział efekty.

No i most.

Ktoś ubrany na buro i biały górą klęczał pośrodku przęsła, waląc w nie raz po raz czymś dużym i chyba ciężkim. Rozum podpowiadał, że kilofem, ale każda komórka w ciele Debrena zawyła ze strachu, nieomylnie rozpoznając wojskowy berdysz, przyozdobiony runami „D” i „Sz”. Dwuręczny topór sławnej prawelskiej manufaktury Duża Szkoda był zbyt cenną bronią, by zdrowy na umyśle człowiek tłukł nim kamienie, czarodziej jednak nie łudził się. Ten na moście nie był zdrowy na umyśle. Był najgłupszą, najbardziej bezmyślną smarkulą, jaka kiedykolwiek chodziła po świecie.

Tak szaloną, że aż chwilowo bezpieczną.

Rozmazane śnieżną firaną sylwetki na północnym brzegu nie poruszały się. Pół tuzina ludzi to cały tłum, jeśli porównywać z samotną dziewczyną. Ale dziewczyna była wyrosnięta i Debren nie dziwił się wieśniakom. Nie musieli się spieszyć, czas pracował na ich korzyść.

On nie miał czasu. Właściwie na nic, z myśleniem włącznie. Mistrzowie z Prawią, jak wszyscy, trochę przesadzali w reklamowaniu swych wyrobów, ale akurat na berdyszach

mieli święte prawo tłoczyć owo „D.Sz.”. Potężny topór czynił duże szkody każdemu, kto się podeń nawinął, z ciężką jazdą włącznie - bo, pomijając pierwszorzędną stal, był ciężki jak cholera. Co znaczyło, że Lendzie raz-dwa zabraknie sił. To pierwszy problem. Drugi był większy. Tych sześciu stanowiło zapewne przednią straż. Na pewno nie całość. Czyli lada moment doszłusują inni, a wtedy...

Nie zamienili słowa. Drop, nie czekając, poszybował w stronę mostu najkrótszą z możliwych tras. Debren też najkrótszą, ale pobiegł. Bał się, że nie zdąży.

Pisklak wybrał zły moment.

Miejsce też nie było najlepsze. Skalka, choć wysoka, proporcjami bardziej przypominała wieżę niż dom i tak duże stworzenie, nawet leżąc, nie mieściło się całą sylwetką poza krawędzią. Z daleka, z powodu śniegu i drzew, nie było go widać, z bliska też już nie, bo brzeg tarasu zasłaniał, ale pośrodku nadbiegająca ofiara miała ze trzy sążnie na to, by zerknąć wyżej, dostrzec zagrożenie i zareagować.

Debren nie był do tego zdolny. Gnał jak szaleniec, zbyt pochłonięty tym, co pod nogami, by patrzeć wyżej. Gryf, nie pomyślał jednak o tym i popełnił kolejny błąd, atakując o chwilę za wcześnie.

Debren prawie całkowicie zmarnował tę chwilę. Energię do czarowania na moście zaktywizował już teraz i wystarczyło ją tylko uwolnić - nie musiał sięgać po więcej. Ale sięgnął. I pokazowo spieprzył sprawę.

Różdzka plunęła gromem o mgnienie za późno. Potężny dziób potwora był już wtedy na tyle blisko, że gdyby się zamknął, odgryzłby jej koniec. Pisklak nie miał tego w planach, i bardzo słusznie, bo Debren sam dużo skuteczniej pozbawił się swej podstawowej broni.

Zbyt silny strumień rozdał od środka kompozytowy drążek, a eksplozja, ogień i odłamki dokończyły dzieła. Kiedy powalony podmuchem czarodziej przewracał się w śnieg,

resztki tego, co do niedawna było wysokowydajnym, soczewkującym czarowodem, kopcąc odlatywały w głąb lasu, podobne do wszystkiego, tylko nie różdżki.

Dookoła latały też kawałki dzioba, kostne igły z rozsadzonej czaszki, placki mózgu, kawałki mięsa. Bliżej, sycząc, dymiąc i parując, rozpełzała się po poboju mgielka palonej sierści i rozpylonej krwi. Siła wybuchu była tak potężna, że wpadające już na człowieka cielsko odrzuciło na kilka stóp do tyłu, ze łba i szyi nie pozostało praktycznie nic, a na dnie wyżłobionego w korpusie krateru Debren dopatrzył się błysku oblepionej śluzem stali.

Kapalin Zbrhla.

Cholera. Aż po żołądek.

Usiadł, nie bardzo wierząc, że może. Huczało mu w głowie, lepił się od krwi, skóra piekła, kaftan dymił.

Dźwigając się z ziemi, zwymiotował na własne kolano. Niedobrze. Każdy czarodziej uzależnia się od przechowywanej w mózgu energii magicznej; gdy jej poziom spadnie poniżej pewnego minimum, zaczynają się kłopoty z fizjologią. Mogło być gorzej, ale ta plama na nogawce stanowiła poważne ostrzeżenie.

Zataczając się, pobiegł dalej, próbując nie patrzeć w stronę mostu. Gnał na pole bitwy jak łucznik z pustym kołczanem.

Pole bitwy - bo wieśniakom sprzykrzyło się czekanie. Zza śnieżnej zasłony wytoczyła się chłopska furmanka i połowa z tych, którzy stali, wgramoliła się na nią, by zaraz potem ruszyć do szarży.

Wzrok wyławiał coraz więcej szczegółów. Trzysta kroków od mostu stożek chroniący go przed działaniem obcej magii - w tym przypadku sztucznie wywołanych opadów - sięgał już na tyle daleko, że praktycznie nie dopuszczał śniegu. Obraz nabrał nagle ostrości jak po przetarciu brudnej szyby. Ostrości brzytwy, która ucięła złudzenia.

Bury dołem i biały górą okazał się Lenda. Miała na sobie

tylko suknię. No i perukę, zbyt grubą, by ciepło ciała stopiło śnieg. Była w łapciach i jedynie te łapcie od biedy współgrały z zimowym otoczeniem. Gdyby nie ociekał potem po morderczym biegu, zadrżałby na sam jej widok. Mimo znalezionej na jabłonce kaftana i zapewnień Petunki konsekwentnie nie przyjmował do wiadomości, że mogła odejść tak jak stała: z gołymi nogami, w jednej podszytej wiatrem sukieneczynie na grzbiecie. Nie pytał, jak daleko na południu znajduje się pierwsza wioska, ale jeśli było tego więcej niż kilka mil, to ze swoimi poharatanymi nogami i berdyszem, który stanowił raczej balast niż laskę, Lenda Branggo była martwa praktycznie już w chwili przerzucania liny przez dziurę w dachu. Do południa, nawet bez pomocy gryfa czy zamostkowiaków, zabiłoby ją wyziębienie organizmu.

Nagle, w przypiływie olśnienia, zrozumiał, że przyszła tu umrzeć. I że już wtedy, pisząc krwią na drzwiach, wiedziała, że idzie umierać.

Ale to on ją zabił. On, Debren. Na sekretnej ścieżce gryfa, kiedy pozwolił się zaskoczyć i stracił konia. Gdyby choć połowę drogi pokonał na grzbiecie wierzchowca, byłby tu wcześniej i zdążył ją uratować. Teraz nie miał szans. Pchany przerażeniem gnał w stronę mostu niewiele wolniej od konia, ale wiedział, był święcie przekonany, że niczego już nie zmieni.

I miał rację.

Drop też niczego nie zmienił. Ciągający furmankę siwek zwolnił trochę, kiedy ptak zaatakował jego pysk, lecz wielkiego wpływu na wynik starcia to nie miało. Woźnica rozpędził zaprzęg już wcześniej, Lenda zdążyła zająć pozycję przy barierce, a pasażerowie wozu wzdłuż jego burty. Papuga co prawda szybko zorientował się, że niewiele zdziała przeciw smaganej batem szkapie z klapkami na oczach, wobec czego przerzucił się na jedyne wśród atakujących kusznika, ale w

niczym dziewczynie nie pomógł, jako że akurat kusznik nie miał okazji brać udziału w walce. Dopiero na moście zabrał się za układanie bełtu w korytku, no i znalazł się po niewłaściwej stronie fury.

Lenda uniosła berdysz, zatoczyła nim pierwszy, przygnębiająco powolny krąg. Debren aż zawył w duchu na widok tego, co zrobiła: ostrze ruszyło z lewej w prawą, zgodnie z ruchem wozu. Błąd! Okropny, śmiertelny w skutkach! Przecież żeby mocniej uderzać, zatrzymywać...

Było za późno na krzyk i poprawianie czegokolwiek. Musiała bardzo opaść z sił, skoro dopiero teraz... Zresztą nawet Zbrhl nie zdążyłby już odwrócić biegu Dużej Szkody i użyć jej w sensowny sposób, z wykorzystaniem impetu napastnika.

Nie był nawet rozczarowany, widząc jak ostrze przechodzi gładko między końskimi uszami, a siwek, jak gdyby nigdy nic, biegnie dalej prawą stroną przęsła. Była chora, ranna, wyczerpana - miała prawo chybić.

Berdysz zatoczył łuk nad połyskującym daleko w dole nurtem strumienia, wrócił nad balustradę, z obojętnością wiatracznego ramienia przemieścił się ku wozowi. Z perspektywy Debrena - w zółwym tempie. Z perspektywy stojącego przy woźnicy draba, zbrojnego w krótki miecz, pewnie też nie za szybko, jako że mężczyzna zdążył nie tylko zastawić się przed ciosem od tyłu, ale nawet wspomóc chwyt lewą dłonią.

Magunowi nie chciało się wierzyć, kiedy topór, wciąż niewzruszony w swej woli zataczania leniwych kręgów, minął przyskające czerwienią biodro, miecz wyfrunął daleko przed konia, a rozplątany brzuch chłopca znikł za wozem.

Sąsiad ofiary spudłował z wrażenia. Był to nie lada wyczyn, jako że jego oręż stanowiło wypełnione wodą wiadro. Spryskany krwią młodzik wypuścił je, zamiast opróżnić. Drewniany cebrzyk minął się, z głową Lendy i pomknął w



przepaść. Jego niefortunny użytkownik klapnął na tyłek, dzięki czemu w linii ciosu znalazł się już tylko trzeci ze zgromadzonych przy prawej burcie.

Tym razem naturalne tempo berdysza nie wystarczyło. Ciało Lendy skreśliło się w pospiesznym piruecie, przekazując pęd ostrzu i pozwalając mu doścignąć ofiarę. Cios był mimo wszystko słabszy i zastawiający się widłami wieśniak zdołał zatrzymać topór.

Zamiast stracić nogę, zyskał długą ranę w udzie. Runął do środka wozu, nie gubiąc broni, ale chyba gubiąc ducha walki. Lendą zarzuciło, upadła na kolana, nie miało to jednak większego znaczenia, bo fura była już daleko, a obaj zdolni do walki napastnicy mieli własne problemy.

Strzelec, wymachując kuszą, próbował uchronić twarz przed dziobem i pazurami Dropa. Woźnica próbował nie upodobnić się do papugi i nie zacząć latać.

Tylko temu pierwszemu się udało. Tuż za mostem koń znienacka zgubił uszy i wierzchołek czaszki. Padł równie gwałtownie, jak dotąd biegł, i fura stanęła w poprzek, tracąc pęd na dystansie najwyżej kilku łokci. Żaden furman świata nie byłby w stanie utrzymać się na koźle w takich okolicznościach. Debren nagle zrozumiał, co miał na myśli Udebold Rimel, opowiadając o pomysle wprowadzenia pasów dla woźniców jeżdżących furostradami.

Mężczyzna z batem pomknął jak pocisk nad ciałem wierzgającego w agonii konia, trzasnął twarzą o ziemię, przekreślił bruk przedmościa czerwoną krechą i, już bezwładny, jak bezwładny może być tylko trup, utknął w ruinach blokhauzu Kompanii Mytniczej.

Kusznik przeżył. Dzięki Dropowi - nawet w niezłym stanie, jako że tuż przed gwałtownym zatrzymaniem atak papugi posłał go na dno fury, a ustawiona na sztorc beczka uchroniła kark przed połamaniem o kant siedziska.

Debren przyspieszył. Nadzieja, którą już pogrzebał, nagle

wróciła - a wraz z nią obłądny strach, dodający nogom skrzydeł. Gnał, przeskakując nad porastającymi obrzeże doliny choinkami i łamiąc bez trudu te, których przeskoczyć nie zdołał. Nigdy później nie zrozumiał, jakim cudem nie zwałił się w przepaść - ani razu nie spojrzął pod nogi.

Ale wokół mostu działo się zbyt wiele, by tracić czas na patrzenie pod nogi. Przy przekrzywionym, stojącym już na północnym brzegu wozie strzelec cofał się, opędzał długim kordem przed obskakującym go papugą. Pośrodku Lenda kuśtykała, obracając topór w dłoniach i - jak gdyby nigdy nic - najwyraźniej szykując się do wyłupywania obuchem kolejnych kamieni z lekko wyszczerbionego przęsła. A na północy, pod stromym stokiem Osypańca...

Pojawili się nagle, pewnie za sprawą wiatru, który nagle ucichł i przestał nawiewać nad trakt chmury śnieżnego pyłu. Bo raczej nie za sprawą furmanek. Było ich tam parę, ale tempo marszu narzucali kolumnie znacznie liczniejsi piesi, bury tłum, najeżony ostrzami kos i wideł, wahadłami niesionych na ramionach cepów.

Pół setki ludzi, najmniej. Ale raczej setka niż pół.

Debren zwolnił. Nie miał już różdżki i nie wziął hulajkuli, ale przestało to mieć znaczenie, bo takiej ludzkiej masy nie zatrzymałby całą zgromadzoną w oberży bronią. Musiał szybko coś wymyślić.

Nie miał nawet załączka pomysłu, czy to genialnego, czy choćby idiotycznego. Nadal był daleko, powoli zaczynało brakować mu sił, a w oszołomionym tłumie zaczynała wrzeszczeć z rozpacz pierwsza wdowa czy może osierocona matka.

Lenda, ignorując gromadę, ostrożnie uklękła, uniosła topór, trzasnęła obuchem w bruk. Dopiero teraz zrozumiał, dlaczego tak: uderzając na stojąco, zniszczyłaby Zbrhlowi długi, wysunięty ku przodowi jęzor ostrza, dzięki któremu berdyszem można było zadawać pchnięcia.

To głupie, ale właśnie w tym momencie pękło mu serce. Ktoś taki nie powinien umierać.

Tłum na północnym brzegu szemrał, falował, lecz jeszcze nie wylewał się na most. Krew, trupy, ranny w udo nieszczęśnik odpełzający w krzaki, zabójczym, nieludzka w swym spokoju i bezsensowności zachowania - to robiło wrażenie. Parę kobiet zawodziło, a dwa kundle opadły Lendę, obszczekując z bezpiecznej odległości, jednak nic ponadto. Wieśniacy naradzali się burzliwie.

Drop, bez powodzenia, ale i bez porażki, utrzymywał południowy front. Kuszniakowi nie udało się sięgnąć go ostrzem, kuszy jednak też nie zdołał załadować.

Debren biegł. Potykając się, raz nawet waląc jak długi na twarz. Zbyt wolny i rozpaczliwie bezsilny. Ale był już blisko i dostrzeżono go. A co gorsze - rozpoznano.

- Magik! - wrzasnął nad głowami tłumu jedyny jeździec. Debren też go rozpoznał. Topornik z nocnej bitwy, ten, który skopał Petunkę i na rozkaz gryfa pobiegł mobilizować chłopów. - Szyć, kumotrowie! Bo poczaruje w nas!

Okazało się, że Lenda jest jeszcze bardziej martwa, niż się wydawało: w ćwierć pacierza tłum wypluł pół tuzina strzelców i w kierunku południowego brzegu poszybowały pierwsze pociski. Pomijając przewężenie, w którym wzniesiono most, dolina była szeroka na przeszło sto kroków. Debren nie dotarł jeszcze na wysokość mostu, co zwiększało dystans, no i biegł w poprzek, raz po raz przesłaniany drzewami, więc efekty okazały się marne, jednak w gwizdach przelatujących górą strzał i dudniących o pnie kamieni słychać było wyraźnie chichot kostuchy.

Do dziewczyny łuczniczki i procarze mieli dużo bliżej, no i dziewczyna nie poruszała się. Zaskoczenie sprawiło, że nikt dotąd do niej nie strzelił, ale teraz, gdy już zaczęli...

Debren podjął decyzję błyskawicznie. Łatwo przyszła, jak każda pozbawiona alternatywy. Zatrzymał się, rozcapierzył

palce i posłał po dwie serie świetlnych kulek z każdej dłoni. Przy trzecim podejściu zabrakło mu mocy, więc nad przepastnym wąwozem minęły się ze strzałami i kamieniami tylko dwa tuziny kolorowych ogników.

Leciały powoli, ale to akurat było dobre. Każdy, kto nie zgłupiał ze strachu, miał czas, by paść, odskoczyć, ukryć się za drzewem czy furą. Spośród tych mocniej spanikowanych ze dwoje bało się wystarczająco mocno, by nie odnotować trafień, a przynajmniej nie zastanawiać się nad ich nieskutecznością. Dwie kulki ugodziły w konie, jeden z koni spanikował, próbując uciekać zatarasował drogę, stawiając furmankę w poprzek niej. Drugi, choć ograniczył się do nerwowego wstrząśnięcia łbem, był duży i jako taki mógł uchodzić za słabo podatnego na magiczne ataki. Jednak co najmniej jeden z mężczyzn zaliczył trafienie w źle schowaną nogę, po czym wylazł zza pnia, obmacał niepewnie kolano i zaczął gorączkowo pokrzykiwać do równie rozkrzyczanych ziomków. Na razie nie znalazł posłuchu i kto żyw kulił się za zaspami czy zaprzęgami, Debren nie łudził się jednak, że tak będzie zawsze.

Ruszył biegiem w stronę mostu. I dopiero wtedy, zaskakująco późno, skrzyżowały się ich spojrzenia.

Dźwignęła się z wysiłkiem, obróciła w jego stronę. Trwała przez chwilę w spłoszonym bezruchu sarny, którą gromada łowców zdybała przy wodopoju. Potem poderwała wolną dłoń, zaczęła rozpaczliwie machać.

- Uciekaj! Poniechaj mnie, Debren! Wynoś się!

Pierwszy z łuczników wygramolił się zza ośnieżonego krzaka, sięgnął do kołczana. Drop wystrzelił świecą w górę, wydal triumfalny okrzyk, absurdalny, jako że kusznik miał się dobrze. Konny topornik, ten od Petunki, wskazując siekierą jak wódz buławą, zachęcał pobratymców do ataku.

Czarodziej potknął się, upadł. Nad głową przemknął mu kamień z procy, a z północnego brzegu ruszyli ochotnicy. Na

początek pięcioro: trzech młodych, krępy chłop z siwymi wąsami i baba uzbrojona w grabie.

Lenda obejrzała się, znów machnęła ręką, pokazując, by Debren sobie poszedł, a potem odkuśtykała pod balustradę. Jeszcze jedno spojrzenie, wymowny bezruch słodszy od najdłuższego pocałunku - i znów stała plecami do niego. Nim piątka podbiegła, w powietrzu zawirował topór Lendy.

Wyszkoleni żołnierze po prostu odstąpiliby, robiąc miejsce dla strzelców. Nie mając strzelców, podzieliliby się rolami, wyznaczając czterech z prawej do hamowania impetu berdysza i powierzając piątemu rolę kata, który przebije ofiarę. Na szczęście chłopów nikt nie nauczył podobnych sztuczek i przez dłuższy czas nieskładnie obskakiwali dziewczynę, bez powodzenia próbując zatrzymać topór pojedynczym drzewcem.

Lenda jedne widły wybiła właścicielowi z rąk, inne złamała. Potem udało jej się sięgnąć ostrzem któregoś z młodzików, który padł i znieruchomiał. Baba zahaczyła grabiami o jej ramię, trysnęło czerwienią. Dziewczyna odwzajemniła się ciosem trzonka - kobieta osunęła się na kolana, splunęła krwią i zębami. Pozostali rozpierzchli się, ktoś cisnął kamieniem - i stało się.

Tłum ruszył jak rzeka rwąca wał. Niepowstrzymany, najeżony dziesiątkami żelaznych i drewnianych ostrzy. Brudnych od gnoju, rdzawych paskudztw, mających za chwilę rozszarpać ciało, którego usta Debrena nie zdążyły poznać.

Dobiegał do południowego przyczółka, strzały i kamie - nie chybiały o całe sążnie - ale było za późno, bo tamci wpadli już na most.

Nikt nie mógł ich zatrzymać.

Nikt - chyba że sam most.

Wrzask z dziesiątków gardeł zagłuszył odgłosy. Dopiero kiedy pierwsza poręcz zakreśliła łuk, stając tłumowi w poprzek drogi, czarodziej zauważył nurkujące w przęśle

balaski. Musiały wycofać się z gniazd, by nie przeszkadzać; by coś, co przypominało ułożoną na boku drabinę, upodobniło się do szeregu ustawionych jeden za drugim kołowrotów.

Wyglądało na to, że Mesztorhazy już dwa wieki temu wynalazł wciąż jeszcze uznawany za nowinkę kierat zapadkowy, obracający się w jedną stronę i samoczynnie się blokujący przy próbie obracania w przeciwną. Belka, choć osadzona na niepozornym przegubie, tylko lekko drgnęła, gdy kilka pierwszych brzuchów zderzyło się z nią, a kilka par ramion podjęło próbę zepchnięcia jej z drogi.

- Na wóz! - przebił się przez harmider cienki, kobiecy głos. - Po święconą! Magika lejta!

Belka, pierwsza górna we wschodniej balustradzie, spowolniła tłum, paru wieśniaków wystraszyła - ale nie zatrzymała wszystkich. Kilku zręczniejszych i bardziej zapalczywych prześliznęło się pod nią, ktoś wlaź na górę, wsparty o głowę sąsiada cisnął ościeniem. Chybił, ale zdekoncentrował Lendę: nie udało jej się sięgnąć przebiegającego obok zamostkowiaka. Położyła dopiero drugiego, na tyle bezmyślnego, że sam, z marszu, usiłował pchnąć ją osadzoną na sztorc kosą. Następny bezkarnie prześliznął się obok, dwaj inni zaatakowali dziewczynę cepami, osłaniając trzeciego już amatora lania magików święconą.

Debren przeskoczył wypełniony śniegiem rów, w locie posłał gangarina pierwszemu z nadbiegających. Od razu też dopadł fury, ani trochę nie wierząc w moc czaru i szukając czegoś bardziej konkretnego. O dziwo jednak, gangarin zadziałał: młodzik z maczugą domowej roboty zatoczył się, potknął, wyrzwał czołem w tylne koło wozu. Przytomności nie stracił, ale zapął do walki - całkowicie.

Pośrodku przesła, zaledwie o rzut kamieniem, Lenda odrąbała napastnikowi większość palców prawej dłoni. Mężczyzna odbiegł wrzeszcząc, na razie chyba bardziej

porażony stratą niż bólem. Drugiemu poszło jeszcze gorzej: Drop dopadł go z tyłu, wczepił się szponami w uszy, gwałtownym skłonem trzasnął dziobem w oko. Rana musiała być głębsza niż oczodół, bo wieśniak runął i znieruchomiał w rozrastającej się kałuży moczu.

Debren, schylając się po maczugę, raz jeszcze cisnął gangarinem. Wyszło gorzej, ale mimo wszystko wyszło, co dało się zauważyć już po drugim z pięciu zadanych widłami pchnięć. Zamostkowiak chybiał haniebnie i wciąż walczył tylko dlatego, bo ciężar nabijanej krzemieniami pały na moment wzbudził skrupuły czarodzieja.

Wyleczył go gwizd ocierającego się o ucho bełtu. Ten z tyłu, pozostawiony przez Dropa, zdążył w końcu załadować kuszę. Chybił, ale następnym razem...

Maczuga zatoczyła łuk, zderzyła się z odsłoniętą głową chłopca. Chłop runął. Zza jego pleców pomknęła ku piersi Debrena kosa. Na szczęście cywilna, osadzona jak przy koszeniu łąki, a nie czarodziejskich głów. Trzonek okazał się za krótki i magun najadł się jedynie strachu. Zaraz potem trzasnął oburącz zdobyczną pałą, tamten zastawił się kosą i ostrze pękło na pół.

Kosynier rzucił się do ucieczki. Na pozór głupio, bo ku południowemu brzegowi. Ale tylko na pozór. Most stał się nagle cholernie niebezpiecznym miejscem.

Ponaglani przez jeźdźca i kobietę o cienkim głosie wieśniacy znowu poderwali się do ataku. Sforsowali górą i dołem symboliczną w gruncie rzeczy zaporę, wąskim, lecz nieprzerwanym strumieniem popłynęli w kierunku Lendy.

- Bóg z wami! - darł się tłuszczoch w lisiej czapie, futrze i chyba sutannie. Wymachiwał kołem popiątym, ni to błogosławiąc, ni to waląc po łbach tchórzy, którzy pozostali przy furach. - Zabić wiedźmę!

- Magika! - przekrzykiwał się z tłumem jeździec.

Berdysz Lendy zatoczył dwa koła, zwalając z nóg pierwszych

nadbiegających. Nieważne. Tłum wyrwał belkę z łożyska i pobił kupą - to było ważne.

Dwadzieścia kroków. Ryk, czerwień rozdziawionych gąb, nieprzytomny blask oczu, stal, wszędzie pełno stali...

Koniec?

Rąbnął błyskawicą, nawet zapalił komuś kozuch i czapę, osmalił brwi. Bez skutku: już się nie bali, już rozumieli, że nie jest nawet w połowie tak groźny, jak ta przeklęta, spryskana krwią suka, wyludniająca Zamostki z mocą lekkiej zarazy. Nawet przypalony napastnik tylko zrzucił czapę i gnał dalej, dowodząc potęgi nienawiści i dobrej jakości tutejszych kozuchów.

Lenda, nagle szybsza, nagle ruchliwa, wpadła między tych z przodu, zawirowała, skracając dystans dosięgła aż trzech, bezsilnych ze swymi zbyt długimi widłami i cepami. Zakłębiło się, ktoś uciekł, ktoś runął pod nogi nadbiegających. Berdysz trafił do lewej dłoni, w prawej błysnął poręczny jak laska miecz dziewczyny. Dopiero on zademonstrował wyższość sztuki nad amatorszczyzną. Na karkach uciekających Lenda wpadła w gromadę, waląc, tnąc i kłując, błyskawicznie pochlastała co najmniej pięciu napastników. I odskoczyła, nim ci z tyłu dojrżeli do decyzji deptania sąsiadów, zbierających z mostu własne dłonie i jelita.

- Wodę dawać! - wrzasnęła ta o cienkim głosie, tęga blondynka w butach z cholewami. - Co ksiądz tłumaczył, durne pały?! Ino woda na czary! Po wóz, ale już!

- Poczwarrrra! - Drop, trafnie rozpoznając wodza, runął na nią z góry. - Prrrominencki bękarrrrt! Kurrrrwinka!

Dopiero teraz Debren wychwycił podobieństwo z wąsatym sołtysem, któremu nocą wpakował w gardło osinowy kołek. Córka wyraźnie odziedziczyła po ojcu wojowniczego ducha, bo zamiast chować się w tłumie, skoczyła na spotkanie, wymachując mieczem. Drop, widząc, że zamostkowanie biorą przykład z przywódczyni, zrezygnował z samobójczego ataku,



śmignął nad ostrzami i czmychnął znad mostu.

Debren, podrywając maczugę, obiecał sobie, że przerobi go na rosół.

Lenda odskoczyła pod balustradę. Najmniej sześcioro wieśniaków runęło na nią. Któryś z biegnących w stronę wozu zawrócił i próbował zgruchotać kark zdradzieckim, zadany od tyłu ciosem młota. Debren zamachnął się maczugą, ale nie odważył się rzucić, w pełni świadom faktu, że równie dobrze może trafić w Lendę.

Dwa fragmenty poręczy pomknęły śladem atakujących, sprytnymi ciosami pod kolana powalając całą szóstkę. Trzeci stanął nagle dęba, gdy zachodzący od tyłu młociarz przekładał nad nim nogę. Ugodzony w pachwinę mężczyzna bez jednego okrzyku dał się podnieść i niespiesznym rzutem posłać w przepaść. Poręcz obracała się wprawdzie do końca i wyglądało na to, że miejscem przeznaczenia żywego pocisku jest brzeg, ale rzut okazał się za krótki.

Dopiero lecąc, nieszczęśnik odzyskał zdolność wycia ze strachu.

Na moście zapanował chaos. Jedni próbowali uciekać, inni, pewnie gorzej zorientowani - zabić Lendę. Niektórzy spośród tych, którzy już umknęli na brzeg, zawracali na widok wtaczających się na przedmoście wozów. Dwa przywiozły takich samych jak oni chłopów wolontariuszy, ale z trzeciej fury sprawnie, choć na razie niespiesznie, zeskakiwali żołnierze w jednakowych żółtych kubrakach. Debren nie wiedział, do jakiego stopnia most zdaje sobie z tego sprawę. Jeśli mierzyć ludzkimi kategoriami, nie wyglądał na wystraszonego: u ludzi strach budzi agresję. Tymczasem belki poręczy, choć jedna po drugiej obracały się ku środkowi przęsła, nie tyle biły, co spychały wieśniaków w stronę brzegu. Nikt nie poleciał w przepaść, mimo iż z barier ochronnych nie pozostało wiele.

Czterech łuczników i dwaj procarze wdrapywali się na stok

Osypańca. Szło im marnie, bo zbocze było strome, a nogi grzęzły w śniegu po pachwiny, ale było jasne, że gdy wejdą dostatecznie wysoko, most znajdzie się pod ostrzałem.

Debren nie chciał się tym martwić - nie wierzył, że przetrwają z Lendą tak długo. Most, choć się starał, był stary i nie bardzo sobie radził. Gdyby obracające się na słupkach belki poręczy przyrównać do wiosł, kapitan galery „Most Mesztorhazego” pożegnałby się ze stanowiskiem. Żaden kapitan nie zagrzeje stołka, mając tak marnie wyszkolonych wioślarzy. Poręcze zderzały się, zakleszczały, wykonywały mało sensowne ruchy, zawracały w połowie manewru, i, na koniec, nie imponowały siłą. Mniejsze grupy wieśniaków, zwłaszcza tych wystraszonych, były stopniowo spychane na północ, ale już dwie bardziej bojowe, skupione wokół sołtysówny i konnego topornika, stawiały skuteczny opór. Blondynę otaczało ze dwudziestu zamostkowiaków, śmiało mocujących się z parą belek, lecz w przypadku drugiego oddziału most sam sobie był winien. Balustrada dopadła konnego i czwórkę jego towarzyszy dokładnie pośrodku przęsła, w zasięgu dwóch sąsiednich belek, z których każda pchała intruzów w przeciwną stronę. W efekcie jeden z pieszych dostał się w kleszcze i wył z bólu i strachu, uwięziony w pułapce tępych, drewnianych nożyc, za to pozostali zyskali swobodę ruchów i korzystali z niej przytomnie, rąbiąc siekierami trzymającą kompana poręcz. Po precyzji, z jaką trzy ostrza raz po raz trafiały w to samo miejsce, Debren błyskawicznie rozpoznał drwali.

Ich przywódca kopnął konia po bokach, pokłusował w stronę czarodzieja. Już po paru krokach koń przeszedł w galop, nie tyle pod wpływem kopania, co od pchnięć belkami w zad. Mesztorhazy, jak na maguna przystało, konsekwentnie stosował Pierwszą Zasadę i most oczyszczał się najmniejszym z możliwych wydatkiem sił. Oznaczało to spychanie na północ tych z północnej połówki przęsła i na południe tych z

południowej. Najlżej byłoby oczywiście w przepaść, ale widać już we wczesnowieczu prekursorzy magunów mieli szacunek dla ludzkiego życia.

Szczęk zapadki z tyłu. Debren odwrócił się błyskawicznie, ale i ze świadomością, że się spóźnił. Kusznik, o którym na śmierć zapomniał, właśnie skończył robić swoje.

Stał blisko. Debren wyraźnie widział szyderczy błysk zębów i grot wymierzony w swą pierś. Uniwersalny, trójkątny, dość wąski, by poradzić sobie ze średnią zbroją, i wystarczająco szeroki, by zadać ciężkie obrażenia zwierzyńie. Miał też zadziory, zatrzymujące pocisk w ranie.

- Giń! - krzyknął triumfalnie kusznik. Z tyłu coś pęczniało, kradło biel ośnieżonej puszczy, ale Debren dał się zahipnotyzować wykutemu przez jakiegoś wiejskiego kowala paskudztwu i do końca nic nie rozumiał.

Kusznik też nie. Umarł zbyt szybko. Graniasty szpic halabardy wszedł w plecy pod prawą łopatką i wylazł w okolicy lewego sutka. Na moment tylko, bo koń gnał galopem i Zbrhl musiał albo błyskawicznie wyciągnąć ostrze, albo pożegnać się z bronią.

Wyciągnął. Zdążył. Mimo krwi sączącej się spod kaftana i spodni, był w lepszym stanie od swego wierzchowca. Koń Henzy biegł na trzech nogach - czwarta noga umykała w górę, ledwie musnęła ziemię. Podobno konie, jak psy, upodabiają się do swych właścicieli - tylko ta teoria, skądinąd kwestionowana przez Debrena, tłumaczyła fakt, że nieszczęsne zwierzę dowiozło rotmistrza aż tu. Henza też by dowiózł, gdyby dostał rozkaz.

- Uważaj! - zahuczał Zbrhl, wskazując zakrwawionym ostrzem kogoś z tyłu. Debren przykucnął, uskakując pod osłonę koła, święcie przekonany, że ostrzeżenie dotyczy konnego topornika. Pomylił się.

Z góry chlusnęła mu na kark porcja lodowatej wody. Na szczęście był w kapturze i większość spłynęła, zamiast wlać

się za kołnierz, sparaliżować. Okazało się to ważne, bo chłopak, który zamierzył się na Lendę cebrem, a teraz wylał mu na głowę zawartość skórzanej czapy, oprócz czapy i wody miał także sierp. Tylko błyskawiczne zastawienie się maczugą uchroniło twarz czarodzieja przed zakrzywionym ostrzem.

Drugiej zastawy Debren nie zaryzykował. Za ciężka broń, marna pozycja, no i ten drugi, konny. Cisnął maczugą w górę i kiedy chłopak zasłaniał się, wtoczył się pod furę. Z winy końskiego trupa było tu ciasno, ale jakoś się zmieścił.

Potem, trochę z tyłu, pojawiły się w polu widzenia cztery zakończone kopytami nogi. Trzy sprawne i jedna boleśnie podkulona w górę.

- Ty?!! - zaryczał wściekle i triumfalnie zarazem Zbrhl. Debren usłyszał znajomy gwizd sierpa, zakończony uderzeniem stali o drewno, potem drewno uderzyło o coś miękkiego, ciężkiego, a na koniec to miękkie, ciężkie i ewidentnie bezwładne zważyło się na burtę wozu. - Wszarzu!!! Noga?!! Petunkę?!!

Topornik nie był głupi: próbował wykorzystać fakt, że jego koń ma cztery sprawne kończyny, i po prostu uciec. Zadany siekierą cios też pewnie nie przyniósł mu wstydu: sypnęło iskrami, a koniem Henzy zakolebało. Zbrhl nie zdążył odwzajemnić cięcia, bo z mostu nadbiegali już trzej drwale. Ale Debren pamiętał zarąbanego przy studni ursoluda, pamiętał, jak niezdarnie poruszała się posiniaczona Petunka i z góry postawił kółko popiątne na durniu, który podniósł na nią cizmę.

Zaczął wypełzać spod fury. Po drugiej stronie, bo w obliczu czterech przeciwników i szansy na zemstę Zbrhl nie miał głowy, żeby się przejmować tym, co depcze jego koń.

Był przy kole, kiedy podwójny chrzęst zakończył karierę dwóch drwali. Trzeci odgłos łamanych ostrą stalą kości dopadł go, gdy klękał. Karosz topornika był już wtedy daleko, ale niewiele to pomogło jeźdźcowi.

Most, konsekwentnie, przegrodził parą belek jedyną drogę ucieczki. Karosz próbował przepchnąć się na siłę, ale most, który rozprawił się już z większością wieśniaków, zaczął zachowywać się trochę bardziej przemyślnie i wolna od naporu belka wspomogła atakowaną sąsiadkę sprytnym ciosem po pęczinach. Zwierzę odskoczyło, kwicząc trwożliwie.

O burtę fury zadudnił pierwszy pocisk. Debren od razu tak o nim pomyślał: że właśnie pierwszy. Nagle zrobiło się zbyt pięknie, by mogło to trwać długo. Kątem oka widział bezruch dziewczęcej sylwetki, opadające poręcze, w których zasięgu nie było już nikogo poza trupami i rannymi. Grupa sołtysówny, odcinając się belkom-samobijom, zawróciła na północny brzeg, strzelcy na Osypańcu byli już wysoko. Prawdziwe problemy właśnie się zaczynały.

Zbrhl też miał problemy - z koniem. Zaraz za wozem nieszczęsne zwierzę zostało trafione strzałą w pierś i powoli opadło na kolana. Nie zdołało wstać, ale jeździec zdążył wyrwać nogi ze strzemion i przeskoczyć okrakiem nad grzywą. Pokieroszowany nie gorzej od konia, Zbrhl wyraźnie się chwiał. I - co Debren zauważył dopiero teraz - nie miał zbroi. Topornik wyczuł okazję, spał karosza, zaszarżował.

I przesarżował.

Tellicy piechurzy rozslawili halabardę jako broń zdolną powstrzymać szarżę rycerstwa. Topornik nie był rycerzem i postąpił wyjątkowo głupio, atakując od czoła kogoś takiego jak Zbrhl.

Halabarda, choć dwukrotnie dłuższa, zakreśliła pionowy łuk szybciej niż berdysz Lendy. Debren przegapił szczegóły, lekko zamoczony bólem, ale końcówki już nie dało się przegapić. Zbryzgany krwią karosz przegalopował obok, a coś, co do niedawna było jego jeźdźcem, plasnęło o bruk pod postacią dwóch bliźniaczych półtuszy.

Nagle zrobiło się cicho. Całkiem. Starzy wojacy opowiadali sobie w karczmach o takich cięciach, ale nigdy na trzeźwo i

nigdy w liczonym gronie, bo mało kto lubi wysłuchiwać skończonych łgarzy.

Sam Zbrhl z pewnym niedowierzaniem patrzył na swoje dzieło. Lenda obejrzała się na nich, znieruchomiła.

Przez chwilę szansa na szczęśliwy finał kolebała się jak linskoczek tuż przed kończącym pokaz gzymsem. Debren wyczuł, że jeszcze parę momentów takiej powszechnej, podszytej zdumieniem i grozą ciszy, a tłum się rozpierzchnie. Niestety, ktoś kiedyś zrezygnował z nader sensownego pomysłu sporządzenia rosołu z pewnego papugi. Linskoczków zabijają lekkie, niegodne wzmianki podmuchy. Ich zguba miała na imię Drop.

Ptak pierwszy dostrzegł galopującego traktem Zbrhla i bardzo przytomnie pozostawił mu kusznika. Decyzja przelotu nad drugi brzeg i zajęcia się najgroźniejszymi w takich okolicznościach strzelcami też wystawiała doskonałe świadectwo strategicznemu doradcy nieboszczyka gryfa. Ale moment był najgorszy z możliwych i Drop zwałił się na kark najwyższej stojącego łuczника w zupełnie niestosownej chwili.

Mężczyzna, pchnięty znienacka, pokoziołkował w dół stoku. Drop trzasnął w twarz jakiegoś procarza, który też dał się zwalić z nóg, a całą resztę grupy strzeleckiej zmusił do opędzania się łukami i rzemieniami proc, jednak rezultat ataku był oplakany. Przez tłum przebiegł szmer, zaś sołtysówna dopadła najbliższego wozu, wdrapała się na ławkę woźnicy i wojowniczo wywinęła mieczem.

- Kury się boita?! Dziada brzuchacza?! Kuglarza jarmarcznego, co ze strachu krwią sra?!

Może nie osiągnęłyby celu, ale drugi procarz posłał Zbrhlowi kamień. Celnie. Rotmistrz musiał ratować się unikiem, ranna noga nie wytrzymała i Zbrhl, jak przystało na brzuchatego dziada, runął. Debren doskoczył, złapał go za łokieć, zaczął ciągnąć do tyłu, w stronę wozu. Lenda zrobiła krok w ich kierunku, znieruchomiła na moment, po czym,

wyraźnie zdesperowana, zamachnęła się i padając na kolana, grzmotnęła berdyszem o bruk.

- Ognia skrzeszta! - Wciąż było cicho, więc pomysłodawcę zrozumieli wszyscy. - Podpalić belki!

- I furę dawajta! - popisał się zmysłem taktycznym inny wieśniak. - Za furą pójdziem, tarana zrobim!

Pierwsza czerwono opierzona strzała przemknęła nad głową Debrena. Niedobrze. Czerwonych lotek używały leśne straże i łowcy zbójów. Nieźli strzelcy, krótko mówiąc. Na szczęście zanim żółto odziani łucznicy zajęli wyżej położone miejsca na wozach, magun zdołał wciągnąć rotmistrza za furę.

- A Lenda?! - Zbrhl szarpnął się, spróbował wracać.

- Mają łuki - warknął Debren. - A ty Petunkę. Bierz kuszę - wskazał przebitego na wylot strzelca - i osłoń. Ale nie wylaż, słyszysz? Jak spróbujesz, to tak ci przypieprzę... To moja sprawa.

Nie żartował i najwyraźniej dało się to wyczuć. Kiedy wybiegał zza wozu, nikt nie próbował iść w jego ślady. I to raczej nie dlatego, że o deski przekrzywionego na końskim trupie pojazdu zabębniło z pół tuzina grotów naraz.

Do niego, póki co, nie strzelali. Tak jak i do Lendy. Ci z góry nie mogli, bo Drop dwoił się i troił, a stojącym niżej widok zasłaniaли wieśniacy. Część żołnierzy naturalnie zaczęła przedzierać się do przodu, względnie wspinać wyżej na Osypaniec, ale gdyby wszystko poszło dobrze, a Lenda odzyskała rozum...

Liczył na to - i przeliczył się aż po dwakroć. Pierwsza belka jedynie zablokowała mu drogę, dając co trzeba do zrozumienia. Kiedy jednak nie zrozumiał i pchał się dalej, ominąwszy ją sprytnym zwodem, druga, już bez ceregieli, zgarnęła go w pasie i, jak onager zdechłą krową, cisnęła nim z powrotem. Grzmotnął o wóz, na szczęście przewieszony przez burtę specjalista od sierpa i wody święconej złagodził siłę uderzenia. Ale na bruku, gdzie zakończył lot, pokaleczone

pośladki nie miały tyle szczęścia i przez chwilę nie widział świata zza wirujących przed oczami czarnych gwiazd.

- Precz, hołoto! - zahuczał zza wozu rotmistrz. - Bo jak kaczki wystrzelam!

Na razie to do niego strzelano. W burtach wozu i trupie młodego wieśniaka strzały grzęzły jedna po drugiej. Lenda, płacąc za tę demonstrację nie mniejszym niż Debren bólem, tyle że pękniętego kolana, na kolanach właśnie przesuwiała się, ustawiając plecami do niego. Przez chwilę miał nadzieję, że to z naturalnej chęci spoglądania zagrożeniu w twarz, ale szybko wyzbył się złudzeń. Walila berdyszem w szaleńczym pośpiechu i nawet nie zerknęła na wieśniaków.

- Do mnie, Debren! - W głosie Zbrhła, pojawiła się żołnierska rzeczowość. - Za wóz, ale już!

Usłuchał. W samą porę, bo kiedy wpełzał pod furę, pierwsza strzała z Osypańca trafiła poniżej osi.

Zdażył, nim następni skrzესali grotami iskry pod brzuchem pojazdu. Strzelali celnie. Gdyby nie trup konia, któryś z pocisków odnalazłby drogę między szprychami.

- Co tu robisz?

- Ja?! - Zbrhl wbił gniewnie bełt w korytko kuszy. - Co ta smarkuła robi! I ty! Na południe mieliście, oboje!

Wychylił się, poderwał kuszę, prawie nie mierząc zwolnił spust. Dopiero kiedy kucał z powrotem, czarodziej zauważył, że broń jest z gatunku najcięższych, napinanych kołowrotem. Taka, jaką Zbrhl najbardziej lubił. Nie zdziwiła go więc krótka, ale wyraźna przerwa w ostrzale: łucznicy mieli prawo pogapić się przez chwilę na trafionego kompana i przemyśleć pewne sprawy.

- Rusz się! - warknął rotmistrz, zaczepiając hak o cięciwę i zaczynając młynkować parą małych korb. - Przywał im z różdżki, bo jak się przegrupują...

Debren podniósł się, wyjrzał zza wozu. Któryś z wieśniaków zdażył zapalić pochodnię i teraz kilkoro zamostkowiaków, w



większości kobiet, przypalało od niej inne.

- Łap konia - wskazał karosza, który zatrzymał się przed zakrętem. - Bierz Petunkę i uchodźcie. - Zbrhl rzucił mu zaskoczone spojrzenie. - Nie mam różdżki. Diabli wzięli. Gryfa też wzięli, a jak ta tłuszczka dotrze pod oberżę, to i klątwę wezmą. Bierz ją do siebie, pod Prawel i się żeń. Powinna to przeżyć.

- Gryfa? - Zbrhl był żołnierzem z krwi i kości i nawet ewidentny wstrząs bezpałowy nie był w stanie spowolnić ruchów jego rąk. Zapadka szczęknęła jakies pół pacierza po pierwszym obrocie bębna. - Co się...?

Debren odruchowo skłonił głowę, strzała ugrzęzła w beczce, dobry łokieć na lewo. Buro opierzona, chłopska. Drop przetrzymał tamtych w górze długo, lecz nie mógł trzymać bez końca: wystawili do obrony dwóch uzbrojonych w toporki, zaś pozostała trójka odzyskała swobodę ruchów. I zaczynała z niej korzystać.

Lenda wciąż żyła. Tłum, waląc czym popadnie w zaporę z belek, kłębiąc się i pchając wyprzęgniętą furę, oczywiście mocno utrudniał celowanie zgromadzonym z tyłu strzelcom, ale kilku znalazło się wystarczająco wysoko, by zapolować na dziewczynę. I - ma się rozumieć - niektórzy próbowali to robić.

Ani jedna strzała nie doleciała do celu.

- O psiamać... - zaskoczony Zbrhl znieruchomiał z kuszą przy ramieniu. Trudno go było winić. Debren, choć czarodziej, też patrzył zafascynowany na obracające się belki. W przeciwieństwie do nieskładnego stylu walki wręcz, sztukę odpierania ataków z dystansu most opanował znakomicie.

Belki poręczy miały po pół stopy wysokości. Między środkiem mostu a jego północnym skrajem zamontowano ich w sumie dwadzieścia: po pięć górnych i dolnych w każdej balustradzie. Po dwóch wiekach paru brakowało, a niektóre wyszczuplały, nadgryzione zębem czasu, lecz gdyby ułożyć je

jedna na drugiej, nadal osłoniłyby nie tylko klęczącą dziewczynę, ale i jeźdźca. Most nie potrafił dokonać takiej sztuczki, jednak dopóki strzelano, z grubsza biorąc, wzdłuż jego osi, a Lenda próbowała przedziurawić przesło dokładnie w środku, wystarczyło sensownie użyć połowy dostępnych ramion, by zabezpieczyć ją przed pociskami. Druga połowa szykowała się do odparcia tłumu.

Na widok unoszącego się szpaleru belek łucznicy skupili uwagę na przeciwnym brzegu. Lenda była niedostępna, niegroźna i odcięta od drogi ucieczki, do której się zresztą nie kwapiła. Ukrytych za wozem mężczyzn nie ochraniała magia, mieli kuszę, a z tyłu, całkiem niedaleko, las. Wybór wydawał się oczywisty.

- Ha, mówiłem! - Zbrhl triumfalnie trzasnął pięścią w burtę.  
- Porządny morvacki most!

Któryś z żołnierzy przeczesał mu strzałą włosy. Obaj szybko schowali głowy. Debren oparł się plecami o koło.

- Byle do tych ruin - wskazał resztki roгатki. - Potem cię drzewa osłonią.

Zbrhl zerknął na niego z ukosa, przesunął się nad końskiego trupa, wychylił na moment, strzelił.

- Obejdzie się - mruknął. - Już ci mówiłem: nie po to majątek na oręż wydaję, by go w ucieczce porzucać.

- To zdobyczna kusza - zauważył przytomnie Debren.

- Ale berdysz kupiony.

- Zbrhl, ja nie żartuję. Uciekaj. Most mostem, a oni są wściekli. Nie odstąpią. Ze dwudziestu ubiliśmy, sama Lenda im do zemsty nie starczy. Pognają na oberżę i dalej, po waszych śladach. A widzisz - uniósł dłoń - nie pada. Nie zasypie tropu.

- Nie kręć. - Zbrhl sam kręcił zajadle, cięciwa szybko sunęła ku chwytakowi spustu. - Durny nie jestem, widzę, że jeno tu. Naprawdę gryfa ubiłeś?

- Naprawdę. Bierz Petunkę i wieź do Prawią. Nie ma cudów,

by chłopci oberży z dymem nie puścili, a bez szarżaka klątwa się rozsypie. Uciekaj, Zbrhl. Ona zasłużyła na trochę normalnego życia. A twoje córki na matkę.

Dobrze trafił: kołowrót zwolnił, na moment nawet znieruchomiał. Ale o wóz zabębniła następna salwa i rotmistrz powrócił do napinania kuszy.

- W oczy bym żadnej nie spojrział - warknął, wyciągając bełt z zerwanej z trupa sakwy. - Mam się dziewczyną od pościgu zastawiać? I to taką?

- Jaką? - Debren zbierał siły, strzały waliły o wóz, więc choć rozmawianie w takiej chwili wydawało mu się skończoną niedorzecznością, siedział na tyłku i po prostu rozmawiał. Żeby nie myśleć, nie umierać z żalu.

- Kartkę zostawiła - powiedział cicho Zbrhl. - Między Henzę a jego tarczę upchała, przez tydzień mogliśmy nie znaleźć. Gdybym po portki nie skoczył...

- Portki mu zabierałeś?

- Dla woni. Wiesz, konie jak psy... A ten jego, jak i pan, nie za mądry. Pomyślałem, że jak mnie z Henzą pomyli, prędzej pobiegnie. Sprytnie, co?

- Skąd wiedziałeś, że tu będę? Drop, tak? Wypaplał, że Lenda...? Na rosół łajdaka przerobię. Mnie ani słowa nie pisnął.

- To Petunka. - Zbrhl wychylił się zza wozu, strzelił, usiadł, nim posłane w odpowiedzi groty zadudniły o deski. - Kuszę brałem, tę nadpaloną, to polazła ze mną i inne dobra zaczęła... I nagle poduszkę mi pod nos pcha.

- Tę z częstokołu? - domyślił się Debren. Opadł na brzuch, wyjrzał zza końskiego zadu. Poręcze południowej części mostu spoczywały nieruchomo, wsparte końcami o jezdnię lub słupki przeciwległej balustrady, więc widział sporo. Plecy Lendy na przykład. Nic się nie zmieniło: nadal klęczała, waląc obuchem w most.

Szaleństwo.

- I klnie - ciągnął Zbrhl, osadzając kołowrót na końcu kolby.  
- Ale tak, że mało mi uszy nie zwiędły.

Z drugiego brzegu rzucono pochodniami. Poręcze wiele sobie z tego nie robiły - trudno zapalić poziomą belkę, którą płomień muska jedynie w przelocie - ale podtrzymujące je słupki były w gorszej sytuacji. Na razie wieśniacy nie celowali w obrzeża przęsła, lecz Debren nie łudził się. Wcześniej czy później ktoś trafi przypadkiem i słup się zapali.

- No i jak obejrzała krzak, kazała mi lecieć po konia. Więc mówię, że kulawy, że Henzę może by i poniósł, ale mnie za cholere, a ona jak nie ryknie...

Strumyk zimnej wody pociurkał z góry na pośladki Debrena. Któraś ze strzał musiała nie tyle przebić, co rozłupać klepkę. Woda lała się z wozu, tworzyła kałużę przy kole; pierwszy wężyk popelził żwawo w stronę mostu.

- No to zrzuciłem pancierz, żeby lżej, i zbiegłem do piwnicy. A tam ten karteluszek. Czemu nic nie mówiłeś? Na chama wyszedłem z tym gadaniem o ogórkach.

Szczęknęła zapadka, zagwizdało. Bełt, krótszy i szybszy od strzał, nie dał się śledzić w locie, ale kiedy za kuszę brał się Zbrhl, nie było potrzeby rozglądać się za bełtami. Wystarczyło patrzeć, gdzie kto pada.

Tym razem rotmistrz przeszedł samego siebie: na ziemię zważyło się aż dwóch. Drabowi rąbiącemu pierwszą od północy poręcz bełt przeszył gardło, ten za nim, mniejszy i przytrzymujący belkę kosą, dostał w twarz. Pięknie. Tyle że obok na belkę najeżdżał wóz. A tłum kotłował się, puszczał do przodu ludzi z widłami i siekierami.

- Zaraz pójda - Debren, nadal leżąc, złapał rotmistrza za brzeg kaftana. - Przy wozie. Belki nie dadzą rady bić, a takiej gromady nie przepchną. Zabieraj się, ale już.

- Cmoknij mnie w zadek.

- To nie twoja sprawa! - podniósł głos. Pozycja była dobra, ale kiedy osłabnie opór mostu... Żadnych szans na ciemność,

która mogłaby zmylić pogoń. Sądząc po płynącym z góry, odbitym od powierzchni magicznego stożka światła, słońce musiało właśnie zachodzić. To dlatego ośnieżona peruka Lendy wyglądała tak osobliwie. Doskonała biel z dodatkiem lekkiego różu. Debren objechał i opłynął niemal cały Viplan, ale z takim odcieniem jeszcze się nie spotkał.

Zaraz. Te włosy... Zaraz.

- Ale berdysz mój - burknął Zbrhl. - Sześćdziesiąt cztery warstwy pierwszorzędnej stali. Golić się można, jak kto nie cherlak. Wiesz, ile kosztował? Nie powiem, bo jeszcze Zdrenka usłyszy i się w grobie obróci.

Debren usiadł. Siadając grzmotnął głową o dno wozu, ale nawet tego nie zauważył. Przed oczami miał doskonałą biel, lekko przyprawioną różem. W głowie - pustkę.

- Zostaw nas - mruknął.

- Was? - parsknął gniewnym śmiechem Zbrhl. - Jakich was, załgany durniu? Kochanka, dobre sobie!

Strzelali do nich. Pierwsza płonąca strzała przeleciała z gwizdem nad wozem, zgasła w pokrywającym trakt śniegu. Żaden nie zwrócił na nią uwagi.

- O czym ty właściwie...? Zbrhl... dlaczego przyjechałeś? Właśnie tutaj? Niemożliwe, żeby po śladach...

- Uszy ci łajnem zarosły?! - Rotmistrz gniewnym ruchem wbił bełt w korytko. - Mówię przecież: napisała!

- Co?

- Gdzie berdysza szukać. I że nas wszystkich miłuje. A Henzę lubi. - Debren gapił się na niego tępo. Już łagodniejszym tonem Zbrhl dokończył: - No i o prababce. Żeby jej tak Petunka nie miała za złe, bo go szczerze miłowała, do śmierci.

- Kogo?

- Rozum też ci zarósł? Toć wyraźnie mówię, że się biedaczce we łbie poprzestawiało! I nie dziwota: trzydzieści lat i ani razu... Cholera, Debren, jak się dowiem, że mogłeś coś z tym

zrobić, aleś nie zrobił...

- Kto kochał?

Zbrhl prychnął gniewnie, na czworakach wyjrzał zza przedniego koła, wymierzył, strzelił. Cofnął się, wyciągnął nóż zza cholewy, rzucił magunowi.

- Rznij skórę - warknął, trącając kolbą końskiego trupa. - Wóz trzeba obłożyć, bo nas tu spalą.

Debren posłusznie wbił ostrze w ciepłe zwłoki. Łucznicy nie byli przygotowani na taką walkę; strzały, których nie wyposażono w specjalne opaski, przeważnie gasły w locie. Ale samych strzał wyraźnie im nie brakowało i wcześniej czy później należało spodziewać się pożaru.

Wóz-taran utknął na pierwszej zaporze. Belki z tyłu wspomogły te z przodu; most nie miał siły wypchnąć atakujących, lecz i oni nie dali rady złamać oporu dobrze podpartych poręczy. Więc zaczęli je rąbać i podpalać.

- Kto kogo kochał?

- Nie wiem - rzucił ze złością Zbrhl. - Nieważne. Ona się liczy, nie to, co nabazgrała. Rozum biedaczce odjęło, nie widzisz? Taki most berdyszem?! Morvacki?!

Debren wyciął kawał końskiej skóry, zrolował, przerzucił najpierw ją, a potem własne ciało przez burtę wozu. Dwaj łucznicy mieli akurat strzały na cięciwach, ale obaj spudłowali. Leżąc na dnie fury, bez pośpiechu, starannie, obkładał krwawymi płacami wystawione na ostrzał fragmenty wozu. Beczka przeciekała, ale woda wciąż w niej była, więc pod skóry wepchnął jeszcze trochę mokrej słomy, jakąś szmatę. Omal nie dołożył zwoju liny, wypatrzonej pod kozłem. Rozmyślił się jednak, wyrzucił ją za wóz.

- Nie wylaż - ostrzegł go Zbrhl. - Powiem, kiedy. Leżał, prawie nie czując zimna, wdzierającego się w ciało przez nasiąkające wodą ubranie. Patrzył na ośnieżone czupryny jodeł. Niebo nad mostem było błękitne, pełne blasku, ale opatulone śniegiem drzewa, choć miały bliżej, nie przejęły od

niego owej różowej domieszki.

Więc nie tylko w całym Viplanie, ale nawet tu...

Nigdzie nie znajdzie takiej drugiej. Nigdy. I Petunka, i jej spadkobierczynie też nie.

Tylko że to nie miało sensu. Mdliło go od niedoboru mocy. Czarodziej, który doprowadza się do takiego stanu, może zajmować się różnymi rzeczami, ale logiczne myślenie stanowczo powinien sobie darować. Głód mocy wywołuje zwidy, już kursanci pierwszego roku doskonale to wiedzą. Biedny, obtłukiwany ze wszystkich stron mózg zaczął sklejać nie powiązane ze sobą fakty, strzępy wspomnień, a teraz nawet obrazy. Tak jak mózg Lendy. Weź się w garść, chłopie, stań twardo na ziemi. Jej włosy nie płoną różem. Ona nawet nie ma włosów. I w niczym nie przypomina kruchej dziewczuszki, co z lilią, pod wiatr...

- Naprawdę nie wiesz, kim jest? - dobiegł zza burty stłumiony pomruk Zbrhla.

- Lenda? Nie mam pojęcia. - Nie widzieli się, może nigdy więcej nie mieli się widzieć i pewnie dlatego to wyznał. - W zamtuzie ją poznałem. Nie wiem nawet... Teraz widzę, że z wojskiem nie zełgała, ale to drugie... Mówi, że jeno jako odźwierna... Nie wiem, Zbrhl. Żadna z niej święta.

Przez chwilę było cicho. Tutaj. Trzydzieści sążni dalej siekiery waliły o drewno, wrzeszczeli ranni, zawodziły wdowy, zgrzytały koła przetaczanych furmanek.

- Ale... wysoko rodzona nie jest? - upewnił się Zbrhl.

- Ona? Widziałeś kiedy pannę z dobrego rodu? Przypominała ci Lendę? W czymkolwiek?

Zbrhl napiął kuszę, ale jeszcze się nie podnosił.

- Po ojcu, miałem na myśli - mruknął. - No wiesz.

- Też nie. - Debren obrócił się na brzuch, ustawił do skoku. - Z Belnicy jest, w tym samym roku co Wyborzyn rodzona. A słyszałeś, co sama mówi: nikt więcej w rodzie książęcym dzieci się nie doczekał.

- Tego nigdy się nie wie.

- Za demokracji się wiedziało. Połowa szpiegów za członkami dawnych rodów panujących chodziła. U nas, w Lelonii, jeden książę, pamiętam, przed sądem stawał, bo na okrągło pyskował, że tajniaków to on pieprzy. I, wystaw sobie, sąd go musiał uniewinnić, bo w procesie wyszło, że z osiemnastu nałożnic i dwóch żon ani jedna się nie znalazła, która by od tajnych służb żołdu nie brała. Nie, Zbrhl. W takiej dziurze jak Belnica i pod feudalną władzą każdy wie, kogo książę dudka, a cóż dopiero za demokracji.

Pierwsza pionowo posłana strzała wbiła się w dno wozu. Daleko od nogi Debrena, ale...

- To po coś tu przyjechał? - Magun nie odpowiedział, układał się do skoku. - Nie łyżj, Debren: też ci zaświtało... - Kilka grotów zabębniło o deski. - Teraz!

Poderwał ciało, przetoczył się przez krawędź burty. Jakaś spóźniona strzała zagwizdała mu nad głową, ale drugie stado nadleciało nad wóz dopiero, gdy zwałił się brzuchem na bruk.

Przegapił strzał Zbrhla. Kiedy uniósł głowę, rotmistrz znów napinał kuszę. Powoli jakoś. Debren też nie spojrział mu w twarz tak szybko, jak by mógł.

Ale w końcu musiał.

- Z tą poduszką... O co chodzi?

Zbrhl dociągnął cięciwę nad zapadkę, odłożył kuszę, sięgnął za pazuchę. Bez słowa podał czarodziejowi mało delikatnie wydarty strzęp białej tkaniny. Lniane płótno było czyste - pomijając środek i dwa obrzeża. To właśnie na obrzeżach skupiły się wyraźniejsze smugi rozmytej, rudziejącej już czerwieni, ale spojrzenie Debrena przywarło do jaśniejszej plamy pośrodku. Krew Lendy, nawet taką, wstydliwą, już widział. Tego drugiego nie.

- Nie jest ranna. - Zbrhl opacznie zrozumiał jego bezruch. - To rdza. Siadła okrakiem na częstokole, no i... - Zamilkł na chwilę, potem westchnął. - Masz rację, uroiło się dziewce.



Chora, z gorączką... Jakby naprawdę była... Niechby i z nieprawego łoża... Aż tacy gołodupcy z belnickich książąt nie są, by na taki drobiazg odrobiny srebra poskąpić. A tu goła blacha.

- Lilia - rzucił tępo czarodziej. Tyle zdołał przyswoić jego mózg: że rudożółty, rozmazany, ale czytelny odcisk przedstawia nieduży, stylizowany kwiat.

- Nie widziałeś? - bardziej stwierdził niż zapytał rotmistrz. I pokiwał współczująco głową. - Szmata owijała, czy wy w ogóle...? Zresztą nie, nie mów. Nie moja sprawa. I w życiu bym jednym słowem...

- Lilia? - powtórzył Debren z niedowierzaniem. Dwie dobrze mierzone strzały spadły z nieba, iskrząc o bruk tuż obok nich, po bezpiecznej dotąd stronie fury, ale żaden nie zareagował.

- Albo ktoś ją chciał dodatkowo ośmieszyć, albo naprawdę... Wredna bywa, więc bym się nie zdziwił, gdyby ktoś z zemsty nie tylko pas, ale i to na pasie... Masz pojęcie, jakiego wstydu się dojrzała niewiasta najada, z takowym problemem do kowala zachodząc? A ile uciechy kowal i jego kumotrzy w karczmie?

- Lilia? - Debren oderwał wzrok od zgniatanego w dłoniach kawałka lnu, posłał rotmistrzowi oszołomione spojrzenie. - Zbrhl, chcesz powiedzieć...?

- Nie wiem - Zbrhl stchórzył na całym froncie: podkulił nogi, zabierając je bliżej burty, gdzie nie dolatywały spadające z góry pociski, i umknął ze wzrokiem. - To nie na mój rozum. Tyle ci powiem, że na owym krzaku... no wiesz, pod ścianą... że Petunka krwi się doszukała. Jak to Lendy, to po udzie by ją drapnęło i gdzieś tu - dotknął piersi. - Kolce ani grube, ani długie, a krew została.

- Na krzaku? - Debren bez powodzenia próbował wziąć się w garść. Zamostkowiacy przestali strzelać. Ci w dole dali sobie spokój z siekierami i z rytmicznym: „Heeej... raaaz!” walili teraz furą-taranem, wolno, za to niepowstrzymanie

przełamując opór zapory. Jakby się zmówili, by dać czarokrażcy czas, podręczyć przed nieuchronnym końcem.

Bo jakiegokolwiek wnioski wyciągnie, zabolą. Czuł to.

- Przez suknię by nie pokaleczyło - mruknął Zbrhl. - Co innego, jak kto goło...

Debren musiał przełknąć ślinę.

- Bzdury jakieś...

- Pamiętasz, jaka rozchełstana z Yeżynem wróciła?

- Bredzisz, Zbrhl. Ona... jej się tylko... w głowie przestawiło.

Nie jest żadną...

- Dziewicą? - Rotmistrz ułożył bełt w korytku. Niespiesznie jakoś, lecz to dało się wytłumaczyć skromną zawartością sakwy z pociskami. - Ale że goło wokół oberży ganiała, to prawie pewne. Pomyśl: ciągle boso i w sukni, choć każdy rekrut wie, że portki i buty to pierwsze, czego wojak w boju potrzebuje.

- Kobieca chciała być - bronił się Debren.

- Łajno tam... Z kiecki raz dwa da się wyskoczyć i na powrót ją wciągnąć. Z portek i łapci nie. A w buty jej noga nie wchodzi. No i jeszcze te... no, biust.

- Co: biust? Też ci się za mało babski widzi? Oczu chyba nie masz...

- Oczy mam, ale okazji jakoś nie było. A ty?

- Co: ja? - Debren zrozumiał, ledwie zamknął usta, ale nie zdobył się na ich ponowne otwarcie. Nawet nie ze wstydu. Po prostu wszystko wyło w nim na myśl o tym, że i tę szansę zaprzepaścił. Tam nie zakuli jej w blachy, gdyby zachował się jak trzeba... Uwodziciel Cassamnoga przechwalał się w swych pamiętnikach, że wystarczy mu jeden niewieści sutek, żeby kobiecie rozkosz dać. Jemu pewnie nie wystarczyłyby oba, ale przynajmniej mógłby sprawić, żeby Lenda poczuła się doceniona. I pozostała w łóżku.

- Yeżyn powiedział, że ma takie jak ta z obrazu. No wiesz. - Zbrhl oszczędził mu słowa, ograniczając się do wymownego

ruchu przy piersi. - Widziałeś obraz, Debren. Wiem: to nie twarz, jedne od drugich aż tak się nie różnią. Ale jednak trochę... Niezręcznie ci, rozumiem, ale powiedz, bo to ważne: podobne mają? Ona i ta z lilią?

- Ważne? - powtórzył tępo. Nic nie mogło być ważne. Zostawiła go, w pełni świadomie i na zawsze. Zostawiła, choć nie umiał już bez niej żyć.

- Bo jeśli Yeżyn nie bredził, to chyba naprawdę próbowała biegać goło. Już wtedy. To dlatego na Dropie parol wymusiła i ten kaftan na jabłonkę zarzuciła.

- Bzdury pleciesz.

- Nie rozumiesz? Nogę rozwaliła, lecąc do ciebie. Łeb o nadproże rozbity. Zbawca: wróg śmiertelny od rodaków ją ratujący. I przez latacza opaskudzony. Z dziesięciu warunków Pretokara siedem gołym okiem widać, że spełnia.

Z tamtego brzegu nie strzelano. Cholerni wieśniacy. Powinni strzelać. Strzały, nawet te niecelne, zabijają jałowe, przesączone bólem myśli.

- Zbrhl, o czym ty w ogóle mówisz?

- W cuchnących portkach łązi, z chłopem ją pomyliłem. Poryczała się przy nas; czort wie, czy faktycznie nie pierwszy raz w życiu, bo sam przyznasz, że z płaczliwej panienczki wiele w sobie nie ma. Wiem, Debren, wiem: durny zbieg przypadków. Ale dodaj napad Pisklaka i siedem z dziesięciu mamy. Jak faktycznie nikt jej dotąd... Pomyśl: trzy paragrafy jeno zostają do wypełnienia. Piąty, siódmy i ósmy.

- Jeno? - parsknął gorzko Debren. Gorycz utonęła w trzasku pękającej belki i triumfalnym okrzyku wieśniaków. Zbrhl zerknął zza wozu, usiadł z powrotem i dokończył, nie zmieniając tonu:

- Goluśka z nieba spadła, a i tak ani twoi stacyjni konfratry, ani mróz, ani kordoniarze rady jej nie dali. Cóż dla takiej trzy razy byle chałupę obiec, choćby i po ćmie. Trzech pacierzy zażądała. Mało, ale gdyby prosiła o więcej, ktoś by się

mógł zdziwić. No i nigdzie nie jest powiedziane, że dom trzeba okrażać tuż przy ścianie. Byle goło i po trzykroć. W las mogła skoczyć i z dala, całe gospodarstwo... Idźmy dalej: z jej lubego i magik, i marynarz. Znaczą: panienka czeka i w każdym grodzie, o który zahaczyłeś, i w co drugim porcie. I tak oto punkty piąty i siódmy mamy z głowy. Prawie zamknięta lista.

- Żadne panienki nigdzie na mnie...

- Nie łżyj, Debren, samiśmy tu. A nawet gdyby... Toć nie o faktach mówię, a o tym, co się biedaczce ubzdurało.

- Ubzdurało? - Dopiero teraz obrócił się na łokciu, posłał spojrzenie pod przeciekający brzuch wozu. Lenda uparcie machała berdyszem. Marnie jej szło: musiała usiąść, bo z każdą chwilą wyraźnie traciła siły. Bura sukienka na plecach i pod pachami nie była już bura, a niemal czarna od płynącego ciurkiem potu.

- Widzisz przecie. - Zbrhl zniżył głos, ale jakimś cudem słyhać go było doskonale przez trzaski siekier i krzyki tłumu. - Jednego zwornikowego głązu nie wyłupała. A to porządny, morvacki most. Trzeba by z tuzin, by przeszło pękło. A ona nawet jednego...

Wóz-taran przełamał przeszkodę. Utknął na następnej, lecz w wyrwę wlał się tłum. Prawe belki drugiego przęsła balustrady, wspierające dotychczas poręczę przęsła pierwszego, zdążyły umknąć, ustawić się w poprzek mostu, lecz te z lewej uwięzły w utworzonej przez furę pułapce i ginęły teraz bezsilnie pod ciosami toporów. Czołówkę pracy ku Lendzie gromady zastopowała trzecia linia poręczy, podparta linią czwartą, jednak zło się dokonało: w ciągu kilku chwil dystans między dziewczyną a wieśniakami zmalował o połowę. Natarcie załamało się wprawdzie, jako że pozostawione na tyłach belki nie kapitulowały, ale żołądek Debrena nie bez powodu skurczył się w bolesną kulkę.

Zbrhl zaklął, podniósł się i ignorując przemykające obok pociski, posłał bełt któremuś z łuczników.

- Zabierz ją stamtąd! - Czas znów zaczął ich poganiać, więc zabrał się za napinanie kuszy stojąc. Lekki skłon, wóz i beczka chroniły go przed dobrze wymierzonymi strzałami, ale już nie przed tymi wymierzonymi bardzo dobrze. Na szczęście kilku martwych towarzyszy nauczyło łuczników ostrożności: świadomi, że to na nich się poluje, zeszli niżej, skryli się za pniami, względnie plecami tłumu. Strzały nadlatywały rzadziej i mniej celnie.

Debren, ignorując dwóch czy trzech śmiałków, którzy pozostali na skarpie, przełazi na czworakach pod furą.

- Lenda!

Po sztuczkach z przerabianiem gardła na echosondę nie bardzo potrafił porządnie wrzasnąć. W dodatku krzyk zabrzmiał dziwnie, nieludzko, i połowa głów obróciła się w jego stronę. Ta najważniejsza oczywiście nie. Drgnęła, a potem znieruchomiała na chwilę ze wzniesionym do uderzenia berdyszem - ale wytrzymała. Nawet wtedy, gdy łucznicy wzięli go na cel.

- Idź precz! - krzyknęła. - Zostaw mnie!

- Debren! - pohukiwał zza wozu Zbrhl. - Nie tak! Sam wiedział, że nie tak. Że nawet jeśli nie trafi go żadna ze strzał, na pewno trafią belki. Na południe od Lendy przetrwało ich osiemnaście i jak dotąd nie miały do roboty nic lepszego niż rzucanie o furę ogłupiałymi z rozpaczyny czarodziejami. Nie miał cienia pomysłu na uporanie się z przeszkodą, która - jak jej bliźniaczka z naprzeciwka - potrafiła zapewne zatrzymać setkę rozjuszonych chłopów i tuziny dużo szybszych od niego strzał. Złudzeń też w zasadzie nie miał, ale przede wszystkim nie miał wyboru. Więc po prostu robił to, co musiał.

Biegł do niej.

Oczywiście nie dobiegł. Na chwilę przed tym, nim pierwsza dobrze wymierzona strzała przemknęła na wysokości jego pępka, tuż przed zainkasowaniem ciosu poręczą, jego stopa trafiła na śliski, zalany święconą wodą kamień. Runął jak

długi.

- Wszyscy jesteście zasrani łgarze! - Lenda dla odmiany odepchnęła się drzewcem od bruku, dźwignęła z wysiłkiem na nogi. - Banda cholernych magunów!

Most miał po północnej stronie już tylko cztery wolne poręcze do dyspozycji, ale, póki co, to wystarczyło. W stronę wyłaniającego się spod szpaleru belek kobiecego torsu poszybowały widły, dwa sierpy, młotek i bodajże kosa, lecz żaden z pocisków nie przebił się przez ruchomą zapórę poręczy. Jedyne łucznik, jaki przepchnął się na czoło tłumy, nie zdążył sprawdzić jakości osłony: Zbrhl czuwał. Trafiony w środek piersi, wojak runął pod koła fury-tarana.

- Rozum ci odjęło! - Debren, ciut otrzeźwiony gwizdami nad karkiem, sunął w stronę mostu na czworakach.

- Runąć miał! - Zglupiała do reszty: nie tylko stała, ale w dodatku plecami do wroga. W jej skierowanej ku Debrenowi twarzy było coś, co odpychało może nawet lepiej niż te cholerne belki, już teraz sunące ochoczo na spotkanie intruza.

- Gówniany partacz! Bezbronnej babie gryfem przysrać to potrafi, ale klątwę cofnąć to już nie! Won, kłamco!

- Ja partacz?! - Dotarł do pierwszej belki, belka opuściła się, przegradzając mu drogę, druga powędrowała w tył i do góry, niedwuznacznie biorąc zamach, więc z braku innych możliwości próbował przynajmniej zrozumieć.

- Mesztorhazy! - Niemal splunęła tym imieniem. - Kury mu macać, nie klątwy na ludzi...! Uważaj!!!

Strzała wbiła się w poręcz tuż przed oczami, sypnęło próchnem, furia wibrującego drzewca rozmazała twarz Lendy. Nie musiał jednak jej widzieć, wystarczyły uszy.

Była przerażona. Przez chwilę, może tylko ułamek chwili - ale była. Potem powrócił żołnierski rozsądek.

- Leż! - huknęła. - Nisko głowa!

- Leż! - krzyczał z tyłu Zbrhl. - Tam cię nie sięgną, jeden jeno! Zaraz go...! Leż, Debren!

Mieli rację: tylko najwyżej ulokowany na Osypańcu wieśniak mógł się pokusić o wpakowanie czarodziejowi strzały. Żadna z osiemnastu poręczy południowej połówki mostu nie zamierzała go chronić, ale wisząc w poprzek, chcąc nie chcąc, tworzyły podwójny ruszt, skutecznie osłaniający Debrena.

Woda z potraskanej beczki mijała go, płynęła dalej, aż pod nogi dziewczyny, znikła w wybitej berdyszem szczelinie. To nie jej lodowaty dotyk przyniósł otrzeźwienie. To strach. Ten większy. Lendy.

Boże, jak ona się bała... Przez chwilę tylko, nawet nie do końca wydartego z samego dna trzewi ostrzeżenia. Ale to wystarczyło. Zrozumiał, że rotmistrz nie miał racji.

Prawie zamknięta lista, łajno i kał.

Jak to szło?

„...dla niecnoty Ledoszki tu, w «Cnotce» miłość życia podeptał. Tę jedyną, prawdziwą, co się w trumnie kończy”.

Żadne prawie, Zbrhl.

Nie miał dziewczyny w każdym porcie, nigdy do żadnej nie wpełzał przez ciasne okno panińskiego alkierzyka. Ale ofiar nie składa się z wiedzy. Liczy się wiara, przekonanie. Miała prawo wierzyć, że dziesiątki razy... Mężczyznę trudno nazwać niecnotą, ale jeśli w grę wchodzi dziesiątki, może setki kobiet, jeśli poznaje się tego mężczyznę w zamtuzie, jeśli nagi leży obojętnie obok twego nagiego boku, nie raczy stwardnieć w twej dłoni...

Żadne prawie. Miała święte prawo przyrównać go cnotnością do trzynastolatki, co to umazała prześcieradło brudnymi piętami zamiast krwią. I - najwyraźniej - miał podstawy sądzić, że wymykając się nad ranem spod jego pierzyny, dopisuje siódmy i ósmy punkt do ułożonej przez Pretokara listy. Nikt pochopnie nie składa życia w ofierze. Musiała święcie wierzyć, że i pod tym względem dokładnie spełnia kryteria. Nie jest idiotką, musiała...

Boże. Więc nie przesłyszał się wtedy. Naprawdę to powiedziała. Zawiódł ją, wzgardził pieśczętą jej dłoni, łął - w jej mniemaniu - w żywe oczy, bredząc o tym w łaźni. Upokorzył i odrzucił w najbardziej wymowny sposób, w jaki można odrzucić kobietę. A jednak to powiedziała.

Kocham cię, Debren.

Nagle zrozumiał. Może dlatego, że druga wtoczona na most fura unieruchomiła ostatnią poręcz, próbującą okładać osłaniających się drągami wieśniaków, że lewa strona powstrzymującej tłum bariery płonęła, a prawa chwiała się pod ciosami siekier i tarana. Że kończył się podarowany im przez Mesztorhazego czas.

Ale chyba bardziej dlatego, że od dawna nosił tę wiedzę w głowie, miał całą, calutką, i tylko nie zadał sobie trudu poskładania do kupy poszczególnych elementów.

- Lenda!!! - Właściwie nie musiał tak wrzeszczeć: cały czas wystawiała na ciosy bezbronne plecy, stojąc nieruchomo i wpatrując się w jego twarz. Uniósł się na łokciu, wyciągnął rękę w jej stronę. - Lenda!!!

Tym razem nie przestraszyła się strzały. Może dlatego, że ten z Osypańca chybił o sążen, a może dlatego, że z taką mocą wbijała spojrzenie w oczy czarodzieja.

- Zostaw mnie! - W jej głosie, tak jak we wzroku, złość walczyła z rozpaczą. - Uciekaj!

Kolejny sierp poleciał łukiem nad ruchomą, przepychającą się z tłumem barykadą. Trzy poręcze piątego przesła skoczyły na spotkanie, odbiły, ale czwarta...

Na swój sposób pomogła nawet bardziej: jej nagły zwrot poza krawędź mostu, do złudzenia przypominający rzut wędką, zaskoczył i wystraszył zamostkowiaków. Paru ostrożnych zanurkowało pod furi, jakiś łucznik profilaktycznie wpakował strzałę w znieruchomiałą dębinę. Przez chwilę za zaporą kłębiło się, topory odpoczywały, a widły, cepy i sulice w pośpiechu przepływały na prawą stronę



mostu, skąd miał nadejść atak.

Tyle że atak nie nadchodził. Belka wisiała nad przepaścią, kołysząc się jak wiosło pijanego galernika - to wszystko. A trzy sążnie przed Debrenem inna bliźniacza belka stawała z wolna dęba, łamiąc bez żadnej widocznej potrzeby dotychczasowy sztyk.

- Chodź tu! - wyciągnął rękę. Za jej stopami struga święconej wody wlewała się wąskim, ale upartym nurtem w wybite berdyszem szczeliny. Ze szczelin unosiło się coś przypominającego parę, względnie żółtawy dymek. Nie było go dużo i chyba nikt nie zwrócił na niego uwagi. Debren też by nie zwrócił. Gdyby nie te cholerne poręcze.

Już dwie następne stawały dęba.

*...szósty spełniony* - zawirowały mu nagle pod czaszką cudze słowa i cudze myśli. - *Siódmy spełniony...*

- Że jak? - dobiegł z tyłu trochę zły, a trochę bezradny okrzyk Zbrhła. - Co siódmy?

Debren zawahał się. Para pierwszych od południa belek, przed którymi zaległ, zdawała się robić swoje. W działaniu tych dwóch unoszących się też szybko pojawił się jakiś sens: obie z hukiem opadły na środek sączącej się wzdłuż przęsła strugi.

*...ósmo spełniony, dziewiąty spełniony, dziesiąty...*

Przy zaporze paru dezorientowanych ludzi trzęsło głowami, rozglądało się dookoła, wypatrując mówiącego. Ktoś ściągnął czapę, sprawdzał, czy złe nie wlało aby do środka i nie gada. Cholera. Puściły nawet filtry. Najgłupszy czarodziej odgadłby, że most naszpikowano szarżakiem, ale z takiej wiedzy nic nikomu nie przyjdzie. Z podsłuchania algorytmu - już tak. Zdrowy na umyśle most powinien używać telepatii do słuchania, samemu milcząc.

Przeskoczył nad dolną belką. Górna ruszyła mu na spotkanie - ale powoli, jakby bez przekonania. Dostał w brzuch i zawisł, zamiast pofrunąć jak poprzednio.

- Debren?! - darł się Zbrhl. - To ty?!...*dziesiąty tajny spełniony...*

- Debren!!! - Lenda, wściekła i przerażona, grzmotnęła trzonkiem o bruk. - Idź precz!!! Nie Kocham cię!!!

*Ponowna weryfikacja* - skomentował głos wewnątrz głowy.

- *Wynik pozytywny: ósmy spełniony. Obiekt łże.*

- Co...? - Dziewczyna zająknęła się, rozejrzała bezradnie dokoła, dokładnie jak wieśniacy za jej plecami. Ale miała lepszy od wieśniaków refleks, no i wiedziała trochę więcej. Już po chwili oszołomienie ponownie ustąpiło miejsca złości. - Sam łzesz, obesrańcu!

Debren przerzucił biodra nad belką, podbiegł do kolejnej pary poręczy. Któryś z łuczników przestał przetykać palcem ucho i sięgnął do kołczana. Żółtawy opar gęstniał. Jedna z belek grzmotnęła o bruk z siłą, od której leloński most pękłby pewnie na pół. Krople święconej wody poszybowały na sąźnie w górę, ale strumień z podziurawionej beczki płynął nadal, wlewając się w szczeliny.

- Lenda! - Belka z przodu zaatakowała młynkiem, musiał paść. Dokończył leżąc: - Chodź tu! On umiera!

- Ja? - W okrzyk Zbrhła wlał się trzask kuszy. Łucznik z naprzeciwka padł. - Aha! No tak! Pomóż mi, Lenda!

Debren zaklął. Pomysł nie był zły, za to wykonanie do rzyci. Nie dość, że wykrzyczał to dziarskim głosem, połączył wezwanie o pomoc ze skokiem na furę.

*Tożsamość niepewna* - meldował telepatycznie, a po prawdzie gadał sam do siebie most. - *Brak potwierdzenia.*

Poręcz chybiła czarodzieja. Przyspieszyła, zatoczyła krąg, zagwizdała mu ponownie nad karkiem.

- Nigdy nie będę twoja! - Lenda, może w przypływie rozwagi, świadoma braku osłon za plecami, ale chyba raczej po to, by łatwiej patrzeć mu w oczy, runęła na łokcie i kolana. - Słyszysz?! Nigdy!

- Zabiją cię! - Belka była za krótka, by sięgnąć bruku.

Niemal ocierała mu się o czaszkę, ale póki trzymał głowę nisko i pełził po łuku, mógł sunąć naprzód. - Szybko! Jak za dużo święconej dostanie mu się do rozumu...

Nie dokończył, tknięty okropnym przecuciem, które przerodziło się w pewność, nim zdążył odwrócić głowę.

- Nie!

Za późno. Rotmistrz przestał przepychać beczkę przez naszpikowaną strzałami burzę, ale zło już się dokonało. Między podziurawionymi klepkami uchował się może kufel, cała reszta wody potężną, wezbraną falą płynęła wzdłuż mostu.

- Tarcza będzie! - krzyknął Zbrhl. - Łap!

Beczka poturlała się po bruku. Prościutko ku Debrenowi. I prościutko pod opadającą z wysoka poręcz. Jeden trzask - i z beczki został wachlarz potrzaskanych klepek.

- Odejdźcie! - Nogi musiały bardzo boleć, bo Lenda wytrzymała na kolanach ledwie chwilę i niemal od razu zaległa na brzuchu. - Zginiesz przeze mnie, Zbrhl! Księżniczka jestem! Belnicka! W łeb i dupę już dostałeś, nie przeciągaj struny!

Debren próbował wysunąć ramię, przegrodzić drogę wodzie. Poręcz omal nie zmiądzzyła mu łokcia. Furia ciosu rozcapierzyła końcówkę belki. Odtoczył się bliżej słupka nośnego, nim ogromna packa zatoczyła krąg i grzmotnęła o bruk stopę bliżej. Z przodu, między nim a dziewczyną, już cztery poręcze tłukły o most niczym gromada cepów.

- Kocham cię! Słyszysz, Lenda! *Informacja nieistotna.*

- Sram na to! Ja ciebie nie! - Odwróciła się. Była żołnierzem, tyły miała coraz bardziej odsłonięte, pierwszy toporek wykrzesał iskry o łokieć od niej. Nie było powodu doszukiwać się braku szczerości w braku spojrzenia.

*Obiekt łże. Ósmy spełniony. Duży naddatek.*

Stojące w pionie belki północnej połówki nie atakowały.

Poganiany przez córkę sołtysa tłum powrócił do rąbania zapory, napierania na taran. Łuczników nadal nie było z przodu, widocznie dowodzący nie chciał wystawiać ludzi na ciosy nieobliczalnych poręczy. Ale i bez łuczników robiło się tragicznie. Jedna z belek podpierających zaporę cofnęła się nagle, jak gdyby nigdy nic powróciła na miejsce tradycyjnie przynależne poręczom. Zapora wytrzymała, lecz wieśniacy, błyskawicznie dostrzegając okazję, cofali furę, biorąc na cel osłabioną stronę.

- Czegoś brakuje! - Debren doczołgał się jak mógł najdalej i znieruchomiał bezradnie, owiewany co chwila podmuchem przemykającej nad głową belki. - Nie widzisz?! Gówno zwojowałaś! Stoi, jak stał!

- Wynoś się! - Znów patrzyła mu w twarz. Prawie nienawistnie. - Nigdy nie będę twoja! Nigdy, słyszysz?!

- Nie chcę cię dudkać! - Tak naprawdę nie wierzył, że mówiła o pasie, ale chwycił się rozpaczliwie tej nadziei. - Pieprzyć dudkanie! Chcę mieć cię obok! Wystarczy!

- Ale mnie nie starczy! Nie jestem cudzołożnica! *Obiekt łże po dwakroć. Nieistotne.*

- Ożenię się z tobą!

- Odchędoż się ode mnie, głuchy jesteś?! - Złapała zgubiony przez kogoś łapec, cisnęła w Debrena. - Nie wyjdę za ciebie! Mam już męża!

Zastygł z podniesioną głową. Gdyby nie łapec, pewnie by tego nie przeżył, ale na szczęście ze szczelin dymiło na żółto, most płatał się coraz bardziej i belka, zamiast czaszki, wzięła na cel nadlatujący obiekt. Łapciem rzuciło aż za furę, a Debren odruchowo przywarł do bruku.

- Łziesz! - zniekształcony zakłębieniem głos załamał się, zrobił zupełnie piskliwy. - Wianek nosisz!

- Ale i koronę! Myślisz, że taka durna byłam, by usidlonego księcia z rąk puścić? Co z tego, że bez jaj? Ważne, że z księstwem do dziedziczenia!

- Łżesz!

- To Vyborzyn mi łubin przysyłał! Nie mówię, psiamać, że go kocham! Ale pobraliśmy się! Legalnie! Jak umrą z Gwadrykiem, wezmę tron! Tron, rozumiesz, kmiecie?! Myślisz, że ci będę śmierzące onuce prała?! Księżniczka jestem! Myślałam, że się przy tobie zabawię, ale w łozu jesteś do rzyci! Słyszysz, Debren?! Do rzyci!

Słyszał. Pewnie, że słyszał. Każdym słowem, strzęp po strzępie, wyrywała mu kawałek duszy. Każdym. Kłamliwym może nawet bardziej.

- Trupy nie dziedziczą! - dobiegł z tyłu okrzyk Zbrhła.

- Chodź tu, durna kozo!

- Jaśnie pani, jak już! - wrzasnęła. - Trochę szacunku, morvacki psie! I won stąd! Petunki pilnuj! Jak ją skrzywdzisz, to cię na pal...!

- Hej, wy tam! - dołączył się chrapliwy męski głos z północnego brzegu. - Co to za gadanie o księżniczkach?

- Razem, kumotrowie! - komenderowała sołtysówna.

- Już prawie! A wy, panie dziesiętnik, lepiej...

Wirująca nad Debrenem belka opadła nagle, odbiła się, parę razy od kamieni, znieruchomiła. Następna zatoczyła łuk i zwiła nad wąwozem. Jeszcze inna bez skutku, raz po raz chybiając słupka, próbowała powrócić do roli poręczy.

Zerwał się na nogi. Lenda, po raz kolejny dowodząc żołnierskiego refleksu, też próbowała. Nie zdążyła.

Pchający furę-taran wieśniacy też nie zdążyli. W każdym razie nie wszyscy. Kiedy zapora uskoczyła im znienacka z drogi, tylko część pchających zorientowała się w porę i odskoczyła na boki. Troje najgorliwszych czy ustawionych nie tam, gdzie trzeba, razem z wozem poleciało w przepaść. Dwie z czterech belek ostatniego, piątego przesła opadły bezsilnie. Droga do Lendy stanęła otworem. Tłum, przerzedzony, ale nadal zasługujący na miano tłumu, nie ruszał jeszcze, stał zaskoczony i wytrącony z rytmu. Debren nie miał jednak

złudzeń.

Pół pacierza. Najwyżej. Tyle im zostało.

- Łap konia! - runął w stronę Lendy, w biegu zgarniając jakieś porzucone widły. - Zbrhl, osłoń ją!

- Biegiem, Lenda! - zahuczał rotmistrz. - I powiedz, że ją miłowałem! No rusz dupę, durna kozo!

Ruszyła. Całkiem nie tak, jak chcieli. Zawirowała i bardziej na czworakach niż na nogach, potykając się, podpierając lewą ręką i zaciskany w prawej berdyszem, pognąła na spotkanie tłumu. Tak się w każdym razie wydawało: że na tłum się zamachuje.

Dopiero kiedy wyskakująca jak spod ziemi poręcz trzasnęła maguna po goleniach, stało się jasne, że celem jest most. Nawet w tej ostatniej chwili Lenda zachowała przytomność umysłu i zamiast w pusty gest, włożyła wszystkie pozostałe siły w rokujące cień nadziei cięcie.

Uderzyła potężnie: zamach wyszedł niemal znad samej pięty. Debrenowi wydawało się, że most zadrżał. Pewnie dlatego, że sam wyrznął o bruk, aż poczerniało mu w oczach. Faktem jednak było, że gdy odzyskał wzrok, berdysz leżał u stóp dziewczyny, przełamany na pół, spora kałuża święconej wody mała dwa razy szybciej, wlewając się w odsłonięte trzewia mostu, a odrętwiałe od siły uderzenia ręce nie radziły sobie z wyciąganiem miecza.

Zgubiły go w końcu. W tej samej chwili ruszyli wieśniacy. Mieli do Lendy kilka kroków. Nic się nie dało zrobić.

Debren mógł tylko krzyczeć.

- Niiieeee!!!

Wypchnął z siebie cały ból człowieka, któremu kończy się życie, kończy świat i nadzieja, a który nie zaznał łaski umierania. W rozpaczliwym wyciu nie było cienia myśli. Było tylko zakleszczone czarem gardło, skrócone magią struny głosowe i przygotowane do impulsowych wydechów płuca. Gryf nie żył i od dawna nie było potrzeby sondowania nieba

wysokoenergetycznymi, ocierającymi się o ultradźwięki okrzykami, Debren nie miał jednak ani czasu, ani głowy do cofania zaklęć. Trzymały się więc.

Właściwie trudno powiedzieć, by krzyk wypadł imponująco. Wykrzywił bólem twarze biegnących, nikogo jednak nie zastopował i tylko nielicznych porządnie nastraszył.

Ale byli w górach i była zima. A Osypaniec nie przypadkiem nazywał się tak, jak się nazywał.

Zbocze ruszyło całe, równocześnie. Dopiero na przedmościu, zderzając się z poziomą płytą, zmrożona w jedno warstwa gruntu, kamienia i śniegu pękła z hukiem, rozpadła się na setki mniejszych fragmentów, zakotłowała. I dopiero tam dała się zaobserwować moc obudzonego okrzykiem olbrzyma.

Kilka kamieni, zakleszczonych na moment między innymi, śmignęło w niebo niczym pociski najcięższych katapult. Dwa drzewa, wzięte w skalne żarna, wyjechały z drugiej strony pod postacią wiązki roztartych na miazgę włókien. Kilkadziesiąt innych zostało połamanych, obdartych z gałęzi i kory. Sunący w awangardzie gładko przetrącił kręgosłup stojącej u podnóża furmance, gładko przebił burty sąsiedniej, zagarnął jakąś kobietę i - ani trochę nie spowolniony - wraz ze swą ofiarą zanurkował w otchłań wąwozu.

Debren zdążył podnieść się na kolana, kiedy czoło lawiny wpadło na most.

Trzy lewe i cztery prawe przesła balustrady zostały zmiecione w całości. Razem z potrzaskanym drewnem polecieli w przepaść praktycznie wszyscy zgromadzeni na moście napastnicy. W jednej chwili stali tam, biegali - i nagle znikli, jak gromadka mrówek, po których przejechała się dobra, gęsta miotła. Ocalało - a dokładniej: nie runęło w dół - trzech czy czterech, którzy byli najbliżej i których lawina musnęła samym skrajem. Ale i oni przepadli pod zwałami śniegu.

Debren widział przez chwilę zrywającą się do biegu dziewczynę. Zaraz potem uderzył go w oczy obłok pyłu, a kiedy odzyskał zdolność widzenia, zza wirującej w powietrzu bieli widać już było tylko wysoki na sążęń, szary wał. Granica, do której dotarła sunąca skośnie w stosunku do mostu lawina, była zarysowana dość wyraźnie zasięgiem ocalałych z pogromu balustrad, niewiele to jednak czarodziejowi pomogło: na moście potok spiętrzył, rozlał się na boki i wysokimi na kilka stóp mackami ogarnął trzy czwarte długości przęsła.

A Lenda znikła.

Nie miał zielonego pojęcia, gdzie jej szukać.

Wstał, ruszył chwiejnie ku pierwszej ciemnej bryle, która sterczała spod śniegu, a nie wyglądała na kamień. Rozpoznał but, kiedy przy uchu przemknęła mu strzała.

- Tutaj! - krzyczał zza wozu Zbrhl. - Biegiem!

Nie dał rady tak od razu biegiem. Na szczęście większość łuczników też nie doszła jeszcze do siebie. Przetrwało ich pięciu. Dwóch ocalił wóz, z którego próbowali strzelać, nim zbocze runęło. Jako jedyny, zaprzęg znalazł się poza głównym strumieniem skał i śniegu, więc choć zniosło go aż pod krawędź wąwozu, łamiąc wszystkie koła i kark konia, żołnierzom się upiekło. Trzej pozostali chwilę przed katastrofą wyruszyli na wschód wzdłuż skraju przepaści. Nie dotarli na tyle daleko, by ostrzałem z flanki zagrozić Lendzie, uniknęli jednak lawiny.

Teraz, gdy most został ogołocony z co trzeciej belki, a pozostałe zaległy beczynnienie, w końcu mogli pokazać, na co ich stać. Na początek dowódca sprytnym uskokiem za kamień wywinął się nadlatującej śmierci. Raczej nie widział beltu Zbrhla, ale miał dość rozsądku, by wyczekać na szczęk kuszy i dopiero wtedy wykonać unik.

- Kryć się! - wrzasnął zza skałki. - I szyć, nieroby!

- Biegiem, Debren! - krzyczał zza fury Zbrhl. Dopiero teraz



czarodziej zauważył, że wóz płonie. Nie za mocno, za to w paru miejscach naraz. - Do mnie!

Druga strzała, z prawej, niemal otarła się o udo Debrena. Zrobił dwa niepewne kroki w stronę śnieżnej hałdy. Trzecia strzała smagnęła go po łopatce, rozorała skórę, otrzeźwiła.

Tamci byli wyżej. Niewiele, ale wystarczająco, by nawet leżący na przęśle człowiek stanowił dla nich dogodny cel. A na łukach najwyraźniej się znali. Kiedy odwracał się na pięcie i biegł, przeskakując oparte o bruk poręcze, wystrzelili w jego stronę pół tuzina strzał i żadna nie rozminęła się z celem o więcej niż stopę.

Żadna też nie trafiła - należało uznać to za cud porównywalny z zejściem lawiny.

Wpadł za wóz. Wielka łapa chwyciła go za ramię, bardziej rzuciła na kolana, niż posadziła.

- Łeb nisko - warknął Zbrhl. - To nie miejska milicja. Na profesjonalów trafiliśmy.

Debren, choć myśłami był na moście, pod zwałami śniegu i kamieni, przyznał mu rację. Strzały, gwizdzące nad ich głowami, nadlatywały pojedynczo, nieregularnie, i mijały się z krawędzią burty o ułamki stopy. Dokładnie w taki sposób podręczniki wojskowe zalecały blokowanie zamkowych strzelnic: obrońca albo siedział za murem i nie przeszkadzał szturmującym, albo wychylał się i ryzykował postrzał w twarz. Oczywiście atakujący nie zawsze trafiali, efekt odstraszący był jednak potężny i spieszący się z powrotem za mur strzelec z reguły chybiał.

Zbrhl nie chybiał. Po prostu tamci znali się na rzeczy. Przycupnęli za drzewami lub skałami, no i uważali. Na widok kuszy brani na cel chowali honor w sakwę, a głowę za osłonę, odwetowy strzał pozostawiając kompanom. Byli na tyle blisko, że szczęk zapadki ostrzegał niedoszłą ofiarę, i na tyle daleko, by zdążyć z unikiem.

- Nie spadła - wycharczał Debren. Czar puścił, mówił już

normalnie, tyle że gardło bolało.

Rotmistrz, łypiąc ponuro, złamał na pół wyrwaną z burty strzałę. Dopiero przy trzeciej magun połapał się, w czym rzecz. W sakwie pozostały dwa bełty.

- Nie ugasimy - Zbrhl trącił wóz. - Ani się wychylić. Miał rację. Łucznicy, mając w końcu wolne pole i nie musząc martwić się o sojuszniczą piechotę, pokazali, na co ich stać. W nieruchomy przez dwa, trzy momenty cel wielkości głowy trafialiby zapewne co drugą strzałą - tak to Debren oceniał. Zbrhl, zmieniając pozycję i niemal bez celowania zwalniając spust, nie dawał im tyle czasu, ale pociski z północnego brzegu nadlatywały na tyle często, że w końcu musiał wystawić twarz wprost pod jeden z nich.

- Nie odstępają?

Zbrhl nie zdążył odpowiedzieć.

- Hej, wy dwaj! - dobiegł zza doliny chrapliwy okrzyk. - Nie chcecie pogadać rozsądnie?

- Chcemy! - Tym razem sam Debren nie dopuścił rotmistrza do głosu. - Jestem Debren z Dumayki, sławny czarodziej zagraniczny! Z kim mam zaszczyt?

- Starszy dziesiątnik Vrahta, w służbie grodu królewskiego Grabogórka! Złóżcie broń! Już po was!

Zbrhl skończył napinać kuszę, zerknął pytająco.

- Zabierzemy dziewczkę! - Debren zaryzykował wystawienie oczu ponad burte. Nikt nie strzelał. - Nic nam do Grabogórki! Poniechajcie nas! Człek rozumny brzydzi się niepotrzebnym przelewem krwi!

- I marnowaniem strzał! - dorzucił rotmistrz. Jeden z przybocznych dziesiątnika wybiegł zza skałki, zapadając się po uda, dobrnął do sterczącego w niebo dyszla i zaczął grzebać w zaspie.

- Z ust żeśta mi wyjęli! - ucieszył się Vrahta. - Po lasach za różnym hultajstwem się uganiamy, to wiem, że na osiem wypuszczonych strzał jedna ginie, choćby nie wiem jak

kolorowo opierzyć i z psami szukać. A my psów nie wzięliśmy. A znowuż druga ze wzmiankowanej ósemki w kamień tak przypieprzy, że bez kowala grotu...

- Panie dziesiętniku! - przerwał mu Debren, unosząc się wyżej na ugiętych kolanach. Ten ryjący w zaspie był żywym dowodem na poważne podejście żółtych kaftanów do negocjacji. Zbrhl mógł go trafić bez trudu. - Ciekawie mówicie, ale tam moja uczennica może się wykrwawia! Zabierzemy ją i już nas nie ma!

- Chybaście sytuacji taktycznej nie pojęli, panie czarodziej! Już po was! - Dziesiętnik ani nie kpił, ani się nie irytował. Po prostu objaśniał. - Strzał mamy sporo, a zaraz będzie więcej - wskazał ryjącego w śniegu. - Po kopie na łuk wozim, a dziesięciu nas było! To będzie... niech porachuję... Kopa razy tuzin bez dwóch chłopów...

- Sześćset! - pomógł mu Zbrhl. - Nie gadaj tyle, konfratrze, jeno mów, co proponujesz!

- Konfratrze? - Vrahta przyjrzał się uważniej głowie, wystającej zza kopczącej fury. Oprócz niego i żołnierza, grzebiącego w szczątkach wozu, wszyscy inni trzymali się swych kryjówek. Trzymali też strzały na cięciwach, więc choć fura osłaniająca Zbrhla i Debrena paliła się coraz mocniej, nikt nie próbował jej gasić. Było jasne, że pierwsze machnięcie mokrą szmatą zerwie rozejm.

- Też z kondotierstwa żyję! Żeby czasu nie tracić, od razu ci mówię, że dziewczki nie porzucimy! Jak chcesz dla jednej durnej baby łba nadstawić, to wolna wola! Ale uprzedzam, że do cechu na ciebie napiszę! Masz ludzi pod sobą, ojców rodzin! Za bezmyślne szafowanie ich życiem mogą cię i z listy skreślić! Już ja wiem, z kim pogadać!

- Przeżyć byś musiał! - wsparł dowódcę jeden z ojców rodzin. - A legniesz, psi synu!

- Nie ma się o co bić! - krzyknął Debren. Jego spojrzenie biegało po zaspach, szukało.

- Toż właśnie tłumaczę! - podchwycił dziesiętnik. - Mamy was w garści i jeno z cechowej rzetelności układ wam proponuję! Pada - wskazał niebo - a pół setki strzał w las poszło! Jak zasypie, to za cholere nie znajdziemy. I podwładnych na straty narażę! Więc mnie sądem kondotierskim nie straszcie! Dbam o ludzi, jak widać!

- Wy nas puście do dziewczyny, my was do strzał!

- Nic do was nie mam! - rozłożył ręce Vrahta. - Ale z tego mostu mój chlebowca, gród Grabogórka żyje! Mam obowiązek zbrodniarkę pojmać lub ubić, która się na wspomniany most zamachnęła!

Właśnie wtedy Debren wypatrzył to, czego szukał. Dziwne, że tak późno. Cała była duża, więc i dłonie miała spore. I piękne. Te palce, długachne, smukłe... Nie malowała paznokci, jak pani Zelgan, ale i tak plama różu aż kłuła w oczy na brudnobiałym tle.

- Odstap, Vrahta! - spróbował rotmistrz. - Zamiar może był, ale szans nijakich! Berdyszem? Taki most? Oszałała dziewczka, i tyle!

- To ją grodzki sąd uniewinni! - Dziesiętnik zerknął na kopiającego przy wozie z amunicją, upewnił się, że żołnierz wgryzł się dostatecznie głęboko, by zniknąć przeciwnikowi z oczu. Zaraz potem sam przykucnął. - O księżniczkach gadaliście! A na księżniczki rajcy szczególnie cięci! Ponoć baba w koronie ma moc most przełamać!

- Widziałeś ją! To ma być księżniczka?

Debren z całych sił ścisnął burtę. Nogi same rwały się do biegu. Nad ręką Lendy było trochę śniegu, ale wyżej sterczał z zaspy wielki jak tarcza głaz. Łupek chyba. Może jak tarcza płaski i lekki. Ale może i nie.

- A czemu nie? - podjął rękawicę Vrahta. - Postawna, widać dobrze odkarmiona! I włosy złociste!

- Sztuczne! - sparował Zbrhl.

- A figurę jaką ma! - dorzucił swoje trzy grosze łucznik

skryty za rozwidloną jodłą. - Cycki to takie, że aż...

- Sztuczne! - przerwał mu rotmistrz.

- Jakże to? - zdziwił się wojak. - Cycki?

- W zamtuzie zęby zjadła! Nie takie cuda ladacznice ze swym ciałem wyczyniają! W warsztat trza inwestować!

- Łajno tam, zjadła! - zaproponował dziesiętnik. - Bieluńskie zębiska, aż miło spojrzeć! Widać, że dobrym jadłem od maleńkości karmiona! Może nawet i cukrem!

- Sztuczne!

- A cukier zębom szkodzi! - dorzucił Debren.

- No, teraz to już żeście przesadzili! - zaśmiał się triumfalnie Vrahta. - Cukier?! Za durnia mnie macie?! To po korzeniach zamorskich najdroższa spyża, po dworach ją jeno podają. Szkodzi! Dobre sobie!

- Nie jest księżniczką! - krzyknął zdesperowany czarodziej. - Sama mi do łóża wskoczyła!

Zbrhl posłał mu dziwne spojrzenie. Milczał jednak.

- I czego to niby dowodzi? - zainteresował się dziesiętnik. - Wiadomo: „Kaźda podwika leci na magika!”

- Nie mam srebra ani domu, ani nawet posady! Golec jestem! - Debren unikał wzroku rotmistrza. - Jaka księżniczka się za takiego wyda? Baba w ogóle?

- Chutliwa! - podpowiedział wojak posłany po strzały.

- Magicy cuda z przyrodzeniem czynią! - dodał inny.

- Jestem marny w łóżu! Słyszeliście chyba?

- Nie wszystko! - wyznał dziesiętnik. - A zresztą kto mówi o zamążpójściu? Nie po to się ludzie do „Cnotki” wybierają! Pohulać i do widzenia! Księżniczkom to tak samo w smak jak wszystkim innym!

- Nie mnie! - Dym z płonącej prawej burty przesłaniał Debrenowi widok. I dobrze. Niekiedy łatwiej mówić, nie widząc słuchaczy. - Jak się z niewiastą związę, to na zawsze! Z miłości! Nie chcę inaczej! Nie umiem! Z czego jasno wynika, że z Lendy żadna księżniczka! Bo z księżniczką nie miałbym

żadnych szans! Księżniczki nie wychodzą za czarokrąźców! Nic by z tego nie było! Ból jeno, płacz! A i prawo zabrania! Tudzież kodeks cechowy!

Jakiś czas było cicho. Zaskoczył słuchających. Nawet się nie śmiali. Mieszanka naiwności i rozpaczy budzi rozbawienie do pewnego momentu. Potem już tylko litość.

Zbrhl robił, co mógł, by nie patrzeć w jego stronę.

- Może jej rajcy darują! - W głosie Vrahty słyhać było zakłopotanie. - Poświadczę, że o wianku i koronie pokrzykiwała! Jak ją medycy zbadają i wyjdzie, że ani dziewczica, ani księżniczka, jasne się stanie, że szalona!

- Nie zabijecie jej? - Debren ruszył, nie czekając na odpowiedź. Leżała zasypana, może ranna, na pewno nieprzytomna. I na pewno brakowało jej tchu: nie dość, że śnieg, to jeszcze ten głaz nad grzbietem.

Zbrhl złapał go za pas, przytrzymał.

- A bo to my jacyś okrutnicy? Albo durnie? Co komu po trupie? A tak to szkody wyrównacie, most się naprawi, dziewczkę sobie zabierzecie i wszyscy będą zadowoleni! Ciut niewygody i po krzyku!

- Niewygody?

- No, formalności trza jednak dopełnić! Musi się panna na grochu przespać! Ale nie martwcie się: w loszku wprawdzie, za to jak w owej bajce... pod tuzinem pierzyn!

Dłoń rotmistrza cofnęła się; Zbrhl wyczuł, że czarodziej sztywnieje, i wyciągnął stosowne wnioski.

- W bajce? - Debren jeszcze nie wierzył, nie godził się ze zdławieniem wątlęgo płomyka nadziei.

- No wiecie, tej o księżniczce na ziarnku grochu! Debren znał bajkę. Ale chyba w nieco innej wersji.

- Na tuzinie, chcieliście powiedzieć? - rzucił niepewnie, akcentując pierwsze słowo.

- Znaczy: dołem groch, potem pierzyny, a na wierzchu badana? - upewnił się dziesiętnik. - Nie żartujcie, panie

czarodziej! To w bajce było! Starej w dodatku! I o księżniczce czystej krwi, ze wczesnego wczesnowieczna! Teraz i po dworach o taką trudno, a co dopiero po karczmach!

- Po jakich karczmach?

- A myślicie, że gdzie oberżystki ze „Cnotki” ochotniczek szukają? Przez cech się ogłaszają! Ponoć już dawno żadna nie próbowała, alem słyszał, że niegdyś parę bab w te strony zjechało, za arystokratki się podających! Pół oberży w nagrodę dawano i rękę syna czy brata, to nie dziwota, że się jedna z drugą połakomiła! Mało to bękarciąt, co to im matka naopowiadała, że je królewicz spłodził? Ale, po prawdzie, to tu do nas chyba prawdziwe monarsze bękarcice trafiały, bo na dziewięć badanych jedna tylko test grochowy oblała i bez sińców rano od pryczy ją odwiązali! Tyle że głód wtenczas panował, to co niektórzy powiadają, że kat groch zezarł i dlatego...! No, ale i te osiem, co je ścięli, krew spodloną miało, a przez to i skórę nie dość delikatną! Więc trudno, by je na pierzynach układać! - Vrahta umilkł na chwilę. - To co, panie czarodziej? Mogę ludzi po dziewczkę słać? Skoro nie księżniczka, to włos jej z głowy nie spadnie! Spłacicie miasto i będzie wasza!

Debren zastanawiał się przez kilka chwil. Wóz płonął, śmierdziało smażonym ludzkim mięsem i palonym włosiem konia. Mieli jeszcze trochę czasu, ale do raz zerwanych negocjacji raczej nie da się wrócić.

- Chociaż jedna pierzyna, panie Vrahta! - zawołał. - Ma delikatną skórę! Sami byście się sińców nabawili, jakby was na deskach i grochu...!

- Ale nie cnoty! - zarechotał łucznik zza jodeł.

- Właśnie! - podchwycił dziesiętnik. - Bez obaw, panie magik! Z Grabogórki praworządny gród! Nikt tam niewiasty nie pokrzywdzi, jak niewinna! A sam siniec wi-] ny nie dowodzi! Cnotliwa musiałaby jeszcze być! A wiadomo, jak to u magikowej baby: „Zamiast cnoty nosi koty”. Pewnie zajrzą

pod kieckę i w ogóle po groch nie poślą.

- Poślą! - zapewnił żołnierz odkopujący amunicję. Rzucił kamratowi zza jodły pęk strzał. - Kat młodej baby z lochu nie pogoni! Darmo test przeprowadzi!

Debren podjął decyzję. Nie była trudna.

- Szyj - rzucił półgłosem. - Teraz.

Rozumieli się. Zbrhl wychylił się, kusza szczęknęła, rozchwiany, pozbawiony lotek pocisk pomknął do celu. Trafił tylko dlatego, że spłoszony żołnierz odskoczył w niewłaściwą stronę. Grot wdarł się w chronione kolczugą przedramię na tyle płytko, iż ranny wyszarpnął go pierwszym, instynktownym chwytem - ale niewątpliwie osiągnęli sukces. Łucznik zanurkował między szczątki wozu i odtąd ani nie strzelał, ani nie próbował podrzucać towarzyszom wygrzebanych spod śniegu strzał.

Inna sprawa, że nie musiał. Pochowali się, lecz nie odpowiedzieli na atak wściekłym deszczem pocisków.

- Sami chcieliście! - zawołał urażony dziesiętnik. Wóz płonął. Na razie z prawej strony. Pomijając smród palonego mięsa, było nawet miło, bo ciepło. Siedzieli, oparci o deski i końskie zwłoki.

- Pobiegnę - mruknął po chwili Debren. - Ciut mocy mi się zregenerowało. Zaczepnę jeszcze z płomienia i...

- Jeża z ciebie zrobią. - Zbrhl nie patrzył na niego.

- Daleko nie uciekł - czarodziej wskazał krąg, wydeptany na zakręcie przez karosza. - Strzały go wypłoszyły, ale to dzika puszcza. Stoi tam pewnie, na ludzi czeka. To mocny koń. Udźwignie was oboje.

- Debren... nie zwleczemy jej żywej z mostu. Magun sięgnął po linę, zaczął wiązać do koła.

- Puszczę energię w śnieg - powiedział spokojnie. - Jak w łaźni będzie. Nim się połapią, dociągniesz ją i...

- Zabiją cię.

Szarpnął, sprawdził węzeł.



- Już zabili. - Dopiero teraz spotkali się wzrokiem. Zbrhl przełknął ślinę. - Nic nie mów, sam wiem: stary, a durny. Ale nic nie poradzę. Bez niej nie umiem... nie mam po co. Tak wyszło. Serce mi na drobne kawałki...

- To mija - powiedział bardzo cicho rotmistrz. - Jak mi Zdrenka zmarła... Żeby nie dzieci, też bym chyba...

- Ale je miałaś. My nie mamy.

- Widziałem, jak strzelają. Nie dobiegniesz.

- Dobiegnę. - Debren wyłuskał ze zwoju drugi koniec liny, zaczął wiązać katowską pętlę. - Płytko leży. Wyciągniesz. Wystarczy, że o rękę zahaczę.

Dokończył splot, sprawdził. Pętla kurczyła się gładko: nawet nadgarstek dziecka nie powinien się wysliznąć.

- Nie ma innego sposobu?

Debren miał nadzieję, że to pytanie nie padnie. A zarazem modlił się, by padło.

- Jest - szepnął. - To znaczy... chyba.

Czuł na sobie wzrok tamtego. Zdumiony wzrok.

- Jak to? I nic nie gadasz?

- Widać dłoń. - Miał ten obraz przed oczami, niezależnie od tego, gdzie patrzył. Ostatni jej obraz. Łudził się, że dobiegnie i zrobi, co trzeba. Ale żeby dać jej i Zbrhlowi jakąkolwiek szansę, zaraz potem musiał runąć w śnieg kawałek dalej. Żadnego odkopywania, oglądania się. Zresztą niewiele by zobaczył. Spowolni czarem krążenie, zwiększy krzepliwość krwi, przytępi zmysły. W takim stanie nawet z paroma strzałami w ciele zdoła przebiec kilkadziesiąt kroków. Ale oczy pewnie zawiodą. Musi uważać, by nie oślepnąć, nim dopadnie jej ręki.

- No i? - zniecierpliwiał się Zbrhl.

- I nic więcej - wyjaśnił. - Nie wiem, jak leży. A w rękę nie warto strzelać. Jest wysoko, krew wsiąknie w śnieg.

- Chcesz ją zabić? - Głos Zbrhla stwardniał. - Żeby jej nikt...? Jak nie twoja, to niczyja?

- Nie chcę jej zabijać - powiedział spokojnie Debren. -

Ta wróżka od Cedrzyha i hulajkuli... Pamiętasz? Most miał pęknąć od krwi księżęcej. Z głębi trzewi wylanej.

- Spod serca. - Obaj zapamiętali. - Łajno i kał... Masz rację. Księżniczka, belnicka w dodatku. Wszystkie dziesięć warunków, dziewica... Ale zaraz, Debren, czekaj... Żoną Wyborzynowi jest. Niby są rodziną, ale krew...

- Nie wierzę jej. - Czarodziej przymknął na chwilę powieki, potem uniósł je i spojrzał rotmistrzowi w oczy. - Potrafisz, Zbrhl? Mógłbyś strzelić?

- Chyba rozum postradałeś!

- Pewnie i tak żadne z nas nie przeżyje. A bez mostu przynajmniej Petunka ocaleje.

- Dla mnie tu przysła. - Zbrhl był blady jak trup. - Bo reguła GZM, a nie chciała... Życie oddaje za mnie, za Petunkę, ciebie... I ja miałbym do niej z kuszy?

- Strzelisz? - Debren był skoncentrowany, jak zawsze, gdy czerpał moc z ognia. To pomagało zachować spokój.

- Nie wydudkał jej. Łajno warte takie małżeństwo. Może i tytułują ją księżniczką, ale krew, prawo nawet...

- Nie wierzę jej - powtórzył. - Pamiętasz, co o niemowlaku Sierosławy mówiła? Wyborzyn, jak ustaliliśmy metodą dedukcji. Wyborzyn, akurat... Petunka, gdy pierwszy raz o magicznych śnieżycach wspomniała, mówiła, że na wiedźmę polowano, co dziecko do terminu skradła. Słyszałeś, by wiedźmy chłopców porывały? - Zbrhl milczał, przyglądając mu się rozszerzonymi oczyma. - Dziewczynki szukali. Twój ojciec zginął, bo znów, jak dziadek i Kusy, na babę trafił.

- Babę?

- Pamiętasz, co Petunce powiedziała? Jeszcze bym Zbrhla drugi raz ubiła. Pieluchą. Rozumiesz? - Zbrhl chyba rozumiał, bo milczał, wyraźnie wstrząśnięty. - Belnica ma ciekawą tradycję. Baby tam raz po raz po koronę sięgają. Nieważne, czy skutecznie. Ale liczą się w polityce. Dorma, Amma, Ledoszka

nawet... Na Petunkę popatrz. Ma wszelkie cechy rasowej księżniczki. Wsyp takiej grochu pod siennik, a posiniaczona rano wstanie. A Lenda... Psiakrew, nawet Yeżyn się w nich siostrzanego podobieństwa dopatrzył. On, ja, ty... Lenda od początku, może i w żartach, ale siostrą obcą niewiastę nazywa. Zbrhl, pamiętasz, co Damstruna Gwadrykowi przepowiedziała?

- No... że syn do wielkości dojdzie.

- Nie syn. Dziecko. Nie wymienione z imienia, z płci nawet. Dziecko. Książęce, ale za demokracji rodzone. Pomyśl: jak by zareagował demokratyczny rząd, wiedząc o takowej prognozie?

- A cholera go wie. Demokratyczne rządy to do siebie mają, że najlepszej wróżce klina potrafią zabić. Debren, to, co mówisz, niczego nie dowodzi.

- Nie wiem, przed kim ją Sierosława ratowała. Wiem, że teraz biedna Belnica ryzykuje konflikt z potężną Teleporthaną, by dopaść cnotliwą żonę wykastrowanego księcia. - Dał rotmistrzowi trochę czasu na przemyślenia. - To się kupy nie trzyma. Okłamuje nas. Pamiętasz, co o Garrolu i Pretokarze mówiłeś? Że się panujący często hormonami wspomagają, skąd częste przypadki rodzenia bliźniąt przez monarchinie. Nie mówi się o tym, bo kwestia jest wstydliva, ale tak naprawdę nagminny zrobił się ów proceder na Zachodzie, za demokracji. U nas jak u nas, ale w Sovro, Ośmiogrodzie... Demokraci często mordowali niemowlęta, mogące pretendować do tronu. No więc co sprytniejsi kandydaci na ojców o bliźniaki się starali i zaufaną akuszerkę. Rodziło się dwoje, świat dowiadywał się o jednym, a pierworodne, względnie chłopiec, było w sekrecie chowane. Gorsze z bliźniąt, dziewczęta głównie, na straty spisywano. Często matka, by sobie bólu oszczędzić, nigdy do piersi takiego nie brała. Piastunce się malca oddawało. Co z oczu, to z serca. Strują, uduszają... mniej zaboli.

- Co ty bredzisz? Rodzice, własne dziecko?

- Władcy, Zbrhl. Inaczej moralność wygląda, gdy się z tronu patrzy. I nie mówię, że wszyscy... Ale wielu. Po Jesieni Królów, gdy przyszło feudalizm przywracać, magowie mieli mnóstwo roboty z ustalaniem, który z pretendentów z bardziej pierworodnej linii się wywodzi. Bo i demokraci się wycwanili. Bywało, że wystawioną na odstrzał dziewczuszkę celowo żywą zostawiali albo bliźniaka przygłupa. I niejeden malec na rozkaz własnej rodziny ginął, bo cały i zdrowy dorastać zaczynał, lepszemu bratu drogę do władzy blokując. Pomyśl: jeśli Lenda i Wyborzyn są rodzeństwem, jeśli to ją pierwszą Sierosława matce z brzucha wyjęła... A jeśli nawet to Wyborzyn był pierworodny, nie wiadomo, którego z bliźniąt przepowiednia Damstruny dotyczy. W obu przypadkach Gwadryk miałby marne szanse na tron. Nikt nie poprze kandydata, wiedząc, że mu się dzieci o sukcesję pobiją.

- Logiczne - przyznał Zbrhl. - Ale gdzie dowody?

- Nie mam - mruknął Debren, zerkając pod wóz. Łucznicy nawoływali się, coś się chyba działo. Ale raczej nic ważnego: strzały nie gwizdały, żaden nie wysunął nosa z kryjówki. - Wątpliwości jeno. Weźmy Sierosławę. Piorunami twego ojca w walce wspomogła. Zwykła czarownica nie przypali końskiego łba piorunem. Nie płonęłyby na stosach, gdyby umiały i chciały walczyć. Czyli mistrzyni. A ryzykowała i umarła w lochu dla tego malca. Po co, jeśli to był Wyborzyn? Belnica nie Sovro, tu książąt nie mordowano. Niby była przepowiednia Damstruny, ale właśnie taka wróżba to glejt nietykalności. Kto z losem zadrze? Skorumpowany demokrata?

- Ścigali ją.

- Ale wątpię, by niemowlę chcieli zabić. Ona przeżyła. Myślę że po to, by dziecka doglądać. W wieży. Czyli nie Wyborzyna. Nie trzyma się w wieży następcy tronu. Nawet Gwadryka tylko w klasztorze zamknęli. No i misa.

- Misa?

- Ta, co to jej Sierosława przed zestruganiem broniła. Dziesięć razy od złotej droższa. Jeśli mam rację, to żadna misa, a wkleśłe zwierciadło. Wybitny czarodziej, medycyną się parający, potrafi przy jego pomocy zabiegu dokonać. Na sercu przykładowo. Pacjenta nie otwierając.

- Sercu?

- Albo, dajmy na to, macicy. Przy manipulowaniu poczęciem i ciążą trudno o lepsze narzędzie.

Na drugim brzegu starszy dziesiętnik Vrahta coś krzyknął. Debren znów wyrzwał zza osłony i znów niczego nie zauważył.

- Zwierciadło - mruknął Zbrhl. - A gdzie tu Lenda?

- W wieży - powiedział spokojnie Debren.

- Hę?

- Pomyśl: Paniucha, specjalne więzienie dla specjalnych więźniów. Na ścianie prababka księcia pisze krwią, że ją odwieczny wróg pozamałżeńsko wychędożył, a ona rozkoszy doznała, zamiast z hańby umrzeć. Obok stare, drogie księgozbiory. Dziennik Mrocznej Wal, w którym panna Lenda znajduje rycinę z podobizną Dużej Inteligentnej Papugi. Dziennik, powtarzam. Najskrytsze, osobiste zapiski. A Mroczną Wal Lenda jednym tchem z Dormą, Ammą i Ledoszką wymieniła.

- Bo księżna - wzruszył ramionami Zbrhl. - Słyszałem o niej. Kawał niezłej suki ponoć z niej...

- Oszczerrrrca! Jarrrowidówna kurrrą czworrrronoga?!

Obrócili się jak na komendę. Za późno: Drop, choć posługując się wyłącznie nogami, poruszał się zaskakująco szybko. Przemknął pod wozem i już stał przed nimi.

- Obrrrraziłeś dobrrrrodziejkę rrrrodu! - zaskrzeczał Zbrhlowi w twarz. - Kurrrracja i szrrranki!

- Hę? - zamrugął powiekami rotmistrz.

- Pozywa cię - wyjaśnił Debren, wyciągając i od razu cofając dłoń. Nie musiał dotykać skrzydła, by zrozumieć, czemu zwisa

bezwładnie. - Jak mu się kość zrośnie.

- Oberwałeś? - Zbrhl, mało przejęty perspektywą pojedynku, pokiwał współczująco głową. - Ale biegać, widzę, potrafisz. To dobrze. Pędź do Petunki i powiedz...

- Rrenda? - przerwał mu Drop. - Urrratowana?

Złamane skrzydło pokrywały czerwone sople zamrożonej krwi, ale we śniegu utyłany był cały. Łeb też miał zakrwawiony, a spojrzenie nie do końca przytomne. Najwyraźniej dostało się nie tylko skrzydłu.

- Dobrodziejka? - Debren pochylił się, popatrzył ptakowi w ślepią. - Drop, koniec z kręceniem. Lendę zasypało. Jak będę wiedział, może jeszcze coś się da... Jest księżniczką, tak? - Papuga zawahał się, lecz niemal od razu kiwnął głową. - Z krwi? W prostej linii czy...?

- Najprrrrostszej. Prrrawdziwa krrrólewna. Gwadrrryk zerro, drrrugorzędny konarr, uzurrrpatorr. Rrenda naj-Pierrrwsza z pierrrwszych. Krrrew warrtości rrrubinów.

- Co on bredzi? - poskarżył się Zbrhl. - Za cholere...

- Monarsza krew? - Debren zignorował go.

- Ekstrrrremalnie.

Magun cofnął się, oparł plecami o koło. Na chwilę zamknął oczy. Nie chciał, by tamci wypatrzyli łyzy.

- Nic, łajno i kał, nie pojmuję. Debren, ta Wal...

- Księżna - powiedział, nie unosząc powiek. - Nie dopuszcza się byle kogo do dzienników księżnej. Do pornograficznych poematów puszczałskich księżniczek też nie. Ani do wieży Paniuchy. Nie rozumiesz? Trzymali je tam obie. Sierosławę i Lendę.

- Prrrrawdopodobne - poparł go Drop.

Coś ciężkiego legło na jego udach. Otworzył oczy.

- Może macie rację - szepnął Zbrhl. - A jej krew naprawdę... Ale ja do niej nie strzele. Jak dasz radę...

Debren podniósł kuszę, wsunął mu na powrót w dłoń.

- W stodołę nie trafiam.

- W Rrendę?! - Drop nastroszył się, niemal podskoczył z oburzenia. - Zwarrriowaliście?!

- Ma rację. - Zbrhl odłożył broń, odsunął się jak od węża. - Fura spłonie, to za końskim truchłem legniemy. W końcu im się znudzi. Zaatakują. Albo odejdą. Wiedzą, że łajno możemy. Morvackiego mostu byle czym nie...

- Udusi się - przerwał mu Debren. - Albo zamarznie. Cała mokra od potu. Nim fura się spali, będzie po niej. Jej krew na moście to najlepsze wyjście.

- Żrrrenice wydrrrapię! - warknął Drop. - Utrrrrupię!

- Więc bierz i strzelaj - wzruszył ramionami Zbrhl. - Bo ja prędzej sam sobie wydrapię, niż w Lendę...

- Nie rozumiesz. Ktoś musi zaczepić linę. Jeśli most nie uzna jej za księżniczkę albo wróżka Cedrzyhowi głupot naopowiadała, to po to, by ją przyciągnąć. Jeśli spełnia warunki... by nie runęła w przepaść, gdy przeszło pęknie. Tak czy siak jeden z nas musi dobiec. Ty ledwie chodzisz. A ja strzelać nie umiem. Ty jesteś silniejszy, wyciągniesz ją spod śniegu. Ja, nawet gdybym wyciągnął, nie trafię, gdzie trzeba. No i chyba nie dasz rady śniegu samym sobą odparować. A para będzie wam potrzebna. Złamany most zatrzyma pościg, ale nie strzały.

Mówił rzeczowo, a co najważniejsze - z sensem. Zbrhl był żołnierzem. Musiał ulec argumentom. Drop nie uległ.

- Krrropli krrrwi rrozlewać zabrrraniam - rzucił ponuro, włączając pod furę i stając między nimi a Lendą.

- Bądź rozsądny - wzruszył ramionami magun.

- Obrrrrona rrodu Rrendy trrradycją rrodu Drrropa obwarrrowana - wyjaśnił papuga. - Brrrak alterrrnatywy.

- Zbrhl w nogę będzie mierzył.

- Zabrrraniam.

- Czeka, Debren. - Oblicze rotmistrza spochmurniało jeszcze mocniej. - Jak już wróżkę poważnie traktować... Krew miała być spod serca. Z głębi trzewi. Zwykła może nie

starczyć. Ranna była, w ramię. I nic.

Czarodziej milczał dość długo. Papuga wylazł spod wozu, wsunął się między mężczyzn. Nic dziwnego: dno fury paliło się, z góry kapą smola.

- Jeśli most nie runie, nikt z nas żywy nie ujdzie. Dogonią. - Magun zamknął oczy, potem otworzył je, posłał martwe spojrzenie Zbrhlowi. - Celuj w brzuch. - Rotmistrz bez słowa przeżegnał się, kreśląc koło od czoła po pierś. Pobladł wyraźnie. - Może przeżyje. Na okrągło gada, że rany na niej jak na psie się goją. Lepsza mała szansa niż...

Drop skoczył, rozpaczliwym machnięciem obu skrzydeł, także tego złamanego, wbił się na łokieć w górę. I spadł. Wprost na kuszę.

Grot złamanej strzały, choć szeroki, gładko przeszedł przez udo Debrena. Korzyść z mało wojskowego kształtu była taka, że drugiej nodze dostało się krwią, nie żelazem. Bełt wylazłby z ciała o jedno udo dalej.

Nikt się nie poruszył. Zbrhl zamarł z wrażenia. Debren po części od wstrząsu, po części dlatego, że czarował. Drop - bo zemdłał. Spod piór wylazł czubek kości.

Krew rozlała się tuzinem macek na dwie stopy dookoła. I na tym poprzestała. Z krzepliwością nie było jeszcze najlepiej, ale zaklęcie zwężające naczynia zaczęło działać. Podobnie jak rotmistrz, który po paru momentach odzyskał przytomność umysłu, odciął kawał lejców i opasał przestrzelone udo.

Potem znów siedzieli bez ruchu i słowa.

- Zabij ją - powiedział w końcu Debren. - Idę.

Próbował wstać. W głowie nie wirowało nawet tak bardzo, ale Zbrhl położył mu palec na kolanie zdrowej nogi. Wystarczyło. Nie dał rady.

Drop poruszył się, uniósł powieki. Zaraz potem próbował zerwać się i umknąć pod wóz, ale dłoń czarodzieja skutecznie przygwoździła go do bruku.

- Zazdrrośnik! - zaskrzeczał wystraszony ptak.



- Debren, on tylko... - Zbrhl złapał maguna za nadgarstek, lecz nie zdążył zatrzymać drugiej dłoni. Złożone w pięciokąt palce dotknęły złamanego skrzydła, błysnęło błękitną poświatą. - Poniechaj go! I tak nic by z tego...

Przerwał. Drop nie wił się z bólu, nie próbował się wyrwać z rąk oprawcy. Leżał z przekrzywioną głową, przyglądając się pełzającemu po piórach światełku. Sprawiał wrażenie zdumionego. Obolałego na pewno nie.

Debren delikatnie, ale stanowczo, uwolnił nadgarstek. Objął oburącz tułów papugi, bezgłośnie wygłosił formułę. Potem cofnął się, oparł o zad martwego konia. W oczach miał tę samą niepewność, co tamtych dwóch.

- Chciał dobrze. - Zbrhl na wszelki wypadek ujął ptaka za kark, przełożył za siebie. - Rozum ma kurzy, ale...

- Drop - Debren zignorował go. - Dobiegłeś tu. Wiem, że dasz radę i do Lendy.

- Brrrak cierrrpienia. - Papuga uniósł złamane skrzydło, zakołysał nim, przyglądając się z niewiarą.

- Nic wielkiego. Blokada i trochę na lepsze krążenie. - Debren sięgnął po zapętłony koniec liny. - Będiesz silniejszy, ale musisz uważać. Jak trafią...

- Chcesz go posłać? - zrozumiał Zbrhl. Ptak wstał, bez wahania ruszył w stronę czarodzieja. Zastopowały go dopiero słowa Debrena.

- Musisz utoczyć z niej krwi, Drop. Przez chwilę patrzyli sobie w oczy.

- Nierrrealne - powiedział cicho papuga.

- Musisz. Albo my, albo ten most.

- Nierrrealne - posłał mu rozżalone spojrzenie Drop. - Rrranić Rrrendę? Śmierrrc.

- Lekko ranić - uprzedził Debrena rotmistrz. Nie był do końca przekonany, ale z braku innych szans od razu chwycił się tej. - Nie bój się. Dziewka jak piec, i stado kogutów jej nie uśmierci, a co dopiero...

- Drrropa śmierrć - wyjaśnił ptak. - Umrrę. Serrce. Czarr prrradawny. Wierrność bezgrrraniczna. - Zazgrzytał dziobem z bezsilną złością. - Cholerrny Jarrrowid! Bezalterrrnatywne ogrrraniczenie.

- Blokadę kazał założyć? - domyślił się Zbrhl. - Temu posłańcowi, co się potem z młodym Domorcem skumał? - Drop kiwnął głową. - No, no... Słyszałem o zakłeciach, co lojalność wymuszają. Ale żeby aż tak... Nie przesadzaj, chłopie. Lekkie draśnięcie żadnego z was...

- Drrraśnięcie wystarrczy. Prrremedytacja Drrropa utrrrupić potrrrafi. - Ptak schylił się, przy pomocy dzioba i jednej z nóg przewiesił sobie przez szyję zapętlony koniec liny. - Trrrudno. Sprrróbuje.

Zbrhl uniósł się, strzelił. Tym razem sprowokował tylko jednego, ale przy powtórce już cztery groty zagwizdały im nad głowami.

- Nie spiesz się - instruował Debren papugę. - Najpierw pętla na rękę, potem kop pod nią. Musisz odsłonić kawałek bruku, inaczej krew wsiąknie w śnieg. - Rozpiął kaftan, podciągnął koszulę, wahał się przez chwilę, wodząc palcami po brzuchu. W końcu wskazał miejsce. - Tu ją... Gdyby krwi za mało, to głębiej masz żyłę.

- Szykujcie się - sapnął Zbrhl. Kołowrót w jego dłoniach wirował jak szalony, szybsze tempo strzelania stwarzało większe szanse, że po tamtej stronie nikt nie zacznie zadawać sobie pytań. - Debren, gdyby jakiś mały piorun... to w prawo, dobrze? - Włożył ułamaną strzałę w korytko, obrócił się, przysunął do krawędzi wozu. - Już!

Poszło lepiej, niż Debren oczekiwał. Strzała jeszcze w locie minęła się z dwiema mknącymi z naprzeciwka - żołnierze najwyraźniej czekali. Dwie następne zeskokczyły z cięciw, kiedy Zbrhl nurkował za furę, schodząc z drogi pierwszej dwójce. Piąta wypadła łucznikowi z rąk, gdy nie bardzo szkodliwa, za to efektowna pirokula grzmotnęła znieńcka w

osłaniający go pień.

Drop spóźnił się z wyskokiem, a potem, spowalniany przez ciężką i szorującą o bruk linę, biegł przygnębiająco powoli, jednak zaskoczenie zrobiło swoje. Zanim sąsiad Vrahty krzyknął: „Kogut!”, ptak był już w połowie drogi. Daleko. Zaraz potem Debren posłał nad doliną kolejną pirokulę, wystraszony wojak schował głowę i nim pierwszy pocisk poszybował ku nadbiegającemu papudze, ten znikł strzelcom z oczu, osłonięty zwałami śniegu.

Przez dłuższy czas nic się nie działo. Debren, leżąc na brzuchu, próbował zorientować się w poczynaniach Dropa. Udało mu się wypatrzeć pętlę na sterczącej spod śniegu ręce, ale niżej wzrokiem nie sięgał: belki i ciała przesłaniały widok.

Aż za dobrze widział za to co innego.

- Zbrhl!

Nie musiał krzyczeć. Vrahta zrobił to za niego.

- Przy tym kamieniu! - Dziesiętnik podniósł łuk, napiął. Mierząc niemal pionowo w niebo, zastygł na chwilę, wprowadzając drobne poprawki kąta i siły naciągu. Zbrhl gorączkowo wymieniał złamaną strzałę na ostatni bełt, ale tamten był profesjonalistą i nie dał mu szansy. Zwolnił cięciwę i natychmiast odłożył łuk, kuląc się za skałką, zza której wyglądały jedynie oczy.

Strzała na długo znikła Debrenowi z oczu. Łudził się nawet, że na zawsze. Aż nim szarpnęło, gdy nagle śnieżny wał za dłonią Lendy rozkwitł czerwonym kwiatem.

- Dobry! - ocenił Vrahta. - Tam szyc! Jeden górą, drugi osłania! Spokojnie, chłopcy, mamy czas!

Zbrhl nie próbował strzelać. Tamci mieli czas, uważali. Usiadł, spojrzął czarodziejowi w oczy.

- Pokazaliśmy, gdzie leży - mruknął. - Cholerny rosolak. Nie mógł się mniej kolorowy urodzić?

- Trafia? - Debren zaryzykował, wstał i spoglądając nad płomieniami, próbował ocenić miejsca upadków strzał. Już

dwie sterczały z zasy. Z nieba spadły cztery, ale dwie znikły bez śladu. Śnieg był naszpikowany bryłami ziemi i kamieniami, lecz luźny, i grot, który nie napotykał innej przeszkody, zatrzymywał się pewnie na przęśle.

- Chowaj łeb - warknął Zbrhl. Zaraz potem warknęła strzała. Debren ukucnął posłusznie. - Jej nie widzą, ale kamień to chyba wszyscy. A są dobrzy i mają sześćset...

Nie dano mu dokończyć.

- Debrrrren! - rozdarł ciszę pełen rozpaczy okrzyk. - Niedobórrr parrry!

Padł na brzuch, wpełzł pod wóz, ignorując huczące nad karkiem ognisko. Mogło w każdej chwili przełamać nadgryzione żarem deski, ale warto było. Od razu dostrzegł wybitą od środka wyrwę w zaspie, przyprószoną śniegiem tęczę piór i to najważniejsze: złoto peruki. Twarzy Lendy nie widział, Drop przekopał zbyt ciasny tunel i zakorkował go sobą w dodatku. Ale Debren był zbyt blisko i miał zbyt wiele kłopotów z własnym oddechem, przesłaniającym mu widok obłoczkami skroplonej wilgoci, by choć przez chwilę łudzić się, że źle zrozumiał.

Powinien widzieć jej oddech. Wrzaski dużo mniejszego ptaka nie tylko słyszał, ale i dostrzegał.

- Rrrratuj Rrendę! - Jęzor pary strzelił z dzioba jak spod pokrywy garnka. - Umierrra!

Zbrhl, klnąc, dźwignął się na nogi. Długa strzała zmaterializowała się nagle w polu widzenia, trzasnęła o tarczopodobny kamień, skrzesała snop iskier, upadła bezsilnie obok Dropa. Papuga szarpnął się, wypełził ze śnieżnej nory, ciągnąc za sobą złamane skrzydło i perukę Lendy. Zamek kuszy szczęknął, ostatni bełt z radosnym gwizdem pomknął do celu.

Coś miękko, jakoś wilgotno stuknęło z tyłu. Z przodu odsłonięta głowa dziewczyny zniknęła pod najbardziej fantazyjną w całym Viplanie czapką: Drop zwałił się na nią,

przywarł, wczepił w kark i skronie wszystkimi możliwymi kończynami. O łokieć od niego następna czerwono opierzona strzała zadygotała w zaspie, natrafiwszy na skryty niżej bruk.

- Debren...

Odwrócił głowę, z góry wiedząc, co zobaczy. Głos Zbrhla ledwie było słyhać. Znacznie głośniej stuknęły o kamienie kolana i łokieć rotmistrza. Drugi łokieć ni stuknął: Zbrhl miał jeszcze dostatecznie wiele siły i przytomności umysłu, by padać na prawy bok, chronić ranę. Strzała sterczała z lewego.

- Łajno i... - Ze swego miejsca pod furą Debr en nie mógł ocenić kąta i miejsca trafienia. Chyba wysoko, ale na drodze grotu mogło się znaleźć i płuco, i nawet serce. - Dokładnie jak... Przeznaczenie chyba.

Powinien wyczołgać się spod wozu, zrobić coś. Nie umiał. Kusy, potem dziadek, ojciec... Lenda poświęciła życie i też nie pomogło. Głowa, zadek, a teraz...

- Drop!!! - Odwrócił twarz, bardziej po to, by nie patrzeć, jak umiera kolejny Zbrhl, niż z rzeczywistej potrzeby. - Puść jej krew!!! Szybko!!!

Ptak przywarł tylko mocniej do dziewczęcej głowy. Okrył swym ciałem chyba całą, pewnie także fragment karku, ale patrząc na spadające z nieba strzały, nie sposób było się ludzić: większość tych, które trafiają, przebije i jego, i czaszkę Lendy. Pociski lądowały w promieniu raczej stóp niż sążni od dziewczyny i stało się jasne, że na długo przed posłaniem w górę sześćsetnego Lenda będzie tylko kawałem martwego mięsa z przybitym do głowy trupem papugi. Ranny w rękę żołnierz, ukryty przy szczątkach fury, nie musiał ani wygrzebywać następnych wiązek strzał, ani mieszać się do walki. Ale oczywiście się wmieszał.

Kiedy czarodziej ujrzał go ponownie, sunął środkiem zalegającego most usypiska. A dokładniej: sunęła wielka, prostokątna tarcza. Żołnierza, zapadającego się w sypkim śniegu, nie było widać. Przemieszczał się z trudem, lecz

jeszcze trudniej byłoby go zatrzymać: tonąc po uda w zaspach, robił się niższy i mógł osłaniać się skośnie ustawioną tarczą. Ciężka kusza, taka jak ta Zbrhła, mogła poradzić sobie z obłęzniczą pawężą, ale nie przy takim kącie. Co zresztą nie miało znaczenia: nie było już bełtów.

- Drop!!!

- Nierrrealne! - odkrzyknął ptak, klejąc się do dziewczęcej głowy z gorliwością nietoperza. - Darrruj!

Debren wygarnął z mózgu resztki wolnej energii, złapał leżący obok koła sierp, używając rączki jak różdżki, posłał błyskawicę. Łupnęło, od sierpa odpadło ostrze. Pawęż, trafiona w róg, zawirowała, zderzyła żołnierza w ucho. Odbite od blachy wyładowanie poszybowało w niebo, tarczownik wyłożył się, ukazując na chwilę połowę sylwetki, ale nie było komu wykorzystać okazji. Debren, nawet mając pod ręką gotową kuszę, nie byłby w stanie strzelać: uchwyt rozleciał mu się w dłoni, kopniakiem o mocy porównywalnej z końską sparaliżował całe ramię aż po bark. Ból i wysięk sprawiły, że na jakiś czas oślepl.

- Debren... dość - usłyszał cichy głos Zbrhła. - Tak jej w niczym... Co mogłeś, toś już... Wołaj ich. Ten Vrahta... Dotrzyma słowa, dowiezie żywą do grodu. Chyba lepiej...

- Pół wsi wytlukliśmy. - Czerń przed oczami rozpadała się na płaty, wirujące jak szalone, ale przynajmniej przetykane szarością. - A z dorosłych to pewnie...

- Nie wieś mu... płaci.

- Sam też połowę ludzi stracił.

Mdliło go. Na szczęście nie miał czym zwracać.

- Jest jak ja. Najemnik. Żaden nam honor... ranną babę dobijać. Petunka na majestat władcy się tu... zamachnęła, nie głupi most. A też jej nikt nawet... butem. Debren? Dobrze się czujesz?

Nie zdając sobie z tego sprawy, wylazł rakiem spod fury. I chyba odzyskał wzrok. Nie był pewien. Chyba zapamiętał

bladą, ściągniętą bólem i niepokojem twarz rotmistrza. Ale może i nie.

- Coś powiedział? - wymamrotał. Nawet jeśli Zbrhl odpowiedział, żaden dźwięk nie przebił się do jego świadomości. Pod czaszką huczał mu inny, kobiecy głos.

„Wiozłam go na sankach... I cały czas myślałam, jak im to wszystkim powiem. Razem to planowaliśmy, nie wybiłam mu z głowy, a teraz... Ja nawet jednego zadrapania, a on...”

Tamci dwoje przegrali z klątwą. Teraz oni mieli przegrać. Historia się powtarzała.

To dlatego? Dlatego słyszał Petunkę? Oczyma wyobraźni widział, jak chwiejąc się na nogach, w kusej, zielonej spódnicy, co to podczas łowów nie zahacza o konary, zakrwawiona i zasmarkana, ciągnie Cedrzyha.

Dżuma i syfilis. To też jej słowa. Powinien myśleć o Lendzie. Po tamtej stronie nie było Belniczan, nie miał się powtórzyć cud sprzed jedenastu lat.

„Tamci łuczników mieli, ale żaden jednej strzały nie wypuścił. I jak piechota ruszyła, to też żaden...” I nie dziwota. Baba, cieknie z niej, co tylko może: łzy, smarki, krew...

Vrahta i jego ludzie nie żałują strzał, a ten z tarczą pozbierał się i lezie dalej. Żeby zabić. Nie będzie drugiego cudu na Moście Mesztorhazego. Zabrakło...

„...wróżka mówiła o krwi księżęcej z głębi trzewi, spod serca na most wylanej”.

Ta Petunki nie spełniała kryteriów. Krwi Lendy nikt po prostu nie zdąży wylać. Drop nie był w stanie, Zbrhl nie mógł strzelać, on, Debren, nie trafia w stodołę. A w nią, akurat, pewnie by trafił. W sam środek głowy, w serce, może w aortę. Miał niemal pewność, że właśnie tam.

Zbrhl ma rację. Zrobił dla Lendy, co mógł. Rozsądek podpowiadał, by spasować, zdać się na los i zmiłowanie grabogóreckiego sądu. Podróż potrwa, test grochowy i proces też. Może nadarzy się okazja... Nie zrobią jej niczego gorszego,

niż lada moment może zrobić któraś ze strzał, a za trzy pacierze już na pewno, bez żadnego „może”, uczyni miecz tarczownika. Los gorszy od śmierci nie jest jej pisany. Ma swój pas. Wierzyła święcie, że nie przeżyje siłowej próby jego zdejmowania, i Debren gładko zaraził się tą wiarą. Nie była typem pokornej owieczki, na pewno wiedziała, co mówi.

Jest śliczna. Nikt nie uśmierca bez namysłu ślicznych dziewcząt. To dobrze, że do końca, nawet biorąc berdysz i wybierając się na własną egzekucję, pozostała kobietą; że przyszła tu w peruce i tej kusej, ciut nieprzyzwoitej sukience. Kogoś takiego trudniej mężczyźnie zabijać. Gdyby wybrała spodnie... W bój chodzi się w spodniach. Nawet Petunka wtedy, jedenaście lat temu...

„Chciałam w spodniach, tylko że... Nie wiem, do czego ci to, ale proszę bardzo: w spódnicy pobiegłam. Takiej zielonej, co w niej do wysokich butów na łowy chadzam”.

Zaraz. Dlaczego w takiej chwili łązi mu po głowie jakaś cholerna spódnica? W przypadku Lendy brak spodni miał sens: walczyła o każdą chwilę, chciała mieć pewność, że zdąży po trzykroć obieć oberzę, nim gryf lub któreś z towarzyszy wejdą jej w drogę. Ale strój Petunki? Wkrótce umrą, a on...

Umrą. Jak Cedrzyh. I jak w myślach musiała umierać młodsza o jedenaście lat Petunka. Wróżby wróżbami, ale przecież była starsza niż Lenda teraz, dźwigała na karku brzemię doświadczeń, które niejedną zabiłoby po trzykroć. Mądra, rozsądna kobieta. A jednak...

„Alem się, durna krowa, przebierała”.

Zaraz.

„Słabowałam trochę. Za późno się na most wybrałam”.

Nie zdążyła. Przybiegła dokładnie tak jak Debren: za późno, by uratować, na tyle wcześniej, by stać się świadkiem koszmaru. Zapamiętać na zawsze, jak mało brakło.

Bo się przebierała. Mimo choroby.

„Słabowałam trochę”.



Zaraz. Była chora, biegła walczyć i zapewne umierać. Jeśli ktoś taki w ostatniej chwili zmienia spodnie na spódnicę... Kusą w dodatku, myśliwską, nie bardzo stosowną, by paradować w niej na oczach setek mężczyzn... To się kupy nie trzyma. Kobiety bywają dziwaczne, zdarza im się robić rzeczy niepojęte, ale Petunka...

„Ja nawet jednego zadrapania, a on...”

- Debren? - Jego bezruch zaniepokoił Zbrhła. Do tego stopnia, że rotmistrz, chrzestując o bruk końcem wbitej w bark strzały, zaczął pełznąć w jego stronę. - Co się...?

Strzała nie uszkodziła chyba żadnego dużego naczynia, a i tak pociągnął za sobą szeroką smugę krwi. Tak naprawdę cały most był nią spryskany; gdyby uczciwie popracować szmatą, a potem dobrze ją wyżąć, zbierałyby się nie garnce, a cebry. Wtedy, przed jedenastu laty, pewnie też. A Petunka...

...nawet jednego zadrapania, a on...

Przecież nie okłamała go, gdy pytał o tamten dzień.

„- O krew ci chodzi? Wylałam krew. I co z tego? Co to ma do Lendy?”

Do Lendy miało niewiele, ale los jej i Zbrhła, ich wspólny, zależał od szczerzej odpowiedzi. Więc nie skłamała. Zresztą już wcześniej mówiła o swej krwi przelanej na moście.

„Baba, cieknie z niej co tylko może: łzy, smarki, krew...”

- Debren! - Poczul uścisk palców na łokciu. Zbrhl musiał dźwignąć lewe, bolące ramię, by nie upaść. - Wołaj Vrahtę. Nic nie... nie poradzisz.

Petunka też nie poradziła. Była tylko kobietą.

W końcu zrozumiał. Gdzieś na styku z podświadomością wykluła się odpowiedź na pytanie, którego Debren nie miał odwagi postawić sobie wprost.

Tak, ciągle jeszcze mieli szansę. Bo obie były kobietami. I potrafiły dokonać cudu, którego natura poskąpiła mężczyznom.

- Drop!!! - Niemal zawył, rzucając się szczupakiem pod furę.

- Włóż pod nią, ale już!!!

Ptak, zaskoczony mocą okrzyku, uniósł głowę. Z tyłu, zaledwie dziesięć sąni dalej, zza tarczy wyjrzała połowa ludzkiej głowy. Także Vrahta, instynktem starego wiarusa wyczuwając przełom w bitwie, zaryzykował, stanął na nogach, wychylony zza skały aż po klamrę pasa.

- Nierrrealne! - zaskrzeczał papuga łamiącym się z żalu głosem. - Prrrucie skórny nierrrealne!

Tak, to już Debren wiedział. Na szczęście Bóg urodził się mężczyzną. I nie miał motywacji, by rozwiązywać ten problem porządniej.

- Włóż!!! Między jej uda!!! I wyciągnij onucę!!!

A onuce niekoniecznie między nogi a ciżmy wpychamy. Drop zawahał się, ale znikł w śniegu szybciej, niż Zbrhl zrozumiał, w czym rzecz.

- Nie trzeba... białej flagi. Po prostu... zawołaj.

Debren, zmobilizowany nadzieją, wykrzesał z siebie resztki mocy i z palca lewej ręki posłał tarczownikowi pirokulę. Ekspłodowała efektownie nad głową żołnierza, nie czyniąc szkody, ale sprawiając, że przykucnął, znieruchomiał na dłuższą chwilę. Zyskali na czasie.

Z nieba spadły kolejne trzy strzały. Już cały klomb czerwonych kwiatów otaczał Lendę. Żaden nie sięgał stalowym korzeniem jej ciała, ale, gdyby los sprawiedliwie rozkładał miejsca trafień, któryś z paru następnych pocisków powinien wylądować w nienaturalnie pustym środku kręgu. Pozostały już nie pacierze, a chwile.

- Szybciej, Drop!!!

Kropla płonącej smoły przebiła się przez rękaw, sparzyła. Dobrze się stało, bo kiedy z góry runęła ćwiartka burty, Debren pamiętał już o ogniu. Zdążył nawet pomyśleć, że leżąc tu, pod furą, być może popełnia błąd. Naprawić go już nie zdążył.

- Przeprrrra...!

Końcówka przeprosin Dropa utonęła w huku pękającej zaprawy. Kamień wielkości kufra śmignął w niebo z chyżością, której mogłaby mu pozazdrościć mała i poręczna szkatułka, ciśnięta przez dobrego miotacza. Debren nie zdążył się jednak przerazić ani wizją małego, bezradnego ptaka, który utknął o stopę od celu, ani potężnych gładów, spadających na Lendę i wyręczających w robocie czerwono opierzone strzały. Ze dwóch strachów wyleczył go błyskawicznie trzeci.

Szczątki desek zwały się przed twarzą i w mgnieniu oka podpaliły linę. Tę, na końcu której...

Wypadł spod wozu na czworakach. Obrzeże kaptura kopciło się, na prawo od znieruchomiłego z wrażenia tarczownika wyrastał słup galaretowatej wody, na lewo drugi zwornikowy gład wyrywał się z łoskotem z przęsła. Most drżał; złowróżbny, niski dźwięk narastał w jego trzewiach.

- Łajno i... - Zbrhl zdołał przemówić prawie normalnym głosem. - Trzymaj ją!

Trzy następne zworniki, w tym jeden z wyjącem tarczownikiem na grzbiecie, wyskoczyły spod śniegu.

*Krew prawidłowa - zahuczało Debrenowi pod czaszką. - Komplet warunków spełniony. Sprawiedliwości stało się...*

Kolejna macka zagęszczonej wody trafiła w kryjówkę szaraka. Przez dym, pył i rozbryzgi kleistej cieczy Debren dostrzegł wirujący w locie, skorodowany i popękany kufer, z którego lała się święcona woda i wypływał żółtawy opar. Mesztorhazy nie pożałował substancji myślącej i choć wiek, a teraz wzbogacona neutralizatorami magii woda święcona dały się jej we znaki, nawet ginąc, szarak wypełniał wolę twórcy. Debren nie potrafiłby tego udowodnić, ale w nagłym otwarciu się wieka nie było raczej przypadku.

Kufer wylądował na tarczopodobnym gładzie tuż za głową Lendy. Gdyby nie odchylona pokrywa, ostatnia posłana w niebo strzała ugrzęzłaby nie w niej, a dwie stopy niżej: w karku dziewczyny.

Debren przeskoczył nad kałużą ognia, runął brzuchem na nietknięty płomieniami odcinek liny. W samą porę: zaraz potem pajęczyna pęknięć rozbiegła się po nadwierzonym przęśle i w akompaniamencie ogłuszających trzasków ogromny, spojony zaprawą kamienny łuk zaczął się rozpadać. Też w samą porę.

Przez dziury po wyłamanych zwornikach nie tyle wyskakiwały, co wypełzały bąble galaretowatej substancji, a z nieba sypnęło śniegiem. Czary przestawały działać.

Debren leżał przez chwilę, oplatał linę wokół nadgarstka na pół bezwładnej prawej ręki i bezsilnie patrzył na wybiegających z ukrycia żołnierzy. Tarczownik razem ze zwornikiem poleciał w przepaść, ci z prawej uciekali, nie oglądając się za siebie, lecz Vrahta i jego przyboczny ruszyli w stronę mostu.

Jeśli szarakowi zabrakło sił... Most dostał potężnego kopniaka w słabe z natury podbrzusze, już teraz popękał w poprzek i wzdłuż, ale mógł tak przetrwać następne dwieście lat, o ile żaden kretyn nie wpakuje się na przęśło dobrze wyładowanym wozem.

Galareta, której całe łaszty przebiły się na tę stronę przęśla, błyskawicznie wracała do swego pierwotnego stanu. Strumienie wody, uwolnione z mocy zaklęcia, pryskały na wszystkie strony, zmywały śnieg, skakały ochoczo w przepaść, zabierając w drogę ku morzu nawet bardzo okazałe kamienie. Pokrywająca most zaspą, wysoka miejscami na dwa sążnie, topniała w oczach jak rzucona na gigantyczną, rozgrzaną patelnię. Vrahta, sunący truchtem z łukiem przy biodrach i strzałą na cięciwie, nie widział jeszcze Lendy. Ale lada moment...

- Krrres Drrropa! - przebił się przez trzaski stłumiony, jakby dobiegający spod ziemi okrzyk. - Chrrroń Rrrrendę!

Debren próbował. Uniósł się na klęczki, zaczął ciągnąć. Z całych sił. I za słabo.

Najpotężniejszy ze strumieni runął mu na spotkanie akurat spod brzucha dziewczyny. Nie dłoni i kawałka głowy, ale właśnie dziewczyny: woda błyskawicznie wymiotła śnieg spod niej i znad niej, ukazując nieruchome ciało. Okrągły, podobny do tarczy, ale gruby na stopę głaz osunął się, z okrutną, szarpiącą duszę powolnością wcisnął wyszczerbioną krawędź w miejsce, gdzie plecy Lendy przechodziły w pagórki pośladków. Debrenowi zdawało się, że słyszy trzask pękających kręgów, miękkie plaskanie miażdżonych trzewi, bulgot krwi mieszającej się w jamie brzusznej z uwolnioną zawartością jelit.

Przestał się szarpać z liną. Mógł urwać dziewczynie rękę, ale żadną miarą nie wyrwałby jej ciała kamiennym szczęką, zamykającym się wokół talii. Z jednej strony nieruchoma żuchwa mostu, z drugiej to okrągłe draństwo, w ślimaczym tempie, lecz nieuchronnie, osuwające się niżej w miarę, jak woda wypłukiwała piaskową i żwirową część zasy.

Nie miał kuszy, z której mógłby strzelić w środek przekrzywionej peruki. Nie miał w sobie dość mocy, by zabić Lendę piorunem. Musiał klęczeć i patrzeć, jak ginie, miażdżona cal po calu.

Błagał los, by nie odzyskała przytomności.

I by Vrahta zastrzelił go, skończył ten koszmar.

Dziesiętnik chyba nawet próbował. Unoszony do góry łuk rozplynał się jednak za obłokiem tryskającej z Lendy pary. Debren zdążył dopatrzeć się niebieskawej poświaty w miejscu, gdzie kamienna płyta rozgniała ciało, oraz płomieni, obrysowujących talię dziewczyny bardziej na prawo i lewo. Nim złożył fakty do kupy, kamienne szczęki rozwarły się w leniwym ziewnięciu.

Dopiero waląc się na brzuch od nagłego szarpnięcia liny zrozumiał, co się dzieje.

Most pękł. Tym razem na dobre.

Obie połówki łuku, trąc o siebie nawzajem, skrzesały nie

tyle iskry, co prawdziwe ogony płomieni, schyliły się ku środkowi i zanurkowały w przepaść. Ta południowa - razem z Lendą.

Debren zaczął ciągnąć jak szalony. Tym razem zdążył. Opór narastał stopniowo i lina zaczęła się nawet skracać, nim nagłym szarpnięciem dała znać, że ciało dziewczyny przestało zsuwać się po przęsle i ostatecznie zawisło. Klęczący już czarodziej ponownie runął na brzuch, ale nie powlokło go ku przepaści.

Dobrze. To znaczy, że łupkowa płyta pomknęła dalej, że ani przez moment nie znalazła się między nim a Lendą. Nie robił sobie wielkich nadziei - miał jej w sobie akurat tyle, by nie rzucić się głową w dół śladem dziewczyny - lecz gdy zaczął wybierać linę, przynajmniej oprzytomniał.

Od razu dostrzegł Vrahtë. Dziesiętnik, ostrożnie stąpając po zalegającej północny przyczółek mieszaninie śniegu, kamieni, trupów i pogruchochanego drewna, powoli zbliżał się do świeżo utworzonej krawędzi przepaści. Łuk, jak przystało na człowieka rozsądnego, ścisnął w lewej ręce, prawą trzymając w pogotowiu na wypadek, gdyby kolejny fragment okolicy zapragnął runąć w głąb doliny.

Debrenowi było łatwiej: po tej stronie nie zeszła lawina. Wystarczyło wstać i w lekkim przechyle ku południowi, równoważąc własnym ciężarem ciężar Lendy, ruszyć ku szczerbatej końcówce przedmościa.

Musiał nadrabiać podpatrzonymi u międzymorskich rybaków zwisami ciała, bo prawa ręka była do niczego. Cholerny sierp. Na szczęście bruk nie był oblodzony, a nogi, mimo bólu, radziły sobie nieźle. Szedł, obracając się wokół osi i na podobieństwo studziennego bębna nawijając na brzuch i biodra nadwyżki liny.

Stopniowo zaczynała go dusić, ale, pomijając fakt, że był coraz bliżej krawędzi, chyba aż dwa razy ocalała życie. Pozostawiony w tyle podwładny Vrahty - ostatni już na

wymiecionym z życia pobojuwisku - najpierw zamarł ze zdziwienia, próbując zgłębić sens dziwacznych sztuczek, a kiedy w końcu ochłonął i strzelił, ciało Debrena spowijały już w niektórych miejscach trzy warstwy solidnego sznura.

Grot ugrzązł właśnie w jednym z takich miejsc, jakieś dwa palce nad nerką. Czarodziej zastygł na moment, ale ponieważ dostało się wcześniejszym zwojom i lina nadal dobrze trzymała się ciała, wykonał następny obrót i następny drobny krok.

- Czekaj rozkazu, durniu! - warknął dziesiętnik. Dotarł w końcu do miejsca, skąd dało się dojrzeć dno doliny. Oplótł łokciem kikut balaska, sieroty po wojowniczej balustradzie, i pochylił się nad przepaścią.

Debren ignorował go. Był blisko krawędzi i szło mu coraz gorzej. Opór liny wzrósł, jej nawinięta część miażdżyła żebra, utrudniała oddychanie. W dodatku rosnący kąt sprawiał, że zaczynała okręcać mu się wokół nóg. Miał za mało siły i tchu w płucach, by przedwcześnie zaczynać negocjacje. Miał też zaufanie do Zbrhla. A Zbrhl ufał jeśli nie samemu Vrahcie, to jego profesjonalizmowi.

Dwie stopy od skraju przepaści. Wystarczy. Pęknięcia biegnęły dużo dalej w tył, a on zapamiętał oglądany z profilu most na tyle dobrze, by wiedzieć, że już teraz stoi na nawisie. Przestrzelona noga też mogła zawieść. Lepiej nie ryzykować. Chwycił linę oburącz, zaczął ciągnąć.

- Czemu bym nie miał jedną strzałą? - zapytał od niechcienia Vrahta. Było cicho, nie musiał pokrzykiwać. - Ciebie trafię, a spadniecie oboje.

Debren klęknął, przycisnął kolanem wybrany kawałek liny. Nie uniósł głowy. Patrzył w dół, szukał końca konopnej plecionki. Nie znalazł: przeszło pękło skośnie i dolne partie kamiennego kikuta przesłaniały widok.

- Jedna też kosztuje - sapnął.

- Most ciut więcej.

Wybrał następną stopę. Boże, jak ciężko.

- Mostu już nie ma.

- Fakt - przyznał Vrahta. - Ale obowiązki zostały.

- Uważajcie, panie starszy dziesiątniku! - zawołał ostatni z jego podwładnych. - To magik!

- Cicho, durniu. Sam wiem. Myślisz, że po co czas nad tą głównianą dziurą marnuję? - Debren, który też nie wiedział, w końcu popatrzył mu w oczy. - Powiadają, że przyjaźń czarodzieja bardziej się od nieprzyjaźni oplaca.

Co byście powiedzieli, panie Debren, gdybym jeno bezpośrednią sprawczynię na gorącym uczynku ustrzelił? Marnie wyglądacie, a ona - zerknął w dół - pod nawisem dynda. Ciężko będzie przewlec. Może być tak, że to dziewczka was przeciągnie, nie wy ją. Inaczej mówiąc: może wam tym życie ocalę. Co wy na to?

Debren uniósł kolano, szarpnął, wybrał następną stopę konopnego sznura. I od razu stracił pół stopy. Prawa ręka raczej zaczynała boleć niż odzyskiwała czucie.

- Czarodzieje nie lubią - wydyszał - jak się im konfratrów ubija. Pomszczą mnie. A my - wskazał brodą w dół - razem jesteśmy. Zabijasz oboje albo ja ciebie.

Vrahta przyglądał mu się z uwagą. Łuk nadal leżał obok, na śniegu.

- Czarodziej jesteś? - Debren kiwnął głową. - Cechowy? - Jeszcze jedno kiwnięcie. - To nie pojmuję.

- Czego?

- Służyło się w gwardiach. - Dziesiątnik nie spuszczał z niego wzroku. - Znam pałacowe zwyczaje. Nasłuchiwał się człek takich historii, że łeb boli. Alem nie słyszał, by jakaś księżniczka czarodziejowi rękę oddała. Za mieszanie magii z władzą, o ile wiem, królowie i magicy pospołu zbrodniczą parę ścigają. Bo to jakby wodę z ogniem mieszać: wcześniej czy później tak pierdyknie, że Viplan zadrzy. Dobrze słyszałem, panie Debren?



- Z grubsza biorąc.

- Tajny pakt ponoć nawet spisano, pod patronatem Ojca Ojców. Zakazuje jakoby nie tylko małżeństw, ale nawet obcowania cielesnego, jeśli jedno z kochanków magią, a drugie państwem włada.

- Traktat o Ograniczeniu Mocy Sprawczych - stęknął czarodziej, wrywając przepaści kolejny łokieć liny. - Nigdy nie ratyfikowany. Anvashe chcieli, by ich spod sankcji wyłączyć, bo ich wyspy to już nie całkiem Viplan, a znów Związek Sovrojski tłumaczył, że jako nie uznający przeżytków feudalizmu i kolektywnie zarządzany...

- Nie mówię o przepisach, panie Debren, a o realiach - przerwał mu dziesiętnik. I zamilkł nagle, zainteresowany czymś w dole. Po chwili przemówił ponownie, ale jego spojrzenie utknęło na dobre pod nawisem złamanego mostu. Część uwagi chyba też. - Udupią was. Toć widzę, że z niej księżniczka pełną du... eee... gębą.

- Złote zęby? - zainteresował się jego przyboczny. Przewiesił łuk przez plecy i ostrożnie, ale szybko zaczął brnąć przez zaspę w stronę dowódcy. - Spuszczę się, jak trzeba. Taka szczeka może być sporo warta. A ona pewnie nieżywa. Nie ma cudów, by chudzina z takowych opresji...

- Nie taka znów chudzina - mruknął Vrahta mocno roztargnionym tonem. Nadal gapił się w dół.

- Delikatna dziewicza księżniczka - upierał się łucznik, prąc naprzód. - Groch taką posiniaczy, a cóż dopiero walący się most. Już po niej, głowę daję.

- Dziewicza aż miło spojrzeć - zgodził się dziesiętnik. Debren posłał mu podejrzliwe spojrzenie, skrócił odpoczynek, znów zaczął wybierać linę. Utknął niemal od razu. Coś trzymało. Zyskał tyle, że nie zużył wszystkich sił; starczyło na krok w bok i zakleszczenie liny w jakiejś szczelinie. Mógł nie tylko lepiej odpocząć, ale i zerknąć w tył. Wydawało mu się...

Nie wydawało się: od strony płonącej fury, chwiejnym

krokiem, ale na własnych nogach i tylko nogach, zbliżał się Zbrhl. Ze strzałą sterczącą z barku i plamą spalenizny w miejscu, gdzie drzewce weszło w ciało.

Debrena zemdlilo. Głównie z wysiłku, bólu i od utraty własnej krwi, bez przerwy sączącej się z poharatanego tyłka, ale trochę i od wyrzutów sumienia. Powinien odżalować jeden pacierz, przewiązać ranę jakąś szmatą. Ogień zamiast szarpi był skuteczny, ale zmuszanie rannego, by sam sobie...

- Precz... łuki - wychrypiał rotmistrz. Dopiero wtedy Debren zauważył, że obaj wojacy trzymają je w gotowości.

Vrahta ocenił go krótkim spojrzeniem i bez słowa odłożył broń. To dobrze, ale Debrenowi nie spodobało się, że kolejne spojrzenie posłał od razu w dół. I że to już żadną miarą krótkie nie było. Jeszcze mniej spodobało mu się zachowanie łucznika. Wojak łuku co prawda nie odłożył, ale chyba zupełnie zapomniał, co trzyma w ręce. Zastygł dwa kroki od dowódcy, gapiąc się w przepaść.

- Co? - warknął czarodziej. Przez chwilę, oczami wyobraźni, widział odbicie pogruchotanej bryły mięsa w oczach tamtych. Ale tylko przez chwilę. Stali zbyt blisko. To nie były spojrzenia, jakie mężczyźni, nawet zahartowani wojacy, ślą trupom.

Vrahta uniósł wzrok. I znów przerażenie ścisnęło na moment pierś Debrena: współczucie, malujące się na pociętej starymi bliznami twarzy, akurat do trupa pasowało.

- Daj sobie z nią spokój - w głosie dziesiętnika też słychać było współczucie. - Widzę, że i nogi ma cudne, i zadek, ale właśnie takie serce potrafią złamać.

- Widzisz?

Zbrhl, szerokim i chwiejnym krokiem pijanego majtka, dotarł na skraj przepaści, stanął obok Debrena, złapał linę tuż przy dłoni czarodzieja. Vrahta wzruszył ramionami.

- Przepalił suknię - wyjaśnił. - Cały dół właśnie odpadł. Cholera, w Eileff służyłem, alem o takim paskudztwie nie

słyszał. Choć przy wiadomej cnotliwości Marimalek tamtejsze płatnerstwo damskie na niebywale wyżyny się wspięło, istne arcydzieła zagrożonym mężom oferując.

- Nie gap się na rzyć - warknął Zbrhl, który zdążył pociągnąć na próbę i chyba zrozumieć, na czym, poza słabością Debrena, polega problem. - Gadaj, co widzisz.

Debrenowi przemknęła myśl, że ani jego sercu, ani nawet płucom się nie dostało, ale jakoś nie potrafił się tym cieszyć. Chyba przeczuwał, co usłyszy.

- Dajcie sobie z nią spokój, panie czarodzieju - rzucił niewesołym tonem dziesiętnik. - Nie wyciągniecie. Durne kmiotki porządnej liny pożałowały. Sztukowana - wyjaśnił. - Węzeł o szczeliny zahacza. Między dwie wlaź. Spróbujcie popuścić, ale coś mi się widzi...

Widziało mu się prawidłowo. Po wydaniu ćwierci stopy napięta lina rozluźniła się wprawdzie, ale ulga dla ramion była jedynym osiągniętym zyskiem. Debren przez dwa pacierze szarpał się z nią, to napinając, to luzując, strzelał jak z bata i ciągnął na boki - bez skutku. W odruchu desperacji stanął tuż nad krawędzią i trzasnął telekinezą w najniższy widoczny fragment. Na szczęście Zbrhl razem z krwią nie stracił przytomności umysłu i przytrzymał go za pas - tylko dlatego własna lina pchnięta własnym czarem nie posłała czarującego do grobu.

- To cholerstwo chyba ją poparzyło - odezwał się Vrahta. - Bliźny pewnie zostaną na kibici, tyłku... Daj sobie z nią spokój, Debren. Krew cieknie, chyba z... no, z żywota. Może już martwa? A jak nią po kamieniach przeciągnęło, to pewnie i cycki zdarła, i pól gęby... Wyciągniesz, spojrzysz i z wrażenia jeszcze sam w przepaść skoczysz.

Debren nie słuchał. Odpoczywał. Potem zaczął ciągnąć. Szło ciężko, lina skracała się nie o stopy, a o palce, ale kiedy Zbrhl dołożył swoją rękę, jednak jakoś szło.

- Utknie - wyraził swą opinię łucznik. - Węzłem po takiej

długachnej szczerbie ryjcie. A górą węższa.

Vrahta, też uważnie obserwujący postępy, w pewnym momencie sięgnął po łuk.

- Zabiję - rzucił ostrzegawczo Debren.

- Ulżyć wam chciałem - wzruszył ramionami urażony dziesiętnik.

- Nigdy mi nie była ciężarem. - Też bał się tego, co ujrzy, gdy wywłoką zmasakrowane ciało zza kamiennej krawędzi: upiornych ran, twarzy bez nosa, może wybitych oczu. Pewnie dlatego, bardziej do siebie, niż Vrahty, mówił takie rzeczy. - Kocham ją. Jak ją pierwszy raz ujrzałem, to ledwie niebrzydką mi się zdała. A teraz jest tak cudna... Kocham ją. Jak się tak strasznie kocha, to nie ma mowy o ciężarze. Jest darem, a nie...

Dziesiętnik chrząknął zakłopotany.

- Ja o ptaszysku... - Debren posłał mu tępe spojrzenie. - Uwiesił się jej cholernik. A wielgachny jak indor, więc...

- Drop? - Zbrhl pochylił się nad przepaścią. - Żyjesz?

- Ślepiem łypie, czyli żyw - zameldował łucznik.

- Drop, co z Lendą? - Debren zmagął się z sobą przez chwilę, nim zadał to pytanie. Bał się odpowiedzi.

- Ptaka pytacie? - upewnił się Vrahta. - Próżny trud.

- Gadać potrafi - wyjaśnił Zbrhl.

- Bluzgać - sprostował dziesiętnik. - Wiem, nasłuchałem się. Mocny w dziobie, że uszy wędną. Ale właśnie dziobem się dziewczki trzyma. Onucy, konkretnie. Jak tak tę Lendę miłujecie, panie Debren, to wam nie powiem, skąd łajdak waszej lubej ową zakrwawioną szmatę wyciągnął. To jeno powiem, że normalny chłop to by takiego chama z miejsca... Ustrzele go - zdecydował. - Ulży wam i na ciężarze, i na honorze.

- Nie.

Vrahta wzruszył ramionami, odłożył łuk. Debren i Zbrhl, odpoczywając co pół pacierza, cał po calu przeciągali węzeł

przez szczyrbę. Pewnie nie daliby rady: łucznik miał rację, szczelina faktycznie zwężała się ku górze i szło im coraz gorzej. Na szczęście trwało to na tyle długo, że Debrenowi wróciła zdolność trzeźwego myślenia.

- Przytrzymaj. - Pomógł Zbrhlowi przełożyć linę przez plecy, przyblokować w innej, życzliwej ludzior szczelinie. Potem podbiegł do wielkiego ogniska, coraz mniej przypominającego furę, i wyciągnął nadpalony dyszel. Nadwyżki liny spłonęły razem z wozem, więc musiał zaryzykować i po prostu puścić belkę w dół, wierząc, że nie wysliznie się spod naprężonego ciężarem Lendy sznura.

Nie wysliznęła się. Popychana telekinezą, potoczyła się powolutku w dół, dojechała do miejsca, gdzie kończyło się pole widzenia stojących na górze.

- Ciągnij, Zbrhl. Tylko powoli.

Niżej mogło być jeszcze tuzin pułapek, które więziły linę. Debren nie miał odwagi pytać o nie tych z naprzeciwka. Skończyły mu się pomysły; albo to, albo...

Nacisk wzrósł: razem z Lendą Zbrhl podciągał i belkę. Na szczęście była gładka, lina przesuwawała się po niej lekko i Debrenowi udało się utrzymać chwiejną równowagę. Dwa razy zbyt popuścił, dyszel podskoczył wyżej i przylegająca do skał lina zastopowała rotmistrza, ale to nie była tragedia. Tragedią byłby przeskok zbyt mocno pchniętej belki poza kamienny horyzont i jej upadek w przepaść. Nie było jej czym zastąpić.

Udało się jednak. Nie popełnił błędu, nie zdekoncentrował się, nawet gdy zza kamieni wypełzła znajoma pętla i sina od zatrzymanej krwi dłoń dziewczyny.

- Miałem nadzieję, że wam nie wyjdzie - przyznał bez ogródek dźwigający się na nogi Vrahta. - I los rozstrzygnie. Ale widać mam dziś zły dzień. Czas chyba...

Belka, choć chroniła przewlekane przez nią ciało Lendy, przestała być niezbędną, więc Debren pozwolił sobie na

dłuższe spojrzenie w poprzek doliny. Dziesiętnik, fakt że bez zapalu, zakładał strzałę na cięciwę.

- Rajcy na pysk cię wywalą - powiedział spokojnie. Chyba ten spokój powstrzymał Vrahtë przed podnoszeniem łuku. Jego podwładny, zafascynowany widokiem wypiętych pośladków przeciąganej przez krawędź dziewczyny, w ogóle zapomniał, że nosi łuk.

- Mnie? - zapytał ostrożnie dziesiętnik.

- Zabijesz ją, i co dalej? - Debren spoglądał mu w twarz, trochę dlatego, że bał się patrzeć w dół. - Szlak tak czy inaczej trafił szlag. Starą drogę trzeba będzie odblokować. A tej gryf strzeże. Wiesz, ile będzie kosztować Grabogórkę jego usunięcie?

- Trzy baterie machin - odpowiedział za Vrahtë Zbrhl. Przestał ciągnąć linę. - Po kopie strzelców do osłony każdej, po pół kopy pikinierów i inszej piechoty do osłony strzelców. Plus tabor, plus zwiad... I najmniej tygodnie trzymania tej gromady na żołdzie. Ale, jak znam gryfa, raczej miesiące. Rok może. Albo dłużej.

- Nie mój problem. Niech się rajcy martwią.

- A twój, twój. Bo najpierw się zmartwią, i to mocno, a potem, w podziękowaniu za głupotę, po żołdzie trzepną i jako awangardę na książęcy szlak poślą. Skąd, jak znam gryfa, żywy nie wrócisz. Jak go znam, to i z owych trzech baterii, kop i półkop też niewiele zostanie. Dwa wieki nikt gryfom rady nie dał, więc niby czemu teraz miałby...

- Tb co radzicie? - zapytał wyraźnie zgnębiony Vrahta.

- Radzę wracać do grodu - wyręczył Zbrhla Debren. - I zameldować, żeś w bohaterskiej walce całe Zamostki wyciął i o mało co mostu przed ich zamachem nie uratował. A kiedy ten runął, niezwłocznie podjąłeś starania, by alternatywny szlak dla handlu otworzyć.

- Znaczą...?

- Ocaliłeś życie ukochanej sławnego czarodzieja. Który z

wdzięczności za ów szlachetny postępek zobowiązał się gratis... - Debren zawahał się - to znaczy w porównaniu z ogromem podjętego dzieła... no, zobowiązał się Grabo-górkę od bankructwa uratować. Inaczej mówiąc: gryfa utłuc. Za symboliczne... hmm... sto dukatów?

- Sto dukatów?! - Vrahta upuścił z wrażenia strzałę.

- Przed uwzględnieniem upustów - spasował szybko czarodziej. - Bo jak je uwzględnić, to jeno...

- Dzienny koszt wspomnianej ekspedycji - przerwał mu rotmistrz - z grubsza trzydzieści dukatów wynosi. Nie licząc amunicji, poniszczonego sprzętu, spyży, wdowiego grosza, odszkodowań, podatku leśnego, opłat drogowych, błogosławieństw obowiązkowych...

Vrahta zamachał ramionami na znak, by przestał.

- I zaliczkę jeno wezmę - dorzucił Debren. - Dziesięć marnych sztuk złota. Resztę gród wypłaci, jak się po gryfowe ścierwo w oberży zgłosi. Za takie pieniądze to szanujący się biesiarz nawet pospolitego wysysa nie ruszy.

- Już dobrze, dobrze. Jak policzyć na spokojnie, to macie rację: z nieba rajcom spadacie. Jeno nie wiem, jak chcecie ową bestię... Tu z bandą kmiotków ledwie co sobie poradziliście, i to z pomocą mostu. A ten gryf, musicie wiedzieć...

- Jak nie poradzi - wyręczył Debrena Zbrhl - to zaliczkę odda i jeszcze karę umowną uiści.

- Niby jak? - zapytał przytomnie Vrahta. - Z gryfowego brzucha?

- Petunka Vysedelowa za niego ręczy. A ma czym. „Cnotka” to teraz jedyna oberża przy jedynym szlaku. Łajno i kał - rotmistrz uśmiechnął się nagle pod nosem. - Bogata będzie.

Vrahta bez słowa, za to wymownie, przewiesił łuk przez plecy.

Dwa pacierze później bezwładne, połyskujące bielą nóg i pośladków ciało Lendy spoczęło na krawędzi południowego

przedmościa. Razem z zakrwawioną onucą, zwisającą z krocza niczym łożysko, i przemoczoną, półżywą papugą w charakterze noworodka.

Zbrhl, choć nie świeżo upieczony ojciec, zachował się jak na ojca przystało, złamał rodową tradycję i zemdłał. Nadal jednak z resztkami uśmiechu pod brodą, więc Debren ograniczył się do położenia mu rozdygotanego Dropa na piersi i okrycia obu zwleczoną z końskiego trupa derką.

Potem ukląkł nad Lendą i sam się uśmiechnął.

Twarz i piersi miała nietknięte, oddech, choć słaby, był równy, serce biło regularnie. Z tyłu głowy spory guz, ale czaszka pod spodem cała.

Musnął ustami jej usta i zabrał się do roboty.

- Szukałam cię - powiedziała do maguna Petunka, stając w drzwiach stajni. - Wywar już chyba...

Urwała. Belniczanom skończył się fundusz na magiczne śnieżyce. Rozpogodziło się; przez wrota wlewał się do stajni oślepiający strumień światła słonecznego. Od razu wyłowiła wzrokiem wszystkie szczegóły. O ile osiodłanego konia można tak określić.

- Możesz zdjąć z ognia - mruknął Debren. Oderwała spojrzenie od na pół zapiętego popręgu.

- Co robisz? - zapytała cicho. Tak cicho, że właściwie nie musiał odpowiadać: już wiedziała.

- Jest elastyczny - przesunął palcem w poprzek brzucha. I wyjaśnił: - Jej pas. Nie wiem jak, ale najwyraźniej dostosowuje się do figury. Jeśli się zakłada małej dziewczynce i nie chce co parę lat zmieniać...

- Od dziecka go nosi? - W jej oczach niedowierzanie mieszało się ze smutkiem, może nawet bólem. - Wiem, wiem: dziewczica. Zbrhl opowiadał... Ale...

- Mniejsza z tym - rzucił oschle. - Ważne, że przywalił go dwudziestocetnarowy głąz. Powinna mieć zgruchotane kręgi, papkę w brzuchu. A ma siniaka. Poparzyło ją, ale to inna



sprawa. Ogień miał pewnie odstraszyć intruza. No, może i ją ukarać, że pozwala komuś grzebać przy pasie. To jeszcze się mieści w granicach znanej magii. Słyszałem o podobnych zabezpieczeniach. Ale żeby dwadzieścia cetnarów... To cholerstwo... Wiem: nie ma ponoć zaklęć nie do ruszenia. Ale jej pas zbliża się do czegoś takiego.

- I dlatego odjeżdżasz? - popatrzyła na karosza, grzebiącego kopytem w sianie. - Bo podudkać się szybko nie da? Czekać byś musiał?

Chyba nie wierzyła, że zdoła go obrazić. Nie była ani głupia, ani ślepa.

- Szybko? - uśmiechnął się z goryczą. - Że nie da się szybko, to wiedział, patrząc na Lendę. Ktoś taki nie łąziłby latami... Ale teraz obejrzałem pas. - Milczał przez chwilę. - Może nigdy, Petunko. Z nikim.

- Boże... biedna mała...

- Ktoś się mocno postarał. Jakiś łajdak - sprecyzował. - Trzeba być skończonym skurwysynem, żeby dziewczynie coś takiego... Jak chłopa wykastrują, to mu z możliwością przynajmniej i chęci giną. A ona...

Odwrócił się, schylił, zajął na pół zapiętą klamrą.

- Więc uciekasz? - Nie odpowiedział. - Bez pożegnania nawet? Bez jednego słowa?

- Napiszę - wymruczał.

- Tak? Pewnie krwią na drzwiach? - Podeszła bliżej, ale nie próbowała zaglądać mu w twarz. - Debren, ona cię kocha. Most przełamała tą miłością, a to był cholernie solidny most. Może najsolidniejszy w całym Morvacu.

- Wiem.

- Wiesz? A wiesz, że serce jej pęknie, jak uciekniesz?

- Nie pęknie - szepnęła. - Twarde jesteście. Słyszałaś: belnickiej księżniczki i kłonicą nie dobijesz.

- Przecież ją, durniu jeden, miłujesz!

Odwrócił się w końcu. Nie można w nieskończoność

zmagać się z jedną klamrą.

- Właśnie dlatego - powiedział. - Sto klepsydr się znamy. Może nam przejdzie. Są eliksiry, hipnoza, gorzalka ostatecznie... A jak z nią zostanę... Nie jest mi pisana, Petunko. Żadnemu czarodziejowi nie jest pisana księżniczka. Na dzieci z takiego związku cały świat jak na wściekłe psy by polował. Nie wolno łączyć władzy z magią. Prawo zabrania, tradycja, ludzka zawiść, strach... Do końca życia musielibyśmy uciekać. A potem nasze dzieci.

- Dzieci?! Dziewictwa nie może się pozbyć!

- Chciałaby zostać matką. Wy wszystkie... Wiem, że o tym marzy. O ciepłym łóżu, kwiatkach za oknem, dzieciach, rodzinie. O normalnym domu. Jak każda. A ja jej tego nie dam. Łudziłem się, że może... Ale nie. Zresztą dla niej normalny dom ma wieże, most zwodzony i mury dookoła. Jest księżniczką.

- Bzdury gadasz.

- Jest. I bardzo dobrze. Bo to jej jedyna szansa. Ładna księżniczka może kiedyś królewicza znajdzie albo przynajmniej bogatego możnowładcę. Kogoś, kto majątek wyda na czarodziejów i badania nad jej pasem. Byle tylko sobie wcześniej opinii nie zszargała. A taka, co się z podrzędnym czarokrażką szlaja... Zabrałbym jej szansę na szczęśliwe życie, gdybym to dalej ciągnął.

- Kocha cię. - Debren wzruszył ramionami. - Spałeś z nią, do cholery! Coś jesteś winien dziewczynie, która poszła z tobą do łóżka!

- Wiem - zgodził się. - Właśnie spłacam ten dług.

- Uciekając, póki śpi?! W rzyć sobie wetknij takie spłacanie!

- Złapała uzdę, oburącz przycisnęła do piersi. - Nie puszcę cię! Masz... obowiązki! Rannych pod opieką!

- Nic im nie będzie. Jeszcze się naużerasz, żeby Zbrhła w łóżku utrzymać. - Spojrzenie Petunki złagodniało odrobinę. - Dropowi skrzydło złożyłem, powinno się ładnie zrosnąć. A

Lenda... Ogłuszyło ją, to wszystko. Gdybym jej nie uśpił, już by tu... No, może blizny w sąsiedztwie pasa zostaną. - Zamilkł na chwilę, zmarszczył brwi, tknięty nagłym pomysłem. - Słuchaj... Z tym napisem na drzwiach... Ja jej prawie... Myślisz, że gdybym napisał, że oszpecona i już mi się nie podoba... Uwierzy?

- Kretyn - powiedziała z rezygnacją.

- Już teraz nie jest tam za ładna. Pas niby cudowny, a odleżyn narobił, blizn... Na pewno ma kompleks na tym punkcie.

- Debren, jak ci się w kroku brzydka widzi, to idź, obudź ją i jej to w oczy powiedz. Tylko najpierw te kłamliwe ślepie wytrzyj.

Nie ruszył się z miejsca, ale powieki przetaił.

- Nie mogę - szepnął.

- Bo nie ma jednego kawałeczka Lendy, który by ci się nie podobał? - bardziej stwierdziła, niż zapytała.

- Życie jej ocaliłem. Przedtem, teraz... Nawet gdyby potrafiła racjonalnie myśleć, honor jej nie pozwoli. Księżniczką jest, honor ma jak cholera. A ten nakazuje zbawcy się odwdzięczać. Wiem, co powie. Sram na dudkanie, dzieci i zamki. Omotałam cię czarami, kochasz mnie, walczyłeś o mnie, więc będę twoja.

- Bo i ja cię kocham - dokończyła.

- Nie zmarnuję jej życia.

- Zmarnujesz. Jak wsiądziesz na tego cholernego konia. Zadek też sobie zmarnujesz - dodała z mściwą satysfakcją. - Znów ci krew z portek cieknie.

Wzruszył nieznacznie ramionami, schylił się nad żłobem. Wyjął poduszkę, ułożył na siodle. Poczzerwieniła.

- Zimny, nieczuły łajdak - warknęła. - Wszystko sobie zaplanowałeś, tak?! Lendę jakiemuś staremu przykowi wyswatać, co to mu już pas nie wadzi, bo jeno w wygodce członka używa?! A samemu hipnoza, eliksir i dalejże hulać po zamtuzach?! Co z oczu, to z serca?! I takiś pewny, że to

wystarczy?! Więc ci powiem, że może nie starczyć! Że biedaczka po pętlę i ceber może sięgnąć! A ty płakać możesz za każdym razem, gdy spod ladacznicy wyleziesz! Bo choćby cię pół dnia najcudniejszym zadkiem ujeżdżała i cymbalami ósemki kreśliła, nie da ci ułamka tego, co Lenda jednym uśmiechem! Tak też bywa, głupcze!

Gryząc z bólu wargi, wspiał się na koński grzbiet. Karosz ochoczo zwrócił się ku wrotom.

- Drop pokaże, gdzie szukać Pisklaka - mruknął, nie patrząc na Petunkę. - Pojadę przez Grabogórkę, odbiorę zaliczkę i powiem, by odczekali tydzień. Zdasz posłać Henzę, najpierw po zaprzęg, potem po gryfa. Teraz, jak szlak otwarty, nie będziesz miała kłopotów z kredytem. Chętni w kolejkę się tu ustawiają.

- Debren, nie obrażaj mnie jeszcze na koniec. Myślisz że wezmę choć denara z tych dziewięćdziesięciu...?

- Nie ty - przerwał jej łagodnie. Trącił piętą konia, ruszył wolno ku wyjściu. - Lenda. To dla niej.

Szła za nim aż do bramy. Otwartej, śmiało spoglądającej na las, w którym nie było gryfów i nietoperzy, nad którym nie ciążyła dwustuletnia klątwa. Dzień był piękny, a poduszka miękka. Tyłek prawie nie bolał. W Grabo-górcie czekało dziesięć sztuk złota. Życ nie umierać.

- Jest dumna. - Petunka też była, więc zatrzymała się w bramie, na symbolicznej granicy swych włości. - Na to liczysz, tak? Że się ujmie honorem i cichcem w alkierzyku oczy wypłacze? Zapomni o tobie, durny łajdaku?! - Jechał powoli przez zasy, powtarzając sobie w duchu, że dzień jest piękny i człowiekowi aż chce się żyć. - Łajno! To moja siostra! Nie znasz jej jeszcze! - Kopyta postukiwały rażno o zmarzniętą ziemię, słońce przyjemnie grzało w policzek. - Muszę siekiere schować, bo mi drew na całą zimę narąbie! Jak nasza prababka! - Jechał, nie odwracał się, choć bardzo chciał, bo w tej złości, jak chyba nigdy dotąd, przypominała mu Lendę. - W

rzyć sobie wsadź swoje dziewięćdziesiąt dukatów! Nie wytrzyma bez ciebie, słyszysz?! I patrz na mnie, jak do ciebie mówię! Księżniczka jestem, do ciężkiej cholery!

Świeciło słońce, trakt był wąski, ale za tym traktem rozciągał się nieskończenie szeroki świat. Z milionami dziewcząt, z których co druga, a niechby i co dziesiąta, otworzy uda przed czarodziejem. A co setna, niechby i tysięczna, otworzy także serce. Byłby durniem i łajdakiem, gdyby się teraz obejrzał. Jeszcze parę kroków i wjedzie między jodły. Wytrzyma. Zrobi to jak należy.

- A zapłatę lepiej odbierz całą! - dogonił go okrzyk Petunki. - Bo gnojówki tu nie mamy i będzie musiała po okolicy ganiać, by się twojej zasranej jałmużny pozbyć!

Miliony kobiet. Na pewno znajdują się wysokie, a ciut niższe od niego. Mocne i szczupłe zarazem. Czarnowłose i z oczami trochę niebieskimi, trochę zielonymi. Pyskate i szorstkie z wierzchu, a w środku...

Dżuma i syfilis. Drugiej takiej nigdzie... Miliardów by trzeba, a świat, choć ponoć okrągły i dużo większy niż ten ze starożytnych map, jest za mały, by wykarmić miliardy ludzi. I zawsze będzie.

- Debren, poczekaj! - Ściągnął cugle, nie odwrócił się jednak. Przez te cholerne łyzy jej postać zbyt mocno rozmywała mu się w oczach, za bardzo przypominała sylwetkę siostry. - Schowam te dukaty, póki nie ochłonie! Ale to kupa pitniędzy! Można miesiące poszukiwać sfinansować! Lata może! Jak nie życzysz sobie, by cię szukała za twoje własne złoto, to powiedz! Chcę to wyraźnie usłyszeć!

Nie usłyszała. Debren trącił konia piętą, ruszył.

- Powiedz, że wolisz inne dudkać niż ją za rękę trzymać! To też byśmy chciały wyraźnie usłyszeć!

Nie usłyszały. Nie przepchnąłby słowa przez gardło.

- No to powiedz chociaż, że ją jak psa pogonisz, jeśli nie wytrzyma, pogna twoim tropem i w końcu znajdzie! Że się z

inną ożenisz, dzieci napłodzisz i będziesz żył bez Lendy choć trochę szczęśliwy! Nie stanie w poprzek twojemu szczęściu! Most swą miłością złamała! Zrobi, co zechcesz, tylko pozwól jej uwierzyć, że to dla twojego dobra! Nie jej, a twojego! Daj mi jakiś argument, Debren!

Nie dał. Czuł, że powinien, że paroma słowami doprowadziłby sprawę do końca, zamknął definitywnie na wieki. Obie były mądre, obie były księżniczkami. Jedna przekonywała drugą, że tak jest lepiej, rozsądniej, bardziej honorowo. Wystarczyłoby parę słów.

Ale dał już Lendzie wszystko, co miał do zaofiarowania. Był tylko człowiekiem, a ludzie rodzą się egoistami.

Wjechał między drzewa, modląc się, by plunęła na rozsądek, podtarła się honorem i zrobiła właściwy użytek z dziewięćdziesięciu dukatów.

super  
**NOWA**

# Spis treści

|                   |   |
|-------------------|---|
| Strona tytułowa   | 2 |
| Strona Redakcyjna | 3 |
| Księga siódma     | 5 |